

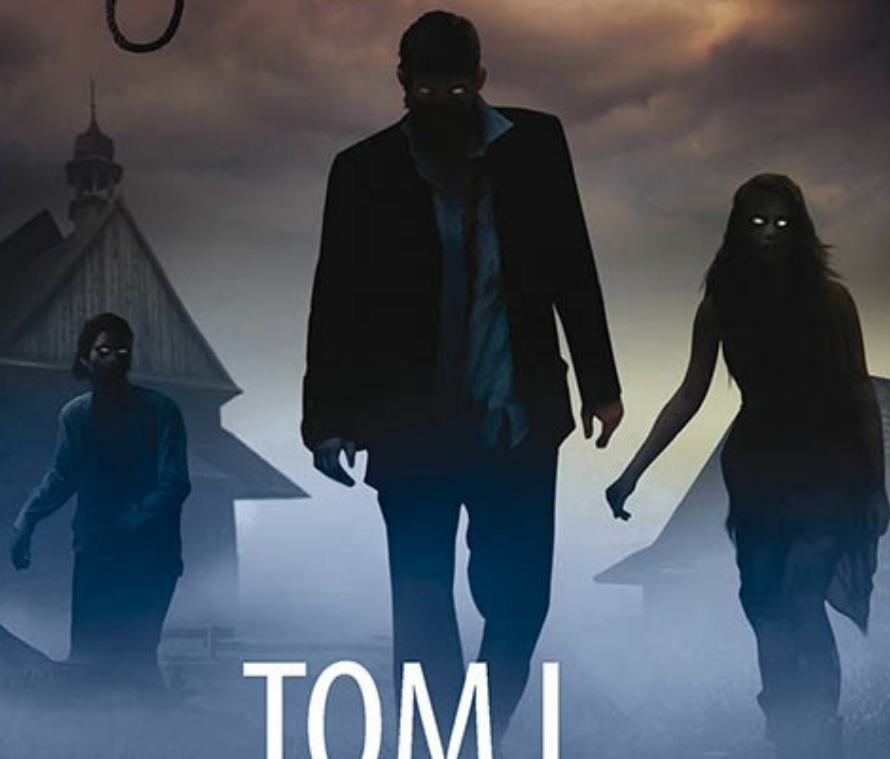
Powieść o przeklętej wiosce na Roztoczu, autora wielokrotnie nominowanego do Nagrody Fandomu Polskiego im. Janusza A. Zajdla, zdobywcy Nagrody Nautilus

STEFAN

# DARDA

Ćzarny Wygon

POWIEŚĆ GROZY



# TOM I

VIDEOGRAF



---

Czarny Wygon

---

TOM I

SŁONECZNA DOLINA  
STARZYŻNA

VIDEOGRAF



Redakcja  
Jadwiga Kwiecień

Projekt okładki  
Marek J. Piwko {mjp}

Ilustracja na okładce oraz na stronach działowych  
Dariusz Kocurek

Redakcja techniczna, skład, łamanie  
Grzegorz Bociek

opracowanie wersji elektronicznej  
lesiojot

Korekta  
części I: Urszula Bańcerk  
części II: Jadwiga Kwiecień

Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń rzeczywistych jest  
w tej książce niezamierzone i przypadkowe.

Wydanie I w tej edycji, Chorzów 2014

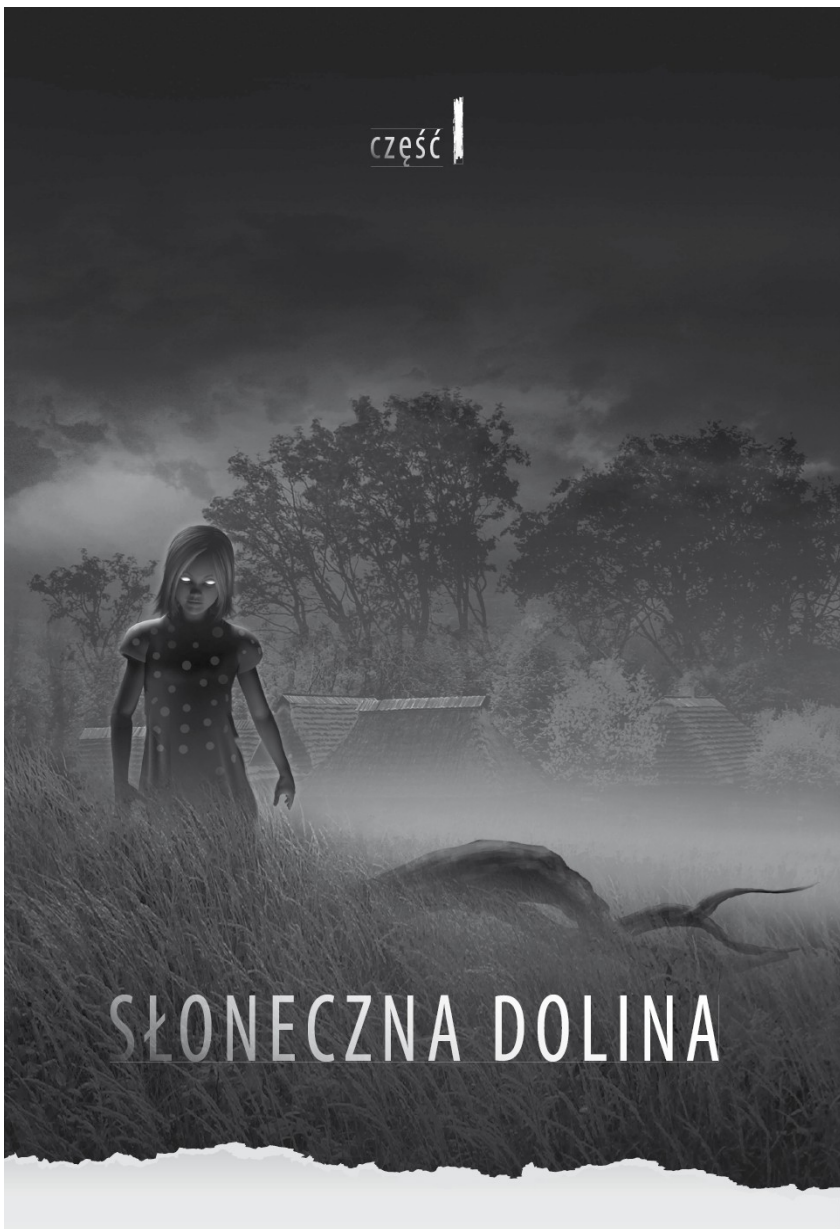
Wydawca: Wydawnictwa Videograf SA  
41-500 Chorzów, Aleja Harcerska 3c  
tel. 32-348-31-33, 32-348-31-35, 691962519

office@videograf.pl  
www.videograf.pl

© Copyright by Wydawnictwa Videograf SA, Chorzów 2014  
© Copyright by Stefan Darda

ISBN 978-83-7835-365-2

część I



# SŁONECZNA DOLINA

*Nie narzekaj, że wszystko przemija,  
bo gdyby czas się zatrzymał,  
to wtedy dopiero miałbyś prawdziwy problem.*

Rafał Gielmuda

## Przedmowa

Mam wrażenie, że każdy człowiek, którego spotykam podczas rejsu przez bardziej lub mniej wzburzone wody losu, odciska na mnie jakieś piętno.

Czasem pozostaje jedynie przelotna refleksja, trudne do zdefiniowania wrażenie, zadziwienie lub uśmiech. Czasem czyjś wizerunek pozostaje na dłużej w pamięci, nie pozwala mijającym dniom zbyt łatwo zatrzeć obrazu i odczuć, które pozostały gdzieś głębiej.

Są też osoby, których nigdy nie zapomnę i które na zawsze przewartościowały moje życie. Chciałbym, żeby ta książka była hołdem dla jednego z takich ludzi. Z pewnością wiele bym stracił i byłbym kimś zupełnie innym, gdybym wiele lat temu nie spotkał Staszka - męża mojej kochanej Siostry, Urszuli, który potrafił prosto, bezinteresownie i z ogromną lekkością pokazać mi świat taki, jaki - w co głęboko wierzę - naprawdę jest. To świat pełen wyzwania, piękna i wzruszeń.

Tak się składa (a przynajmniej ja to tak pamiętam), że wszystko zaczęło się w okolicach Guciowa. Ta była pierwsza taka nasza wyprawa. Byłem wtedy kilkunastoletnim chłopakiem, który przymierzał się do kończenia podstawówki i, chyba jak wielu moich rówieśników, niezwykle potrzebował wskazania drogi, którą mógłby kiedyś podążać.

Miałem cholerne szczęście.

Potem były nasze wspólne wyprawy w Tatry, Gorce, Beskidy, w okolice Krakowa i do podlubyckich bunkrów. Chyba właśnie wtedy tak naprawdę przejrzałem na oczy. Później już jeździłem sam lub z przyjaciółmi, zawsze jednak pamiętając, kto tę drogę przede mną otworzył. W czasie studiów grałem w „Orkiestrze Świętego Mikołaja” i jednym z najfantastyczniejszych dla mnie koncertów był ten w krakowskiej Rotundzie, na którym pojawili

się Ula, Staszek i ich dwaj Synowie.

A potem? Minęło mało czasu, zdecydowanie zbyt mało, kiedy w piątkę, w Wielki Piątek dwa tysiące czwartego roku, pojechaliśmy na wycieczkę po Roztoczu. Odwiedziliśmy Krasnobród, Guciów, Zwierzyniec...

I to była moja ostatnia wyprawa ze Staszkiem.

Drogi Przyjacielu!

Gdziekolwiek jesteś, wiem, że czekasz tam na mnie. Mam nadzieję, że przeczytasz książkę, którą dedykuję Twojej Pamięci.

Nie pamiętam, czy wtedy, pierwszym razem, szliśmy przez Słoneczną Dolinę... Ale wyobrażam sobie, że tak właśnie było.

## Podziękowania

Serdecznie dziękuję wszystkim tym, którzy pomogli mi przy redakcji tej książki. Dziękuję za czas, cierpliwość, wiarę i zaufanie.

Dziękuję też Tobie, Jacku, za to, że całkiem niedawno, być może po raz drugi, odkryłeś przede mną uroki Słonecznej Doliny.

(Jeśli chodzi o czereśnię, to - obiecuję - więcej o niej będzie w drugiej części.)

Dziękuję Panu Stanisławowi Jachymkowi za opowieści i mapę, a także za zsiadłe mleko, które po wizycie w Słonecznej było pyszniejsze nawet od piwa.

I Tobie, Drogi Czytelniku, składam ogromne podziękowania. Nie wiem, czy byłeś już ze mną w Wyrębach, czy też może będzie to nasza pierwsza wspólna podróż, ale jestem Ci wdzięczny za to, że zdecydowałeś się wybrać ze mną na bardziej lub mniej znane Ci Roztocze.

Jeśli już byłeś w okolicach Zwierzyńca, to z pewnością nie muszę Cię zachęcać do ponownej wizyty. A jeśli nie? Pora pakować walizy.

Być może kiedyś się tam spotkamy...

S.D.



*Staskowi*

## Prolog

Gdyby tylko mógł cofnąć czas, Adam zrobiłby to bez najmniejszego wahania. Z każdym dniem rosło w nim przeświadczenie, że to, co się stało, jest w dużej mierze jego winą. Nie okazał się wystarczająco stanowczy i nie rozmawiał wtedy z Witkiem tak, jak należy. A przecież nigdy wcześniej nie miał tak wyrazistego przeczucia. Po raz pierwszy dotknęło go po przebudzeniu ze snu, w którym główną rolę odegrała Magda. Później, zaraz po wyjeździe Witolda Uchmanna, niepokój przerodził się w strach, na który nie było lekarstwa, w paniczną wręcz obawę, drażącą Adama od środka jak złośliwa choroba, niepozwalająca myśleć o czymkolwiek innym.

Z nadzieją i niecierpliwością oczekiwał na najmniejszą choćby wiadomość od przyjaciela, lecz na próżno; dokładnie od trzech tygodni - od wtorku, ósmego marca - Witek nie odezwał się ani razu. A przecież miał pojechać tam tylko najwyżej na cztery dni.

Ostatnia nadzieja związana była ze Świątami Wielkanocnymi, które skończyły się wczoraj. Do tej pory Nawrot łudził się jeszcze. Teraz, we wtorek, dwudziestego dziewiątego marca, siedział samotnie w biurze redakcji, wpatrując się w puste miejsce naprzeciw swojego biurka.

Nie tylko z powodu Uchmanna była to dla niego smutna Wielkanoc. Wiele godzin spędził w szpitalu, czuwając przy łóżku matki, która nagle poczuła się bardzo źle. Lekarze nie zdążyli postawić jeszcze diagnozy, ale sugestie były dość jednoznaczne - podejrzewano nowotwór w zaawansowanym stadium. Do tego doszło nagle pogorszenie zdrowia papieża, co dla Adama, jako człowieka bardzo mocno wierzącego, było wydarzeniem nie bez znaczenia. Wspólnie z matką oglądali na sali szpitalnej przejmujące błogosławieństwo urbi et orbi - błogosławieństwo, podczas którego Jan Paweł II, pomimo starań, nie był w stanie wypowiedzieć nawet jednego słowa. Oddychał tylko z trudem, po

czym bezsilnie uderzył w poręcz fotela, a potem jedynie błogosławił w ciszy wiernym zgromadzonym na Placu świętego Piotra.

W Poniedziałek Wielkanocny, kiedy Adam wracał od matki, wstąpił jeszcze na cmentarz, aby pomodlić się przy grobie Magdy. Nie przyniosło mu to ukojenia, ale pozwoliło podejść do tych trudnych wydarzeń z większym dystansem. Mimo wszystko jej śmierć była o wiele cięższym doświadczeniem.

Z rozmyślań wyrwały go podniesione głosy dobiegające z korytarza. Jeden z nich należał do Kamila, drugiego zaś nie potrafił rozpoznać.

- Nie może pan wejść dalej - tłumaczył Sadoń. - To jest zamknięta część redakcji. Proszę dać, co ma pan do przekazania...

- Mogę to oddać tylko do rąk własnych pana Nawrota! Nie ruszę się stąd, dopóki tego nie zrobię. Będę czekał, aż...

Adam wyszedł z pokoju.

- O co chodzi? - zapytał.

- To jest pan Adam Nawrot - mruknął do nieznajomego Kamil. - Proszę zostawić przesyłkę.

Mniej więcej czterdziestolatek, szczupły, lekko szpakowaty mężczyzna patrzył podejrzliwie.

- Na pewno? Pan Adam? - zapytał. - Mogę zobaczyć dowód?

- Panie, do cholery! - Sadoniowi puściły nerwy. - Czyś pan oszalał? Zaraz wzywam policję...

- Spokojnie, Kamil. Zaraz pokażę panu dowód, tylko można wiedzieć o co chodzi?

- Mam dla pana przesyłkę. Oczywiście, jeśli nazywa się pan Nawrot. To jest bardzo ważna sprawa i nie dam paczki nikomu innemu.

- Proszę zaczekać sekundę.

Po chwili Adam wrócił z dowodem. Mężczyzna wziął go do ręki i uważnie przyglądał się to redaktorowi, to twarzy na zdjęciu. Wreszcie, oddając dokument, rzekł:

- W porządku. Proszę, to dla pana. Na pewno będzie pan wiedział, co z tym zrobić. Tylko błagam, niech się pan pośpieszy...

- Kim pan jest? Od kogo jest ta przesyłka?

- Nieważne, kim jestem. A co do paczki, to dowie się pan wszystkiego po jej otwarciu.

Mężczyzna odwrócił się i już miał wyjść, gdy nagle stanął w drzwiach. Popatrzył na Nawrota.

- Panie Adamie... - powiedział cicho. - Z całego serca pana przepraszam... Jak mi Bóg miły, nie chciałem tego i mam nadzieję, że kiedyś będzie pan w stanie mi wybaczyć.

Zniknął równie nagle, jak się pojawił. Stali z Kamilem jeszcze chwilę w korytarzu, Adam wzruszył tylko ramionami i odszedł w kierunku swojego pokoju z przesyłką pod pachą. Sadoń podążył za nim, lecz Nawrot zatrzymał się w progu, mówiąc:

- To do mnie paczka, szefie. Najpierw sam ją obejrzę, a jak będzie trzeba, to dam znać, co w niej było - powiedział i zatrasnął drzwi przed nosem kierownikowi.

Niecierpliwym ruchem rozerwał szary papier i wydobyl starannie zbindowany plik zapisanych obustronnie kartek formatu A-4. Nie były ponumerowane, ale wprawne dziennikarskie oczy Adama oszacowały, że jest ich około dwustu. Nie miał wątpliwości, że autorem zapisków jest Witold Uchmann.

Pod przeźroczystą folią spoczywała niewielka karteczka, również zapisana ręką Witka.

*Cześć, Adam,*

*mam nadzieję, że wybaczysz mi moje milczenie, ale z pewnych względów nie mogłem się do Ciebie odezwać.*

*Oddaję w Twoje ręce moje zapiski z Guciowa i Krasnobrodu. Być może na początku będziesz zdziwiony ich formą, jednak z czasem dowiesz się, dlaczego tak wyglądają. Część z nich jest mojego autorstwa, a część przepisałem z powierzonego mi brulionu. Nie wiem, czy to możliwe, ale chciałbym, żeby trafiły one do szerszego grona odbiorców. Postaraj się o to, proszę. Być może od tego zależy los wielu ludzi.*

*Wiem, że pod koniec poprzedniego tygodnia wypytywała o mnie w okolicy policja (dały mi o tym znać zaprzyjaźnione osoby). Pewnie to właśnie Ty poinformowałeś, że zaginąłem.*

*Przepraszam, ale nie mogłem się ujawnić.*

*Dziś jest Wielki Piątek, 25 marca, i jestem teraz w Krasnobrodzie. Wybieram się w miejsce, z którego być może nie będę mógł wrócić, ale - kto wie? - może wszystko się uda i za jakiś czas znów się spotkamy (mam wielką nadzieję, że tak właśnie się stanie).*

*Jeśli przyjdę do pracy we wtorek po Wielkanocy, ta przesyłka nigdy do Ciebie nie dotrze.*

*Zakładam jednak, że czytasz te słowa, a wydarzenia potoczyły się tak, jak planowałem.*

*Tymczasem jestem zmuszony się z Tobą pożegnać.*

*Do zobaczenia, Przyjacielu.*

*Witek*

Rzeczywiście, Adam poinformował policję o zaginięciu Uchmanna. Wiedział, dokąd się wybiera i zapewne tam właśnie go szukano.

Nawrot nie miał pojęcia, dlaczego Witek nie chciał dać się odnaleźć, jednak miał pewność, że wszystko wyjaśni się, gdy przeczyta dostarczone przez tajemniczego mężczyznę zapiski. Nie mógł czekać. Zwolnił się tego dnia z pracy, ponieważ chciał się zapoznać z materiałem jak najszybciej, w ciszy własnego mieszkania.

Kiedy przebijał się przez śródmiejskie korki, nie mógł się doczekać chwili, gdy w spokoju zacznie czytać notatki. Niemniej jednak najważniejsze było to, że jego przyjacielowi - przynajmniej do ostatniego piątku - nie stało się nic złego.

Po raz pierwszy tej wiosny miał nadzieję, że może nie wszystko będzie tak źle, jak mogło się wydawać. Ciepłe, już prawie kwietniowe słońce rozgrzewało wnętrze auta, z głośników płynęła kojąca muzyka Dire Straits.

„Wszystko będzie dobrze” - powtarzał w myślach. - „Na pewno wszystko będzie dobrze...”.

Wszedł do domu, zdjął kurtkę i natychmiast zasiadł przy stole, na którym wcześniej położył dostarczone mu zapiski.

## Rozdział pierwszy

### 1.

Kilka gęsto zadrukowanych kartek formatu A-4 z głośnym plaśnięciem spadło na moje biurko. Dwie z nich ześlizgnęły się po gładkim blacie i sfrunęły na podłogę. Pochyliłem się i powolnym ruchem wziąłem najpierw jedną, a potem kolejną, której róg opierał się na wypucowanym czarnym lakierku. Sadoń nawet nie cofnął nogi.

- Wiesz, Witold, ile to jest warte? - zapytał, gdy już się wyprostowałem i spojrzałem mu w oczy. - Siedziałeś nad tym artykułem przez trzy dni i co? Przecież to się nie nadaje nawet do... - Zawahał się. - To się do niczego nie nadaje, psiamać!

Patrzyłem na tego szczyła, starając się zachować stoicki spokój. Czuję, jak krew szumi w uszach i w jednej chwili rozboleła mnie głowa. Miałem ochotę złapać za tę jego cieniutką szyjkę i wyprowadzić z pokoju. A później zasadzić mu jeszcze sążnistego kopa. Jedną nogę miałem przecież jeszcze całkiem sprawną.

Był jednak moim szefem. Zacząłem z pedantyczną dokładnością składać kartki. Prawie udało mi się opanować drżenie rąk.

- Halo, jestem tutaj! I co ty na to?

- Na to, że tu jesteś? - zapytałem.

- Nie rźnij głupa. Chodzi mi o artykuł. Co teraz? Nie mamy nic na to miejsce.

Znów na niego spojrzałem i to nie był najlepszy pomysł, bo zrobiło mi się niedobrze. Przypatrywał mi się z przekrzywioną głową, nerwowo mrugając świńskimi oczkami. Rzadki kosmyk blond włosów komicznie opadł mu na czoło. Chciałem, żeby już sobie poszedł.

- Poprawię - rzekłem z udawanym spokojem. - Tylko powiedz, Kamil, co ci się nie podoba.

Chyba nie tego się spodziewał.

- Przeczytaj to jeszcze raz - zaczął niepewnie - a sam zobaczysz, co jest nie tak. Sporo różnych błędów, literówki, styl...

- Nie ma sprawy. To wszystko?

- Zapewniam cię, że musisz ostro wziąć się do roboty. I zrób to dzisiaj, bo kończymy składać numer.

Obiecałem, że się wyrobię i chwilę potem już go nie było.

Spojrzałem w kierunku przeciwległego biurka. W czasie całej tej krótkiej awantury Adam udawał, że ma coś ogromnie pilnego do zrobienia i klepał w klawisze jak opętany. Teraz, gdy poczuł na sobie mój wzrok, przestał i siedział nieruchomo. Po kilku sekundach podniósł oczy.

- Ten gnój mógłby być twoim synem - odezwał się. - Może powinienes...

Przerwał, gdy usłyszał odgłos rozdieranego papieru. Starłem się przedrzeć trzymane w rękach kartki dokładnie przez środek. Całkiem niezłe mi to wyszło.

- ...może powinienes pogadać z prezesem? - skończył.

- Wiesz przecież, że to nic nie da - powiedziałem, wstając. - Oni grają w jednej drużynie, mają mnie za esbeka i najchętniej by mnie stąd wywalili - ciągnąłem, kuśtykając w kierunku kosza na śmieci. - Nie dam im tej satysfakcji.

Przedarty plik kartek spoczął na dnie prawie pustego pojemnika.

- Co zamierzasz? - Adam nie spuszczał mnie z oczu, gdy wracałem na swoje miejsce.

- Spieprzam stąd, stary. To już nie na moje nerwy.

Tak naprawdę Adam Nawrot był jedynym człowiekiem w redakcji, z którym się dogadywałem. Właściwie, to można nawet powiedzieć, że był prawie moim przyjacielem. Spotykaliśmy się co kilka dni wieczorem przy piwie i najczęściej gadaliśmy do późna w nocy. Ja - zdeklarowany stary kawaler zaraz po pięćdziesiątce i on - czterdziestokilku- letni, bezdzietny wdowiec. Pracowaliśmy ze sobą od parunastu lat, ale dopiero niedawno, po tym, gdy wczesną wiosną dwa tysiące pierwszego roku, czyli niemal dokładnie przed czterema laty, jego żona zginęła w

wypadku samochodowym, bardziej się do siebie zbliżyliśmy. Potrzebował kogoś do wspólnego spędzania wieczorów, żeby do końca nie zwariować, a i mnie przyjemnie było zobaczyć się z kimś od czasu do czasu, chociaż na początku nie były to łatwe spotkania. Bardzo ją kochał.

Znal wiele moich tajemnic, ale były rzeczy, o których mu nie powiedziałem. Na przykład o tym, że na początku lat dziewięćdziesiątych, trochę przez przypadek, kupiłem pod Warszawą dwa hektary pola. Nigdy nie miałem smykałki do interesów, ale akurat wtedy znajomy rolnik potrzebował pilnie gotówki, więc postanowiłem zaryzykować i ulokować trochę grosza w ziemi. Od tamtego czasu miasto sukcesywnie powiększało swoje terytorium, aż wreszcie dotarło niemal do moich gruntów. Efekt przypadkowej lokaty przerósł moje najśmielsze oczekiwania, kiedy jakiś czas temu jedna z zachodnich firm postanowiła między innymi na moim polu wybudować olbrzymi kompleks handlowy.

Nawrot patrzył na mnie wyczekująco, gdy sięgałem do szuflady, w której od kilku miesięcy tkwił jeden tylko dokument. Teraz miarka się przebrała i stwierdziłem, że to jest właśnie ta chwila, w której wniosek o rozwiązanie stosunku pracy powinien znaleźć się na biurku prezesa.

- Wypisuję się z tego interesu - powiedziałem i podałem Adamowi papier. - Wystarczy tylko wpisać dzisiejszą datę i gotowe.

- To już przesądzone? - spytał, gdy przeczytał nagłówek. - Myślisz, że nie będziesz miał problemów ze znalezieniem nowej roboty? Wiesz, w twoim wieku...

- Dziękuję ci bardzo - uśmiechnąłem się. - Tak naprawdę, to nie wiem, czy jeszcze będę czegoś szukał. Mam trochę oszczędności, może uda mi się na nich dojechać do przystani zbudowanej z czterech desek.

- Z sześciu - poprawił mnie odruchowo, zajęty czytaniem pisma. - Wiesz, to może jeszcze trochę potrwać... - teraz on się uśmiechnął. - Tylko mnie nie łap za słowa. Oddając mi papier, powiedział:



- Sugerowałbym, żebyś to jeszcze przemyślał. Pamiętasz, jak mi mówiłeś, że ta robota trzyma cię w pionie...

Wiedziałem, co ma na myśli. Oprócz Adama nikt w pracy nie wiedział o moich problemach z alkoholem, które najpierw sprawiły, że straciłem prawo jazdy, a potem, gdy zatoczyłem się pod nadjeżdżający samochód, doprowadziły do tego, że stałem się kuśtykającym kaleką. Przez chwilę zastanawiałem się, czy przypadkiem nie ma racji. Wreszcie schowałem wniosek do szuflady i powiedziałem:

- W porządku. Prześpię się z tym jeszcze i jutro podejmę decyzję. Wskoczmy dziś wieczorem na piwo?

- Jasne. O dwudziestej, tam, gdzie zawsze. Może być?

Kiwnąłem głową.

- Teraz muszę się zbierać, bo mam sprawę na mieście - mówił dalej. - Ale ty lepiej popraw ten artykuł. Tak na wszelki wypadek.

- Pomyślę.

Naprawdę to nie miałem takiego zamiaru. Planowałem zostać nieco dłużej w pracy, żeby popakować swoje szpargały i przepakować co ważniejsze dokumenty z firmowego komputera.

Po wyjściu Adama zabrałem się do roboty. Godzinę później byłem przygotowany do wyprowadzki. Właśnie miałem zamiar wyłączyć komputer, gdy na firmowej skrzynce mailowej pojawiła się nowa wiadomość.

Przeczytałem ją kilkakrotnie, zaplotłem dłonie za głowę i wygodnie rozparłem się w fotelu. Siedziałem tak dłuższą chwilę, po czym wstałem i poczłapałem do kubła na śmieci. Właśnie wyjmowałem z niego wrzucony tam uprzednio artykuł, gdy drzwi do pokoju się uchyliły i zobaczyłem w nich głowę Sadonia.

- A to ci dopiero - roześmiał się. - Jak już skończysz szukać skarbów, to podrzuć mi ten materiał. Tracę powoli cierpliwość.

Naniesienie kosmetycznych poprawek zajęło mi nie więcej niż pół godziny. Artykuł był prawie niezmienny, ale tym razem mój szef wyglądał na zadowolonego. Pewnie wcześniej nawet nie czytał tekstu. Od opublikowania listy Wildsteina zdążyłem się już przyzwyczaić i w ogóle mnie to nie obchodziło. Tym bardziej że miałem na głowie ważniejszą sprawę.

Raz jeszcze przeczytałem otrzymany mail, po czym wydrukowałem jego treść, schowałem kartkę do teczki i wyłączyłem komputer.

## 2.

Osiedlowy bar „Przystań” był od dawna miejscem moich spotkań z Adamem. Znaleźliśmy go przypadkiem, kiedy pewnego razu knajpę, w której siedzieliśmy, już mieli zamykać, a my nie chcieliśmy jeszcze zbierać się do domów. Miejsce polecił nam taksówkarz czekający na postoju i od tej pory zawsze właśnie w tym lokalu się umawialiśmy.

Z pewnością knajpki nie można było nazwać wykwintną. Przeważnie było w niej aż czarno od papierosowego dymu i zapachu smażonych frytek. W de zwykle słyhać było marną muzykę i gwar rozentuzjasmowanych stałych bywalców, jednak po kilku wizytach czuliśmy się tu jak u siebie. Mieliśmy wielu nowych znajomych, którzy - podobnie jak my - często zawijali do „Przystani”. Ten klimat odpowiadał nam jednak zdecydowanie bardziej niż nadęta atmosfera restauracji położonych w centrum Warszawy. Po jakimś czasie właścicielka, pani Basia, sprezentowała nam nawet specjalne kufle, w których od tej pory piliśmy tylko my. Od wtedy nawet nie pomyśleliśmy, żeby szukać innego miejsca.

Było już dobrze po dwudziestej drugiej. Dotąd nasze rozmowy krążyły wokół dość neutralnych tematów, jednak wreszcie Adam najwyraźniej zebrał się w sobie i zapytał:

- No i co postanowiłeś? Ciągle zamierzasz zrezygnować?

Nie odpowiedziałem od razu. Zamiast tego sięgnąłem do kieszeni kurtki, do której wcześniej włożyłem kartkę z wydrukowaną wiadomością.

- Tak naprawdę, to byłem już zdecydowany na sto procent, jednak dziś dostałem pewien mail. Chyba mam ochotę tam pojechać i trochę się rozejrzeć.

Adam przebiegł wzrokiem tekst.

- No tak, to zdecydowanie twoja działka - powiedział.

- Pewnie jak zwykle to jakieś bzdury, ale kilka dni z dala od Sadonia dobrze mi zrobi. A poza tym, wiesz, że redakcja chętnie umieszcza takie historie, więc nie powinno być większych problemów z uzyskaniem zgody na wyjazd. Tym bardziej że nigdy nie byłem w tych okolicach. No i będę miał trochę czasu na zastanowienie, co dalej z moją pracą.

Aktualnie byłem specjalistą naszego tygodnika od zdarzeń paranormalnych. Gdy tylko pojawiał się jakiś temat związany z nawiedzonymi domami, zjawiskami „nie z tej ziemi” czy ludźmi opętanymi rzekomo przez diabła, zawsze przydzielano go właśnie mnie. Miałem smykalkę do opisywania tego typu rzeczy, a w dodatku - co okazywało się ważne dla szefostwa - były to sprawy bardzo dalekie od polityki.

- To dobrze - odezwał się Adam. - Mam nadzieję, że zmienisz zdanie i jeszcze trochę popracujemy razem. Aż się boję, kogo mogliby ze mną posadzić w pokoju. A ten mail wygląda całkiem ciekawie. Na pewno zrobisz z tego świetny materiał. Facet, który widział coś, czego nie zobaczył nikt poza nim... No, no... Sprzedaż na pewno od razu nam skoczy. - Mrugnął do mnie okiem i trącił swoim kuflem o mój, stojący na stoliku, po czym upił kilka solidnych łyków. Najwyraźniej trochę mu ulżyło.

- A wiesz w ogóle, gdzie to jest? - zapytał po chwili.

- Tak. Na Roztoczu, niedaleko Zwierzyńca.

- Dawne Zamojskie?

- Zgadza się. Byłeś tam?

- Nie, ale o Zwierzyńcu słyszałem. Zdaje się, że robią tam niezłe piwo.

- Ty to tylko o jednym - powiedziałem i podniosłem kufel do ust.

Tego wieczora nie rozmawialiśmy o moim wyjeździe. Niespodziewanie wrócił jednak temat Magdy; Adam znów zaczął ją wspominać. Ostatnio zdarzało się to bardzo rzadko, jednak tym razem wspomnienia wyraźnie dały znać o sobie. W pewnym momencie Nawrot miał nawet łzy w oczach. I wtedy właśnie, zupełnie niespodziewanie, chyba głównie po to, żeby zmienić temat, spytał:

- Witek, nigdy o tym nie gadaliśmy, a trochę mnie to dręczy. Jak to było z tą twoją współpracą ze Służbą Bezpieczeństwa?

Na początku naszych spotkań byłem pewien, że będzie chciał znać prawdę. Kiedy jednak minęło trochę czasu, uznałem, że nie jest to dla niego ważne. Tym bardziej byłem zaskoczony, że zapytał. Gdy przez dłuższą chwilę nie odpowiadałem, powiedział:

- Nie ma sprawy. Jak nie chcesz, to nie mów. Wycofuję pytanie i przepraszam. Nie powinienem...

- Daj spokój - przerwałem. - Wezmę tylko dla nas jeszcze po jednym.

W czasie, gdy pani Basia napełniała kufle, miałem chwilę na zastanowienie. Tak naprawdę cieszyłem się, że rozpoczął rozmowę na ten temat. W redakcji traktowany byłem jak najgorsza kanalia, odwrócili się ode mnie nawet ludzie, których do momentu publikacji listy miałem za przyjaciół. Stałem się trędowny. Jeśli komuś miałem powiedzieć, jak było, to tylko Adamowi, który jako jedyny nie odsunął się wtedy ode mnie.

Gdy podszedłem do stolika i postawiłem na nim pełne kufle, widziałem, że mój towarzysz kręci się niespokojnie.

- Wiesz, chyba niepotrzebnie cię o to zapytałem. Może czasem lepiej nie wiedzieć...

- To było gdzieś w połowie lat siedemdziesiątych - zacząłem, ignorując to, co powiedział. - Byłem wtedy na studiach. Moi rodzice przyjaźnili się z pewnym lekarzem. Bardzo nam pomagał, głównie dzięki niemu moja matka wyszła z raka, chociaż niewiele dawało jej szansę. Pewnego dnia, gdy ojciec był w pracy, a matka w sanatorium, przyszedł do naszego mieszkania. Powiedział, że chce rozmawiać właśnie ze mną. Zdziwiłem się, bo do tamtego dnia zamieniliśmy ze sobą może kilka zdań, nie licząc sytuacji, gdy byłem chory i przychodził do mnie z wizytą domową.

Adam nie patrzył na mnie. Wpatrywał się w przeciwległą ścianę.

- Powiedział, że ma do mnie wielką prośbę - ciągnąłem. - Wyznał, że jakiś czas temu wplątał się w jakieś układy ze Służbą Bezpieczeństwa. Wyjął z teczki gotową deklarację współpracy i

poprosił o jej podpisanie. Ponoć miał taki obowiązek, żeby kogoś zwerbować. Zapewnił jednocześnie, że to tylko jeden podpis i na tym cała sprawa się skończy. Podpisałem bez wahania - po prostu nie mogłem postąpić inaczej. Zbyt wiele mu zawdzięczaliśmy.

Przerwałem, by się napić.

- I co? Pewnie na tym się nie skończyło? - zapytał Adam, wciąż wpatrując się w ścianę.

- Tak. Za jakiś czas pojawił się znów z prośbą o informacje na temat moich kolegów z uczelni. Byłem wściekły i prawie wyrzuciłem go z domu. Od tamtej pory go nie widziałem.

- I tyle?

- Kiedy dowiedziałem się o liście opublikowanej przez Wildsteina, nawet się ucieszyłem. Niewielu wie, że działałem w opozycji. Pisałem pod pseudonimem do pism opozycyjnych, roznosiłem ulotki, rozwieszałem plakaty, nawet mazałem po murach. Dwa razy mnie zamknęli, raz porządnie pobili. Lista wydawała mi się początkowo wyrazem sprawiedliwości dziejowej. Do czasu...

- Do czasu, gdy znalazłeś na niej nazwisko „Witold Uchmann”?

Nie musiałem odpowiadać. Obaj wiedzieliśmy, co było dalej. W redakcji zaczęli nazywać mnie „ucholem”. W rezultacie wyłądownołem w dziale brukowych newsów.

- Dlaczego nie próbowałeś tego wyjaśnić? - odezwał się znów Adam.

- A znasz kogoś, kto by mi uwierzył, gdybym udowadniał, że nie jestem wielbłądem?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Rozmowa przestała się kleić i niedługo potem wyszliśmy z „Przystani”. Adam pojechał taksówką, ja zaś postanowiłem zrobić sobie dłuższy spacer. Kuśtykałem wśród niemal wiosennej, marcowej nocy i jednego byłem pewien: ta rozmowa była mi bardzo potrzebna.

### 3.

Kiedy następnego dnia pojawiłem się w biurze, nastrój lekkości poprzedniego wieczoru prysł jak bańka mydlana.

Zaraz po wejściu do pokoju spostrzegłem, że coś jest nie tak. Adam ledwie odpowiedział na moje „cześć” i bez słowa wrócił do pracy przy komputerze. Początkowo zrzuciłem to na karb dręczącego go kaca, ale gdy około dziesiątej nic się nie zmieniło, zacząłem żałować, że opowiedziałem mu o epizodzie sprzed lat. Nic już nie mogłem poradzić. Miałem jedynie nadzieję, że gdy wrócę z Roztocza, sytuacja się poprawi i znów będzie tak, jak dawniej.

Przekonanie szefa do mojej wyprawy na południowo-wschodnie krańce Polski nie było tak łatwe, jak przewidywałem. Początkowo w ogóle nie chciał słyszeć o wyjeździe, jednak po jakimś czasie moja perswazja dotarła do jego zakutego łba i zaczął się wahać. Wtedy wyjąłem z rękawa asa - otrzymany dzień wcześniej mail, który dość mocno podrasowałem, żeby sprawa rysowała się bardziej tajemniczo. W rybnich oczach Sadonia, chyba po raz pierwszy w życiu, dojrzałem iskierkę zainteresowania.

- Dobrze, Uchmann - powiedział po kilkudziesięciu sekundach teatralnego milczenia. - Masz na przygotowanie tego materiału trzy dni. Spotkaj się z facetem, po wypytaj w okolicy... Zresztą, chyba nie muszę cię instruować?

„Nie daj Boże” - pomyślałem.

- Musisz tylko wiedzieć jedno - ciągnął - jak sprawa okaże się niewypałem, to koszty potrączę ci z premii.

- Dobra, szefie, ryzyko biorę na siebie. Mogę jechać już jutro?

Nie brałem pod uwagę, że z materiału może nic nie wyjść. Facet od maila wyglądał na niezłe nawiedzonego, a ja już dobrze wiedziałem, jak rozmawiać z takimi typkami. Niemniej jednak, nawet gdyby z tego wszystkiego wyszła totalna kłapa, to byłem pewien, że parę dni poza Warszawą dobrze mi zrobi. Nawet za cenę paruset złotych. Wróciłem do pokoju i powiedziałem:

- No, stary, Sadoń kupił temat i wyjeżdżam już jutro.

Mój entuzjazm nie zrobił na Adamie specjalnego wrażenia.

- Musimy pogadać zaraz po robocie - powiedział bez cienia uśmiechu i wyszedł z pokoju.

Aż do końca pracy nie zamieniliśmy ze sobą nawet jednego słowa. Po naszym popołudniowym spotkaniu nie spodziewałem się więc niczego miłego.

\*

Było po siedemnastej, gdy zasiedliśmy w pobliskim bistro. Zanim zamówiliśmy cokolwiek, powiedziałem:

- Nie sądziłem, że nasza rozmowa zrobi na tobie aż takie wrażenie.

- Zawsze uważałem, że jesteś w porządku - odparł Adam. - A dziś jestem już tego pewien. Tym bardziej musisz posłuchać, co mam do powiedzenia.

- Słucham więc.

- Najpierw zamówmy coś do picia.

Po chwili, gdy przede mną stała szklanka soku pomarańczowego, a przed Adamem filiżanka kawy, usłyszałem coś, co wprowadziło mnie w osłupienie.

- Nie powinienes tam jechać.

Na początku nie wiedziałem, o co chodzi, chwilę potem miałem wrażenie, że się przesłyszałem. Gdy Adam powtórzył to raz jeszcze, popatrzyłem na niego uważnie.

- Możesz mi wytłumaczyć, dlaczego?

- To nie jest takie proste. Daj mi jeszcze chwilę... Od rana zastanawiam się, jak ci to powiedzieć, żebyś nie wziął mnie za kretyna.

Siedziałem więc w milczeniu, ciesząc się, że moje domysły co do przyczyn dziwnego zachowania Nawrota okazały się kompletnie nietrafione.

- A może chcesz mi podebrać temat? - Mruknąłem do niego z uśmiechem.

- Głupi jesteś - odpowiedział, ale w jego oczach zatańczył przez chwilę cień rozbawienia.

To chyba pomogło Adamowi się odblokować, bo za chwilę

odezwał się głosem, w którym nie było już słycać wcześniejszego zdenerwowania:

- Wiele wiesz o mnie i o Magdzie. - Byłem zdziwiony, że wypowiedział imię nieżyjącej żony; do tej pory zdarzyło się to najwyżej dwa lub trzy razy. - O jednym natomiast nigdy ci nie mówiłem.

Przerwał i bawił się swoją wciąż pełną filiżanką, obracając ją na spodku, niczym maleńką kierownicą.

- Od tamtej pory - ciągnął, wpatrując się w parującą kawę - od tego feralnego Wielkiego Piątku, trzynastego kwietnia dwa tysiące pierwszego roku, gdy zginęła pod Lublinem w płonącym samochodzie, nigdy mi się nie śniła.

- Na chwilę zamilkł. - Aż do dzisiejszej nocy...

O okolicznościach tamtego wypadku wiedziałem tylko tyle, ile można było wyczytać z prasy; nigdy nie śmiałem zapytać Adama o więcej szczegółów. Jego żona była tłumaczem przysięgłym języka ukraińskiego i w Wielki Piątek wieczorem wracała z konferencji we Lwowie. Na prostym odcinku drogi, niedaleko Krasnegostawu, musiała zjechać na pobocze dlatego, że jadący z naprzeciwka kierowca, wyprzedzając autobus, źle ocenił odległość i wymusił pierwszeństwo. Auto Magdy wpadło do przydrożnego rowu, przekoziółkowało i uderzyło w drzewo, natychmiast stając w płomieniach. Trwające wiele miesięcy poszukiwania sprawcy tragedii - kierowcy białego, osobowego opla - nie przyniosły rezultatu.

- Nie było chyba dnia, w którym nie modliłbym się, żeby przyszła do mnie we śnie, żebym mógł ją jeszcze choć raz zobaczyć, przytulić... - jego głos zaczął wyraźnie drżeć.

- Rozumiesz? - Spojrzał na mnie. - Codziennie się o to modliłem.

I dopiero dzisiaj... - Adam kilkakrotnie głęboko odetchnął, starając się opanować wzruszenie. Po chwili kontynuował już spokojniej:

- Śniło mi się, że leży obok mnie. Czułem jej zapach, jej ciepło... Przyłgnęła do mnie całym ciałem, tak jak zawsze lubiła, a ja byłem przez moment najszcześliwszym człowiekiem na świecie. I wtedy... Wtedy mnie pocałowała i powiedziała: „Pamiętaj, co



mówiłam wcześniej, dobrze?”. Nie mogłem sobie przypomnieć, żeby w ogóle coś mówiła, więc zapytałem, o co chodzi. Gwałtownie się ode mnie odsunęła i po chwili stała obok łóżka. Sekundę potem z całej siły uderzyła mnie w twarz. „Następnym razem słuchaj mnie uważnie, sukinsynu!” - syknęła.

Adam wciąż patrzył mi w oczy. Trudno było ocenić, czy na jego twarzy malowało się przerażenie, czy zupełna dezorientacja. Mówił jednak dalej:

- Chciała mnie uderzyć raz jeszcze, ale złapałem ją za nadgarstek i brutalnie przyciągnąłem do siebie. „Dlaczego mnie zostawiłaś?!”, krzyknąłem. „Przecież nie musiałaś wtedy jechać do tego cholernego Lwowa!”. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Zacząłem ją z całej siły dusić, wrzeszcząc przy tym, że jej nienawidzę. Z satysfakcją czułem, jak jej ciało wiotczeje, a później wstrząsają nim gwałtowne konwulsje. Przystała się ruszać, a ja wciąż z całej siły zaciskałem palce na jej szyi. Opanowanie przyszło dopiero wtedy, gdy ręce odmówiły mi posłuszeństwa, a palce całkowicie ścierpły. Spojrzałem na leżącą Magdę i wpadłem w panikę. Zacząłem błagać, żeby do mnie wróciła, próbowałem nawet sztucznego oddychania, ale ona tylko leżała nieruchomo z szeroko otwartymi oczyma...

Przerwał i sięgnął do teczki po chusteczkę higieniczną. Chyba dopiero teraz poczuł, że po jego policzkach spływają łzy.

- Położyłem się obok niej i pomyślałem, że chyba zwariuję - mówił dalej. - Nie wiedziałem, co robić, lecz z całą pewnością nie chciałbyś wiedzieć, jakie myśli przychodziły mi do głowy. Wtedy się poruszyła.

Podparła się na łokciu i spojrzała na mnie z uśmiechem. „Przecież ja nie żyję, więc jak mógłbyś mnie zabić?”, zapytała mrugając okiem. Po chwili dodała: „Ale możesz uratować kogoś innego. Jeśli Witek wyjdzie, jeśli go nie powstrzymasz, to jego również stracisz, pamiętaj”. Wstała, zrobiła krok w stronę wyjścia, lecz zatrzymała się i błyskawicznie pochyliła się nade mną, patrząc na mnie ślepyimi, szeroko rozwartymi białkami oczu, w których nie było tęczówek ani źrenic. „To nie jest sen... pamiętaj... stracisz go...”, szeptała, przybliżając twarz do mojej

twarży. Odruchowo zamknąłem powieki, a gdy znów spojrzałem przed siebie, już jej nie było...

Uważnie mi się przypatrywał, jakby badając moją reakcję. Byłem wstrząśnięty, wciąż miałem dreszcze i w skrytości ducha dziękowałem Bogu, że nie miewam takich snów.

- Mogłeś sobie darować tak szczegółowy opis... - powiedziałem wreszcie.

- Wtedy nie wiedziałbyś, dlaczego bardzo nie chcę, żebyś tam jechał. To było naprawdę realistyczne, Witek - dodał. - Daj spokój, odpuść tym razem, proszę cię...

W sumie mu się nie dziwię. Gdyby mi się przyśniło coś takiego, to też pewnie długo nie mógłbym dojść do siebie.

- Adam, rozmawialiśmy o niej wczoraj wieczorem, więc pewnie stąd ten sen... Wszyscy miewają koszmary. Poza tym przecież to tylko trzy dni, co może mi się stać? Tym bardziej że jadę pociągiem, a nie samochodem...

Zbyt późno ugryzłem się w język.

#### 4.

Podróż zajęła mi ponad sześć godzin. Wczesnopopołudniowy pociąg był jedynym bezpośrednim środkiem lokomocji, którym mogłem się dostać na samo miejsce. Gdybym jednak wiedział, że spóźni się prawie dwie godziny, raczej wybrałbym autobus z przesiadką w Zamościu. Lubiłem jeździć pociągami, ale tym razem miałem już naprawdę dość i z niecierpliwością oczekiwałem celu podróży.

Było tuż przez dwudziestą drugą, gdy pociąg zaczął zwalniać i za szybą, w jaskrawym świetle kolejowej latarni mignęła mi tablica z napisem „Zwierzyniec”. Był na niej też drugi człon nazwy stacji, ale nie udało mi się go rozszyfrować. Szybko zarzuciłem na siebie kurtkę, złapałem torbę i wygramoliłem się z wagonu. Pociąg ruszył i po chwili zostałem sam, rozglądając się niepewnie wokół siebie.

Zupełnie nie tego się spodziewałem. Poczytałem wcześniej

trochę o Zwierzyńcu i wiedziałem, że jest to niewielkie miasto, ale stacja kolejowa całkowicie mnie zaskoczyła. Był to stary, odrapany budynek straszący ciemnymi szybami, otoczony niemal ze wszystkich stron lasem. Prócz latarni znajdujących się na peronie zobaczyłem w oddali coś, co wyglądało na przejazd kolejowy. Ruszyłem więc w tamtą stronę, mając nadzieję, że ulica, do której dotrę, zaprowadzi mnie do centrum miasteczka.

Było mi zimno. Gdy wyjeżdżałem z Warszawy, temperatura wynosiła ponad dziesięć stopni, a o śniegu zapomniałem jakiś miesiąc wcześniej. Tutaj leżało ponad dziesięć centymetrów śniegu i termometry (zakładałem, że jednak jakieś są w pobliżu) z pewnością wskazywały temperaturę grubo poniżej zera.

Śnieg nieprzyjemnie skrzypiał pod butami, gdy żwawo kuśtykałem w kierunku rogatki. Udało mi się trochę rozgrzać, jednak kiedy dotarłem do drogi, stwierdziłem, że jest to jedyna pozytywna zmiana w moim położeniu.

Wyjąłem z torby mapę i od razu pożałowałem, że nie spojrzałem na nią przed wyjazdem. Stacja, na której wysiadłem, była oddalona od centrum miasteczka o dwa i pół, może trzy kilometry. Z mapy wynikało, że czeka mnie spacer przez las. Zrobiło mi się nieprzyjemnie i nawet nie chodziło o to, że był przede mną trudny marsz, tym bardziej uciążliwy dla kogoś, kto prawą nogę zgiał ostatnio przed kilku laty. W dodatku chłód powodował, że zacząłem odczuwać silny ból w uszkodzonym kolanie. Gorsza była noc zatopiona w białej nieprzeniknionej ciszy.

Nie miałem jednak wyboru. Czekanie na okazję mogło skończyć się poważnym przeziębieniem, tym bardziej że nawet jeśli trafiłby się jakiś samochód, to zatrzymanie go przez samotnego mężczyznę na odludziu graniczyło wręcz z cudem.

Schowałem mapę, skłamałem w myślach za sprytny pomysł, by komórkę dla świętego spokoju zostawić w Warszawie i niechętnie ruszyłem w kierunku miasteczka. Przez chwilę nic nie widziałem oślepiony latarniami, przy których dopiero co stałem, jednak po kilku minutach wzrok przyzwyczał się do ciemności i zobaczyłem przed sobą wyraźną, jasną linię drogi, która niknęła

w oddalonej niebezpiecznie, mglistej bieli.

Denerwowało mnie skrzypienie śniegu. Wolałbym bezszelestnie przemieszczać się wśród stojących po obu stronach drzew. Miałem wrażenie, że zwracam na siebie uwagę wszystkiego, co żyje w tych mrocznych ostępach.

Po kilku minutach odwróciłem się, żeby zobaczyć, czy dużo już uszedłem. Pasek od torby zaczynał mnie uwierać w ramię, a noga bolała coraz bardziej. Latarnie wciąż były blisko. Zdecydowanie zbyt blisko.

Jak do tej pory skutecznie odganiałem od siebie wspomnienia ostatniej rozmowy z Adamem. Teraz, nagle, ujrzałem przed sobą twarz kobiety patrzącej na mnie ślepyimi białkami oczu i przypomniałem sobie jej słowa: „Stracisz go...”. Po raz kolejny, tym razem bardzo zdecydowanie uznałem, że Adam nie powinien był tak szczegółowo opowiadać mi swojego snu. Nawet wtedy, w bistro, to, co usłyszałem, zrobiło na mnie spore wrażenie. No i potem jeszcze te jego usilne namowy, abym dał spokój z wyjazdem. Teraz, w ciszy stojącego nieruchomo, groźnego lasu, gdy niechciane myśli kłębiły się pod czaszką, kolejne skrzypnięcia śniegu układały się w monotonne „stracisz go, stracisz go...”.

Po lewej stronie usłyszałem dźwięk - coś w rodzaju cichego westchnienia lub szeptu. Stałem nagle i spojrzałem w tantym kierunku. Odgłos powtórzył się, tym razem jakby nieco bliżej mnie. Wpatrywałem się uważnie w ciemność przetykaną słabym poblaskiem śniegu, lecz nie udało mi się niczego dostrzec. Poczułem, jak kropelka lodowatego potu ścieka mi wzdłuż kręgosłupa. Drżałem. Latarnie, od których rozpocząłem marsz, były już tylko maleńkimi światełkami. Musiałem iść przed siebie. Na ile to możliwe, przyśpieszyłem kroku.

To coś szło razem ze mną. Słyszałem wyraźnie skrzypienie śniegu wśród drzew, od czasu do czasu dobiegał do mnie stłumiony szept. Teraz chciałem iść jak najgłośniej, żeby tylko te dźwięki do mnie nie docierały. „Stracisz go, stracisz go...” brzmiało coraz głośniej i powtarzało się z większą częstotliwością, jednak wiedziałem, że każdy krok przybliżył mnie

do upragnionego celu.

Towarzyszący mi, dobiegający spośród drzew odgłos, umilkł równie niespodziewanie, jak się pojawił.

Przystanąłem, aby się upewnić, że znów jestem sam. Wokół żadnego dźwięku. Ruszyłem dalej, myśląc, że do Zwierzyńca mam jeszcze spory kawał drogi, ponieważ nie widziałem przed sobą żadnych świateł, jednak zaraz potem zamajaczyły w ciemności pierwsze zabudowania miasta. Latarnie były wyłączone, zapewne ze względu na oszczędność energii. Blask w oknach mijanych domów emanował ciepłem i spokojem. Z emocji i wysiłku byłem cały mokry, jednak nie zwalniałem kroku. Dwadzieścia minut później, kierując się wskazówkami napotkanego przechodnia, dotarłem do restauracji z hotelem, gdzie miałem zarezerwowany nocleg.

Nie pamiętam, kiedy poprzednio gorący prysznic sprawił mi tak ogromną przyjemność. Zaraz potem, gdy zasypiałem w świeżej, wykrochmalonej pościeli, bardzo wyraźnie usłyszałem swoje kroki. „Stracisz go, stracisz go”, mówiły w rytm monotonnego, lecz nieregularnego marszu kuternogi.

## 5.

W innych okolicznościach być może cała ta sytuacja wydawałaby mi się komiczna, lecz tym razem w ogóle mnie nie bawiła. Byłem na siebie po prostu wściekły.

Stałem kilka metrów od drogi, którą szedłem poprzedniej nocy i wpatrywałem się w ślady na śniegu. Już podczas rozmowy przy śniadaniu w hotelu, w którym się zatrzymałem, zacząłem mieć pewne podejrzenia. Byłem jedynym gościem, więc właściciel z braku lepszego zajęcia przysiadł się do mojego stolika. Opowiedział mi wiele interesujących rzeczy na temat Zwierzyńca, między innymi wspominając o rezerwacie konika polskiego, który umiejscowiono tuż obok miasteczka. Inne atrakcje przestały mnie wtedy obchodzić. Zanotowałem jeszcze tylko fakt, że wysiadłem na niewłaściwej stacji. Gdybym

wcześniej zapytał konduktora, o której będziemy na miejscu, to do hotelu miałbym ledwie kilka minut spacerkiem.

Niedługo potem ruszyłem znaną mi już drogą, tym razem w przeciwnym kierunku. Po prawej stronie zauważyłem niewysoki parkan. Uszedłem jeszcze kawałek i skręciłem w las. Tuż za drewnianymi żerdziami zobaczyłem to, czego się spodziewałem. Ślady kopyt na śniegu nie pozostawiały wątpliwości, że tajemniczą istotą, która śledziła mnie podczas nocnej eskapady, był koń, zapewne zaciekawiony, kogo to diabli niosą drogą o tak późnej porze.

Przypominałem sobie przerażenie, o jakie przyprawiły mnie tajemnicze odgłosy i stwierdziłem z całym przekonaniem, że jestem po prostu starym, miastowym durniem, który w zetknięciu z odrobiną nieznanego, najzwyczajniej w świecie robi pod siebie.

Wracając do hotelu, pomyślałem jeszcze tylko o materiale, który miałem zamiar przygotować dla swojego czasopisma i zacząłem mieć wątpliwości, czy aby na pewno jestem najbardziej odpowiednim do tego zadania dziennikarzem. Przy okazji zastanowiłem się, co by się stało, gdyby w którejkolwiek z opisywanych dotąd przeze mnie historii tkwiło choć ziarno prawdy. Rozważania te nie prowadziły do zbyt optymistycznych wniosków.

\*

Pobieżnie obejrzałem najciekawsze punkty miasteczka, koncentrując się na kościółku na wodzie i starym browarze, w którym wciąż warzono piwo „Zwierzyniec”. Przespacerowałem się też parkiem, wyglądającym o tej porze roku niezwykle malowniczo. Zespół drzew, posadzonych przed wiekami, przecięty łagodną wstęgą Wieprza, działał uspokajająco. Postąłem przez chwilę na jednym z mostków, wpatrując się w niespiesznie uciekającą gdzieś wodę.

W hotelu zjadłem lekki posiłek, popijając nadspodziewanie smacznym lokalnym piwem. Już wcześniej uzgodniłem z właścicielem hotelu, że za niewielką opłatą zawiezie mnie do

Guciowa na spotkanie z Krzysztofem Piaseckim - tajemniczym autorem wiadomości, która przygnała mnie w te okolice.

## 6.

Wymieniając maile przed moim wyjazdem z Warszawy, ustaliłem z Piaseckim, że spotkamy się o siedemnastej w gospodarstwie agroturystycznym, w Guciowie. Właściciel hotelu zostawił mnie tuż przed bramą zbudowaną z drewna i mostkiem prowadzącym do zagrody. Było kilka minut po trzeciej, czyli sporo przed wyznaczonym czasem spotkania, mimo to miałem przeczucie, że mój rozmówca już na mnie czeka.

Przeszedłem przez rozległe podwórze otoczone drewnianymi zabudowaniami i śmiało wszedłem do restauracji stylizowanej na dziewiętnastowieczną karczmę. Przywitało mnie przyjemne, pachnące dymem ciepło, które dawał stojący po prawej stronie piec chlebowy, pobielony wapnem. Zamknąłem za sobą solidne drzwi i, gdy mój wzrok przyzwyczał się do panującego wewnątrz półmroku, okazało się, że jestem w pomieszczeniu sam.

Z niewidocznych kolumn dobiegały dźwięki ludowej melodii, wygrywanej na werbelku i skrzypcach. Przyznałem w myślach, że ta muzyka niezwykle pasuje do wystroju wnętrza. Oprócz pieca jego wyposażenie stanowiły grubo ciosane drewniane ławy i przykryte lnianymi obrusami stoły. Na błękitnych ścianach wisały ręcznie malowane obrazy olejne, wykonane zapewne przez któregoś z miejscowych malarzy samouków. Jedyнным niepasującym elementem wystroju było błyszczące, grubo polakierowane pianino marki „Calisia”.

Podszedłem do drewnianego kontuaru, za którym, na rustykalnym kredensie, ujrzałem masę miłych dla oka glinianych i porcelanowych naczyń. Trąciłem dzwonek stojący na ladzie.

Chwilę potem dobiegło do mnie ciężkie szuranie butów i z zaplecza wychynął krępy jegomość w średnim wieku.

- Ładne wnętrze - powiedziałem zamiast tradycyjnego „dzień

dobry”.

- Staramy się - odparł, spoglądając na mnie nieco podejrzliwie. - W czym mogę panu pomóc?

- Jestem tu umówiony na rozmowę. Przyjechałem z Warszawy. - Podeszedłem bliżej i wyciągnąłem rękę. - Na siedemnastą, więc zostało jeszcze trochę czasu. Witold Uchmann - dodałem, gdy mężczyzna uściśnął moją dłoń.

- Proszę więc znaleźć sobie jakieś wygodne miejsce, bo do piątej faktycznie jeszcze prawie dwie godziny. - Nie przedstawił się, ale spojrzał na mnie odrobinę mniej nieufnie. - Herbaty? Kawy?

- Kawy, jeśli można.

W czasie, gdy właściciel (po jego zachowaniu wnosilem, że nie może to być nikt inny) przyrządzał dla mnie lavazze z ekspresu, obszedłem pomieszczenie, uważnie przyglądając się obrazom wiszącym na ścianie. Okazało się, że wcześniej nie dostrzegłem kilku całkiem niezłych fotografii. Gdy mężczyzna podał kawę, powiedziałem:

- Dobre fotografie. Robił je ktoś z miejscowych?

- Tak, czasem lubię poszwędać się po okolicy z aparatem. - Obojętny wyraz jego twarzy się nie zmienił, ale w oczach wyraźnie dostrzegłem radość, jaką sprawił mu komplement.

Usiadłem przy stole, niedaleko ciepłego pieca. Gospodarz dorzucił do niego kilka drewnianych polan, po czym rzekł:

- Chętnie bym z panem posiedział, ale mam dziś huk roboty. - Zwróciłem uwagę, że mówi z sympatycznym, wschodnim akcentem. - Gdyby czegoś było potrzeba, niech pan woła dzwoniem. A jakby się drewno wypaliło, to proszę dorzucić.

Podziękowałem i usiadłem w kącie, wsłuchując się w cichnące kroki i jakąś nową, skoczną melodię. Miałem nadzieję, że nie będę musiał długo czekać na Piaseckiego.

Mniej więcej kwadrans po czwartej spokojne wnętrze zostało nawiedzone przez hałaśliwą rodzinę z dwójką kilkuletnich dzieci. Fakt ten przyjąłem z niechęcią, ponieważ całkiem miło siedziało mi się samotnie w miejscu, w którym czas zdawał się zawracać. Wrzaski dzieciarni zagłuszyły muzykę, a ja coraz częściej spoglądałem na zegarek.



Zaczynałem się niecierpliwić. Zastanawiał mnie ktoś, kto był na tyle zdeterminowany, aby bez wahania ściągnąć na to odludzie dziennikarza z Warszawy. Było to tym bardziej intrygujące, że - co wynikało z maili - moim rozmówcą miał być dość młody człowiek. Dopadły mnie też wątpliwości, czy Piasecki w ogóle się pojawi. Wcześniej o tym nie pomyślałem, ale przecież zbieżność imienia i nazwiska ze znanym twórcą kabaretowym mogła nie być przypadkowa. A może ktoś postanowił wyciąć kawał dziennikarzowi czasopisma, za którym specjalnie nie przepadał?

Jedno przynajmniej było pewne - w razie czego będę miał się gdzie zatrzymać. Wiedziałem, że w gospodarstwie, w którym się znajduję, są miejsca noclegowe. Mogłem też, do czego zachęcał właściciel zwierzyńckiego hotelu, zadzwonić na podany przez niego numer i pojawiłby się tu w krótkim czasie.

Rozbrykana rodzina zamówiła tradycyjne danie - kaszę gryczaną ze skwarkami i zsiadłym mlekiem, więc protestom rozkapryszonych dzieciaków nie było końca. Przyglądałem się im z niechęcią, gdy poczułem na sobie ciężkie, świdrujące spojrzenie.

Nie wiem, jak długo mężczyzna stał tuż przy moim stoliku. Drgnąłem. To raczej nie mógł być Piasecki; pisał o sobie jako o studencie, a człowiek, którego miałem przed sobą miał na pewno około czterdziestki. Lekko szpakowaty, pochylony do przodu, jakby cierpiał na ból kręgosłupa. Wpatrywał się uważnie w moje oczy. Nigdy bym nie zapomniał jego twarzy; wyglądała na przedwcześnie pooraną gęstą siecią zmarszczek. Przez jej prawą połowę raz po raz przebiegał mimowolny, doskonale widoczny nerwowy tik.

- Czy pan Uchmann? - zapytał cichym, ledwie słyszalnym głosem. - Z Warszawy?

Skinąłem głową.

Powoli, jakby z rozmysłem, wyciągnął przed siebie rękę.

- Piasecki - powiedział niemal szeptem. - Krzysztof.

Po uściśnięciu jego drobnej, lecz bardzo twardej dłoni, gestem wskazałem miejsce naprzeciw siebie.

- Pisał pan, że jest studentem - zacząłem, gdy usiadł. - Nie wiem,

czy... - To, co powiedziałem, nie zabrzmiało zbyt zręcznie, więc zamilkłem, aby zebrać myśli.

- Bo to prawda. Wciąż jestem studentem - rzekł po chwili.

W jego spojrzeniu było coś niepokojącego. Oczy szklily się jak w gorączce, a jednocześnie wyrażały dojmujący smutek.

Jemu również najwyraźniej przeszkadzała rozwrzeszczana rodzinka. Kilka razy miałem wrażenie, że już zbiera się, aby coś powiedzieć, gdy właśnie w tym momencie któreś z dzieciaków głośno przypominało o swojej obecności. Wreszcie, gdy byłem niemal pewien, że czeka, aż zostaniemy sami, wstałem i powiedziałem:

- Zdaje się, że w piecu już się dopala. Podłożę do ognia, a przez ten czas może sobie pójdą.

Podziękował mi uśmiechem. Zanim uporałem się ze sporej wielkości polanami, nasi sąsiedzi zakończyli posiłek i uregulowali rachunek. Zostaliśmy w pomieszczeniu sami.

- Bardzo dziękuję, że zechciał pan przyjechać - powiedział. - To dla mnie bardzo ważne...

Nie zamierzałem przerywać. Podejrzywałem, że ma mi coś bardzo ważnego do przekazania (a przynajmniej tak mu się zdaje). Miałem nadzieję, że będzie to coś, co i ja uznam za istotne. Drewno w piecu właśnie się zajęło i ogień zaczął żwawo buzować w kominie, gdy Piasecki sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki.

- Tak naprawdę napisałem do pana na prośbę mojego przyjaciela. On nie mógł się zdobyć na to, żeby komukolwiek powiedzieć o tym, co się tam wydarzyło. Jedyne, co mógł zrobić, to poprosić mnie, żebym komuś przekazał... Mój przyjaciel myśli, że dla nich to jedyny ratunek...

- Dla nich? - Nic z tego nie rozumiałem. Przesunął w moim kierunku brulion.

- Proszę to przeczytać.

Najpewniej wyczytał w moich oczach zaskoczenie, gdyż natychmiast dodał:

- Nie, nie teraz. Proszę to przeczytać, gdy będzie miał pan chwilę czasu. Może dziś wieczorem? Te notatki są najlepszą formą przekazu, proszę mi wierzyć.

- Czy to od pańskiego przyjaciela?

- Tak. - Jego wzrok umknął gdzieś w bok. - Przyjadę tu jutro. Mam nadzieję, że pan jeszcze będzie. Bardzo mi na tym zależy... Proszę...

Przez całą naszą rozmowę bacznie mu się przyglądałem. I zupełnie nie mogłem rozgryźć tego człowieka. Z jednej strony, jego niepokojąco zbyt widoczne tiki, rozgorączkowane oczy i lekko drżące ręce sprawiały wrażenie, że mam do czynienia z osobą, która może być nie do końca w pełni władz umysłowych. Z drugiej jednak strony, sposób, w jaki na mnie patrzył, zmuszał mnie do zastanowienia, czy taki właśnie odbiór Piaseckiego jest na pewno właściwy. Drugie wrażenie mimo wszystko wzięło górę.

- Dobrze - powiedziałem. - Przeczytam, ale proszę się nie spodziewać zbyt wiele. Niezbyt mi się podoba, gdy ktoś posługuje się posłańcem w takich sprawach. Tym bardziej że - z tego, co rozumiem - sprawa jest dość poważna.

- Przepraszam - odpowiedział, nagle wstając. - Dziś nie mogę zdradzić nic więcej. Do zobaczenia jutro. Bardzo na to liczę. - Wyciągnął rękę na pożegnanie, po czym szybkim krokiem ruszył w kierunku drzwi.

Byłem w izbie sam ledwie przez chwilę. Piasecki wrócił, podszedł do stolika i powiedział:

- Proszę nie wychodzić na zewnątrz. On wie, że pan przyjechał się ze mną spotkać. Widziałem go w oknie za pana plecami, gdy rozmawialiśmy. Błagam pana, niech pan nie wychodzi... Tylko pan może mi pomóc.

Odwróciłem się i spojrzałem za siebie. Podmurówka budynku nie była wysoka, więc z pewnością ktoś mógł zajrzeć do wnętrza. Chciałem zapytać o to, kto i dlaczego miałby chcieć mi zrobić krzywdę, jednak zdążyłem zauważyć tylko, jak drzwi zamykają się z trzaskiem. Usłyszałem kilka szybkich, oddalających się kroków. Piasecki najwyraźniej ruszył przed siebie biegiem. Zaraz potem dobiegi do mnie pisk opon i odgłos pracującego na wysokich obrotach silnika samochodu, który po chwili rozpląnął się w ciszy.

„Więc chyba jednak wariat” - skonstatowałem w myślach. - „Trochę szkoda...”

Sięgnąłem po brulion. Otworzyłem na pierwszej stronie i zdążyłem tylko przeczytać napisany dużymi literami tytuł „Słoneczna Dolina”. Do izby wtoczył się właściciel gospodarstwa i zapytał, czy może przy- siąść się do mojego stolika.

## 7.

Nikt nie zakłócał nam spokoju. Przesiedzieliśmy w pachnącym dymem pomieszczeniu dobre cztery godziny. Janek okazał się niezwykle wdzięcznym rozmówcą. Miał rzadki w dzisiejszych czasach dar opowiadania, więc z przyjemnością zatopiłem się w przekazywany przez niego klimat zagubionej gdzieś na końcu świata wsi. Okazało się też, że trunek własnej roboty, nazywany przez niego „Świeżością poranka”, bardzo pozytywnie wpływał na tok naszej konwersacji.

Spotkanie tego człowieka dało mi o wiele więcej, niż mógłbym się spodziewać. Janek nie wychował się w Guciowie; kilka lat wcześniej uznał, że jest to świetne miejsce na założenie gospodarstwa agroturystycznego i sprowadził się tu wraz z rodziną. Kiedy kończyliśmy nasze posiedzenie, znałem zapewne większość miejscowych historii i legend. Nie było wątpliwości, że zostanę w tym miejscu przynajmniej na jeden nocleg. Zdaje się, że tego właśnie potrzebowałem - dobrej, przyjaznej rozmowy z dala od wielkomiejskiego huku.

- Słyszałeś może o Słonecznej Dolinie? - zapytałem w pewnym momencie.

Popatrzył na mnie, jakbym się urwał z choinki.

- Witek, przecież każdy tutaj o niej słyszał. To rzut beretem stąd, tuż za wzgórzem. Niezwykłe miejsce, musisz się tam wybrać.

Moje pytanie okazało się strzałem w dziesiątkę. Cieszyłem się, że Piasecki zostawił mi brulion kolegi. Był przynajmniej jakiś punkt zaczepienia do kolejnej opowieści Janka.

- O Słonecznej krążą legendy. Ja oczywiście w nie nie wierzę -

zastrzegł - ale miejscowi opowiadają, że ponoć kiedyś była tam wieś, po której nic nie zostało. Czasem tylko można wyorać jakiś kamień z fundamentu czy kawałek chałupy. Jest tam też wzgórze, na którym podobno stał kiedyś kościół. Jeden z gospodarzy zarzekał się, że czasem słychać jeszcze bicie dzwonów z przykościelnej dzwonnicy kościoła w Starzyźnie...

- Starzyźnie?

- Starzyzna. Tak ponoć nazywała się ta wieś, ale zdaje się, że jej mieszkańcy nieźle nabroili, bo wszystko, razem z kościołem, zapadło się pod ziemię.

- Brzmi nieźle - powiedziałem. - Faktycznie muszę się tam wybrać. Ale to już nie dziś - uśmiechnąłem się. - Dziś przydałby mi się tylko prysznic i jakieś wygodne łóżko.

Zbliżała się dwudziesta pierwsza. Czuję się już trochę zmęczony, a poza tym byłem ciekaw zawartości brulionu.

- Nie ma problemu - powiedział gospodarz. - Chodźmy, pokażę ci twój apartament.

Wzięłem torbę i przeszliśmy przez podwórze do stojącego obok budynku, w którym mieściły się pokoje gościnne.

Miałem zamieszkać na poddaszu. W korytarzu znajdowała się ogólnodostępna łazienka z prysznicem. Mój pokój był urządzony skromnie, ale schludnie. Były w nim dwa łóżka, szafa i stoliki, na których stały nocne lampki. Na drewnianej podłodze leżał gustowny dywanik, co wzmacniało uczucie przytulności.

- My mieszkamy kawałek stąd - powiedział Janek, wręczając mi klucz. - Jakies dwieście metrów, po drugiej stronie drogi. Gdybyś czegoś potrzebował, daj znać, ale mam nadzieję, że wszystko, co niezbędne, jest na miejscu. Nie zapomnij o śniadaniu - będzie gotowe na ósmą.

Zaraz potem zostałem w budynku sam. Jeszcze przez jakiś czas przez małe okienko wpadało światło, sączące się od strony gospodarstwa, jednak wkrótce i ono zgasło. Zapewne gospodarze udali się na zasłużony odpoczynek i zamierzałem zrobić dokładnie to samo.

Po „Świeżości poranka” kręciło mi się nieco w głowie, ale nie na tyle, abym nie dał rady zagospodarować się w pokoju.

Wypakowałem rzeczy z torby i poszedłem do łazienki wziąć szybki prysznic. Wracając, zgasiłem światło na korytarzu. Rozebrałem się, zapaliłem nocną lampkę i położyłem do łóżka.

Panowała niczym niezmacona cisza, jedynie z oddali dobiegało stłumione ujadanie wiejskich psów. Przez dłuższą chwilę wahałem się, czy sięgnąć po brulion, który wcześniej położyłem na stoliku. Ostatecznie stwierdziłem, że zapoznam się z jego treścią następnego dnia. Wyłączyłem lampkę.

Myślałem, że sen przyjdzie natychmiast, jednak dopadły mnie myśli dotyczące pracy; po mile spędzonym wieczorze byłem już niemal pewien, że dam sobie z nią spokój. Takie miejsca, jak to, w którym się znajdowałem, były tego warte. Zdałem sobie sprawę, jak wiele traciłem, tkwiąc przez lata w dusznej redakcji. Pomyślałem o Piaseckim i byłem mu wdzięczny, że dzięki niemu znalazłem się na nieznanym dotąd Roztoczu. Ciekaw byłem, czy przyjedzie następnego dnia. Z jego zachowania wnosiłem, że raczej się na to nie zdecyduje. Uspokojony tą myślą, powoli zacząłem zapadać w płytki sen, z którego wybudził mnie cichy dźwięk.

Nie byłem pewien, lecz wydawało się, że doszedł on z dołu. Leżałem w ciemności, zastanawiając się, czy się nie przesłyszałem. Zaraz potem przekonałem się, że słuch mnie nie zawiódł.

Wchodziliśmy z Jankiem po drewnianych, skrzypiących schodach. Teraz ich dźwięk nie pozostawił mi wątpliwości; nie byłem w budynku sam - ktoś wspinał się, starając się zachowywać jak najciszej. Zaraz potem usłyszałem na korytarzu kroki osoby obutej najprawdopodobniej w ciężkie kamasze. Ktoś po drugiej stronie zatrzymał się przy moich drzwiach. W ciemności nie widziałem klamki, ale usłyszałem, jak ktoś delikatnie ją naciska.

Leżałem, zastanawiając się, czy to może Janek urwał się swojej połowicy i postanowił wysuszyć ze mną jeszcze jedną flaszkę „Świeżości poranka”...

- Janek? - zapytałem, jednocześnie zapalając nocną lampkę.

Naciśnięta klamka znieruchomiała. Wstałem i ruszyłem do

drzwi. Osoba po drugiej stronie puściła klamkę i usłyszałem oddalający się po korytarzu odgłos ciężkich butów. Na tyle szybko, na ile pozwalało mi kalectwo, wypadłem na zewnątrz i zapaliłem światło na korytarzu. W ostatniej chwili dostrzegłem sylwetkę mężczyzny zbiegającego po schodach.

Zszedłem na dół i zamknąłem drzwi, które pozostawił otwarte na oścież, po czym starannie zasunąłem ciężki, stalowy skobel.

Gdy wróciłem do łóżka, senność minęła bezpowrotnie. Oddychałem ciężko i trwało chwilę, zanim przestałem słyszeć krew pulsującą mi w skroniach. Serce jeszcze przez długą chwilę nie mogło się uspokoić, powodując lekkie pieczenie tuż za mostkiem.

Janek liczył najwyżej metr siedemdziesiąt, a Piasecki, chociaż nieco wyższy, był bardzo szczupły. Mężczyzna zbiegający po schodach był potężnie zbudowany i mierzył około dwóch metrów wzrostu. Gdyby zechciał, udusiłby mnie jedną ręką.

O zaśnięciu nie było mowy. Stale nasłuchiwałem odgłosów z dołu, a dla zabicia niespokojnych myśli wziętem do ręki leżący na stoliku brulion.

# Słoneczna Dolina

## I

Stary siedział na drewnianym krześle, wspierając się obiema dłońmi o akacjową laskę. W mglistej poświacie, z trudem przenikającej przez noc i zmatowiałą szybę, raz po raz łyssało miedziane wahadło wielkiego, drewnianego zegara. Gdyby nie ten przedwojenny sprzęt, mozolnie odmierzający sekundy, w pomieszczeniu nie dałoby się zauważyć żadnego ruchu. Trześniowski zdawał się upodabniać do otaczających go dębowych mebli. Trwał przy stole, jak dziwny, nikomu niepotrzebny posąg. Wreszcie drgnął, wydając z siebie ciche stęknienie. Mimo że niecierpliwie czekał na uderzenie zegara, to skrzypiący mechanizm i tak go zaskoczył, powodując mimowolny skurcz zwiotcziałych mięśni.

Do północy pozostało już tylko pół godziny, więc podniósł się, oparł laskę o stół i powoli zaczął zakładać wojskowy płaszcz. Potrącony nieostrożnym ruchem akacjowy kostur zsunął się po gładkiej krawędzi blatu i z głośnym stukotem upadł na podłogę. Trześniowski zamarł.

- To ty, ojcze? - dobiegło zza zamkniętych drzwi, prowadzących do kolejnego pokoju.

- Śpij, Helenko. Przepraszam, niedołęga ze mnie.

Po chwili dziewczyna odezwała się ponownie:

- Wychodzisz, prawda?

- Prawda.

- Przecież wiesz, że to na nic...

- Na nic albo i nie na nic - burknął bardziej do siebie niż do córki. - A tobie nic do tego - powiedział głośniej, siłąc się na stanowczość. - Śpij już, powiedziałem.

- Wiesz, że Oni...



- Wiem - uciął gwałtownie. - Niedługo będę z powrotem.

Wyszedł do sieni i pewnie ruszył kamiennymi stopniami w dół.

Zamykając za sobą drzwi wejściowe, stwierdził, że pogoda przez ostatnie kilka godzin zdecydowanie się pogorszyła. Postawił kołnierz płaszcza i ruszył w noc. Przypomniawszy sobie, że laska, którą się miał podpierać, została w domu, ale nie chciał wracać, żeby znów nie usłyszeć narzekań córki. Zresztą, przecież nie miał aż tak bardzo daleko. Wyszedł na piaszczystą drogę i skierował się w stronę kościoła, widocznego na ciemniejszym tle lasu.

Przez cały ten czas dokładnie obliczał fazy księżyca, choć od roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego nie widział go ani razu. Nikły blask spływający na okolicę był wystarczający, aby nieco rozjaśnić otoczenie. Trześniowski wiedział, że gdzieś tam, za grubą warstwą szarego powietrza, księżyc jest w okolicach pełni.

Szedł pomiędzy przysadzistymi, drewnianymi budynkami. Cała wieś liczyła dwanaście zagród, w większości postawionych niedługo przed drugą wojną. Trzy z nich zrujnował czas. Kościół znajdował się na samym końcu miejscowości. Drewniana bryła świątyni od dwustu lat strzeżona była pilnie przez rozłożyste dęby, które ściśle otaczały największą we wsi budowlę. Nawet teraz, choć pozbawione liści, groźnie wyciągały ku górze swoje rosochate pięści, jakby grożąc ewentualnym napastnikom.

Mężczyzna zatrzymał się tuż przed kościelną bramą. Popatrzył na prawo, ku zrujnowanemu budynkowi plebanii i westchnął bezgłośnie, po czym usiadł na małej ławeczce ustawionej tuż obok bramy. Czekał na nadejście północy.

Przypomniawszy sobie to, co przed kilkoma minutami powiedziała jego córka, i delikatny dreszcz przebiegi mu po plecach. Nie pozwolił jej skończyć, ale dokładnie wiedział, co miała na myśli.

Wysłuchał się w dźwięki rozlegające się wokół. Usłyszał jedynie szelest bezlistnych gałęzi i szmer przeciskającego się pośród nich wiatru. Każdy mieszkaniec wioski wiedział, że noc, to Ich czas, a okolice kościoła, to Ich rewir. Ale stary nie bał się aż tak bardzo, żeby nie spełnić swojego obowiązku. Wiedział wprawdzie, że

córka miała rację - równie dobrze mógł zostać w domu, a wszystko przebiegłoby dokładnie tak samo. Tyle że nie potrafił inaczej.

„Starzy ludzie mogą mieć swoje dziwactwa” - usprawiedliwił się w myślach.

Jeśli przez te wszystkie lata nie pomylił się ani razu, był trzynasty kwietnia dwa tysiące pierwszego roku. Od lat, w Wielki Piątek, przychodził w to miejsce i siadał na tej samej drewnianej ławce. Za każdym razem miał absurdalną nadzieję, że wreszcie coś się zmieni.

Zrobiło się jeszcze odrobinę jaśniej, a wiatr przycichł nagle, jakby wyczekując. Od strony przykościelnej dzwonnicy dał się słyszeć cichy dźwięk sygnaturki. Najpierw dwa nieśmiałe uderzenia, potem kolejne. Chwilę później dołączył do niej średni dzwon, aż wreszcie w noc popłynął też pierwszy zaśpiew największego, zwanego Świętym Józefem. Cała dolina wypełniła się harmonijnymi, miarowymi uderzeniami, zwielokrotnionymi niosącym się po okolicy echem.

Stary spojrzął za siebie. U stóp dzwonnicy nie zauważył nikogo. Sznury szarpane ciężarem dzwonów podrygiwały i wiły się w takt rozbrzmiewających dokoła dźwięków. Przypomniał sobie pierwszy raz, kiedy czterdzieści dziewięć lat wcześniej, tuż przed północą, dzwony zagrały w Wielki Piątek nad wsią. Zagrały w dniu, w którym Chrystus leży złożony w grobie i wszędzie słyhać jedynie odgłos kołatek, w dzień, gdy dzwony mają obowiązek milczeć. Wtedy większość mieszkańców wybiegła z domów, aby zobaczyć, kto dopuścił się takiego świętokradztwa. Tak się zaczęło. .. Dziś w to miejsce przychodził już tylko sołtys, jakby spełniając swój gospodarski obowiązek. I zawsze widział to samo - dzwony bijące w niezrozumiały sposób, bez niczyjej pomocy.

Kilka metrów na lewo od dzwonnicy, z pochyloną głową i rękoma opuszczonymi wzdłuż tułowia, stała nieruchoma postać. Czarna szata spływała do samej ziemi, zakrywając buty. Stary nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widział go z tak bliska, o ile w ogóle kiedyś... Wstał z ławki i powoli zaczął się cofać w

kierunku domu. Gdy oddalił się na - jak się zdawało - dość bezpieczną odległość, odwrócił się i zaczął iść tak szybko, jak tylko pozwalał na to artretyzm i sędziwy wiek.

Zanim doszedł do domu, zdążył porządnie się zasapać. Wiedział, że to nie było rozsądne. Z Nimi przecież nigdy nic nie wiadomo, a na pewno złego lepiej nie kusić. Kto wie, co by było, gdyby w porę nie zauważył mrocznej sylwetki... Nagle stanął jak wryty i natychmiast zapomniał o zdarzeniu, które miało miejsce przy kościele. Ich przecież widywał od czasu do czasu, ale takiego światła, jakie wypełniło wlot doliny, nie widział od bardzo dawna. Dokładnie rzecz ujmując, tak mocnego światła nie widział od „wtedy”.

Dzwony powoli milkły. Sygnaturka ucichła zupełnie, a dwa pozostałe jeszcze odzywały się od czasu do czasu, każdym razem uderzając ciszej. Wreszcie Święty Józef przemówił po raz ostatni tego wieczora i nad doliną znów zapanowała cisza.

Światło zgasło, ale Trześniowski był pewien, że to nie było przywidzenie. Do domu miał dosłownie kilka kroków. Ze skrytki umieszczonej ponad niskim wejściem do stodoły wydobył karabin, który przechowywał od czasów wojny. Ponownie wyszedł na drogę i rozpoczął kolejny marsz - tym razem w kierunku wlotu doliny.

## II

Był jeszcze pomiędzy zabudowaniami, gdy usłyszał trzask, coś w rodzaju cichego wystrzału. Przystanął przestraszony i niedługo potem odgłos się powtórzył. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wrócić do wsi po posiłki, ale zrezygnował z tego pomysłu, bojąc się reakcji sąsiadów, gdyby wszystko miało okazać się wytworem jego wyobraźni.

Dzięki rozproszonemu blaskowi, padającemu z góry, nie było całkiem ciemno, więc Trześniowski uznał, że lepiej będzie, gdy zejdzie z drogi i pójdzie lasem, który z prawej strony ograniczał piaszczysty trakt. Nie miał zamiaru dać się zaskoczyć. Znał

okolice jak własną kieszeń i mógłby się tu poruszać nawet z zamkniętymi oczyma. Obawa, którą odczuwał przy kościele, zupełnie znikła, a przyspieszone bicie serca spowodowane było wyłącznie szybkim marszem. To, co odczuwał, mógłby nazwać raczej ekscytacją połączoną z wielką ciekawością. Od dziesiątków lat nikt nie pojawił się w tym miejscu.

Po kilku minutach uznał, że szedł wystarczająco długo i powinien już zacząć uważnie wypatrywać źródła światła, które widoczne było niedawno u wlotu doliny. Ostrożnie stawiał kroki, aż wreszcie, pomiędzy drzewami, zobaczył biały kształt, mniej więcej wielkości furmanki. Przyglądał mu się przez jakiś czas i przypomniał sobie, że kiedyś, dawno temu, widział coś podobnego na wojnie, a potem parę razy, gdy był na targu w Zwierzyńcu. Nie potrafił sobie przypomnieć nazwy tego urządzenia. Zresztą nic dziwnego, przecież minęło już niemal pół wieku.

Zakradł się na jakieś trzy metry i wtedy, dwa razy z rzędu, nadepnął na suche patyki leżące w ściółce. Zobaczył, że za szybą coś się poruszyło. Trwał jak słup soli, dopóki ruch w białej maszynie nie ustał. Gdy to nastąpiło, rozejrzał się wokół. Dwa kroki od niego leżał gruby pień przewróconego drzewa.

Trześniowski, najciszej jak to możliwe, przemieścił się w jego kierunku. Usiadł na wprost stojącej na kołach maszynierii, położył karabin na kolanach i zastygł w oczekiwaniu na rozwój wypadków.

\*

Nie miał pojęcia, jak długo siedział bez ruchu. Wychodząc z domu, nie spodziewał się, że tyle czasu spędzi na zewnątrz, więc nie był ubrany zbyt ciepło. Na szczęście, sfatygowany wojskowy płaszcz, służący mu jeszcze od czasów wojny, wciąż stanowił przyzwoitą ochronę przed przymrozkiem, który spłynął na okolice. Ochrona ta nie była jednak na tyle skuteczna, aby siedząc bez czapki, rękawic i w cienkich tylko spodniach, nie zaczął wreszcie drżeć z zimna.

Po kolejnej godzinie trwania w bezruchu trząśnięcie już na całym

ciele. Co gorsza, karabin, trzymany na kolanach, od czasu do czasu wydawał szcęknięcia, które stary odczuwał jako zdecydowanie za głośne.

Powoli zaczynało dnieć i Trześniowski był całkowicie skostniały, gdy usłyszał hałas. Powiódł wzrokiem w poszukiwaniu jego źródła i spostrzegł, że drzwi z boku maszyny się otworzyły, a ze środka wychodzi najwyżej dwudziestokilkuletni chłopak.

Trzasnęła drzwiami (stary w ten sposób dowiedział się, jakie było źródło słyszanych wcześniej wystrzałów) i postąpił dwa kroki w kierunku pnia, na którym siedział Trześniowski, który w tym samym czasie, nie wykonując gwałtownych ruchów, wycelował karabin w intruza. Gdy ten zaczął rozpinąć spodnie, w lodowatym powietrzu rozległo się ciche, ale bardzo stanowcze:

- Nie ruszaj się.

Chłopak natychmiast popatrzył w kierunku nieruchomej postaci mierzącej do niego z karabinu. W jego oczach pojawił się paniczny strach.

- Coś ty za jeden i jak żeś się tu znalazł - ton głosu Trześniowskiego, cichy i monotony, nie zmienił się ani na jotę.

Młody zaczął poruszać ustami, jednak nie potrafił wydobyć z nich dźwięku. Wreszcie wyskrzecztał:

- Z sa...samochodu wy...wysiadłem, żeby się załatwić.

- Żebym ja cię zaraz nie załatwił. W Starzyźnie skąd żeś się znalazł. Głupiś czy jaki? - Trześniowski podniósł nieco głos.

- Gdzie? - Chłopak popatrzył na niego zaskoczony.

- W dupie - mruknął pod nosem stary, bardziej do siebie niż do głupka, który wpatrywał się w niego już nie tylko ze strachem, ale też z lekkim zdziwieniem.

- To ten las się tak nazywa? - zapytał młody. - Nie wiedziałem, pan w mundurze, pewnie leśniczy, ja wiem, że tu niedaleko jest Roztoczański Park Narodowy, ale nie sądziłem, że już tu - terkotał jak nakręcony. - Myślałem, że można tu wjeżdżać samochodem, nie widziałem zakazu...

- Jak się nazywasz?! - przerwał zniecierpliwiony Trześniowski.

- Rafał. Rafał Gielmuda, w samochodzie mam dowód, zaraz go przyniosę. - Zrobił ruch, jakby się miał zamierzać odwrócić.

- Stój - warknął stary. - To jest samochód, tak?

- Kiwnął lufą karabinu za plecy chłopaka.

Rafał przez chwilę stał i wpatrywał się w mierzącego weń mężczyznę. Wreszcie, jakby zrozumiał.

- Proszę, niech pan weźmie auto, ja nikomu nic nie powiem, tylko proszę mnie nie zabijać - jego głos zaczął się łamać, a oczy wpatrzone były w czarny wylot lufy karabinu.

- Błagam! Oddam panu wszystkie pieniądze, jakie mam, tylko proszę mnie zostawić w spokoju...

Trześniowski na słowo „pieniądze” prawie się roześmiał. Opuścił karabin i powiedział:

- No już, dosyć. Nic ci nie zrobię. Nie chcę twoich pieniędzy ani, tego tam, jak mu tam, samochodu, dobrze mówię? Tylko powiedz, jak żeś tu trafił.

- I potem będę mógł odjechać? - Trochę uspokoiony chłopak przeniósł wzrok z karabinu na twarz starego.

- Tak. Potem będziesz mógł odjechać.

### III

Dzień powoli budził się do życia i zabijał delikatne światło księżycy ukryte w koronach najwyższych drzew. Pomiedzy pniami bieliła się gęsta mgła, łagodnie osadzając szadź na niskich krzewach i leśnej ściółce.

Rafał chciał się oddalić w głąb lasu za potrzebą, lecz stary mu na to nie pozwolił, tylko rozkazał załatwić sprawę tuż obok samochodu. Tymczasem Trześniowski mocno tupał nogami w ziemię i, trzymając pod pachą karabin, z całych sił rozcierał dłonie, aby przywrócić krążenie zziębniętym kończynom. Nawet przez myśl mu nie przeszło, że mógłby strzelić do młodego, gdyby ten rzucił się do ucieczki, jednak wciąż mówił do niego ostrym, nieznoszącym sprzeciwu tonem. Najważniejsze teraz było dowiedzieć się, jak chłopak się znalazł w tym miejscu, a gdyby ten uciekł, zagadka mogłaby nigdy nie zostać rozwiązana.

- Jadę z Lublina do Krasnobrodu na święta - powiedział

Gielmuda, odwracając się w stronę Trześniowskiego. - W Zwierzyńcu wysadziłem kolegę, który stamtąd pochodzi. Jak dojeżdżałem do Guciowa, to zasnąłem za kierownicą i bałem się, że nie dam rady dojechać do domu, dlatego zjechałem z drogi, żeby się trochę zdrzemnąć..

Stary przestał słuchać. Nazwy miejscowości, które wymieniał chłopak, były znajome, ale jakże odległe; Trześniowski dałby wszystko, żeby móc choć na chwilę znaleźć się w Guciowie albo w Zwierzyńcu.

Z zamyślenia wyrwała go cisza i wyczekujące spojrzenie Rafała.

- To jak będzie? - zapytał Gielmuda.

- Ale z czym?

- No, czy mogę już sobie jechać...

- Chodź ze mną. Coś ci pokażę.

Oczy Rafała zrobiły się okrągłe z przerażenia. Był pewien, że zrobił błąd, mówiąc staremu prawdę.

- Błagam, niech pan mi nie robi nic złego - powiedział wreszcie ze łzami w oczach.

- A ten w koło Macieju swoje - mruknął zrezygnowany Trześniowski, po czym wyjął nabój z komory karabinu i schował go do kieszeni. - Jak chcesz, możesz uciekać.

Jeszcze zanim skończył mówić, Rafał rzucił się biegiem w kierunku, z którego przyjechał. Gdy mijał drewniany krzyż i wbiegał na kamienisty dukt, usłyszał za plecami głos starego:

- Trochę tu na ciebie poczekam! Ale nie za długo!

„Czekaj, czekaj, dziadu jeden... Zaraz tu się zjawię z policją” - myślał chłopak. Biegając, wyjął z kieszeni telefon komórkowy, lecz ten, nie dość, że wskazywał brak zasięgu sieci, to nawet nie dawał możliwości połączenia się z numerami alarmowymi. Gielmuda odwrócił się i upewnił, że ze strony napastnika nie grozi mu już niebezpieczeństwo. Uspokojony, spojrzął przed siebie i aż przystanął. Albo pomylił drogę, albo od wczoraj, kiedy tędy jechał, miejsce zmieniło się nie do poznania.

Droga była tak wąska, że nie wiedział, czy dałby radę przejechać nią samochodem. Po obu jej stronach leżało mnóstwo poćcinanych drzew, których nocą nie widział. Ten fakt mógł

jeszcze sobie wytłumaczyć sennością i ciemnościami, ale to, co zobaczył kilkadziesiąt metrów dalej, zupełnie zbiło go z tropu. Za zakrętem, w poprzek drogi, piętrzyła się sterta licząca jakieś dwadzieścia, może trzydzieści dokładnie okrzęsanych i najwyraźniej przeznaczonych do transportu pni.

Rafał obszedł stos, przyglądając mu się z niedowierzaniem. Ponieważ chwilę wcześniej dokładnie obejrzał okolicę i był pewien, że idzie w dobrym kierunku, nawet podszedł do leżącego najbliżej niego kloca, aby go dotknąć i sprawdzić, czy to nie są jakieś przywidzenia. Pień był oszroniony, zimny i jak najbardziej realny. Chłopak ruszył dalej.

Szedł cały czas wąską, piaszczystą drogą. Ukształtowanie terenu, a w szczególności bardzo dobrze widoczny z tyłu po prawej stronie garb, wyraźnie wskazywało na to, że za chwilę powinien ujrzeć podmurowany, drewniany budynek. Przeszedł kilkadziesiąt kroków, ale nie było ani budynku, ani asfaltowej szosy, z której zjechał tuż przed północą. Droga prowadziła dokładnie na wprost. Gielmuda szedł nią, uważnie rozglądając się dookoła. Dotarł wreszcie do rzeki, którą rozpoznał jako płynący przez Guciów Wieprz. W tym miejscu wyjeżdżony, piaszczysty trakt rozszerzał się i kończył. Po drugiej stronie były tylko gęste, wierzbowe zarośla.

Rafał nawet miał wrażenie, że poznaje niewielkie, niezalesione obniżenie terenu, bardzo charakterystyczne dzięki niepowtarzalnie meandrującej tu rzece. Tyle że była to jedyna znajoma rzecz w miejscu, w którym bywał od dzieciństwa.

Szczypiąc się w rękę, patrzył na boki, jakby w obawie, aby nikt go nie zobaczył. Uśmiechnął się pod nosem, gdy uświadomił sobie absurdalność tego zachowania.

Rzeczywiście, wielkie znaczenie ma to, czy ktoś we śnie weźmie mnie za wariata - pomyślał. Po chwili uśmiech zniknął. Pozostał ból po uszczygnięciu i przejmujący chłód. I facet z karabinem stojący na jedynej możliwej do wybrania drodze.



## IV

- No i co, nie bałżeś się wrócić? - krzyknął stary, gdy zobaczył Rafała wyłaniającego się z mgły.

- Chyba nie miałem wyboru. Zresztą, skoro pozwolił mi pan uciec, to raczej nie mam się czego obawiać. Guciów zniknął.

Trześniowski spojrział w oczy chłopaka i z trudem powstrzymał się od parsknięcia śmiechem. Ton, jakim młody wypowiedział ostatnie słowa, bynajmniej nie licował z ich treścią.

- Może mi pan wytłumaczyć, o co chodzi? Gdzie się podziała asfaltowa szosa, z której zjechałem w nocy? Kto ułożył w nocy tę stertę drzew na środku leśnej drogi? Co się stało z Guciwem, gdzie są domy? O co tutaj biega?

- Biega? - stary odruchowo powtórzył ostatnie słowo.

- Nic z tego nie rozumiem - Rafał zignorował pytanie. Wpatrywał się w Trześniowskiego nic nierozumiejącym wzrokiem. - Co tu jest grane, do cholery?!

- Wiesz co, synu? Po pierwsze, nie podnoś głosu, jak do mnie mówisz. - W głosie mężczyzny wyraźnie zabrzmiała nuta irytacji.

Po chwili ciągnął dalej : - Nie wiem, skąd i w jaki sposób żeś się tu znalazł. Zastanawiam się nad tym od dobrych kilku godzin, ale na razie nic mądrego nie przychodzi mi do głowy. Powiem ci tylko, że czegoś takiego nie było od dawna. Od bardzo dawna. Będziem musieli się nad tym zastanowić, ale później. Teraz jestem zmęczony, więc idę do domu się przespać.

Gielmuda patrzył na nieznajomego w wojskowym płaszczu i czuł, jak gdzieś w środku, w najgłębszych zakamarkach świadomości, rodzi się paraliżujący strach. Starał się spokojnie oddychać, jednak czuł, że tętno zaczyna pulsować w szalonym tempie.

- Co się stało z Guciwem? - zapytał cicho.

Stary patrzył na niego wzrokiem, który nie uspokajał. W tym wzroku były widoczne bezradność i strach, nieudolnie skryte pod maską kamiennej twarzy. Oczy mężczyzny zdradzały wszystko. Wreszcie spuścił wzrok.

- Guciów zniknął. Nie ma go i nie będzie. Nie ma Zwierzyńca, nie

ma i twojego Krasnobrodu...

- To sen, prawda? Niech pan powie, że to wszystko mi się śni, a zaraz się obudzę w swoim samochodzie, dobrze? Niech pan tak powie...

Chłopak stał i wpatrywał się w twarz Trześniowskiego. Ten ponownie popatrzył na Rafała i powiedział:

- Mam w domu wolną izbę, będziesz mógł się tam przespać. Po to żem na ciebie czekał, cobyś mógł ze mną pójść. W lesie se nie poradzisz, więc w końcu i tak byś przyszedł do Starzyzny. Tyle że boję się, co powiedzieliby inni, jak zobaczyliby obcego. Lepiej, jak pójdziem razem. Tylko najszpanierw trza byłoby coś zrobić z tym, no... - Pokazał kciukiem za siebie, w kierunku bielejącego kształtu auta.

- Ale co możemy z nim zrobić? - spytał chłopak.

- Schować go trza. Chodź, pokażę dobre miejsce.

Odeszli kilkanaście kroków od auta i stary wskazał chłopakowi wąską, ciemną dróżkę. Wyglądała na mało uczęszczaną, a w dodatku kilka metrów od głównego traktu zaczynała się wić wśród gęstwiny niewielkich krzewów.

- Wjedź tu - powiedział Trześniowski. - Może potem przyjdziem i pomyślim nad tym, jak go lepiej skryć. Teraz nie ma na to czasu.

Rafał szybko cofnął auto we wskazane miejsce, po czym wyjął z niego torbę i stanął obok starego.

- Możemy iść - powiedział.

Nie wiedział, dokąd poprowadzi go tajemniczy mężczyzna, ale wiedział jedno - było to lepsze od bezradnego stania przy samochodzie. Przynajmniej mieli gdzieś iść, miało się coś dziać. Coś, co dawało szanse na odciążenie od całej sytuacji zdezorientowanych myśli. „Przecież wszystko się wkrótce wyjaśni” - myślał.

## V

Przebyli niewiele ponad sto metrów, kiedy Rafał poczuł, że idzie mu się bardzo trudno. Początkowo myślał, że kłopoty z

oddychaniem spowodowane są strachem i gwałtownym biciem serca, jednak teraz był pewien, że jest jakaś inna tego przyczyna. Z trudem nadążał za idącym przed nim mężczyzną. Wreszcie, tuż przed rysującą się przed nimi wśród drzew otwartą przestrzenią, musiał poprosić o chwilę odpoczynku. Położył torbę na ziemi, pochylił się, wsparł dłonie o kolana i oddychał ciężko.

- U nas niewiele powietrza - powiedział Trześniowski, przypatrując się chłopakowi. - Ale chyba będziesz musiał przywyknąć.

- Niewiele powietrza? - wysapał Gielmuda, podnosząc wzrok. - Co pan opowiada, przecież wokół jest tyle lasów, że tlenu na pewno tu nie brakuje...

- Głupiś - przerwał mu stary i ruszył naprzód. - Zresztą sam się przekonasz - dodał jeszcze, nie odwracając się. - Wielu rzeczy nam brak i akurat do braku powietrza się przyzwyczaić najłatwiej.

Po chwili Rafał znów szedł tuż za Trześniowskim. Zaraz potem wynurzyli się z lasu i znaleźli na otwartej przestrzeni.

Gielmuda znów przystanął, a torba wysunęła mu się z dłoni i głucho uderzyła o oszronioną ziemię.

Doskonale znał to miejsce. Słoneczna Dolina stanowiła jeden z ulubionych celów wycieczek rowerowych, które odbywał wspólnie z przyjaciółmi w czasach liceum. Przyjeżdżali tu, aby spędzać całe dni na rozległej przestrzeni otoczonej lasem i wzgórzami porośniętymi dziką, wysoką trawą. Nikt nigdy ich tu nie niepokoił. Najbliższe zabudowania należały do Guciowa i znajdowały się prawie dwa kilometry stąd, za wyniosłym, dość stromym grzbietem, którego pokonanie wymagało nie lada wysiłku. Niczego nie był tak pewien, jak faktu, że na tym spokojnym, rozległym terenie nigdy nie widział żadnego domu. A jednak miał przed sobą wieś liczącą kilkanaście zabudowań.

Gęsta mgła ścieliła się u stóp drewnianych domów, sięgając mniej więcej dolnej krawędzi okien. Niezwykły to był widok - skupisko budynków wyglądało tak, jakby dryfowało w białym oceanie. Z jednego z kominów wydobywał się jasny dym. Wieś wyglądała przez to jeszcze bardziej magicznie, jak grzbiet pływającego w mglistej zawieszynie wieloryba, który wyrzucał z

siebie białą, mleczną fontannę, wędrującą wprost do niewidocznego nieba.

Stary stał kilka kroków z przodu, czekając, aż Rafał otrząśnie się z pierwszego wrażenia. Wreszcie chłopak schylił się po bagaż, po czym podszedł do swojego przewodnika.

- Film tu kręcicie, czy co? - spytał.

- To jest Starzyzna. Jak jesteś z Krasnobrodu, to pewnie żeś o niej słyszał.

- Starzyzna?

Trześniowski nie odpowiedział. Przyglądał się tylko młodemu z rosnącą irytacją. Wreszcie powiedział:

- Jak jesteś z Krasnobrodu, to powinienżeś wiedzieć, że tu jest taka miejscowość.

- Byłem tu wiele razy, Guciów znam jak własną kieszeń, ale o Starzyźnie nigdy nie słyszałem. Nie ma jej na żadnej mapie.

Stary zmarszczył brwi, odruchowo przełożył karabin do drugiej ręki, po czym cicho rzekł:

- Chodźmy. Widzę, że moja córka już rozpała pod kuchnią, napijem się czegoś gorącego.

Odwrócił się plecami do Gielmudy i dodał lekko łamiącym się głosem:

- Jestem zmęczony. Bardzo zmęczony i trza mi odpocząć.

Rafał nie pytał już o nic. Szedł za starym, wsłuchując się w ciszę. Gdy znaleźli się między zabudowaniami, powiedział jeszcze:

- Nic nie mów. Lepiej, coby nikt cię nie zobaczył. Chyba jeszcze wszyscy śpią.

Chłopakowi nawet nie przyszło do głowy się odzywać. Po raz kolejny czuł rosnący strach. Oprócz kłopotów z oddychaniem dręczyło go coś jeszcze. Poza odgłosami kroków nie słyszał dosłownie niczego. Najbardziej przeraźliwy był brak odgłosów płynących ze strony lasu. Szedł, modląc się w duchu o jakikolwiek dźwięk, chociażby o cichy głos ptaka, który powinien już przecież obudzić się ze snu i obwieszczać nadejście kolejnego dnia. Przez całą drogę, aż do bramy prowadzącej do domu, nad którego kominem wzbijał się mleczny obłok dymu, Rafał nie usłyszał kompletnie niczego.

„Co za przeklęte miejsce” - myślał. - „Przeklęte...”.

W pewnym momencie Gielmuda gwałtownie się wyprostował i rozejrzał wokół siebie. Nie dojrzał niczego niepokojącego, jednak w domu, położonym naprzeciw gospodarstwa Trześniowskich, para czujnych oczu bacznie przyglądała się porannym wędrowcom. Gdy tylko zniknęli za węglem domu, mężczyzna zaczął się ubierać. Musiał jak najszybciej dać znać swojemu bratu o tym, co zobaczył. Wszyscy we wsi wiedzieli, że Józek nie ma do końca równo pod sufitem, ale był rozgarnięty na tyle, aby rozumieć zagrożenie. Sołtys sprowadził kogoś do siebie, a to może być bardzo, ale to bardzo niebezpieczne. Założył futrzaną czapkę, wyszedł z chałupy i ruszył w kierunku stodoły, zważając, aby nie być widocznym z domu Trześniowskiego.

Marcin mieszkał na końcu wsi, ale skrajem pól prowadziła tam droga, którą można było do niego dotrzeć bez wychodzenia na główny trakt.

Mimo że mgła skrywała Kowalika bardzo dokładnie, przez cały czas biegł skulony wpoł. Wreszcie, gdy dotarł do celu, cicho zastukał do okna izby, w której spał jego starszy brat.

## VI

W porównaniu do innych dom będący własnością Trześniowskich prezentował się bardzo okazale. Był zbudowany z grubych, jodłowych bali i liczył, poza komorą, którą mijało się tuż za wejściem, cztery pomieszczenia i sporą, mroczną sień. Było w niej ciemno jak w nocy, dopóki stary nie otworzył drzwi prowadzących do kuchni. Gdy do niej weszli, ogarnęło ich przyjemne uczucie ciepła. Pod kuchnią żwawo buzował ogień, a na metalowej płycie stał garnek wypełniony po brzegi niemal wrzącą wodą. Trześniowski usiadł przy stole i spojrzał na chłopaka.

- Zanieś torbę do izby - mówiąc to, głową wskazał kolejne drzwi.

Gielmuda bez słowa ruszył w ich kierunku. W tym samym momencie stanęła w nich młoda, najwyżej dwudziestoletnia

dziewczyna.

- Co mówiłeś, tato? - spytała, zwracając wzrok w kierunku stołu.  
- Dobrze, że już jesteś... - Dopiero w tej chwili ujrzała chłopaka, który zatrzymał się w pół kroku. W ułamku sekundy jej oczy wypełniły się niemal szaleńczym przerażeniem. Krew odpłynęła z twarzy, próbowała coś powiedzieć, jednak głos odmówił posłuszeństwa. Wreszcie podbiegła do ojca i wtuliła się w jego ramiona.

Trześniowski objął ją i uspokajająco pogładził po długich, kasztanowych włosach.

- Spokojnie, córciu. Nie bój się - mówił cichym, uspokajającym głosem. - Spotkałem go w lesie, nie trza się bać. Już dobrze, Heluś. Powinienem być wejść wcześniej i powiedzieć... Już dobrze.

Rafał, pomimo odległości dzielącej go od Trześniowskich, widział, jak dziewczyna drży. Dopiero po chwili bliskość ojca i jego spokojny głos przyniosły oczekiwany skutek. Dziewczyna nie odważyła się jednak ponownie spojrzeć na intruza.

Chłopak ruszył w kierunku izby, z której przyszła.

- Poczekam tam, aż pańska córka trochę się uspokoi.

Wszedł do drugiego pomieszczenia i zamknął za sobą drzwi. Położył torbę w kącie pokoju, po czym przysiadł na stojącym pod ścianą krześle. Z kuchni dobiegał głos Trześniowskiego i płacz jego córki. Giemu- da nie miał pojęcia, co ją tak wystraszyło. Nie zrobił przecież żadnego gwałtownego ruchu, żadnego gestu, który mógłby zasugerować, że pojawił się w domu w złych zamiarach. Nie rozumiał też słów starego o tym, że wcześniej powinien był ją ostrzec. Przecież to chyba normalne, że ojciec czasem przychodzi z kimś nieznanym. Rafał zupełnie nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć, więc postanowił po prostu spokojnie poczekać na rozwój wypadków.

Nie słyszał już płaczu dziewczyny. Do jego uszu dobiegał tylko głos jej ojca, który najwyraźniej relacjonował spotkanie z nieznanym. Trwało to może pięć, może dziesięć minut, aż wreszcie drzwi do pokoju się otworzyły i pojawił się w nich gospodarz. Rafał sądził, że zostanie zaproszony do kuchni, ale tak

się nie stało. Trześniowski zostawił drzwi uchylone i usiadł na drewnianym łożku.

- Musi się trochę uspokoić - rzekł. - Ale może zaraz do nas przyjdzie.

Siedzieli bez słowa. Z kuchni nie dobiegał żaden dźwięk, a w pokoju rozlegało się tylko tykanie wahadła starego zegara. Wybiła siódma. Potem znów zapadła cisza.

Wreszcie chłopak zaczął się nerwowo wiercić na krześle. W końcu nie wytrzymał i zapytał:

- Ale co ją tak przestraszyło? Przecież ja nic nie zrobiłem. Nigdy nie widziała obcego?

Stary zmierzył go lodowatym wzrokiem.

- Głupiś, tyle ci powiem - mruknął wreszcie. - Ale jak już tak koniecznie chcesz wiedzieć, to obcego widziała, tyle że bardzo dawno i dlatego się tak ciebie złąkla. A teraz siedź cicho, bo będziem tu siedzieć do obesranej śmierci.

Rafał spojrział przez okno. Biorąc pod uwagę godzinę, powinno być już całkiem widno, jednak wciąż za szybą panował półmrok jak tuż przed wschodem słońca. „To pewnie przez mgłę” - pomyślał. Nie widział innego wytłumaczenia, choć doskonale pamiętał, że kiedy szli w kierunku wsi, mgła wisiała tuż nad ziemią. Dokładnie tak, jak teraz. Znów poczuł niepokój. Zastanowił się też, czy wciąż odczuwa duszność. Zaczepnął głęboko powietrza i prawie się zakrztusił. I znów niepokój. Coraz silniejszy.

Gdy oderwał wzrok od zaokienego, mglistego pejzażu, zobaczył, że w drzwiach stoi córka gospodarza. Odruchowo się podniósł, wybijając starego z zamyślenia. Nie wiedział, czy ma podejść do niej, żeby się przedstawić, czy pozostać w miejscu. Bał się też powiedzieć cokolwiek, żeby nie przestraszyć dziewczyny. Na szczęście ona odezwała się pierwsza:

- Zaparzę miętę - oznajmiła, po czym odwróciła się i już jej nie było.

- Chodźmy. Lubisz miętę? - Trześniowski, wstając, przyglądał się chłopakowi.

- Lubię - skłamał Rafał bez mrugnięcia okiem.

Na myśl o mięcie żołądek przewrócił mu się na drugą stronę. Niewiele było rzeczy, których tak szczerze nienawdził. Uznał jednak, że grymaszenie w zaistniałej sytuacji mogłoby zostać - delikatnie mówiąc - źle odebrane. Uśmiechnął się markotnie do gospodarza i ruszył w kierunku kuchni.

## VII

Napój był gorszy, niż mógł się tego spodziewać. Był to wywar ze zwyczajnej mięty rosnącej zapewne gdzieś na pobliskiej łące. Rafał przełykał go z rosnącym obrzydzeniem, pamiętając przy tym, aby nie dać tego po sobie poznać.

Siedzieli z Trześniowskim przy kuchennym stole, a Helenka przycupnęła na małym stołku przy kuchni. Chłopak koncentrował się na stojącym przed nim płynie, jednak kątem oka widział, że dziewczyna od czasu do czasu patrzy na niego ukradkiem. Wolał nie odwzajemniać spojrzenia, aby nie spłoszyć córki gospodarza, jednak miał szczerą nadzieję, że nie budzi już w niej strachu.

Nikt nie kwapił się do rozpoczęcia rozmowy. Stary gapił się w jakiś nieokreślony punkt, umiejscowiony w dali za oknem. W pewnym momencie jednak spojrzał na Rafała i powiedział:

- Nie wiem, jak to będzie. Na razie będziesz siedział cały czas w domu. W każdym razie, im później się o tobie dowiedzą, tym lepiej.

Gospodarz znów wyszukał za oknem interesujący go punkt, uznając najwyraźniej konwersację za skończoną. Rafał dopił ostatni łyk herbaty, wzdragając się przy tym z obrzydzeniem.

- Chciałbym o coś zapytać - przerwał milczenie. - Gdzie znajdę toaletę?

Trześniowski przeniósł na niego wzrok.

- Co gdzie znajdziesz?

- Toaletę. Łazienkę... Chce mi się - pochylił się tak, żeby dziewczyna nie słyszała - muszę do ustępu, za potrzebą...

- Znaczy się, chodzi ci o wychodek?



Gielmuda skinął głową. Rzucił okiem w kierunku dziewczyny i, zanim zdążyła odwrócić głowę, zobaczył, że się roześmiała pod nosem.

- Tak - kiwnął głową, lekko się czerwieniąc.

- Na dworze jest. Ale, tak jak żem mówił, lepiej, żebyś nie wychodził. Chodź, pokażę ci, gdzie będziesz spał i coś ci przyniosę, żebyś mógł... no wiesz co żebyś mógł - mówiąc to podniósł się i wyszedł do sieni.

Rafał wstał od stołu i zwrócił się do dziewczyny:

- Dziękuję za herbatę. Była naprawdę dobra.

Popatrzyła na niego już bez śladu uśmiechu.

- Nie ma za co. Mamy jej pod dostatkiem, więc dobrze, że smakowała.

Chłopak powlókł się do pokoju po torbę.

Trześniowski pokazał mu mały pokój z łóżkiem położony po drugiej stronie sieni. Były w nim dwa drewniane łóżka, na których leżały schludnie wyglądające sienniki.

- Zaraz ci przyniosę pościel i jakieś wiadro. Musisz trochę odpocząć. Ja też. Jak się prześpię, to wtedy będę myśleć, co dalej.

Dziesięć minut później Rafał leżał pod grubą pierzyną, opierając głowę na ogromnej poduszce. Nie sądził, że uda mu się zasnąć. Zbyt wiele myśli kotłowało mu się w głowie. Tak naprawdę dopiero teraz zaczął zdawać sobie sprawę, że stało się coś zupełnie niezwykłego. Nie mógł powiedzieć, że się bał. Był przekonany, że chwilowo nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo, jednak gdzieś z tyłu głowy czaił się paniczny strach, który chłopak ze wszystkich sił starał się odpędzić.

„Guciów zniknął” - przypomniał sobie swoje słowa, które wypowiedział, wracając do samochodu. I co jeszcze zniknęło? Stary mówił, że nie ma Krasnobrodu i Zwierzyńca... Co to znaczy: „nie ma”? Za to jest Starzyzna z grupką niewielkich chałup i z powietrzem, którym prawie nie da się oddychać. „Starzyzna”. Na tym skupił swoją uwagę. Coś mu mówiło, że kojarzy skądś tę nazwę, ale zupełnie nie mógł jej powiązać z czymkolwiek.

Leżał tak, wpatrując się w sufit i usiłując z najgłębszych

pokładów świadomości wydobyć pożądaną informację. Wreszcie już wiedział. Przypomniał sobie wycieczkę rowerową sprzed kilku lat i zasuszoną starowinkę w chustce na głowie, podpierającą się laską. Spotkali ją przy sklepie w Guciowie i pomogli zanieść zakupy do domu. Tymczasem babcia opowiedziała im mnóstwo ciekawych rzeczy, których nie znaleźli wcześniej w żadnym przewodniku. Ona kilkakrotnie użyła słowa „starzyzna”. Przypomniał sobie też, że wtedy, zaraz po powrocie do domu, przeszukał dokładnie Internet i faktycznie, okazało się, że staruszce nic się nie pomyliło. Na Rafała spłynął spokój związany z faktem, że udało mu się przypomnieć to, o czym myślał od godziny, pomimo że cała poduszka była mokra od potu. Była mokra przez wspomnienie spotkania ze starą kobietą w kwiecistej chuście.

## Rozdział drugi

### 1.

Gdy się obudziłem, było już całkiem jasno, a światło słoneczne wpadało przez niewielkie okno, sprawiając, że pokój wyglądał jeszcze bardziej sympatycznie, niż zapamiętałem go z poprzedniego wieczoru. Spojrzałem na zegarek - dochodziła ósma.

Lampka stojąca na stoliku obok łóżka wciąż była włączona, a brulion leżał tuż obok poduszki. Musiałem zasnąć w trakcie czytania.

Niestety, nazwa trunku, którym raczyliśmy się z Jankiem, nie licowała z moimi porannymi odczuciami. Tępy ból głowy, jak na ironię, niezwykle intensywnie przypominał o „Świeżości poranka”.

Poleżałem jeszcze kilkanaście minut, po czym ubrałem się i wyszedłem na korytarz, zabierając ze sobą ręcznik i przybory toaletowe. Skąpany w dziennym świetle korytarz miał się nijak do klimatu, który zapamiętałem. Poszedłem nawet na dół, aby sprawdzić, czy drzwi rzeczywiście zamknięte są na skobel. Z wysiłkiem otworzyłem zabezpieczenie i wyszedłem na dwór.

Był jedenasty marca, w powietrzu czuło się wiosnę, a mroźne powietrze zostało zastąpione pachnącym wilgocią ciepłem. Z dachów, które widziałem naprzeciw, kapiała woda; zauważyłem też, że śnieg leżący na podwórzu prawie topnieje w oczach, tworząc błotniste, bre- jowate kałuże.

Wróciłem do domu i poszedłem do łazienki.

Gorący prysznic dobrze mi zrobił i gdy kilka minut przed dziewiątą pojawiłem się w głównym budynku gospodarstwa, ból głowy zniknął prawie całkowicie.

W karczmie przywitała mnie drobna, mniej więcej czterdziesto-

letnia blondynka, która przedstawiła się jako żona Janka.

- Jak minęła noc? - spytała, wskazując mi zastawiony stół. - Mam nadzieję, że nikt pana nie niepokoił?

Pytanie zabrzmiało całkiem zwyczajnie - niemal jak wypowiedziane odruchowo, jednak przelotne, niespokojne spojrzenie kobiety zdradziło mi bardzo wiele. Postanowiłem nie podjąć zaproponowanej przez nią gry. Wiedziała coś, czego nie miała ochoty mi zdradzić, a takie zadania były przecież moim dziennikarskim żywiołem.

- Z wyjątkiem potężnego dwumetrowego mężczyzny, który nocą próbował dostać się do mojego pokoju. - Powiedziałem to, siadając przy stole, dbając, aby głos zabrzmiał jak najbardziej naturalnie. - Nie wie pani, kto to mógł być? - Nagle spojrzałem jej w oczy, a ona natychmiast uciekła spojrzeniem.

- Niech pan o tym porozmawia z moim mężem. - Ostatnie słowa wypowiedziała, niknąc w drzwiach prowadzących do kuchni. - Zaraz podam coś na gorąco - krzyknęła jeszcze z przyległego pomieszczenia.

Nie chciałem przesadzić, więc już więcej o nic nie zapytałem. Zresztą i tak miałem wrażenie, że niczego by mi nie zdradziła. Zamknęła się w sobie i jedyne, co od niej jeszcze usłyszałem, było zdawkowe „proszę”, kiedy stawiała przede mną dymiący talerz z jajecznicą na boczku. Moją nadzieją pozostawał więc właściciel gospodarstwa; byłem przekonany, że uda mi się go spotkać zaraz po śniadaniu.

## 2.

Niestety, Janek jakby zapadł się pod ziemię. Przesiedziałem w karczmie około dwóch godzin, jednak w tym czasie nie pojawił się w niej ani on, ani jego żona. Dopiero kilka minut po jedenastej, gdy na podwórze weszła para przyjezdnych, za ladą pojawiła się młoda dziewczyna, którą widziałem po raz pierwszy. Nie miała pojęcia, kiedy będzie można zastać właściciela, więc postanowiłem przejść się trochę po okolicy, żeby poukładać

sobie wszystko w głowie i zdecydować, co dalej robić.

Najbardziej - co oczywiste - intrygowała mnie tajemnicza Słoneczna Dolina, więc po opuszczeniu Jankowego gospodarstwa natychmiast o nią zapytałem. Napotkany chłopak szczegółowo poinstruował mnie, jak dojść do celu mojej wyprawy. Miałem wprawdzie przed sobą kawałek do przejścia, ale ciepły, wiosenny dzień zdecydowanie sprzyjał takim spacerom, a i myśleć było o czym, więc rażno pokuśtykałem w kierunku wskazanym przez chłopaka.

Wybrałem drogę okrężną, ale za to biegnącą po płaskim terenie. Gdybym chciał do Słonecznej dostać się skrótem, musiałbym pokonać spore wzniesienie, co, biorąc pod uwagę moje kalectwo i topniejący śnieg, na pewno sprawiłoby mi nie lada trudność. Szedłem więc asfaltem wśród zabudowań, wypatrując końca wsi i drogi odbijającej w lewo.

Ostatnie godziny obfitowały w wydarzenia, z których kilku nie potrafiłem wytłumaczyć. Był piątek, a od środowego wyjazdu z Warszawy nie udało mi się dowiedzieć tak naprawdę niczego. Jediną namacalną rzeczą, którą mogłem wykorzystać w materiale, był brulion z jakimiś dziwnymi zapiskami. Istniała szansa, że jego kwestia wyjaśni się w miarę szybko - wystarczyło przycisnąć Piaseckiego, gdy przyjedzie ponownie się ze mną spotkać. Pozostawał jeszcze jeden niewyjaśniony temat - sprawa mojego nocnego gościa o posturze Sienkiewiczowskiego Ursusa. Dziwne zachowanie Krzysztofa przy rozstaniu mogło nasuwać przypuszczenie, że obawiał się on właśnie tego dwumetrowego kolosa. Ale czy rzeczywiście? Jedno było pewne - podczas następnej rozmowy nie pozwolę mu się tak łatwo wykręcić sianem. Wiedziałem też, że muszę z nim rozmawiać w ten sposób, aby jednoznacznie przekonać się, czy mam do czynienia z osobą mającą jako taki porządek pod sufitem. Gdyby okazało się, że niespecjalnie, to prędzej czy później stwierdzę, że tracę czas, a opowieściami Piaseckiego powinien się raczej zainteresować specjalista w białym kitlu.

Doszedłem do końca Guciowa i skręciłem w lewo. Obok piaszczystej drogi prowadzącej w las stał ciemnobrązowy

drewniany budynek na wysokiej kamiennej podmurówce. Dziennikarska pamięć natychmiast podsunęła mi obraz identycznego domu, który wyobraziłem sobie, czytając opowieść zapisaną w brulionie. Jej bohater, Rafał Gielmuda, właśnie takiej budowli szukał o świcie, zaraz po spotkaniu z Trześniowskim, a z historii opowiedzianej wcześniej staremu wynikało, że budynek ten powinien znajdować się na samym skraju wioski. Obok winno być skrzyżowanie z leśną drogą.

„Osoba, która zapisywała kartki w brulionie, starannie odrobiła lekcje w terenie; zobaczymy, czy w innych kwestiach była równie dokładna” - pomyślałem i ruszyłem w kierunku Słonecznej Doliny.

### 3.

Przez gęsty mroczny bór szedłem najwyżej dziesięć minut. Po tym czasie przede mną otworzyła się zalana słońcem przestrzeń. Nie miałem wątpliwości, że to właśnie jest cel mojej wędrówki. Rozległa polana, otoczona z trzech stron zalesionymi wzgórzami, sprawiała wrażenie miejsca nietkniętego ludzką ręką od lat. Jedyną oznaką tego, że czasem bywają tu ludzie, była niewielka ambona myśliwska stojąca po prawej stronie, tuż przy sosnowym zagajniku. Nie miałem pojęcia, jak to się stało, że ktoś pozwolił na jej zbudowanie w tym miejscu.

Wokół dogorywała późna zima, a w Słonecznej aż kipiało wczesnym kwietniem. Lasy wokół rozbrzmiewały ptasim jazgotem, powietrze, nagrzane ciepłymi promieniami, lekko falowało. Pierwsze soczysto zielone trawy wyglądały spod resztek śniegu. Przypomniałem sobie opis przeczytany w podarowanym mi brulionie. Ktoś musiał mieć niezwykłą wyobraźnię, aby to miejsce opisać jako pozbawione ptasiego śpiewu i skryte pod warstwą ciężkich chmur. Raz jeszcze zapewniłem się w duchu, że wydobędę prawdę od Piaseckiego i postanowiłem obejrzeć dolinę z bliska.

To było kilkadziesiąt minut niezwykłych wrażeń. Szedłem

niespiesznie, chłonąc rozbrzmiewające wokół dźwięki i ciepłe poduchy wiatru zmieszanego ze słonecznym blaskiem, który tak bardzo był potrzebny człowiekowi spędzającemu całe miesiące w grubych murach Warszawy.

W pewnym momencie z jednego z zagajników wybiegło stado saren, prowadzonych przez odróżniającego się od nich wyraźnie kozła. Zmierzały w moją stronę, zatraciwszy zupełnie czujność, nie spodziewając się, że mogą spotkać intruza na swoim odwiecznym terenie. Wreszcie przewodnik przystanął i dopiero wtedy ujrzał mnie, stojącego pośrodku łąki. Stado zamarło w jednej sekundzie. Przyglądaliśmy się sobie nawzajem przez dłuższą chwilę, aż w końcu samiec dał znak do odwrotu i chwilę później znów zostałem sam na odkrytej przestrzeni.

Niechętnie spojrzałem na zegarek, który wskazywał czternastą i uznałem, że pora wracać. Obiecałem sobie, że następnego dnia znów zajrzę w to miejsce. Jego magia przyciągała jak magnes.

Znów znalazłem się na leśnej drodze prowadzącej do Guciowa. Z żalem przyśpieszyłem kroku, lecz po chwili zatrzymałem się, uważnie obserwując ścieżkę odchodzącą w lewo.

Miałem jeszcze trochę czasu do zapadnięcia zmierzchu, a zaciekało mnie, gdzie też może ona mnie zaprowadzić, więc bez wahania zszedłem z obranego wcześniej kursu. Wędrowałem przez kilkadziesiąt metrów i poczułem, że robi się coraz ciemniej. Ptasi gwar zdawał się zamierać wokół, a słońce z coraz to większym trudem przedzierało się przez gęstniejące korony drzew. Na końcu ścieżki znajdował się niewielki otwarty teren, liczący najwyżej kilometr kwadratowy powierzchni. Stałem w półmroku sprawiającym wrażenie bardzo późnego wieczoru, ledwie dostrzegając koniec polany.

„Cóż za ponure miejsce” - pomyślałem. - „I to tak niedaleko od Słonecznej Doliny...”.

Wokół panowała absolutna cisza. Wyobraźnia znów zaczęła mi podsuwać niechciane obrazy.

„A gdybym tak teraz spotkał tego dwumetrowego olbrzyma? Przecież do Guciowa jest bardzo blisko...”.

Odwróciłem się gwałtownie i już miałem ruszyć z powrotem,

gdy moje oczy zarejestrowały minimalny ruch. Spojrzałem w kierunku, gdzie go zauważyłem, i na pieńku pozostałym po wiekowym drzewie zauważyłem niewielką postać. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom, więc stałem, z całych sił wytężając wzrok. Chwilę potem mała dziewczynka podniosła się i powoli ruszyła w moją stronę. Zbliżała się jednostajnie, a kroki małych bucików coraz głośniejszymi rozbrzmiewały w martwej ciszy.

Sposób, w jaki się poruszała, przypominał ruchy nakręcanego lalki. Poruszała nogami, lecz ramiona pozostawały nieruchome. I wciąż patrzyła w dół, na ścieżkę, zupełnie mnie ignorując.

Nie wiem, skąd wiedziała, że stoi tuż przede mną. W każdym razie zatrzymała się i zamarła.

Mała dziewczynka w środku lasu. Dziewczynka... Patrząc na nią, miałem wrażenie, że to dziecko jest... Inne. Tak, określenie „inna” pasowało do niej jak ulał. To było idiotyczne, ale bałem się jej... Bałem się małej dziewczynki w czerwonej sukience w białe grochy. Mimo to przykucnąłem, odsuwając unieruchomioną nogę na bok i wyciągnąłem dłoń w stronę małej, delikatnie dotykając rękawka.

- Dziecko - usłyszałem swój głos. - Gdzie są twoi rodzice? Zaprowadzić cię do nich?

Gwałtownie odtrąciła moją dłoń z siłą, która sprawiła, że się zachwiałem. Podniosła głowę otoczoną opadającymi na ramiona blond lokami i ujrzałem śliczną twarz patrzącą na mnie niewidzącymi, ślepyimi oczyma. Tak wyobrażałem sobie Magdę, gdy Adam opowiadał swój sen.

- Nie odpowiesz mi? - Usłyszałem gardłowy głos, który nie mógł należeć do niej. Niski, ochryply, płynący gdzieś z głębokiego wnętrza. Odruchowo rozejrzałem się wokół, czy nie ma obok nas kogoś jeszcze.

- Ale...

- Nie słuchałeś, jak pytałam. - Głos zabrzmiał znów. - Widziałeś byłeś mojego Rafałka?

- Kogo? - wpatrywałem się w jej twarz, starając się omijać błyszczące w półmroku białka oczu.

- Nie widziałeś! - krzyknęła.



Nie zdążyłem się ruszyć. Ledwie spostrzegłem małą dłoń zmierzającą w kierunku mojej głowy. Ułamek sekundy później uderzenie odrzuciło mnie z taką mocą, że bezwładnie poleciałem do tyłu, uderzając potylicą w coś twardego.

Zanim zapadłem w mrok, zobaczyłem jeszcze małą postać stojącą tuż nade mną.

Gardłowe, pełne złości „nie widziałeś” dobiegło do mnie z bardzo daleka.

#### 4.

Gdy się ocknąłem, otaczała mnie nieprzenikniona ciemność. Tępy ból, pulsujący z tyłu głowy przypominał o niezwykłym spotkaniu.

Sięgnąłem ręką za siebie i już wiedziałem, że upadając w tył, uderzyłem o kant pnia ściętego drzewa. Moje włosy oblepiała na wpół zakrzepnięta krew.

Marzyłem, aby jak najszybciej opuścić to przekłęte miejsce. Z trudem wstałem i ruszyłem w kierunku drogi, co raz zbaczając z wąskiej ścieżki. Ciemności nie pozwalały na szybki marsz, jednak jakimś cudem po niedługim czasie znów znalazłem się na ducie prowadzącym w kierunku Guciowa.

Na asfaltowej wiejskiej drodze, oświetlonej ustawionymi z rzadka latarniami, nie spotkałem nikogo. Trudno było o bardziej szczęśliwy zbieg okoliczności; kuśtykający, zakrwawiony facet z pewnością wzbudziłby ciekawość mieszkańców, a to akurat była ostatnia rzecz, o której marzyłem.

Dobrze się stało, że do domu, w którym mieszkałem, nikogo nie dokwaterowano. Wziąłem prysznic, splukując krew z głowy i karku. Twarz w miejscu, w które zostałem uderzony, była lekko zaczerwieniona, lecz z ulgą stwierdziłem, że przynajmniej na razie nie widać na niej żadnych sińców.

„Z pewnością nie będę musiał opowiadać nikomu o tym, jak w lesie pobiło mnie mniej więcej dziesięć lat temu dziecko” - pomyślałem. I była to na razie jedyna dobra wiadomość dnia.

Nie miałem ochoty iść do karczmy, jednak istniała możliwość, że Piasecki tam na mnie czeka, więc zmieniłem ubranie i wyszedłem z pokoju.

Przechodząc przez podwórze, popatrzyłem w stronę drogi. W świetle latarni ujrzałem ogromną postać mężczyzny. Ruszył w moim kierunku, lecz ja do karczmy miałem ledwie kilkanaście kroków i po chwili znalazłem się w ciepłym wnętrzu, pachnącym drzewnym dymem.

- Widziałeś skurwysyna? - zapytał Janek, gdy zamknąłem za sobą drzwi.

- Widziałem.

- Żona mówiła, że próbował się dziś do ciebie włamać...

- Co to za jeden? - zapytałem.

Usiedliśmy przy stole. Janek wyglądał na bardzo zmęczonego.

- Od kiedy się tu pojawił, mniej więcej rok temu, same z nim problemy - odparł. - Wiele złego się dzieje w Guciowie i podejrzewamy, że to wszystko jego sprawka. Coraz mniej gości nas odwiedza, lokalne gazety piszą o „upiorze z Guciowa”. Ostatniej nocy - najpewniej on, bo kto inny miałby tyle siły? - ukręcił leb podrośniętemu cielakowi Adamowiczów na drugim końcu wsi...

- Dlaczego mi o nim nie opowiedziałeś wczoraj? - przerwałem.

- Przecież zrobiłbym to, gdyby komuś stało się coś złego. - Janek popatrzył na mnie z wyrzutem. - Na szczęście, jak dotąd, nie skrzywdził żadnego człowieka. Ale, kurwa, mam już go dość, bo gości mi odstrasza, ludzie się boją wyjść wieczorem z chałupy. Sam zresztą widzisz, że ruch u mnie żaden.

Miał rację. Siedzieliśmy w piątkowy wieczór w zupełnie pustej karczmie.

- Próbowaliście go dorwać?

- No jasne - odpowiedział. - Wiele razy, ale zawsze się wymykał. Nikt z mieszkańców Guciowa nie widział nawet jego twarzy, co bardzo utrudnia pracę policji. Nie wiemy, co to za jeden. Jedno, co jest pewne - to nikt z miejscowych. Nie było u nas nigdy takiego olbrzyma.

Przez chwilę milczeliśmy.

- Pytał ktoś dziś o mnie? - spytałem, zmieniając temat. - Taki jeden, z którym się wczoraj tu spotkałem, miał przyjechać, żeby ze mną znów porozmawiać.

- Nikogo nie było, od kiedy wyszedłeś. Wiem, bo zaraz potem wróciłem od Adamowiczów i siedzę tu sam jak palec - zrezygnowany pokręcił głową.

Po chwili dodał:

- Jeśli chcesz, możesz spać u mnie. Mam jeden wolny pokój, więc nie będzie problemu.

- Jutro i tak zamierzam wyjechać, więc nie ma sensu, żebym się prznosił. Zamknę wszystkie zamki i nic mi nie będzie.

Tak też zrobiłem. Po pożegnaniu z gospodarzem zamknąłem wszystkie zamki i położyłem się do łóżka. Było dość wcześnie, więc nie zamierzałem jeszcze spać. Po raz kolejny sięgnąłem po brulion. Uznałem, że skoro Piasecki nie pojawił się zgodnie z zapowiedzią, to pewnie nie będzie go też następnego dnia. Mimo to ciekaw byłem, co też napisane jest w dalszej części notatek.

Z jednej strony, wiedziałem, że mam dość tego miejsca i na pewno wyjadę w sobotę. Z drugiej zaś, cała ta sprawa zaczynała mnie dość mocno intrygować.

„Dziewczynka w sukience w białe grochy” - pomyślałem. - „Kim ona jest?”.

# Słoneczna Dolina

## VIII

Marcin Kowalik był blisko dwumetrowym, zwalistym mężczyzną. Wszelkie sporne sprawy załatwiał za pomocą ogromnych jak bochny pięści, więc większość mieszkańców Starzyzny wołała się trzymać od niego z daleka. Nawet Józek obawiał się wybuchów jego niekontrolowanego gniewu. W ten sobotni poranek siedział na drewnianej ławce, miętosząc w rękach futrzaną czapkę. Patrzył przestraszony, jak Marcin chodzi po pokoju w tę i z powrotem, odruchowo zaciskając i rozprostowując palce. Wreszcie przystanął i popatrzył spode łba na swojego młodszego brata. Ten skulił się pod spojrzeniem i uciekł wzrokiem w kąt izby.

- Co miał ze sobą? - spytał.

Józek zamknął oczy, jakby starając się odtworzyć obraz, jaki widział kilkanaście minut wcześniej.

- To... to... torbę. - Jąkał się od urodzenia, ale gdy był zdenerwowany, ta przypadłość nękała go ze zdwojoną siłą. - Chy... chyba to... torbę. - Popatrzył na Marcina z niepokojem, czy taka odpowiedź mu się spodoba.

- A Trześniowski?

Józek otworzył usta i zagapił się w sufit, jakby tam poszukując odpowiedzi. Siedział tak przez chwilę, po czym westchnął z rezygnacją.

- Nnn... ni...nieeee wiem. - Znów zaczął patrzeć w kąt pokoju. - Cieee... ciemno pra.. .a.. .awie było. A ja... ja zem...

- Dobra, przestań już dukać - przerwał mu zniecierpliwiony brat. - Wracaj z powrotem do domu i patrzaj na chałupę Trześniowskich. Zastanowię się, co robić, a potem do was przyjdę.

Józek natychmiast się poderwał, włożył czapkę i ruszył do drzwi.

- Czekaj jeszcze - powiedział Marcin, a jego niższy o dwie głowy brat zamarł w pół kroku. - Matce nic nie gadaj na razie. Sam jej powiem, jak będzie trza.

Młodszy Kowalik tylko kiwnął głową i po chwili już go nie było.

Większy z braci długo jeszcze w zamyśleniu wpatrywał się w okno. Miał przeczucie, że wiadomość, którą przekazał mu Józek, nie zapowiada niczego dobrego. Wiedział też, że wkrótce będzie musiał zacząć działać, nie sądził jednak, że okazja do tego nadarzy się zbyt prędko. Podejrzywał, że stary Trześniowski nie będzie się wrywał do tego, aby informować mieszkańców, a zwłaszcza Kowalików, o swoim gościu.

„Całe szczęście, że Józek go zauważył” - pomyślał. W końcu stwierdził, że trzeba spokojnie czekać. Przecież wkrótce i tak będzie wiadomo coś więcej.

\*

- ...no i jak żem wychodził z domu, to jeszcze spał. - Trześniowski popatrzył po twarzach dwóch pozostałych mężczyzn. Młodszy z nich przyglądał mu się z uwagą, natomiast drugi, zupełnie siwy, siedział przy stole z przymkniętymi oczyma.

- Nikogo więcej tam nie było, Jakubie? - spytał wreszcie młodszy.

- Ja żem nikogo nie widział, a i on nic nie gadał o kimś jeszcze. Co to zresztą za różnica?

Stary Grela otworzył oczy i spojrzał na Trześniowskiego.

- Nie ma różnicy. Ważne, że chłopak się pojawił w Starzyźnie. Może to jaki znak od Boga, może co się wreszcie odmieni?

- Byle nie na gorsze, tato - powiedział najmłodszy z mężczyzn.

- Nie wiem, czy może nas spotkać jeszcze co gorszego, Jasiak - odezwał się Trześniowski, a stary Grela tylko mu przytaknął skinieniem głowy. - Chyba nikt nas nie widział, jak żeśmy szli, ale to i tak na nic. Przecież nie będę go trzymał w zamknięciu. Trza będzie ludziom powiedzieć...

- Jutro Niedziela Wielkanocna - przerwał starszy Grela. -

Przyprowadź go na nabożeństwo. Masz rację, lepiej niech się ludzie od razu dowiedzą. Na Kowalików trzeba uważać i na Władka Dudę, bo im nie w smak będzie ten nowy. Sami zresztą wiecie, jak jest. Jasiek go będzie na razie pilnował. Potem się zobaczy.

- A co mam mu powiedzieć, no wiecie, Wojciechu, o nas, o Starzyźnie?

- Na razie nic mu nie mów. Jak pobędzie tu dłużej, to pewno i tak się wszystkiego dowie. A może zniknie tak, jak się pojawił? Lepiej za dużo nie gadać...

- I mówicie, Jakubie, że Krasnobród wspominał? - zapytał Jasiek.  
- I Guciów?

- Ano wspominał. I o Zwierzyńcu mówił...

- Panienko przenajświętsza, wszystko bym dał, żeby zwierzyński kościółek na wodzie jeszcze choć raz w życiu zobaczyć...

- Przestań, Jasiek! - warknął stary Grela. - Tylko na nerwach grasz takim gadaniem. Ubierz się i idź z Jakubem, to ci durne myśli może z głowy wywieje. Rozmów się z tym, jak mu tam...

- Z Gielmudą.

- No, z Gielmudą się rozmów.

- Dobrze, tato.

- A my się zobaczymy jutro o siódmej - zwrócił się do sołtysa. - Na tej naszej rezurekcji.

Trześniowski założył swój wojskowy płaszcz i już miał wyjść z izby, gdy jakby się zawahał.

- Wiecie, co jeszcze mówił?

Dwaj pozostali spojrzeli na niego pytająco. Jakub jeszcze się zastanawiał, czy powinien kontynuować.

- Co powiedział? - nie wytrzymał Jasiek. - Coś o nas?

- Powiedział... - Trześniowski w zamyśleniu zapinał guziki płaszcza. - Powiedział, że oni tam... W Zwierzyńcu i w Krasnobrodzie... I nawet w Guciowie, to... to w ogóle nic o Starzyźnie nie wiedzą. I o nas nie wiedzą...

Zapadła cisza. Grelowie w napięciu wpatrywali się w nieruchomą twarz Jakuba.

- Jak to nie wiedzą - uśmiechnął się niepewnie Jasiek.

- Przecież jak my o nich wiemy, to...
- Ale oni, tam - przerwał synowi stary Grela - nie mają na sumieniu tego, co my mamy. - Pochylił głowę.
- Świat o nas zapomniał i samiśmy temu winni - dodał niemal szeptem.

\*

Niedługo potem Józek Kowalik zobaczył wracającego do domu sołtysa i idącego z nim młodego Grełę. Już miał znowu się ubrać i gnać, żeby o tym powiadomić brata, ale ten właśnie wszedł do pokoju, z którego widać było zabudowania Trześniowskich.

- Widziałem, że szli - odezwał się Marcin. - Ciekawe, co knują. Nic się więcej nie działo? - spytał brata.

- Je.. .e... szcze sta... stary Trze... Trześniowski wy.. .y... chodził wcz...eśniej z cha... z chałupy.

Marcin popatrzył na brata i pokręcił głową. Czasem wydawało mu się, że Józek jest jeszcze głupszy, niż wszyscy we wsi myśla.

- Drzwiami wychodził?

- N... nie wiem, bo stąd n... nie w... widać.

Większy z braci tym razem uśmiechnął się złośliwie.

- Ale nie przez komin?

- N... n... nie - Józek tym razem odpowiedział zdecydowanie, zadowolony, że może udzielić wyczerpującej odpowiedzi i radośnie wyszczerzył zęby, biorąc uśmiech brata za dobrą monetę.

- Matce nic nie gadałeś?

- Ma... a... ma jeszcze śpi.

- To dobrze. Napal w piecu, a ja tu teraz trochę popatrzę. Aha, a potem skocz do Władka i go tu zawołaj. Powiedz, że jest bardzo pilna sprawa do obgadania.

## IX

Ból głowy, który obudził Rafała, był tak silny, że chłopak przez jakiś czas leżał bez ruchu, obawiając się nawet otworzyć oczy.

Tępe pulsowanie w skroniach sprawiło, że dopiero po upływie kilku chwil zaczął się zastanawiać, gdzie jest i co się z nim dzieło w ciągu ostatnich godzin. Gdy przypomniał sobie wieś w Słonecznej Dolinie, gwałtownie podniósł się na łożku. Miał wrażenie, że jego czaszka za chwilę eksploduje, lecz mimo to zmusił się do powolnego zlustrowania otoczenia. Jedno spojrzenie wystarczyło, by przekonać się, że od momentu, gdy zasypiał, nic się wokół nie zmieniło. Zrezygnowany, położył głowę na poduszce. Niedługo potem drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł gospodarz.

- Wstawaj - powiedział. - Już po południu.

Za nim do pokoju wtoczył się barczysty, niewysoki i dość pulchny mężczyzna. Wyglądał na jakieś trzydzieści lat, a bujna, czarna broda sięgała mu niemal do piersi.

- To jest Jasiak Grela - ciągnął Trześniowski, wskazując jednocześnie kciukiem za siebie. - Możesz mu ufać jak rodzonej matce i bez niego masz się nigdzie z chałupy nie ruszać.

Rafał spoglądał to na Jaśka, to na starego.

- Czy coś mi grozi? - zapytał wreszcie.

- Możliwe, że tak, możliwe, że nie - tym razem tubalnym głosem odezwał się Grela zza pleców gospodarza. - W każdym razie przynajmniej na początku lepiej uważać...

- A ty co się przed nim tłumaczysz? - Trześniowski odwrócił się w kierunku Grela. - Pod moim dachem śpi, to i słuchać mnie musi.

- Macie rację, Jakubie, święte słowa. A ty wstawaj szybko, bo śniadanie już na ciebie czeka - huknął Jasiak w kierunku łożka.

Chłopak miał wrażenie, że gdy stary odwrócił wzrok, brodacz lekko się uśmiechnął i prawie niezauważalnie mrugnął okiem.

- Wstaję, już wstaję - mruknął Rafał. - Tylko niech pan tak nie krzyczy, bo strasznie boli mnie głowa.

\*

Wchodząc do kuchni, Rafał od razu poczuł w powietrzu wilgotny zapach mięty. Przy stole, przy którym siedzieli już gospodarz, jego córka i Jasiak Grela, przyszykowano jedno wolne miejsce. Obok pustego talerza stał kubek wypełniony po brzegi



parującym, zielonym płynem.

- Siadaj tu z nami i częstuj się. Czym chata bogata! - gospodarz wykonał zamaszty gest, wskazując skromny posiłek ustawiony w centralnym punkcie stołu.

W głębokiej misce piętrzył się stosik ziemniaków pokrojonych w plasterki i przysmażonych na złoto. Zaraz po tym, jak Rafał dosiadł się do stołu, naczynie powędrowało z rąk do rąk. Gdy każdy miał już przed sobą swoją porcję, Trześniowski przeżegnał się, wziął do ręki łyżkę i zaczął jeść, a jego śladem poszli pozostali.

Gielmuda po raz ostatni miał coś do jedzenia jeszcze w Lublinie, przed wyjazdem, więc był głodny jak wilk i tym między innym tłumaczył poranny ból głowy. Do nieprzyjemnych dolegliwości niewątpliwie przyczyniła się duszność, którą chłopak cały czas czuł w powietrzu. Ziemniaki smakowały mu wysmienicie, mimo że okraszone były jedynie jakimś tłuszczem roślinnym.

- Opowiadaliście, Jakubie - zaczął Grela - że chłopak przyjechał jakimś pojazdem. Jak on się nazywa? - Jasiak zadał pytanie Trześniowskiemu, ale wzrok skierował na Rafała.

- A bo ja to pamiętam? - odpowiedział sołtys, patrząc wyczekująco na swojego gościa.

Kilkanaście następnych minut upłynęło na wymianie uwag na temat dziwnego sprzętu, który został na skraju wioski. Gospodarz pytał niewiele, natomiast Jaśkowi niemal usta się nie zamykały. Chciał wiedzieć o samochodach wszystko, a informacje chłonał z szeroko otwartymi oczyma. Całkiem zapomniał o jedzeniu, mimo że stało ono na wprost, a bujna, czarna broda wciąż błyszczała od tłuszczu. Rafałowi bardzo się spodobał ten prostolinijny, otwarty człowiek, jednak to nie jemu chłopak poświęcał główną uwagę podczas rozmowy.

Helenka bardzo skrętnie starała się ukryć swoje zainteresowanie rozmową, jednak Gielmuda miał wrażenie, że słucha bardzo uważnie. Od czasu do czasu podnosiła wzrok na Rafała i gdy ich spojrzenia spotkały się chociażby na chwilę, natychmiast odwracała oczy. Ze względu na emocje towarzyszące porannej rozmowie chłopak nie przyjrzał się jej

dokładnie. Teraz natomiast siedziała tuż obok i ciężko było się skupić na wyjaśnianiu Jaśkowi tajników motoryzacji. Uroda dziewczyny była o wiele bardziej interesująca.

Córki gospodarza z pewnością nie można było określić mianem powalającej na kolana piękności, ale zagadkowy uśmiech, który błędził na jej pełnych ustach i figlarne iskierki tańczące w ciemnych oczach, skrytych pod grubą zasłoną czarnych rzęs, powodowały, że Rafał raz po raz gubił wątek.

W pewnym momencie zapatrzył się na dziewczynę tak bardzo, że dopiero szturchnięcie Jaśka pozwoliło mu wrócić do rzeczywistości. Zauważył, że gospodarz przygląda mu się z niezbyt starannie ukrywaną irytacją. Wyglądało na to, że niespecjalnie podoba mu się sposób, w jaki Rafał patrzy na córkę.

- Żeśmy tu przed chwilą mówili, że zaraz pójdziecie z Jaśkiem schować lepiej ten twój pojazd. - Również w głosie starego brzmiała wyraźna nuta niechęci. - Ale widać, masz jakieś pilniejsze sprawy na głowie.

Gielmuda nie znalazł dobrej wymówki tłumaczącej nieuwagę, więc zajął się znów jedzeniem, skławszy się w myślach za to, że dał się przyłapać na nachalnym spojrzeniu.

Gdy skończyli jeść, Grela wstał od stołu i powiedział:

- Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę ten samachód. Chodźmy, bo do wieczora już niewiele zostało.

Rafał poszedł po klucze od samochodu, a Trześniowski mruknął:

- Gapił się jak cielę. Jasna cholera, jeszcze tego nam było potrzeba.

\*

Akurat w momencie, gdy Marcin zobaczył, jak z domu sołtysa wychodzi Grela wraz z nieznanym młodym chłopakiem, do izby wszedł jego brat, prowadząc ze sobą Władka Dudę.

- W samą porę - powiedział starszy z Kowalików. - Trza od razu załatwić sprawę. Nie będzie się jakiś dureń plątał po Starzyźnie. Jeszcze nam bidy jakiej napyta.

Wstając z krzesła, sięgnął do skózanego pasa. Uśmiechnął się

do siebie, gdy opuszkami palców dotknął chłodnego ostrza długiego, stalowego noża.

Trzech mężczyzn wyszło z domu, przeszło na tyły gospodarstwa i podążyło śladem Rafała i Jaśka. Gęsta mgła skrywała ich na tyle, by mogli czuć się w miarę niewidocznymi. Postanowili, że zaczają się na skraju wsi, tuż obok wlotu doliny.

Józek szedł na końcu. Niewiele rozumiał z tego wszystkiego. Nie miał pojęcia, w czym jego starszemu bratu przeszkadza nowo przybyły, wyglądający na zupełnie niegroźnego, chłopak. Jednak nie było na świecie osoby, która dla trochę ociężałego umysłowo młodego Kowalika byłaby większym autorytetem niż jego brat. „Widać tak trzeba” - wytłumaczył sobie w myślach i przyspieszył kroku, aby dwie postacie nie zostawiły go zbyt daleko w tyle.

Gdy znaleźli się na skraju polany otaczającej wioskę, zoczyli z drogi i zacykali się w gęstych zaroślach. Marcin polecił dwóm pozostałym, aby poszukali sobie mocnych i twardych kijów. Sam przysiadł na spróchniałym pniu i nasłuchiwał. Miał nadzieję, że nie będą musieli długo czekać.

## X

Jasiek z góry wiedział, które miejsce będzie najlepsze. Tuż obok wioski znajdowała się niewielka polana nazywana przez miejscowych Czarnym Wygonem. Kiedyś, jeszcze przed wojną i zaraz po niej, mieszkańcy Starzyny wyprowadzali tam zwierzęta. Miejsce nie było zbyt rozległe, ale trawa rosnąca była tak bujna i soczysta, że z powodzeniem wystarczyła dla niewielkiej ilości zwierząt hodowanych we wsi. Po wydarzeniach, które miały miejsce na początku lat pięćdziesiątych, pastwisko przestało być potrzebne. Zwierzęta padały jakby rażone tajemniczą epidemią, aż w końcu nie zostało ani jedno, a Czarny Wygon przestał pełnić swoją dotychczasową funkcję.

Zgodnie z tym, co ustalili wcześniej z ojcem i Trześniowskim, Grela pilnował się, aby nie zdradzić Gielmudzie żadnych faktów związanych z mroczną historią wioski; raczej skupił się na

pojeździe, którym przyjechał Rafał. Kiedy jednak znaleźli się na otwartej przestrzeni, odruchowo przeżegnał się i powiedział:

- Na razie będę cię pilnował, tak jak mi przykazali, później zobaczymy, ale i teraz pewno cały czas mi się nie uda, bo i swoje roboty przy domu mam. Pamiętaj, żebyś się nigdy w to miejsce nie zapuszczał. Złe czai się na Czarnym Wygonie. Nikt tu nie chodzi, bo można tu Ich spotkać - wyraźnie zaakcentował przedostatnie słowo. - Nawet w dzień strach... Teraz nas jest dwóch, szybko się uwiniem, to i może się dobrze wszystko uda, i pewno samachód bezpieczny będzie.

Przejechali przez skraj polany i zaraz potem skręcili w ciemną, szeroką ścieżkę, która już prawie całkiem zarosła. Kiedy wysiedli i ruszyli w powrotną drogę przez wygon, Rafał przestał się dziwić słowom Greli. Pomimo dnia było tu prawie całkiem ciemno. Gęste konary drzew i ciemne, nisko wiszące chmury zdawały się nadawać temu miejscu złowrogi wygląd. Chłopak nie dziwił się też nazwie tego miejsca. Bliżej niesprecyzowane uczucie strachu potwierdzało słowa Jaśka. Nawet i bez usłyszanego przed chwilą ostrzeżenia Gielmuda nigdy by nie chciał znaleźć się tu w pojedynkę.

Podążali bardzo szybko. Mimo że Rafałowi doskwierał ciągły niedostatek tlenu, chciał zrobić wszystko, byle tylko znaleźć się jak najdalej od Czarnego Wygonu. Poszli skrótem, który z polany prowadził do wioski. Wyszli na otwartą przestrzeń doliny około pięćdziesięciu metrów od głównej drogi. Gdyby spojrzeli w lewo, być może dostrzegliby trzy nieruchome sylwetki zaczajone wśród drzew, jednak nie w głowie było im rozglądanie się po okolicy. Chcieli jak najszybciej znaleźć się wśród zabudowań.

\*

Józek jako pierwszy zobaczył dwie postacie, zmierzające szybkim krokiem w stronę wsi. Wstał z pnia i wskazał je trzymanym w ręce kijem.

- O... t.. .tam - prawie krzyknął. - Pa... pa., .patrzcie!

Marcin powiódł wzrokiem w kierunku wskazanym przez brata i ze złością splunął pod nogi.

- Dziś mu się udało - odezwał się bezbarwnym głosem. - Ale go dopadniemy. Może to i lepiej, bo młody Grela siły ma za dwóch, a przecież nie będzie cały czas z tym nowym się prowadzał.

- Z Czarnego Wygonu wracali. - Duda pokręcił głową. - Nikt nie chodzi tam bez potrzeby. Pójdziem zobaczyć?

- Chyba ci pan Bóg rozum odebrał - natychmiast odparł Marcin, a Józek przeżegnał się szybkim ruchem. - Teraz, pod wieczór?

Duda odłożył palnę.

- W takim razie lepiej wracajmy, bo zaraz noc, a w nocy to Ich i tutaj mogę spotkać. - Zamilkł na chwilę, po czym spojrzał na Marcina. - A o Bogu to byś się przynajmniej wstydył wspominać.

\*

Wieczór w Starzyźnie zapadał tak szybko, jakby ktoś niespodziewanie zrzucił na dolinę gruby, nieprzepuszczający resztek słonecznego blasku koc. Ledwie Grela z Rafałem dotarli do domu sołtysa, trzeba już było palić świece.

W kuchni zastali jedynie Trześniowskiego, siedzącego przy stole. Gielmuda szybko zlustrował zakamarki oddalone od słabego światła. Gospodarz chrząknął.

- Helenka spać już się położyła. Chciałżeś może co od niej?

- Nie, nie - natychmiast zapewnił Rafał. - Niczego mi nie brak, tak tylko się rozglądam...

- To przestań się już rozglądać i siadaj - Trześniowski wskazał miejsce naprzeciw siebie. - Ty Jasiu też siadź koło niego. Może co dopowiesz, jak będzie trza.

Kiedy już we trzech siedzieli za stołem, stary spojrzał na Gielmudę i rzekł:

- Słuchaj no, nie wiem, co to się stało, żeś jest teraz z nami, ale tak naprawdę, to mnie to nie obchodzi. Jesteś gościem w moim domu, a moim gościom stać się nic złego nie może...

Rafał poruszył się i najwyraźniej chciał wejść Trześniowskiemu w słowo, lecz ten zabronił mu nieznoszącym sprzeciwu gestem dłoni.

- Ja teraz mówię - powiedział - a ty ino słuchaj uważnie. Lat temu już będzie prawie pięćdziesiąt, jak w tej wsi wydarzyło się

coś bardzo złego. Od wtedy właśnie żyjemy tu sami, zdani tylko na siebie. W naszym świecie nie ma innych ludzi poza tymi, którzy mieszkają w Sta- rzyźnie. Na początku szukali żeśmy innych wiosek, całymi latami zapuszczali się coraz to dalej i dalej w lasy, ale nic to nie dało. Nie spotkali żeśmy ani żywego ducha.

- Za to nieżywe... - postanowił wtrącić się Jasiak, ale stary spioru- nował go wzrokiem i warknął:

- Nie pora teraz o tym.

Po chwili mówił już tym samym, co poprzednio, monotonnym tonem:

- Tego, co się już stało, nijak się odwrócić nie da, ale chronić trza się przed złym, co nas może spotkać. I teraz słuchaj i naucz się, co powiem, jak pacierza. W domu zawsze żeś jest bezpieczny i nic ci tu nie grozi. Przez te całe lata żaden z Nich - po raz kolejny Rafał usłyszał wyraźnie zaakcentowane słowo w tym kontekście - do domu nie wszedł.

W dzień niebezpiecznie jest tylko na Czarnym Wygonie, zdaje się, żeście tam dziś byli? - Trześniowski spojrzął na Grełę, który jedynie kiwnął głową, najwyraźniej bojąc się już powiedzieć choćby słowo.

- Ale w nocy poza domem grozi każdemu z nas wielkie niebezpieczeństwo. Niektórzy już przekonali się na własnej skórze... - Stary zamilkł i ze smutkiem popatrzył w oczy Rafała. - Przysięgam na wszystkie świętości - nie chciałbyś być na ich miejscu.

Przez dłuższą chwilę w kuchni panowała absolutna cisza, w której zabrzmiało tylko ciężkie westchnienie Greli.

- Jasiak będzie z nami mieszkał przez jakiś czas, dopóki nie przekonamy się, żeś jest bezpieczny - mówił dalej Trześniowski. - Potem się zobaczy.

- Po co ma tu mieszkać, skoro wiem, czego mi nie wolno? - zapytał Rafał.

- Czasem to nie jest takie proste. Możesz nawet nie wiedzieć, kiedy cię dopadną i już będzie po tobie - odpowiedział stary. - Zresztą są jeszcze inni...

- Inni? To ile tu mieszka osób. Mam się obawiać wszystkich i

wszystkiego?

- Najlepiej by dla ciebie było, gdybyś tak właśnie robił. Ci inni to są źli ludzie, którzy mogą nie chcieć ciebie w wiosce, a im ani nawet dzień niestraszny i ciągle na nich uważać trza. Ale jest na to pewna rada - jutro o siódmej mamy tu u mnie w domu taką naszą wielkanocną rezurekcję. Będą tu ci, którym możesz ufać, więc przynajmniej o tyle będziesz mądrzejszy.

- Dlaczego tutaj? Przecież jest kościół...

- Ten kościół już nie dla nas - przerwał gospodarz. -1 więcej się nie pytaj, bo nie powiem.

W kuchni znów zapadła cisza. Gielmuda był zupełnie zdezorientowany, ale nie miał powodów, by nie wierzyć staremu. Tym bardziej że Jasiek przez cały czas, gdy Trześniowski mówił, bezgłośnie potakiwał głową. Rafał miał jakieś dziwne przekonanie, że temu brodaczowi może zaufać. Miał też nadzieję, że gdy sołtysa przy nich nie będzie, uda mu się od Greli dowiedzieć czegoś więcej; Jasiek wyglądał na człowieka, któremu na dłuższą metę trudno jest utrzymać język za zębami.

\*

Posiedzieli jeszcze trochę, nie wracając już do poprzednio poruszanych tematów. Wreszcie, gdy było widać, że stary zaczyna przysypiać, Jasiek stwierdził, że pora udać się na spoczynek. Rafał poprosił jeszcze o kubek wody i poszedł do swojej izby.

Od razu wypił połowę zawartości ceramicznego naczynia, rozebrał się i gdy odkładał spodnie na stojące obok łóżka krzesło, potrącił kubek, który z hukiem roztrzaskał się o podłogę. Gielmuda zebrał skorupy, przeklinając swoją nieuwagę. Zaraz potem położył się na swoim pościaniu.

Był pewien, że ciężko mu będzie zasnąć i nie pomylił się. Długo przewracał się z boku na bok, po raz enty roztrząsając położenie, w jakim się znalazł.

Z zamyślenia wyrwał go cichy dźwięk, dobiegający zza okna. Najpierw był on niemal niesłyszalny, jednak po chwili zabrzmiał wyraźniej. Do uszu Rafała dobiegł odgłos przypominający płacz

dziecka.

„Koty” - pomyślał. - „A przecież Jasiek mówił, że nie ma już żadnych zwierząt. Widać miał na myśli tylko te hodowlane...”.

Dźwięk wyraźnie przybrał na sile i Gielmuda zaczął się zastanawiać, czy miał rację. Teraz zza okna wyraźnie słyszał ludzki płacz. Gdy ten przeszedł w kobiecy lament, chłopak podniósł się i wyjrzał przez okno. Niczego nie udało mu się dostrzec, mimo że przyłożył twarz niemal do szyby. Dokładnie w tym momencie czyjaś ręka uderzyła w okno.

- To ty? - usłyszał. - Wiem, że to ty... Chodź tu do mnie... Boże, jak strasznie boli... Dobrze, że cię znalazłam, Rafałku kochany... Szukałam od wczoraj, ale już wszystko dobrze, bo jesteś... Chodź, proszę, pomóż...

Znal ten głos. Znal go od dzieciństwa.

- Synku, jak długo mam na ciebie czekać? - Przecież nie pozwolisz mi tutaj umrzeć... Nie pozwolisz, prawda?

- Mamo - szepnął. - Już do ciebie idę.

Nie ubierając się, po omacku wyszedł z pokoju. Było całkowicie ciemno, ale znalazł już drogę do drzwi wyjściowych. Potknął się na stopniach prowadzących przez sień, ale udało mu się bezgłośnie wyjść na zewnątrz.

Światło księżycy nie mogło wprawdzie przedrzeć się przez chmury, ale rozjaśniało otoczenie na tyle, aby Rafał mógł biec. Zaraz potem znalazł się pod oknem swojej izby i zobaczył postać leżącą twarzą do ziemi, tuż przy ścianie.

- Mamo - odezwał się, klękając obok. - Skąd się tu wzięłaś? Jak mnie znalazłaś?

Kobieta z wysiłkiem podniosła głowę i spojrzała w kierunku chłopaka. Jej twarz była cała zakrwawiona, lewe oko otaczała gruba, sina opuchlizna.

- Synku, jesteś - uśmiechnęła się krwawiącymi dziąsłami. Jej przednie zęby najwyraźniej zostały wybite. - Chodź do mnie - szepnęła, wyciągając ramiona. - Przytul się, tak bardzo się bałam, że cię więcej nie zobaczę...

- Kto ci to zrobił? - zapytał, tuląc ją w ramionach. - Mamo, powiedz, kto?



- Ten z brodą, ale to nieważne. Najważniejsze, że jesteś przy mnie.

- Grela? Jasiak Grela?

- Nie wiem... Taki niewysoki, czarny... Nie chciał pozwolić, żebym do ciebie przyszła. Żebym przyszła i zabrała cię do domu...

- Wstań, mamu. Chodźmy stąd. Niedaleko jest samochód, uciekniemy z tego przeklętego miejsca...

- Zaraz - syknęła. - Jeszcze nie teraz. Zobacz, mam tu coś dla ciebie. - Z kieszeni beżowego płaszcza wyciągnęła zwój cienkiego powrozu.

Chodźmy tam - wskazała ręką rosnące obok drzewo. - Musisz jeszcze coś dla mnie zrobić. Oddalili się kilka metrów od domu. Kobieta przerzuciła sznur przez najniższą gałąź. Na końcu liny Rafał dostrzegł zawiązaną pętlę.

- Musisz to zrobić. Ja przytrzymam z drugiej strony, a zaraz potem pojedziemy do domu...

Chłopak patrzył na matkę, jakby nie rozumiejąc nic z tego, co mówi.

- Mamu, dlaczego? - spytał wreszcie. - Co to da? Jedźmy do domu.

„Co on jej zrobił?” - z nienawiścią pomyślał o Grelu. - „To przez niego postradała zmysły”.

- Tylko na chwilę, synku. Włóż tu głowę, proszę...

Kobieta stała tyłem do domu. Rafał zdążył dostrzec w ciemności zbliżającą się postać. Nie miał wątpliwości, że to Grela.

- Stój, skurwysynu - krzyknął i zobaczył, jak tamten podnosi nad głową ostrze siekiery.

Usłyszał cichy świst i toporzysko z ogromną siłą wbiło się w kark kobiety. Ta stęknęła cicho i lekko się zachwiała. Jasiak wyszarpnął ostrze z ciała kobiety. Towarzyszyło temu coś na kształt cichego młaśnięcia.

- Nie! - krzyknął Gielmuda. - Zostaw ją!

Ostrze uderzyło raz jeszcze, dokładnie w to samo miejsce, co poprzednio. Głowa matki przechyliła się na bok i zwiśla bezwładnie na resztkach ścięgien i skóry. Po chwili martwe ciało upadło u stóp Rafała. Ten nie mógł zrobić nawet kroku. Patrzył to

na odciętą głowę, to na twarz oprawcy.

- Co ona ci zrobiła?! - wrzasnął. - Zabiję cię, wiesz? Zapierdołę cię, ty chuju!

Ruszył w kierunku Greli, a ten odparł spokojnym głosem, podnosząc po raz kolejny siekiere nad głowę:

- To może za chwilę? Zobacz, co tu mam. - Lekko potrząsnął trzonkiem. - Na to zawsze będzie czas, a na razie nie masz szans, więc stój, gdzie stoisz. - Rafał był pewien, że Jasiek się uśmiechnął.

Chłopak ukląkł przy zwłokach matki. Wpatrywała się w niebo nie-widzącym wzrokiem. Gdy spojrzał niżej, w bladej poświacie zobaczył krew tryskającą z przeciętej tętnicy. Zachwiał się i osunął na jej martwe ciało.

\*

Otrzeźwiał, czując energiczne potrząsanie za ramię. Pochylił się nad nim Greła, który w jednej ręce trzymał zapaloną świecę. W drugiej wciąż trzymał siekiere, a jego twarz wykrzywiona była w upiornym uśmiechu.

- Zabiję cię - szepnął Rafał.

- Może najpierw popatrzyłbyś na swoją mamę? Kobieta leżąca na ziemi miała około pięćdziesięciu lat.

Kruczoczarne włosy na jej odrąbanej głowie w niczym nie przypominały włosów matki Gielmudy, która była blondynką. Twarz była sinoczarna. W niebo wpatrywały się ślepe, niewidzące białka martwych oczu.

- Chodź, zanim wstanie i pójdzie leczyć rany na Czarny Wygon - powiedział Greła. - O mało cię nie dopadła. Mieliśmy dużo szczęścia...

## XI

- Chrystus zmartwychwstał!

Te słowa obudziły Rafała z głębokiego snu.

- Prawdziwie powstał. - Odpowiedź przyszła mu do głowy

zupełnie odruchowo. Dopiero, kiedy ją wypowiedział, zorientował się, że jest to tradycyjne pozdrowienie chrześcijańskie, wypowiedane na Roztoczu w Niedzielę Wielkanocną. Przypomniał sobie matkę, która go nauczyła tych słów i natychmiast stanęły mu przed oczyma wydarzenia ostatniej nocy.

- Wstawaj, chłopcze, już prawie wpół do siódmej - odezwał się znów Trześniowski. - Niedługo wszyscy zaczną się schodzić i nie wypada, żebyś jeszcze spał. Ubierz się, obmyj i czekaj w swojej izbie. Jasiek cię zawoła, jak przyjdzie odpowiedni czas.

Gielmuda wypełnił polecenia gospodarza i niedługo potem, jak wrócił do pokoju, usłyszał z korytarza odgłosy wskazujące na to, że co chwila ktoś wchodzi do domu Trześniowskich. Cekał cierpliwie na wezwanie. W pewnym momencie ze zdumieniem zauważył, że kubek, który poprzedniego wieczora rozbił się na drobne kawałki, stoi nienaruszony tuż obok jego łóżka.

Obracał go w dłoniach, gdy drzwi uchyliły się z cichym skrzypnięciem i do pomieszczenia wszedł Jasiek.

- Już pora - powiedział.

Rafał przyglądał się brodaczowi bez słowa.

- Wszystko się wyjaśni niezadługo - powiedział Grela. - Dobrze, że wszystko się tak skończyło. Chodź.

Jasiek zniknął za drzwiami.

\*

W pokoju gościnnym zebrała się spora grupa ludzi; Gielmuda naliczył około dziesięciu osób. Kiedy wchodził, większość oczu skierowała się w jego stronę. Zobaczył w nich zdziwienie zmieszane z obawą. Trześniowski, który stał za stołem, nie dopuścił do żadnych pytań. Silnym, czystym głosem zaintonował:

*Nie zna śmierci Pan żywota  
Chociaż przeszedł przez jej wrota;  
Rozerwała grobu pęta  
Ręka święta. Alleluja!*

Zgromadzeni podjęli pieśń, śpiewając ile sił w płucach. Po chwili nikt z nich nie pamiętał już o niezwykłym przybyszu. Stopili się w modlitwie, którą prowadził sołtys, posługując się sfatygowaną książeczką do nabożeństwa. Wcielił się w rolę kapłana odprawiającego mszę. Tylko mała, może dziesięcioletnia dziewczynka, wciąż natrętnie przyglądała się Gielmudzie. Było to jedyne dziecko, znajdujące się w pokoju.

Rafał nie mógł skupić się na uczestnictwie w tej niezwykłej ceremonii. Starając się, aby nie patrzeć zbyt nachalnie, obserwował zebranych. Byli to ludzie w różnym wieku. Od - wyłączając dziecko - Helenki, która mogła mieć mniej więcej dwadzieścia lat, poprzez ludzi około trzydziestki, z których najbardziej charakterystycznym był mężczyzna o jasnych włosach, pozbawiony prawej ręki, aż po przygarbioną, co najmniej osiemdziesięcioletnią staruszkę, siedzącą na specjalnie dla niej przyniesionym krześle. Wszyscy modlili się w skupieniu, odpowiadając chórem na słowa Trześniowskiego i śpiewając rezurekcyjne pieśni wielkanocne. Dziewczynka nie spuszczała z Rafała wielkich, niebieskich oczu, nie zważając na to, co dzieje się wokół. Uśmiechnął się do niej, a ona odwzajemniła uśmiech i zawstydzona spojrzała w dół na swoje białe, odświętne buciki.

Głównymi różnicami w porównaniu do zwykłych nabożeństw wielkanocnych było to, że prowadzący zrezygnował z kazania i fakt, że nikt nie przyjmował komunii; msza skończyła się więc dość szybko. Uwagę Rafała zwróciło żarliwe i pełne emocji przekazanie znaku pokoju. Poza Jaśkiem i Trześniowskim nikt nie podszedł do Gielmudy, by ucisnąć mu rękę. Był dla nich obcy.

- Niech was błogosławi Bóg Wszechmogący. Ojciec i Syn, i Duch Święty - mówił na zakończenie sołtys.

- Amen - odpowiedzieli.

- Idźcie w pokoju Chrystusa.

- Bogu niech będą dzięki.

Nazwanie Rafała praktykującym katolikiem byłoby grubą przesadą. Zdarzało się, że nie chodził do kościoła nawet w największe święta, jednak właśnie stwierdził, że gdyby miał

możliwość brać udział w nabożeństwach takich jak to, odbywające się w małej, skromnej chacie, uczestniczyłby w nich co niedzielę. Ujął go żar modlitwy, przekonanie, z jakim zgromadzeni wypowiadali wyświechtane w jego dotychczasowym odczuciu formuły i ufność w Najwyższego, płynącą z każdego słowa. Po raz ostatni tego ranka zabrzmiały słowa pieśni. Tym razem izbę wypełniły słowa:

*Zwycięzca śmierci, piekła i szatana...*

Nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że wszyscy obecni tę właśnie pieśń odśpiewali ze zdwojoną mocą.

\*

Podczas mszy na stole przykrytym białym obrusem stał duży, płaski talerz, na którym leżały kawałki ciemnego chleba. Kiedy wybrzmiały ostatnie tony pieśni, ponownie odezwał się gospodarz:

- Spotkali żeśmy się tu tak, jak od wielu lat się spotykamy, ale każdy widzi, że w tym roku jest nas o jednego więcej. Przedostatniej nocy, nie wiedząc jakim sposobem, trafił do naszej Starzyzny gość. - Wskazał ruchem ręki na Gielmudę. - Ma na imię Rafał i przybył tu z naszego dawnego świata, do którego wszyscy tak bardzo chcielibyśmy wrócić i za co modlim się każdego dnia...

Zebrani zaczęli szeptać między sobą, spoglądając to na chłopaka, to na Trześniowskiego.

- Moi drodzy, o jedno was proszę: przyjmijcie go jak swego i chroncie w miarę możliwości od złego, które między nami ciągle jest obecne - ciągnął sołtys. - Przez te wszystkie lata różnie między nami bywało. Nie brakowało czasem i waśni, jak to bywa wśród ludzi, ale na koniec zawsze potrafiliżeśmy się pojednać i tak oto, w tym dniu radosnym, kiedy Nasz Pan powstał z martwych, życzę wam wszystkim wszystkiego dobrego na kolejny rok. - Podniósł talerz i prawą dłonią nakreślił nad nim znak krzyża. - Podzielmy się teraz tym darem bożym, który

zamiast tradycyjnych święconych jajek, służy nam jako pamiątka zmartwychwstania.

Obszedł pokój wokół, częstując kawałkiem pieczywa każdego z zebranych. Wreszcie stanął na środku, przeżegnał się i już miał włożyć do ust swoją część chleba, kiedy zamyślił się i dodał:

- I o jednym jeszcze pamiętać musimy: skoro ten młody człowiek do nas zawitał, to może i jest jaka droga w drugą stronę. Nie traćmy nadziei, bo kiedy ona nas opuści, nic już nam nie pomoże.

- Amen. - Siedząca na krześle staruszka wyraźnie się ożywiła. - Daj Boże, abyś był zwiastunem dobrych wieści, synku - bezzębnymi dźbiałami uśmiechnęła się do Rafała i wróciła do przeżuwania swojego kawałka razowca.

## XII

- Nie może pan trzymać wszystkiego w tajemnicy. Przecież poprzedniej nocy, gdybym wiedział, że to może być podstęp, z pewnością nie wyszedłbym na dwór!

Siedzieli w kuchni tylko we dwóch. Przed chwilą skończyli śniadanie, które należało nazwać wielkanocnym, jednak posiłek, podczas którego o mięsie czy jajkach można było co najwyżej pomarzyć, z pewnością nie należał do wykwintnych. Jasiek wyszedł razem z innymi, ponieważ chciał odprowadzić do domu ojca, a poza tym, po nocnych wydarzeniach i czuwaniu do samego poranka, wołał odpocząć we własnym łóżku.

Białe barszcz z kawałkami chleba i chrzanem, na deser kawałek strucli makowej oraz nieodzowna herbata miętowa - to wszystko, co znalazło się na stole. Gielmuda nie zamierzał grymasić po pierwsze dlatego, że nie wypadało, a po drugie - miał o wiele ważniejsze sprawy na głowie. Musiał dowiedzieć się od sołtysa jak najwięcej, więc gdy tylko Helenka skończyła sprzątanie po śniadaniu i wyszła z kuchni, zasypał gospodarza pytaniami.

- To wszystko wygląda jak senny koszmar, ale równocześnie trwa zbyt długo, żebym nie musiał wziąć pod uwagę, że jednak

dzieje się naprawdę - ciągnął. - Jeśli rzeczywiście dobrze mi pan życzy, a w takie intencje raczej nie wątpię, muszę znać jak najwięcej szczegółów. Proszę mi wszystko opowiedzieć, od samego początku...

Wpatrywał się błagalnie w nieruchomą twarz starego mężczyzny. Ten westchnął ciężko, oparł łokcie o stół i wreszcie rzekł:

- Masz rację, chłopcze. Bóg mi świadkiem, że nie chcę, aby stało ci się co złego, więc powinienżeś wiedzieć. Ale najsamprzód powiedz mi jedno - czy w ostatnim czasie nie wyrządziłżeś komu jakiej krzywdy? Możeś kogo zabił albo...

- Pan chyba żartuje! - zachnął się Gielmuda. - Ja? Zabić kogoś?! Niech pan nie...

- Nie denerwuj się, synu - przerwał Trześniowski.

- Tak żem tylko sobie pomyślał...

- Czyli mam rozumieć, że być może jestem tu za karę? Tak jak wy wszyscy? Wszyscy macie coś na sumieniu? A może trafiłem do jakiejś wioski morderców? Taaak, zwłaszcza ta mała dziewczynka wyglądała na bardzo niebezpieczną. ..

- Przestań. - Gospodarz machnął ręką zniecierpliwiony. - Nie powiem ci nic o tym, co się tu stało w pięćdziesiątym drugim, bo to stare dzieje i znaczenia żadnego nie mają. I nikt ci nie powie nic poza tym, że źle się stało i koniec. Od wtedy to wszystko się zaczęło.

- Co się zaczęło?

- Zostalim na świecie tylko my. Od wtedy ani słońce, ani księżyc nie wschodzą nad Starzyzną. Ktoś, tam na górze, postanowił, że będziemy żyć sami dla siebie. I dla nikogo więcej.

- Niech pan mi powie jedną rzecz - mamy teraz rok dwa tysiące pierwszy. Jak to możliwe, że pańska córka wygląda na dwadzieścia lat, a pan... No, pan...

- Że jeszcze żyję? Nikt z nas nie potrafi tego objąć rozumem. Prawda jest taka, że u nas nikt się nie starzeje. Jesteśmy tacy, jak wtedy, czterdzieści dziewięć lat temu. Był tu u nas ksiądz, taki miody, może najwyżej ze trzydzieści lat miał, niedługo po seminarium chyba. I od kiedy żeśmy go znaleźli powieszzonego na

plebanii, nic się nie zmienia. Świat o nas zapomniał, nawet zwierząt nie ma u nas żadnych. Może dlatego, że one... one nie były niczemu winne... Wyzdychały w ciągu kilku lat, dla nich czas się nie zatrzymał, tak jak dla nas. Wszystko, co mielim, jest takie jak dawniej. Buty, ubrania, narzędzia... Nic się u nas nie niszczy. A jak co się zepsuje, to na drugi dzień jest takie jak poprzedniego dnia.

- Kubek wczoraj zbiłem i dziś rano był cały - powiedział Gielmuda.

- Sól - Trześniowski nie zareagował na słowa chłopaka. - Soli nam nie ubywa. I cukru. Świece na ten przykład też jak się z wieczora trochę wypala, to z rana są takie, jak dawniej i dzięki temu jest u nas jasno nocami. I może co jeszcze takiego jest, ale nie pomnę teraz, zresztą - nieważne. Nie mamy mięsa, jajek, mleka - to wszystko pochodzi od zwierząt. Jest tylko to, co możemy sami zebrać w polu, w lesie czy na łąkach. Pszenica, ziemniaki, czarne jagody, mięta... I mnsim to zbierać. Gdyby nam zbrakło jedzenia, byłoby to tak, jak targnąć się samemu na własne życie. A tu, w Starzyźnie, nie ma niczego gorszego niż samego siebie zabić... Bylibyśmy wtedy tacy, jak ta, co chciała w nocy, żebyś sobie sznur na szyję nawlekł...

- To pan ją zna?

- A jakże... Mieszkała z nami przez cztery lata prawie. Nie wytrzymała podszeptów złego. Namawiał ją wiele razy, wiele razy się opierała...

Kto ją namawiał, do czego?

- Ten nasz ksiądz, co się był powiesił. Zaraz po tym, jak żeśmy go w ziemi cmentarnej zakopali, zaczął odwiedzać Starzyznę. Nocami chodził za nami po wiosce, patrzył tymi swoimi białymi ślepiami, błagał, zaklinał na wszystkie świętości, żeby do niego dołączyć. Skarżył się, że źle mu samemu na Czarnym Wygonie... - Stary przerwał na chwilę. - Tak, Jasia Bielakowa to była bardzo dzielna kobieta. Straciła na wojnie męża i dwóch synów, młodszych nawet od ciebie, ale zniosła to bez słowa skargi. Poddała się wreszcie, bo ją przekabacił. Znaleźliże- śmy ją na tym samym drzewie, na które dziś zarzucała powróż, zaraz koło



mojego domu. Ze trzy dni po jej pogrzebie zastukała do mnie do okna. Otworzyłem. Miała takie same ślepe białka, co u księdza wcześniej ztem widział i powiedziała: „Jakubie, pora i na ciebie. Zbieraj się. Będzie nam tam razem dobrze, zobaczysz. Nigdzie nie jest tak dobrze, jak na Czarnym Wygonie. Dzisiaj pójdziesz ze mną, a niezadługo wrócisz po swoją Helenkę”. Patrzyła i patrzyła, aż wreszcie sam z siebie zacząłem szukać sznura po domu. Nie wiadomo, co byłoby, gdyby nie moja córca... To ona mnie uratowała, bo z domu ze sznurem nie wypuściła, a zaraz potem otrzeźwienie rozumu na mnie przyszło.

- Co się stało z tą kobietą? Jasiek odrąbał jej głowę siekierą... Nie mogła tego przetrwać....

- Znów jest na Czarnym Wygonie. Wróciła tam - Oni zawsze tam wracają. Próbowaliżemy ich zabijać na wszelkie sposoby, ale nie da się. Ich nie można zabić. Tak samo, jak i nas...

- A dużo ich jest?

Rafał to pytanie miał przygotowane już wcześniej i początkowo nie dotarła do niego treść ostatniego wypowiedzianego przez gospodarza zdania. Po chwili otworzył szeroko oczy.

- Że co?! Was też nie da się zabić?

- Razem z księdzem będzie czworo. - Trześniowski wstał, podszedł do kredensu i wyjął z niego nóż. - Zobacz...

Ostrze prowadzone silną ręką wbiło się w lewe przedramię. Na podłogę trysnęła krew.

- Jutro po tej ranie nie będzie nawet śladu. Nikt z żywych nie może nas skrzywdzić, chyba że postanowimy sami pożegnać się z życiem, a to jest najgorsze, co może nas tu spotkać. Dwa razy ztem umierał od ręki starszego Kowalika, a potem wracałem do wsi z Czarnego Wygonu...

- A ja? Czy mnie również nie można zabić?

- Jest tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać...

Stary włożył nóż w dłoń Gielmudy. Ten zawahał się przez chwilę, po czym czerwonym od krwi ostrzem rozciął skórę na dłoni.

- Tak, dobrze - powiedział Trześniowski. - Jutro będziem wiedzieć.

## Rozdział trzeci

### 1.

Ze złością odłożyłem, a właściwie rzuciłem brulion na nocny stolik. Miałem dosyć tych bredni i byłem wściekły na siebie, że dałem się nabrać Piaseckiemu. Gdyby nie spacer, który odbyłem wcześniej, uznałbym mój wyjazd na Roztocze za nieporozumienie i kompletną stratę czasu.

Pojęcia nie miałem, w co gra ten facet. Zastanawiałem się głównie nad tym, dlaczego chciał akurat mnie zainteresować tym, co było napisane w brulionie - już pomijając fakt, że zacząłem powątpiewać w istnienie owego tajemniczego kolegi, który rzekomo był autorem zapisków. A może chciał to wydać i miał nadzieję zainteresować tekstem kogoś z Warszawy? Lecz przecież ja byłem jedną z najmniej odpowiednich osób do tego, aby zajmować się czyjąś prozą - od tego są redaktorzy profesjonalnych wydawnictw.

W pewnym momencie aż usiadłem na łóżku. Wszystkie te banialuki zainteresowały mnie na tyle, że zacząłem traktować dziewczynkę jako część tych bzdur, którymi się zaczytywałem. Jak ostatni idiota szukałem rozwiązania jej tajemnicy w czyichś chorych wynurzeniach, zamiast natychmiast poinformować kogoś, choćby miejscowego policjanta, że widziałem samotne dziecko w lesie. Zamiast się jej bać, powinienem był jej pomóc.

Postanowiłem natychmiast pójść do Janka, aby poradzić się, co robić w tej sytuacji. On był miejscowy i z pewnością wiedział, do kogo należy zwrócić się o pomoc.

Zakładałem właśnie kurtkę, kiedy za moimi plecami rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Aż podskoczyłem, a zanim zdążyłem się odwrócić w stronę okna, coś uderzyło mnie w stopę. Kiedy spojrzałem w dół, aż jęknąłem z obrzydzenia. Zakrwawiona

głowa czarno-białego psa odbiła się od mojego buta i, ciągnąc za sobą krwawy ślad, toczyła się w kierunku drzwi prowadzących na korytarz. Wreszcie, tuż przed nimi, zatrzymała się. Długowłosey kundel spoglądał na mnie szklanymi oczyma, szczerząc kły w pośmiertnym uśmiechu. Zacząłem się odruchowo cofać w kierunku okna.

„Jest jeszcze przecież ten wielki facet” - pomyślałem - „To pewnie jego dzieło, więc lepiej nie wychodzić na zewnątrz...”.

Wyglądało na to, że utknąłem w pułapce. Na dworze od pewnego czasu nie paliło się światło, a zza wybitego okna nie słychać było żadnych dźwięków. Prawdopodobnie Janek uznał, że nie ma sensu dłużej trzymać pracowników w pustym lokalu i postanowił wcześniej rozpocząć weekend. Powtarzała się sytuacja z poprzedniego dnia, tyle że dziś już wiedziałem więcej o wielkim intruzie. A to że nie był ponoć niebezpieczny dla ludzi? Ktoś kto obcina, a raczej - po wyglądzie fragmentu psa było to bardziej prawdopodobne - urywa zwierzętom głowy, czy nie może też zagrozić ludziom? Może. Z pewnością może i byłem tego więcej niż pewien.

Znów usłyszałem niespodziewany dźwięk i odwróciłem się w kierunku okna. Przedmiot zamajaczył mi w słabym świetle nocnej lampki tuż przed tym, jak wpadł do pokoju. Z głuchym odgłosem uderzył mnie w klatkę piersiową, powodując, że wyłożyłem się na dywaniku jak długi.

Poczułem, jak koszula nasiąka mi ciepłą, lepką cieczą. Mokra było mi również w głowę, która spoczęła w krwawej plamie, tuż obok urwanego psiego łba.

Było jeszcze coś, co opierało się o moją prawą dłoń; coś ciepłego, kudłatego i dosyć ciężkiego. Właściwie domyślałem się, co to jest. Spojrzałem i stwierdziłem, że miałem rację - tułów psa, z którego szyi wciąż sączyła się krew, leżał tuż u mojego boku.

Chciałem jak najszybciej się podnieść, lecz jeszcze przez dłuższy czas leżałem z zamkniętymi oczyma, sparaliżowany strachem i obrzydzeniem. Myśli z prędkością światła przebiegały pod czaszką. Było dla mnie oczywiste, kto stał za tym makabrycznym zdarzeniem. Pies nie należał do olbrzymów, był co najwyżej

średniej wielkości, lecz z pewnością ważył około dwudziestu kilogramów. Moje okno znajdowało się na wysokości co najmniej pięciu metrów i oczywiście było, że trzeba niezwykłej siły, aby taki ciężar wyrzucić do góry z poziomu podwórza. Mogła tego dokonać tylko jedna osoba. W połączeniu z wcześniejszymi informacjami o tajemniczym mordowaniu zwierząt w okolicy, jasne było, że zrobił to ogromny mężczyzna, którego widziałem wcześniej. „Upiór z Guciowa” - przypomniałem sobie, jak określił go Janek.

Wreszcie wstałem i, starając się nie patrzeć pod nogi, zdjąłem zakrwawione ubranie. Nie miałem pojęcia, co będzie dalej, ale jak najszybciej chciałem pozbyć się mokrych od krwi ciuchów. Kiedy już mi się to udało, włożyłem je do foliowej reklamówki i usiadłem na łóżku, zastanawiając się nad tym, co powinienem zrobić w tej sytuacji. Jedno było pewne - żałowałem, że nie przyjąłem propozycji Janka. Gdybym nie był taki uparty, z pewnością do tego wszystkiego by nie doszło i siedziałbym teraz bezpiecznie z moim nowym znajomym, racząc się „Świeżością poranka”. Jednak stało się i musiałem wyjść z tego domu. Nie zamierzałem czekać, aż tajemniczy olbrzym po raz kolejny odwiedzi mnie w pokoju.

Moja kondycja fizyczna pozostawiała wiele do życzenia. Nie byłem pewien, czy uda mi się biegiem pokonać przestrzeń dzielącą mnie od zabudowań Janka. Wiedziałem natomiast, że nawet gdyby się to powiodło, ze względu na kalectwo będę się poruszał z prędkością żwawego staruszka. Strach był jednak o wiele silniejszy niż zdrowy rozsądek i po chwili znalazłem się na ciemnym podwórzu.

Nic nie wskazywało na to, że w mroku może czaić się niebezpieczeństwo. Stałem niedaleko od drzwi wejściowych, wsłuchując się uważnie w ciszę przedwiosennego, wiejskiego wieczoru, którą dane mi było poznać już wcześniej. W oddali poszczekiwały psy, bezlistne drzewa szeptały swoją dobiegającą z mroku mantrę, a słabe światła przydrożnych latarni kładły się delikatnie u moich stóp. Ostrożnie ruszyłem w kierunku szosy, którą przejechał dostawczy samochód.

„Wszystko w normie”, pomyślałem, wpatrując się w oddalające się tylne reflektory pojazdu. „Musi się udać”.

Szedłem powoli, oglądając się raz po raz, czy ktoś nie odciął mi drogi odwrotu. Wciąż byłem na tyle blisko domu, że nawet kilka koślawych susów mogło uczynić mnie bezpiecznym. Wreszcie dotarłem do asfaltu.

Po obu stronach - ani żywego ducha. Jakieś dwieście metrów dzieliło mnie od domu Janka. Zacząłem biec najszybciej jak to możliwe. Po stu metrach dopadła mnie zadyszka, więc przystanąłem tuż obok latarni, której światło dawało namiastkę bezpieczeństwa. Raz jeszcze obejrzałem się za siebie i, ponieważ nie dostrzegłem niczego podejrzanego, ruszyłem zwawym krokiem. Mój cień na drodze coraz bardziej się wydłużał. Do bramy Jankowych zabudowań pozostało najwyżej dwadzieścia metrów, gdy na asfalcie, obok mojego, pojawił się jeszcze jeden, o wiele większy cień. Nie zdążyłem zobaczyć, do kogo należy - moje lewe ramię znalazło się w żelaznym uścisku. Nadludzka siła wykręciła mi rękę; upadając na chłodny asfalt, nie zdążyłem wydać z siebie nawet najcichszego dźwięku.

Przyklęknął tuż obok. Nie widziałem twarzy, ponieważ światło padało zza jego pleców. Jedną ręką wciąż trzymał mnie za ramię, a drugą sięgnął do szyi. Mógł zacisnąć palce natychmiast, skracając moje cierpienia, lecz miałem wrażenie, że delektuje się swoją nieograniczoną władzą nad moim życiem. Z jego gardła wydobył się dźwięk, jakiego nigdy dotąd nie słyszałem. Niski, dobiegający gdzieś z głębi ciała char- kot, brzmiący w moich uszach jak odgłos nieludzkiej satysfakcji. W tym momencie stalowe palce zaczęły zaciskać się na mojej grdyce.

Otworzyłem oczy, gdy uścisk lekko zelżał, jednocześnie rejestrując narastający dźwięk. Światła zbliżającego się samochodu padły na klęczącego mężczyznę. Podniósł głowę na ułamek sekundy i wtedy zobaczyłem jego twarz, a właściwie to, co po niej pozostało. Oczy ze złością zerknęły w kierunku pojazdu, a pod nimi... Facet nie miał dolnej części twarzy. Zdążyłem jedynie dostrzec zakrzepłą, krwawą breję, która była tam, gdzie zwykle znajdują się usta i nos. Jednego byłem pewien -

napastnik nie miał dolnej szczęki, a to, co było poniżej oczu, było całkowicie... Zmiażdżone?

Nie miałem czasu, aby przyjrzeć się dokładnie. Samochód był coraz bliżej, a drogowe światła już nie oświetlały twarzy napastnika. Pochylił głowę i oderwał rękę od mojej szyi, równocześnie powstając z kolan. Powolnym krokiem odszedł w kierunku przydrożnych krzewów, niknąc pomiędzy nimi dokładnie w momencie, gdy auto z piskiem opon zahamowało tuż obok mnie.

## 2.

- Panie Uchmann, nic się panu nie stało? - zapytał ktoś, wysiadając z samochodu. - Wygląda na to, że zdążyłem w samą porę.

Rozpoznałem głos Piaseckiego.

- Pomogę panu wstać. - Pochylił się i wyciągnął rękę w moją stronę.

- Musimy go złapać - wycharczałem, wstając z trudem. - Gońmy sukinsyna! Zawołam Janka i dorwiemy gnoja, przecież nie mógł uciec daleko...

- To nie ma sensu - przerwał. - We dwóch nie damy mu rady, a zanim wezwiemy posiłki, będzie już daleko stąd. Lepiej niech mi pan powie, co się stało...

- Co się stało? Widziałeś przecież, co się stało! Człowieku, to wszystko przez ciebie! - mówienie sprawiało mi spory kłopot, ale wzburzenie i adrenalina powodowały, że nie zwracałem na to uwagi. - Ściągnąłeś mnie tutaj, dałeś zeszyt z jakimiś pierdołami, a teraz...

- Czy teraz, po tym wszystkim - znów przerwał mi bezceremonialnie - w dalszym ciągu uważa pan, że to są pierdoły? Jest pan tego pewien? Jeśli tak, to zaraz mogę pana odwieźć do Zwierzyńca albo dokąd tylko pan zechce. Nawet do Warszawy...

Zamilkłem. Był bardzo zdeterminowany - to trzeba było mu

przyznać. Z drugiej jednak strony nie wiedział, że nie przeczytałem jeszcze wszystkiego, co było napisane w brulionie. Może było tam coś, co przekonałoby mnie na tyle, że nie miałbym żadnych wątpliwości? Szybko zebrałem myśli i stwierdziłem, że z całą pewnością kazałbym się natychmiast odwieźć do najbliższego miasta, gdyby nie jeden fakt. Wciąż miałem w pamięci zmasakrowaną twarz napastnika. Co prawda mignęła mi ona przed oczyma tylko przez chwilę, ale byłem przekonany, że normalny człowiek nie przeżyłby z takimi ranami nawet godziny, nie mówiąc już o wielu dniach, na przestrzeni których - w co zaczynałem wierzyć - kręcił się po tutejszej okolicy.

- Dobrze - powiedziałem wreszcie, z satysfakcją stwierdzając, że mój głos brzmi już prawie normalnie. - W takim razie pójdziemy teraz do pokoju, w którym mieszkam, i tam wszystko mi opowiesz. Od początku do samego końca. W przeciwnym razie idę po rzeczy i jedziemy do Lublina.

- Przeczytał pan już wszystko, co jest napisane w zeszycie? - zdawał się nie zwracać uwagi na moje słowa.

- Jeszcze nie, ale co to ma do rzeczy?

- Ma, i to bardzo dużo - odrzekł stanowczo. - Oczywiście, jeśli pan sobie tego życzy, zrobimy tak, jak pan powiedział, ale zapewniam, że przed taką rozmową lepiej byłoby, żeby przeczytał pan całość.

- W takim razie pójdziemy, ja będę czytał, a ty poczekaasz, aż skończę. Tylko nie wiem, czy będzie ci się przyjemnie czekało, bo w pokoju, w kałuży krwi leży truchło zabitego psa, któremu ktoś - i domyślam się kto - urwał głowę.

- To dlatego zdecydował się pan zostać, mimo że nie zna pan całości notatek?

Staliśmy obok samochodu, którego silnik wciąż pracował, i który ciągle miał włączone długie światła.

- Lepiej stąd chodźmy - odparłem. - Nie zwracajmy na siebie uwagi.

Wsiadliśmy do auta. Kiedy samochód ruszył, powiedziałem:

- Zdecydowałem się zostać, bo dziś w okolicach Słonecznej Doliny spotkałem małą dziewczynkę, która widziała mnie, mimo

że w oczach nie miała nawet śladu tęczy ani źrenic. - Piasecki odwrócił gwałtownie głowę w moim kierunku.

- Patrz na drogę - napomniałem go.

Posłuchał, ale nawet nagle światła deski rozdzielczej pozwoliły mi zauważyć, że znacznie pobladł.

- Widziałem też twarz gościa, który mnie dusił - dodałem, a na policzku Piaseckiego pojawił się znany mi już tik. - Dokładnie rzecz biorąc, widziałem to, co z niej pozostało.

Nie odezwał się ani słowem, lecz mięśnie pod warstwą cienkiej skóry drgały jak szalone.

- A teraz znajdź jakieś miejsce, gdzie można zawrócić, bo wejście do zagrody zostało kilkaset metrów za nami.

Gdy to powiedziałem, oparłem się o fotel i stwierdziłem, że nie ruszę się z Roztocza, dopóki nie dowiem się, o co w tym wszystkim tak naprawdę chodzi.

### 3.

Szybko przeszliśmy przez podwórze, rozglądając się wokół siebie. Kusiliśmy los - to pewne, ale nie było innego wyjścia. Gdy znaleźliśmy się w budynku, zamknąłem drzwi na zasuwę i dodatkowo przekreśliłem klucz w dolnym zamku.

Zapaliłem górne światło, przez co pokój wyglądał jeszcze bardziej przerażająco niż w momencie, w którym go opuszczałem. Kałuża krwi wokół szczątków psa znacznie się powiększyła. Piasecki stanął w progu i przyglądał się makabrycznemu widokowi, jakby wahając się, czy wejść dalej.

- No chodź - powiedziałem. - Przecież sam tego chciałeś.

Niepewnie postąpił dwa kroki.

- Panie Witku - odezwał się niepewnie - czy... czy mógłbym zaproponować inne rozwiązanie?

- Jakie znowu rozwiązanie, kurwa mać?! Musimy tu przetrwać do rana i chyba we dwóch damy jakoś radę.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli jednak się stąd wyniesiemy.

- Jak to „się wyniesiemy”? Dokąd? I że niby co? Zostawimy tak



ten cały bajzel?

- No nie... Wcześniej posprzątamy. Pójdę do samochodu, mam tam taki duży foliowy worek, zabierzemy tego psa i pojedziemy do mnie. Lepiej nie ryzykować...

- Do ciebie? A niby po co? Z tym psem? - W mojej głowie zapaliła się ostrzegawcza lampka. - Przecież tutaj chyba nic nam nie grozi.

Usiadł i ukrył twarz w dłoniach.

- Nie wiem, naprawdę nie wiem - wymamrotał. - Po dzisiejszym niczego już nie jestem pewien. Poza tym... Jak gospodarz zobaczy jutro tego psa, pomyśli, że to pan albo ja... A z tego, co wiem, to był ulubiony psiak jego syna. - Spojrzał na mnie. - Błagam pana! Mam w Krasnobrodzie dom, który odziedziczyłem po dziadkach, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał. Tam panu wszystko wyjaśnię. Proszę...

Nie wiedziałem, co o tym sądzić. Wreszcie powiedziałem:

- No dobra, niech ci będzie. Chodźmy po ten worek.

- Pójdę sam. Pan zamknie się od środka i zaczeka, aż wrócę, lepiej będzie, jeśli...

- Chyba oszalałeś. Idziemy razem.

Nikt nie przeszkadzał nam w wycieczce do auta. Niedługo potem pies spoczął w foliowym worku, a ja poszedłem do łazienki, żeby poszukać czegoś do wytarcia podłogi. Wróciłem z mopem i plastikowym wiadrem, do którego uprzednio nalałem ciepłej wody i mydła w płynie.

Ścieraliśmy podłogę na przemian i kursowaliśmy tam i z powrotem do łazienki, aż wreszcie pokój wyglądał tak, jakby nic w nim nie zaszło.

Spakowałem się szybko, reklamówkę z zakrwawionymi rzeczami wzięłem do ręki i założyłem pasek mojej torby podróżnej na ramię. Piasecki zabrał worek i ruszyliśmy do wyjścia.

- Żeby tylko gospodarz nas nie przyłapał - powiedziałem. - Nie wiem, jak byśmy mu się wytłumaczyli.

Mało brakowało, a tak właśnie by się stało. Gdy tylko Krzysztof zatrzasnął pokrywę bagażnika swojego białego opla, z cienia wyłonił się gospodarz.

- Wyjeżdżasz? - Skierował pytanie do mnie. - Tak bez pożegnania?

- Przepraszam - odparłem zmieszany, bo właśnie przypominałem sobie, że nie zapłaciłem za pokój. - Jeszcze wrócę, ale wypadła mi bardzo pilna sprawa... Oczywiście zapłacę też za dzisiejszą noc. Czy mam teraz uregulować należność?

- Nie wygłupiaj się. Skoro mówisz, że wrócisz, to wrócisz i wtedy się rozliczymy. Nie mogłem sobie przypomnieć, czy zamknąłem knajpę i chciałem sprawdzić.

- Widziałem dziś tego, no wiesz... tego...

- Też go przed chwilą widziałem, ale ja się tam go nie boję. Niechby tylko spróbował mi coś zrobić...

- Lepiej pójdę z tobą, a potem podwieziemy cię do domu. Wiem, że to tylko dwa kroki, ale z takim, to nigdy nie wiadomo.

Janek zgodził się niechętnie. Niedługo potem zostawiliśmy go przy bramie obojczyka i ruszyliśmy w kierunku Krasnobrodu. Przynajmniej taką miałem nadzieję.

#### 4.

Jechaliśmy przez dłuższy czas pośród wiejskich zabudowań, mijając kolejne wsie. Wreszcie minęliśmy światła ostatnich latami i samochód z obu stron otoczył gęsty las. Niedługo potem Piasecki zatrzymał auto i wyłączył silnik.

- Dlaczego się zatrzymaliśmy? - zapytałem, starając się, aby w moim głosie nie zabrzmiała nuta niepokoju. - Jakiś problem?

Krzysztof bez słowa wysiadł, po czym otworzył bagażnik, poszperał w nim przez chwilę i pojawił się obok moich drzwi. W lewej ręce trzymał świecącą latarkę, a w drugiej niewielką saperkę.

- Musimy odejść trochę od drogi.

- Ale po co? - Byłem pewien, że to już na pewno nie zabrzmiało tak, jak powinno.

- Przecież nie będę wioził tego psa do domu. Pomoże mi pan?

Wysiadłem z uczuciem lekkiej ulgi, lecz tak naprawdę

uspokoilem się dopiero wtedy, gdy Piasecki przekazał mi latarkę i łopatkę.

Przeszliśmy do bagażnika, z którego wyjął plastikowy worek. Zatrzasnął klapę i ruszył w kierunku lasu. Przyświecałem mu od tyłu, wreszcie zatrzymaliśmy się i poprosił mnie o saperkę.

Kopał przez kilka minut, aż wreszcie dołek stał się na tyle głęboki, że można było położyć w nim szczątki zwierzęcia. Nie wiem dlaczego, ale pomyślałem, że nie powinniśmy zakopywać psa w foliowym worku. Na dnie spoczął najpierw korpus; głowa wytoczyła się ze środka dopiero wtedy, gdy energicznie potrząsnąłem plastikiem. Zrobiło mi się słabo, lecz starałem się nie dać tego po sobie poznać. Przykryłem martwe ciało workiem, po czym Piasecki przystąpił do zasypywania prowizorycznego grobu.

\*

Minęliśmy rozświetlone centrum Krasnobrodu, a potem zagłębiliśmy się w jedną z wąskich, ciemnych uliczek. Dom Piaseckiego stał na samym końcu miejscowości, w pewnym oddaleniu od innych zabudowań. Był podobny do tych, które widzieliśmy wcześniej, otoczony ogrodem, położony w pewnym oddaleniu od drogi. Wjechaliśmy na podwórze, a Krzysztof poszedł, by zamknąć bramę.

- Proszę wziąć swoje rzeczy i zapraszam do środka - powiedział, gdy znów znalazł się przy samochodzie. - Mam nadzieję, że wybaczy pan nieporządek, ale ostatnio nie mam głowy do sprzątania.

Faktycznie, w domu panował dość duży bałagan, jednak cieszyłem się, że jestem właśnie tutaj, a nie w Guciowie.

Korytarz wykończono niemodną już boazerią, a pokój, do którego wprowadził mnie Krzysztof, umeblowany był lakierowanymi meblami, ocenianymi przeze mnie na epokę późnego Gierka.

- Przede wszystkim chciałem pana przeprosić, że do Guciowa przyjechałem tak późno - odezwał się. - Moja córka jest chora, ma zapalenie płuc i nie miałem jej z kim zostawić. Musiałem czekać

do wieczora, bo dopiero wtedy mogła się nią zaopiekować babcia... to znaczy moja mama.

- Naprawdę nie ma za co - odparłem. - Zjawiłeś się w najbardziej odpowiednim momencie.

Dopiero wtedy zwróciłem uwagę, że - nawet nie wiem kiedy - zacząłem mówić do niego po imieniu.

- Mam na imię Witold - dodałem.

- Tak, wiem, ale - jeśli pan pozwoli - wolałbym się zwracać do pana tak jak dotychczas... Wbrew pozorom jestem o wiele młodszy i byłoby mi niezręcznie...

- Nie ma sprawy, jak wolisz. No dobra, w takim razie bierzmy się do roboty.

- Oczywiście. Zapytam tylko, czy ma pan może ochotę na coś do jedzenia?

- Chyba żartujesz. Po tym wszystkim?

- No tak... Więc? Co teraz?

- Teraz biorę się do czytania brulionu, a ty... No nie wiem...

- Myślę, że dobrze byłoby wyprać zakrwawione rzeczy. Najpierw trzeba przepłukać je w zimnej wodzie, a potem wrzucić do pralki. Plamy są świeże, więc powinny zejść bez problemu.

Nie spodziewałem się, że o tym pomyśli.

- Dobrze. Pójdę do łazienki, tylko pokaż mi...

- Nie - przerwał. - Ja wszystko zrobię - powiedział, biorąc reklamówkę z ubraniami. - Proszę usiąść sobie wygodnie... przy stole, czy gdzie pan woli, i niech pan czyta. To teraz jest najważniejsze.

- No cóż, w takim razie bardzo ci dziękuję za pomoc.

- Nie ma za co. To ja jestem pańskim dłużnikiem. Nie będę przeszkadzał. Nastawię pranie i pójdę do pokoju obok. Jak już pan skończy, proszę zawołać. - Aha... Zamierzam wziąć sobie piwo, może ma pan ochotę przynajmniej na coś do picia?

- Jasne, z przyjemnością.

Usiadłem przy stole i zanim zdążyłem zacząć czytać, w pokoju ponownie pojawił się Krzysztof z butelką zimnego „Zwierzynca”.

# Słoneczna Dolina

## XIII

- Ma...a... Marcin...?

- Czego?

Siedzieli w domu, w którym mieszkał Józek, ale to właśnie on niespokojnie kręcił się na krześle, spoglądając to na sufit, to uciekając wzrokiem gdzieś na boki, jakby za wszelką cenę nie chciał popatrzeć w oczy brata. Bardzo się bał, żeby go nie zdenerwować. Ciekawość była jednak silniejsza.

- A po... pooo co był ci te... teeen nóż, jak żeśmy raaano sz... szli za ty... tymi dwo...o...ma?

- A ja... ja... jaaak my... myślisz? - drugi z Kowalików, jak to się często zdarzało, ze złośliwą satysfakcją przedrzeźniał młodszego brata. -No?

- No w... właśnie n... ni... nie wiem. Po... postraszyć żeś go eh... chciał? T... tego no...o...wego?

- Myślisz, że jakbym mu poderznął gardło od ucha do ucha, to byłby wystarczająco przestraszony?

Józek popatrzył na Marcina, jakby próbując zgadnąć, czy to miał być żart. Zobaczył, że brat szczerzy zęby, więc też się roześmiał.

- No eh... chyba.

- Tak właśnie bym go przestraszył!

Mniejszy aż podskoczył, gdy usłyszał podniesiony głos.

- Nie będzie mi się jakaś menda po Starzyźnie plątała!

- wrzasnął znowu Marcin, po czym przeciągnął wskazującym palcem po grdyce.

Na twarzy Józka wciąż widniał zastygły uśmiech, który zniknął dopiero po chwili.

- A... ale prze.. .e... cież on nic na... aam nieee zro... obił. Po co zabijać?

- Nie zrobił, ale na pewno zrobi. Zabić nie zaszkodzi, rozumiesz? Tak, jak jest teraz, jest od prawie pięćdziesięciu lat i tak jest dobrze. Każda zmiana, każdy nowy, to zagrożenie, że się coś zmieni. A wtedy wiesz, co nas czeka?

- W... wiem - Józek spuścił głowę. - D... do p...p... piekła pójdziem za P... Pauline P... Po... Podolakową...?

- No widzisz? Nibyś głupi, ale nie tak do końca i czasem też potrafisz coś zrozumieć.

Do kuchni, w której siedzieli, weszła matka, niosąc na ramieniu wiązkę porąbanych wcześniej gałęzi.

- Podrzuc no, Józuś, do pieca, a ja jeszcze przyniesę - odezwała się, składając drewno przy kuchni.

- J...ja p...pójdę, ma...matulu. Ty se spocznij.

Matka popatrzyła na syna, po czym otworzyła żeliwne drzwiczki i dorzuciła do ognia. Zaraz potem zniknęła w pokoju, do którego prowadziły drzwi z przechodniej kuchni.

Wychodząc na dwór, Józek minął się z Dudą.

- Widziałem się z małą Komisarczuków - powiedział Władek, witając się ze starszym Kowalikiem. - Najpierw nic nie chciała mówić, jak zwykle zresztą...

- Zabraniają jej z nami gadać.

- No. Ale trochę koło niej posiedziałem, jak bawiła się po tej ich mszy, i wreszcie wygadała, że widziała tego nowego. Rachął się nazywa, czy jakoś tak.

- On głupi, to i imię durne.

- Sam żeś głupi. Nic o nim nie wiesz, a już gadasz...

- Co jeszcze mówiła? - Marcin nie zareagował na przytyk. - Wiesz coś więcej?

- U Trześniowskich będzie mieszkał.

- Tego tylko brakowało! - Kowalik zerwał się z krzesła. - Ani się obejrzym, a już moją Helkę będzie ruchał!

- Jaka ona tam twoja? - roześmiał się Duda. - Pięćdziesiąt lat do niej cholewki smalisz, a ona nawet na ciebie się nie popatrzyła przychylniej.

- Jeszcze będziesz widział, jeszcze zobaczysz! Będzie ona moja - czasu mamy dość, byle tylko ten nowy mi szyków nie popsuł.

Władek tylko wzruszył ramionami.

- W gębie żeś mocny, ale co z tego? Nigdy ona twoja nie będzie...

- Przekonasz się - Marcin aż zazgrzytał zębami. - Ale na pewno jego nie będzie. Już moja w tym głowa.

Stał przez chwilę na środku kuchni, sapiąc ze złości. Wreszcie usiadł i trochę się uspokoił.

- Mówiła co jeszcze ta mała?

- Nic więcej, bo matka ją do domu zawołała, jak mnie zobaczyła.

- Popytaj jeszcze, jak się trafi okazja. Tylko od niej czegoś się mo-  
żem dowiedzieć, bo inni, to na pewno pary z gęby nie puszczają...

#### XIV

Zostali w domu sami. Trześniowski tuż przed wyjściem zajrzał jeszcze do pokoju, w którym zamieszkał Rafał.

- Idę do Grelów - powiedział. - Wrócę za jakiś czas z Jaśkiem. A ty nigdzie się nie ruszaj.

Gielmuda nie miał takiego zamiaru, jednak - jak sądził - ten zakaz nie obejmował innych pomieszczeń budynku.

Dziewczyna krzątała się w kuchni. Nie miał pojęcia, jak zacząć rozmowę, więc zapytał:

- Dostanę trochę herbaty? - mówiąc to, z obrzydzeniem przełknął ślinę. - Mięta, którą parzysz jest naprawdę wyśmienita.

- Uśmiechnął się i miał nadzieję, że wyszło to w miarę wiarygodnie.

- Wyśmienita? A co to znaczy? - Helenka popatrzyła podejrzliwie na chłopaka.

- To znaczy bardzo dobra. Zaparzysz ją dla mnie?

- Tak, pewno, że tak. Zaraz zrobię.

Ogień pod kuchenną płytą buzował dość mocno, więc Rafał domyślał się, że zagotowanie wody nie potrwa zbyt długo.

- Twój ojciec powiedział mi o wszystkim - odezwał się, przerywając niezręczne milczenie. - Myślisz, że to się kiedyś skończy, czy już zawsze będziecie... to znaczy... chyba

powinienem powiedzieć „będziemy”...

- Nie wiem. Może... Wszystko w rękach Boga.

Nasypała szczyptę mięty do ceramicznego kubka i czekała przy piecu, aż woda zawrze.

- Był tu już kiedyś ktoś przede mną? Spoza wsi?

- Nie. Jest pan pierwszy. Minęło tyle czasu...

- Mogę cię o coś prosić? Mam na imię Rafał i chciałbym, żebyś tak do mnie mówiła.

Pokrywka zaczęła podskakiwać, dziewczyna zdjęła garnek znad ognia i wprawnymi ruchami pogrzebaczka zasunęła fajerki na miejsce. Gdy nalewała wrzątek do kubka, Gielmuda miał ponowić pytanie, ale Helenka go ubiegła.

- Dobrze. Tak będę do ciebie mówić. A wiesz co? - Parujący kubek stanął przed chłopakiem. - Tak Bogiem a prawdą, to się cieszę, żeś się tu u nas znalazł. Z ojcem czasem trudno wytrzymać, a tak będę miała jeszcze kogoś do porozmawiania.

Usiadła na swoim miejscu, tuż obok pieca.

- Chodź do stołu, proszę. Ja nie gryzę...

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Nie znacie takiego powiedzenia? Chodziło mi o to, że nie zrobię ci krzywdy, jak siądziesz obok mnie...

Bez słowa podeszła i usiadła naprzeciw Rafała.

- Opowiesz mi, jak tam jest? - zapytała. - Jak jest w świecie, z którego pochodzisz?

- Opowiem. Mam wrażenie, że będziemy mieli na to sporo czasu, ale najpierw to ja muszę się czegoś dowiedzieć.

Popatrzyła pytająco.

- Mieszkacie tu od dziesięcioleci, nic się nie zmienia, nie starzejecie się, jeśli się pilnujecie przed tymi... z Czarnego Wygonu, to tak naprawdę nic wam nie zagraża. Wiem, że nie macie tutaj jakichś luksusów, jedzenie skromne, trzeba troszczyć się o codzienne sprawy, ale jest jedna rzecz, której nie ma chyba nikt inny...

Zamilkł.

- Jaka to rzecz?

- No cóż, wygląda na to, że właściwie nie musicie obawiać się



śmierci. Czy dobrze zrozumiałem słowa twojego ojca?

Dziewczyna spuściła głowę. Po chwili rzekła:

- To może tak wyglądać z boku, ale to nie jest prawdziwe życie. Od długiego czasu prawie każdy we wsi dał by wszystko, żeby żyć tak, jak kiedyś. Na początku myślałam tak, jak ty. Która dziewczyna nie chciałaby być zawsze młoda? Przez kilka pierwszych lat wszystko było pięknie. Ale potem... Potem zaczęliśmy doceniać prawdziwe życie. Koszmar zaczął się gdzieś po dziesięciu latach. Tak naprawdę człowiek powinien żyć wedle natury. Musi być młody, potem się zestarzeć i umrzeć. Musi poznawać różnych ludzi, niektórzy z nich muszą odejść do Pana, ale to właśnie jest prawdziwe życie. Jak byś się czuł, mając przez pięćdziesiąt lat wokół siebie te same osoby? - Pociągnęła nosem i sięgnęła do fartucha po chustkę. - Czasem... czasem zazdroszczę tym, którzy odebrali sobie życie. I ja zrobiłabym to samo, ale wiem, jak wielkie cierpienia muszą przechodzić. Większe niż my...

- Jakie cierpienia? Skąd o tym wiesz?

- Nie mogę powiedzieć. Ojciec zabronił.

Rafał postanowił nie naciskać. Sądził, że i tak wkrótce się tego dowie.

- Naprawdę jest aż tak źle wśród tych ludzi w Starzyźnie?

- To jest tak, jakbyś mieszkał z nimi w jednej izbie przez te całe lata! - podniosła głos. - Wiem, że to trudno pojąć, ale tak to właśnie wygląda. Czujemy się, jakby świat wokół nas ciągle się kurczył. Z roku na rok. Czasem nie mogę patrzeć na nich, nawet na ojca, ale gdzie mam uciec? Komu się wyzalić? Rozumiesz to? - Jej usta drżały, a oczy wypełniły się łzami. Wreszcie wybuchnęła płaczem. - Jak możesz to rozumieć?!

Wstał, obszedł stół i usiadł na krześle obok dziewczyny. Miał ochotę ją objąć, ale powstrzymał się w ostatniej chwili w obawie, że Trześniowski może nagle wejść do kuchni. Wziął w ręce jej dłoń.

- Zobaczysz, to już nie potrwa długo. Obiecuję. Pamiętasz, co dziś rano twój ojciec powiedział po nabożeństwie? Musi być jakaś droga powrotu.

Podniosła na niego załzawione oczy.

- Obyś mówił prawdę. Niczego nie pragnę tak bardzo, jak tego, żeby to wszystko się wreszcie skończyło...

## XV

Najbardziej nie dawała mu spokoju jedna rzecz. Kręcił się bez celu po podwórzu i zastanawiał: „Co, do cholery, robili na Czarnym Wygonie? Przecież nikt z własnej woli tam nie chodzi. Miał rację Duda - trza było tam iść od razu i się przekonać”.

- Pójdę sam - powiedział Marcin nagle i aż drgnął na odgłos wypowiedzianych słów.

„Jeszcze dużo czasu zostało do zmroku. Zajmie to najwyżej godzinę i będę z powrotem”, myślał, starając się uspokoić samego siebie, lecz wiedział, że ryzyko i tak jest duże. „Idę i to już, bo jeszcze się rozmyślę”.

Tak jak stał, ruszył w kierunku bramy. Gdy ją mijał, zwolnił kroku, ale gdy dotknął noża, który wciąż przytroczony był do pasa, poczuł się o wiele pewniej.

„Coś tam na pewno jest. Coś, co Jasiak i ten nowy chcieliby zachować w tajemnicy. Może udałoby się im z innymi, ale nie z Marcinem Kowalikiem. Niedoczekanie!”.

Szybkim krokiem opuścił wieś i podążył w stronę ściany gęstego lasu, widocznej w niedalekiej oddali.

\*

Rafał pierwszy usłyszał zbliżające się kroki. Szybko puścił dłoń dziewczyny i wrócił na swoje miejsce. Zaraz potem drzwi się otworzyły i stanął w nich Trześniowski. Bacznie przyjrzał się twarzy Gielmudy, który z obojętną miną podnosił kubek do ust. Zaraz potem przeniósł wzrok na córkę.

- Co ty, Helenko? Płakałaś? Co się stało?

- Nic, ojczu. Rafał opowiadał mi trochę o tamtym świecie i tak jakoś mi się żal zrobiło.

Stary podszedł do niej, usiadł na krześle, na którym jeszcze

przed chwilą siedział chłopak, i czułym gestem objął dziewczynę.

- Jeszcze nie wszystko stracone, córuś. No, nie płacz już - mówił, tuląc Helenkę do piersi i jednocześnie wpatrując się ze złością w Rafała. - A ty może przynajmniej na razie dałbyś spokój z tymi opowieściami? Widzisz, co żeś narobił..

- Przepraszam, nie chciałem...

- To nie jego wina, tato - odezwała się. - Przecież wiesz, że czasem tak mi się i bez powodu zdarza.

- Już ty go mi tu nie broń. Sam sobie da radę, jak będzie trza.

Gielmuda dopił herbatę, a dziewczyna natychmiast wstała i zabrała kubek ze stołu.

- Jasiiek przyjdzie niezadługo i znowu zostanie u nas - odezwał się wreszcie gospodarz.

- Nie wiem, czy to konieczne. Teraz, gdy wiem już o wszystkim, będę się pilnował. Po co zawracać komuś głowę?

- Już ja lepiej wiem, co jest konieczne, a co nie - uciał Trześniowski. - Cholery można dostać z tą Niedzielą Wielkanocną - ciągnął, uznając poprzedni temat za zakończony. - Zabrałbym cię do lasu, pomógłbyś mi przy drzewie, bo ściętego jest sporo, a tak siedzieć musimy beczynnje.

- To ja w takim razie wyjdę na dwór rozejrzeć się trochę - powiedział Rafał i wstał od stołu. - Za dnia to mi na pewno towarzystwa nie trzeba, zresztą, nie będę odchodził daleko.

Powietrze na zewnątrz zdawało się przypominać o nadchodzącej wiośnie, ale wciąż panowała trudna do zniesienia duchota. Słońca nie było widać, a w dodatku od zachodu nadciągały ciemne, deszczowe chmury. Gielmuda obszedł podwórze, skorzystał z wychodka i już miał wracać do domu, gdy pomyślał, że z chęcią zapaliłby papierosa. Momentalnie przypomniał sobie o swoim położeniu i wiedział, że nie ma na to najmniejszych szans. Chociaż...

Nie palił prawie w ogóle, ale czasem lubił w gronie znajomych puścić dymek przy piwie i woził ze sobą paczkę lekkich L&M-ów. Ot tak - na wszelki wypadek. Papierosy tkwiły teraz w schowku opła ukrytego na obrzeżach Czarnego Wygonu. Pomysł, by się po nie wybrać, był tak nedorzeczny, że aż Rafał sklął siebie samego

w duchu. Kiedy jednak pierwsze krople spadły na jego głowę, a myśli wciąż krążyły wokół samochodu, uzmysłowił sobie, że nie jest pewien, czy dokręcił szybę. Manewrując kilka razy, musiał się wychylić i głowy by nie dał, czy jest ona zamknięta.

„A jak będzie padało przez kilka dni? Przecież całkiem mi zaleje auto. Może nie będzie mi już ono potrzebne, ale kto wie - może tylko dzięki niemu można się stąd wydostać?”.

Była jeszcze jedna rzecz - od kiedy Gielmuda rozpoczął studia w Lublinie, zawsze na święta przywoził do domu butelkę dobrego, markowego alkoholu, którą razem z ojcem rozpijali w pierwszy świąteczny dzień. Również teraz wiózł w bagażniku litrową butelkę Johnny'ego Walkera. Pewnie nie zdecydowałby się na wyprawę na Czarny Wygon, jednak pomyślał, że właśnie jest Niedziela Wielkanocna i Trześniowskiemu będzie miło, jeśli zostanie poczęstowany takim trunkiem. Był wdzięczny staremu za gościnę i chciał to wyrazić przynajmniej w ten sposób. Wiedział, że po powrocie dostanie ostrą reprymendę za nieposłuszeństwo, jednak miał też nadzieję, że poświęcenie zostanie nagrodzone uznaniem gospodarza.

Popatrzył w stronę domu, czy nikt go nie widzi, i powoli ruszył pomiędzy zabudowania gospodarcze. Kiedy był pewien, że Trześniowski go nie dojrzy, puścił się biegiem znaną już sobie drogą.

\*

Uczucie duszności w piersiach nie pozwoliło mu na ciągły bieg, dlatego przystawał co chwila, aż wreszcie ostatecznie poprzestał na szybkim marszu. Deszcz padał coraz mocniej, więc Rafał, jeszcze zanim dopadł ściany lasu, był prawie całkowicie przemoczony; na szczęście rozłożyste korony drzew pozwoliły mu przynajmniej trochę schronić się przed deszczem.

Zbliżał się do Czarnego Wygonu. Było coraz ciemniej i bardziej ponuro. Kiedy wreszcie Gielmudę otoczyła szarówka przypominająca do złudzenia zmierzch, pomiędzy drzewami zamajaczył otwarty teren. Ale to nie on zwrócił uwagę chłopa.

Halas najpierw wydawał się omamem słuchowym, jednak im

bardziej Rafał postępował do przodu, tym bardziej dźwięki się nasilały. Najpierw brzmiało to jak miarowe stukanie, później dało się rozróżnić to słabsze, to znowu mocniejsze uderzenia. Odgłosy dobiegały z okolic miejsca, gdzie poprzedniego dnia z Jaśkiem zostawili samochód. Gielmuda znów zaczął biec.

Kiedy znalazł się na środku polany, dźwięki ustały. Powoli szedł w kierunku auta. Już z daleka widział, że coś jest nie tak, a gdy zbliżył się na odległość kilkunastu kroków, w szarówce rozpoznał opla, który wyglądał zupełnie inaczej niż wtedy, gdy widział go ostatnim razem.

Podszedł, nie wierząc własnym oczom. Wszystkie szyby i reflektory zostały potłuczone. W środku, wśród pobłyskujących kryształków, leżały sporej wielkości kamienie. Auto było porysowane po bokach, a wszystkie opony ktoś poprzecinał.

Przez dłuższą chwilę chłopak wpatrywał się w to, co jeszcze niedawno było samochodem, na który własnoręcznie zapracował w Niemczech podczas ostatnich wakacji. Ale nie strata auta przerażała go najbardziej.

„Już nigdy się stąd nie wydostanę”, pomyślał. „Na zawsze utknąłem w tym przeklętym miejscu...”

## XVI

Nawet nie zauważył, że przestał padać deszcz. Kiedy wreszcie nogi znów zaczęły mu być posłuszne, obszedł samochód dookoła i utwierdził się w przekonaniu, że ma przed sobą całkowitą ruinę.

Nie pozostało mu nic innego, jak wydobyć z auta to, po co przyszedł, i wrócić do Starzyzny. Otworzył drzwi od strony pasażera, sięgnął do schowka, i wyjął nienaruszoną paczkę L&M-ów. Chwilę zajęło mu wyszperanie zapalniczki, ale i ją znalazł, po czym zamknął schowek.

Szedł do tyłu samochodu, żeby z bagażnika wyjąć butelkę whisky, gdy na otwartej przestrzeni dostrzegł zbliżającą się postać.

Odruchowo przykucnął obok samochodu i z obawą patrzył w stronę ogromnego mężczyzny.

- Dzień dobry - krzyknął tamten. - Stało się co? Może w czym pomóc?

Gielmuda wyprostował się.

- Dzień dobry panu. Dziękuję, ale chyba już jest za późno...

Kowalik stanął naprzeciw zdewastowanego pojazdu i przypatrywał mu się z niedowierzaniem, kręcąc głową.

- To pańskie? - zapytał wreszcie. - Wygląda na to, że komuś się nie spodobało...

- Tak, moje - odpowiedział Rafał.

Mężczyzna podszedł bliżej i przywitał się z Gielmudą.

- Chyba zepsute na amen. A co to takiego jest?

- Samochód. Przyjechałem nim tu przedostatniej nocy i wygląda na to, że nie uda mi się już go uruchomić. Nie widział pan nikogo w pobliżu?

- Mów mi Marcin. Nie, nikogo żem nie widział.

- To musiało się stać bardzo niedawno. Kiedy tu szedłem, słyszałem chyba, jak ktoś...

- Dopiero co żem przyszedł.

- No tak, trudno...

- A do czego to służy? - zapytał Kowalik.

- Można tym się przemieszczać z miejsca na miejsce. To znaczy, można było...

Rafał wyjął paczkę papierosów z kieszeni, zdarł folię ochronną i banderolę, po czym otwartą paczkę skierował w stronę Marcina.

- Muszę z tego wszystkiego zapalić - powiedział. - Masz ochotę?

- No pewno! Dawno już żem nie palił, ale może najpierw chodźmy stąd, bo tu niebezpiecznie...

- Aha, tak, rzeczywiście. Masz rację.

Gdy opuszczali Wygon, Gielmuda przypomniał sobie słowa starego. W czasie porannego nabożeństwa miał poznać wszystkich mieszkańców wioski, którym może ufać. Nie było wśród nich nowo poznanego olbrzyma.

Znaleźli się kilkadziesiąt metrów od polany i Marcin wskazał przewrócone drzewo.

- Może tutaj usiądziem. Pogadamy chwilę i trza będzie do wsi wracać.

Odpalili papierosy. Kowalik zaciągnął się, przymykając z zadowoleniem oczy.

- Nie było cię na porannym nabożeństwie... - zaczął Rafał.

- A tak, zawsze modłę się ze wszystkimi, ale tym razem moja matula zaniemogła i musiałem z nią zostać. Ale chyba tylko mnie i jej zabrakło?

Gielmuda przyglądał się nowemu znajomemu, ale w szczerych, jasnoniebieskich oczach nie dostrzegł niczego niepokojącego.

- Tak. Byli chyba wszyscy oprócz tych, którzy podobno są niebezpieczni. Tak przynajmniej mówił sołtys, u którego mieszkam.

- Racja. Trza na nich uważać, bo i krzywdę mogą człowiekowi zrobić. Ale jak jesteś ze mną, to nikt nic ci nie zrobi. Nie bój się.

- A nie boisz się tak sam przychodzić na Czarny Wygon?

- Dzień jeszcze jest. Jutro będziem ścinać drzewa i żem chciał obejść teren, żeby znaleźć kilka dobrych sztuk. Mówisz, żeś niedawno tu się znalazł?

- Tak.

- A jak to dokładnie było? Nie pamiętam, żeby się u nas pojawił kto nowy...

Chłopak strzepnął popiół z papierosa i spojrzął na żarzący się na końcu tytoń.

- Mówiłem już Trześniowskiemu. Studiuję w Lublinie i jechałem na święta do domu. Mieliśmy z kumplem wyjechać w piątek rano, ale w Wielki Czwartek skroiła się u nas, w wynajmowanym mieszkaniu impreza i trochę za dużo popiliśmy. Nie wiem, ile piwa wypilem, ale pewnie gdzieś kolo dziesięciu. Impreza skończyła się gdzieś kolo czwartej rano...

- W Wielki Piątek? To żeście pościli w takie święto?

- Jak zaczęliśmy pić, to nikt nie kontrolował zegarka. W każdym razie nie mogłem rano jechać. No wiesz... Nie wolno po alkoholu...

- Aha.

- Cały dzień leczyłem kaca, więc mogliśmy z kumplem, który mieszka w Zwierzyńcu, ruszyć dopiero gdzieś kolo siódmej

wieczorem. Ale i tak nie wiem na pewno, czy do tej pory całkiem wytrzeźwiałem. Musiałem bardzo uważać, bo wiesz, w kościołach po drodze odbywały się wielkopiątkowe nabożeństwa i mnóstwo ludzi kręciło się po drogach.

Kowalik skinął głową.

- A długo się jedzie tym samochodem z Lublina w nasze strony?  
- zapytał.

- Ja jechałem do Zwierzyńca prawie dwie godziny.

- Szybko.

- Pół godziny dłużej niż zwykle. Wiesz, kolo Krasnegostawu o mało nie mieliśmy wypadku - wyprzedzałem i o mało nie doszło do czołówki; całe szczęście, że auto jadące z naprzeciwka zjechało nam z drogi. Później już zwolniłem, a w Zwierzyńcu u kolegi postanowiłem zrobić sobie przerwę. Wyjechałem od niego dopiero przed północą.

- I żeś przyjechał tutaj?

- Nie miałem zamiaru skręcać z drogi, ale ogarnęła mnie taka senność, że musiałem zjechać przed Guciwem w las. Zaraz potem usłyszałem bicie dzwonów i zobaczyłem drewniany krzyż, który nigdy w tym miejscu nie stał. Zatrzymałem samochód i zasnąłem. Rano stary Trześniowski już na mnie czekał.

- Nie, Jakub to dobry człowiek i muchy by nie skrzywdził - uśmiechnął się Marcin. - No i jak ci się tutaj podoba u nas?

Rafała zdziwił nieco fakt, że jego nowy znajomy nie przywiązywał większej wagi do niezwykłości całej sytuacji.

- Tak naprawdę, wolałbym być teraz w domu, bo nawet nie wiem, czy uda mi się kiedykolwiek stąd wydostać.

- No właśnie - przytaknął Kowalik. - Tego to nie wiadomo. A Helka Trześniowska to ci się podoba?

- A wiesz, nawet ładna dziewczyna. I bardzo miła.

- Prawdę gadasz. Dasz jeszcze papierosa?

- Jasne, częstuj się.

Zapalili znów.

- Ja to się chyba nawet nie przedstawiłem - odezwał się chłopak.

- Nazywam się Rafał Gielmuda, a ty? Marcin, tak?

- No przecież żem mówił.



- A na nazwisko?
- Jak mam na nazwisko?
- Tak.
- Kowalik, a bo co?
- A nic. Tak z ciekawości...

Słyszał je już wcześniej. Był pewien, że nazwisko „Kowalik” padło już w Starzyźnie. Tylko w jakim kontekście?

Marcin od czasu do czasu spoglądał w stronę Gielmudy, nic nie mówiąc. Uśmiechał się tylko zagadkowo, co Rafał mógł wziąć za dobrą monetę, jednak coś nie dawało chłopakowi spokoju. Ogarniał go coraz bardziej intensywny, podskórny niepokój. Wreszcie, gdy po raz kolejny spojrzał w wykrzywioną sztucznym uśmiechem twarz Marcina, zaczął lekko drżeć.

- Pójdę już - powiedział, wstając. - Niebezpiecznie tu siedzieć. Czarny Wygon niedaleko i wieczór się zbliża. Idziesz ze mną?

- Idę. - Kowalik akurat skończył papierosa, przydeptał go butem i również wstał. - Ale sam. Ty zostajesz.

Olśnienie przyszło o ułamek sekundy za późno. W uszach bardzo wyraźnie zabrzmiały słowa starego wypowiedziane po śniadaniu. Gielmuda zrobił szybki krok do tyłu, ale Kowalik był szybszy. Wielka dłoń dosięgła ramienia Rafała i zacisnęła się na przedramieniu. W prawej ręce Marcina nie wiadomo skąd pojawił się nóż. Twarz olbrzyma prawie się nie zmieniła, z tą różnicą, że w tej chwili uśmiech był pełen satysfakcji.

- Teraz już pewnie wiesz, dlaczego żem nie widział tego, co zniszczył twój samochód? - zarechotał beznamiętnie. - Trudno, żebym widział siebie samego, durniu.

Gwałtowne próby wyrwania się z uchwytu o sile imadła na nic się zdały. Kowalik z lubością przyjrzał się ostrzu, po czym przybliżył je do oczu Rafała.

- Ładny, prawda? - metaliczny śmiech rozległ się w przedwieczornej ciszy. - Podoba ci się?

Chłopak nabrał powietrza, żeby spróbować wezwać pomoc.

- Csiiii... - syknął Marcin. - Nie trzeba krzyczeć...

Ostrze dotknęło policzka i powoli zaczęło zsuwać się coraz niżej. Kowalik rozluźnił uchwyt, by złapać Rafała za kark.

Nóż był coraz niżej i nagle zatrzymał się tuż poniżej mostka.

- Nie trzeba krzyczeć - powtórzył Kowalik i płynnym, stanowczym ruchem przyciągnął chłopaka do siebie.

Gielmuda próbował się wyrwać po raz ostatni, lecz to tylko spotęgowało ból - zrozumiał, że nie ma żadnych szans.

Zaraz potem Marcin wyszarpnął nóż z mdlejącego ciała, po czym wbił go raz jeszcze, tym razem w klatkę piersiową.

Rafał poczuł, jak krew wypływa z rozoranego brzucha. Ukląkł, a wtedy Kowalik uderzył po raz ostatni - wprost w gardło chłopaka.

- To po to, żebyś nie krzyczał - szepnął, pochylając się nad wiotczącym ciałem.

Spokojnie wytarł nóż o kępę zeschniętej trawy, przyglądając się agonialnym wierzgnięciom Gielmudy. Kiedy ostatni raz na niego spojrział, ten wpatrywał się w niebo nic nierozumiejącym wzrokiem. Drgnął ostatni raz, a z rozciętego gardła wydobyły się krwawe baloniki powietrza.

Marcin wyjął papierosa i zapalniczkę z kieszeni chłopaka, po czym spoczął na pniu, na którym jeszcze przed chwilą siedzieli razem. Chciał być pewien, że robotę wykonał tak, jak należy. Gdy skończył papierosa, nie miał już żadnych wątpliwości.

- Poszło łatwiej, niż żem się spodziewał - mruknął nieco rozczarowany i ruszył w kierunku wioski.

## Rozdział czwarty

### 1.

Zbliżała się północ. Byłem już bardzo zmęczony dniem, który przyniósł tak wiele wrażeń, jednak to nie znużenie sprawiło, że odsunąłem brulion i wstałem od stołu.

Przechadzałem się po pokoju tam i z powrotem. W ostatnim fragmencie wspomniano o czymś, co nie dawało mi spokoju. I bynajmniej nie chodziło o ostatnią scenę, w której został zamordowany Gielmuda. Gdy zebrałem myśli i powiązałem znane mi wcześniej fakty z tym, co wyczytałem w notatkach, właściwie cieszyłem się, że ten gnojek tak właśnie skończył.

Podczas rozmowy z Kowalikiem, tuż przed tym, kiedy zakończył żywot, opowiadał o swoim powrocie z Lublina. Skurwiel jechał pewnie jeszcze pijany, a przynajmniej na potężnym kacu i - byłem tego pewien - na samym tylko zagrożeniu dla innych kierowców to wszystko się nie skończyło.

Rzecz miała miejsce w Wielki Piątek, trzynastego kwietnia dwa tysiące pierwszego roku. Wciąż miałem przed oczyma tę jedną zapisaną stronę z brulionu i o przypadku nie mogło być mowy. Pamiętałem przecież dokładnie ostatnią rozmowę z Adamem, gdy mówił o feralnej dacie - dokładnie o tym samym dniu, w którym Gielmuda znalazł się w Starzyźnie.

Magda wracała ze Lwowa i w okolicach Krasnegostawu biały opel wyprzedzający nieprawidłowo sprawił, że musiała zjechać na pobocze i chwilę potem zginęła w płonącym samochodzie. To samo, tyle że z innej perspektywy, opisywał Kowalikowi Gielmuda. Najprawdopodobniej nie wiedział, co stało się za jego plecami tuż po tym, jak żona Nawrota próbowała się ratować od czołowego zderzenia. Auta, które spowodowało wypadek, nigdy nie znaleziono - teraz już mogłem się domyślić, dlaczego

Piasecki najprawdopodobniej usłyszał moje kroki. Zapukał i wszedł do pokoju.

- Skończył pan?

- Jeszcze nie, ale już dzisiaj nie dam rady czytać dalej. Masz może jeszcze piwo?

- Tak. Zaraz przyniosę.

Po chwili usiedliśmy przy stole, na którym leżał brulion. Był otwarty na stronie, na której skończyłem.

- Doczytałem do momentu, w którym Kowalik zadźgał tego całego Gielmudę. Jak na razie jest to najprzyjemniejszy moment lektury.

Krzysztof popatrzył na mnie wyraźnie poruszony.

- Przez niego zginęła żona mojego najlepszego przyjaciela.

Krew w jednej sekundzie odpłynęła z jego twarzy, a na prawym policzku znów pojawił się dobrze mi znany, mimowolny skurcz mięśni.

- Jak to? - wychrypiał. - To niemożliwe... Przecież wiedziałbym coś o tym...

- Znałeś go, prawda? Znałeś Gielmudę?

- Tak - odparł, spuszczać wzrok.

- W takim razie, przykro mi, ale o pomyłce raczej nie może być mowy.

Opowiedziałem mu całą historię związaną ze śmiercią Magdy. Słuchał ze spuszczoną głową, ani razu nie podnosząc na mnie wzroku. Patrzyłem, jak bawi się butelką piwa, a ręce z każdą chwilą zaczynają mu drżeć coraz bardziej. Rafał Gielmuda musiał być dla niego kimś ważnym, skoro tak wielkie wrażenie robiły na nim moje słowa.

- Tak więc widzisz - mówiłem, kończąc - jeśli to wszystko, co przeczytałem jest prawdą, wiadomo już, dlaczego Gielmuda znalazł się w tej przeklętej Starzyźnie. Nie przeczytałem jeszcze wszystkiego, ale wygląda na to, że nie bez przyczyny to miejsce i ci ludzie zostali w ten sposób ukarani. Prawdopodobnie wiemy też, dlaczego twój znajomy się tam również znalazł.

Piasecki, wciąż wyraźnie wstrząśnięty, wstał od stołu i - jakby nie mając ochoty kontynuować sprawy - powiedział:

- Pranie chyba już się kończy. Pójdę rozwiesić i przyniosę panu pościel.

W rogu pokoju stała wersalka, z której Krzysztof wyjął poduszkę i kołdrę.

- Mam nadzieję, że dobrze będzie się panu tutaj spało - mówił, rozścielając prześcieradło.

- Dam sobie radę z przygotowaniem spania.

Kiwnął głową. Powolne, niezbyt skoordynowane ruchy, które wykonywał, sprawiały wrażenie, jakby wciąż był wstrząśnięty tym, co usłyszał przed kilkoma minutami.

- Dobrze. W takim razie dobrej nocy - rzekł i po chwili zostawił mnie samego.

## 2.

Pościeliłem sobie łóżko i poszedłem do łazienki.

Wszystko wskazywało na to, że Piasecki położył się już spać; dom zatopiony był w absolutnej ciszy. Pachniał delikatnie stęchlizną i ludźmi, którzy w nim kiedyś mieszkali. Miałem ochotę dokładniej go obejrzeć, ale wiedziałem, że będę mógł to zrobić dopiero następnego dnia. Sądziłem, że Krzysztof, po takich emocjach związanych z informacjami o jego znajomym, leży w łóżku, wciąż nie mogąc zasnąć. Wracając do pokoju, zajrzałem tylko do kuchni. Widać było, że niedawno przeszła remont. Nowe meble i nowoczesne wyposażenie nie pozostawiały co do tego żadnych wątpliwości.

Po wieczornym prysznicu przestałem czuć zmęczenie. Nie wiedziałem, czy uda mi się szybko zasnąć, więc uznałem, że jeszcze jeden browar nie zaszkodzi. Miałem nadzieję, że Piasecki się nie obrazi, jeśli zajrzę do lodówki. Spoczywała w niej spora bateria piwa. Wziąłem „Zwierzyńca”, otworzyłem go leżącym na stole otwieraczem i poszedłem do siebie.

Ponownie usiadłem przy stole i zacząłem się zastanawiać, czy nie zabrać się znów do lektury. Ciekawiło mnie bardzo, co było dalej - a przede wszystkim - jak to się stało, że brulion trafił do

Piaseckiego. Przecież musiał mu go dostarczyć (bezpośrednio lub przez pośrednika) ktoś, kto był w Starzyźnie. Nie było innej opcji. Pozostawało jeszcze pytanie, czy osoba ta była równocześnie autorem notatek.

Ciekawość ostatecznie wzięła górę i, postępując zgodnie ze swoim zwyczajem, postanowiłem poczytać trochę przed zaśnięciem. Na wszelki wypadek wybrałem się do kuchni po jeszcze jedną butelkę piwa. Obok łóżka stała lampa, którą zapaliłem, po czym zgasilem górne światło, zdjąłem ubranie i wskoczyłem pod kołdrę.

Zanim otworzyłem brulion na zaznaczonej stronie, zastanowiłem się, jaka odległość dzieli mnie teraz od Guciowa. Sądziłem, że może to być jakieś dziesięć, może piętnaście kilometrów.

„A jeśli on wie, gdzie mieszka Piasecki? „ - pomyślałem.

Nie mogłem tego wykluczyć. Wszystko wskazywało na to, że Krzysztof dokładnie wiedział, z kim miałem wieczorem do czynienia.

Również wcześniej, gdy przyjechał do Guciowa, żeby się ze mną po raz pierwszy spotkać, nie zaskoczyło go, że dwumetrowy osobnik przebywa w okolicy Jankowego gospodarstwa. Pamiętałem, jak Piasecki, po spotkaniu ze mną, biegł do swojego samochodu i jak szybko stamtąd odjechał.

„Wiedział, że grozi mi niebezpieczeństwo”.

Tyle, że tu, w Krasnobrodzie, wyglądało na to, że Krzysztof czuje się bezpiecznie. Miałem nadzieję, że się nie myli.

Dom na obrzeżu miasteczka, oddalony nieco od innych budynków, nie sprawiał wrażenia bezpiecznego. Duże okna umiejscowione były na tyle nisko, że po zbitiu szyby z powodzeniem można było dostać się do środka. Zwłaszcza jeśli mierzyło się dwa metry...

Dotknąłem szyi. Wcześniej, podczas wizyty w łazience, widziałem na niej efektowne siniaki i otarcia, które pozostały mi jako pamiątka spotkania z mężczyzną bez połowy twarzy. Moje palce musnęły gardło delikatnie, ale i tak poczułem pieczenie i ból. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnąłem, było ponowne spotkanie

tego typu i miałem nadzieję, że nie trafi tu za nami.

Otworzyłem brulion i dokładnie w tym momencie miałem wrażenie, że z zewnątrz rozległ się cichy odgłos. Czując ciarki przebiegające po ciele, z całych sił nadstawiałem uszu. Gdy byłem już niemal pewien, że się przesłyszałem, w powietrzu tuż za oknem coś wrzasnęło tak głośno, że podskoczyłem na łóżku. Przenikliwy, wysoki dźwięk rozdarł nocny spokój. Rozpoznałem ten dźwięk, przypominając sobie z ulgą, że jest początek marca. Koty miały teraz swój czas i wiedziałem, że nic nie może powstrzymać praw natury.

Uspokoilem się trochę i znów spojrzałem na zeszyt.

„Gielmuda też słyszał taki dźwięk za oknem” - pomyślałem. - „Tyle, że on miał stróża w postaci Jaśka Greli, który pośpieszył z pomocą, używając siekiery...”.

Leżałem jeszcze przez chwilę, wsłuchując się w zaokienne odgłosy. Jękliwy koci zaśpiew odzywał się raz za razem i nic nie wskazywało na to, że grozi mi jakieś niebezpieczeństwo.

Brulion kuśił.

## Słoneczna Dolina

### XVII

Najpierw był błysk.

Tuż pod powiekami, pomarańczowo-szkarłatny, emanujący na całe ciało, rozgrzewający do granic wytrzymałości, jaśniejszy niż jakiegokolwiek światło, którego mógł do tej pory doświadczyć. Czuł, jak oślepiająca łuna wdziera się pomiędzy powieki a gałki oczne, jak wciska się wciąż głębiej i głębiej, czuł, jak światło dociera do mózgu...

I wtedy przyszedł ból.

Porażający, przenikający od głowy do serca i dalej - wzdłuż tułowia, aż po opuszki palców. Piekący, powodujący skurcz wszystkich mięśni, obezwładniający i nieznośny. Otworzył usta do krzyku, lecz przez zdławioną tchawicę nie przedarł się ani jeden dźwięk. Brakowało mu powietrza, czuł, że za chwilę się udusi, lecz nie potrafił sprawić, aby płuca zaczerpnęły choćby odrobinę tlenu.

Wygiął ciało w łuk i pozwolił lędźwiom oderwać się od ziemi, dotykając jej tylko stopami i głową. Wtedy, w jednej milisekundzie, nie widział i nie czuł już nic. Bezwładnie runął w dół, uderzając plecami o podłoże. Nagły haust powietrza wypełnił płuca, sprawił, że ściśnięte serce rozkurczyło się gwałtownie i wpompowało pierwsze uderzenie życiodajnego tlenu do tętnic.

Odetchnął głęboko kilka razy i stracił przytomność.

\*

Gwałtowna ulewa spływała na Czarny Wygon. To właśnie ona ocuciła Gielmudę. Leżał w niemal całkowitych ciemnościach, a strugi chłodnej wody chłostały jego ciało.



Czuł się zupełnie wyczerpany. Jedyne, na co było stać osłabiony organizm, to przekręcenie głowy na boki. Rafał odkrył, gdzie się znajduje, i poczuł rosnący strach, ponieważ znał już ponurą sławę tego miejsca. Mógł spodziewać się tylko najgorszego.

Kroki nie były głośne - tłumiła je wilgotna trawa - lecz chłopak nie miał wątpliwości, że nie jest tu sam i ktoś dostrzegł go, leżącego na środku otwartej przestrzeni. Ten ktoś właśnie zmierzał w jego stronę.

Nie był pewien, z której strony dobiega odgłos. Najpierw zdawało mu się, że słyszy kroki po swojej lewej stronie, później wychwycił szelest po stronie przeciwnej. Był bezbronny. Jedyne, co mu pozostało, to wciąż leżeć bez ruchu. Zamknął więc oczy i czekał na to, co nieuniknione.

W pewnym momencie poczuł chłodny, ziemisty podmuch na policzkach. Spojrzał i tuż przed oczyma dostrzegł twarz, którą już znał. Nie miał wątpliwości, że pochylała się nad nim kobieta, którą spotkał przy domu Trześniowskiego, kobieta, której głowa została odrąbana przez Jaśka Grełę. Wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętał - ślepe białka i poszarzała, obrzydliwie ciemna skóra.

- To ten nowy - syknęła, a mdlący smród rozkładającego się ciała buchnął wprost w nozdrza Rafała.

Odwrócił z obrzydzeniem twarz. Naprzeciw kobiety zobaczył cztery wyprostowane postaci. Wpatrywały się w niego takimi samymi niewidzącymi oczyma. Pierwszy z lewej, mężczyzna obleczony w długą, ciemną szatę rozciągnął usta w upiornym uśmiechu.

- Będiesz z nami, chłopcze - powiedział cichym, ledwie słyszalnym głosem. - Pożałujesz jeszcze dnia, w którym się urodziłeś, ale jeszcze nie dziś. Wkrótce. Czekaj na nas i ciesz się... Ciesz się, póki jeszcze możesz.

Odwrócił się i zaczął się oddalać. Pozostali poszli jego śladem.

Rafał wciąż czuł mdlący odór rozkładu, miał ochotę wymiotować, lecz nawet na to nie miał siły. Popatrzył w górę i dostrzegł, że niebo zaczyna się lekko rozjaśniać. Nadchodził dzień. Próbował wstać, lecz ciało wciąż odmawiało mu

posłuszeństwa. Pozostał więc na środku Czarnego Wygonu, a deszcz monotonie szumiał, jakby próbując przywrócić go do życia.

- Jeszcze nie teraz - mruknął chłopak i zapadł w sen.

\*

Kiedy się ponownie ocknął, był już dzień. Spróbował wstać i udało mu się to nadspodziewanie łatwo. Nogi były jak z waty, lecz bez problemu zrobił kilka kroków, po czym zachwiał się i runął jak długi przed siebie. Poleżał przez chwilę i podniósł się ponownie.

Na skraju polany majaczył biały kształt. Chłopak skierował kroki w jego stronę; wiedział, że to jego auto, ale wyglądało inaczej niż ostatnio. Kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że jest nietknięte. Szyby i reflektory są całe, a opony nie noszą już śladów nacięć.

Sięgnął do szyi - ani śladu rany zadanej poprzedniego dnia przez Kowalika. Przesunął ręką niżej i na ubraniu nie znalazł nic, co mogłoby wskazywać na to, że zostało ono przedziurawione nożem. Dla pewności spojrział jeszcze na rękę, którą rozciął w obecności Trześniowskiego. Nie było na niej nawet najmniejszej blizny.

Uśmiechnął się i westchnął z ulgą.

„A więc jednak to prawda” - pomyślał.

Zamierzał już ruszyć w kierunku wioski, gdy przypomniał sobie o tym, po co tu przyszedł.

Klucze od samochodu leżały na siedzeniu pasażera, dokładnie w miejscu, gdzie je zostawił, szukając papierosów w schowku, lecz samochód był zamknięty. Rozejrzał się dookoła i dostrzegł pokaźnej wielkości kamień, po czym rozbił nim szybę.

- Jutro znów będzie cała - powiedział na głos, znów się uśmiechając.

Otworzył bagażnik, wyjął z niego butelkę Johnny'ego Walkera i nie spiesząc się, opuścił Czarny Wygon.

## XVIII

- Mam ci obić głowę? - zapytał Jasek, gdy Gielmuda pojawił się na podwórzu Trześniowskich. - Gdzieś łąził, do kurwy nędzy?! Już żeśmy myśleli, że cię dopadli. Przecież Jakub wyraźnie mówił, żebyś się nigdzie beze mnie nie ruszał.

- Dopadł mnie tylko Marcin Kowalik. Zresztą, zdaje się, że nie mnie pierwszego - Rafał spojrział na Trześniowskiego, który stanął w drzwiach domu. - Miał pan rację, nic mi nie jest. Nawet rany po nożu nie ma, chociaż wpakował go we mnie wczoraj trzy razy.

- Głupiś jak but - powiedział stary, wyraźnie starając się ukryć ulgę, która mimo to zabrzmiała w jego głosie.

- Jak jeszcze raz tak zrobisz, to nie będziesz miał wstępu do mojej chałupy.

- Nie zrobię. Zarznął mnie jak wieprza i bardzo bolało. Powrót do świata żywych też nie należał do przyjemnych, więc będę teraz bardzo uważał.

- Widziałeś Ich na Czarnym? - spytał gospodarz.

- Widziałem.

- Pięcioro?

- Tak.

- Co mówili?

- Że niedługo będę z nimi...

- Bo i będziesz, baranie - zachnął się stary. - Jak nie będziesz mnie słuchał, to będziesz i pożałujesz...

- Pożałuję dnia, w którym się urodziłem?

Trześniowski spojrział na chłopaka i w jego oczach zatańczył cień uśmiechu.

- Zawsze tak mówi. To był nasz ksiądz dobrodziej, prawda?

- Ten, co tak powiedział, miał długą, ciemną szatę. Faktycznie, mogła to być sutanna.

- Jemu to się naprawdę przydarzyło, Jakubie - powiedział Grela, jakby dopiero teraz uwierzył.

- Ano - odrzekł stary. - Chodźcie do domu. A ty - zwrócił się do Gielmudy - na pewno chciałbyś odpocząć. Wiem, jak to jest, więc

nie będziem ci przeszkadzać.

Gdy Rafał przekraczał próg chałupy, Jasiak klepnął go w plecy.

- Dobrze, żeś wrócił - mruknął.

\*

Śniło mu się, że znów leży na środku polany. Wokół wirowały postacie, których nie był w stanie rozpoznać. Bał się ich jeszcze bardziej niż tego, że nieznośny ból się powtórzy. Sylwetki na przemian to wyłaniały się z ciemności, to znów w niej znikały. Co chwila któraś z nich pochylała się nad nim i świecącymi w mroku białkami wpatrywała się w jego twarz, szepcząc niezrozumiałe słowa, których samo brzmienie wprawiało serce w nieznośny, szaleńczy łomot. Zaraz potem szare oblicze rozpływało się powietrzu, a jego miejsce zajmowało kolejne.

Nagle jedna z twarzy na dłużej zawisła nad głową chłopaka. Znał ją, lecz miała ona zupełnie inny wyraz niż pozostałe twarze. Dziewczyna uśmiechała się łagodnie, a ciemne źrenice wpatrywały się w niego z wyraźną troską. Poczł ciepłą dłoń dotykającą jego policzka.

- To tylko złe sny. To złe sny...

- Helenka? Skąd ty tutaj..

- Usłyszałam, jak krzyczysz przez sen i przyszłam - szepnęła. - Boże, jak się bałam, że już nie wrócisz.

Westchnął cicho i uśmiechnął się z ulgą.

- Twój ojciec miał rację, że głupio zrobiłem.

- To już nieważne. Najważniejsze, że znów jesteś i więcej nie znikniesz, prawda?

- Nie, Helenko. Chociaż, jeśli za każdym razem po czymś takim byłoby tak miło jak teraz, to może warto?

- Spróbuj tylko - roześmiała się. - Następnym razem inaczej z tobą porozmawiam.

Wziął jej drobną dłoń w ręce.

- Aż tak głupi to nie jestem, żeby znów was zostawić. Zwłaszcza ciebie.

Twarz dziewczyny oblał delikatny rumieniec, ale widać było, że te słowa sprawiły jej przyjemność.

- Wstałbyś już lepiej. - Delikatnie wysunęła dłoń z uścisku. - Na pewno jesteś głodny. My zresztą też, bo od dwóch godzin czekamy na ciebie z obiadem.

\*

Kiedy zbliżał się do domu Trześniowskich, butelkę Johnny'ego Walkera ukrył za pazuchą, a po zdjęciu przemoczonych ubrań ukrył ją w torbie. Po obiedzie nadarzyła się okazja, żeby postawić ją na stole.

- Powinniśmy byli ją wypić wczoraj - powiedział, wracając z pokoju - ale myślę, że jeszcze kiedyś będę mógł wypić taką samą flaszkę z moim ojcem w Niedzielę Wielkanocną, tak jak robiliśmy to od kilku lat. - Postawił butelkę na stole. - Tymczasem tutaj jest mój dom. Mam nadzieję - zwrócił się do gospodarza - że zechce pan przyjąć ten prezent.

Stary z uwagą patrzył na Rafała. Po chwili milczenia rzekł:

- To po nią poszedłżeś wczoraj na Wygon? Trza było poczekać, Jasiek mógł iść z tobą...

- Wtedy nie byłoby niespodzianki. Zresztą, teraz to już nieważne.

- Niespodziankę, to żeś miał wczoraj. Oby tylko nauczyło cię to rozumu. Córuś, podaj no cztery miarki...

- Co to jest? - Tymczasem Grela z ciekawością przypatrywał się bordowej etykietce. - To jakaś wódka?

- Coś w tym stylu - odpowiedział Rafał. - Ostrzegam, że może wam nie posmakować, ale zapewniam, że jest wielu, którzy za tym przepadają.

Helenka podała kieliszki, Trześniowski odkręcił nakrętkę i połał po równo do wszystkich kieliszków. Dziewczyna ledwie zamoczyła usta, a pozostali wypili do dna.

- Nawet może być. - Jasiek odstawił kieliszek. - Opowiesz dokładnie, co się stało na Czarnym Wygonie? - zwrócił się do Gielmudy.

- Daj mu spokój - odezwał się gospodarz. - Pytasz tak, jakbyś tego sam nie przeszedł. Przecież wiesz, że zawsze jest tak samo, tylko czasem nie przychodzą wszyscy. Teraz byli, bo pewno

chcieli nowego zobaczyć. Na pewno Bielakowa już rozpowiedziała, że się nowy pojawił we wsi.

- To jak to jest - zainteresował się Rafał. - Wszystkich was to spotkało?

- Wszystkich to nie, ale prawie - odparł Trześniowski. - Na początku Kowalik chciał wszystkich nas wytłuc, poza matką, bratem i Dudą, ale szybko się okazało, że nie da rady. Potem jak mu co odbijało, to kogoś zadźgał, tylko po to, żeby się wyżyć. Aż wreszcie większość chłopów z wioski się zebrała do kupy i dalim mu taką nauczkę, że całkiem mu się odechciało. I ciebie pewno by nie zaczepiał, jakby wiedział, że wrócisz. No, ale pewno myślał, że skoroś nowy, to ciebie to dotyczyć nie będzie. Sam zresztą pewności zem nie miał.

Stary sięgnął po butelkę i połał znowu.

- Ale jedno w tym wszystkim, co się wczoraj stało, jest dobre - ciągnął. - Wiemy, żeś jest taki sam jak my. No i będziesz teraz na Kowalika uważał. Chyba byś nie chciał jeszcze raz przebudzić się do życia na Czarnym Wygonie? - Podniósł kieliszek. - Wypijmy za to, byśmy mogli wrócić tam, gdzie nasze prawdziwe miejsce.

Tym razem i Helenka wypła do dna.

## XIX

Trześniowski miał na tyle słabą głowę, że zaraz po tym, jak wypili ostatnią kolejkę, stwierdził, że musi się położyć. Alkohol podziałał na niego tak bardzo, że Rafał i Grela pomogli staremu dojść do pokoju.

- Jasiak - wybełkotał, już leżąc na łóżku. - Pilnuj tego łobuza... - Gwałtowne czknięcie ucięło zdanie. - Pilnuj tego łobuza, ale nie przed Kowalikiem, tylko żeby mojej córki za bardzo w głowie nie zamieszał. Ślepy nie jestem i widzę, co się święci...

Wyglądało na to, że ma jeszcze zamiar coś dodać, ale tylko machnął z trudem ręką i odwrócił się twarzą do ściany. Zanim zdążyli wyjść z pokoju, już miarowo pochrapywał.

Helenka, mimo że wypła najwyżej jedną trzecią tego, co

pozostali, nabrała rumieńców i humor zdecydowanie jej się poprawił. Nawet wcześniej, nie zważając na obecność ojca, momentami rozmawiała tylko z Rafałem, który kątem oka rejestrował, jak Trześniowski niespokojnie kręci się na krześle. Polewał tylko coraz szybciej, co skończyło się dla niego tak, a nie inaczej.

Siedzieli teraz we trójkę przy stole. Gielmuda wyjrzał przez okno.

- Jasiu, jak myślisz, ile czasu zostało jeszcze do zmroku?

Grela zastanowił się przez chwilę.

- Będzie pewno z dwie godziny.

- Pokażecie mi wioskę?

- Co?

- Chciałbym zobaczyć, jak wygląda. Jestem tu prawie od trzech dni, a jeszcze jej nie widziałem.

- Chybaś zdumiał. - Jasiu przymrużył oczy, starając się skupić wzrok i popatrzył na Rafała zdumiony. - Co ta oglądać? Ot, parę chałup i kościoł. - Widać było, że ma trochę w czubie, ale do Trześniowskiego było mu jeszcze bardzo daleko.

Gielmuda, który miał za sobą długie miesiące studenckich alkoholowych praktyk, czuł się właściwie całkiem trzeźwy. Tym bardziej postanowił nie dawać za wygraną; taka okazja mogła się prędko nie powtórzyć.

- Przeszlibyśmy się we trójkę tam i z powrotem. Za pół godziny bylibyśmy w domu.

- Ja na pewno nie pójdę - powiedziała dziewczyna. - Nie zostawię ojca samego. A i wam nie radzę, bo z Kowalikami to nigdy nie wiadomo...

- No coś ty, Helenko? - Rafał czuł, że szanse na zobaczenie wioski nagle wzrosły. - Myślisz, że taki chłop jak Jasiu boi się jakiegoś tam Kowalika?

Podpity Grela poderwał się natychmiast.

- Idziemy - zaordynował. - Niedługo będziem z powrotem.

Wychodząc z kuchni, dodał jeszcze:

- Aha... Ale jakby się Jakub obudził, to może lepiej mu nie mów?

- Jak się obudzi i was nie będzie, to sam się domyśli -

odpowiedziała wyraźnie zdenerwowana. - Tylko uważajcie na siebie i wróćcie zaraz.

\*

Gdy stanęli na drodze, Rafał rozejrzał się wokół. Tylko zalesione wzgórza otaczające dolinę sprawiały, że rozpoznawał to miejsce. One się nie zmieniły w przeciwieństwie do centralnej części otwartego terenu.

Szli pomiędzy zabudowaniami w kierunku kościoła.

- Jasiak - Gielmuda złapał się na tym, że mówi szeptem, jakby nie chcąc zakłócić absolutnej ciszy - powiedz, dlaczego niektóre z domów są tak bardzo zrujnowane?

Większość budynków wyglądała tak, jakby czas się ich zupełnie nie miał, natomiast było kilka takich, po których nie pozostało prawie nic. Spróchniałe ściany rozsypały się pod naporem walących się dachów; jedynie zbudowane z kamienia, lepione gliną kominy, opierały się jeszcze zabójczemu działaniu czasu, wystrzelając z ruin chałup wprost w kierunku ołowianego nieba.

Mijali właśnie jedno z takich zawalisk. Jasiak wskazał je ręką.

- W tym akurat mieszkała Jasia Bielakowa, Jakub ci chyba o niej opowiadał?

Chłopak skinął głową.

- Zaraz potem, jak się powiesiła koło domu Trześniowskiego, jej chałupa zaczęła niszczyć bardzo szybko. Ściany rozpadały się w oczach, a dach runął w niecały rok.

- Są jeszcze dwa takie domy... - Rafał patrzył raz na Grełę, a raz w kierunku mijanych przez nich wcześniej domostw, które stały po obu stronach drogi, dokładnie naprzeciw siebie.

- Pamiętasz, że ostatniej nocy na Czarnym Wygonie widziałeś pięć mar bez oczu?

- Tak.

- Pierwsza z nich to Jasia Bielakowa. - Jasiak zaczął odliczać na palcach. - Druga to nasz ksiądz, od którego wszystko, co złe, się zaczęło.

- No właśnie, ale jak to było od początku? - spytał Rafał, w nadziei, że pomimo zakazu ustanowionego przez Trześniowskiego,



uda mu się dowiedzieć czegoś więcej.

- Tego nie powiem - odrzekł stanowczo Jasiek. - Nie wolno mi i koniec. To tak, jakbym miał złamać tajemnicę spowiedzi świętej.

- Patrzył poważnie wprost w oczy Rafała. - O tamtej sprawie niczego się ode mnie nie dowiesz, więc nigdy już mnie o to nie pytaj.

- No dobra. A kolejne osoby?

- To będzie tak - Grela popatrzył na swoją rękę. - Trzeci powiesił się jeszcze przed Bielakową, kilka miesięcy po tym, jak... Jak stało się to, o czym nie powiem ci ani słowa. Wszyscyśmy widzieli, jak nasz ksiądz łąził za nim wieczorami i do złego namawiał.

- A ksiądz? On był pierwszy?

- Tak. On powiesił się zaraz po pogrzebie Pauliny... - Jasiek pacnął się otwartą dłonią w czoło. - Tfu! Złe mnie podkusiło! Nic żem nie powiedział, rozumiesz?

- Tak. Ksiądz był pierwszy, kilka miesięcy po nim był...

- Nazywał się Andrzej Kniaź. Miał chyba ze dwadzieścia trzy albo cztery lata, mniej więcej tyle, co ty. Mieszkał sam, bo mu rodzice jeszcze przed wojną poumierali. Jego dom to był ten, co żeśmy go po prawej mijali.

Przerwał na chwilę i przypatrywał się twarzy chłopaka.

- A wiesz? - powiedział wreszcie. - Jak żem cię tylko zobaczył, to wydawało mi się, żeś jest do kogoś podobny i teraz już wiem. Andrzej był jak twój rodzony brat - takie same oczy, nos, włosy nawet tego samego koloru, trochę niższy tylko był.

Zamilkł i zaraz potem, jakby od niechcienia, dodał:

- Do Helenki Trześniowskiej chodził, a na jesieni pięćdziesiątego drugiego miało być wesele...

Doszli do położonego na końcu wsi kościoła, a Rafał uświadomił sobie, że po drodze nie minęli ani jednej osoby. Wolał w tej chwili pomyśleć o tym niż o byłym narzeczonym córki sołtysa.

- No i zostali jeszcze Szczepańscy - Tadek i Marysia.

- Oni sami siebie...

- Tak - głos Jaśka wyraźnie zadrżał. - Marysia była moją siostrą. Wyszła za Tadeka zaraz po wojnie. I wiesz? Oni zrobili to razem, w zasadzie całkiem niedawno, bo może że dwadzieścia lat będzie

od wtedy. Ja żem ich znalazł na tamtej czereśni. - Wskazał na okazałe drzewo rosnące niedaleko od szczytu wzniesienia, za którym znajdował się Guciów. - Wisieli naprzeciw siebie, wciąż trzymając się za ręce... - Grela kilka razy zaczerpnął głęboko powietrza.

Rafał nie chciał już nigdy wracać do tej rozmowy, więc zapytał jeszcze o jedno:

- Też zrobili to za podszeptem księdza?

- Z nimi to była inna historia. - W głosie Jaśka wciąż było słycać wzruszenie. - Bardzo chcieli mieć dzieci. Próbowali wiele razy i za każdym razem kończyło się to tragedią. Od pięćdziesiątego drugiego roku Marysia rodziła siedem razy, w tym raz bliźniaki. Wszystkie dzieciaki były śliczne, zdrowe, nic im się nie działo. Aż do mniej więcej piątego roku życia. Zapadały wtedy na chorobę, na którą nic żeśmy nie mogli zaradzić, i umierały. Może to dla nich i lepiej... Po prostu zasypiały i nie budziły się więcej.

Grela umilkł, a Rafał wszedł przez bramę na ogrodzony dziedziniec okalający kościół.

- Ten zrujnowany budynek to pewnie plebania? - spytał, pokazując kciukiem za siebie.

- Tak. Tylko kościół nie zawalił się tak, jak inne domy. Nie wiemy, dlaczego.

Gielmuda spojrział w stronę zbudowanej z kamienia dzwonnicy. Pamiętał, że gdy wjeżdżał w te okolice, usłyszał donośne bicie dzwonów - jak sądził - tych, które właśnie miał przed sobą.

„Kto wie, może to za ich przyczyną się tu znalazłem?” - pomyślał.

\*

Zanim ruszyli w drogę powrotną, Rafał obejrzał dokładnie kościół. Była to niewielka, kryta gontem budowla, zestawiona z solidnych drewnianych bali. Czas wyraźnie oszczędzał świątynię - mimo, że znać było na niej smugi pozostałe po wieloletnich deszczach, to jednak drewno nie zmurszało; mało tego - w niektórych miejscach wyglądało tak, jakby dopiero co ktoś wymieniał poszczególne elementy konstrukcji.

Gielmuda podszedł do takiego jaśniejszego bała, biegnącego od drzwi wejściowych aż do prawego narożnika świątyni. Dotknął go ręką i pod palcami poczuł wilgotną lepkość żywicy.

- Był remontowany zaraz po wojnie - usłyszał zza pleców głos Jaśka. - Od tamtej pory wcale się nie zmienił. Tak, jako i my...

Plebania przypominała mijane wcześniej, zawałone chaty. Kiedyś zapewne najbardziej okazały dom we wsi - teraz nie było nawet na czym oka zawiesić. Zniszczeniu nie oparł się nawet komin, którego fragmenty leżały porozrzucane jak popadnie, dopełniając wrażenia całkowitej ruiny. Większość drewnianych elementów, tworzących niegdyś miejsce zamieszkania lokalnego proboszcza, spróchniało i rozsypało się w pył.

Z drugiej strony kościoła, prawie pod lasem, położony był sporych rozmiarów cmentarz. Gielmuda oceniał, że liczył on na pewno ponad sto mogił.

Jaśiek najpewniej dostrzegł, że chłopak patrzy w tamtą stronę.

- Kiedyś Starzyzna to była duża wieś. Była u nas parafia, ludzie przychodzili na niedzielne msze z okolicznych wiosek i chowani też tu byli. Po wojnie wszystko się zmieniło. Wielu zginęło w partyzantce albo pouciekało do miasta. Domy żeśmy porozbierali i zostały tylko te, co teraz są. No i nowe groby na cmentarzu to już tylko są tych, co sami się z życiem pożegnali. Ten duży krzyż, najbliżej kościoła, to księdza. Gdybyśmy wiedzieli, co będzie po jego śmierci, to krzyża byśmy na pewno nie postawili... No ale jak już stał, to nie wypadało go zabierać.

Rafał odwrócił się i ruszył z powrotem w kierunku bramy.

- Pewnie kościół i plebania były zbudowane mniej więcej w tym samym czasie? - zapytał.

- Mój pradziad opowiadał, że plebanię wybudowali ze dwa lata wcześniej. Ksiądz się tu sprowadził i pomagał przy budowie kościoła. Po nim przyszedł następny i jeszcze jeden, aż zaraz po wojnie ten, któregoś widział na Czarnym Wygonie. Ale jego to chyba diabli nadali. Całe to nasze nieszczęście przez niego. Na początku normalny był. Wszyscyśmy mu pomagali gospodarzyć, bo dobry, taki ludzki był. Miał trochę ziemi i z początku sam mieszkał.

Wracali już, a Grela zamilkł nagle, jakby reflektując się, aby znów za wiele nie wypaplać, i przyśpieszył kroku.

- Hej, ty! Racha! - usłyszeli mocny głos za plecami.

Stanęli jak na komendę. Obok domu położonego najbliżej kościoła, opierając się o płot, stał Marcin Kowalik.

- Jak ci się podobał mój nóż? - krzyknął i roześmiał się, jakby powiedział jakiś przedni dowcip. - Dobrześ mu się przyjrzał? - Twarz mężczyzny spoważniała w jednej chwili. - Jak nie, to nie szkodzi, bo jeszcze będziesz miał wiele okazji.

- Czegoś się go czepił? - odpowiedział mu Jasiek. - Trzymaj się od niego z daleka, bo źle będzie z tobą.

- A tobie co do tego?

- Powiedziałem, lepiej go zostaw, bo inaczej znów po ciebie przyjdziem w nocy.

Kowalik patrzył na Jaśka i mimo że dzieliło ich dobrych kilkadziesiąt metrów, Rafał wyraźnie słyszał, jak olbrzym sapie ze złości.

- Zrobię, jak mi się będzie chciało! - krzyknął wreszcie, po czym splunął na drogę w ich kierunku, odwrócił się i zniknął za domem.

- Co mu zrobiliście? - spytał chłopak. - Wiesz, wtedy, w nocy...

- Nie twój interes. Ważne, że pomogło i długi czas był z nim spokój. Niedobrze, że znów mu zaczyna szajba odbijać.

## XX

Zima jeszcze nie skończyła się na dobre, a w Starzyźnie już należało przystąpić do przygotowywania opału na kolejny chłodny sezon.

Rafał nie był przyzwyczajony do ciężkiej pracy fizycznej, dlatego kolejny dzień dał mu się mocno w kość. Razem z Grela i Trześniowskim pracowali przy obróbce ściętych przed świętami drzew. Grube, liczące nawet około osiemdziesięciu centymetrów u podstawy sosny i buki, przecinali ręczną pilą na krótkie klocki, które w przyszłości miały być porąbane siekierą i służyć do

ogrzewania domostw.

Pracowali od świtu, a zaraz po południu dłonie chłopaka pokryte były piekącymi, ropnymi pęcherzami. Mięśnie bolały go jak chyba nigdy dotąd, ale starał się nie dać tego po sobie poznać, by nie być wziętym przez pozostałych za słabeusza, a jednak słaby organizm nie wytrzymał i każdy ruch wymagał od Gielmudy coraz więcej wysiłku. Z trudem schylał się i prznosił kolejne kawałki drewna, a brak tlenu w powietrzu stawał się z każdą chwilą bardziej nieznosny.

Nie umknęło to uwagi Trześniowskiego.

- Na dzisiaj wystarczy, Rafał - powiedział. - Idź do domu i odpocznij, bo jutro znów nas czeka taka sama praca i bez tego nie dasz rady.

Nie zamierzał protestować.

- Dziękuję. Mam nadzieję, że jutro spiszę się lepiej - rzekł tylko.

\*

W domu, oprócz córki gospodarza, zastał jeszcze dziewczynkę, którą pamiętał z niedzielnego nabożeństwa. Siedziały pochylone przy kuchennym stole. Mała pisała coś ołówkiem w zeszytce.

- Nie przeszkadzam? - zapytał.

Dziewczynka podniosła głowę i jej śliczną buzię okoloną jasnymi, prostymi włosami rozjaśnił radosny uśmiech.

- Nie, właśnie kończymy - powiedziała Trześniowska. - Anielka będzie już wracała do domu.

- Uczysz ją pisać? - Rafał podszedł bliżej i zobaczył, że zeszyt jest gęsto zapisany trochę niezadarnym, ale starannym pismem.

- Tak jak i mnie uczyli. Dziecko nie może nie umieć czytać i pisać, więc w zeszłym roku pomyślałam, że warto nauczyć i Anielkę.

Na stole leżała też niegruba książka. Gdy Gielmuda ją otworzył, zobaczył, że jest to elementarz podobny do tych, które pamiętał z domu.

- Elementarz Falskiego - stwierdził ze zdziwieniem. - Nie wiedziałem, że został wydany tak wcześnie. Widzę, że to wydanie z tysiąc dziewięćset dziesiątego roku, pewnie pierwsze... To

ciekawe, że jeszcze kilkadziesiąt lat po wojnie wszystkie dzieciaki zaczynały od niego naukę czytania. Tyle że wydanie było trochę inne.

- Anielka już umie czytać bardzo dobrze. Prawda? - Helenka zwróciła się do dziewczynki.

Ta energicznie kiwnęła głową, ale nie spuściła oczu z Rafała.

- Ale pan ładny - powiedziała tylko. - Chciałabym być się kiedyś z panem ożenić.

Trześniowska roześmiała się i wstała od stołu.

- Powinnaś powiedzieć, że chciałabyś wyjść za tego pana za mąż. - Podeszła do dziewczynki i lekko potargała jej jasne włosy. - A na ślub to będziesz jeszcze musiała trochę poczekać. Jeszcze jesteś na to trochę za mała.

Rafał uśmiechnął się tylko lekko i powiedział:

- Na razie żeniaczka mi nie w głowie, bo jestem głodny i bardzo zmęczony. Mam nadzieję, że znajdzie się coś do jedzenia? - zapytał.

- Zaraz przygotuję - odparła Helenka. - Tylko odprowadzę małą. Na kuchni stoi baniak z gorącą wodą, jak chcesz, możesz się umyć.

- Dzięki. - Rafał podszedł do kuchni.

- Proszę pana - odezwała się mała. - Ale ja będę dużo jadła i szybko urosnę. I wtedy będzie pan był mógł już wyjść za mnie za mąż?

Trześniowska wzięła ją za rękę i razem ruszyły w stronę drzwi.

- Zobaczymy - roześmiał się Gielmuda. - Musisz jeszcze bardzo dużo urosnąć.

\*

- Co się stało tej malej? - Po skończonym posiłku Rafał siedział przy stole i przeglądał zeszyt, w którym wcześniej pisała dziewczynka. - Jeszcze nigdy kobieta mi się nie oświadczała, a już zwłaszcza tak młoda - powiedział z uśmiechem.

- Nie mam pojęcia, ale dzisiaj zupełnie nie mogła się skupić na nauce - odparła Helenka. - Chciała się o tobie dowiedzieć jak najwięcej, no i mówiła kilka razy, że się „była zakochała w panu

Rafałku". Aż się bałam, co będzie, gdy się znów spotkacie... No, ale w sumie trudno się jej dziwić, bo rzeczywiście przystojny z ciebie chłopak - mówiąc to, delikatnie się zarumieniała.

Przyglądał jej się uważnie. Nie miał wątpliwości, że dziewczyna go podrywa. Może i byłoby to miłe, gdyby nie rozmowa, którą odbył poprzedniego dnia z Jaśkiem. Był przekonany, że to wszystko przez podobieństwo do Andrzeja - byłego narzeczonego Trześniowskiej. Miał ochotę wspomnieć coś na ten temat, ale uznał, że jeszcze przyjdzie na to pora. Tymczasem postanowił zmienić temat.

- Skąd bierzecie zeszyty? - zapytał, wskazując na leżący przed nim brulion w linię.

- Przecież jutro na tej kartce będą już tylko linie wydrukowane pięćdziesiąt lat temu... Nie pamiętasz?

- No tak, rzeczywiście. Chyba minie sporo czasu, zanim się przyzwyczaję - roześmiał się. - Powiesz mi, co się wtedy wydarzyło? Od czego się to wszystko zaczęło?

- W niedzielę, zanim przyszedłeś, ojciec zakazał mówić ci cokolwiek na ten temat. Nie wiem, dlaczego, ale skoro taka jest jego wola, to na pewno ode mnie niczego się nie dowiesz.

- Wiem, że zabronił, ale to bardzo ważne. Może w tym tkwi tajemnica dotycząca sposobu, w jaki można się stąd wydostać?

- Może, ale ja nic nie powiem. Pytaj ojca, może zmieni zdanie.

Rafał zdał sobie sprawę, że faktycznie w tej kwestii może liczyć tylko na starego. No, chyba że Jasiek się wygada i przez przypadek powie coś więcej. Trzeba było cierpliwości i czasu. Jak się wydawało - tego ostatniego Gielmuda mógł mieć aż nadto. Raz jeszcze spojrzął na zapisane linijki.

- Jak mała pisze tak ładnie, to ty pewnie jeszcze ładniej?

Przysunęła do siebie zeszyt, zaczęła pisać, zasłaniając kartkę lewą ręką. Po chwili zamknęła brulion, podając go chłopakowi. Otworzył i odczytał zdanie, wykaligrafowane mistrzowsko dopracowanymi, kształtnymi literami:

**Zapytaj Ojca o Paulinę Podolak.**

Podniósł wzrok i spojrzął na dziewczynę pytająco.

- Tato zabronił mówić - uśmiechnęła się.

- Może napiszesz coś więcej?

Pokręciła tylko przecząco głową.

- Pięknie piszesz. Sama się tego nauczyłaś? - zapytał.

- Nie, tak uczyli nas pisać w szkole przed wojną. Moja nauczycielka zawsze mówiła, że trzeba pięknie i starannie przelewać na papier swoje myśli. Wszyscy, którzy uczyli się ze mną, musieli się bardzo starać...

- A jak to się dzieje, że mówisz inaczej niż wszyscy?

- Słucham?

- Zauważyłem, że wszyscy w Starzyźnie mówią językiem... jakby to powiedzieć... trochę gwarowym. Tylko ty nie mówisz w ten sposób.

Patrzyła mu w oczy, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Nie mamy wprawdzie wielu książek, ale te, które u nas w domu są, przeczytałam bardzo dużo razy. Lubię ten język... hmm...

- Literacki?

- Właśnie.

- Jakie macie książki? Pokażesz mi?

Dziewczyna zastanowiła się przez chwilę, po czym wstała.

- Chodź ze mną.

Przeszli do jej pokoju. Na półkach stało kilkanaście grubych, wydanych przed wojną tomów.

- Najbardziej podobają mi się powieści Henryka Sienkiewicza. Nie lubię „Chłopów” Reymonta, bo czytając tę książkę, wciąż mam przed oczyma naszą wieś...

- Słyszałaś o literackiej Nagrodzie Nobla? - zapytał Rafał.

- Nie, a co to takiego?

- Wymieniłaś właśnie dwóch polskich autorów, którzy ją otrzymali - Sienkiewicz za „Quo vadis?”, a Reymont właśnie za „Chłopów”. To najważniejsza na świecie nagroda dla pisarzy.

- I dostali ją Polacy?

- Tak. I nie są jedynymi, ale pozostałych chyba nie możesz znać. To Czesław Miłosz i Wisława Szymborska. Dostali Nobla pod



koniec dwudziestego wieku.

Popatrzyła na Rafała i szepnęła:

- Nawet nie wiesz, jak chciałabym kiedyś przeczytać to, co napisali. - W jej oczach nagle pojawiły się łzy. - Zabierz mnie tam, proszę.

Przytulił ją bardzo mocno.

## XXI

Rafał dobrze czuł się w towarzystwie Helenki. Wydawałoby się, że dzieli ich tak wiele - przecież urodziła się pewnie gdzieś na początku lat trzydziestych, wychowała w trudnych latach naznaczonych wojenną pożogą - a jednak nie było między nimi znaczących różnic. W okresie liceum chłopak przeżywał czas fascynacji historią, a szczególnie bliski był mu okres związany z dziejami drugiej Rzeczypospolitej. Kiedy przeglądał archiwalne druki, czy słuchał oryginalnych nagrań z tamtego okresu, uderzyło go, jak malej ewolucji uległ chociażby język, którym się posługiwano wtedy, w porównaniu do polszczyzny używanej w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych. Oczywiście - różnice w postępie technologicznym były ogromne, jednak ludzie nie zmienili się tak bardzo, jak mogłoby się zdawać.

Z drugiej jednak strony, przecież jeden wiek w historii ludzkości to ledwie mgnienie oka, tylko trzy lub cztery pokolenia. Pradziadek Giel- mudy urodził się w ostatniej dekadzie osiemnastego wieku, więc doskonale pamiętał czasy, kiedy Krasnobród był pod zaborem rosyjskim. Jako dziecko, Rafał słuchał opowieści związanych z okresem pierwszej wojny. Dla osoby, która pamiętała tamte czasy, zdawały się one dniem najwyżej przedwczorajszym.

Stary Gielmuda lubił siadać przy piecu, w domu bardzo podobnym do tych, które tworzyły Starzyznę. Sadzał wtedy prawnuka na kolanach i opowiadał o dawno minionych latach. Pewnie zdawał sobie sprawę, że kilkuletni brzdąc i tak niewiele z tego wszystkiego rozumie, jednak Rafał, mimo że faktycznie nie

bardzo wiedział, o czym była mowa, uwielbiał te opowieści.

Franciszek Gielmuda zmarł w połowie lat osiemdziesiątych; niewiele mu zabrakło, aby dożył setki. Pozostał po nim dom ze starym piecem, trochę ubrań i opowieści - w przeciwieństwie do dóbr doczesnych - wciąż żyjących w pamięci najbliższych. Rafał pamiętał głównie to, że gdy „dziadek Franek” kończył opowiadać, każdą historię kończył długim westchnieniem, po czym milkł na chwilę, by zaraz dodać, mierzwiąc jednocześnie bujną czupryną prawnuka:

- Czas to wariat, wnusiu. Pamiętaj - czas to stary, zwariowany wariat. Znam go już dobrze i wiem, co mówię.

Potem łagodnie zdejmował dzieciaka z kolan, wstawał, sadzał go na swoim miejscu i wychodził przed dom, żeby zapalić papierosa.

Jeszcze przez wiele lat po śmierci pradziadka, słowo „wariat” było dla Rafała równoznaczne ze słowem „czas”. Dopiero w wieku kilkunastu lat zrozumiał, że nie każdy wariat musi mieć cokolwiek wspólnego z zegarem.

Tego popołudnia, we wtorek, siedemnastego kwietnia dwa tysiące pierwszego roku, gdy siedział w kuchni razem z córką Trześniowskiego i patrzył w oczy dziewczyny, która teoretycznie była od niego jakieś pół wieku starsza, kiedy rozmawiał z nią tak, jak ze swoją rówieśnicą, miał dziwne wrażenie, że dziadek Franek przygląda mu się gdzieś z zaświatów, kiwa siwą głową i mówi tym swoim łagodnym głosem, który, jeszcze jako głos dziecka, brzmiał w Krasnobrodzie pod koniec osiemnastego wieku:

- Ot, widzisz, wnusiu. Nareszcie zrozumiałeś, co miałem wtedy na myśli... Chyba wreszcie to zrozumiałeś, smyku.

\*

Wrócili tuż przed zmrokiem.

- A co wy tu tak po ciemku siedzicie? - zapytał Trześniowski, wchodząc do kuchni jako pierwszy. - Świec chyba nie zbrakło?

- Nie, ojczy - odpowiedziała mu córka, wstając od stołu. - Tylko tak się zagadaliśmy, że nawet nie zauważyliśmy, że noc się zbliża.

Podeszła do kredensu i wyjęła z niego trzy świece. Dopiero gdy je zapaliła, Rafał spostrzegł, że za gospodarzem, oprócz Jaśka, wszedł jeszcze jeden mężczyzna. Stary wskazał na niego i zwrócił się do chłopaka:

- To jest Albin Socha. Wczoraj żem mu cokolwiek napomknął na twój temat i koniecznie chciał z tobą pomówić.

Socha podszedł do Gielmudy i wyciągnął w jego stronę lewą rękę.

- Dzień dobry.

Rafał niezdarnie uścisnął podaną dłoń. Był to około trzydziestoletni blondyn, który zwrócił uwagę chłopaka podczas wielkanocnego nabożeństwa. Prawy rękaw jego koszuli był zaszyty tuż przy barku.

Zauważył spojrzenie Rafała.

- Szkoda, że to się stało jeszcze w czasie wojny - uśmiechnął się.  
- Gdyby mi ją pocisk urwał teraz, to następnego dnia byłaby jak nowa.

Zapadła niezręczna cisza, którą przerwał tubalny głos Jaśka.

- Albin mówi, że zna kilku Gielmudów z Krasnobrodu. Ciekaw jest, czy któryś z nich to twój krewny i...

- Ale przecież nie będziem tak stali - wtrącił się gospodarz. - Córku, daj nam co do zjedzenia. Siądziem sobie przy stole i wtedy będziem rozmawiać na spokojnie.

- Wiem, że Gielmudów jest dużo w Krasnobrodzie - zaczął Socha po skończonym posiłku - gdy jednak Jakub wymienił twoje nazwisko, pomyślałem, że zapytać nie zawadzi. Kilka lat przed wojną moja matka, świeć Panie nad jej duszą, powiedziała, że pójdę się uczyć do Krasnobrodu. Miała tam siostrę, co mieszkała niedaleko klasztoru i u niej żem zamieszkała. Rok wyżej był w szkole Michał Gielmuda. Znasz może takiego?

- Mój dziadek miał na imię Michał - odpowiedział Rafał. - Ale wiem, że było w okolicy jeszcze dwóch Gielmudów o tym samym imieniu.

- Taki szczupły chłopak, trochę ryżawy...

- Nie wiem, jakie dziadek miał włosy, kiedy był młody. Kiedy się urodziłem, był prawie całkiem łysy - uśmiechnął się chłopak. -

Nie wiem, czy to może o niego chodzić.

- Pamiętasz może, w którym roku się urodził?

- W dwudziestym.

Socha zamyślił się i przez chwilę nic nie mówił.

- To by się zgadzało nawet. Ja jestem z dwudziestego pierwszego.

Rafał poczuł na skórze pleców delikatny dreszcz.

- A wiesz, coś żem sobie przypomniał - kontynuował Socha. - Kiedyś po lekcjach ten Gielmuda - straszny był z niego zadzióra - pobił się z takim jednym z najstarszej klasy o jedną dziewczynę. Wszyscy żeśmy się zbiegli, bo taka bitka to zawsze było coś ciekawego. Nikt nie dawał mu szans z tamtym dryblasem, ale Michał stłukł go do niemożliwości. Na koniec siedział na nim i kolanem dusił w szyję w kółko pytając, czy tamten ma dosyć, i wreszcie usłyszał, że tak. Michał wstał i nie oglądając się za siebie, odszedł. Wtedy ten drugi, cały porozbijany, podniósł się i zaczął wycierać gębę ze smarków i krwi. Zdawało się, że na tym się wszystko skończy, ale ktoś zaczął się śmiać. Potem drugi i następny. Wtedy Malinowski, bo tak się chyba nazywał, pognął za Gielmuda. Nikt nie wiedział, skąd miał w ręce kawałek rozbitego szkła. Dogonił Michała, złapał za włosy i rozciął mu cały policzek. Chybaby go tym szkłem zarżnął, ale kilku z nas ich rozdzieliło. Gielmuda wylądował w szpitalu, zdaje się, że musieli mu tę ranę zeszyć.

- To pewno nie był twój dziadek - odezwał się Jasiek. - Taka rana zostałaby na całe życie.

Patrzyli na Rafała wyczekująco. W końcu się odezwał, wyraźnie poruszony.

- I została. - Gielmuda wpatrywał się w stół. - Dziadek nigdy nie powiedział, skąd się wzięła blizna na jego policzku. Mówił tylko, że dzięki temu, że tam się znalazła, ożenił się z babcią. Pewnie to była właśnie ta dziewczyna, o którą się wtedy bili...

- Boże przenajświętszy - szepnął Socha. - To znaczy, że jesteś wnukiem Michała?

- Nie znam innego Michała Gielmudy, który miałby taką szpetną bliznę - odpowiedział Rafał i uśmiechnął się pod nosem. - Wiem

jeszcze, że za tę bliznę jego ojciec, czyli mój pradziadek...

- Miał na imię Franciszek? - spytał Albin. - Wszyscy go znali w Krasnobrodzie i bardzo poważali jako wojennego bohatera.

- Tak właśnie miał na imię. Pradziadek stłukł syna na kwaśne jabłko za tę bliznę. Teraz przynajmniej wiem dlaczego - pewnie nie spodobało mu się, że dziadek nie załatwił sprawy do końca tak, jak należało.

Trześniowski pokręcił głową.

- Wierzyć trudno, żeście się w Starzyźnie spotkali.

- A co tam się później działo z Michałem? - Socha jakby nie usłyszał słów starego. - Żyje jeszcze?

- Zmarł niecały rok po swoim ojcu.

- A jego żona, to znaczy twoja babka?

- Też umarła. Dwa lata temu.

- Pewno już niewielu zostało takich, co mogą mnie pamiętać.

- Nie pamiętają cię, Albin - powiedział Trześniowski. - Oni nie pamiętają nikogo z nas. Trza nam było w pięćdziesiątym drugim inaczej postąpić. Teraz nikt z tamtych, co nawet jeszcze żyją, o nas nie pamięta.

## Rozdział piąty

### 1.

Ktoś szarpał mnie za ramię. Gdy otworzyłem oczy, zobaczyłem Krzysztofa, pochylającego się nad łóżkiem, w którym spałem.

- Przepraszam, że budzę, ale chciałbym, żebyśmy odwiedzili dziś jedno miejsce.

Wyrwał mnie z głębokiego snu. Początkowo miałem problem z uświadomieniem sobie, gdzie się znajduję. Wreszcie, po kilkunastu sekundach, przypomniałem sobie poprzedni wieczór.

- Która godzina? - zapytałem.

- Wiem, że jest dosyć wcześnie - za piętnaście ósma - ale mamy niewiele czasu - muszę być od dziesiątej z córką, bo moja mama ma zaplanowany pilny wyjazd. Nie będzie jej tylko kilka godzin, więc po południu znów będę wolny.

- Ale dokąd mamy jechać?

- Przekona się pan na miejscu.

- Może już wystarczy tych zagadek? - powiedziałem zirytowany. Wcale nie miałem ochoty wychodzić spod ciepłej kołdry.

- Chcę, żeby pan kogoś poznał - odparł. - Nie ma sensu, żebym teraz mówił, o kogo chodzi. Na miejscu zobaczy pan dlaczego.

Nie miałem pojęcia, o której zasnąłem, ale jedno było pewne - spałem zdecydowanie zbyt krótko. Skoro jednak znalazłem się w Krasnobrodzie i byłem gościem Piaseckiego, nie wypadało mi zbyt szybko się opierać.

- Dobrze, już wstaję. Byłbym wdzięczny za mocną kawę.

- Woda już jest zagotowana, przygotowałem też coś do zjedzenia. Czekam na pana w kuchni. - Mówiąc to, Krzysztof wyszedł z pokoju.

Dziesięć minut później siedzieliśmy przy kuchennym stole. Mocna i aromatyczna kawa dobrze mi zrobiła - po kilku łykach

byłem gotów do działania, choć nie miałem stuprocentowej pewności, że chcę kolejnej dawki przygód. Te z poprzedniego dnia wystarczały mi aż nadto.

Przyszło mi na myśl, że bardzo chciałbym się znaleźć w warszawskim mieszkaniu i zapomnieć o Piaseckim, Guciowie i ogromnym facecie bez dolnej połowy twarzy, jednak wiedziałem, że skoro już udało mi się wdepnąć w ten bajzel, to powinienem jakoś sensownie zakończyć sprawę.

- Długo nam to zajmie? - zapytałem. - Chciałbym, żebyś jeszcze przed dziesiątą zawiózł mnie do Guciowa. Muszę uregulować należność za noclegi, a potem... - Tak naprawdę nie potrafiłem zaplanować czegokolwiek w horyzoncie czasowym dłuższym niż dwie najbliższe godziny.

- Myślałem, że poczeka pan tutaj...

- Muszę jak najszybciej oddać dług Jankowi. Nie chcę, żeby wyglądało na to, że uciekłem bez płacenia.

- Dobrze wobec tego, ale zaraz potem wrócimy tutaj?

- Jeśli nie będzie ci to przeszkadzało, to bardzo chętnie. Chwilowo mam dosyć tamtego miejsca.

- Myślę, że to wszystko nie zajmie nam więcej niż półtorej godziny, więc spokojnie zdążę na dziesiątą do mamy.

Mam nadzieję, że nie pogniewa się pan, jeśli zostawię go samego na kilka godzin?

- No pewnie, że nie. Tylko że - po pierwsze - mógłbyś już przestać z tym „panowaniem”, a po drugie - nie wiem, czy jest jeszcze sens, żebym tu zostawał. Przecież chyba i tak nie mogę w niczym pomóc...

- Możesz - gładko przeszedł na „ty”. - Nawet nie wiesz, jak bardzo. Jeszcze tylko jedna noc. Proszę...

- Jeśli tak uważasz, to nie ma problemu - zostanę do jutra. Moje rzeczy jeszcze nie wyschły i chyba mogą tu zostać?

- Jasne. A teraz już chodźmy, bo nie mamy wiele czasu.

## 2.

Gdy wyszliśmy z domu, zanotowałem u siebie irracjonalne odczucie, związane z przeczytaniem ostatniego fragmentu zapisków w brulionie. Bałem się wsiadać do samochodu Piaseckiego. Było dla mnie pewne, że w tamtych notatkach chodziło o inne auto, jednak marka auta i jego kolor zaczęły mi się źle kojarzyć. Nie miałem jednak przecież innego wyjścia i po chwili siedziałem w białym opla.

- Długo będziemy jechać? - spytałem.

- Najwyżej trzy minuty.

Dźwięk odpalanego silnika pozwolił mi ukryć lekkie westchnienie ulgi. O późniejszej podróży do Guciowa wolałem na razie nie myśleć.

W drodze ukradkiem obserwowałem wnętrze auta, zastanawiając się, czy właśnie tak wyglądał samochód opisany w brulionie.

- Jaki był typ tamtego opla? - zapytałem, mając nadzieję, że odpowiedź mnie uspokoi.

Piasecki spojrzał w moją stronę.

- Tego, którym Gielmuda przyjechał do Starzyzny - uściśliłem. - Jest coś na ten temat w późniejszych zapiskach? Na razie nic nie znalazłem...

- Kadett - odrzekł krótko.

- Ciekawy zbieg okoliczności... - Próbowałem nadać swojemu głosowi beztroski ton, ale wiedziałem już, że lepiej było nie pytać.

Krzysztof nie zareagował na moją uwagę, skupiając się na prowadzeniu samochodu. Minęliśmy centrum miasteczka i wspinaliśmy się drogą prowadzącą w kierunku Zamościa. W dole, po lewej stronie lśniła tafla sporej wielkości zbiornika wodnego, najprawdopodobniej miejscowego zalewu, który miał za zadanie ściągać do Krasnobrodu sezonowych turystów. Umiejscowiona przy drodze tabliczka uświadomiła mi, że poruszamy się ulicą Sanatoryjną.

- Jesteśmy już prawie na miejscu - powiedział, gdy zjeżdżając w



dół, po prawej minęliśmy duży kościół z czerwonej cegły.

Faktycznie, chwilę później zatrzymał opla przy dwupiętrowym budynku położonym niedaleko za kościołem. Wysiedliśmy i odczytałem duży napis umieszczony nad wejściem.

- Dom Pomocy Społecznej? - nie kryłem zdziwienia. - Coraz bardziej mnie zaskakujesz.

- Zaraz wszystko się wyjaśni - rzucił krótko i ruszył w kierunku drzwi wejściowych.

Szedł po schodkach prowadzących do drzwi wejściowych tak szybko, że ze swoją uszkodzoną nogą nie miałem szans, aby za nim nadążyć. Odniosłem wrażenie, że chce mieć tę wizytę jak najszybciej za sobą. Chwilę wcześniej dostrzegłem na jego twarzy znajomy tik, więc nie miałem wątpliwości, jak bardzo jest zdenerwowany. Do tej pory to charakterystyczne drganie mięśni na prawym policzku pojawiało się u Krzysztofa tylko w chwilach silnego stresu. Począł na mnie przy drzwiach, a gdy sapiąc, stanąłem obok niego, pewnie ruszył przodem.

Widać było, że zna to miejsce jak własną kieszeń i prawdopodobnie bywa w nim dość często, ponieważ nie uznał za stosowne, aby poinformować kogokolwiek z personelu o naszym przybyciu. Szliśmy korytarzem, mijając kilkoro podopiecznych placówki. Nie miałem wątpliwości, że byliśmy w domu starców.

Krzysztof zatrzymał się przy otwartych drzwiach jednego z pokojów i zajrzał do środka.

- Chcę ci kogoś przedstawić - powiedział.

W sali znajdowały się dwa łóżka, z których jedno było puste. Przy oknie dostrzegłem siedzącą na krześle, odwróconą do nas plecami, przygarbioną, siwowłosą kobietę.

Nie usłyszała, jak weszliśmy. Drgnęła dopiero wtedy, gdy Piasecki delikatnie położył dłoń na jej ramieniu. Odwróciła twarz i uśmiechnęła się prawie niezauważalnie.

- Witaj - powiedział. - Przyprowadziłem kogoś, kto być może będzie mógł nam pomóc.

Z trudem podniosła drżącą, kościstą rękę i położyła ją na palcach Krzysztofa.

- To dobrze - odrzekła i spojrzała w moją stronę.

- Dzień dobry pani. - Staralem się mówić jak najciszej, obawiając się, że podniesiony głos może ją przestraszyć.

Przyglądała mi się bardzo uważnie ciemnymi, bystrymi, rzekłbym nawet, że zadziwiająco bystrymi oczyma, kontrastującymi z otaczającą je gęstą siecią zmarszczek i pożółkłą ze starości skórą. Oceniałem, że jeśli kobieta nie miała jeszcze stu lat, to do tego wieku brakuje jej bardzo niewiele.

Nie wytrzymałem jej spojrzenia. Chciałem coś powiedzieć, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Omiotłem wzrokiem pomalowany na zielono pokój i na szafce kobiety dostrzegłem kilka książek. Temat do rozmowy znalazł się natychmiast.

- Lubi pani Szymborską? - Wiedziałem, że może nie jest to najbardziej odpowiednie pytanie, ale uznałem, że lepsze to niż przedłużające się, niezręczne milczenie.

- Bardzo - odpowiedziała zdecydowanie. - Ale jeszcze bardziej lubię Czesława Miłosza. Mogłabym go czytać całymi dniami.

Prawą rękę wciąż trzymała na dłoni Krzysztofa, a ja dopiero teraz dostrzegłem, że trzyma coś w drugiej. Podniosła książkę.

- „Dolina Issy”. Przeczytałam ją już chyba z dziesięć razy i mam nadzieję, że starczy mi czasu, żebym mogła zrobić to jeszcze przynajmniej raz.

- Na pewno - odrzekłem, choć patrząc na jej kruche, pokurczone ciało, obawiałem się, że mogę nie mieć racji.

Wydawało się, że czyta w moich myślach, bo w jej oczach na chwilę zagościł cień smutku. Po chwili spojrzała na Piaseckiego.

- Jak tam Paulinka? Kiedy będziesz mógł z nią przyjść?

- Dobrze. Teraz jest lekko przeziębiona, ale pewnie zobaczysz ją znów niedługo.

Domyśliłem się, że chodzi o jego córkę. Poprzedniego wieczoru mówił mi o tym, że zachorowała na zapalenie płuc, więc uznałem, że nie chce martwić staruszki. Powiedział coś jeszcze, ale tego już nie usłyszałem. Moją uwagę całkowicie zaabsorbowała karta, zawieszona na ramie łóżka. Gdy odczytałem nazwisko, poczułem, że robi mi się słabo.

- Poczekam na dworze - powiedziałem do Krzysztofa, przerywając mu w pół zdania. W kierunku kobiety rzuciłem

jeszcze zdawkowe „Do widzenia”, po czym wyszedłem z pokoju i ruszyłem w kierunku wyjścia. Dopiero na zewnątrz zatrzymałem się, czując, jak świat wokół zaczyna niebezpiecznie wirować. Wyszedłem za ogrodzenie i usiadłem na ustawionej przy chodniku ławce, starając się oddychać najgłębiej, jak to tylko możliwe.

Piasecki wyszedł mniej więcej po kwadransie. Spodziewałem się, że od razu pójdzie w kierunku samochodu, stojącego na parkingu przy budynku, jednak dostrzegł mnie, podszedł do ławki, usiadł obok i przez chwilę milczał.

- Jak się domyśliłeś, że to ona? - zapytał wreszcie.

- Zobaczyłem kartę. Rozumiem, że to nie jest przypadkowa zbieżność nazwisk.

Pokręcił przecząco głową.

- Mogłeś mi przecież wcześniej powiedzieć - dodałem z wyrzutem.

- Chciałem, żebyś ją zobaczył. Zresztą, gdybym ci tylko o tym opowiedział, to pewnie byś i tak nie uwierzył.

Zastanowiłem się przez chwilę.

- Mam coraz mocniejsze przeświadczenie, że z każdą godziną pobytu w tej okolicy jest coraz mniej rzeczy, w które mógłbym nie uwierzyć.

- To dobrze - odrzekł, wstając. - Najgorsze jeszcze przed nami, ale - wszystko jedno, jak bardzo idiotycznie to zabrzmiało - cieszę się, że tak mówisz.

Ruszył w kierunku samochodu.

- Najgorsze jeszcze przed nami - powtórzył w zamyśleniu i miałem przekonanie, że tym razem mówi już tylko do siebie.

Zaraz potem ruszyliśmy w stronę Zamościa i niedługo po opuszczeniu Krasnobrodu skręciliśmy w lewo, w drogę prowadzącą do Guciowa. Żaden z nas nie odzywał się ani słowem. Jechaliśmy wśród rozłożonych słonecznym światłem lasów, które były zielone w tych miejscach, gdzie przeważały drzewa iglaste. Na młode liście było jeszcze zdecydowanie za wcześnie. Od czasu do czasu mijaliśmy ludzi, którzy wylegli na pierwsze po zimowej przerwie spacer, ciesząc się z oznak

nadchodzącej wiosny.

Od tego całego radosnego świata byliśmy z Krzysztofem odgradzeni metalowo-szklanym pudłem samochodu, które nie pozwalało na wniknięcie do wnętrza choćby odrobiny optymizmu. Zastanawiałem się, czy jestem gotów dowiedzieć się kolejnych rzeczy na temat całej tej beznadziejnie ponurej historii. Zwłaszcza mając w pamięci słowa mojego towarzysza.

„Najgorsze jeszcze przed nami”.

Zastanawiałem się, co może być gorsze od tego, że kobietą spotkaną w domu starców była Helena Trześniowska - ta sama, która jeszcze przed czterema laty była mniej więcej dwudziestoletnią dziewczyną, mieszkającą w Starzyźnie. Trudno było mi sobie coś takiego wyobrazić. Cholernie trudno. Niemniej jednak postanowiłem na razie o nic nie pytać. Zdałem się na Krzysztofa i wierzyłem tylko w jedno - miałem nadzieję, że wie, co robi. Zresztą, podejrzewałem, że wkrótce się wszystkiego dowiem. Już tego samego dnia wieczorem miało okazać się, że moje podejrzenia były słuszne.

### 3.

Zbliżając się do miejsca, w którym spędziłem dwie noce, mineliśmy dwa policyjne radiowozy. Kilku policjantów kręciło się koło nich, rozmawiając z mieszkańcami Guciowa. Zwolniliśmy, mijając spory tłumek, po czym dotarliśmy do zagrody.

Na drzwiach karczmy zastaliśmy kartkę informującą o tym, że gospodarstwo jest tego dnia nieczynne. Nic nie wskazywało na to, że ktoś z obsługi jest gdzieś w pobliżu, wobec czego przeszliśmy do domu, w którym mieszkał Janek. Krzysztof został przy samochodzie, a ja wszedłem na podwórze i zastukałem do drzwi. Otworzyła mi żona gospodarza.

- Dzień dobry - powiedziałem. - Zastałem męża?

- Ach, to pan. Przykro mi, mąż pojechał na komendę do Zamościa, ale chyba powinien wkrótce wrócić. Czy coś się stało? -

zapytała z niepokojem.

- Nie, nic takiego. Po prostu przyjechałem uregulować należność i nikogo nie zastałem w państwa gospodarstwie. Zdaje się, że jest dzisiaj zamknięte?

- Czy mąż opowiadał panu o tym, co się u nas ostatnio działo? - odpowiedziała pytaniem na pytanie.

- Tak, wspominał coś o jakimś... jak on to określił...

- Do tej pory ten - palcami obu dłoni nakreśliła w powietrzu cudzysłów - upiór z Guciowa był uciążliwy, ale niegroźny dla ludzi. Do ostatniej nocy. Widział pan pewnie policję we wsi?

Skinąłem głową.

- Ktoś zamordował w nocy dwoje nastolatków. Prawie na pewno to ten olbrzym, którego widywano w okolicy. Mąż widział uciekającego napastnika i pojechał zeznawać w tej sprawie. Boże, jakie nieszczęście - westchnęła ze łzami w oczach.

- To dzieciaki od nas... W tym roku miały mieć maturę...

Postanowiłem, że nie będę jej dłużej niepokoił. Z pewnością ostatniej nocy i tak miała dość wrażeń. Pożegnałem się, prosząc o przekazanie Jankowi, że byłem.

Wróciłem do Krzysztofa i poinformowałem o tym, czego udało mi się dowiedzieć.

- Nie wiedziałem, że do tego się posunie - pokręcił głową. - No, ale Wielkanoc coraz bliżej, więc na pewno chce, żeby nikt mu nie przeszkodził w Wielki Piątek. On bardzo chce tam wrócić i zrobi wszystko, żeby tego dokonać.

- Nie mogę teraz stąd odjechać - powiedziałem. - Przecież widziałem jego twarz...

- Myślisz, że ktoś ci uwierzy? Wyobrażasz sobie swoje zeznania? O tym nie pomyślałem.

- Wracajmy do Krasnobrodu. W dzień i tak tu nic złego się nie stanie...

- Skąd wiesz?

- Zaufaj mi. W dzień wszyscy w Guciowie są bezpieczni.

- A potem?

- Przed wieczorem tu wrócimy i postaramy się jakoś go dorwać. To jedyne wyjście.

Wsiadliśmy do auta i ruszyliśmy w drogę powrotną. Kiedy mijaliśmy tłumek zgromadzony przy radiowozach, jeden z policjantów dał Krzysztofowi znak, aby zatrzymał samochód.

- Starszy sierżant Witko, Komenda Powiatowa Policji w Zamościu - wyrecytował mundurowy, salutując. - Proszę przygotować dokumenty. Panowie są mieszkańcami tej miejscowości?

- Ten pan przyjechał z Warszawy - Krzysztof wskazał na mnie. - Ja mieszkam w Krasnobrodzie.

- Jaki j est cel panów przyjazdu?

W chwili, gdy Piasecki wyjaśniał, że przyjechaliśmy po to, aby zapłacić za moje noclegi, sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni kurtki. Wyjąłem z niej portfel, lecz jednocześnie przypomniałem sobie, że dowód zostawiłem w Krasnobrodzie, w bocznej kieszeni torby, nie miałem też przy sobie żadnych innych dokumentów. Czułem, że mogą być problemy; policja szukała zabójcy i każdy obcy o nieustalonej tożsamości mógł stać się od razu podejrzanym.

Policjant wziął dowód od Krzysztofa i spojrzał pytająco w moją stronę.

- Niestety, mój dowód osobisty został w Krasnobrodzie.

- Nie ma pan innego dokumentu? Może być prawo jazdy.

- W ogóle nie mam prawa jazdy.

- Proszę poczekać w samochodzie - powiedział do nas obu i odszedł w kierunku radiowozu.

Piasecki zerknął na zegarek

- Jasna cholera - mruknąłem. - Tego jeszcze tylko brakowało. Zaraz się okaże, że jestem głównym podejrzanym. Obcy, bez dokumentów, a w dodatku nie mam nawet alibi.

- Potwierdzą, że byłeś u mnie. - Odpowiedział, lecz po chwili zastanowienia dodał:

- Ale to może nie wystarczyć, prawda?

Skinąłem głową.

Witko wrócił po jakichś pięciu minutach. Oddał dowód Krzysztofowi, do mnie zaś powiedział:

- Proszę przejść ze mną do radiowozu.

- Czy to konieczne? - zapytał mój towarzysz. - Bardzo się śpieszę

do Krasnobrodu...

- Pan może jechać.

- Jedź - powiedziałem, otwierając drzwi. - Zostanę, poczekam na Janka, a ty przyjedziesz wieczorem.

- Dobra. Bardzo ci dziękuję - wiesz, że to dla mnie ważne.

- Gdybyś tylko mógł przywieźć moje rzeczy...

- Jasne, nie ma problemu - rzekł, odpalając silnik.

- Będę koło czwartej.

Gdy odjechał, cała uwaga gapiów skierowała się na moją osobę. Idąc z policjantem do radiowozu, czułem, że wielu ze zgromadzonych miało by ochotę od razu mnie osądzić i wydać wyrok.

- To on? - dobiegło do mnie gdzieś z prawej strony.

- Skąd mam wiedzieć? - odpowiedział inny głos.

- Może i on...

Starłem się nie rozglądać na boki i chciałem jak najszybciej znaleźć się w policyjnym samochodzie. Czułem na sobie podejrzliwe, niechętnie spojrzenia. Przez moment marzyłem, aby radiowóz za chwilę ruszył i zabrał mnie od tego tłumku, który - byłem tego niemal pewien - zaczynał falować nienawiścią.

Odetchnąłem, gdy znalazłem się we wnętrzu radiowozu.

- Imię, nazwisko, miejsce zamieszkania, zawód - zadając pytania, drugi z policjantów przyglądał mi się podejrzliwie - data i miejsce urodzenia, imiona rodziców...

Zebrałem myśli, żeby odpowiedzieć po kolei i w miarę możliwości bez zająknięcia. Zapisywał wszystko w notatniku, po czym, gdy skończyłem, sięgnął po radiostację.

- W jakim celu przyjechał pan w te okolice? - zapytał Witko.

Czułem, że mam przed sobą trudne przesłuchanie. Musiałem oczyścić się z podejrzeń, a jednocześnie nie wspomnieć nic na temat tego, czego się dowiedziałem w Guciowie i Krasnobrodzie. Miałem nadzieję, że będę w miarę wiarygodny.

\*

Nie dotarłem nawet do połowy mojej opowieści o służbowym wyjeździe w poszukiwaniu materiału, który mógłby się nadawać na reportaż, gdy z kłopotów wybawił mnie Janek. On i mężczyzna

w średnim wieku wysiedli z zielonego lanosa, który zatrzymał się naprzeciw radiowozu. Witko natychmiast opuścił służbowe auto i podszedł do nieznanego w ciemnym garniturze. Zasalutował, mówiąc coś, czego nie mogłem usłyszeć, po czym wskazał na samochód, w którym siedziałem.

Tajniak zwrócił się do Janka, który kiwnął głową i wszyscy trzej podeszli bliżej.

- Panie Stanisławski - odezwał się cywil. - Proszę przyjrzeć się temu mężczyźnie siedzącemu w radiowozie i powiedzieć, czy jest podobny do sprawcy.

Janek pochylił się i popatrzył na mnie zza szyby.

- Nie, panie komisarzu - odparł. - Z całą pewnością to nie ten, którego szukacie. Znam pana Witka i jest on przynajmniej o głowę niższy od tego, którego widziałem w nocy. Poza tym Witek ma problemy z chodzeniem, więc nie mógł uciekać tak szybko, jak tamten.

- Proszę wysiąść. - Tajniak otworzył drzwi radiowozu po mojej stronie. - Czy był pan tej nocy w okolicy? - zapytał, gdy stanąłem obok auta.

- Nie, noc spędziłem w Krasnobrodzie, u znajomego, który już został spisany. Obiecałem panu Jankowi, że wrócę uregulować należność za noclegi, więc tak się stało i wtedy właśnie zatrzymali mnie policjanci.

- A ten pana znajomy?

- Tożsamość Krzysztofa Piaseckiego została już sprawdzona i pan sierżant pozwolił mi odjechać.

- Tak było? - zapytał komisarz Witkę.

- Chwileczkę - odrzekł tamten. - Tomek - zwrócił się do policjanta siedzącego w radiowozie - podaj mi kajet.

Tamten opuścił szybę i podał służbowy notatnik.

- Mówił pan, że jak on się nazywa?

- Krzysztof Piasecki - odpowiedziałem.

Witko pokręcił głową.

- Spisałem dane z dowodu, ale kierowca białego opla nie nazywał się Piasecki. Mam tu zapisane inne nazwisko.

- Jakie? - zapytał mężczyzna w garniturze.



- Rafał Gielmuda, urodzony drugiego maja tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku.

Zastanowił się przez chwilę.

- Ma tylko dwadzieścia sześć lat... - powiedział zaskoczony. - Wyglądał na co najmniej czterdzieści.

- Dlaczego mówił pan, że tamten nazywa się Piasecki? - zapytał komisarz, patrząc na mnie podejrzliwie.

- Znam go od niedawna i tak właśnie mi się przedstawił - odpowiedziałem jak automat.

- I był pan u niego w domu?

Kiwnąłem głową, nie potrafiąc znaleźć żadnego sensownego uzasadnienia swojego postępowania.

- Jak wyglądał? - zapytał tajniak, zwracając się do sierżanta.

- Miał najwyżej metr osiemdziesiąt wzrostu, więc i on pewnie nie jest tym, którego szukamy.

- Tak czy inaczej, będziemy musieli go sprawdzić - rzekł komisarz, a potem zwrócił się do mnie i do Janka:

- Panowie są już wolni, tylko proszę się nie oddalać z Guciowa. Przynajmniej do jutra.

Jego słowa brzmiały w moich uszach tak, jakby wypowiadał je z bardzo daleka. Gdyby Stanisławski nie pociągnął mnie za łokieć, pewnie stałbym tam jak wryty aż do samego wieczora.

#### 4.

Janek zaproponował, abym poszedł do niego, lecz odmówiłem, pytając, czy mogę się zatrzymać w pokoju gościnnym, który zajmowałem do tej pory.

- Jasne - odparł. - Nawet tam od wczoraj nie byłem.

Doszliśmy razem do bramy prowadzącej do gospodarstwa. Gdy mieliśmy się rozstać, zapytał:

- Co to za historia z tym facetem od białego opla? To ten sam, który cię stąd wczoraj zabrał, prawda?

- Tak, to ten sam. Będę się musiał z nim rozmówić, bo nie mam pojęcia, dlaczego podał się za kogoś innego. - Tak naprawdę,

domyślałem się przyczyn jego postępowania, ale nie chciałem wtajemniczać Janka w szczegóły. Na pewno nie teraz.

- Ma się tu pojawić jeszcze dzisiaj - dodałem. - O ile go wcześniej nie zgarnie policja. Może wtedy dowiem się czegoś więcej.

- Gdybyś czegoś potrzebował, wiesz, gdzie mnie szukać - powiedział Stanisławski.

To ciekawe, że dopiero przed chwilą dowiedziałem się, jak się nazywa.

- Janek, co tu się wydarzyło? - spytałem.

Pokręcił głową.

- Daj spokój. Nigdy nie sądziłem, że w Guciowie może dojść do morderstwa. Tacy młodzi z sąsiedztwa - chłopak i dziewczyna z klasy maturalnej - wyszli na spacer wieczorem. Chyba mieli się ku sobie i chcieli pobyc razem przez jakiś czas. Szykowałem się do snu, gdy usłyszałem krzyk, gdzieś niedaleko. Zaraz wybiegłem na zewnątrz i krzyki nie ustawały, więc pobiegłem w kierunku, z którego dochodziły. Krzyczała dziewczyna. Gdy dotarłem na miejsce, zobaczyłem tego skurwysyna, jak uciekał. Mówię ci, był szybki jak wiatr i nie miałem szans go dogonić...

Nie odzywałem się, sądząc, że i tak zaraz mi opowie, co było dalej.

- Leżeli na poboczu - ciągnął. - Oboje z popodrzynanymi gardłami. Ta mała jeszcze się ruszała. - Głos Janka zaczął się łamać. - Mówię ci, śliczna była z niej dziewczyna. I mądra taka, na medycynę miała po ogólniaku iść. Chłopak chciał zdawać na politechnikę do Lublina. - Mimowolnie zacisnął dłonie w pięści i westchnął głęboko. - Gdybym tylko dorwał tego chuja... Niech się modli, żeby policja złapała go wcześniej, bo jeśli uprzedzi ją ktoś z miejscowych, to ten zwyrodnialec pożałuje, że w ogóle się urodził. - Popatrzył na mnie, a w jego oczach malowała się zwierzęca złość. Zaraz potem spojrział w kierunku kłębiącego się tłumku gapiów.

- Pójdę już - powiedział.

Odwrócił się i wydawało się, że agresja, która w nim była, została zastąpiona niewyobrażalnym znużeniem. Szedł powoli, lekko się chwiejąc, jakby ktoś złożył na jego barkach ogromny,

niewidoczny ciężar.

Podążyłem w stronę domu, w którym mieścił się mój pokój. Musiałem odpocząć i przemyśleć sobie kilka spraw. Miałem też nadzieję, że uda mi się zasnąć. Po niemal nieprzespanej nocy i przygodach, które mnie spotkały, bardzo potrzebowałem chwili wytchnienia.

- Witek! - dobiegło mnie zza pleców. Odwróciłem się.

- Nie widziałeś może przypadkiem wczoraj mojego psa? - Janek stał na środku drogi. - Taki nieduży, czarno-biały kundel. Polazł gdzieś wczoraj i mój chłopak bardzo za nim rozpacza.

- Nie, nie widziałem - skłamałem gładko. - A twój syn niech lepiej na razie zostanie w domu i nie szuka psa, dopóki nie złapią tego bydlaka.

- Pewnie. Zabroniłem mu wychodzić - odpowiedział.

- Trzymaj się.

\*

Klucz od pokoju tkwił w zamku tak, jak zostawiłem go poprzedniego wieczoru. Wszedłem do środka i usiadłem na łóżku, ubywając twarz w dłoniach.

Chwilowo nie obchodził mnie ten zakłamanym złamas Gielmuda. Byłem na niego niesamowicie wściekły, ale jeszcze miałem czas na to, aby wyrównać z nim rachunki, a zwłaszcza ten najważniejszy - rachunek za to, że spowodował śmierć ukochanej żony mojego przyjaciela.

Tymczasem moje myśli cały czas krążyły wokół dwojga młodych ludzi, którzy stracili życie poprzedniego dnia. Z każdą minutą rosło we mnie przekonanie, że przyczyniłem się do tej bezsensownej śmierci. Przecież gdybym zaraz po tym, jak zaatakował mnie wielki mężczyzna, zgłosił ten fakt policji, z pewnością natychmiast by się pojawili w Guciwie chociażby po to, żeby spisać jakąś notatkę służbową. Z całą pewnością morderca musiałby być wtedy bardziej ostrożny i nie doszłoby do tragedii. Wiadomo - są to teraz czyste dywagacje na temat „co by było, gdyby”, ale myśl, że popełniłem grzech zaniechania, uwierała mnie coraz bardziej.

Usiłowałem sobie jak najdokładniej przypomnieć wydarzenia, które nastąpiły po tym, gdy o mało co nie zginąłem uduszony przez olbrzyma bez połowy twarzy.

„Gielmuda!” - pomyślałem. - „Przecież to on odwiódł mnie od pogoni za napastnikiem...”.

Po chwili, gdy byłem już prawie pewien, że obaj są w zмовie z mordercą, a Gielmuda wywiózł mnie stąd, żeby tamten mógł spokojnie wykonać wyrok na dwojgu dzieciaków, wstałem i poszedłem do łazienki, gdzie włożyłem głowę pod strumień zimnej wody.

- Spokojnie, durniu - powiedziałem do swojego lustrzanego odbicia. - Po pierwsze, przecież to właśnie on cię uratował, płosząc tego wielkiego bydlaka, prawda? Prawda?! O coś chyba pytałem...?

Odpowiedziałem sobie skinieniem głowy.

- Poza tym, przecież nie można wszystkiego przewidzieć. Nikt, rozumiesz? Nikt! - prawie krzyknąłem. - Po trzykroć NIKT nie jest w stanie przewidzieć tego, co się stanie, nawet ty, baranie, a może właśnie zwłaszcza ty.

- Gdyby było inaczej - wymruczałem ciszej - pewnie nie kulałbyś teraz jak ostatnia oferma. Ale nie o tobie teraz mowa, tak?

Facet z mokrymi włosami znów przytaknął bez słowa.

- Do wczorajszego wieczoru ten skurwiel nie zaatakował nikogo z mieszkańców. Byłeś pierwszą osobą, to fakt, ale kto mógł przypuszczać, że zaatakuje znów i to po tak niedługim czasie? Ani ty, ani ten cały Piasecki vel Gielmuda nie mogliście tego przewidzieć. Zrozumiano?

Tym razem mój rozmówca popukał się palcem w czoło.

- Powiniennem się leczyć - rzekłem, odchodząc od lustra.

Zaraz potem wróciłem i powiedziałem do tamtego:

- Na zasraną, kulawą nogę, bo na głowę jest już z całą pewnością za późno.

\*

Rozmowa w łazience sprawiła, że poczułem się dużo lepiej. Położyłem się w ubraniu na łóżku i patrzyłem w sufit,

zastanawiając się, co zrobię, kiedy znów spotkam Piaseckiego. Gielmudef. Wszystko jedno... Sen przyszedł nagle.

## 5.

Ocknąłem się mniej więcej kwadrans przed czternastą. Moje przybory toaletowe zostały w Krasnobrodzie, ale potrzebowałem gorącego prysznica, więc niechętnie zabrałem ręcznik, który był przeznaczony dla gości i znowu poszedłem do łazienki.

W trakcie kąpieli usłyszałem kroki dobiegające z korytarza i kiedy wróciłem do pokoju, on już tam na mnie czekał, siedząc na łóżku.

- Mama wróciła wcześniej, więc jestem - powiedział.

- Witaj - odparłem, rozwieszając mokry ręcznik na poręczy drewnianego krzesła.

- Przywiozłem twoje rzeczy. Są już suche.

- Dzięki.

Zdjąłem koszulkę z krótkim rękawem, otworzyłem torbę leżącą obok niego i wyjąłem dezodorant w sztyfcie, którego natychmiast użyłem. Wyjąłem i założyłem świeżą koszulkę.

- Wiesz co? - powiedziałem. - Mam dla ciebie wiadomość.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

- Tak? Od kogo?

- Możesz na chwilę wstać?

Podniósł się natychmiast.

Nigdy nie umiałem się bić i pod tym względem (nie tylko zresztą pod tym) uważałem siebie za skończonego niedojdę. Wtedy jednak cała złość skumulowała się w zaciśniętej prawej pięści. Nawet nie wiedziałem, że potrafię uderzyć tak mocno.

Kiedy strzeliłem go w szczękę, był kompletnie zaskoczony. Bezwładnie runął w tył, potykając się jeszcze o stojące za nim krzesło.

Na tyle szybko, na ile pozwalało mi moje kalectwo, przemierzyłem pół pokoju i pięścią walnąłem go prosto w nos.

- Co ty, Witek?! - krzyknął, zakrywając twarz dłońmi, pod

którymi zobaczyłem strużkę krwi.

- Ty skurwielu! Jak długo chciałeś mnie zwodzić? Myślałeś, że nie dowiem się, kim naprawdę jesteś? Masz mnie za idiotę?!

Przyduśliłem jego klatkę piersiową lewym kolaniem, szykując się do zadania kolejnego ciosu.

- Przestań, proszę. Chciałem ci wszystko powiedzieć.

Walnąłem go otwartą dłonią w bok głowy.

- To była wiadomość od mojego przyjaciela! - wrzasnąłem. - Przez ciebie zginęła jego żona! Powiniennem cię zajebać, chuju!

- Witek, przestań, proszę - powtórzył. - Przecież wszystko bym ci powiedział. Do wczoraj nie miałem pojęcia, że kogoś tak bardzo skrzywdziłem. Skąd miałem to wiedzieć, do cholery?

Zamierzyłem się po raz kolejny, ale zatrzymałem rękę w pół drogi.

- Dobra - powiedziałem, wstając. - Zaraz dzwonię po policję. Ty mi się, kurwa, stąd nie ruszaj. - Poszedłem w stronę wyjścia.

- A co z nim? - zapytał, również wstając.

Stałem przy drzwiach, po czym odwróciłem się i popatrzyłem mu prosto w oczy.

- W co ty grasz, człowieku? - zapytałem. - Oszukujesz mnie od samego początku, a teraz co? Myślisz, że jestem idiotą? Przecież po tym wszystkim nie mogę ci ufać...

- Błagam cię. Jak mnie dziś zamkną, to wszystko weźmie w łeb. Zgłoszę się na policję, powiem, że spowodowałem wypadek, ale najpierw przecież musimy go złapać. Do Wielkanocy zostało jeszcze sporo czasu i nie wiadomo, ilu niewinnych ludzi może do tej pory zginąć z jego ręki.

Nie wiedziałem, dlaczego wspomina o świętach, ale akurat w tamtej chwili mało mnie to obchodziło.

- Dlaczego kłamałeś?

- Bałem się, że mi nie uwierzysz - odparł bez chwili zastanowienia. - Dlatego wymyśliłem fałszywe nazwisko. Ale dzisiaj chciałem ci już wszystko wyjaśnić. Nawet, jeśli nie przeczytałeś tego, co napisałem w notatniku, do końca.

Zastanowiłem się i doszedłem do wniosku, że nic nie tracę. Patrzyłem na jego zakrwawioną twarz, odnosząc wrażenie, że

mówi szczerze. Nie miałem pewności, czy mnie znów nie oszukuje, ale nie miałem też przecież nic do stracenia... A te kilkadziesiąt minut i tak nie przywróciłoby życia Magdzie...

- Siadaj na krześle - poleciłem, puszczając klamkę. - Siadaj i, kurwa, mów wszystko, jak na spowiedzi. Jak zobaczę, że coś kręcisz, to wychodzę i natychmiast wzywam policję.

- Dobrze, Witek. Przysięgam na życie mojej córeczki, że powiem ci całą prawdę. Pytaj, o co tylko chcesz.

Podszedłem do łóżka i ciężko na nim usiadłem.

\*

Odezwałem się po dłuższej chwili. Miałem do niego milion pytań, dręczyło mnie mnóstwo wątpliwości, ale - Bóg mi świadkiem - nie wiedziałem od czego zacząć. Wpatrywałem się w jego oczy, które patrzyły na mnie wyczekująco. Od czasu do czasu wierzchem dłoni ocierał krew sączącą się z ust i nosa, po czym wycierał rękę w nogawkę spodni.

Wreszcie się odezwałem:

- To, że nie nazywasz się Krzysztof Piasecki, tylko Rafał Gielmuda, już wiem, bo dowiedziałem się od policjanta, który cię spisywał. Na wszelki wypadek zapytam: taka jest prawda? Pokazałeś im prawdziwy dowód?

Przytaknął bez słowa.

- Rozumiem więc, że to swoje zapiski mi dałeś i nie ma żadnego Piaseckiego? Zmyśliłeś go sobie, żeby od razu się nie zdemaskować, mam rację?

- Tak - odrzekł.

- Z policyjnych notatek wynika, że masz dwadzieścia sześć lat. W Krasnobrodzie wszyscy dwudziestosześcioletkowie wyglądają na czterdziestkę?

- Nie.

- Żebyśmy mieli jasność - powiedziałem zirytowany - wolałbym, żeby nasza rozmowa nie wyglądała w ten sposób, że ja będę pytał, a ty będziesz odpowiadał „tak” i „nie”. To nie są jakieś pieprzone kalambury. Chciałbym, żebyś opowiedział mi to, co zapewne jest w dalszej części notatnika, bo ja już nie mam

zamiaru czytać. Mam tu autora i chcę, żeby to on mi zreferował pokrótce to, co jest tam napisane. Rozumiemy się?

- Tak.

- Pierdolnąć ci jeszcze raz?

Pokręcił głową.

Zaczynałem tracić cierpliwość. Już miałem wstać i wyjść z pokoju, gdy powiedział:

- Widziałeś dzisiaj Helenkę. Jeszcze niedawno, mniej więcej rok temu, była młodą, pełną życia dziewczyną.

Wyglądało na to, że jednak jest szansa na to, abym dowiedział się czegoś więcej.

- Udało wam się stamtąd uciec? - zapytałem.

- Nie tylko nam, ale do tego jeszcze dojdę. W każdym razie, w ciągu roku postarzała się o kilkadziesiąt lat. Wszystko wskazuje na to, że zatrzymany w Starzyźnie czas stara się teraz nadrobić zaległości. Może jestem w błędzie, ale sądzę, że dlatego i ja wyglądam o wiele starzej, niż powinienem.

- Jak długo tam byłeś? - Nie pamiętałem, czy wspomniał o tym w zapiskach.

- Do którego momentu doczytałeś? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

Zastanowiłem się przez moment.

- Pisałeś o swoim pradziadku. Chyba na tym stanąłem.

Kiwnął głową.

- Byłem tam trzy lata. Trzy długie, ciągnące się w nieskończoność, człapiące dzień po dniu, i noc po nocy, cholernie długie lata.

Oderwał wreszcie wzrok od moich oczu i spojrzał gdzieś przed siebie. Siedział tak przez chwilę.

- Witek, to tak na przyszłość, gdybyśmy się mieli już więcej nie spotkać... Taka mała rada od młodszego kolegi... Nie narzekaj, że wszystko przemija, bo gdyby czas się zatrzymał, to wtedy dopiero miałbyś prawdziwy problem... Uwierz mi, wiem coś o tym. Nie mam pojęcia, jak tamci ludzie wytrzymali tak długo. Jeśli przyszkoby mi spędzić w Starzyźnie jeszcze rok czy dwa, to na sto procent bym ze sobą skończył. Zresztą, w trakcie tych trzech lat



też miałem momenty, że mało brakowało... I wcale nie były mi potrzebne podszepty tych z Czarnego Wygonu. Było mi zupełnie wszystko jedno, co się ze mną potem stanie. Nie potrafiłem tego wytrzymać i z pewnością bym nie wytrzymał, gdyby nie Helenka. Czytałeś już pewnie, że ocalała swojego ojca. Ocalała też mnie. I to wiele razy. To tylko dzięki niej tutaj jestem. Przez cały ten upiorny, stojący w miejscu czas, miałem nadzieję, że jednak uda nam się stamtąd wymknąć.

Zamilkł. I wciąż patrzył przed siebie, jakby zupełnie zapomniał o moim istnieniu.

- Tak, zakochałem się w niej do szaleństwa - podświadomie skinął kilka razy głową, jakby chciał potwierdzić to, co mówi. - Może to brzmi idiotycznie, bo ludziom się wydaje, że nie można pragnąć niczego więcej niż życia z ukochaną osobą u boku, życia, które się nigdy nie skończy. Uwierz mi, że to nieprawda. Trzeba też czegoś więcej, trzeba ludzi wokół, trzeba miast i tłumów, od których będzie się miało możliwość uciekać, gdy się tylko zechce, i wracać, jak przyjdzie na to ochota.

Nie można żyć tylko z... i tylko dla ukochanej osoby. Tych kilkanaście osób też nie wystarczało. Byliśmy młodzi, rozumiesz?

- Spojrzał na mnie. - Byliśmy młodzi i chcieliśmy żyć pełnią życia, nawet jeśli miało się ono skończyć już za kilkadziesiąt lat.

Odetchnął ciężko. Strużka krwi z rozbitej wargi spływała mu po brodzie i szyi, plamiąc jasną koszulę. Zupełnie tego nie zauważał.

- Opowiadałem jej o wszystkim, co pamiętałem z mojego świata. O ogromnych, tętniących życiem miastach, o tym, jak się żyje w dwudziestym pierwszym wieku, o komputerach, telewizji, ponaddźwiękowych samolotach, lotach w kosmos, o ludziach na Księżycu. Słuchała tego jak najpiękniejszej bajki, z tą jednak różnicą, że nikt nie ma szans dostać się do baśniowego świata, a ona taką szansę miała. Oboje mieliśmy, bo przecież musiała istnieć jakaś droga... Ja byłem przecież tego najlepszym dowodem.

- I udało się wam...

- Żyliśmy tylko tą nadzieją - ciągnął, jakby mnie nie usłyszał. - Na początku było mi bardzo ciężko. Musiałem pracować tak, jak

nigdy wcześniej. Całe dni spędzaliśmy z innymi w lesie i w polu. Opał i jedzenie - były to jedyne rzeczy, które musieliśmy sobie zapewnić. Nie mieliśmy do dyspozycji maszyn, więc wszystko przychodziło z trudem, jednak można było się przyzwyczać. Nasiona zbóż i ziemniaki mieliśmy z poprzednich zbiorów, więc sialiśmy, sadziliśmy, potem to zbieraliśmy i jedzenia nigdy nie brakowało. Olej tłoczyliśmy z siemienia lnianego i słonecznika. Wody było pod dostatkiem. Tylko żyć. Ale my z Helenką tak nie chcieliśmy.

- A ona?

- Co „ona”? - zapytał jakby wyrwany z głębokiego transu.

- Czy ona też ciebie pokochała?

- Tak. Myślę, że bardzo. Początkowo stary Trześniowski krzywo się patrzył na nasz coraz bliższy związek, ale wreszcie go zaakceptował i zamieszkaliśmy z Helenką w jednym pokoju.

- A starszy Kowalik? Nie miałeś z nim już problemów?

Machnął ręką.

- Pewnie, że miałem - uśmiechnął się lekko. - Jeszcze dwa razy w ciągu tych trzech lat budziłem się na Czarnym Wygonie. Raz i mnie udało się go załatwić. Zaszedłem od tyłu z siekierą i pac! - rozciął dłonią powietrze - rozplątałem jego łeb na dwie równiutkie połowy. - Mówił o tym tak, jakby relacjonował poranną wyprawę po bułki do osiedlowego sklepu. - Od tamtej pory już się mnie nie czepiał.

Uśmiech zniknął z twarzy Rafała równie nagle, jak się na niej pojawił!

- Tak, udało się nam. - Wyglądało na to, że jednak dotarło do niego moje wcześniejsze pytanie. - Ale dopiero za drugim razem. Na początku nie byliśmy pewni, czy to wszystko ma związek z Wielkanocą i z tymi dzwonami, które rozbrzmiewały w Wielki Piątek nad Słoneczną Doliną. Zresztą, tak naprawdę, po roku w Starzyźnie jeszcze nie wiedziałem do końca, czy chcę stamtąd uciekać. Przecież takie życie miało też swoje plusy. Żadnych obowiązków, poza fizyczną, mozolną pracą, żadnych większych zagrożeń - jeśli się człowiek odpowiednio pilnował. No i Helenka, w której kochałem się na zabój. Potem jednak zaczęło brać górę

to, o czym mówiłem wcześniej - tęsknota za prawdziwym życiem.

- I co z tymi dzwonami nad doliną? - spytałem niecierpliwie.

- Ano właśnie. Mieliśmy dużo czasu na zastanawianie się, w jaki sposób udało mi się znaleźć w Starzyźnie. Wieczorami często siadaliśmy z Trześniowskim i jego córką w kuchni, dumając, jak do tego doszło. Któregoś razu powiedziałem, że w tamten piątek, jeszcze prawdopodobnie będąc w swoim świecie, usłyszałem bicie dzwonów. Bałem się, że stary mnie wyśmiej, ale on tylko pokiwał w zamyśleniu głową i rzekł: „To by nawet miało ręce i nogi”. Chwyciliśmy się tej myśli i coraz bardziej przekonywaliśmy się, że tylko w Wielki Piątek można stamtąd uciec. W dwa tysiące trzecim roku wszystko było przygotowane. Moje auto od dawna już stało w stodole sołtysa. Odpalałem je raz na jakiś czas, tak na wszelki wypadek, chociaż sądziłem, że w zaistniałej sytuacji ani akumulator nie może się wyładować, ani nie zabraknie benzyny-

- No tak. Każdego następnego dnia wszystko było tak, jak dzień wcześniej.

- Tak. Tyle że nie przewidzieliśmy, że i Kowalik może wpaść na to samo. Do dziś nie mam pojęcia, jak mu się to udało. Może był mądrzejszy, niż nam się zdawało, a może miał jakieś konszachty z diabłem. Tak czy inaczej, w Wielki Piątek dwa tysiące trzeciego rano zastaliśmy samochód całkowicie zmasakrowany. Jeszcze bardziej niż za pierwszym razem - wszystkie przewody, które dało się przeciąć, zostały porozcinane. Nie było szans na uruchomienie silnika.

- Nie mogliście spróbować iść pieszo? Może też by się udało?

- Mieliśmy taki zamiar, ale po pierwsze - dla pewności chcieliśmy dokładnie zrobić wszystko tak, jak ja dwa lata wcześniej zrobiłem, tylko że - rozumiesz, o co chodzi? - tak jakby w odwrotną stronę. Po drugie zaś, wcale nie mniej istotne, w obliczu zagrożenia - zarówno ze strony Kowalików i Dudy, jak i - co chyba bardziej nas przerażało - mając w pamięci Czarny Wygon, obok którego musielibyśmy przejść, daliśmy wtedy spokój. „Jak nie dziś, to za rok” - stwierdził Trześniowski i żadne z nas nie miało wątpliwości, że ma rację. Zbyt wiele było do

stracenia, a czasu... Czasu przecież mieliśmy pod dostatkiem. Jak nie za rok, to za dziesięć, a jak nie za dziesięć, to za sto, prawda? - Uśmiechnął się blade.

- Właściwie racja.

- No właśnie. Rok później... - Gielmuda przerwał.

Z korytarza dobiegał coraz głośniejszy odgłos kroków. Ktoś wszedł po schodach na piętro i skierował się w stronę pokoju, w którym siedzieliśmy. Zaraz potem usłyszeliśmy pukanie, a gdy powiedziałem „otwarte”, w drzwiach stanął Janek.

- Zaniepokoiłem się, bo zobaczyłem ten sam samochód, co wczoraj - powiedział do mnie. - Wszystko w porządku?

- Tak - odrzekłem.

Stanisławski rzucił okiem na Rafała.

- Ale chyba z nim to nie wszystko jest dobrze?

- Nie, nie, wszystko w jak najlepszym porządku - odpowiedział Gielmuda, dotykając na wpół zakrzepłej krwi na brodzie. - Witek mi musiał coś wytłumaczyć i chyba do mnie dotarło, że miał stuprocentową rację.

- Znalazła pana policja? - Janek patrzył na niego nieufnie. - Zdaje się, że mieli jakieś wątpliwości co do pańskiej tożsamości?

- Mam na imię Rafał. Tak. Znaleźli mnie u rodziców i udało mi się jakoś wytłumaczyć. Wszystko przez głupotę.

- Zawsze to lepiej, niż gdybyś miał coś złego zrobić - odpowiedział mój gospodarz. - W takim razie pójdę już...

- Nie, Janek. Jeśli masz chwilę, to wejdź, bo przydałoby się naradzić. Wygląda na to, że z pomocą Rafała może nam się udać złapać tego, co... No wiesz, tego skurwysyna.

- Nawet jeśli to sam Lucyfer, to możecie na mnie liczyć. Nie daruję mu. Nigdy mu, kurwa, tego nie daruję. Zbierzemy jeszcze kilku silnych mężczyzn i dorwiemy...

- Musimy się nad tym wszystkim dobrze zastanowić - przerwałem.

- Na spokojnie, więc usiądź i posłuchaj.

## 6.

Mocno się nagimnastykowałem, żeby opowiedzieć Stanisławskiemu taką historię, która brzmiałaby wiarygodnie, a jednocześnie nie zdradzić nic, co byłoby związane z mroczną historią Starzyzny. Przydało się w tym wypadku moje doświadczenie dziennikarskie. Kończyłem jeden na wpuł zmyślony wątek i jednocześnie wybiegałem już nieco naprzód, układając w głowie kolejne fakty, jako tako trzymające się kupy.

Janek dowiedział się więc, że całą operację schwywania zabójcy należy przeprowadzić tak, aby nie wzbudzić wcześniej jego podejrzeń. Przekonywałem, że Rafał domyśla się, kim jest morderca, i najprawdopodobniej wie, gdzie można go znaleźć. Na poczekaniu zmyśliłem historyjkę o tym, jakoby poszukiwany był niebezpiecznym zbiegiem ze szpitala psychiatrycznego. W trakcie mojej opowieści Gielmuda nie odezwał się ani razu.

- Tak więc, widzisz - mówiłem do Janka - nie możemy o tym powiedzieć nikomu, bo jak zacznie się szum, to on ucieknie i możemy nigdy go nie złapać.

- No dobra, ale skąd on - Stanisławski wskazał na Gielmudę - wie, gdzie szukać zabójcy? Wiemy, że od dłuższego czasu tamten kręci się wokół wsi, więc na pewno dziś wieczorem mężczyźni ze wsi i tak spróbują go dorwać w okolicy. Wiem też, że w okolicznych lasach szuka go policja...

- Rafał widział go, jak kręcił się po Czarnym Wygonie - znów musiałem coś wymyślić na poczekaniu. - Pójdziemy tam i ukryjemy się wśród drzew. Może akurat wróci w to miejsce, bo ma tam swoją kryjówkę? Nie mamy nic do stracenia - wieś i tak będzie chroniona, więc tym bardziej jest szansa złapać go gdzieś indziej.

- Może i ma to sens? Wprawdzie Czarny Wygon to kawał drogi stąd, ale skoro się tam kręcił, to... - Janek pokiwał w zamyśleniu głową.

- Dobra. Do zmroku już niedaleko, więc musimy się śpieszyć. Trochę poluję i mam w domu strzelbę. Pójdę po nią i poproszę sąsiada, żeby pobył z moją rodziną, dopóki nie wrócimy.

- Tylko, Janek - powiedziałem - nikomu nie mów o Wygonie.  
- Spokojna głowa. Powiem żonie, że będę kręcił się w okolicach wsi. - Wstał i podszedł do drzwi. - Wracam najdalej za godzinę. Zjem coś i przyniosę wam kawę i trochę jedzenia. Może nas czekać ciężka noc.

Gdy wyszedł, zwróciłem się do Rafała.

- Nie znaliście się wcześniej, prawda?

Potwierdził skinieniem głowy.

- W takim razie, skąd wiedziałeś, że ten łaciaty pies był jego syna?

- Przypatrywałem mu się podejrzliwie.

- Wciąż mi nie ufasz? - powiedział z wyrzutem.

- Jeśli mam wątpliwości, to wolę zapytać, niż snuć domysły. To chyba normalne?

- Masz rację. Ostatnio, od kiedy usłyszałem o „upiorze z Guciowa”, spędzałem tu dość dużo czasu. Domyślam się - a właściwie jestem pewien - kto nim jest, więc bywałem tu dość często. Jednocześnie starałem się nie rzucić zbyt w oczy, żeby nie skierować podejrzeń na siebie.

- Więc powiedz, kto to jest i dlaczego to robi. Albo nie - pozwól mi zgadnąć. To Marcin Kowalik, prawda?

- W sumie, nie było chyba trudno zgadnąć.

- Ale musisz mi powiedzieć, dlaczego to robi, bo tego już nie wiem.

- Tak naprawdę, mogę się tylko domyślać. Wiesz, o ile myśmy chcieli uciec ze Starzyzny, o tyle on nie miał zamiaru do tego dopuścić. Traf chciał (o tym opowiem ci później), że znalazł się w naszych czasach przez zupełny przypadek. Tak w ogóle, to nie wiem nawet, jak to się dzieje, że się nie starzeje, w przeciwieństwie do mnie i Helenki... No, ale z drugiej strony, to on właściwie zginął podczas naszej ucieczki i jest takim w połowie trupem. W Starzyźnie następnego dnia by się obudził na Wygonie, ale że w chwili, gdy umierał, znalazł się tu z nami, to...

Myślał przez chwilę, a potem wzruszył ramionami i wrócił do poprzedniego wątku:

- Podejrzewam, że chce tam wrócić. Jeśli byłbym na jego

miejscu, to na jakiś czas przed Wielkim Piątkiem, kiedy będzie to możliwe, starałbym się, aby dopilnować, żeby nikt mi w tym nie przeszkodził. Być może dlatego właśnie próbuje wzbudzić strach wśród tutejszych mieszkańców, aby w nocy nie kręcili się po okolicy.

- Komu niby się chciałoby kręcić o północy w Wielki Piątek u wlotu Słonecznej Doliny?

- Nie jestem w jego skórze. Pamiętaj jednak, że on nie ma pojęcia o zwyczajach panujących teraz w Guciwie. A ryzykować kolejnego roku tutaj nie chce, więc jednak można jakoś tam wytłumaczyć jego postępowanie.

- I mordowanie niewinnych dzieciaków?

- Przecież wiesz, że nie to miałem na myśli - zachnął się. - W żadnym razie go nie usprawiedliwiam, ale wiem, jaki jest i domyślam się, co nim powoduje, dlatego takie jego zachowanie wydaje mi się - jak bardzo okrutnie by to zabrzmiało - w jakiś tam sposób logiczne. Z jego punktu widzenia, rzecz jasna.

Pokręciłem głową.

- On nie ma żadnych hamulców moralnych, prawda?

- Nie ma - rzeki z przekonaniem. - Dlatego cholernie boję się tej nocnej wyprawy. - Spojrzał mi w oczy. - Zastanów się jeszcze, Witek. Przemyśl to dobrze, bo możemy nigdy nie wrócić z Czarnego Wygonu.

- A twoja córka? - odparłem natychmiast. - Ty się nie boisz, że ją osierocisz?

- Bóg mi świadkiem, że tak jest. Ale przecież to wszystko moja wina i jestem to winien chociażby tej dwójce młodych ludzi, których Kowalik zamordował ostatniej nocy. Gdyby nie ja, na pewno by do tego nie doszło.

\*

Zjedliśmy kanapki przyniesione przez Janka, choć zdaje się, że obaj nie mieliśmy wcale apetytu. Smakowała nam tylko parzona, czarna jak smoła kawa.

Zaczynał już zapadać zmrok, gdy we trzech wyszliśmy na zewnątrz. Stanisławski ze strzelbą na ramieniu stanął obok auta.

Rafał wyjął z bagażnika linkę alpinistyczną, kij bejsbolowy i latarkę, po czym zatrzasnął klapę i sprawdził, czy drzwi są pozamykane.

- Co wy? Na piechotę chcecie iść? - Stanisławski przypatrywał się nam z niedowierzaniem.

- No pewnie - odrzekłem. - Przecież to najwyżej piętnaście minut drogi stąd.

- Czy wyście poszaleli? Przecież Czarny Wygon jest ponad piętnaście kilometrów stąd. Trzeba zostawić samochód w Kosobudach i stamtąd przejść jeszcze jakieś pięć kilometrów na północ, najpierw przez Borowcową Szyję, potem kawałek Drogą Zawadzką i wreszcie przez Przywłokę. Przecież byłem tam nie raz i doskonale wiem, gdzie to jest.

Spojrzałem na Gielmudę. Wyglądał na nie mniej zaskoczonego ode mnie.

- To chyba jakieś nieporozumienie - powiedział niepewnie. - Z tego, co wiem, Czarny Wygon jest zaraz obok Słonecznej Doliny.

Stanisławski wzruszył ramionami, po czym zwrócił się do mnie:

- Czy my na pewno wiemy, gdzie mamy iść? Wydaje się, że ten facet w ogóle nie zna okolicy. A może chce nas w coś zrobić?

- Rafał, czy widziałeś Kowalika w okolicach Słonecznej?

- Tak - zapewnił. - Nie wiem, może znam tamto miejsce pod inną nazwą, ale z całą pewnością było to niedaleko stąd.

- Nie spierajmy się o nazwę - powiedziałem. - Najważniejsze jest teraz zadanie, które mamy do wykonania. Wszystko jedno, czy to miejsce nazywa się Czarny Wygon, czy Biała Polana. Janek, musimy zaufać Rafałowi. Zapewniam cię, że jemu zależy na złapaniu tego gościa nie mniej niż tobie.

- Dobra, Witek. - Janek poprawił pasek strzelby wiszącej na ramieniu. - Mam nadzieję, że wiesz, co robisz. Ruszajmy, bo szkoda czasu.

\*

Idąc przez Guciów nikogo nie spotkaliśmy. Janek wprawdzie zapewniał nas, że zarówno mieszkańcy wsi, jak i policjanci są już na posterunkach, jednak nic na to nie wskazywało. Być może taki



właśnie był plan, aby złapać napastnika w zasadzkę, a może było jeszcze zbyt wcześnie, choć w to drugie raczej wątpiłem. Zapaliły się już przydrożne latarnie, a mrok gęstniał z minuty na minutę. Gdy dotarliśmy do drogi odbijającej w lewo, w kierunku Słonecznej Doliny, było już całkowicie ciemno.

Do tej pory nie czułem większych obaw, ale teraz, gdy mieliśmy wejść w las, zacząłem się naprawdę obawiać. W Guciowie, gdy było jeszcze widno, nasz plan działania wyglądał całkiem sensownie i nie wydawał się niemożliwy do realizacji. Wtedy było jasne, że trzech mężczyzn, z których jeden był uzbrojony w broń palną, nie powinno mieć kłopotów z obezwładnieniem jednej osoby, nawet jeśli chodziło o kogoś tak wielkiego i silnego, jak Kowalik. Gdy otoczyła nas nieprzenikniona ciemność, mój punkt widzenia zmienił się diametralnie.

Domyślałem się, że ten, którego chcieliśmy dopaść, spędził w tych okolicach prawie rok, więc znał je lepiej niż własną kieszeń. Dodatkowo, wyglądało na to, że po okolicy poruszał się głównie nocą, co jeszcze bardziej zmniejszało nasze szanse. Być może obserwował nas teraz z ukrycia, i tylko czekał na dogodny moment do ataku. Wcześniej zdawało się, że to my będziemy zastawiać zasadzkę, lecz gdy szliśmy po omacku pomiędzy oskrzydłającymi nas z obu stron drzewami, wśród których mógł czaić się bezwzględny przeciwnik, nie potrafiłem oprzeć się wrażeniu, że to właśnie my podążamy w zastawioną pułapkę.

- Może włączę latarkę? - usłyszałem wyraźnie drżący głos Rafała. - Mam wrażenie, że on jest za każdym z mijanych drzew.

Jak widać, nie byłem osamotniony w swoich obawach.

- Akurat - mruknął idący za mną Stanisławski. - Wtedy dopiero byśmy stanowili łatwy cel. Może jeszcze zacznijmy pohukiwać, żeby nas szybciej namierzył?

Starał się nadać swojemu głosowi beztroski ton, ale mojej uwagi nie umknął dźwięk towarzyszący odbezpieczeniu broni. Miałem nadzieję, że pamięta o tym, żeby nie mierzyć w moje plecy. Jedno jego potknięcie i cała wyprawa mogła się dla mnie skończyć o wiele szybciej, niż było to w planach.

Wydawało się, że po jakimś czasie nasze oczy przyzwyczajają się

do ciemności, jednak nawet jeśli tak się stało, to w dalszym ciągu nic nie widzieliśmy. Idący z przodu Gielmuda co jakiś czas zatrzymywał się i sprawdzał, czy nie zbaczamy z drogi. Co kilka sekund słyszeliśmy dźwięki dobiegające od strony lasu. Za każdym razem napinałem mięśnie, szykując się do odparcia ataku, lecz za każdym razem odgłosy milkły po chwili i trochę się uspokajałem.

- Nie wiem, jak dalej iść - powiedział nagle Rafał. - Kurwa, nic nie widzę i jak tak dalej pójdzie, to nie trafimy. Powinniśmy zboczyć z drogi w prawo, w taką ledwie widoczną ścieżkę, ale teraz to nawet nie wiem, czy już jej nie minęliśmy. Chyba jednak będę musiał włączyć latarkę. Chociaż na chwilę.

Dokładnie w tym momencie niebo lekko się przetało i po raz pierwszy tego wieczoru zza chmur wyłoniły się gwiazdy. Szybko policzyłem fazy księżyca, odejmując dni od wielkanocnej pełni, mającej nastąpić za mniej więcej dwa tygodnie.

Wszystko wskazywało na to, że księżyc znajduje się akurat w okolicach nowiu. Jakby na potwierdzenie moich przypuszczeń, niebo odsłoniło się jeszcze trochę bardziej i moim oczom ukazał się srebrzysty, cienki rożek, który żadną miarą nie mógł pomóc w odnalezieniu drogi. Błysnęło światło.

- Muszę, chociaż na chwilę - powtórzył. - Poczekajcie tu. Inaczej na pewno nie trafimy.

Stanęliśmy z Jankiem w miejscu, a blask rzucany przez latarkę Rafała zaczął się oddalać, tańcząc niezwyklej taniec pośród szarosiwej, wilgotnej mgiełki, która spowijała okolicę.

- Lepiej było wrócić. Teraz to tylko w Bogu nasza nadzieja - szepnął Stanisławski za moimi plecami.

Żółty promień był coraz dalej, aż wreszcie przestaliśmy go widzieć.

- Jak dzieci we mgle - usłyszałem. - Ciekawe, czy wróci...

Jakby w odpowiedzi, znów zobaczyliśmy tańczący, jasny punkt.

- W porządku - dobiegł do nas głos Rafała. - Myślałem, że uszliśmy więcej. Znalazłem ścieżkę, chodźcie!

Niedługo potem znaleźliśmy się w miejscu, gdzie natknąłem się na dziewczynkę w sukience w białe grochy. Do tej pory moje myśli zaprzętało spotkanie z Kowalikiem, a teraz, gdy przypomniałem sobie tę małą ze ślepyimi białkami oczu, sam już nie wiedziałem, kogo boję się bardziej.

Rafał zgasił latarkę.

- To jest według ciebie Czarny Wygon? - zapytał Stanisławski.

- Tutaj go widziałem. Ukryjmy się gdzieś.

Nie widziałem zupełnie nic. Żółte refleksy światła wciąż tańczyły pod powiekami, wsłuchiwałem się więc w kroki przede mną, starając się iść ich śladem. Poza dźwiękiem wydawanym przez szeleszczące pod butami Gielmudy zeschnięte liście i trawę, nie słyszałem żadnych dźwięków.

Coś wystrzeliło spod nóg Rafała i uderzyło mnie w prawe kolano. Odskokczyłem gwałtownie, wpadając na idącego za mną Janka.

- Co jest, do kurwy nędzy? - krzyknął.

- Skąd mam wiedzieć? - odparłem, czując, że moje serce ma ochotę wyskoczyć na zewnątrz przez zaciśniętą krtań.

- Chyba zając - dobiegło z przodu. - Dobra, nie idźmy już dalej. Poszukajmy jakiegoś dobrego miejsca na kryjówkę.

Jak dla mnie każde miejsce było równie dobre, bo czułem się jak ślepiec. Po raz pierwszy w życiu zrozumiałem, co czuje dziecko, zakrywając oczy i myśląc, że wtedy nikt go nie widzi.

Mrocunki, pozostające dotąd po świetle latarki, zniknęły nadszpiewanie szybko i zobaczyłem, że stoimy na skraju otwartej przestrzeni. Chwilę później usiedliśmy obok siebie na mokrej ściółce wśród drzew, nieco poza granicą polany.

Teraz pozostało już tylko czekać.

Najgorsze było pierwsze kilkanaście minut. Nie wiedzieć czemu, spodziewałem się, że jak tylko dotrzemy na miejsce, wypadki potoczą się bardzo szybko. Nic takiego się jednak nie stało. Początkowo drżałem na całym ciele, lecz z czasem przywykłem do całej tej sytuacji i górę zaczęło brać przekonanie, że posiedzimy tak kilka godzin, by potem spokojnie wrócić do wsi. Bardzo chciałem dorwać Kowalika, ale w głębi ducha - wstyd się

przyznać - miałem nadzieję, że wpadnie on jednak w ręce policji i mieszkańców Guciowa. To im dawałem zdecydowanie większą szansę na sukces w konfrontacji z tym wielkoludem. I zupełnie nie obchodziło mnie, co pomyślą o jego ranach, które nie powinny pozwolić mu żyć. Będą snuli hipotezy, będzie zapewne badany przez zespoły uczonych, a najważniejsze, że wieś znów będzie bezpieczna.

Akurat zdążyłem sam siebie przekonać, że taki właśnie scenariusz jest najbardziej prawdopodobny, gdy za plecami usłyszałem cichy szelest. Dźwięk dobiegał z dość daleka, lecz z każdą chwilą stawał się coraz wyraźniejszy.

- Słyszycie? - szepnął Janek. - Chyba ktoś tu idzie.

Podniósł się i wycelował broń w stronę, z której dobiegały odgłosy. Rafał również wstał, a ja nie potrafiłem się nawet poruszyć. Stan pomiędzy względnym spokojem a duszącą krtań paniką całkowicie mnie sparaliżował.

Dźwięki ustały na chwilę, po czym usłyszeliśmy je znów. Byłem pewien, że ktoś biegnie na wprost nas. Ziemia zadrżała, a ja skuliłem się, ukryłem głowę w ramionach i zamknąłem oczy. Gałęzie łamały się pod naporem wielkiego ciała, a ja zastanawiałem się, który z nas zginie pierwszy.

Usłyszałem huk wystrzału, który na chwilę mnie ogłuszył.

- Uciekł sukinsyn - sapnął wściekle Stanisławski.

Rzeczywiście, drżenie ziemi było coraz mniej wyczuwalne, a odgłosy tratowanych gałęzi oddalały się coraz bardziej.

- To nie był on - rzekł spokojnie Rafał. - Raczej jakieś duże zwierzę, może jeleń...

- A ty skąd to możesz wiedzieć? - spytał Janek.

- On nigdy nie zaatakowałby w ten sposób. Nie na oślep. To coś po prostu zaczęło biec przed siebie, nie widząc nas.

- No nie wiem. Ale skoro tak mówisz, to musisz dobrze go znać.

- Niestety.

Znów usiedli obok mnie.

- A ty co? - Stanisławski trącił mnie łokciem. - Chciałeś go zaatakować, siedząc?

- O mało się nie zesrałem ze strachu - odpowiedziałem szczerze.

- Przepraszam, następnym razem postaram się jakoś wziąć w garść.

- Byłoby nieźle - mruknął, wciąż próbując uspokoić oddech.

- Miejmy nadzieję, że wystrzału nie słyszeli w wiosce i zaraz się tu nie zlecą - usłyszałem głos Rafała. - Wtedy wszystko wzięłoby w łeb.

\*

Po jakiejś godzinie wydawało się, że obawy Gielmudy były bezpodstawne. Sądziłem, że jeśli nawet w Guciowie usłyszano huk, to i tak nikt raczej nie zdecydowałby się po nocy szukać jego źródła. Zapewne pomyśleli, że to jakiś nieświadomy ostatnich wydarzeń myśliwy lub kłusownik wybrał się na nocne polowanie. Bardziej prawdopodobne było, że strzał mógł co najwyżej wzmóc czujność Kowalika.

„Daj Boże” - pomyślałem, wstydząc się swojego tchórzostwa.

Noc dłużyła się do granic niemożliwości. Byliśmy przygotowani na chłód; każdy z nas ubrał się ciepło, lecz około północy zimno zaczęło dokuczać nie na żarty. Wciąż było bardzo ciemno, niemniej jednak po długim czasie spędzonym w mroku, bez trudu udawało mi się dostrzec sylwetki mężczyzn siedzących obok.

Rafał, podobnie jak ja, opierał się o pień drzewa, natomiast Janek wiercił się niespokojnie, co chwila poprawiając uchwyt na broni i sprawdzając, czy jest odbezpieczona. Kiedy zrobiło się naprawdę zimno, przed oczami stanął mi opis, który przeczytałem w notatkach Rafała, dotyczący starego Trześniowskiego. Tak jak on, Stanisławski zaczął szczerkać zębami, a broń na jego kolanach wydawała wyraźnie słyszalne, irytujące odgłosy. Jedyną różnicą było to, że nie miał ze sobą karabinu, tak jak sołtys Starzyny i nie był ubrany w wojskowy płaszcz z czasów drugiej wojny. Ciekaw byłem, jakie szkody taka broń mogła wyrządzić Kowalikowi, tym bardziej że - co pokazywało niedawne zdarzenie - Janek nie był raczej wyborowym strzelcem.

Od czasu do czasu z ciemności dobiegały do nas niepokojące

odgłosy, lecz po dłuższym czasie spędzonym w lesie wiedzieliśmy już, że to zwierzęta krążą swoimi utartymi ścieżkami. Istniało wprawdzie prawdopodobieństwo, że za którymś razem mogliśmy się pomylić i nie odróżnić tych dźwięków od kroków mordercy, ale nie mogliśmy przecież podrywać się na każdy odgłos. Bez słów rozumieliśmy, że czekamy na wyraźnie słyszalne odgłosy kroków.

I wreszcie, chyba około drugiej, usłyszeliśmy je. Niepewne, dobiegające z trudnej do określenia strony.

- Idzie, skurwiel - szepnął Stanisławski.

Kroki były coraz bliżej. Wyglądało na to, że zbliżały się tą samą ścieżką, którą dotarliśmy na Wygon. Janek, siedząc, wycelował broń w tamtym kierunku, lecz sekundę później usłyszeliśmy coś, czego nie spodziewał się żaden z nas.

Brzmiało to trochę jak płacz, trochę jak cichy śmiech. Wreszcie byłem pewien. Dziecięcy, cienki głosik nucił ledwie słyszalną melodię. Nie miałem wątpliwości, kogo ujrzemy za chwilę na otwartym terenie.

Janek obniżył strzelbę i popatrzył na mnie.

- Nie ruszaj się - szepnąłem i ścisnąłem jego przedramię.

Dziewczynka wyszła z lasu i zatrzymała się najdalej pięć metrów od nas. Wyglądała dokładnie tak, jak ją pamiętałem. Lekko pochylona do przodu, z głową ukrytą między ramionkami.

Stanisławski chciał się podnieść, lecz stanowczo przytrzymałem jego rękę. Usłyszała delikatny szmer i obracając się jak lalka wokół własnej osi, spojrzała w naszym kierunku. Nie widziałem jej twarzy, ledwie zarys sylwetki, lecz przysięgłbym, że białka oczu złowrogo połyskują, patrząc w naszym kierunku.

- Rafalek? - zapytała. - Rafalek, to ty? Powiedz, że to ty... - W ostatnim zdaniu słychać było rezygnację. - Kiedyś do mnie przyjdiesz, prawda? - Teraz mówiła już do siebie, znów stając profilem do nas.

Siedzieliśmy bez ruchu, a ona ruszyła na wprost, tym swoim charakterystycznym mechanicznym krokiem. Teraz usłyszeliśmy też melodię, którą nuciła wcześniej. Zaczęła śpiewać, lekko fałszując:

*Na Rafałka z popielnika iskiereczka mruga,  
Pójdź, pójdź, bajkę ci opowiem, bajka będzie długa...*

Nie wiem, czy słyszałem wcześniej coś równie przerażającego. Całości dopełniał obraz dziewczynki, sztywno idącej przed siebie, stawiającej małe kroczki w rytm melodii.

Obawiałem się, że Janek rzuci się do przodu, próbując ratować małą, która przecież w każdej chwili mogła stać się ofiarą bezwzględnego zabójcy. Nic takiego się jednak nie stało. Stanisławski siedział bez ruchu, tylko jego drżenie wydawało się o wiele silniejsze niż dotychczas.

Gdy melodia ucichła wśród nocy, szepnął:

- Boże! - przeżegnał się. - Matko Boska, co to było, do jasnej cholery? Widzieliście jej oczy? Przecież to nie było normalne dziecko...

- Lepiej, żeby pan nie wiedział - odpowiedział mu Rafał.

- To ciebie szukała?

- Tak. Lepiej stąd chodźmy. Tak naprawdę nie wiadomo, czy rzeczywiście nas nie zauważyła, czy może odeszła, żeby podejść nas zniecka.

Janek podniósł się bez słowa.

- Chyba wolałbym spotkać tamtego bandytę. Do dziecka bym nie strzelił... Wiem, że to nie było zwykłe dziecko, ale nie potrafiłbym. Jak Boga kocham, żałuję, że tu dzisiaj przyszedłem.

Wracaliśmy do wsi tak szybko, jak gdyby gonił nas sam diabeł. Janek wziął latarkę od Rafała i ledwie mogliśmy za nim nadążyć. Szedłem na końcu, co jakiś czas pokrzykując, żeby zwolnili. Moja noga wyraźnie dawała do zrozumienia, że nie spodobało się jej wielogodzinne siedzenie bez ruchu w chłodzie, lecz Stanisławski zdawał się nie słyszeć moich narzekań. Jakby nie pamiętał o zagrożeniu, które wciąż przecież istniało, tylko rwał do przodu, nie zważając na moje protesty.

Wreszcie, gdy znaleźliśmy się na asfaltowej drodze i w oddali widać było latarnie Guciowa, oddał latarkę Gielmudzie.

- Niezły z ciebie bohater - rzekłem z przekąsem. - Mieliśmy dużo

szczęścia, że go nie było w pobliżu. Mógłby się spokojnie zapytać, którego z nas ma załatwić jako pierwszego.

- Wiesz co, Witek? Nie wkurwiał mnie - odparł gwałtownie Janek. - Macie we dwóch przede mną jakieś pieprzone tajemnice, wiecie o wiele więcej, nic nie chcecie powiedzieć i jeszcze masz pretensje? Sami sobie go łapcie! Dla mnie najważniejsza jest rodzina i mogę popierdzielić tego skurwysyna, jeśli żona i dzieci będą bezpieczne. Moje miejsce jest we wsi i tam mogę nadstawiać durnego łba. Nie wymagajcie więcej...

Nie potrafiłem nie przyznać mu racji. Sam musiałem jeszcze wiele wyciągnąć z Gielmudy, żeby wiedzieć, jak zachować się w całej tej sytuacji.

Gdy doszliśmy do pierwszej latarni, z zarośli wyszło dwóch mężczyzn, którzy okazali się znajomymi Stanisławskiego. Dowiedzieliśmy się, że we wsi tej nocy, jak dotąd, nic niepokojącego się nie wydarzyło.

Janek został z nimi, a ja z Rafałem poszliśmy w kierunku auta.

Dopóki nie zrobiło się prawie całkiem jasno, byliśmy na zewnątrz, kręcąc się po okolicy w tę i z powrotem. Kiedy słońce wzeszło nad Guciuwem, Rafał powiedział:

- Teraz jest już bezpiecznie. Możemy jechać.

Wolałbym zostać we wsi, lecz zbyt wiele się wydarzyło, żebym opuścił Gielmudzie. Poszedłem do swojego pokoju, zabrałem rzeczy, po czym wsiedliśmy do auta i ruszyliśmy. Czułem się jak idiota, który razem ze swoją torbą jeździ tam i z powrotem, lecz niewiele mnie to obchodziło.

- Wiesz, że dzisiaj musimy dojść do końca twojej opowieści? - zapytałem tylko.

- Wiem - odparł poważnie Rafał i wcisnął pedał gazu.

Zasnąłem, zanim wyjechaliśmy z Guciuwa.

## 7.

Gdy przyjechaliśmy do Krasnobrodu, od razu chciałem usłyszeć wyjaśnienia Gielmudy. Poprosiłem, aby zaparzył nam mocną



kawę i usiedliśmy przy stole. Czułem się całkiem niezłe; drzemka w samochodzie postawiła mnie na nogi.

Rafał natomiast wyglądał na śmiertelnie zmęczonego. Złapałem się na tym, że ciągle traktuję go jak dwudziestokilkulatka, dla którego jedna nieprzespana noc nie powinna stanowić większego problemu, jednak powinienem był przecież brać pod uwagę jego wiek biologiczny. Siedzący przede mną szpakowaty mężczyzna patrzył na mnie nie-widzącym wzrokiem, a jego głowa raz po raz mimowolnie opadała przed siebie.

Z drugiej strony, nie wiedziałem, czy w ostatnim czasie takich nieprzespanych nocy nie miał więcej, chociażby w wyniku czuwania przy chorej córce. Zresztą, gdyby nie mógł spać ze względu na wyrzuty sumienia związane z faktem, że sprowadził zagrożenie na mieszkańców Guciowa i okolic, to też bym się temu jakoś specjalnie nie dziwił.

Przypuszczałem, że o wiele bardziej niż na mocną kawę, ma ochotę na kilka godzin snu. Gdy sięgał po szklanekę, aby upić kolejny łyk, powiedziałem:

- Na razie damy spokój, Rafał. Lepiej będzie, jak trochę się prześpimy. Jeszcze zdążysz mi wszystko opowiedzieć.

Spojrzał na mnie z wdzięcznością, lecz po chwili zastanowienia pokręcił głową.

- Chyba wolałbym mieć to już wreszcie za sobą - rzekł.

- Domyślam się, ale w takim stanie i tak nie będziesz mógł zebrać myśli. Zresztą, ja też się chętnie zdrzemnę, a do wieczora mamy jeszcze sporo czasu.

\*

Zasnąłem natychmiast, ale obudziłem się już po dwóch godzinach i miałem wrażenie, że jestem wystarczająco wypoczęty. W dodatku kłębiące się pod czaszką myśli i tak pewnie nie pozwoliłyby mi znów zapaść w sen.

Nie mogłem się doczekać wyjaśnienia całej sprawy, mimo że obawiałem się usłyszeć rzeczy, których wolałbym nie wiedzieć. Przeszło mi też przez myśl, że Rafałowi trudno będzie mówić o tym wszystkim, więc postanowiłem dowiedzieć się wcześniej

tyle, ile tylko możliwe. W tym celu nie musiałem nawet ruszać się z łóżka.

Sięgnąłem po brulion z zapiskami i zacząłem go wertować. Tym razem nie czytałem dokładnie, zatrzymując się jedynie na rzeczach, które wydawały mi się istotne. Wreszcie trafiłem na fragment oznaczony numerem trzydziestym szóstym...

## Słoneczna Dolina

### XXXVI

Anielka Komisarczuk nie dawała Rafałowi spokoju. Gdy mogła, spędzała z nim czas, chodziła za nim wszędzie, jeśli tylko miała taką możliwość, a nawet chętniej się uczyła, bo wiedziała, że wizyta na lekcjach u córki sołtysa wiąże się z szansą spotkania Gielmudy. Już po kilku miesiącach od pojawienia się w Starzyźnie chłopak miał zdecydowanie dosyć tego stanu rzeczy, ale dziewczynka była tak urocza, że wręcz nie wyobrażał sobie, jak mógłby w bezpośredni sposób odrzucić jej umizgi.

Była to dość niezręczna sytuacja chociażby z tego względu, że aby nie ranić małej, Rafał i Helenka postanowili ukrywać przed nią swoje uczucie. Mieli nadzieję, że ta „wielka miłość” wreszcie przejdzie dziewczynce. Nic na to jednak nie wskazywało i jesienią dwa tysiące drugiego roku mała wciąż nic nie wiedziała o ich związku.

Grzyby były jednym z bardziej popularnych składników diety mieszkańców Starzyzny. W lasach otaczających Słoneczną Dolinę było ich pod dostatkiem, a biorąc pod uwagę fakt, że - siłą rzeczy - innych grzybiarzy nie spotykało się w okolicy, podczas grzybobrania można było sobie pozwolić na wybieranie tylko najbardziej dorodnych borowików. Rafał cieszył się z tej obfitości, bo o ile niektórych potraw czy napojów (na czele z herbatą miętową) po prostu szczerze nie cierpiał, o tyle grzyby mógł pochłaniać w każdej ilości, więc gdy zbliżała się jego druga jesień w Starzyźnie, już cieszył się na myśl o nadchodzących grzybobraniach.

Trześniowski niechętnie godził się, aby jego córka opuszczała dom, a już całkiem przeciwny był jej wyprawom do lasu; bał się, aby ze strony starszego Kowalika nie spotkała Helenki jakaś

krzywda, jednak tego dnia sam zaproponował, aby wybrała się z Rafałem na grzyby.

- Córku - zagadnął przy śniadaniu - Kowaliki dzisiaj wyjechali z Dudą aż na Pozwierzyniec i będą z powrotem dopiero wieczorem, albo nawet i jutro. Poszlibyście z Rafałem nazbierać trochę prawdziwków, bo z zeszłego roku nic już prawie nie zostało. Jasiak nazbierał wczoraj dwa kosze w parę godzin...

Dziewczynie nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Często czuła się w domu jak więzień, więc takiej okazji nie zamierzała zmarnować. Niedługo potem minęli z Rafałem kościół i zagłębili się w pachnący jesienią las, który zaczął już zmieniać barwy na żółtoczerwone. Tego dnia, wydawało się, że słońce jest za cieńszą niż zazwyczaj warstwą chmur, dzięki czemu kolory były bardziej intensywne, a ciepłe powietrze łagodnie spływało z góry wraz ze złotawym światłem, mimo że październik już dał się we znaki kilkoma chłodniejszymi nocami.

Pierwsze opadłe liście szeleściły pod stopami. Rafał wziął dziewczynę za rękę, a później objął ramieniem. Szli tak przez dłuższą chwilę.

- Tam też jest tak ładnie? - zapytała.

- Chyba nawet ładniej, bo w taki dzień, jak dzisiejszy, nic nie zasłaniałoby słońca.

- No tak, całkiem zapomniałam. Już nawet nie pamiętam, jak ono wygląda...

- Jeszcze zobaczysz, że je zobaczysz - powiedział z uśmiechem. - Może nawet już za pół roku. Jeszcze tylko trochę cierpliwości.

Staął naprzeciw niej, łagodnie wziął koszyk z jej ręki i postawił na ziemi. To samo zrobił ze swoim, po czym przytulił Helenkę, pieszcząc delikatnie długie włosy. Pocałunek, najpierw niewinny, z upływem czasu stawał się coraz bardziej gorący. Prawa dłoń Rafała delikatnie musnęła szyję dziewczyny i łagodnym ruchem powędrowała niżej.

Długi, namiętny pocałunek został przerwany przez cichy szloch dobiegający z niewielkiej odległości.

Zobaczyli ją, jak stała bez ruchu, wpatrując się w nich ogromnymi ze zdziwienia oczyma. Łzy spływały po policzkach w

stronę drżącej bródki i kapały na czerwoną sukienkę w duże, białe grochy, tworząc na niej ciemniejsze punkty. Nie wiedzieli, jak długo ich obserwowała, jednak sądząc po wielkości mokrych plam na sukience, musiało to trwać od ładnych kilku minut. W chwili, gdy na nią spojrzeli, koszyk wysunął się z drobnej rączki, a grzyby rozsypały na wszystkie strony.

Gielmuda chciał przerwać niezręczne milczenie, ale nie miał pojęcia, co mógłby w tej chwili powiedzieć małej. Wpatrywał się tylko w pełne łez oczy i czuł się jak mąż przyłapany w ramionach kochanki. Zdawał sobie sprawę z absurdalności tego porównania, lecz nie powodowało ono, że poczuł się choć odrobinę lepiej.

Helenka zrobiła krok w stronę dziewczynki.

- Nie ruszaj się! - powiedziała Anielka drżącym, lecz stanowczym głosem, kierując wzrok na Trześniowską. - Jesteś fałszywa i niedobra. Dlaczego mi nie byłaś powiedziałaś? Przecież jestem już duża... - Dumnie podniosła brodę do góry i wierzchem nadgarstka otarła oczy i policzki. - Nienawidzę ciebie, wiesz?

- Anielko, ale przecież ty jeszcze jesteś za mała...

- Sama jesteś za mała! - krzyknęła dziewczynka. - Zabrałaś byłaś mi mojego Rafałka! - Skierowała wzrok na Gielmudę i jej oczy znów zaczęły się napełniać łzami. Chlipnęła cicho i zaczęła się cofać.

- Jeszcze się zobaczymy, prawda? - zapytała.

- Oczywiście, przecież... - zaczęła Helenka.

- Nie do ciebie mówię, cicho bądź! - wrzasnęła mała w odpowiedzi, nawet nie patrząc w stronę dziewczyny.

- Kiedy do mnie przyjdiesz, Rafałku? - gwałtownie zmieniła intonację z wściekłego wrzasku na słodki, dziecięcy głosik.

Wciąż się cofała.

- Ni... - zakrztusił się i odkaszlnął.

Widać było, jak wielkie wrażenie zrobiły na nim popisy Anielki, ale czuł się poniekąd winien całej tej sytuacji, więc starał się opanować emocje.

- Nie wiem, Anielko - powiedział już czystym głosem.

- A gdzie mam przyjść?

- Znajdziesz mnie - odparła, zatrzymując się gwałtownie.

Wpatrywała się intensywnie w oczy Rafała przez dłuższą chwilę, wreszcie mocno kiwnęła główką, jakby chciała potwierdzić swoje słowa.

- Wiem, że mnie znajdziesz - odwróciła się nagle i pobiegła w głąb lasu.

Ruszyli za nią, krzycząc co chwila jej imię. Helenka potknęła się i upadła, a zanim Rafał pomógł jej wstać, mała zniknęła im z oczu, ginąc w gęstych zaroślach.

- Nie wiesz może, gdzie mam jej szukać? - zapytał. - O czym ona mówiła?

Dziewczyna oddychała ciężko.

- Kiedyś mi powiedziała, że jak będzie chciała uciec... - kilka razy odetchnęła głęboko - ...jak nikt jej nie będzie już lubił, to ucieknie na Czarny Wygon...

- Myślisz, że jest w stanie naprawdę to zrobić?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Tak naprawdę, to mam nadzieję, że niedługo wróci do wsi, ale pewna nie jestem... Ta mała jest strasznie zawzięta i kto wie, co może jej strzelić do głowy...

- Anielka! - dobiegło z oddali. - Anielka, gdzie jesteś? Chodź tu, bo jeszcze się zgubisz!

- To jej mama? - zapytał Rafał.

- Chyba tak.

- Powiemy jej, co się stało?

- Nie wiem, chyba to teraz nie ma znaczenia... Najważniejsze, żeby ta mała znalazła się jeszcze przed nocą.

Poszli w kierunku, z którego docierał głos Komisarczukowej. Gdy ją spotkali, powiedzieli o tym, jak mała uciekła w głąb lasu.

- A grzyby? - niespodziewanie zapytała matka Anielki. - Miała ze sobą grzyby?

Pokręcili przecząco głowami.

- O Boże, w takim razie coś ją musiało naprawdę mocno przestraszyć. Ona nigdy by nie zostawiła w lesie koszyka... - Kobieta wyglądała na przerażoną. - Chodźmy jej szukać, jeszcze

jej się co złego stanie... Może ci z Wygonu przyszli po moją Anielkę? Nie widzieliście nikogo?

- Pani Komisarczukowa - Helenka starała się mówić jak najbardziej spokojnie, choć przychodziło jej to z trudnością. - Na pewno nic jej nie będzie, tylko może lepiej teraz szybko wrócić do wsi i poprosić kogoś o pomoc? Do wieczora jest wprawdzie jeszcze sporo czasu, ale...

- Helenko, moja kochana! - Kobieta postawiła swój koszyk na ziemi i mocno chwyciła Trześniowską za przedramiona. - Proszę cię, leć do wsi i weź ze sobą kogoś, a my w tym czasie z Rafałem pójdziemy już jej szukać, dobrze?

- Dobrze. Zaraz będziemy z powrotem.

- Tylko się pośpiesz! Nigdy bym sobie tego nie darowała i nie wiem, co bym zrobiła, gdyby mojej Anielce co złego się stało... To wszystko moja wina, żem jej nie upilnowała...

Młodzi spojrzeli na siebie.

- Chodźmy - powiedział Rafał. - Wszystko jedno, czyja to wina. Najważniejsze teraz, to jak najszybciej ją znaleźć.

\*

Gdy Helenka pobiegła w kierunku Starzyny, Rafał i Komisarczukowa ruszyli w stronę miejsca, gdzie mała zniknęła w zaroślach. Potem zaczęli iść w odległości kilkudziesięciu metrów od siebie, co chwila nawołyując.

Chłopak był przekonany, że nawet jeśli dziewczynka ich słyszy, to i tak nie da znaku życia. Musieli ją odszukać wbrew jej woli, dlatego Gielmuda zaglądał za każde drzewo i wchodził w każdą kępę krzewów.

Po niedługim czasie usłyszeli kolejne nawoływania. Rafał rozpoznał głosy Helenki, jej ojca, Jaśka i Albina Sochy. Był jeszcze jeden głos - prawdopodobnie ojca dziewczynki, którego Gielmuda widział do tej pory ledwie kilka razy.

- Bogu dzięki - westchnęła matka dziewczynki. - Jest nas już więcej i może z Bożą pomocą nam się poszczęści.

Siedmioro dorosłych przez kilka godzin krążyło po okolicy, zdzierając gardła i zaglądając w każdy leśny zakamarek, w

którym mogła się ukryć dziewczynka, lecz wszystko to bez skutku. Po małej wszelki słuch zaginał.

Szukający nie ominęli też Czarnego Wygonu. Jeśli miała być szansa na znalezienie tam dziewczynki, to właśnie teraz, za dnia, dopóki jeszcze Oni nie zaczęli swojego panowania w tym miejscu.

Zaczął zapadać zmierzch.

Widać było coraz mniej i szanse malały z każdą minutą. Wreszcie grupka ludzi stanęła w kółku, zastanawiając się, co dalej robić.

- Jak się boicie, to idźcie - powiedziała stanowczo matka Anielki.

- Ja nie wracam bez mojej córeczki.

- Daj spokój - odezwał się Komisarczuk zmęczonym głosem. - Co to da, jak i ty tu zostaniesz? Przecież po ciemku jej nie znajdziesz. A może ona już w domu na nas czeka?

Kobieta podniosła głowę, a w jej oczach zapaliła się iskierka nadziei.

- Antek ma rację - powiedział Trześniowski. - Jak wszyscy jej będziemy szukać, to i nikt z nas do wioski może nie wrócić.

Komisarczuk objął żonę i zaczął prowadzić w kierunku Starzyny. Początkowo lekko się opierała, lecz po chwili zrezygnowana poddała się woli męża.

Od czasu do czasu ktoś bez przekonania jeszcze krzyknął imię dziewczynki, ale po kilku próbach zaprzestali i tego. W pewnym momencie matka Anieli przyśpieszyła kroku.

- Na pewno jest w domu! - powiedziała podekscytowana. - Czuje to, a serce matki nigdy się nie myli...

Zaczęli iść szybciej i po kilkunastu minutach dotarli do wioski. Całą gromadą stanęli przed zabudowaniami Komisarczuków, a gospodarze weszli do środka. Chwilę potem w oknach błysnęły ogniki zapalonych świec, które penetrowały wnętrza pomieszczeń.

Panowała trudna do zniesienia cisza, którą rozdarło rozpaczliwe zawołanie kobiety. Trześniowski nie wytrzymał i szybkim krokiem wszedł do domu.

- Nie ma jej - powiedział, pojawiając się w otwartych drzwiach i zagłuszając na chwilę lament Komisarczukowej. - Nic tu po nas.



Ruszył w kierunku swojego domu, lecz zaraz potem się zatrzymał.

- A może kto chce iść jej szukać teraz? Sam nie pójdę, ale gdyby znalazł się jeszcze z jeden...

Nikt nie odpowiedział nawet słowem. W dali było jedynie słychać gasnący szloch matki dziewczynki. Tej nocy Gielmuda nie zasnął nawet na chwilę.

\*

Nad ranem, gdy przez okno zaczęła wdzierać się delikatna szarość poranka, Rafał ubrał się ostrożnie, aby nie zbudzić Helenki i wyszedł z pokoju. W sieni zawahał się jeszcze przez chwilę, po czym znalazł się przez domem, bezszelestnie zamykając za sobą drzwi.

Chłód natychmiast przeniknął przez ubranie. Pod butami zachręściła trawa pokryta srebrnym szronem. Gielmuda ruszył w kierunku lasu, za którym ukryty był Czarny Wygon. Idąc, zastanawiał się, czy nie powinien wrócić po Trześniowskiego, jednak pamiętał, co powiedziała Anielka. Był przekonany, że może ją znaleźć tylko w pojedynkę.

Znał już dobrze drogę. Minął wiekowy, rozłożysty buk i tuż za kilkusetletnią jodłą zapuścił się w las. Do jego uszu nie docierał żaden dźwięk. Słabe światło nie przedarło się jeszcze przez gęstą zasłonę chmur, na otwartym terenie wystarczyło jednak do określenia kierunku marszu. Wśród gęsto rosnących drzew było o wiele gorzej. Musiał iść prawie po omacku.

Gdy wreszcie stanął na skraju Czarnego Wygonu, dostrzegł dwie nieruchome postacie, trzymające się za ręce. Nawet w nikłym świetle poranka widział wpatrujące się w niego, ślepe, przerażająco białe oczy kobiety i mężczyzny. Odniósł nieodparte wrażenie, że był oczekiwany i, mimo że miał ochotę uciec jak najdalej z tego przekłętą miejsca, podszedł bliżej, na odległość kilku kroków.

Ich twarze były brunatnosine. Na odkrytych szyjach oboje mieli pręgi pozostałe po wisielczych sznurach. W rysach kobiety Rafał rozpoznał podobieństwo do Jaśka Greli, przypuszczał więc, że ma

do czynienia z jego siostrą i jej mężem, którzy razem popełnili samobójstwo.

- Nie mogliśmy mieć dzieci - odezwał się mężczyzna.

Jego twarz pozostawała nieruchoma, a głos był dziwnie zduszony, lekko metaliczny.

- A teraz już ona będzie z nami. Na zawsze. - Rozciągnął twarz w koszmarnym uśmiechu, pokazując żółtawe zęby. Kobieta w tym samym momencie również się uśmiechnęła.

- Powiedziała, że jak nie przyjdiesz do rana, to zostanie z nami - dodała. - Trza było jej w nocy szukać, to byście poszli stąd razem. Teraz już dzień. Za późno.

- Za późno - powtórzył jak echo mężczyzna.

Rafał rozejrzał się. Dniało. Wygon spowijała gęsta mgła, rozjaśniona rozproszonym światłem.

- Gdzie ona jest? - spytał.

Nie odpowiedzieli. Stali tylko z uśmiechami przyklejonymi do nieruchomych twarzy.

- Słyszycie? Gdzie jest Anielka?!

Jak w zwolnionym tempie podnieśli głowy i spojrzeli w kierunku dębu, stojącego tuż obok Rafała.

Nie miał pojęcia, jak mógł jej nie zauważyć; stojąc naprzeciw upiornej pary, nieomal dotykał łokciem buczków dziewczynki.

Zwisała z pochyloną głową. Jej ciało lekko się poruszało na boki, więc musiała to zrobić bardzo niedawno. Rafał chwycił ją za nogi, podnosząc do góry.

- Pomóżcie mi! - krzyknął. - Ona przecież jeszcze żyje!

Gdy się rozejrzał wokół, nie zobaczył już nikogo.

- Anielka, to j a! Nie umieraj, proszę!

Stał, podtrzymując zwiotczone ciało dziewczynki. Pętla okalająca jej szyję znajdowała się jednak zbyt wysoko, by mógł jej dosięgnąć.

Z ulgą spostrzegł, jak jej ręka się poruszyła. Spojrzał w twarz Anielki, lecz ciągle miała zamknięte oczy. Pogładziła go po głowie i delikatnie się uśmiechnęła.

- Rafałek - wycharczała przez zdławione gardło. - A jednak przyszedłeś byłeś...

Drugą ręką zdjęła pętlę z szyi i przytrzymując się jej, zsunęła się w objęcia chłopaka. Gdy jej stopy dotknęły ziemi, podniosła głowę i wciąż się uśmiechając, otworzyła oczy.

Jej intensywnie niebieskie źrenice zniknęły. Patrzyła w górę ślepych białkami oczu.

Rafał zrozumiał, że mieli rację. Było za późno.

Rozpłakał się i przytulił mocno dziewczynkę.

- Nie martw się - powiedziała. - Musisz tylko zrobić to, co ja i zawsze już będziemy razem. A wieczorem pójdziemy też po Helenkę. Tak naprawdę, to dalej ją bardzo lubię...

## Rozdział szósty

### 1.

Cała ta sytuacja zaczęła mnie przerastać.

Leżałem nieruchomo, wpatrując się w drobinki kurzu, które wirowały w słonecznych strugach światła, wlewających się do pokoju przez niezastłonięte okno.

W rozmyślaniach popadałem ze skrajności w skrajność.

Z jednej strony zastanawiałem się, jak mogłem potraktować poważnie dyrdymały wypisywane przez Gielmudę. Przecież nikt o zdrowych zmysłach nie uwierzyłby, że to wszystko zdarzyło się naprawdę. Wieś istniejąca w równoległej czasoprzestrzeni? Jej mieszkańcy, dla których czas się zatrzymał, istniejący tylko dlatego, że czas się zatrzymał? Przedmioty, które po ich zniszczeniu samoistnie wracają do poprzednich kształtów? Bzdura wręcz goniła bzdurę i cała pisanina przypominała rojenia opętanego fantasty.

Myśli te wyjątkowo łatwo przychodziły w jasny, słoneczny poranek, rozbrzmiewający z zewnątrz szczekaniem psów, paniem kogutów i odgłosami przejeżdżających drogą samochodów. Wystarczyło jednak tylko, że zamykałem oczy i przypominałem sobie ostatnie wydarzenia, które miały miejsce w Guciwie, a strach momentalnie zaciskał na moim gardle lodowatą łapę.

Czy to mogła być mistyfikacja przygotowana przez Rafała? Trudno było mi odpowiedzieć na takie pytanie twierdząco. Zbyt wiele się wydarzyło. Po raz kolejny wspominałem mężczyznę, który nieomal mnie udusił na guciowskiej szosie i dziewczynkę o nadludzkiej sile, która w chłodną noc w najlepsze spacerowała w cienkiej sukience po ciemnym, złowrogim lesie.

Gdy jednak zastanawiałem się nad tym w bezpiecznym domu,

przynajmniej częściowe ukartowanie ostatniego ciągu wypadków wydawało mi się możliwe. Czy jednak posunąłby się aż do podwójnego zabójstwa? Raczej nie brałem tego pod uwagę.

A może wyglądało to w ten sposób, że Rafał do ostatnich wydarzeń dopasował swoją historię w brulionie? Dowiedział się o „upiorze z Guciowa” z lokalnej prasy, do pomocy w realizacji planu namówił jakąś znajomą dziewczynkę, a dziwna choroba, która sprawiała, że starzał się przedwcześnie, została przez niego sprytnie wykorzystana?

Tylko po co miałyby to robić? Tego zupełnie nie mogłem dociec.

Ale przecież wciąż nie wiedziałem, po co mnie tu ściągnać...

Nagle przyszła mi do głowy jeszcze jedna myśl. Rafał opowiadał o swojej córce. Nic o niej nie wiedziałem, nawet tego, w jakim jest wieku. Może to właśnie ona była tą dziewczynką, którą spotkałem na Czarnym Wygonie i którą widzieliśmy tam ostatniej nocy? Przecież rzekoma choroba mogła być tylko wymysłem Gielmudy... Zastanawiałem się, czy uda mi się to sprawdzić.

Ta myśl uświadomiła mi, że wciąż nie ufam Rafałowi. Nie mogłem powiedzieć, że zachowuje się wobec mnie w sposób dający ku temu podstawy, jednak niestworzone historie, którymi mnie karmił, kazały zachować daleko idącą ostrożność. Pomyślałem, że chętnie zobaczyłbym jego córkę.

Usłyszałem pukanie do drzwi wejściowych. Wstałem i gdy zacząłem się ubierać, pukanie rozległo się ponownie. Usłyszałem kroki na korytarzu i chwilę potem odgłos otwieranego zamka.

Wyszedłem z pokoju i zobaczyłem, jak Rafał wpuszcza do środka drobną blondynkę. Mogła mieć około czterdziestu pięciu, może pięćdziesięciu lat. Gdy stanęła obok Rafała, uderzyło mnie ich podobieństwo. Sądziłem, że mam do czynienia z siostrą, starszą od niego o kilka lat.

- Dzień dobry - powiedziała, spoglądając to na mnie, to na Rafała. - Pan pewnie jest tym dziennikarzem, o którym opowiadał syn?

- Tak, mam - odpowiedział za mnie Gielmuda. - To jest właśnie pan Uchmann z Warszawy.

Przyglądała mi się z zainteresowaniem.

- Miło mi - rzekła wreszcie, podchodząc i wyciągając w moim kierunku rękę. - Cieszę się, że pan przyjechał.

- Witold Uchmann - powiedziałam, ściskając jej dłoń.

- Pani jest... - W moim głosie z pewnością dało się wyczuć sporą dozę zaskoczenia.

- Tak, jestem mamą Rafała. - Uśmiechnęła się. - Mam nadzieję, że syn należycie się panem zajął?

- Owszem, dziękuję.

- Pomoże mu pan? - spytała, przyglądając mi się uważnie.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy - zapewniłem, choć wciąż nie wiedziałem, na czym owa pomoc miałaby polegać.

- Będziemy musieli pana zostawić samego. Paulinka, córka Rafała, jest chora i będzie musiał pobyć z nią przez kilka godzin.

- Szczerze mówiąc, wolałbym nie zostawać tu sam. Chętnie pojedę z pani synem.

Nadarzała się okazja, o której myślałem przed chwilą. Miałem szansę poznać córkę Gielmudy i rozstrzygnąć, czy moje podejrzenia są słuszne.

- Wiesz - wtrącił się Rafał - może lepiej zostań, jeszcze się od niej zarazisz...

Uśmiechnąłem się pod nosem.

- Nie ma obaw. Jestem bardzo odporny i chętnie poznam Paulinkę. Tyle mi o niej opowiadałeś...

- W takim razie czekamy - powiedziała kobieta, po czym pocałowała Rafała w policzek i już jej nie było.

Gdy zostaliśmy sami, Gielmuda próbował mnie przekonać raz jeszcze, że nie ma sensu, żebym z nim jechał. Potwierdzało to tylko moje przypuszczenia, więc nie było już takiej siły, która zmusiłaby mnie do pozostania w domu.

- Jadę na własną odpowiedzialność - uciałem krótko. - Zbierajmy się, bo chyba nie mamy zbyt wiele czasu.

\*

- Czy twoja mama wie o wszystkim?

Pytanie padło zaraz po tym, gdy wsiedliśmy do Rafałowego

opla.

- Nie mogłem niczego zataić przed rodzicami. W końcu nie było mnie przez trzy lata... Odchodzili od zmysłów, byli pewni, że nie żyję, że zostałem napadnięty w drodze do domu...

- I tak po prostu uwierzyli?

Zastanowił się przez chwilę.

- Nie od razu im powiedziałem. Z początku po prostu cieszyli się, że wróciłem i nie zadawali zbyt wielu pytań. Szczerze mówiąc, byłem im za to bardzo wdzięczny. Być może wtedy zacząłbym brnąć w jakieś kłamstwa, z których później trudno byłoby się wycofać. To przecież było dla nich bardzo trudne. Najpierw moja długa nieobecność, a potem powrót... Wiele się zmieniło przez ten rok. Nie tylko moje życie zmieniło się diametralnie.

Jechaliśmy przez chwilę w milczeniu.

- Trześniowski umarł, zanim zdążyliśmy dojechać z Guciowa do Krasnobrodu - powiedział cicho. - Zorientowaliśmy się dopiero, gdy zatrzymałem samochód przed domem rodziców, dokładnie w tym miejscu, gdzie teraz stoimy.

Otworzył drzwi, a ja zrobiłem to samo. Droga zajęła nam ledwie kilka minut, lecz nie miałem pojęcia, w której części miasteczka się znajdujemy.

Weszliśmy na niewielkie podwórze otaczające piętrowy, murowany dom. Rodzice Rafała musieli obserwować ulicę z okna, bo natychmiast pojawili się w drzwiach, ubrani do wyjścia.

- Dobrze, że już jesteście. Będziemy za kilka godzin.

W przelocie zdążyłem ucisnąć rękę ojcu Gielmudy i wymienić kilka mało znaczących słów.

Na podjeździe prowadzącym do garażu stał ich srebrny ford mondeo, lecz nie zdążyliśmy już zobaczyć, jak odjeżdżają. Rafał wprowadził mnie do środka i natychmiast weszliśmy po schodach na pierwsze piętro.

- Cześć, skarbie! - odezwał się, wchodząc do jednego z pokoiów.

Poszedłem jego śladem.

Leżąca pod grubą kołdrą dziewczynka uśmiechnęła się blado, patrząc na ojca. Wypieki na policzkach, mokre od potu włosy i

szkliste oczy wskazywały na wysoką gorączkę.

- Jak się dziś czujesz, słoneczko? - zapytał. - Skoro się tak ładnie uśmiechasz, to chyba nie jest już tak źle, prawda?

Nie odpowiedziała.

Podszedł do łóżka, wziął ją za drobną rączkę i usiadł na stojącym obok krześle.

- Tata - wyszeptała niezdarnie, wciąż się uśmiechając. - Tata...

Jej zamglone chorobą, lecz bystre oczy skierowały się na mnie. Uśmiech zniknął w jednym momencie.

- Nie bój się, Paulinko - powiedział łagodnie, kładąc dłoń na jej czole. - To jest pan Witek.

- Pan Witek? - powtórzyła.

- Tak, pan Witek.

Zaniknęła oczy i znów się uśmiechnęła. Po cichu wycofałem się do korytarza i zszedłem na dół, nie chcąc przeszkadzać. Drzwi do kuchni były otwarte, więc wszedłem i usiadłem przy solidnym, drewnianym stole.

Tam, na górze, zobaczyłem Rafała takiego, jakiego nie spodziewałem się ujrzeć. Z każdego jego gestu i słowa wręcz emanowała ogromna miłość, jaką darzy córkę. Wcześniej miałem go za trochę postrzelonego, nie do końca zrównoważonego faceta, jednak w ciągu minuty ten obraz uległ całkowitej przemianie. To nie mogła być gra pod publiczke.

Ponieważ Paulinka leżała pod kołdrą, trudno mi było jednoznacznie określić jej wiek. Sposób, w jaki mówiła, sugerował, że ma najwyżej dwa lata, jednak gdybym nie usłyszał jej nieporadnie wypowiedzianych słów, z pewnością stwierdziłbym, że jest trzy-, a może nawet czterolatka.

Jedno było pewne - to nie ją widziałem na Czarnym Wygonie. Przyznałem przed samym sobą, że stwierdziłem to z ulgą. Tamta dziewczynka była o wiele starszą blondynką. Córka Rafała natomiast miała kruczoczarne włosy i... kogoś mi przypominała...

Zastanawiałem się właśnie, kogo, gdy Gielmuda stanął w drzwiach.

- Zasnęła - powiedział niemal szeptem, jakby głośniejsze słowo mogło zbudzić śpiącą na górze małą. - Napijesz się czegoś? Może



kawy?

- Chętnie.

Kiedy woda zagotowała się w czajniku elektrycznym, Rafał zalał dwie kawy po turecku i usiadł naprzeciw mnie. Podał mi cukier, po czym sam posłodził i długo mieszał w zamyśleniu. Odłożył łyżeczkę, upił łyk gorącego płynu i, zupełnie mnie zaskakując, rzekł, patrząc w okno:

- Spróbowaliśmy w ubiegłoroczny Wielki Piątek. Wszystko mieliśmy przygotowane w najdrobniejszych szczegółach. Samochód stał w stodole Trześniowskich i pilnowaliśmy go na zmianę z ojcem Helenki przez całą noc z czwartku na piątek.

Przerwał na chwilę.

- Nie, jeszcze jedną ważną rzecz muszę ci powiedzieć. Wiesz, kto to jest Anielka Komisarczuk?

- Tak. To ta mała dziewczynka, która powiesiła się za namową siostry Greli i jej męża?

Skinął głową.

- Od czasu, gdy się to stało, nie mogłem sobie znaleźć miejsca. Wiem, że to było głupie, ale często nocą chodziłem na Wygon tylko po to, żeby ją spotkać... Tak, jakby to cokolwiek miało zmienić... - Uśmiechnął się smutno. - Cholernie się bałem popapranego klechy, tych pozostałych upiornych wisielców, ale to było silniejsze ode mnie. Oczywiście, wiele razy ich spotykałem, namawiali mnie, żebym poszedł ich drogą, ale miłość do Helenki była silniejsza. Zawsze wracałem, a oni jakby wiedzieli, że nie mają tyle mocy, żeby na mnie wpłynąć... Prawie za każdym razem po spotkaniu z Anielką nie mogłem dojść do siebie. Desperacko wierzyłem, że można jeszcze odmienić jej los. Chciałem, aby stało się coś, co nie pozwoli jej już na wieki pozostać pośrodku drogi pomiędzy światami żywych i umarłych. A ona cieszyła się, jak przychodziłem.

Roześmiał się gorzko i pokręcił głową.

- Te jej namowy, abym zrobił to samo co ona, powodowały, że serce pękało mi jeszcze bardziej. Wiedziałem, że nie jest niczemu winna i tym bardziej miałem nadzieję, że mogę jeszcze coś zmienić...

- Ona też została za coś ukarana? - spytałem.

Popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

- No wiesz, z tego, co wyczytałem, cała ta historia miała związek z jakimś występkiem mieszkańców wsi, za który potem musieli cierpieć...

- Nie - zaprzeczył gwałtownie. - To chyba był czysty przypadek, że tamtego dnia znalazła się w wiosce. Wszystkie dzieci chodziły do szkoły oddalonej o kilka kilometrów od Starzyzny. Tamtego dnia Anielka sama zawróciła w pół drogi i znalazła się po prostu w nieodpowiednim miejscu o feralnej porze. Była jedynym dzieckiem, które zostało...

- Udało ci się dowiedzieć, za co to była kara?

Pokręcił głową.

- Wiele razy próbowałem, ale nikt nie powiedział ani słowa na ten temat. Nawet z Jaśka nie udało mi się niczego wydusić. Po pierwszych kilku gafach milczał jak zakłęty. W końcu uznałem, że przecież nie ma to aż tak wielkiego znaczenia i przestałem pytać.

Zamilkł i upił kolejny łyk kawy, znów patrząc w okno.

- I co się wydarzyło w Wielki Piątek rok temu? - zapytałem, bojąc się, żeby tym razem nie przerwał opowieści w pół słowa.

- Na kilka godzin przed północą poszedłem na Wygon. Zrobiłem to w tajemnicy przed Trześniowskim i nawet przed Helenką. Po prostu niby wyszedłem na chwilę na dwór, ale tak naprawdę miałem zamiar znaleźć Anielkę i zabrać ją z nami.

- Jak to? Do samochodu? Żeby ją przywieźć do Krasnobrodu? - Nie mogłem uwierzyć. - Nie bałeś się, że Trześniowski i jego córka się na to nie zgodzą?

- Po prostu wiedziałem, że zrozumieją. Zdawali sobie sprawę, jak bardzo mi ciążyło sumienie, że naraziłem tę małą na to, co jej się przytrafiło. Nie wyobrażałem sobie, że mogą protestować.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Wiedziałem jedno - sam na pewno bym protestował.

- Najgorsze było to - ciągnął - że przez długi czas nie mogłem jej znaleźć. Z każdą minutą coraz bardziej bałem się, że nie zdążę, że będę musiał wrócić bez niej... Doprowadzało mnie to do szaleństwa, tym bardziej że wiedziałem, jak niecierpliwie

oczekują mnie przy samochodzie. Wreszcie zacząłem krzyczeć, na przemian to modląc się o to, aby jednak mała pojawiła się w okolicy, to złorzecząc Bogu, że dopuścił do tego, że spotkał ją tak okrutny los...

Zajrzał do pustej filiżanki. Wstał i dolał sobie wrzątku. Znów posłodził i, podobnie jak poprzednio, długo mieszał w zamyśleniu.

- Prawie na nią wpadłem - odezwał się wreszcie. - Stała, uśmiechając się, zadowolona, że znów do niej przyszedłem. Chwyliłem jej małą, lodowatą rączkę i pociągnąłem w stronę wsi, mówiąc, że odtąd już na zawsze będziemy razem. Byłem przekonany, że jest już za późno, że północ minęła, ale uświadomiłem sobie, że wciąż nie słyszałem bicia tych przeklętych dzwonów. Dotarliśmy na podwórze Trześniowskich w samą porę. Helenka powiedziała, że za pięć minut będzie północ. Tak, jak przypuszczałem - o nic nie pytali. Najwyraźniej uznali za naturalny fakt, że chcę tę małą zabrać z nami.

Znów upił łyk kawy. Przerwy w opowieści były nie do zniesienia.

- Kiedy wsiedliśmy do auta - Trześniowski, Anielka, ja, Helenka i dziecko, które trzymała zawinięte w jakieś chusty - okazało się, że silnik nie chce odpalić. Wcześniej kilka razy...

- Zaraz, zaraz - przerwałem, gdy dotarło do mnie to, co powiedział. - O jakim dziecku mówisz?

- Dojdę do tego - odpowiedział gorączkowo. - Wcześniej kilka razy próbowałem i za każdym razem samochód zapalał bez problemu, a właśnie w tej chwili cholerny silnik nie chciał zaskoczyć.

Jego oczy płonęły. Miałem wrażenie, że znów tam jest, że zupełnie stracił poczucie czasu i wrócił do wydarzeń, które miały miejsce w Sta- rzyźnie.

- Myślałem, że wyczerpie się akumulator. Rozrusznik zaczął zwalniać, a czas płynął. W pewnej chwili po przekręceniu kluczyka nawet nie zakręcił. Powiedziałem do Trześniowskiego, który siedział z tyłu, że trzeba będzie spróbować na pych i w tym momencie, gdy już nie miałem nadziei na to, że mi się uda

uruchomić silnik, odezwał się jeden z najpiękniejszych dźwięków, które do tamtej chwili słyszałem. Jakby po zastanowieniu auto odezwało się z lekkim kaszlnięciem. Dodałem delikatnie gazu, bojąc się, że znów zamilknie, ale nic takiego się nie stało. Silnik zawył, wrzuciłem jedynkę i ruszyliśmy w kierunku drogi. Zostały nam może dwie minuty, a może nawet mniej. Na piaszczystym trakcie między domami włączyłem reflektory i silnik znów jakby się zawahał. Na szczęście alternator pracował jak należy i niedługo potem wyjechaliśmy ze wsi.

- Teraz zaczęliśmy się obawiać, żeby nie wyjechać zbyt wcześnie - mówił dalej. - Musieliśmy utrafić dokładnie w czas, kiedy nad doliną rozlegnie się dźwięk bijących dzwonów. Zatrzymałem samochód u wylotu doliny i odkręciłem szybę. Auto pracowało na wolnych obrotach i wiedziałem, że po pierwszym uderzeniu dzwonów muszę ruszyć jak najszybciej. I wtedy w świetle reflektorów pojawił się Marcin Kowalik...

Zadzwoił telefon.

Rafał natychmiast rzucił się do korytarza, żeby natarczywy dźwięk nie obudził jego córki. Podniósł słuchawkę w połowie drugiego dzwonka i przez chwilę rozmawiał ściszym głosem. Potem nastąpiła cisza, a on wciąż nie wracał do kuchni. Wyszedłem na korytarz. Stał oparty o ścianę z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Coś się stało?

Spojrzał w moim kierunku oczyma pełnymi łez.

- Umarła - wyszeptał. - Zadzwonili z domu pomocy, że Helenka nie żyje...

## 2.

Idąc przez jasne ulice Krasnobrodu, przed dłuższy czas myślałem o jednej tylko rzeczy. Zwłaszcza w chwilach takich jak ta, gdy zdarzało mi się ocierać o nieszczęście, które spotkało innych, nie potrafiłem odpędzić od siebie jakiejś natrętnej myśli. Teraz myślałem o tym, że Helenka Trześniowska nie spełni już

swojego marzenia i nie przeczyta po raz kolejny „Doliny Issy”.

Gdy Rafał powiedział, co się stało, zupełnie nie wiedziałem, jak się zachować. Przeszło mi przez myśl, że może w takiej chwili chciałby, żeby ktoś z nim był, lecz na szczęście od razu rozwiął moje wątpliwości, mówiąc:

- Chciałbym pobyć sam. Mam nadzieję, że się nie pogniewasz.

Wyszedłem z domu jego rodziców, biorąc klucze od mieszkania Rafała. Wiedziałem, że jakoś uda mi się tam trafić, jeśli tylko dotrę do centrum miasteczka.

Po raz nie wiem już który w swoim życiu zastanawiałem się, jak to jest, że nieszczęścia, które spotykają większość z nas, stają się mniej realne, gdy tylko wyjdziemy na ulicę.

Świat powoli wracał do życia po zimie, dzieciaki hałasowały jak najęte, ludzie spacerowali, uśmiechając się i obejmując. Jakaś parka stała pod rozłożystym kasztanem i całowała się, nie zważając na przechodniów, a w gałęziach drzew słychać było śpiew rozradowanych sikorek. A gdzieś tam, pewnie jeszcze w domu pomocy, a może już w firmie pogrzebowej, ktoś inny przygotowywał ciało ukochanej Rafała do pogrzebu.

Była już staruszką, więc jej śmierć nie powinna nikogo dziwić, ale przecież każdy z nas ma jeszcze coś do zrobienia, niezależnie od tego, w jakim wieku musi umrzeć. Ona akurat zamierzała jeszcze raz przeczytać książkę Miłosza i komu by to przeszkadzało, gdyby zdążyła to zrobić?

Tak samo nie wiedziałem, komu mogłoby przeszkadzać, gdyby mój siedmioletni synek, Krzyś, choć raz poszedł do szkoły jako pierwszoklasista? Ogromnie tego chciał i nie mógł się doczekać pierwszego września osiemdziesiątego szóstego roku ubiegłego stulecia, choć choroba nowotworowa wyniszczyła doszczętnie jego mały organizm.

Błagałem wtedy Boga, żeby spełnił przynajmniej to jedno marzenie najdroższej dla mnie istoty pod słońcem. W połowie lipca zdawało się, że choroba nawet się cofa, lecz trzy tygodnie później uderzyła ze zdwojoną mocą. Pogrzeb odbył się w poniedziałek, pierwszego września. Idąc za małą trumną, mijałem dzieciaki, które po raz pierwszy po wakacjach, a

niektóre po raz pierwszy w życiu, poszły tego dnia do szkoły. Śmiały się dokładnie tak samo, jak te w Krasnobrodzie. Tyle że wtedy było o wiele cieplej...

Mój związek z Anką - matką Krzysia, rozpadł się niedługo potem. Wciąż się opierałem przed małżeństwem i może ostatecznie lepiej się stało, że do niego nie doszło, chociaż tego nigdy już się nie dowiem. Cierpieliśmy oboje tak bardzo, że na dłuższą metę nie udało nam się ze sobą wytrzymać. Czasem się mówi, że wspólny ból cementuje związek, lecz w tym wypadku było dokładnie odwrotnie. Cierpienie naszego dziecka sprawiało, że byliśmy razem, a gdy go zabrakło, nie było już właściwie czego zbierać.

Rafała nie znałem zbyt dobrze, ale bardzo się cieszyłem, że tego dnia zdecydowałem się pojechać do domu jego rodziców. Fakt - powodowała mną podejrzliwość, ale w tej chwili, gdy stałem w centrum Krasnobrodu i myślałem o tym wszystkim, nie było to istotne.

W części brulionu, którą przeczytałem lub przejrzałem do tej pory, Rafał nie wspominał o dziecku. Byłem jednak przekonany, że w historii opowiedzianej mi przed kilkudziesięcioma minutami chodziło o Paulinkę - dziecko jego i Helenki. Wszystko zdawało się to potwierdzać, nawet to, że dziewczynka wyglądała na mniej więcej cztery lata; przecież dla niej czas także musiał biec nieproporcjonalnie szybko po powrocie do naszego świata, podobnie jak dla jej rodziców. Mówiła tak nieporadnie pewnie dlatego, że przez rok najzwyczajniej nie zdążyła się nauczyć mówić - przecież tak naprawdę była może dwuletnim dzieckiem.

Tak, już wierzyłem w całą historię Rafała i moje wątpliwości prysnęły jak bańka mydlana. Widziałem, z jaką miłością odnosi się do małej i widziałem jego niekłamany rozpacz po śmierci Helenki. Jednego byłem pewien, również mając w pamięci własne doświadczenia: nikt, nawet mistrz świata w oszustwie, nie potrafiłby w ten sposób kłamać. Nie w takiej chwili.

Postanowiłem pomóc Rafałowi i zrobić wszystko, o co poprosi, a nawet jeszcze więcej... On miał dla kogo żyć, miał o kogo

walczyć. Mnie było wszystko jedno i jeśli tylko mogłem sprawić, żeby ktoś nie cierpiał tak jak ja przed laty, byłem gotów podjąć wyzwanie.

\*

Nie chciałem jeszcze wracać do domu Gielmudy.

Zapytałem jednego z przechodniów, gdzie można w Krasnobrodzie pójść na niedługi spacer. Wskazał mi drogę do wieży widokowej, tuż przy miejscowych kamieniołomach.

Wspiąłem się z trudem pod górę, a potem na wieżę. Dysząc ciężko, spoglądałem na mocno zarysowane roztoczańskie wzgórza i leżący u ich stóp zalew na Wieprzu. W tej chwili ten widok wydał mi się najpiękniejszym pod słońcem. To znamienne, że jeśli człowiek zdecyduje się zrobić coś dobrego, cały świat wydaje się ładniejszy.

Pełną piersią wdychałem chłodne, wiosenne powietrze i, mimo wszystko, czułem się po prostu szczęśliwy.

\*

Godzinę później otworzyłem brulion. Pobieźnie przejrzałem kilka rozdziałów i moje przypuszczenia potwierdziły się w każdym calu. Do przeczytania pozostał mi już tylko jeden, ostatni fragment.

## Słoneczna Dolina

### LII

Marcin Kowalik stał na samym środku drogi, trzymając w ręku jakiś kawał żelastwa.

- Nie przejeździecie! - wrzasnął. - Macie mnie za durnia? Zaraz się z wami rozprawię! A na deser zostawię tego waszego bękarta!

- Jego słowa, napełnione nienawiścią, sączyły się przez otwarte po stronie kierowcy okno.

- Spokojnie, Rafał - odezwał się Trześniowski z tylnego siedzenia. - Gdy tylko usłyszysz dzwony, jedź.

- Nie damy rady - odpowiedział Gielmuda. - Wpadnie pod koła i dalej nie ruszymy...

- Chcę wysiąść - odezwała się Anielka, która siedziała z tyłu, obok starego. - Ja nie chcę tam jechać...

W tym momencie Rafał usłyszał pierwsze uderzenie sygnaturki. W świetle reflektorów, za plecami Kowalika, pojawiła się jakaś postać.

- Pu...puść ich, Ma..aaa...rcin. D...daj spokój...

Starszy z Kowalików odwrócił się.

- A ty tu czego szukasz, jękało? - W jego głosie słyhać było zaskoczenie. - Miałeś stać tam dalej i strzelać, jakby udało się im mnie ominąć.

- Uoo... odejdz z drogi, b.,bo...

- Bo co, durniu?

Józek podniósł broń.

- M...może i jeee...estem głupi, a...ale...

Nad doliną rozlegały się już dźwięki wszystkich trzech dzwonów.

- Rozprawię się z tobą w domu - warknął Marcin, znów odwracając się w stronę auta. - Nie przejeździecie! - krzyknął.



Rafał wiedział, że jeśli teraz nie ruszą, będzie za późno.

- N..nnic ci nn..ie zro...oobili - powiedział spokojnie Józek, podchodząc bliżej.

Marcin znów odwrócił głowę i wtedy padł strzał. W świetle reflektorów widać było, jak kula odrywa dolną połowę jego twarzy. Na szybie zakwitły purpurowe krople rozprysniętej krwi. Olbrzym zachwiał się.

- Jedź! - krzyknął Trześniowski i Rafał ruszył.

Bezwładne ciało starszego z Kowalików opadło na maskę samochodu. Gielmuda dodał gazu, prawie nic przed sobą nie widząc. Józek odskoczył w ostatniej chwili, unikając potrącenia.

Jechali tak może minutę, może dwie. Gdy samochód podskoczył na nierówności terenu, Rafał nacisnął hamulec. Ciało Kowalika siłą bezwładności poleciało do przodu.

Po chwili wstał z trudem i widać było, że chce coś powiedzieć, lecz z jego gardła wydobył się jedynie przerażający charkot.

Podszedł do drzwi kierowcy i wtedy Gielmuda znów dodał gazu, zostawiając Marcina z tyłu. Zaraz potem wypadł na asfaltową drogę i skręcił w prawo.

- Udało się! - krzyknął.

Guciów spowity był w ciemności, lecz wąska wstęga asfaltu błyszczała w świetle reflektorów. Padał ulewny deszcz, który splukiwał z maski i szyby samochodu krwawe ślady.

- Zatrzymaj się, bo zabiję starego - powiedziała dziewczynka stanowczo. - Ja nie chcę...

Auto stanęło na poboczu.

- Ja nie chcę - powtórzyła Anielka.

Chwilę potem ona i Rafał stali obok samochodu.

- Chodź - szepnęła, biorąc go za rękę.

- Dobrze - odpowiedział Gielmuda. - Poczekaj, wrócimy wszyscy, jeśli tak chcesz. Muszę tylko zawrócić samochód.

Skinęła głową w odpowiedzi.

Wsiadł za kierownicę i ruszył, nie zamykając drzwi, które po chwili zatrzęsły się pod wpływem pędu powietrza. Słyszeli za plecami rozpaczliwy wrzask dziewczynki, lecz żadne z nich nawet się nie obejrzało.

Rafał pędził na złamanie karku, mijając stojące po obu stronach drogi domy. Stwierdził, że niewiele widzi, mimo że wycieraczki pracują na najwyższych obrotach. Łzy wzruszenia i ogromnej radości same cisnęły się do oczu.

\*

Zatrzymali się dopiero w Krasnobrodzie, przed domem rodziców Gielmudy. Siedzieli w samochodzie bez słowa, tylko dziecko, które Helenka tuliła do piersi, nagle zaczęło płakać. Wewnątrz auta panował coraz bardziej intensywny, trudny do opisanego zaduch.

- Co jest, do cholery? Co tak śmierdzi? - Rafał odwrócił się i spojrzał na tylne siedzenie.

W słabym świetle ulicznej latarni zobaczył głowę Trześniowskiego, opartą o szybę. Oczy starego tępo wpatrywały się w sufit. Skóra na jego policzkach była bladolina i wyraźnie wzdęta, a z nosa i kącika ust wydobywał się brunatny płyn.

Tłumiąc mdłości, Rafał odkręcił szybę, nie zważając na deszcz, który natychmiast zaczął wlewać się strugami do wnętrza samochodu. Ruszyli.

- Dokąd jedziemy? - spytała dziewczyna.

- Błagam cię, Helenko, nie odwracaj się. Twój ojciec nie żyje.

Odwróciła się natychmiast i w jednej chwili wybuchnęła płaczem.

Zaniepokojone dziecko również się rozpląkało.

Wyjechali z miasteczka szosą w kierunku na Tomaszów. Po przebyciu kilku kilometrów wjechali w jedną z bocznych, leśnych dróg. Mała zasnęła znużona płaczem, a Helenka wciąż cicho szlochała.

- Co zamierzasz zrobić - zapytała przez łzy. - Po co tu przyjechaliśmy?

- Przecież dobrze wiesz.

- Nie chcesz go chyba tu zakopać?

- A masz jakiś inny pomysł? Jemu na pewno jest wszystko jedno, gdzie spocznie, czy w lesie, czy na cmentarzu. Mało tego, jestem przekonany, że w tej sytuacji sam doradziłby to samo, żeby nie

robić nam kłopotów. Wiesz, co by się stało, gdybyśmy ujawnili zwłoki? Jak tłumaczylibyśmy całą tę sytuację przed policją? Gdybyśmy powiedzieli prawdę, sądzisz, że by uwierzyli? - zadawał pytanie za pytaniem, jakby sam przed sobą chciał usprawiedliwić swój makabryczny plan.

Smród rozkładającego się ciała, pomimo ciągle otwartej szyby, z każdą chwilą stawał się coraz bardziej nieznosny.

- Ale... Dlaczego on umarł - zapytała dziewczyna, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie, co się stało. - Przecież...

- Nie wiem, Helenko. Może to przez Anielkę? Może mu coś zrobiła, przecież nie widzieliśmy, co się tam z tyłu działo. Teraz to już nie ma znaczenia. Najważniejsze jest to, czy się zgadzasz. To twój ojciec i nie mogę zakopać go tu bez twojego przyzwolenia.

Milczała.

Za plecami usłyszeli cichy dźwięk. Rafał zapalił lampkę pod sufitem. Ciało zmieniło położenie. Głowa Trześniowskiego wyginała się pod nienaturalnym kątem, oczy zapadły. Ciało tak głąboko, że prawie nie było widać białek i źrenic, a napięta skóra na twarzy zaczęła pękać w kilku miejscach, odsłaniając mięśnie i ścięgna.

Chłopak miał nadzieję, że Helenka tego nie widzi, jednak jej zduszony jęk nie pozostawiał wątpliwości, że również się obejrzała.

- Boże, co się z nim dzieje? - szepnęła.

- Nie wiem, ale...

- Dobrze, zrób to - powiedziała stanowczo. - Tylko... Nie będę ci mogła pomóc... Nie potrafię...

Rafał wysiadł z auta, wyjął z bagażnika saperkę, którą zawsze woził, wsunął ją za pasek i otworzył tylne drzwi. Ciało starego wypadło na zewnątrz z cichym, obrzydliwym klapnięciem. Gielmuda wstrzymał oddech i chwycił trupa pod pachami i odciągnął od samochodu. Gdy wysuwające się z samochodu buty uderzyły o ściółkę, z wnętrza usłyszał stłumiony jęk dziewczyny. Nie zważając na nic, włókł zwłoki pomiędzy drzewa, jak najdalej od drogi.

Mimo że wciąż łało, wyczuł, jak ubranie pod pachami nasiąka lepkiem, ciepłym jeszcze płynem. Nagle prawa ręka Trześniowskiego wyskoczyła ze stawu i ciało gwałtownie przechyliło się na bok. Rafał rozejrzał się i uznał, że miejsce jest wystarczająco ukryte. Otaczały je bezlistne krzewy; chłopak był pewien, że jeśli do momentu rozwinięcia się liści i ściółki nikt nie zauważy czegoś podejrzanego, to później nie będzie już żadnych szans na odnalezienie zwłok przez kogoś, kto przypadkowo znajdzie się w okolicy.

Zaczął gorączkowo kopać.

Gdy Trześniowski spoczął w dole, Rafał zdjął kurtkę, położył ją na twarzy starego, zmówił cichą modlitwę i zaczął zasypywać niezbyt głęboki dół. Cieszył się, że prawie nic nie widać, bo gdy wciągał ciało do mogiły za klapy marynarki, miał wrażenie, że przez tych kilkanaście minut zdążyło już uzyskać galaretowatą konsystencję. Nie chciał wiedzieć, jak wyglądają zwłoki człowieka, z którym przez ostatnie trzy lata zdążył się bardzo mocno żyć.

Na tyle, na ile pozwoliły na to ciemności, zamaskował miejsce pochówku, nagarniając na nie resztki zeschniętych w ubiegłym roku liści, po czym wrócił do auta. Światło pod sufitem wciąż było zapalone, a Helenka wpatrywała się tępo przed siebie.

- Już - szepnął, lecz nie doczekał się żadnej odpowiedzi.

Zamknął drzwi i stwierdził, że w aucie wciąż panuje odór rozkładających się zwłok, jednak nie tak intensywny, jak się tego można było spodziewać.

Kiedy z powrotem wyjechali na drogę i auto przyśpieszyło, wpadające przez okno świeże powietrze sprawiło, że mdlący zapach był już ledwie wyczuwalny.

\*

Na rogatkach Krasnobrodu Rafał przypomniał sobie o krwi, którą musiał zostawić Kowalik na masce samochodu. Przednia szyba był już całkowicie czysta, lecz na karoserii mogły zostać jakieś ślady. Zatrzymali się przy pierwszej latarni. Okazało się, że faktycznie, na białym lakierze pozostało sporo krwawych,

rozmazanych przez deszcz plam, po uderzeniu pozostało również spore wgniecenie na klapie przykrywającej silnik. Gielmuda dziękował Bogu, że jadąc przez Krasnobród nikogo nie mijali (przynajmniej tak mu się zdawało). Było wprawdzie po północy, ale w kościołach odbywało się wielkopiątkowe czuwanie przy Bożym Grobie, więc ludzie nawet o tak późnej porze mogli się kręcić po ulicach.

Trzeba było zmyć krew przed powrotem do domu.

„Kapliczka na wodzie” - pomyślał.

Było to jedyne miejsce, jakie przychodziło Rafałowi do głowy. Do kościoła i klasztoru Dominikanów mieli kilkaset metrów. Potem trzeba było skręcić w prawo i bez problemu można było zaczerpnąć wody, która słyęła w okolicy z uzdrawiającej mocy.

Jechali powoli. Gdy po lewej zaczął majaczyć zespół klasztorny, na wprost pojawiło się kilka osób, zmierzających do kościoła. Gielmuda przyśpieszył i skręcił w prawo.

Namoczył uprzednio zdjętą koszulę w świętej wodzie, mając nadzieję, że to świętokradztwo nie ześle na niego kolejnych nieszczęść. Kilka razy chodził do źródła, aż wreszcie uznał, że na samochodzie nie widać już śladów krwi. W ostatniej chwili, ponieważ właśnie minęła go kolejna grupka ludzi. Było zimno i wciąż lał deszcz, więc z ciekawością przyglądali się Rafałowi, który miał na sobie tylko koszulkę z krótkim rękawem. Chłopak liczył na to, że jego dziwnie lekki strój będzie jedyną rzeczą, która zwróciła ich uwagę.

Gdy drugi raz zatrzymał auto przed domem rodziców, prawie przestało padać. Położył dłoń na ramieniu Helenki, która wciąż nie mogła dojść do siebie po tym, co się stało. Lekko drgnęła i popatrzyła na Rafała.

- Wiesz, gdybym wiedziała, że tak to się skończy, nigdy nie opuściłabym Starzyny - powiedziała smutno.

- Nikt nie mógł tego przewidzieć - odparł. - Tyle że teraz już nic nie możemy zrobić. Dla mnie też jest to bardzo trudne. Myślałem, że wszystko potoczy się inaczej.

Nie miał pojęcia, co jeszcze powiedzieć.

- Wiem - usłyszał w odpowiedzi. - Przecież to nie twoja wina.

\*

Przez ten cały czas w Starzyźnie nosił ze sobą klucz od domu rodziców, ciągle mając nadzieję, że kiedyś jeszcze będzie mógł go użyć. Teraz nadeszła ta chwila.

Drżącą z wysiłku i wzruszenia ręką kilka razy próbował trafić do zamka, aż wreszcie to się udało. Przekreślił zasuwę cicho, aby nikogo nie zbudzić.

Ostrożnie weszli do środka, a potem na górę, do pokoju Rafała. Wszystko było dokładnie tak, jak zostawił przed kilku laty.

Pościelił łóżko i poczekał, aż Helenka z małą się w nim położą. Pocałował je, życząc spokojnych snów, choć wiedział, że pewnie takie nie nadejdą. Zgasił światło i zszedł na dół, do kuchni.

Usiadł przy stole i czekał.

Nie chciał spać tej nocy. Postanowił poczekać na nadejście świtu. Bał się tego spotkania, a jednocześnie nie mógł się już go doczekać. Minuty mijały powoli.

Ale mijały. Jedna po drugiej, zamieniając się w godziny. Czas znowu zaczął płynąć.

I to dla Rafała było najważniejsze...

## Rozdział siódmy

### 1.

Z niepokojem oczekiwałem na jego powrót.

Nigdy nie byłem dobry w pocieszaniu osób, które miały jakieś problemy, a zwłaszcza problemy związane z odejściem bliskich. Po tym, co mi się przydarzyło przed laty, wiedziałem, że żadne słowa nie są w stanie pomóc w wystarczający sposób, a durnowate zmiany tematu i rozmowy o czymś innym mogły tylko irytować.

Przyjechał, gdy było już prawie ciemno.

Na moje szczęście, wyglądało na to, że nie zamierza się wywnętrzać i mówić, jak bardzo cierpi. Usiadł w fotelu naprzeciw mnie i powiedział, jakby czytając w moich myślach:

- To się musiało prędzej czy później stać. Byłem przygotowany na jej odejście.

Rozumiałem jedno: wszystkie plany związane z moim pobytem w Guciowie i Krasnobrodzie musiały w obecnej sytuacji ulec zmianie.

- Myślę, że najlepiej będzie, jak wrócę jutro do Warszawy - rzekłem.

Popatrzył na mnie, jakbym się urwał z choinki.

- Nic podobnego. To znaczy - zreflektował się - jeśli chcesz, to oczywiście nie będę cię zatrzymywał, ale twoja pomoc jest mi bardzo potrzebna. Teraz nawet bardziej niż wtedy, gdy prosiłem cię o przyjazd...

- Może więc wreszcie powiedziałaś, co chcesz, żebym dla ciebie zrobił?

Przyglądał mi się uważnie. Wreszcie, jakby obawiając się mojej reakcji, zapytał niepewnie:

- Mógłbyś opisać historię Starzyzny?

Nie bardzo wiedziałem, o co mu chodzi.

- Ale... jak to „opisać”? Po to mnie tu ściągnąłeś?

- Dobrze - odparł. - Zapytam inaczej: wierzysz w to, co napisałem w tym zeszycie? - Ruchem głowy wskazał na leżący na stole brulion. - I w to, co ci opowiedziałem?

- Teraz już tak, choć na początku nie było łatwo...

Miałem zamiar jeszcze coś dodać, lecz Rafał przerwał:

- To dobrze. To bardzo ważne. Teraz mam pytanie z innej beczki: słyszałeś kiedyś o czymś takim, co w niektórych źródłach określane jest jako „klątwa zatajenia”?

Przez chwilę zastanawiałem się, starając przypomnieć sobie wszelkie znane mi rodzaje rzekomych klątw... Wolałem odpowiedzieć pytaniami na pytanie:

- A jakie to ma znaczenie? Dlaczego o to pytasz?

- Wiele o tym czytałem przez ostatni rok i myślę, że to, co przydarzyło się mieszkańcom Starzyzny, ma związek właśnie z tym przekleństwem. Nie wiem, może się mylę, ale jeśli tak jest, to wyprowadź mnie z błędu.

- Wiem, o czym mówisz, ale żebyś mógł ci pomóc, musisz powiedzieć, co dokładnie masz na myśli.

- Dobrze. Czytałem o ludziach, którzy zrobili naprawdę coś bardzo złego, i potem, gdy nikomu nie zdradzili tego, co się stało, wszelki ślad po nich zaginął. Myślę, że podobnie może być w przypadku Starzyzny, tylko tu chodzi o całą wieś, a nie o pojedynczego człowieka...

- Dlaczego tak ci na tym zależy? - spytałem.

- Myślę, że dobrze wiesz, ale - jasne - skoro sobie tego życzysz, powiem. Po pierwsze, zżyłem się z tymi ludźmi i nie chcę, żeby cierpieli dłużej. Uwierz mi, oni też tego nie chcą...

- Dlaczego więc nie zabrałeś do samochodu większej ilości osób?

Pokręcił głową.

- Jak miałem przeprowadzić selekcję? Przecież wszyscy by się nie zmieścili do mojego opla... Oprócz Kowalików, ich matki i Dudy, wszyscy wiedzieli, że zamierzamy stamtąd uciec. Jednak zgodnie twierdzili, że nie zgodzą się na wyjazd bez pozostałych.



Prosili tylko, żebym im pomógł, jeśli będzie to możliwe.

- A po drugie?

- Po drugie, już tutaj, w naszym świecie, jest córka, którą kocham nad życie. Wiesz, że została poczęta i urodziła się w Starzyźnie. Boję się, że może ją spotkać to, co dzieci siostry Jaśka Greli... Pamiętasz, wszystkie umierały nagle, mając około pięciu lat. Paulinka ma niecałe dwa, ale wygląda na o wiele starszą, bo dla niej dni biegają szybciej - tak, jak dla mnie i... Helenki. Nie wiem, który czas obowiązuje w tym przypadku, lecz w najgorszym razie pozostał jej tylko rok życia... Nie mogę pozwolić na to, by umarła. I postanowiłem zrobić wszystko, co możliwe, żeby tak się nie stało.

Doskonale go rozumiałem.

- Muszę to przemyśleć - powiedziałem, choć chyba już znałem odpowiedź na jego wątpliwości. - Ale ciekaw jestem, jak sobie to moje „opisanie” wyobrażasz...

- Z tego, co mi wiadomo, jedynym antidotum na klątwę zatajenia jest podanie wszystkiego do publicznej wiadomości - tak, aby jak najwięcej ludzi się o całej sprawie dowiedziało. Bywały przypadki, że z osób przeklętych, w ten sposób klątwa została zdjęta.

Już w tym momencie wiedziałem, że w jego rozumowaniu może być pewien błąd, lecz nie chciałem go martwić. Zbyt wiele przeszedł jak na jeden dzień.

- Nie chcę pochopnie się wypowiadać na ten temat - powiedziałem. - Muszę sobie wszystko przypomnieć i wtedy być może uda się nam zrobić coś sensownego. Być może masz rację...

- Bardzo ci dziękuję. Cieszę się, że mogę na ciebie liczyć.

„Nie ma za co” - pomyślałem. - „Gdybyś tylko wiedział, w jak wielkim możesz być błędzie...”.

## 2.

Jeszcze tego samego wieczoru ruszyliśmy w kolejną podróż do Guciowa.

Sam na pewno bym tego nie zasugerował, lecz kiedy propozycja

padła z ust Rafała, natychmiast na nią przystałem.

Gielmuda imponował mi coraz bardziej. Mimo wszelkich zmartwień nie zapominał o tym, że to właśnie on ściągnął zagrożenie na Bogu ducha winnych mieszkańców wioski. Były już pierwsze ofiary Kowalika i z pewnością obaj chcieliśmy, by nikt więcej nie został napadnięty przez tego bezwzględnego zabójcę. Zdawaliśmy sobie sprawę, że niewiele od nas zależy, ale obecność w Guciowie mogła dać złudne poczucie, że zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, by nie doszło do kolejnego nieszczęścia.

- Możesz mi odpowiedzieć na jedno pytanie? - powiedziałem, gdy wyjeżdżaliśmy z Krasnobrodu.

- Spróbuję - odparł.

- Jak zareagowali twoi rodzice, gdy poinformowałeś ich o sposobie pochowania Trześniowskiego?

Przez jakiś czas milczał.

- Mówiłem, że powiedziałem im wszystko? - zapytał.

- Tak zrozumiałem.

- Nie, o tym im nie powiedziałem. Nie powiedziałem też o Kowaliku. Do dziś nie wiedzą, że „upiór z Guciowa” ma coś wspólnego z moim powrotem.

- A wgniecenie na masce? Nie pytali, skąd się wzięło?

- Nie.

Wyczułem, że nie chce już o tym rozmawiać, więc postanowiłem nie drażnić tematu, lecz po chwili sam dodał:

- Czasem zdawało mi się, że nie chcą wiedzieć wszystkiego. Ojciec załatwił naprawę u zaufanego mechanika. Myślę, że i tak to, czego się dowiedzieli, było ponad ich siły.

Przejechaliśmy kilkaset metrów i znów się odezwał:

- Mama zemdląła, gdy tamtego ranka zeszła na dół i zobaczyła mnie, siedzącego przy kuchennym stole. O ile wcześniej zamierzałem wyznać całą prawdę, po tym wydarzeniu zatajenie pewnych szczegółów wydało mi się... hm... lepsze również i dla nich.

W świetle guciowskich latarni ujrzeliśmy grupki ludzi. Było jeszcze dość wcześnie, więc trudno było się dziwić temu, że mieszkańcy wioski gromadzą się, by porozmawiać o tym, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru.

Natomiast zupełnym zaskoczeniem był fakt, że przy gospodarstwie Janka, na parkingu położonym po przeciwległej stronie drogi, zaparkowano kilkanaście samochodów. Początkowo myśleliśmy, że to ludzie z pobliskich miejscowości zjechali się, by pomóc ochronić wieś przed tajemniczym mordercą. Nasze złudzenia rozwiały się, gdy weszliśmy do karczmy. Nie było w niej ani jednego wolnego miejsca.

Janek stał za barem i mimo licznej klienteli nie wyglądał na zachwyconego.

- Świat zwariował - powiedział, gdy nas zobaczył. - Zjeżdżają się po tym, gdy we wsi wydarzyło się nieszczęście... Jak cmentarne hieny, poszukujące taniej sensacji. Chyba chcą się pochwalić przed znajomymi, że byli tu dzisiaj...

Trudno było mu nie przyznać racji. Siedzący przy stolach goście w różnym wieku, od małych dzieci do ludzi naprawdę leciwych, rozmawiali między sobą z ożywieniem. Od czasu do czasu od któregoś ze stolików dobiegała salwa śmiechu.

- Daj Boże, aby nie dowiedział się o tym żaden z rodziców zamordowanych wczoraj dzieciaków - dodał Stanisławski ze smutkiem. - Chyba zaraz zamknę interes i wyproszę całe to szemrane towarzystwo...

Zapytałem go, czy od momentu, gdy się widzieliśmy, nie wydarzyło się nic niepokojącego. Pokręcił głową.

- Policji pod bronią jest tu dziś sporo, ale ukrywają się, żeby zareagować, gdy tylko zajdzie potrzeba. Ale, jak na razie, spokój. A wy? Zamierzacie zostać na noc?

- Nie - powiedziałem, czując na sobie wzrok Rafała. - Pewnie niewiele byśmy pomogli. Chcieliśmy tylko dowiedzieć się, co słyszą...

- Zostawię numer telefonu - wtrącił Gielmuda. - Jakby coś się działo...

- Dobrze, zadzwonię. - Janek sięgnął po kartkę i coś do pisania. -

Ale chyba możecie spać spokojnie. On na pewno teraz będzie się bał zaatakować po raz kolejny.

Gdy Stanisławski zapisał numer, pożegnaliśmy się i wróciliśmy do samochodu.

- Mam nadzieję, że się nie myli - powiedział Rafał.

Dwadzieścia minut później znów byliśmy w Krasnobrodzie.

### 3.

W zasadzie można powiedzieć, że wygoniłem Rafała z jego własnego domu. Chciał ze mną rozmawiać o publikacji w mojej gazecie, uzgadniać szczegóły, które powinienem ująć w artykule, jednak ja potrzebowałem kilku godzin spędzonych w samotności. Musiałem wszystko dobrze przemyśleć, by przygotować się do rozmowy z nim, która na pewno nie miała być łatwa.

Powiedziałem mu to bez ogródek, sugerując jednoznacznie, że wolę, aby pojechał posiedzieć trochę z córką.

Gdy zostałem sam, spojrzałem na wiszący na ścianie kalendarz, by się upewnić co do daty. Była niedziela, więc teoretycznie następnego dnia powinienem pojawić się w redakcji. Poszedłem więc na korytarz, gdzie wisiał telefon i zacząłem wystukiwać numer do Adama, by poinformować go o tym, że od poniedziałku biorę urlop. W ostatniej chwili, tuż przed naciśnięciem ostatniej cyfry, odwiesiłem słuchawkę.

Był na to jeszcze czas. Mogłem zadzwonić następnego dnia rano, a nie chciałem podejmować pochopnych decyzji.

Gielmuda dość dobrze przygotował się z tematu „kłątwa zatajenia”, lecz nie wiedział jednej, bardzo istotnej rzeczy - kłątwa nie mogła być zdjęta bez podania do publicznej wiadomości bezpośredniej przyczyny tego, że została nałożona. Mówił mi wcześniej, że próbował się czegoś o tym dowiedzieć i nic z tego nie wyszło. Po przypomnieniu sobie wszelkich tego typu przypadków, o których wiedziałem lub z którymi miałem do czynienia, przypuszczałem, że moja publikacja w gazecie nic nie da.

Ale nie chciałem mu tak po prostu odmówić. Postanowiłem wziąć się do roboty, ponieważ sam siebie oszukując, że może to w czymkolwiek pomóc.

Początkowo myślałem o obszernym artykule, w którym streszczę pokrótce zapiski Rafała. Byłem przekonany, że bez problemu go opublikuję - mało tego, sądziłem, że Sadoń wręcz będzie kwiczał z zachwytu. Po napisaniu kilku akapitów zmieniłem zdanie. To był zbyt obszerny materiał na druk w czasopiśmie, nawet jeśliby podzielić go na kilka odcinków.

Zacząłem myśleć o książce. O czymś w rodzaju powieści, która będzie opowiadać historię Starzyzny i mojego pobytu w Guciowie i Krasnobrodzie.

Oczywiście - istniało ryzyko, że nikt nie będzie chciał jej wydać, lecz uważałem, że warto spróbować. W ostateczności mogłem sam wyłożyć na ten cel parę tysięcy złotych.

Swoją drogą, bardzo skróconą wersję tej historii też przecież mogłem opublikować w czasopiśmie; było jednak zbyt wcześnie na ostateczną decyzję w tej sprawie.

Zacząłem pisać. Pierwszą sceną powieści był moment, gdy Sadoń czepia się mojego artykułu, a Adam Nawrot dowiaduje się o tym, że zamierzam zrezygnować z pracy. Potem opisałem naszą rozmowę w barze „Przystań”, a następnie fakt, że zdecydowałem się wyjechać na Roztocze. Doszedłem akurat do koszmarnego snu, który opowiadał mi mój przyjaciel, gdy usłyszałem, jak wraca Rafał.

- No i co? - odezwał się, wchodząc do pokoju. - Udało ci się coś wymyślić?

Pokrótce opisałem mu swój pomysł i muszę przyznać, że wyglądał na zachwyconego. Bardzo się podekscytował perspektywą wydania książki opisującej całą tę historię. Z przykrością uznałem, że nadeszła pora na przekazanie mu również złych wieści.

- Tyle że to wszystko chyba i tak na nic - kończąc to zdanie, już wiedziałem, że na dyplomatę raczej bym się nie nadawał.

Uśmiech zastygł na twarzy Rafała, który wpatrywał się we mnie zdziwionym, może nawet przestraszonym wzrokiem.

- Ale jak to „wszystko na nic”? - wydukał po chwili.

Poinformowałem go o wnioskach, do których doszedłem wcześniej.

Słuchał mnie, pod koniec kręcąc z niedowierzaniem głową.

- Jak mogłem coś takiego przegapić? - zapytał bardziej siebie niż mnie. - Co ze mnie za dureń! - dodał.

Zrobiło mi się go żal.

- Ale zrobię to - zapewniłem. - Zawsze jest szansa, że to coś pomoże. Może akurat się mylę...

Wstał i zaczął nerwowo chodzić po pokoju, z trzaskiem wyłamując palce to jednej, to drugiej ręki.

- Muszę się napić - powiedział wreszcie. - Masz też ochotę?

Skinąłem głową i po chwili przyniósł z lodówki butelkę Johnny'ego

Walkera i dwie szklaneczki, w których połyскиywało po kilka kostek lodu. Nalał po brzegi i natychmiast wychylił prawie połowę. Nabrał powietrza i zapatrzył się w ścianę gdzieś ponad moją głowę.

Siedzieliśmy w całkowitym milczeniu może przez pół godziny. W tym czasie ja zdążyłem wypić jedną kolejkę i zacząć drugą, a Rafał kończył już trzecią. Przechylił szklaneczkę i spojrzał na moją, prawie pełną. Podszedł do butelki stojącej na stole i nalewając sobie, rzekł, trochę już niewyraźnie:

- Ja muszę mieć pewność.

- No, niestety, ja ci takiej pewności zagwarantować nie mogę. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, ale mówiłem przecież...

- Jest jeszcze jedno wyjście - powiedział stanowczo, patrząc mi prosto w oczy. - 1 myślę, że o tym doskonale wiesz...

- Niby jakie?

Przymknął jedno oko i uśmiechnął się szelmowsko, jakby sądził, że próbuję nabić go w butelkę. Wypity przez niego alkohol najwyraźniej zaczął już działać na dobre.

- Anielka Komisarczuk. Mówi to panu coś? - zapytał, wciąż się uśmiechając.

- Mówi - przytaknąłem i w jednej chwili zrozumiałem, co ma na myśli. - Czy ty czasem nie oszalałeś? Chcesz iść na Wygon po to,

żeby się z nią spotkać i dowiedzieć, co się wtedy stało? A jeśli ona nic nie wie? Przecież mogli przed nią ukrywać...

- Gównu mnie to obchodzi - przerwał mi stanowczo, wyraźnie akcentując każde wypowiedane słowo. - Nie rozumiesz, że tu chodzi o moją córkę? Zrobię wszystko, żeby nie umarła tak jak dzieci siostry Greli. Pociągnął ze szklaneczki solidny łyk.

- Nawet jakbym miał iść do samego piekła, zrobię to i nikt mnie nie zatrzyma. Nawet ty! - prawie krzyczał. - Która godzina? - zapytał.

- Bo co? Może chcesz teraz w takim stanie tam pojechać?

- A żebyś wiedział!

- Nic z tego - powiedziałem spokojnie. - Nawet o tym nie myśl. Jak po pijaku wpieprzysz się na przydrożne drzewo, to akurat pomożesz w ten sposób Paulince.

- Ale nie ma czasu! - odparł gorączkowo. - Co się stanie, jeśli ona wróci do Starzyzny razem z Kowalikiem? Wtedy nigdy się nie dowiem...

- Spokojnie - tym razem ja mu przerwałem. - Wiesz, że to może się stać dopiero w Wielki Piątek, do którego zostały jeszcze prawie dwa tygodnie.

Milczał, zastanawiając się nad tym, co powiedziałem.

- Masz rację - odezwał się po chwili. - Jest jeszcze czas. A teraz... Teraz chyba muszę się położyć... Dobranoc.

Wyszedł nagle z pokoju, a ja zacząłem się obawiać, czy nie wybierze się na spotkanie z Anielką bez mojej wiedzy. Nalałem sobie jeszcze trochę whisky i siedziałem, nasłuchując.

Gdy po kilkunastu minutach nie dobiegły mnie żadne dźwięki, wyszedłem na korytarz i skierowałem się do sypialni Rafała. Spal w ubraniu na łóżku, cicho pochrapując. Przykryłem go leżącą obok niego kołdrą i idąc na palcach, wróciłem do pokoju.

- Ma rację - powiedziałem do siebie, nalewając do swojej szklaneczki nową porcję alkoholu. - Kurwa mać, ten wariat ma cholerną, pieprzoną rację...

Wychyliłem trunek do dna, rozebrałem się i położyłem do łóżka.

Śniło mi się, że naprzeciw mnie stoi mała dziewczynka, która

nie ma żrenic i uśmiecha się z satysfakcją.

- Nic ci nie powiem - mówiła. - Nic a nic... To dobrze, że Paulinka będzie była żyła już niedługo. Potem Rafałek będzie tylko mój... Tylko mój, rozumiesz?

#### 4.

W poniedziałkowy poranek Rafał ani razu nie wspomniał o wyjeździe do Guciowa, który miałby na celu spotkanie Anielki. Zastanawiałem się nawet, czy nie zarzucił tego pomysłu. Ustaliliśmy tylko, że zostanę w Krasnobrodzie do świąt i nie będę się nigdzie pokazywał, po czym Gielmuda wyjechał załatwiać formalności związane z pogrzebem Helenki.

Nie dałem znać w pracy o pozostaniu na Roztoczu, więc sądziłem, że Adam może próbować znaleźć mnie na własną rękę, albo nawet powiadomi policję o moim zaginięciu. Fakt - to był dopiero pierwszy dzień mojej niezapowiedzianej nieobecności w Warszawie, ale wolałem dmuchać na zimne. Musiałem zostać na Roztoczu, napisać to, co planowałem i w miarę swoich możliwości pomóc Rafałowi. Wszelkie zmiany tego planu mogły wszystko pokrzyżować, a ja miałem nadzieję, że Adam mnie zrozumie, gdy się z nim spotkam po powrocie.

Przez cały dzień ślęczałem przy stole, zapisując kolejne kartki. Trochę mnie denerwował fakt, że jest to robota głupiego, ale poczynione zobowiązanie traktowałem bardzo serio. Poza tym mogłem przecież się mylić i, kto wie, może cała ta moja bazgranina miała sens?

- Pogrzeb jutro o trzynastej - oznajmił Rafał po powrocie.

Było późne popołudnie.

Spojrzałem w jego kierunku i odniosłem wrażenie, że dopiero teraz dotarło do niego, że Helenka naprawdę odeszła. Miał podkrążone oczy i zapadnięte policzki. Najwidoczniej rano zapomniał się ogolić, bo zarost był dobrze widoczny na jego twarzy. Wyglądał na bardzo zmęczonego.

- Nie dam rady tam dzisiaj pojechać - powiedział, jakby



usprawiedliwiając się przede mną. - Jutro, gdy będzie już po wszystkim...

W jego oczach na chwilę błysnęło zainteresowanie, gdy ujrzał plik kilkunastu gęsto zapisanych stronic.

- Szkoda, że nie mam komputera - zmartwił się. - Może trzeba byłoby kupić?

- Daj spokój - odparłem. - Poradzę sobie.

Powiedział, że przywiózł coś do jedzenia, jeśli miałbym ochotę na jakiś posiłek. Zrobiłem kilka kanapek, lecz on nie tknął ani jednej, tylko w zamyśleniu przyglądał mi się, jak jem.

- Boję się jutrzejszego dnia - powiedział.

Nie przysłała mi do głowy żadna sensowna odpowiedź.

\*

We wtorek wrócił tuż po drugiej. Chciałem iść na ten pogrzeb, lecz, zgodnie z naszymi wcześniejszymi ustaleniami, zostałem w domu.

Rafał miał za sobą pierwsze trudne przejście tego dnia i było przed nim jeszcze jedno, kto wie, czy nie trudniejsze. Patrząc na niego, byłem przekonany, że o wiele bardziej niż spotkania z upiorną dziewczynką, boi się braku jakiegokolwiek informacji z jej strony.

Przygotował wszystko do wyjazdu, po czym zdrzemnął się godzinę. Koło siedemnastej wsunął głowę do mojego pokoju przez uchylone drzwi i powiedział:

- Jadę.

- Właśnie tego się obawiałem - odparłem.

- Słucham?

- Myślisz, że to dobry pomysł, żebyś tam pojechał sam? Przecież jak się natkniesz na Kowalika, to zostanie z ciebie mokra plama.

- Trudno. Muszę zaryzykować. Nie mam innego wyjścia i dobrze o tym wiesz.

Wstałem od stołu, złożyłem kartki na zgrabną stertkę i sięgnąłem po swoją kurtkę, wiszącą na oparciu jednego z krzesel.

- Jadę z tobą i nawet nie próbuj protestować.

- Ale przecież ustaliliśmy, że masz się nie pokazywać...

- Jest już ciemno i nikt mnie tu nie zobaczy. Na Wygonie też raczej nie będziemy mieli zbyt licznych audytorium.

Uśmiechnął się.

- Raczej nie - odpowiedział, po czym poważnie spojrzał mi w oczy. - Dzięki...

Sądziłem, że w razie czego nie będę mógł mu zbyt pomóc, ale wiedziałem też, jak bardzo w takich sytuacjach liczyła się po prostu czyjaś obecność.

Byłem mu wdzięczny, że nie chciał mnie narażać, jednak mogłem przypuszczać, jak bardzo taka samotna, nocna wyprawa w to ponure miejsce mogła go przerażać. Poprzednio odwiedziliśmy Wygon we trzech i na samo wspomnienie tej nocy miałem gęsią skórę na całym ciele.

Kiedy wsiadałem do samochodu przy domu Rafała, trząsnęłam się jak galareta, lecz miałem nadzieję, że uda mi się nie dać po sobie poznać, jak bardzo się boję.

\*

Zostawiliśmy samochód dokładnie w tym samym miejscu, co poprzednio.

Jadąc przez Guciów, zastanawialiśmy się, czy ponownie nie poprosić o pomoc Janka, lecz w końcu odrzuciliśmy ten pomysł.

Sądząc po jego reakcji po zakończeniu naszej ostatniej eskapady, szanse na to, że mógłby się zgodzić, były minimalne. Dodatkowo nie chcieliśmy ujawniać, że wciąż jestem w okolicy. Wiadomo - jego nabita strzelba dodałaby nam nieco pewności siebie, lecz tak do końca nie wiedzieliśmy nawet, czy w starciu z Kowalikiem byłaby ona w ogóle przydatna.

Po dotarciu na Czarny Wygon zajęliśmy te same miejsca, co poprzednio. Cieniutki sierp księżycy dawał nieco światła, lecz i tak widać było niewiele. Przynajmniej noc była dość ciepła...

Do rana nie wydarzyło się zupełnie nic. Słyszeliśmy wprawdzie naturalne w takim miejscu odgłosy zwierząt, lecz dziewczynki ani Kowalika nie usłyszeliśmy, a tym bardziej nie zobaczyliśmy.

Tymczasem pytałem Rafała, czy ma jakiś plan rozmowy z Anielką, czy zastanawiał się, w jaki sposób chce uzyskać

potrzebne mu informacje. Okazało się, że w ogóle o tym nie pomyślał.

Wracaliśmy, gdy było już szaro. Na guciowskiej drodze minęliśmy kilku ludzi, najpewniej policjantów lub mieszkańców wioski. Nikt z nich nawet nie próbował nas zatrzymać.

## 5.

Mijały kolejne dni, z których jeden był podobny do drugiego.

Wracaliśmy do domu Rafała o świcie i kładliśmy się spać. Mniej więcej koło południa wstawaliśmy, jedliśmy coś, po czym Gielmuda wyjeżdżał, żeby pobyć z córką, a ja siadałem do swoich notatek. Wracał około siedemnastej, znów jedliśmy i jechaliśmy do Guciowa. Gdy nastawał świt ruszaliśmy w drogę powrotną.

Sam się sobie dziwiłem, że jestem w stanie zebrać myśli, przelewając na papier kolejne wydarzenia. Była to dla mnie forma oderwania się od tego, co działo się w czasie rzeczywistym. A działo się bardzo niedobrze...

Rafał z dnia na dzień stawał się coraz bardziej nerwowy. Początkowo obaj sądziliśmy, że spotkamy małą bez żadnego problemu, jednak po kilku nocach spędzonych w lesie, zaczęliśmy mieć wątpliwości, czy to się w ogóle uda.

\*

Noc z Niedzieli Palmowej na poniedziałek zapowiadała się dokładnie tak samo, jak poprzednie.

Usiedliśmy na miejscach, które przez te dziesiątki godzin spędzonych na oczekiwaniu, zdążyliśmy już porządnie wygnieść. Księżyc, doskonale widoczny na bezchmurnym niebie, zbliżał się powoli do pełni, więc teren przed sobą mieliśmy jak na dłoni. Tyle czasu spędziliśmy w tym miejscu i nic nam się nie stało, więc strach, który na początku zupełnie nas paraliżował, teraz był wyczuwalny tylko pod postacią lekkiego dreszczu, gdy gdzieś obok słyszeliśmy jakieś przechodzące zwierzę lub nagle odezwał się w oddali przejmujący odgłos nocnego ptaka.

Miałem właśnie zapytać Rafała, co będzie, jak mała nie pojawi się do Wielkiego Piątku, gdy szepnął:

- Słyszysz?

Spojrzałem w jego stronę.

- Chyba przyszła.

Nasłuchiwalismy w milczeniu.

Okazało się, że Gielmuda miał rację. W oddali, po przeciwnej stronie Wygonu, rozlegał się cichy śpiew. Rafał podniósł się i ruszył wprost przed siebie. Nie zdążyłem nawet się ruszyć, a już biegł, doskonale widoczny w księżycowym świetle.

- Anielka! - krzyknął, a jego głos potoczył się echem wśród drzew. - Anielka, to ja, Rafał! Poczekaj...

Zaraz potem przestałem go widzieć.

Z jednej strony byłem na niego wściekły, że mnie zostawił samego, lecz z drugiej - doskonale go rozumiałem. Spotkanie dziewczynki było w tej chwili jedynym celem Rafała. Trudno żeby w sytuacji, gdy od tego zależy życie jego córki, zastanawiał się nad tym, co mogę sobie pomyśleć.

Nastąpiła złowroga cisza.

Minęło może dziesięć minut, może mniej. Usłyszałem kroki po swojej lewej stronie. Byłem przekonany, że to Gielmuda obszedł Wygon dookoła, przypominając sobie o niebezpieczeństwie grożącym ze strony Kowalika. Odetchnąłem z ulgą i właśnie miałem podnieść się ze swojego siedziska, gdy zobaczyłem ogromną postać, która pojawiła się w kręgu światła rzucanego przez księżyc.

Stał lekko przygarbiony, czujnie wpatrując się w otwartą przestrzeń.

Modliłem się, żeby mnie nie zobaczył. Było na tyle jasno, że gdyby odwrócił się w moją stronę, dostrzegłby mnie z całą pewnością.

Jego potwornie zniekształconą twarz (a właściwie to, co z niej pozostało), na szczęście wciąż obserwowałem z profilu. Wreszcie postąpił kilka kroków naprzód, spoglądając uważnie pod nogi.

Byłem pewien, że usłyszał wołanie Rafała. Teraz pozostawał mu jeszcze tylko wybór właściwej drogi. Zacząłem zastanawiać się,

dłaczego patrzy na zeschniętą trawę.

Po nastaniu wieczoru na okolicę spłynęła mgła, która tuż przed północą zamieniła się w wilgotny dywan rosy. Nawet z mojego miejsca widziałem ścieżkę, którą pozostawił po sobie Rafał. Biegając, strącał kropelki wody z zeschniętej trawy i chyba taki ślad miał nadzieję znaleźć Kowalik.

Zatrzymał się tuż przed wąskim, ciemniejszym pasmem trawy. Musiał jeszcze wybrać kierunek. Najpierw spojrzął w lewo, w stronę drzew, wśród których zniknął Gielmuda, a zaraz potem gwałtownie odwrócił zmasakrowaną twarz.

Byłem pewien, że mnie zobaczył, ponieważ natychmiast zaczął iść w moją stronę. Zrobił kilka kroków i już miałem rzucić się do ucieczki, która jedynie mogłaby nieco odroczyć wyrok, gdy zza pleców olbrzyma usłyszałem:

- Anielka! To ja, Rafał! Nie chowaj się przede mną!

Głos dobiegał z głębi lasu. Kowalik zamarł na ułamek sekundy, po czym biegiem ruszył w ślad za Gielmudą. Był tuż przy granicy lasu, gdy krzyknąłem:

- Rafał! Uważaj, on biegnie w twoją stronę! Słyszysz?! - darłem się z całych sił. - Kowalik biegnie do ciebie!

Nie byłem pewien, czy cokolwiek usłyszał. I nie zamierzałem czekać, żeby się tego dowiedzieć. Ile tylko miałem sił w nogach, zacząłem uciekać w stronę samochodu. I tak wiedziałem, że jeśli olbrzym ruszy za mną, to dopadnie mnie, zanim uda mi się dokuśtykać do asfaltu. Bałem się o Rafała, ale - niech Bóg mi wybaczy moje chore myśli - miałem nadzieję, że to jego Marcin zechce dopaść w pierwszej kolejności.

Dużo później tłumaczyłem się przed samym sobą w ten sposób, że chodziło mi tylko o to, że Rafał jest młodszy i szybszy ode mnie, co dawało mu większe szanse na ucieczkę. Nie jestem pewien, czy udało mi się być wystarczająco przekonującym.

\*

Dysząc ciężko, dotarłem do samochodu, lecz nawet się przy nim nie zatrzymałem. Teraz jedyną możliwą pomocą mogli być ludzie czający się na napastnika w Guciowie, ponieważ jednak od

ostatniego ataku Kowalika minął już ponad tydzień (wnioskowałem to po tym, że Stanisławski ani razu w tym czasie nie zadzwonił do Rafała), obawiałem się, czy w ogóle kogoś uda mi się spotkać o tak późnej porze. Nie miałem przy sobie zegarka, ale sądziłem, że jest grubo po północy.

W pewnym momencie poczułem pieczenie w piersiach, więc przestałem biec i starałem się iść jak najszybciej było to możliwe.

Co jakiś czas mówiłem w stronę mijanych zarośli: „Halo, jest tu kto? Potrzebuję pomocy...” lecz nikt mi nie odpowiedział. Dopiero na wysokości domu Janka z jednej z bram wyszedł rostry mężczyzna.

- Stój, policja! - odezwał się.

Z ulgą przystanąłem.

Poczułem, jak silne światło latarki świeci w moją stronę.

- Kim pan jest? - zapytał ten sam człowiek.

- Wiem, gdzie jest zabójca. Szybko...

- Witek? - rozległ się głos Janka. - Co ty tu robisz?

- Musimy szybko pójść na Czarny Wygon - rzekłem. - On tam jest... Gdy latarka przestała świecić mi prosto w oczy i znów zacząłem coś widzieć, stwierdziłem, że było tam pięciu mężczyzn. Trzech z nich, w tym Janek, miało broń.

- Panie Stanisławski - odezwał się policjant z latarką. - Wie pan o czym mówi ten człowiek?

- Tak - padło w odpowiedzi. - Witek, co ty tam robiłeś? - zapytał Janek, podchodząc bliżej.

- Później ci wszystko opowiem - wysapałem. - Teraz musimy ratować Rafała...

- On tam został?

- Tak. I co gorsza, prawdopodobnie zaatakował go...

Stanisławski nie pozwolił mi skończyć.

- Panowie, idę po samochód. Nie mamy ani chwili do stracenia.

\*

We wsi został jeden policjant, a my wyruszyliśmy w pięciu autem Janka w kierunku Czarnego Wygonu. Minęliśmy opłta Gielmudy i zagłębiliśmy się w leśną drogę. Nie było czasu na

podchody; musieliśmy jak najszybciej znaleźć się na miejscu.

Niedługo potem całą grupką przemierzaliśmy Wygon. Ja szedłem na początku, za mną pozostali, z których każdy miał latarkę, a Stanisławski i policjant dodatkowo byli uzbrojeni.

- Tutaj widziałem go po raz ostatni - powiedziałem, gdy stanęliśmy na skraju lasu. - Rafał! - krzyknąłem, wchodząc między drzewa. - Jesteś tu? Odezwij się, jeśli mnie słyszysz!

Podążaliśmy przez zarośla, starając się trzymać dość blisko siebie. Każdy z nas krzychał imię Gielmudy. W ciszy, która nam odpowiadała, było coś złowrogiego. Miałem przeczucie, że wydarzyło się coś bardzo złego i tak naprawdę szukamy już tylko ciała.

Nie potrafiłem odgonić od siebie myśli o rodzicach i córce Rafała. Wyglądało na to, że tym razem stracili go na zawsze.

Krążyliśmy po lesie aż do momentu, gdy nastał świt. Podobnie jak inni byłem niesamowicie zmęczony, lecz wciąż chciałem szukać dalej.

- To nie ma już sensu, panowie - odezwał się policjant.

- Jeśli go dopadł, to teraz i tak nie jesteśmy w stanie nic zrobić. Wracajmy.

Chciałem zaprotestować, lecz nie zrobiłem tego z prostej przyczyny. Po prostu byłem tego samego zdania.

- Może udało mu się wrócić do samochodu? - odezwał się Janek.

- Przecież taka możliwość też jeszcze istnieje.

Nikt mu nie odpowiedział.

Było tuż po wschodzie słońca, gdy po raz kolejny znaleźliśmy się obok białego opla. Zatrzymaliśmy się tylko na chwilę, aby przekonać się, że w środku nie ma nikogo.

\*

Poprosiłem Janka, żeby zawiózł mnie do Krasnobrodu.

Miałem w kieszeni zapasowe klucze, które dał mi Gielmuda. Zamierzałem trochę się przespać i poczekać w nadziei, że jednak wróci.

- Wczoraj pytała o ciebie policja - odezwał się w drodze Janek.

- W niedzielę?

- Zdaje się, że ktoś z Warszawy zgłosił twoje zaginięcie, więc zaczęli natychmiast szukać.

- Co im powiedziałaś?

- Tyle, co wiedziałem. Zataiłem tylko naszą nocną wyprawę do lasu...

- To dobrze - odparłem. - A czy ci, z którymi dzisiaj byłeś, wiedzą, kim jestem?

Zastanowił się przez chwilę.

- Nie, raczej nie. Policjanci na pewno nie, a miejscowi na dziewięćdziesiąt procent... Chyba że któryś z nich widział cię wtedy, gdy zatrzymała was policja.

- Nie mów na razie nikomu, że mnie widziałeś, dobrze? - poprosiłem.

- Ale pewnie będą pytać, kto był tym moim znajomym, który pojawił się w nocy w Guciwie.

- Pewnie tak, ale... Nie wiem... Wymyśl coś. Powiedz, że to jeden z twoich gości, tylko nie mów, że ja.

- Nie mogę tego obiecać - odparł. - Nie chcę, żeby pomyśleli, że coś kręcę... Wiesz, że od tego tylko krok do podejrzeń o najgorsze. Pamiętasz, że jako jedyny widziałem mordercę?

- Tak, rozumiem cię. Po prostu, jeśli uda ci się uniknąć zdradzenia moich personaliów, to zrób tak, żeby nie wiedzieli.

- Możesz mi powiedzieć, dlaczego się ukrywasz?

- Teraz nie. Kiedyś ci powiem. Zresztą, być może nie ma to już sensu, ale na razie, póki nie przekonam się, że Rafała... - zawiesiłem głos.

- W porządku. Nie mów już nic więcej.

Zostawił mnie przed bramą.

Wszedłem do domu, łąpczywie napiłem się wody z kranu i położyłem się spać.

## 6.

Około drugiej po południu obudził mnie dzwonek do drzwi.

Najpierw pomyślałem, że to Rafał. Po zastanowieniu uznałem,



że to niemożliwe, bo przecież ma klucze i wszedłby bez dzwonięcia. Zerwałem się jednak, mając nadzieję, że może je zgubił w nocy.

Na podwórzu nie było jego samochodu, więc poszedłem do kuchni i wyjrzałem przez okno, przez które widać było ulicę. Przy bramie stał srebrny ford mondeo.

„Pewnie to rodzice, zaniepokojeni, że nie przyjechał do małej” - pomyślałem.

Postałem bez ruchu jeszcze chwilę i zobaczyłem, jak matka Rafała idzie od strony domu, w kierunku furtki.

Zrezygnowany i pełen najczarniejszych myśli, wróciłem do siebie, ciesząc się, że nie otworzyłem od razu. Nie miałem pojęcia, co mógłbym powiedzieć tej kobiecie. Sądziłem, że do rozmowy prędzej czy później i tak dojdzie, jednak wolałem mieć trochę więcej czasu na przygotowanie się do niej.

Odruchowo usiadłem przy stole i wziąłem do ręki długopis, by zaraz potem odłożyć go z powrotem.

„Przecież to wszystko teraz i tak na nic” - przekonywałem sam siebie.

A jednak znów zacząłem pisać. W dalszym ciągu nie byłem w stu procentach pewien, czy rzeczywiście opublikowanie tych wszystkich informacji pomoże Paulince. Poza tym, gdy pisałem, znów mogłem zapomnieć o tym, co się wydarzyło ostatniej nocy.

Przez całe popołudnie wstałem od stołu tylko raz, po to, żeby zapalić światło.

W pewnym momencie zacząłem się zastanawiać nad rzeczą, która do tej pory w ogóle nie przyszła mi do głowy. Byłem wręcz zaskoczony, że dopiero teraz naszły mnie te wątpliwości. Rafał chciał, żeby wszystko opisać i podać do publicznej wiadomości, więc musiał się spodziewać, że cała ta historia dotrze do mieszkańców Krasnobrodu. Jak więc - do cholery - zamierzał potem w tym miasteczku normalnie funkcjonować. Przecież od razu policja zainteresowałaby się chociażby zakopaniem na dziko zwłok Trześniowskiego. Mało tego, być może Gielmuda mógłby być podejrzewany, że przyczynił się do tej śmierci, a teraz tylko rękami jakiegoś dziennikarzyni z Warszawy próbuje odepchnąć

od siebie zarzuty. A co z małą? Gdyby nie sprawdził się najczarniejszy scenariusz i gdyby za ten rok czy dwa była normalną, zdrową dziewczynką, to jak funkcjonowałyby w obliczu wszystkich tych legend, które przez ten czas by wokół niej narosły?

Była jeszcze jedna, bardzo istotna rzecz - sprawa wypadku, w którym zginęła żona Adama. Tu z pewnością Gielmuda nie uniknęłyby odpowiedzialności...

Wreszcie uznałem, że nie ma się co nad tym zastanawiać.

Przede wszystkim dlatego, że i tak nie będzie mi dane zadać tych pytań Rafałowi...

\*

Pisałem tak mniej więcej do dziewiątej. Na środkowym palcu prawej ręki zrobił mi się pokaźnych rozmiarów odcisk, postanowiłem więc, że przejdę się do kuchni, aby sprawdzić, czy nie ma w niej jakiejś apteczki, w której mógłbym znaleźć plaster. Przy okazji postanowiłem zrobić sobie herbatę.

Plastra nie znalazłem, ale robiąc herbatę, przypomniałem sobie, że od rana nic nie jadłem, więc zajrzałem do lodówki i wyjąłem z niej kawałek kiełbasy i masło. Sięgnąłem do chlebaka i wyjąłem z niego kawałek kupionego jeszcze w ubiegłym tygodniu chleba.

Czułem się dość nieswojo, tak rządząc się w czyimś domu. W dodatku podejrzewałem, że teraz jest to dom należący do osoby zmarłej przed kilkunastoma godzinami. Mój wzrok padł na radio. Kiedy popłynęła z niego muzyka, nastrój wydał się całkiem znośny. Zjadłem dwie kanapki i zrobiłem sobie jeszcze jedną herbatę, po czym wyłączyłem radio, wziąłem je pod pachę, w drugą rękę pełny kubek i ruszyłem do siebie.

W korytarzu nie zapalałem światła, wystarczało to padające przez przeszkloną szybę pokoju, w którym mieszkałem.

Pomimo panującego półmroku, przy drzwiach wejściowych dostrzegłem zarys postaci. Wyglądało to tak, jakby ktoś siedział na ziemi obok szafki na buty. Stałem na chwilę, bo nie byłem pewien, czy coś mi się nie przywidziało.

Postać powoli wstała i ruszyła w moją stronę, zatrzymując się w

smudze światła.

To był Rafał.

Miał pokiereszowaną, posiniaczoną, papierowoblądą twarz.

Radio wysunęło się spod pachy i z hukiem uderzyło o podłogę. Gorąca herbata rozlewała się na drżącą dłoń, a ja nie potrafiłem się nawet ruszyć. Jak zamurowany wpatrywałem się w zjawę wytrzeszczonymi oczyma.

Zrobił jeszcze jeden krok w moją stronę i jego twarz znów zniknęła w ciemności.

- Nie rób mi krzywdy - tyle udało mi się wyszeptać.

Stałem tuż przy ścianie, a on sięgnął dłonią w kierunku mojej głowy. Usłyszałem trzask, który zabrzmiał głośniej niż wystrzał z pistoletu.

Okazało się, że Rafał sięgnął do włącznika światła, znajdującego się tuż obok mnie.

- Zdaje się, że cię przestraszyłem - powiedział.

- Nie wiem, kurwa. Muszę to przemyśleć.

Wtedy dopiero poczułem, jak bardzo mam poparzoną rękę. Wróciłem do kuchni, by włożyć ją pod zimną wodę. Trząsałem się tak bardzo, że miałem problemy z odkręceniem kurka.

- Przepraszam. Myślałem, że słyszałeś, jak wchodziłem.

- Tak, oczywiście. Chciałem jeszcze tylko dokończyć kanapkę, zanim się z tobą przywitam - odparłem z przekąsem. - A tak w ogóle, to jesteś ty czy twój trup? Mam wrażenie, że ten drugi wyglądałby o niebo lepiej od ciebie.

- Ja.

- Aż tak tam było fajnie, że postanowiłeś zostać do rana i jeszcze na cały dzień? Do jutra trzeba było zostać...

Nie czekając na odpowiedź, poszedłem do pokoju, kopiąc po drodze radio leżące na środku przedpokoju.

- Dobrze się bawiłeś, gdy słyszałeś, jak cię wołamy?! - krzyknąłem jeszcze, zatraskując za sobą drzwi.

\*

Byłem wściekły na niego, że wrócił tak późno, i na siebie, że tak się przestraszyłem. Przede wszystkim jednak cholernie się

cieszyłem z jego powrotu.

Po kilku minutach potem poszedłem do kuchni.

- Przepraszam, Rafał. Bałem się, że on cię...

- Tak by było. Na pewno byłoby po mnie, gdyby nie ty. Kiedy krzyknąłeś, odwróciłem się i zobaczyłem Kowalika, jak biegnie w moją stronę. Miałem jeszcze sporo czasu, żeby się ukryć.

- Dziękuję - dodał po chwili, patrząc mi prosto w oczy.

- Udało ci się z nią spotkać?

- Tak, ale dopiero później. Przez dłuższy czas siedziałem bez ruchu w nadziei, że Marcin mnie nie zobaczy. Chodził przez długi czas, nieustannie mnie wypatrując; dwa razy był tak blisko, że gdybym chciał, mógłbym dotknąć jego nogi.

- Rozumiem, że nie miałeś na to ochoty?

Uśmiechnął się blado.

- Widziałem, jak wracasz z tamtymi. Dopiero wtedy zrezygnował i przestałem go widzieć. Już miałem wyjść z zarośli i się ujawnić, gdy...

Zamilkł.

- Gdy... ? - zapytałem niecierpliwie.

- Coś dotknęło mojego ramienia. Spojrzałem i zobaczyłem ją, stojącą tuż obok z uśmiechem na upiornej twarzyczce... To była jej ręka...

Dreszcz przebiegił mi po plecach, lecz nie odezwałem się ani słowem.

- Powiedziała, żebym z nią szedł - ciągnął. - W innych okolicznościach spieprzałbym stamtąd ile sił, ale rozumiesz...

- Tak.

- Wziąłem w dłoń jej lodowatą rączkę i poszliśmy w głąb lasu. Słyszałem, jak mnie wołacie, ale musiałem z niej to wyciągnąć.

- To oczywiste. Udało się?

- Po jakimś czasie wasze nawoływania zostały daleko z tyłu, a my... My snuliśmy się przez całą noc, trzymając się za ręce. Czułem się jak cholerny oszust, gdy mówiła, jak bardzo się cieszy, że znów do niej przyszedłem... Ja z uporem maniaka co chwila wracałem do tego, co się stało w pięćdziesiątym drugim, prosiłem ją, żeby mi coś o tym powiedziała... Cokolwiek...

Siedział przez jakiś czas, nic nie mówiąc. Wreszcie znów się odezwał:

- Już szarzało, gdy powiedziała, że nic na ten temat nie wie. No, poza tym, co sam wiedziałem, bo wygadał się przede mną Jasek Grela. Mówię ci, byłem gotów rzucić się jej do gardła, żeby to z niej wyciągnąć, ale ona... Cholera jasna! Ta mała naprawdę nie mogła mi pomóc...

W zamyśleniu potarł czoło.

- Gdy robiło się jasno, powiedziała, że musi już iść i za pytała, kiedy znów do niej przyjdę.

- Pewnie powiedziałaś, że dzisiaj?

Pokręcił głową.

- Nie. Odeszła swoją drogą, a ja rozejrzałem się i stwierdziłem, że zupełnie nie mam pojęcia, gdzie jestem. Błądziłem pół dnia, coraz bardziej rozpaczliwie szukając drogi powrotnej. Po jakimś czasie przestałem zwracać uwagę na zarośla i stąd te zadrapania.

- Sięgnął dłonią do prawego policzka. - Ale wreszcie mi się udało i znalazłem drogę do Słonecznej Doliny. Tyle że, gdy doszedłem już do samochodu, nie mogłem od razu wracać.

- Dlaczego?

- Musiałem jeszcze raz wszystko przemyśleć i podjąć ostateczną decyzję...

- Jaką znowu decyzję?

- Pojechałem do domu rodziców - zignorował moje pytanie - pobyłem trochę z Paulinką... Na początku mnie nie poznała przez te sznyty na twarzy - uśmiechnął się smutno. - Potem jeszcze rozmawiałem z rodzicami, no i jestem... Naprawdę nie chciałem cię przestraszyć...

- Daj już z tym spokój. Jaką decyzję? - ponowiłem pytanie.

- Chyba wiesz?

- Nie, nie wiem...

Zaczął nerwowo krążyć po kuchni. Znów zobaczyłem na jego policzku nerwowość.

- Przed chwilą mówiłem, że Anielka zapytała, kiedy znów do niej przyjdę, pamiętasz?

Skinął głową.

- Powiedziałem, że wkrótce...
- Aha, czyli po raz kolejny ją oszukałeś. W sumie się nie dziwię, nie wiadomo, co by zrobiła, gdybyś powiedział, że...
- Nie, tym razem jej nie oszukałem - rzekł poważnie.
- Słucham? - spojrzałem na niego zdziwiony. - Skoro ta mała nic nie wie, to po jaką cholereę będziesz jeszcze tam laź? A zresztą, jak chcesz, to sobie idź, tyle że na mnie już nie licz...
- Mówiłem, że długo się zastanawiałem i musiałem jeszcze tę sprawę omówić z rodzicami, prawda?
- Tak. Tyle że ciągle nie wiem, o co chodzi.
- Powiedziałem jej, że przyjdę w Wielki Piątek niedługo po zmroku i żeby na mnie czekała na Czarnym Wygonie.
- No dobrze, tylko po jaką... - nagle głos uwiązł mi w gardle. - Co?! W Wielki Piątek?! - patrzyłem na niego, wytrzeszczając oczy.
- Czy ja dobrze...
- Tak - przerwał mi, spoglądając wprost w moje oczy.
- Powiedziałem, że zabiorę ją z powrotem do Starzyzny...  
Przez chwilę nie potrafiłem wydusić z siebie ani jednego słowa.
- Oszalałeś prawda? - wyjąkałem wreszcie.
- Owszem, oszalałem - odpowiedział natychmiast.
- Oszalałem na punkcie swojej córki dokładnie w chwili, gdy ją ujrzałem.  
Siedziałem nieruchomo.
- Ale... - zacząłem.
- Nie ma żadnego ale. To już postanowione. Tylko to może ocalić Paulinkę i wiesz o tym dokładnie tak samo, jak ja...

## Rozdział ostatni

### 1.

Tamtej nocy długo nie mogłem zasnąć. Zbyt wiele emocji wiązało się z decyzją Rafała.

Przed wszystkim myślałem o tym, jak bardzo jest zdeterminowany, decydując się na tak desperacki krok. Przecież mógł ze Starzyzny (jeśli uda mu się tam dostać) nigdy nie wrócić i wtedy całe to poświęcenie na nic się zda. Rozumiałem go jednak o tyle, że gdyby jego córka rzeczywiście umarła wkrótce, to nigdy by sobie nie wybaczył niepodjęcia próby.

Zacząłem w pewnej chwili zastanawiać się, jak ja zachowałbym się na jego miejscu... Albo jeszcze inaczej - jak bym się zachował, gdyby lata temu ktoś, ot tak po prostu, przyszedł i powiedział, że jest szansa, aby mój Krzyś wrócił do zdrowia, pod warunkiem, że ja... Czy byłyby wtedy dla mnie jakieś granice nie do pokonania? Czy bałbym się na przykład zdecydować na krok podobny do tego, który planował Rafał? Odpowiedź była jasna - postąpiłbym dokładnie tak samo. Zrobiłbym wszystko, aby ratować dziecko.

Przeróżająca była myśl, że mu się to wszystko może nie udać. Straci co najmniej rok, w którym mógłby być z córką. A jeśli nie uda mu się wrócić na czas (albo w ogóle), być może nigdy już jej nie zobaczy.

Musiał zdawać sobie z tego sprawę i robił to dlatego, że nie było innego wyjścia. Czy rzeczywiście...?

\*

Przez cały wtorek pisałem jak opętany. Gdy Rafał rano wychodził z domu, chcąc znów pobycć przy córce, powiedział, żeby dał sobie spokój, że teraz to już nie ma sensu. Ja jednak zupełnie nie zwracałem uwagi na to, co mówi.

Wrócił około dwudziestej i z uśmiechem powiedział:

- Paulinka ma się już lepiej. Niedługo będzie zdrowa.

W odpowiedzi zapytałem, czy nie mógłby mnie następnego dnia zawieźć do Warszawy.

- No, widzę, że wreszcie podzieliłeś moje zdanie, że to wszystko nie ma już sensu - powiedział.

Widziałem, że walczy z myślami. To był jeden dzień, który zamierzałem mu zabrać, i to w sytuacji, gdy każda jego chwila spędzona u boku córki zdawała się bezcenna.

- Oczywiście, że cię zawiozę - powiedział wreszcie. - Może to nawet lepiej, że w piątek cię tu nie będzie...

- Nie rozumiesz - odparłem. - Chcę, żebyś mnie zawiózł do Warszawy tylko na kilka godzin. Później wrócimy tutaj razem...

Przyglądał mi się zdziwiony, ale zgodził się, o nic nie pytając.

Odniosłem wrażenie, że nawet ucieszył się, że będę w okolicy w Wielki Piątek. Widać było, że potrzebuje wsparcia i mojej obecności.

Kiedy położył się spać, odłożyłem tekst, nad którym pracowałem i położyłem przed sobą czystą kartkę. Po dłuższym zastanowieniu zacząłem ją zapisywać.

\*

W drodze do Warszawy zacząłem pytać Rafała o dręczące mnie wcześniej wątpliwości.

- Jeśli wszystko skończyłoby się dobrze, wyjechalibyśmy stąd - odpowiedział. - Najlepiej gdzieś na drugi koniec Polski. Jakiś czas temu zmarła moja ciotka, która mieszkała w Gorzowie i zostawiła moim rodzicom mieszkanie. Kto wie, może właśnie tam byśmy się osiedlili...

- No a sprawa Trześniowskiego? Nie boisz się, że byłbyś podejrzany o morderstwo? O bezczeszczeniu zwłok - czy jak to się tam nazywa - nie wspominając...

- Powiedziałbym, że tutaj zadziałała moja fantazja i ojciec Helenki został w Starzyźnie...

- No ale przecież w miejscu, gdzie go zakopałeś...

- Byłem tam kilka tygodni później. Wyglądało na to, że do ciała



dobrały się jakieś zwierzęta... Lisy, a może dzikie psy... Cały grób był rozkopany i nie znalazłem śladu po tym, co się stało. Oczywiście, może coś tam zostało, ale kto będzie w stanie udowodnić, że to Trześniowski?

- Mogą do tego dojść, gdy zbadają DNA jego i Helenki.

Pokiwał głową.

- Faktycznie, o tym nie pomyślałem - rzekł. - No ale cóż. Morderstwa mi nie udowodnią, bo go nie dokonałem. A za niezgodny z prawem pochówek? Bo przecież nie zbeczczyłem zwłok... Jaki może być wyrok? Ze dwa lata w zawiasach? O ile w ogóle uznają, że jest to czyn podlegający karze.

- No, może i racja - przyznałem. - Ale jest przecież jeszcze jedna rzecz, którą masz na sumieniu...

- Wiem, spowodowanie wypadku, w którym zginęła żona twojego przyjaciela - powiedział natychmiast. - Akurat ta sprawa ogromnie mi ciąży i jestem gotów za nią odpowiedzieć. Nie sądziłem, że mogę kogoś tak bardzo skrzywdzić... To dla mnie bardzo trudne.

Po chwili milczenia zapytał:

- To do niego jedziemy?

- Nie - odparłem. - Do niego pojedziesz sam...

\*

Najpierw załatwiłem sprawy w banku, a później pojechaliśmy do mojego mieszkania. Poprosiłem Rafała, żeby zaczekał w samochodzie i poszedłem na górę. W szufladzie biurka zostawiłem pieniądze i kartkę, którą zapisałem poprzedniego wieczoru.

Bardzo lubię swoje mieszkanie, dlatego przed wyjściem obszedłem każde pomieszczenie, starając się wszystko dobrze zapamiętać. Zamykając drzwi, sprawdziłem jeszcze, czy mam w kieszeni zapasowy komplet kluczy.

## 2.

Jest dwudziesty czwarty marca dwa tysiące piątego roku.

Znów pisałem cały dzień, bojąc się, że nie zdążę na czas. Na szczęście się udało i całość tekstu jest już właściwie ukończona, poza tym, co piszę w tej chwili.

Rafał cały dzisiejszy dzień spędził przy córce; podobno po raz pierwszy mogli wyjść na spacer, żeby mała zaczerpnęła trochę świeżego powietrza po chorobie. W Krasnobrodzie nastąpiła prawdziwa wiosna, dziś po południu było ponad dwadzieścia stopni. Aż szkoda w taką pogodę siedzieć w domu, ale nie miałem przecież innego wyjścia.

Teraz jestem w domu sam, bo Gielmuda pojechał do sklepu, żeby zrobić zakupy przed tym, co ma się wydarzyć jutro.

Tylko że jeszcze nie wie jednej, chyba najważniejszej rzeczy.

Kiedy wrócił do domu w poniedziałkowy wieczór i opowiedział mi o swoich zamiarach, byłem przerażony. Przed zaśnięciem analizowałem całą tę sytuację i gdy zastanawiałem się nad tym, co go spotkało, przypominałem sobie myśli, które kotłowały mi się w głowie niedługo po nadejściu informacji o śmierci Helenki.

Pamiętam, jak stałem na wieży widokowej tuż przy krasnobrodz- kich kamieniołomach, napawając się uczuciem szczęścia, które przyszło zupełnie niespodziewanie. To była trudna sytuacja, szczególnie dla Gielmudy, a jednak rozpieściła mnie radość. Oczywiście, niezwiązana z tym, co się stało.

Byłem z siebie dumny, że postanowiłem pomóc Rafałowi i sam przed sobą solennie deklarowałem taką właśnie chęć.

W poniedziałek nie mogłem zasnąć, czując przede wszystkim współczucie dla niego, że musi się na rok (w najlepszym wypadku) pożegnać ze swoją córką. Uroniłem wtedy nawet kilka łez. Taki byłem dobry...

Myśl, której w ogóle nie chciałem do siebie dopuścić, przyszła nagle.

Byłem dobry, owszem, ale w obietnicach bez pokrycia. Roniłem łzy nad złym losem człowieka, którego polubiłem, nad niesprawiedliwością losu, który dopuszcza do tego, by mała

dziewczynka na długo pozostała bez ojca, a może nawet pozwala na to, by umarła, mając zaledwie pięć lat.

Byłem gotów do poświęceń - a jakże! Do heroicznego czynu w postaci napisania książki, która zapewne Rafałowi pomoże, a może i nie, a ja na niej jeszcze pewnie coś tam zarobię.

Och! Jakże byłem wielki, prawda?

Przez wiele ostatnich lat moja wielkość przejawiała się głównie tym, że pilnowałem w pierwszym rzędzie własnego nosa, nie interesując się zbyt losem innych. Raz na rok wrzucałem banknot do puszki Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, czasem wysłałem sms-a za piątkę plus VAT, gdy pokazany w telewizji los jakiegoś biednego dziecka wzruszył mnie do głębi.

I oto znalazłem się w Krasnobrodzie, w czasie i miejscu, gdy naprawdę mogę komuś pomóc. Co wtedy zrobiłem? Uroniłem w poduszkę kilka fantastycznie efektownych łez.

Pomysł na początku wydał mi się szaleńczy, lecz zacząłem go oswajać i przez te kilka dni, które minęły od tamtego wieczoru, w zasadzie nie przewidywałem innej możliwości niż ta, która przyszła mi do głowy w chwili, gdy ocierałem łzy z policzków.

Jutro już nie zamierzam napisać nawet jednego słowa. Idę na długi spacer, a potem, pewnie gdzieś po południu, powiem Rafałowi o zmianie planów.

Ciekaw jestem, jaką będzie miał minę.

Czy się boję? Boję się jak jasna cholera. Kilka razy w życiu tak się bałem, a gdy Krzyś zachorował, to nawet o wiele, wiele bardziej.

Boję się tam być - to oczywiste. Tyle że chyba jeszcze bardziej obawiam się, czy rzeczywiście uda mi się pomóc Rafałowi i jego małej córeczce. Przecież wszystko się może zdarzyć. Jestem tylko człowiekiem, który może nawalić w każdej chwili.

Rafał poniekąd ma to już za sobą, więc pewnie poradziłby sobie o niebo lepiej. Ale jego miejsce jest przy Paulince. Jeśli wszystko weźmie w łeb, to przynajmniej spędzą ze sobą ten rok, czy nawet trochę więcej i samo to wystarczy, bym mógł pomyśleć, że było warto.

A ja właściwie nie mam nikogo, więc jak zniknę, to nikt nie

zauważy. Może najwyżej Adam i kilku znajomych. Aha - i jeszcze Sadoń, bo nie będzie już miał na kim wyładowywać swoich szczeniackich frustracji i kompleksów.

Pisałem już, że się boję? Chyba tak. Wszystkich pozostałych rzeczy, przed którymi trzęsę portkami w związku z tym, co postanowiłem, nie sposób wyliczyć. Trzeba się skupić na małych celach i małych strachach. Wtedy będzie łatwiej.

Zastanawiam się więc teraz, czy w dalszym ciągu potrafię prowadzić samochód. Mam kulawą nogę, która może w tym przeszkodzić, no i nigdy nie jeździłem oplem... Jakoś dam radę temu strachowi. Jak się uda, to może i podołam większym.

Najważniejsze to uważnie słuchać i ruszyć jak najszybciej. Dokładnie wtedy, gdy od strony Słonecznej Doliny usłyszę dźwięk miarowego bicia dzwonów.

## Epilog

Po odwróceniu ostatniej z kartek, pomiędzy nią a kartonową okładką, Adam znalazł jeszcze jeden skierowany do siebie list od Witka.

*Teraz już wszystko wiesz.*

*Nie wiem, czy opublikowanie tego, co Ci przesłałem, ma jeszcze jakiś sens. Pomyślałem, że pójdę na łatwiznę i pozostawię to Twojemu wyborowi...*

*Robię tak również dlatego, że teraz bez trudu odnajdziesz człowieka, który spowodował śmierć Magdy. To oczywiste, że publikacja natychmiast poskutkowałaby postawieniem mu zarzutów. Ale nie tylko ona. Możesz w każdej chwili poinformować policję o tym, że wiesz, kto spowodował wypadek.*

*Odnosnie do książki... Jak napisałem - sam zadecydujesz, czy warto ją wydać. Jeśli uznasz, że tak, w moim mieszkaniu, w szufladzie biurka znajdziesz 15000 złotych, które wybrałem z banku i przeznaczyłem na ten cel. Myślę, że wystarczy.*

*Obok pieniędzy jest też mój testament, który zostawiłem tam ostatnio.*

*To chyba tyle, Adamie. Cóż więcej mogę napisać. Może to, abyś trzymał kciuki, żeby wszystko poszło po mojej myśli.*

*Pozdrawiam jeszcze z Krasnobrodu,*

*Witek*

*PS*

*Za chwilę zapakuję paczkę z tymi moimi bazgrołami tak, aby nie można było do niej zajrzeć bez rozrywania papieru.*

*Zresztą, Rafał i tak pewnie by jej nie otworzył bez mojej zgody.  
Przywiezie Ci ją zaraz po Wielkanocy. Trzymaj się i... jestem  
pewien, że Twoja decyzja będzie najlepsza z możliwych.*

## *PS II*

*Całkiem bym zapomniał. Klucze od mojego mieszkania  
znajdziesz prawie u wlotu Słonecznej Doliny. Kiedy skręcisz w  
jej stronę z asfaltu, może po stu metrach dotrzesz do słupa z  
tabliczką „Roztoczański Park Narodowy”. Klucze są w  
foliowym woreczku, zakopane tuż za słupem.*

*Teraz to już na pewno wszystko.*

Adam przeczytał kilka razy list, włożył go między kartki i zamknął zapiski.

Ukrył twarz w dłoniach i siedział tak bez ruchu przez dłuższy czas. Wreszcie spojrzął na zegarek. Dochodziła dwudziesta pierwsza, a więc było zdecydowanie zbyt późno na wyjazd do Guciowa.

Wziął prysznic i położył się do łóżka, mając nadzieję, że uda mu się zasnąć choć na chwilę.

\*

Wyjechał z Warszawy dopiero około południa, ponieważ zadzwonili ze szpitala, aby przyjechał do matki. Myślał o najgorszym, ale okazało się, że chodzi tylko o to, że zamierzają przenieść ją w inne miejsce i na to potrzebna była zgoda Adama.

W Krasnobrodzie był po szesnastej.

Miał dużo szczęścia. Już trzeci z zapytanych mieszkańców miasteczka znalazł Rafała i wytłumaczył! Nawrotowi, jak trafić do domu Gielmudy.

Nikt nie otwierał.

Adam przeszedł do najbliższych zabudowań.

- Dzień dobry - powiedział, gdy otworzyła mu starsza kobieta. - Przyjechałem z daleka, specjalnie do Rafała Gielmudy, ale nie ma go w domu. Nie wie pani, gdzie mogę go znaleźć?

- Na pewno będzie u rodziców - odrzekła, zadowolona, że może

pomóc.

Chwilę później Nawrot znalazł już dokładny adres.

\*

- Przykro mi, ale nie ma u nas syna - usłyszał, gdy drzwi otworzyła mu kobieta w średnim wieku; jak sądził, była to matka Rafała. - Pojechał wczoraj do Warszawy i jeszcze nie wrócił. Chyba że jest u siebie w domu... Może podam panu adres?

- Nie, dziękuję, już tam byłem.

Zza pleców kobiety wyrzała mała dziewczynka o czarnych włosach i uśmiechnęła się przyjaźnie do Adama. Odpowiedział jej uśmiechem i zapytał:

- Czy mogłaby mi pani przekazać ode mnie wiadomość?

- Oczywiście, może pan wejdzie?

- Nie, nie, dziękuję.

Sięgnął do notesika, który miał w torbie, wyjął długopis i napisał kilka zdań, po czym wyrwał kartkę, złożył na pół i podał kobiecie.

- Proszę mi to przekazać, jak wróci. Będę zobowiązany, to bardzo ważne. Do widzenia.

Zamknęła drzwi, gdy już zbiegał po schodach. Przez chwilę zastanawiała się, czy przeczytać, co napisał. Ciekawość była silniejsza.

*Witaj.*

*Dzięki zapiskom, które mi wczoraj dostarczyłeś, wiem już wszystko.*

*Postanowiłem, że na razie nie opublikuję tego, co napisał Witek. Podobnie jak Ty, wierzę, że mu się uda.*

*Jeśli zaś chodzi o Magdę, to nigdy Ci nie wybaczę tego, co się stało przez Twoją głupotę. Myślę, że to rozumiesz, bo sam straciłeś niedawno bliską Ci osobę. Teraz jednak najważniejsze jest to, żebyś był z córką, a życia Magdzie nic nie jest w stanie zwrócić.*

*Zresztą... i tak wystarczająco dużo wycierpiałeś.*

*Adam Nawrot*

\*

Korzystając z atlasu samochodowego, dojechał do Guciowa, chociaż tę trasę i tak znał już bardzo dobrze dzięki zapiskom Witka.

Minął zagrodę Stanisławskiego i zatrzymał samochód na końcu wsi. Po lewej zobaczył drewniany dom na podmurówce z kamieni. Trochę inaczej sobie go wyobrażał.

Zamknął auto i ruszył drogą. Był pewien, że to ta, o której pisał Uchmann.

Zmierzchało, gdy zagłębił się w las.

Bez problemu znalazł klucze. Miał już wracać, kiedy pomyślał, że nie wiadomo, kiedy będzie okazja zobaczyć miejsce, o którym wiedział już tak dużo.

Blask słońca, które zaszło już jakiś czas temu, wciąż odbijał się od różowych chmur, więc dalsza droga była doskonale widoczna.

Ruszył nią szybkim krokiem.

Czuł się bardzo nieswojo, a po głowie wciąż chodziły wspomnienia tego, co czytał w zapiskach.

Wreszcie dotarł do otwartej przestrzeni i był pewien, że rozciąga się przed nim Słoneczna Dolina. Było już wprawdzie na tyle ciemno, że nie widział jej drugiego krańca, lecz to, co zobaczył, potwierdziło, że jest to miejsce niezwyklej urody.

Zaczął wracać szybkim krokiem, gdy usłyszał po swojej lewej stronie odgłos kroków.

Niewielki kształt przemknął pomiędzy drzewami. Odgłos kroków oddalał się, a w powietrzu wyraźnie rozbrzmiały cichnące dźwięki kołysanki. Kołysanki nuconej cienkim, dziewczęcym głosikiem...

*Przemysław, 23 października 2009 r.*



część 

STARZYŻNA



*Tylko trudne chwile powiedzą ci, kim tak naprawdę jesteś.*

Franciszek Gielmuda

## Przedmowa

Każdy miesiąc przynosi nowe znajomości, jest sprawcą wzajemnego stykania się ludzkich ścieżek. To fantastyczne, że niektóre szlaki w ten właśnie magiczny i niewytłumaczalny sposób łączą się, by potem już nie mieć ochoty na ucieczkę ku własnym celom.

Zdarzają się też szczęściarze, mający u swego boku przyjazną duszę już od pierwszego kroku postawionego na własnej drodze.

Należę do takich szczęściarzy.

Nie ma małych przyjaźni. Każda z nich jest wspaniała, niepowtarzalna, niedająca się zamienić na cokolwiek innego. Cieszę się jednak, że dane mi było posmakować także przyjaźni zbudowanej na najbliższych więzach krwi i każdemu życzyłbym, by spotkało go coś podobnego.

Pierwszego spotkania z moją Siostrą, Urszulą, nie mogę pamiętać. Pamiętam za to doskonale całe dziesięciolecie spędzone w przeświadczeniu, że jest ktoś, na kogo zawsze można liczyć, ktoś, kto sprawia, że świat wydaje się lepszy, bardziej przyjazny i łatwiejszy. Ktoś mądry, dobry i niezwykle wrażliwy.

Pamiętam też i ciągle czuję ból ostatnich lat. W połowie roku dwa tysiące czwartego świat mojej Siostry i jej Synów zachwiało się w posadach. Wszyscy wiemy, że nigdy nie będzie tak, jak przedtem.

Ale też nie chcę zapomnieć tego, co było później. Jestem szczęśliwy, że jestem bratem kogoś tak niesłychanie dzielnego, kogoś, kto potrafił stawić czoła okrutnemu losowi i złapać go za gardło, gdy była taka potrzeba.

Nie wiem, czyja dałbym radę.

Tym bardziej jestem dumny i szczęśliwy, że mogę być blisko kogoś takiego.

*Moja droga Ulu!*

*Dedykuję Tobie tę książkę i mam nadzieję, że jej lektura sprawi Ci przynajmniej trochę przyjemności.*

*Dziękuję za to, że jesteś, i dziękuję za to, że zawsze ze mną byłaś.*

*I proszę o jeszcze...*

## Podziękowania

Składam gorące podziękowania osobom, które przyczyniły się do powstania tej książki. Zarówno tym, pomagającym mi w jej redakcji, jak również tym, które dobrym słowem motywowały mnie do jej rozpoczęcia i ukończenia.

Raz jeszcze dziękuję, Jacku, za wycieczkę do Słonecznej. Tobie i Tobie, Mariuszu, za to, że jesteście ze mną każdego roku w Zwierzyńcu. Pamiętacie zapewne, że tam właśnie, podczas skąpanej w ulewnym deszczu, gorącej, pachnącej lipami, czerwcowej nocy, zrodził się pomysł na tytuł cyklu? Bez Was by go nie było.

Dziękuję też Tobie, Drogi Czytelniku. Skoro trzymasz w dłoniach tę książkę, to zapewne sięgnąłeś także wcześniej po „Słoneczną Dolinę”. Być może jesteś jedną z osób, które pytały mnie o datę wydania „Starzyzny”? Oto jest. Oddaję ją pod Twoją ocenę z obawą i nadzieją-

Byłbym szczęśliwy, gdyby nie zawiodła Twoich oczekiwań i chociażby na chwilę pozwoliła zapomnieć o tym, czego nie masz ochoty pamiętać.

S.D.

*Mojej Siostrze, Urszuli*

## Prolog

Nawrot wyłączył silnik i odetchnął. Przez chwilę nie widział nic poza ciemnością i słyszał tylko dzwonienie w uszach, spowodowane nagłą ciszą w aucie. Zamknął oczy i rozsiadł się wygodnie w fotelu swojego fiata punto. Do północy było jeszcze sporo czasu.

Ruszył w drogę bezpośrednio po pracy, by mieć pewność, że zdąży dojechać bez stresującego pośpiechu. Na dodatek krajowa siedemnastka zaraz za rogatkami Warszawy zrobiła się nadspodziewanie pusta, więc jeszcze przed Zamościem mógł zatrzymać się na dłuższy odpoczynek. Gorąca herbata i marynowane śledzie z razowym chlebem sprawiły, że nabrał sił do dalszej jazdy. Zresztą, od tego postoju miał już przecież całkiem niedaleko.

Tak jak rok wcześniej przejechał przez Zwierzyniec, nie widząc w miasteczku żywego ducha. Zdawał sobie sprawę, że prawdopodobnie znów przebywa tę drogę na próżno, lecz nie potrafił inaczej. Nie dałby rady siedzieć w Wielki Piątek w swoim warszawskim mieszkaniu. Mijając Obrocz zadał sobie pytanie: „Jak długo jeszcze?” Nie potrafił odpowiedzieć ze stuprocentową pewnością, ale sądził, że jeszcze bardzo, bardzo długo. Może nawet do końca życia będzie przemierzał tę trasę właśnie w ten wyjątkowy dzień. To wszystko wydawało się kompletnie irracjonalne, lecz czuł coś w rodzaju obowiązku wobec Witka. Zresztą, i tak nie miał już z kim spędzać Wielkanocy.

Dzień, w którym Magda zginęła w płonącym samochodzie, wydawał się tak odległy, jak gdyby to zdarzenie miało miejsce w innym życiu, w całkowicie odmiennej rzeczywistości. Adam myślał o wypadku wiele razy, niemal nieustannie, jednak i tak śmierć żony niknęła w mglistej przeszłości. Wspomnienie tego zdarzenia wróciło na chwilę z całą mocą, gdy dowiedział się, kto

był sprawcą tragedii, by później znów ukryć się w zakamarkach niepamięci.

Śmierć matki stała się kolejną traumą, z którą nie potrafił sobie poradzić.

Odeszła wieczorem, drugiego kwietnia dwa tysiące piątego roku, a więc prawie dokładnie w chwili, gdy umarł Jan Paweł II. Nawrot miał nadzieję, że w dalszą drogę ruszyli razem. Właściwie był tego pewien i tylko to stanowiło swego rodzaju niewielkie pocieszenie.

Wyjeżdżając z Krasnobrodu w końcu kwietnia dwa lata wcześniej, był przekonany, że wróci najwyżej za kilka dni, by spotkać się z Gielmudą. Sprawy związane z pogrzebem, a później brak chęci do czegokolwiek sprawiły, że wybrał się na Roztocze dopiero po połowie maja.

Pamiętał to dokładnie. Drzwi znów otworzyła mu matka Rafała.

- Przykro mi - rzekła, gdy o niego zapytał. - Wyjechał z córką i prosił, by nikomu nie przekazywać dokąd...

- Do Gorzowa? - zapytał wtedy Nawrot.

Doskonale pamiętał zaskoczenie malujące się w oczach kobiety.

- Tak, ale nie mogę powiedzieć nic więcej. Do widzenia panu.

Zamknęła drzwi, nim zdążył zapytać o cokolwiek więcej. Stał przez chwilę, zastanawiając się, czy nie zadzwonić ponownie, lecz ostatecznie dał spokój. W końcu, jakie to mogło mieć wtedy znaczenie? Witek i tak zniknął, a po lekturze tego, co napisał, można było się domyślić, gdzie przebywa.

Panującą wokół samochodu ciszę gwałtownie przerwał głośny dźwięk. Coś z hukiem uderzyło o dach auta, a Adam, wyrwany nagle z rozmyślań, drgnął w fotelu i rozejrzał się przestraszony.

Nie zwrócił wcześniej uwagi, że za szybami wzmagają się porywy wiatru. Przyzwyczajone już do ciemności oczy zarejestrowały świetliste plamy przesuwające się po leśnej drodze; księżyc tuż po pełni świecił jasno, skrywając się od czasu do czasu za pędzącymi po niebie chmurami, których cienie ślizgały się bezszelestnie po obłym kształcie samochodu. Wyraźnie widoczne za szybą kontury drzew zdawały się ruszać do gwałtownego tańca.



„To tylko spadająca gałąź” - pomyślał, uspokajając oddech.

Opuścił szybę po stronie pasażera i poczuł na twarzy ciepłe, wilgotne uderzenie powietrza. Był szósty kwietnia dwa tysiące siódmego roku. Wiosna zbliżała się wielkimi krokami. Podobnie jak wielkopiątkowa północ.

Prawie rok wcześniej, czternastego kwietnia, też czekał w tym samym miejscu i wtedy nie wydarzyło się absolutnie nic. Nawrot nie miał zbyt wielkich nadziei, że tym razem będzie inaczej. Znów przymknął powieki.

Książka *Czarny Wygon* została wydrukowana i trafiła do księgarń w czerwcu ubiegłego roku. Adam długo bił się z myślami, czy w ogóle jest sens, by publikować przekazane mu notatki Witka. Cała sprawa wydawała się dość absurdalna, ale przecież jednak przyjaciel go o to poprosił, w dodatku zostawiając pieniądze na całe przedsięwzięcie. Wreszcie Nawrot stwierdził, że jeśli jego przyjaciel nie wróci w Wielki Piątek dwa tysiące szóstego roku, to książka zostanie wydana niedługo potem.

Nakład nie był imponujący - ledwie półtora tysiąca egzemplarzy. Sprzedawało się to w miarę przyzwoicie, a co za tym idzie, sporo osób dowiedziało się o Starzyźnie. Internetowe wpisy na temat publikacji z uznaniem odnosiły się do wybujałej wyobraźni autora.

Adam był przekonany, że to nie była fikcja. Tym bardziej gryzł się, że książka za jego przyczyną nie pojawiła się wcześniej. Zdawał sobie sprawę, że przecież to opóźnienie mogło pogрузić Witka...

Teraz już nic nie mógł na to poradzić. Mógł co najwyżej w każdy kolejny Wielki Piątek czekać na drodze, prowadzącej z Guciowa do Słonecznej Doliny.

Zmęczenie dawało znać o sobie. Cały dzień w pracy i około trzystu kilometrów podróży sprawiły, że Nawrot rozpoczął walkę z sennością. Dobiegający z zewnątrz szum kołyszających się drzew nie ułatwiał zadania. Do północy była jeszcze prawie godzina, więc wreszcie uległ pokusie i postanowił chwilę się zdrzemnąć. Pomyślał, że dobrze byłoby nastawić alarm w

komórcie na dwudziestą trzecią pięćdziesiąt, lecz zanim zdążył to zrobić, zapadł w głęboki sen.

Tuż przed pierwszą naprzeciw maski auta stanął lekko przygarbiony mężczyzna. Nawet gdyby Adam w tej chwili się obudził, nie zobaczyłby jego twarzy; tarcza księżyca znajdowała się dokładnie na wprost przedniej szyby samochodu. Nawrot jednak spał, cicho pochrapując, nie mając pojęcia, że ktoś natarczywie mu się przygląda.

Wiatr nieco ustal i ciszę mąciły jedynie dobiegające gdzieś z oddali krzyki nocnych ptaków.

Mężczyzna ruszył w kierunku samochodu i nachylił się nad szybą, by dokładnie przyjrzeć się śpiącemu, po czym przeszedł na drugą stronę i spod pachy wyjął niewielkie, płaskie zawiniątko. Jeszcze przez jakiś czas stał, jakby się wahając, w końcu jednak włożył pakunek do środka przez uchylone okno, starając się nie obudzić śpiącego. Położył przedmiot na siedzeniu pasażera i cofnął się o kilka kroków. Zaraz potem, uważnie stawiając kroki, ruszył w gęstwinę, która przed chwilą znajdowała się za jego plecami. Każdy, kto choć trochę znał te okolice, wiedziałby, że nocny wędrowiec skierował się w kierunku Czarnego Wygonu.

Z oddali dobiegło jeszcze stłumione trzaśnięcie nadepniętej gałęzi, lecz dźwięk był zbyt cichy, by przerwać Adamowi sen.

Ocknął się, gdy zaczynało już dzień. Było mu zimno, więc natychmiast sięgnął do drzwi po przeciwległej stronie samochodu, żeby zamknąć okno. Niedługo potem niecierpliwymi ruchami wydobył płaski przedmiot z osłaniającego go materiału. Oczom Adama ukazał się brulion, dokładnie taki sam, jak ten dostarczony do Warszawy przez Gielmudę pod koniec marca dwa tysiące piątego roku.

Najpierw obejrzał go ze wszystkich stron, jakby obawiając się zajrzeć do środka, w końcu jednak przekartkował jego

zawartość, a następnie otworzył na pierwszej stronie. Zanim zagłębił się w lekturze, rozejrzał się jeszcze wokół, nie dostrzegając niczego niepokojącego. Pokręcił z niedowierzaniem głową i włączył silnik, podkrecając maksymalnie ogrzewanie.

Zaraz potem cały świat przestał dla niego istnieć.

## Rozdział pierwszy

### 1.

Spojrzałem na zegarek i okazało się, że Wielki Piątek dwa tysiące piątego roku rozpoczął się prawie półtorej godziny wcześniej. Nie mogłem w to uwierzyć, więc sprawdziłem ponownie. Wskazówki nie pozostawiały wątpliwości - była pierwsza dwadzieścia siedem.

Czas pędził na złamanie karku, przybliżając mnie nieuchronnie do poranka i tego, co postanowiłem. Tyle że z każdą chwilą miałem coraz więcej wątpliwości.

„Na szczęście nic mu jeszcze nie powiedziałem i wcale nie muszę tego robić” - przeszło mi przez myśl.

Panujące wokół ciemności i absolutna cisza sprawiały, że wyobraźnia mogła pracować na najwyższych obrotach. Jej oczyma zobaczyłem zagubioną pośród czasu i przestrzeni wieś, zamieszkaną przez ludzi od dziesięcioleci oczekujących z wytęsknieniem tego, aby minuty znów zaczęły bezlitośnie przybliżać ich do śmierci. To ponure miejsce, niepamiętające już słonecznego światła, otoczone było bezkresnymi połaciami lasów, w których czaiły się upiorne postacie wisielców, pozostających w zawieszeniu pomiędzy światem żywych i umarłych, czyhających tylko na to, aby kolejnych nieszczęśników nakłonić do powiększenia grona potępionych na wieki.

„Wcale nie muszę” - znów zapewniłem samego siebie.

Zamknąłem oczy i zobaczyłem, jak ktoś z trudem wysiada z białego samochodu, stojącego na skraju Słonecznej Doliny. Pomimo nocy widziałem tego człowieka bardzo dokładnie. Lekko przygarbiony, ponad pięćdziesięcioletni mężczyzna, wyraźnie kuśtykając, ruszył w kierunku majaczących w oddali domostw. Nie był sam. Krok w krok towarzyszyła mu zakaptu- rzona postać

ubrana w coś, co z oddali wyglądało na zakonny habit.

Drgnąłem i rozejrzałem się wokół. Wizja była tak wyrazista, że zacząłem mieć wątpliwości, czy to nie był sen. Zegarek pokazywał pierwszą trzydzieści, więc nawet jeśli zasnąłem, to ledwie na chwilę.

Półsenne obrazy przedstawiały scenę, która miała się ziścić nie dalej, jak za niecałą dobę. Nie wiedziałem, czy obok kulejącego mężczyzny rzeczywiście pojawi się postać w kapturze, wiedziałem natomiast jedno: mężczyzna znajdzie się w Starzyźnie na własne życzenie, próbując ratować małą dziewczynkę - córkę kogoś, kogo jeszcze kilka tygodni wcześniej nawet nie znał. Miał ryzykować życiem i tym, że nigdy już nie wróci do świata, w którym się wychował i w którym zamierzał dopełnić swoich dni. Nazywał się Witold Uchmann.

Tak samo jak ja.

Byłem żalonym tchórzem i doskonale zdawałem sobie z tego sprawę. Tyle że zupełnie nie było mi wstyd.

W pewien sposób otuchy w tej sytuacji dodawała mi świadomość, że niewielu ludzi, będąc na moim miejscu, czułoby coś innego. Co więcej, jakkolwiek absurdalnie jawiło się to w myślach, miałem wrażenie, że i tak zrobiłem wiele. Zdecydowałem o próbie pomocy i przedsięwzięłem pierwsze kroki, zmierzające do realizacji zamierzonego czynu. Zważywszy na okoliczności, to przecież było nie byle co.

Oparłem głowę na lewym nadgarstku, przez co słyszałem cichutkie tykanie sekundnika w moim staromodnym „Timexie”. Od momentu położenia się do łóżka, wciąż byłem przeświadczony o tym, że to zrobię, że wkrótce rzucę na szalę wszystko, co mam, by pomóc Rafałowi, jednak wystarczyła mroczna wizja i kilka godzin spędzonych w ciemnościach, bym całkowicie zmienił swoją decyzję. To było ponad moje siły. Egoista, w ostatnich dniach drzemający pod grubą warstwą wspaniałomyślności, wziął górę i przepędził precz zacnego i wielkodusznego Witolda Uchmanna.

- I bardzo dobrze, że to zrobił - szepnąłem. - Mało brakowało, a nie byłoby już odwrotu...

Spłynęło na mnie poczucie ogromnej ulgi. Zdecydowanie łatwiej było być przestraszonym, dbającym tylko o własną skórę redaktorem średnio poczytnego czasopisma, który najlepiej się czuł, gdy opisywał historie stukniętych staruszek, słyszających „jakieś dziwne szuranie”.

Zacząłem wreszcie zasypiać. Pełni spokoju sumienia dopełnił fakt, że podczas nieobecności Rafała (czyli być może do końca życia) będę się opiekował jego małą córeczką, opłacę jakąś dobrą szkołę. Mogę też pomóc w inny sposób... Nie bardzo wiedziałem, w jaki, jednak rozważanie tego problemu przerwał mi...

Czułem się dziwnie, siedząc na kolanach tego człowieka, on jednak lewą ręką przytrzymywał mnie dość mocno na wysokości klatki piersiowej, więc nie miałem wyboru. Od czasu do czasu miarowo poruszał nogą, sprawiając, że delikatnie podskakiwałem. Czułem na twarzy jego ciepły oddech, pachnący dymem papierosowym, jednak - o dziwo - nie odczuwałem dyskomfortu. Powiedziałbym nawet, że było przyjemnie i bezpiecznie.

Spojrzałem w dół.

Na nogach miałem krótkie spodenki, a moje małe stopy obute były w staromodne, dziecięce sandały. Gdy wyciągnąłem przed siebie ramiona, zobaczyłem pulchne rączki i piąstki, które chwilę potem zostały przykryte sękatą, pokrytą wątrobowymi plamami dłonią.

Widziałem już gdzieś podobną scenę, miałem ochotę odwrócić się i sprawdzić, kto jest tajemniczym starcem, lecz siedziałem cicho. Bałem się, że cała ta magia może nagle prysnąć.

- Mówiłem ci już, Wituś, że czas to wariat?

- Tak, dziadku - odrzekłem piskliwym głosem i w tej samej chwili zorientowałem się, na czyich kolanach siedzę. - Mówiłeś, że stary i zwariowany - dodałem.

- Racja, smyku - pradziadek Gielmudy poruszył się lekko. - Dobrze, że mnie słuchasz. I powiem ci jeszcze jedno...

- Tak, dziadku...? - zawiesiłem głos, stawiając na końcu znak

zapytania.

- To wcale nie jest takie złe.

Po chwili milczenia dodał:

- Różne mnie losy w życiu spotkały, ale śmierć wcale nie była najgorszą z nich...

Poczułem, jak skóra cierpnie mi na karku, a dziecięce mięśnie prężą się, jakbym szykował się do ucieczki. Doskonale to wyczuł, bo w tej samej sekundzie przycisnął mnie mocniej do siebie.

- Nie bój się - powiedział cicho. - Dlaczego się boisz?

- Nie wiem, dziadku...

- Widzisz, Wituś, nie powinieneś się bać zmarłych. Oni już wszyscy są tam, skąd dzisiaj do ciebie przyszedłem, i wiesz co? Wcale nie mają ochoty tutaj wracać.

- Jesteś duchem?

Zastanowił się i odparł:

- Sam nie wiem. Pewnie tak.

- Ale ja się boję duchów, dziadku. - W tej chwili nie miałem już ochoty się obejrzeć. Oczyma wyobraźni widziałem potworną, zdeformowaną twarz zmarłego przed laty starca.

- Niepotrzebnie, zupełnie niepotrzebnie... - powiedział cicho.

- Gorszi są inni... Ci, którzy nie całkiem jeszcze umarli.

- Tacy, jak ci, co się powiesili w Starzyźnie? - Sam się zdziwiłem, że zadałem to pytanie.

- Tak, smyku. Oni są bardzo źli i niebezpieczni. Ale wiesz kogo powinieneś się jeszcze bać przynajmniej tak samo, jak ich?

Nie znałem odpowiedzi, więc nie odezwałem się ani słówkiem.

- Tylko trudne chwile powiedzą ci, kim tak naprawdę jesteś. Powinieneś się więc bać samego siebie... Rozumiesz, co mam na myśli?

- Tak, dziadku - przytaknąłem skwapliwie, tak naprawdę nie mając zielonego pojęcia, o co mu chodzi.

- To dobrze - rzekł. - Teraz wyjdę na zewnątrz, żeby sobie zapalić. Teraz już mogę palić bez obaw, że przez to zachoruję.

Roześmiał się cicho, łagodnie zdjął mnie z kolan i posadził na swoim miejscu. W jego twarzy nie było nic straszego. Spojrzał mi w oczy pogodnym, ciepłym wzrokiem, zmierzwił mi włosy i zostawił samego przy piecu.

Miałem nadzieję, że wróci, ale się tego nie doczekałem.

... głęboki sen.

Głęboki i bardzo dziwny. Jeśli miałbym go w jakiś sposób określić, użyłbym przymiotnika „lepki”. Słodkawy, pachnący dymem i - co najważniejsze - wciągający i dobry jak... Trudno powiedzieć. Może miód?

W każdym razie z kolan pradziadka Gielmudy wracałem jak z bardzo dalekiej podróży. Zawieszenie pomiędzy przywidzeniem a pełną świadomością trwało nieznośnie długo. Dziesiątki minut, a może nawet kilka godzin. Wiedziałem już, że znów jestem w domu Rafała, że leżę na łóżku, czując potworne zawroty głowy, i... nie potrafiłem się poruszyć.

„Czy to tak wygląda wylew?” - zapytałem w myślach.

Wpadłem w panikę. Ręce, nogi, nawet powieki... nie poddawały się mojej woli. Myśli galopowały jak oszalałe, a ja nie mogłem nawet pociągnąć nosem. Chciałem krzyknąć, lecz to też mi się nie udało.

Przez zamknięte oczy wpadało coraz więcej światła; wiedziałem, że dnieje. Pozostało mi tylko czekać na to, aż obudzi się Rafał i znajdzie mnie w tym stanie.

Nagle ktoś się nade mną pochylił. Byłem tego pewien; wyraźnie poczułem w powietrzu znajomy zapach tytoniu.

- Pomyśl o tym.

To było wszystko, co szepnął mi do ucha. Znów zostałem sam.

Z braku lepszego zajęcia po wielokroć przypominałem sobie cały sen, każdy gest i każde usłyszane słowo. Wreszcie chyba zrozumiałem i ktoś wyłączył zawroty głowy. Chciałem otworzyć oczy, lecz była to kolejna nieudana próba. Czułem wielką senność.

- Mówiłem ci już, że czas to wariat?

Znów był obok.



- Tak, dziadku, ale teraz bardzo chce mi się spać - szepnąłem.

- To śpij, Witek, śpij. I pomyśl o mnie rano.

Usłyszałem oddalające się kroki, lecz po chwili wrócił raz jeszcze.

- O jednym zapomniałem. Pamiętaj, nigdy ci nie dam spokoju, jeśli tego nie zrobisz... A wiesz chyba, co dla mnie oznacza słowo „nigdy” ...?

\*

Wstałem z łóżka, gdy dzień był już w pełni.

Nic nie wskazywało na to, że nocne zdarzenia mogły być przynajmniej w części rzeczywistością. Byłem rzeźki i wypoczęty. Koszmary z wolna zaczęły się chować w dolnych szufladach wspomnień.

Usłyszałem, że Rafał krząta się w kuchni, więc ubrałem się i wyszedłem z pokoju. Zastałem go akurat w momencie, kiedy siadał za stołem z kubkiem kawy zaparzonej po turecku. Wyglądał, jakby w ogóle nie spał.

- Chcesz kawy? - zapytał.

- Nie, dzięki. Nie mam ochoty. Chyba wolę herbatę.

Chciał wstać, lecz stwierdziłem, że sam sobie poradzę.

Niedługo potem opierałem się o kuchenną szafkę z herbatą w ręce i obserwowałem jego profil. Od poprzedniego wieczoru rysy Rafała wyraźnie się wyostrzyły. Policzki miał zapadnięte, co sprawiało, że jego nerwowy tik był wyraźniejszy niż zwykle. Siedział przed stygnącą kawą, krzyżując przed nią przedramiona. Przygarbiona sylwetka sprawiała wrażenie, że dźwiga na plecach wszystkie troski tego świata. Pomyślałem, że chyba nie tylko tego...

Nagle jego usta wykrzywił grymas, który pierwotnie miał być prawdopodobnie uśmiechem.

- Pamiętasz, jak w pamiętniku pisałem o moim pradziadku? - Spojrzał w moim kierunku. Jego oczy lśniły jak w gorączce, lecz z ulgą dostrzegłem w nich pogodne rozblęski.

- Tak.

- Śnił mi się dzisiaj.

Poczułem, że nogi lekko się pode mną uginają, więc na wszelki wypadek usiadłem naprzeciw Gielmudy.

- Wiesz, to dziwne... - ciągnął. - Dałbym sobie głowę uciąć, że nie zmrużyłem w nocy oczu. Wydaje mi się, że pamiętam każdą minutę, ale chyba jednak musiałem na chwilę zasnąć.

Nie wytrzymałem jego spojrzenia i uciekłem wzrokiem w kierunku okna. Tak naprawdę nie chciałem, żeby Rafał opowiadał mi swój sen i miałem nadzieję, że moje zachowanie potraktuje jako brak zainteresowania. On jednak mówił dalej:

- To było cholernie... - szukał przez chwilę słowa - cholernie rzeczywiste. Wszystko działo się w moim pokoju, on wszedł cicho i usiadł obok mnie. Była noc. Siedział kilka minut bez słowa, a potem mi powiedział, żebym się nie bał i że wszystko będzie dobrze.

Sięgnął po kubek i upił kilka łyków.

- I już? To wszystko? - zapytałem, patrząc znów w jego stronę.

- Właściwie tak... - Tym razem to on odwrócił głowę. - Wstał i wyszedł.

Rafał siedział, wciąż lekko się uśmiechając, a ja czułem ulgę, że jego sen tak właśnie wyglądał. Bałem się czegoś o wiele gorszego, właściwie nawet nie potrafiłem określić, co to mogło być.

- Tylko... - odezwał się znów. - Tylko przed wyjściem powiedział coś jeszcze...

- Co takiego? - Poczułem rosnący w gardle strach.

- A, nie... to nieważne - odrzekł i spojrzał na zegarek. - Czas na mnie. Został mi już przecież tylko jeden dzień.

Odsunął krzesło i wziął kubek do ręki, którą przytrzymałem gwałtownym ruchem.

- Czy powiedział coś o mnie? - Mój głos zabrzmiał chyba zbyt natarczywie.

- Witek, to tylko sen... Daj spokój...

- Powiedział, prawda?

Rafał przyglądał mi się uważnie. Byłem pewien, że walczy z myślami, czy odpowiedzieć.

- Najpierw mnie zrugął, że nie jestem ze swoją córką, bo tam jest moje miejsce, a nie w domu, zwłaszcza gdy jest chora...

- A potem? - lekko poluzowałem uchwyt, zdając sobie sprawę, że ściskam przedramię Rafała zbyt mocno.

Pokręcił głową i machnął lekceważąco wolną ręką.

- Potem powiedział, że to nic nie szkodzi, bo i tak nie będę się z nią musiał rozstać w najbliższym czasie.

Wstał i zaniósł kubek do zlewu. Znów poczułem ulgę. Usłyszałem, jak wychodzi z kuchni, lecz nagle przystanął.

- Wiem, że to idiotyczne - usłyszałem zza pleców - ale wiesz, co powiedział?

Milczałem.

- Faktycznie, powiedział coś o tobie. Tuż przed wyjściem zapewnił mnie, że to ty zamiast mnie pojawisz się w Starzyźnie...

## 2.

Wcale nie zamierzałem się tam pojawiać.

Owszem, nocne wydarzenia wciąż wydawały mi się nadzwyczaj realistyczne, a wspomnienie starca tak wyraźne, jak pozostały pod powiekami wizerunek mojego gospodarza w chwilę po tym, gdy wyszedł z domu, aby jeszcze trochę pobyć z córką. Nie czułem się z tym wszystkim komfortowo, niemniej jednak miałem też swój rozum, którego posłuchałem, podejmując ostateczną decyzję o rezygnacji z zastąpienia Rafała w jego misji.

Stałem w oknie i gapiłem się na przejeżdżające ulicą samochody i na przechodniów, zmierzających do centrum miasteczka, by przed świętami zrobić ostatnie zakupy, a może w ostatniej chwili pojednać się z Bogiem. Stary mężczyzna nie dawał mi jednak spokoju. Mimo woli zastanawiałem się, czy to możliwe, że któraś z osób spotkanych podczas pracy w dziale opisującym nadnaturalne zjawiska mogła choć w minimalnej części mieć rację.

Ileż to razy spotykałem się z relacjami o powracających zmarłych, którzy nie mogą pożegnać się z tym światem. „Mają tu widocznie jeszcze coś do załatwienia” - przekonywali mnie

specjaliści od dusz błądzących gdzieś pomiędzy różnymi wymiarami.

„Ale przecież pradziadek Rafała powiedział mi zupełnie coś innego” - pomyślałem.

Nie mogłem sobie przypomnieć, co dokładnie, lecz na pewno coś innego niż to, że nie odszedł do świata zmarłych.

- Oni wszyscy już są tam, skąd dzisiaj do ciebie przyszedłem - wypowiedziałem te słowa na głos, starając się upewnić, czy tak właśnie brzmiały. - I wcale nie mają ochoty tutaj wracać...

Tak, dokładnie taki był sens tego, co usłyszałem w nocy.

- Po co więc wróciłeś? - zapytałem szeptem.

Na zewnątrz błysnęło słońce i pastelowym blaskiem podkreśliło irracjonalność lekkiego dreszczu, który wyraźnie czułem na plecach. Odetchnąłem głębiej i postanowiłem skupić uwagę na ludziach mijających dom.

Bez żenady oddałem się tej czynności, ponieważ nie mogli mnie widzieć, ukrytego za drobnymi oczkami śnieżnobiałej firanki. Tuż za ogrodzeniem przedefilowała młoda matka z wózkiem, zaraz za nią, trzymając się za ręce, przeszła para starszych ludzi. Prawie zniknęli mi z pola widzenia, gdy minęli zmierzającego w przeciwnym kierunku starszego człowieka. Był spory kawałek od mojego okna, a mimo to odniosłem wrażenie, że się uporczywie w nie wpatruje. Choć przygarbiony, zbliżał się dość żwawym krokiem i wciąż nie odrywał wzroku od... nie, on nie patrzył w okno. Patrzył mi prosto w oczy.

Poznałem go, zanim dotarł do furtki. Zatrzymał się przy niej, uśmiechnął i podniósł rękę w przyjaznym geście. Nie miałem wątpliwości. Wspomnienia minionej nocy były jeszcze zbyt żywe.

Franciszek Gielmuda postać chwilę, jakby oczekując, że odwzajemni gest; gdy się tak jednak nie stało, pchnął furtkę i ruszył w kierunku domu. Usłyszałem skrzypnięcie zawiasów i szcęk metalowych drzwiczek. Stałem jak zahipnotyzowany. Gdy wreszcie zniknął mi z pola widzenia, zacząłem się gorączkowo zastanawiać, czy drzwi wejściowe są zamknięte.

„Duchy nie mają problemów z zamkami” - przeszło mi przez myśl, jednak mimo to z ulgą przypominałem sobie, że Rafał

wychodząc przekręcił klucz od zewnątrz.

Odwrociłem się plecami do okna i czekałem.

Zza pleców dobiegł warkot silnika przejeżdżającego samochodu. Potem drugiego, natomiast w najbliższym otoczeniu domu panowała cisza.

Był jasny, słoneczny dzień, a ja stałem trzęsąc się jak w febrze. Ciekawe, co bym zrobił, gdyby teraz ktoś znieścacka zapukał w szybę, która znajdowała się tuż za mną? Uznałem, że choć z moim sercem nie jest najgorzej, mogłoby tego nie wytrzymać. Cholernie się bałem, lecz i tak zdecydowałem się popatrzeć za siebie.

To, co zobaczyłem, sprawiło, że znów zacząłem oddychać głębiej. Ani za oknem, ani na chodniku nie było nikogo. Przejeżdżający ulicą chłopak spojrzął w moim kierunku obojętnie, po czym przyśpieszył stając na pedałach. Byłem spokojniejszy, to prawda, ale do całkowitej równowagi brakowało mi jeszcze bardzo wiele.

Usiadłem przy stole i zacząłem zbierać myśli. Starszy człowiek nie był przywidzeniem - to pewne. Nagle uświadomiłem sobie, że przecież nie mam bladego pojęcia, jak wyglądał pradziadek Gielmudy. Znałem go tylko z dość pobieżnego opisu w Rafałowym brulionie...

Pokręciłem głową i zacząłem się zastanawiać, kim mógł być ten starszy jegomość, tak podobny do starca z nocnego koszmaru. Był prosty sposób na poznanie tej zagadki. Wystarczyło wyjść na zewnątrz i spytać, po co przyszedł. Nawet potem nie próbował zapukać.

Opuściłem kuchnię i stanąłem w przedpokoju. Drzwi do wiatrołapu były otwarte na oścież, zupełnie nie tak, jak zostawiłem je po wyjściu Rafała. Cały korytarz zalewało słoneczne światło, a drzwi zewnętrzne delikatnie poruszały się pod wpływem słabych podmuchów wiatru.

Trudno powiedzieć, jak długo wpatrywałem się w prowadzącą na podwórze jasny prostokąt. Bałem się nawet do niego podejść.

- Jest tu kto? - usłyszałem swój zachrypnięty głos.

Odpowiedziała mi cisza. Gdy po chwili zamierzałem głośniejsze powtórzyć pytanie, usłyszałem ciche zgrzytnięcie zawiasów w drzwiach prowadzących do pokoju, w którym spałem. Na zeszywniałych nogach zrobiłem kilka kroków w ich kierunku.

- Rafał? To ty?

Czułem, jak każda zgłoska z trudem wydobywa się z zaciśniętego gardła. Sięgałem właśnie do klamki, kiedy drzwi zatrzęsły się z hukiem tuż przed moją twarzą. Otworzyłem je i wszedłem. Okno było zamknięte, więc przeciąg był wykluczony.

Pierwszy raz w życiu przeżyłem coś takiego. Już przekraczając próg, czułem niewypowiedziany strach, ale zaraz potem spotkało mnie coś, przy czym dotychczasowe obawy okazały się niczym. Miałem wrażenie, że ktoś był w pomieszczeniu razem ze mną.

Czułem obecność tej osoby nie mniej intensywnie, niż gdybym widział ją siedzącą za stołem. Byłem bacznie obserwowany. Mogłem nawet dość dokładnie określić miejsce, z którego śledzą mnie czyjeś oczy.

- Kim jesteś? - zapytałem nieco spokojniej. - Kim jesteś i czego ode mnie chcesz?

Postać, którą jedynie wyczuwałem, zaczęła się przybliżać. Zaraz potem byłem pewien, że jest tuż przede mną. Wyciągnąłem rękę i... nie trafiła ona w pustkę. Gdy zacisnąłem palce, wewnątrz dłoni pozostała mi garść lodowatego powietrza. Tak samo chłodnego, jak podmuch, który niedługo potem poczułem na policzkach.

Zostałem w pokoju sam, a drzwi zewnętrzne zamknęły się cicho za moimi plecami. Usłyszałem odgłos zamykanego zamka i znów byłem w domu sam.

Uspokajając oddech zacząłem się ubierać. Na kuchennym stole zostawiłem Rafałowi kartkę z wiadomością, że wyszedłem i nie wiem, kiedy wrócę.

\*

Spacer rozjaśnioną słońcem ulicą dobrze mi zrobił. Po kilkudziesięciu metrach mojego miarowego kuśtykania tętno wróciło do normy. Starłem się skupić uwagę na otoczeniu.

Słuchałem nieśmiałego jeszcze śpiewu ptaków, patrzyłem w twarze mijanych ludzi, mając nadzieję (nie wiem, skąd mi się to wzięło), że na którejś z nich dostrzegę przynajmniej cień uśmiechu. Jednak uśmiech do nieznanego jest w Polsce towarem bardzo deficytowym nie tylko w refleksyjny Wielki Piątek, więc musiało mi wystarczyć to, że po prostu nie jestem sam.

Wydawało się, że w środku dnia, w tłumie, łatwiej oswoję się z tym, co miało miejsce przed kilkunastoma minutami i, w istocie, tak właśnie było, lecz dłoń, którą dotknąłem lodowatego powietrza, wciąż pozostawała zimna, nie pozwalając zapomnieć o niezwykłym zajściu. Zresztą, wcale nie chciałem zapomnieć. O wiele bardziej zależało mi na tym, aby odnaleźć sens tego, co mnie spotkało. A później podjąć dobrą decyzję...

Nawet nie próbowałem sam siebie oszukiwać, że moja przechadzka nie ma celu i zakończy się, na przykład wtedy, gdy porządnie rozboli mnie noga. Cel był jasny, zwieńczony sygnaturką, wyraźnie rysującą się na tle błękitnego nieba.

Od centrum Krasnobrodu do klasztoru dominikanów i połączonego z nim kościoła miałem spory kawałek, mimo to postanowiłem pójść właśnie do miejsca, o którym Rafał wspominał w swoim brulionie. Z jego zapisków wynikało, że jest ono szczególne dla wiernych. Pomyślałem, że może i dla mnie takim się stanie.

Natychmiast przyszedł mi na myśl Adam i nasze częste spory dotyczące wiary. W przeciwieństwie do niego byłem zdecydowanie bardziej sceptycznie nastawiony do kleru i sposobu, w jaki sprawuje on swoją misję wśród wiernych. Sam czułem się częścią Kościoła, ale określałem siebie modnym ostatnio i dość wygodnym określeniem „wierzący niepraktykujący”. Nie ulegało jednak wątpliwości, że podczas ostatnich dni mój pogląd na sprawy związane z życiem pozagrobowym ulegał znaczącym zmianom. Żałowałem, że nie mogę o tym porozmawiać z Adamem; byłem ciekaw, co on by na to wszystko powiedział. Byłem też ciekaw, jak te wszystkie zdarzenia wpłyną na sprawy związane z postrzeganiem przeze mnie religii. Czy znów zacznę

chodzić na niedzielne msze święte, czy zechcę po latach przystąpić do spowiedzi, a potem komunii? Nie wiedziałem. Być może między innymi w poszukiwaniu odpowiedzi na te pytania kużytałem w stronę rosnącego w oczach zespołu klasztornego.

Po kilku minutach byłem u celu.

Architektura baroku to nigdy nie była moja bajka. Zawsze zdawało mi się, że kapiące złotem zdobienia i przesyt kolorów nie współgrają z misją Kościoła, a zwłaszcza z cnotą ubóstwa, którą powinien się on przecież cechować. Owszem, przepych mógł oddziaływać na wiernych przed wiekami, jednak w oczach współczesnych błyskotki nie powinny robić aż takiego wrażenia. Te świątynie jednak liczą przecież po kilkaset lat i bez sensu byłoby je teraz przerabiać na współczesną modłę. I tak źle, i tak niedobrze.

Z tablicy informacyjnej dowiedziałem się, że klasztor i kościół zostały ufundowane pod koniec siedemnastego wieku przez królową Marysięnkę. Ponoć z wdzięczności za uzdrowienie.

„A może i na mnie spłynie choć trochę uzdrawiającej łaski”? - pomyślałem, przy czym bardziej chodziło mi o stan ducha niż ciała, które - nie licząc chromej nogi - miało się jeszcze w miarę zadowalająco.

Wnętrze świątyni niczym mnie nie zaskoczyło, może poza tym, że złota i innych błyskotek było tu o wiele więcej, niż się spodziewałem. Starając się nie zwracać na siebie uwagi wiernych oczekujących na spowiedź, przyjrzałem się cudownemu obrazowi (a właściwie obrazkowi, który został umieszczony na tle o wiele większej kopii). Znajdujące się w jego pobliżu wota w postaci koralii, serc i krzyżyków, wykonanych zapewne głównie ze srebra, świadczyć miały o wymodlonych tu łaskach.

Wybrałem sobie miejsce trochę na uboczu, by móc skupić się wyłącznie na własnych myślach. Z trudem ukląknę na jednym kolanie i przeżegnałem się zamasyście - tak jak byłem uczony wiele lat temu. Szybko zmówiłem „Ojcze nasz” i „Zdrowaś Mario”... Tyle. Więcej modlitw nie pamiętałem.

Rozglądałem się bezradnie po kościele, jakby mając nadzieję, że znajdę jakąś pomoc, lecz ta nie nadeszła. Złapałem się na tym, że



bez przerwy bezwiednie masuję skostniałą z zimna dłoń. Uczucie chłodu nie chciało ustąpić.

Wota przy cudownym obrazie znów przykuły moją uwagę. W pewien sposób te skromne dary były wzruszające. Osoby, które je ofiarowały, z pewnością nie należały do bogatych; być może często zostawiały tu swe najcenniejsze skarby. Pewnie teraz, poza skromnymi nagrobkami, te przedmioty były jedynymi rzeczami, które po nich pozostały. Czy ja miałem coś takiego, co mógłbym tu zostawić, gdyby moje modlitwy w jakiejś ważnej kwestii zostały wysłuchane?

Miałem. Srebrny ryngraf z wizerunkiem Matki Boskiej Ostrobramskiej, który moja babka sprezentowała synowi z okazji pierwszej komunii. On potem przekazał go swojemu synowi, czyli mnie. Przyszło mi na myśl, że gdy Rafał wróci szczęśliwie ze Starzyzny, ryngraf zawiśnie przy obrazie Matki Boskiej Krasnobrodzkiej.

Kiedy tylko to postanowiłem, słowa modlitwy same zaczęły układać się w zdania. Straciłem poczucie czasu. Modliłem się też za rodziców, za Adama, by miał siłę żyć ze stratą Magdy, za nią samą i za matkę mojego przyjaciela, która - z tego, co mi było wiadomo - ostatnio czuła się źle i nie wiadomo było, czy to nie jest coś poważniejszego.

Coś takiego spotkało mnie po raz pierwszy w życiu. Miałem poczucie, że naprawdę rozmawiam z Bogiem. Zastanowiłem się nawet, czy nie warto byłoby się wypowiedzieć, lecz to było chyba zbyt wiele jak na jeden raz. Wyznawanie grzechów przed obcą, pewnie nierzadko tak samo grzeszną jak ja, osobą od bardzo dawna uważałem za jakąś kompletną pomyłkę. Nie potrafiłem znaleźć przyczyn, które dzięki wyklepaniu formułki i grzechów miałyby mnie z nich oczyścić. Ważniejsze wydawało mi się samo uświadomienie ich i wewnętrzna obietnica o ich zaniechaniu. Bóg przecież i tak znał je wszystkie doskonale.

Z trudem podniosłem się z klęczek. Gdy krążenie wracało bardzo powoli, przypomniałem sobie o zmarzniętej dłoni. Teraz była przyjemnie ciepła. Dokładnie tak, jakby ktoś jeszcze przed chwilą trzymał ją we własnych rękach.

### 3.

W kościele spotkały mnie nadspodziewanie miłe przeżycia, co nie zmieniało faktu, że przede mną był spory kawał drogi. Czując z każdą chwilą nasilający się ból w kolanie, obawiałem się, że mogę mieć problemy z drogą powrotną. Kilkadziesiąt minut w niewygodnej pozycji zrobiło swoje, a w dodatku miałem wrażenie, że nadchodzi zmiana pogody. Niezawodny barometr, który zawsze nosiłem ze sobą pomiędzy udem a tydką, mylił się w takich kwestiach niezwykle rzadko.

Klakson przerwał te niezbyt optymistyczne myśli. Spojrzałem w prawo i zobaczyłem znajomą sylwetkę białego opla i Rafała za jego kierownicą.

„Trochę modlitwy i od razu zaczynają się cuda” - skonstatowałem w myślach i pokuśtykałem w stronę auta.

- A ty skąd się tu wzięłeś? - zapytałem wsiadając. - Nie miałeś być przypadkiem u Paulinki?

- Byłem jakiś czas, ale mam jeszcze kilka innych rzeczy do załatwienia.

Spojrzałem na niego z ukosa.

- Mianowicie?

- No wiesz... Jeszcze zapomniane zakupy przed wyjazdem...

- Nie wracasz przecież ze sklepu. Nie wiem, czy znasz to miasteczko, ale właśnie poruszamy się w kierunku centrum.

Uśmiechnął się pod nosem, a po chwili odparł:

- No dobra, byłem w miejscu, gdzie pochowałem Trzeźniowskiego.

- Przecież, z tego, co pamiętam, nic już tam po nim nie zostało...

- To prawda, ale pomyślałem sobie... - Przerwał. - Wiesz, pomyślałem, że nie powinienem zostawić przed wyjazdem tego miejsca bez jakiegokolwiek symbolicznego oznaczenia.

Zamyślił się, a po chwili dodał:

- Chyba każdemu należy się grób w miejscu, w którym zostały złożone jego doczesne szczątki. Nie sądzisz?

- Pewnie masz rację - powiedziałem bez przekonania. - Ale czy mogiła nie wzbudzi niepotrzebnego zainteresowania?

- Nie chodzi o mogiłę. Zostawiłem tam na najbliższym drzewie taki mały krzyż. Tak dla spokojnego sumienia. I dla spokoju jego duszy...

- Może będzie ci mógł jeszcze pomóc.

- Może.

Jechaliśmy przez jakiś czas w milczeniu.

- A ty? Gdzie byłeś? - zapytał.

- Chciałem się pomodlić.

- Zawiozę cię do domu, jeśli chcesz. Muszę jednak jeszcze wstąpić do sklepu, więc...

- Nie, nie - przerwałem mu gwałtownie. - Poczekam na ciebie w samochodzie.

Nie chciałem znów być sam w jego domu.

\*

Wydawało się, że bagażnik opla był już załadowany prawie do pełna, a jednak upchnęliśmy w nim jeszcze dwa pełne wózki zakupów. Głównie były to niepsujące się artykuły spożywcze i sporo mocnego alkoholu. Pomagałem przy układaniu, więc operacja przebiegła w miarę sprawnie.

- Myślałem, że to, co kupiłeś wczoraj, w zupełności wystarczy - powiedziałem, gdy ruszył, by odprowadzić wózek do sklepu. - Nie przesadziłeś trochę z tym zaopatrzeniem?

Zatrzymał się i odwrócił w moją stronę.

- Lepiej, żebym miał za dużo niż za mało. Poza tym, wiesz, że te zakupy są prawdopodobnie nie tylko dla mnie...

Skinąłem głową i zatrzasnąłem klapę bagażnika. Kiedy tylko Rafał wrócił i usiadł obok, zapytałem:

- Jak to właściwie jest? Nie rozumiem jednej rzeczy z tego, co napisałeś o Starzyźnie...

- Mianowicie?

Przeciskaliśmy się ostrożnie po zatłoczonym parkingu, a ja starałem się jak najzgrabniej ubrać moje wątpliwości w słowa.

- Chodzi mi o to - odezwałem się znów, gdy byliśmy już na ulicy

- że nie bardzo pojmuję, jak to jest z tymi przedmiotami, które wracają do stanu z dnia poprzedniego. Pamiętasz, pisałeś o rozbitym kubku, który następnego ranka znów był cały... A chyba - jeśli dobrze rozumiem - zjedzonych, dajmy na to, ziemniaków, czy zużytego oleju, następnego ranka nie ma w piwnicy?

- Podobnie jest ze ściętymi drzewami, które nie wracają do poprzedniego stanu - uzupełnił.

- No właśnie. O co tu chodzi? Nie doczytałem czegoś?

- Może nie napisałem precyzyjnie - odparł. - Regenerują się tylko przedmioty. O wszystko, co potrzebne do życia, na przykład opał i żywność, trzeba zadbać samemu. To bardzo sprytna kłątwa. Na tyle przyjazna, że z braku pożywienia czy od chłodu nie można umrzeć, bo nosiłoby to znamiona samobójstwa, ale z drugiej strony - aby przeżyć, trzeba się solidnie napracować. Ktoś mądry musiał to wszystko wykombinować.

- Na to wygląda - potwierdziłem. - Czyli z Jasiem Wędrownikiem mieliście do czynienia tylko raz?

- Niestety. Ale za to moją paczką papierosów Kowalik opędził ładne kilkanaście miesięcy. - Mówiąc to, Rafał aż uderzył ze złością w kierownicę. - Ale do czasu... Zabrałem je dopiero wtedy, gdy wreszcie udało mi się go pieprznąć siekierą przez ten durny łeb.

\*

Atmosfera w domu Gielmudy gęstniała z minuty na minutę.

Pomimo że to nie ja miałem przed sobą perspektywę nocnej wyprawy do Starzyzny, i tak zdenerwowanie przełaziło na mnie z Rafała jak paskudny wirus. Siedzieliśmy w kuchni, próbując znaleźć jakiś temat, który pozwoliłby odegnać czarne myśli.

Rafał już wcześniej pożegnał się z córką. Zapowiedział, że jakiś czas go nie będzie, a Paulinka przyjęła tę wiadomość bez większych emocji. Pewnie byłoby inaczej, gdyby zdawała sobie sprawę, z jak wielkim ryzykiem wiąże się wyjazd ojca. To jednak wiedzieli tylko nieliczni.

Byłem wśród nich i nie cieszyłem się zbytnio z tego powodu.

Dałem sobie już spokój z odwodzeniem Gielmudy od

szaleńczego pomysłu. Widziałem, jak bardzo jest spięty, nie chciałem go stresować jeszcze dodatkowo gadaniem, które i tak nie odniosłoby żadnego skutku. Swoją drogą byłem ciekaw, jak zareagowałby, gdybym mu powiedział o moich wcześniejszych planach. Na myśl o tym przed oczami stanął mi tajemniczy stary mężczyzna.

- Masz może jakieś zdjęcie swojego pradziadka? - zapytałem.

Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, z trudem wracając myślami z bardzo daleka. Najwyraźniej miał problem z uchwyceniem sensu mojego pytania, więc powtórzyłem je jeszcze raz.

- Po co ci zdjęcie mojego dziadka? - zapytał wreszcie niepewnie.

- Nie dziadka, ale pradziadka - poprawiłem. - Zdaje się, że to była nietuzinkowa postać, więc chciałbym zobaczyć, jak wyglądał.

Podniósł się z krzesła odruchowo, jednak po chwili znów na nim usiadł.

- Daj spokój, przecież nie będę teraz przeglądał albumów ze zdjęciami - rzekł. - Nie mam do tego głowy...

- A co masz lepszego do roboty? Przynajmniej zajmiesz myśli czymś innym niż zbliżająca się północ.

Zastanowił się i wstał ponownie.

- Pewnie masz rację - powiedział jeszcze, zмирzając w stronę drzwi. - Może i czas szybciej poleci? Mam już dosyć tego cholernego czekania.

#### 4.

Nie było dla mnie zaskoczeniem, że czas tego popołudnia gnał jak opętany. Już przed wielu laty zauważyłem, że gdy w perspektywie jest jakieś mało sympatyczne zdarzenie, gdy chciałoby się, aby trochę zwolnił, upływające godziny złośliwie przyspieszają swój bieg. Nawet droga z Krasnobrodu do Guciowa, mimo że Rafał jechał bardzo wolno, zdawała się kilkakrotnie krótsza, niż bywało to wcześniej.

Uparłem się, że będę mu towarzyszyć. Wcześniej nie było o tym mowy; Rafał był przekonany, że gdy wyjedzie do Guciowa, ja zostanę w Krasnobrodzie, by następnego dnia wrócić do Warszawy. Chciałem spędzić Wielkanoc w zagrodzie Stanisławskiego, argumentując, że lepsze to niż samotne siedzenie w mieście. Przyznał mi rację, choć pewnie, gdybym powiedział mu o swoich planach na najbliższą noc, nie wpuściłby mnie do auta. Nie musiał jednak przecież wiedzieć wszystkiego.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, było już prawie całkiem ciemno.

Zatrzymaliśmy się przed dobrze mi znaną drewnianą bramą. Na parkingu stało kilka samochodów, a we wnętrzu karczmy wciąż paliło się światło.

- Poczekasz? - zapytałem. - Tylko sprawdzę, czy znajdzie się dla mnie nocleg, i zaraz przyjdę po rzeczy, dobrze?

- Tylko szybko - odparł. - Ona pewnie tam już jest. Miałem być na wygonie tuż po zmroku...

- To zajmie mi chwilę. Zresztą, skoro czekała tyle czasu, to poczeka jeszcze te kilka minut, prawda?

- Wolę nie ryzykować, więc lepiej się pośpiesz.

Złatwiłem sprawę najszybciej, jak było to możliwe. Janek stał za barem i - choć gdy wszedłem, nie miał zbyt szczęśliwej miny - zgodził się, bym został u niego na święta. Wziąłem klucz od pokoju i wróciłem do auta. Przez ten czas Rafał wyjął moją torbę i postawił przy samochodzie. Stałem naprzeciw niego i spojrzałem mu w oczy.

Nigdy nie zapomnę ich wyrazu. Dotąd trzymał się dzielnie i skrywanie emocji wychodziło mu całkiem nieźle. Teraz patrzył na mnie bezradnym, przerażonym wzrokiem. W bladym świetle latarni znów ujrzałem mimowolne skurcze na policzku.

Przez ostatnich kilka dni wyraźnie się postarzał. Jego twarz pokryła się kolejnymi zmarszczkami, a włosy miał niemal tak samo siwe, jak ja. Jednak w tym jednym momencie widziałem w nim młodego mężczyznę, a może nawet chłopca, który nie potrafi sobie poradzić z tym wszystkim, co go spotkało. Pomyślałem, że chyba nie zasłużył na tak wielką karę.

Wyciągnął w moją stronę dłoń, a ja ucisnąłem ją mocno.

- Przepraszam, że cię w to wplątałem - powiedział cicho łamiącym się głosem. - I bardzo dziękuję za pomoc...

- Nie ma za co - odrzekłem odruchowo.

- ...i za to, że byłeś tu ze mną.

Zapadła niezręczna cisza, którą postanowiłem za wszelką cenę przerwać.

- Trzymaj się i wracaj szczęśliwie - starałem się powiedzieć to jak najbardziej beztrąsko, lecz wcale nie byłem przekonany, czy mi się to udało. - Będę zaglądał do Paulinki, żeby dowiedzieć się, czy wszystko u niej w porządku. Możesz być spokojny, że do twojego powrotu włos jej z głowy nie spadnie. Zresztą, i tak jest pod dobrą opieką, prawda?

Skinął w odpowiedzi głową.

- Dzięki - szepnął, odwracając się gwałtownie, bym nie zobaczył jego łez. - Do zobaczenia, Witek - dodał zza kierownicy i zatrzasnął drzwi.

Stałem na pustej ulicy, patrząc na niknące w oddali tylne światła opla. Nawet gdy już ich nie widziałem, nie potrafiłem się ruszyć z miejsca. Tak naprawdę dopiero w tym momencie dotarło do mnie z całą mocą to, co się zdarzyło. Miałem cholernie złe przeczucia.

Przez następnych kilkanaście minut nie wydarzyło się zupełnie nic. Chyba łudziłem się, że Rafał zmieni zdanie i za chwilę wróci, jednak nic takiego się nie stało. Wreszcie usłyszałem od strony karczmy głosy gości, którzy w świetnych nastrojach opuszczali lokal. Jak najszybciej zszedłem im z drogi, odwracając się do nich plecami.

Gdy odjechali, otarłem policzki wierzchem rękawa kurtki i wziąłem kilka głębokich oddechów. Chłodne powietrze w płucach sprawiło, że poczułem się lepiej. Z trudem odczytałem godzinę na cyferblacie zegarka. Do północy pozostało niecałe pięć godzin.

- Trzeba działać - szepnąłem do siebie. - Trzeba działać, póki jest jeszcze czas...

Okazało się, że dostałem ten sam pokój, w którym mieszkałem wcześniej.

Natychmiast po przekroczeniu progu wróciły wspomnienia, z których niewiele mógłbym określić jako miłe, jednak nie zamierzałem rozpamiętywać poprzednich zdarzeń. Pospiesznie rozpakowałem torbę, po czym wziąłem kosmetyczkę i zarzuciłem na ramię świeży ręcznik. Zanim wszedłem do łazienki, wyrząłem jeszcze przez okno, by sprawdzić, czy ostatni goście nie opuścili jeszcze karczmy. Nic nie wskazywało na to, że Janek wkrótce zamknie gościnne podwoje swojego lokalu, więc poszedłem wziąć szybki prysznic. Chciałem się zrelaksować przed tym, co mnie czekało, i przy okazji zastanowić się nad tym, co postanowiłem.

Po powrocie do pokoju znów wyrząłem przez okno. Kąpiel zajęła mi najwyżej dziesięć minut, ale okazało się, że i tak była ona zbyt długa. Światła karczmy zgasty.

Zarzuciłem kurtkę na cienki, bawełniany podkoszulek i pokonując po kilka stopni schodów, z mokrą głową zbiegłem na dół. Wypadłem na podwórze i niedługo potem stałem przy wejściu do lokalu. Stanisławski akurat zamykał drzwi na klucz.

- Janek! Całe szczęście, że udało mi się jeszcze cię złapać! - wysapałem. - Musisz mi pomóc! - dodałem, opierając się o ścianę.

Ze stoickim spokojem schował klucze do kieszeni, po czym nacisnął klamkę, sprawdzając, czy drzwi są zamknięte.

- Słuchaj no - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Nic nie muszę, rozumiesz?! Odkąd się tu pojawiłeś, ty i ten twój porąbany koleżka, życie w Guciowie nie jest takie jak dawniej. Wszyscy potrzebujemy spokoju, a to akurat jest ostatnia rzecz, jaką mógłbym z tobą kojarzyć. Idę do domu i daj mi spokój. Mam już tego dosyć!

Odwrocił się do mnie plecami i ruszył w kierunku bramy.

- Janek, błagam cię! Przynajmniej mnie posłuchaj.

- Już dość cię słuchałem - warknął, odwracając się. - Cała wieś jest sparaliżowana strachem. Chcemy spokoju, rozumiesz? Spokoju! Gdy tylko cię dziś zobaczyłem w drzwiach, to wiedziałem, że znów będą kłopoty, ale teraz postanowiłem, że dość już tego.



Nie dam się wmanewrować po raz kolejny w wasze ciemne sprawy! - ostatnie słowa prawie wykrzyczał. - Idę do domu i zamierzam spędzić spokojne święta ze swoją rodziną. Czy to do ciebie dociera? I od razu zaznaczam: lepiej powiedz, że tak, bo w przeciwnym razie wywalę cię stąd na zbity pysk i to natychmiast!

Stał naprzeciw mnie, oddychając ciężko. Było jasne, że nie wybierze się ze mną dziś w nocy w okolice Czarnego Wygonu, jak planowałem. Doskonale go rozumiałem i trudno mi było nie wczuć się w jego położenie. Ten facet po prostu miał rację. Pewnie na jego miejscu zachowałbym się dokładnie tak samo.

- Przepraszam cię - powiedziałem. - Nie będę ci więcej zawracał głowy...

- I bardzo dobrze! Mam tego wszystkiego po dziurki w nosie, wracaj więc do swojego pokoju i...

- Pożyczysz mi swoją strzelbę?

Było ciemno, więc nie widziałem jego spojrzenia. Może to i lepiej. Czułem przez skórę, jak narasta w nim złość.

- Tego już za wiele! - powiedział spokojnie. - Idziemy do twojego pokoju. Spakujesz się i nie chcę cię tu więcej...

- Błagam, Janek. Wysłuchaj mnie. Jeśli mi nie pomożesz, to cała ta sytuacja nigdy się nie skończy. Proszę, wejdźmy na chwilę do środka i porozmawiajmy. Wszystko ci wyjaśnię.

Zaskoczył mnie, ponownie otwierając drzwi. Na jego miejscu z pewnością zachowałbym się zupełnie inaczej.

\*

Maszerując przez spowity ciemnościami Guciów, miałem wrażenie, że wszyscy się na mnie gapią. Wprawdzie nikogo nie widziałem, lecz byłem przekonany, że warty policji i mieszkańców wioski wciąż patrolują teren w poszukiwaniu mordercy i lustrują z ukrycia każdego przechodnia. Mogłem być uznany za podejrzanego tym bardziej, że taskalem na ramieniu pożyczoną od Janka strzelbę.

Tak, jak zapowiedział, nie zgodził się na kolejną nocną wyprawę do lasu, mimo że powiedziałem mu o wszystkim. O tajemnicy Starzyzny, o zagrożeniu dla córki Rafała, a nawet o

tym, że wybiera się on tej nocy do przeklętej wioski.

Nie wiem, czy Stanisławski uwierzył w cokolwiek z tego, co mu przekazałem. W trakcie mojej opowieści przyglądał mi się badawczo, w końcu jednak przystał na ostatnią z moich próśb. Wiedziałem, że wręczając mi broń wiele ryzykuje - przecież gdybym nią zrobił komuś krzywdę, byłby za to współodpowiedzialny. Niemniej jednak zdecydował się na ten krok; może trochę dla uspokojenia własnego sumienia, a może ze względu na to, co do tej pory razem przeszliśmy. Obiecałem, że zwrócę strzelbę następnego ranka, a więc miałem być w jej posiadaniu ledwie kilka lub kilkanaście godzin. W dodatku wszyscy w okolicy byli świadomi zagrożenia, więc nawet w razie wpadki istniał cień szansy na ulgowe potraktowanie tego wykroczenia przez stróżów prawa.

Zapewniłem, że potrafię posługiwać się bronią palną. Nie było to do końca kłamstwem; w końcu lata temu odbyłem przeszkolenie wojskowe na studiach. Za swoje umiejętności strzeleckie nie dałbym złamanego grosza, ale niosąc chłodny ciężar na plecach, przynajmniej czułem się trochę pewniej.

Człapałem w kierunku skrętu do Słonecznej Doliny z nadzieją, że moja obecność może jakoś pomóc Rafałowi.

Przewidywałem, że Kowalik będzie próbował uniemożliwić mu ponowne dostanie się do Starzyzny, co dawało szansę, że wreszcie uda się nam go dopaść.

Guciowskie latarnie pozostały w tyle, lecz w żaden sposób nie mogło mi to przeszkodzić. Znałem drogę na tyle dobrze, że trafiłbym na miejsce nawet bez światła księżyca, który srebrzystym blaskiem rozjaśniał okolicę.

Dotarłem do skrzyżowania i znów po lewej stronie dostrzegłem zarys domu na kamiennej podmurówce. Spojrzałem na wskazówki zegarka, doskonale widoczne na białym cyferblacie. Dochodziła dwudziesta pierwsza. Przez jakiś czas wsłuchiwałem się w ciszę i po raz ostatni zastanawiałem się, czy dobrze robię po raz kolejny pakując się w kłopoty. Wiedziałem, że nie, a mimo to zdecydowanie skręciłem w piaszczystą drogę.

Po kilkudziesięciu metrach dalszego marszu dostrzegłem

znajomy biały kształt. Zatrzymałem się, ponownie nasłuchując. Las mruczał cicho swoją niepokojącą melodię i był to jedyny dźwięk, który docierał do moich uszu. Zrobiłem kilkanaście następnych kroków, zbliżając się do samochodu. Wewnątrz nie było nikogo.

\*

Siedzenie po raz kolejny w ukryciu, w chłodnej, nocnej scenerii roztoczańskie lasu, zaczynało być dla mnie czymś naturalnym. Bałem się - to jasne, jednak człowiek chyba jest w stanie przyzwyczaić się do wszystkiego. Czułem wzmożone bicie serca, moje mięśnie reagowały lekkim, niekontrolowanym skurczem na każdy niespodziewany dźwięk, lecz mój stan daleki był od paniki, która towarzyszyła mi podczas takich eskapad w pierwszych dniach pobytu w okolicach Guciowa.

Nieobecność Rafała brałem za dobrą monetę, łudząc się, że może nie udało mu się spotkać upiornej dziewczynki i dzięki temu tuż po północy razem wrócimy do wioski. Była też szansa - jakkolwiek okrutnie by to brzmiało dla niego i Paulinki - że Gielmudzie mimo wszystko nie uda się dotrzeć do Starzyzny. Gdyby jednak miało się stać inaczej, chciałem przy tym być i to była kolejna przyczyna mojej obecności w tym miejscu. Ciekawość, jak to wszystko będzie wyglądało, stanowiła dość niską pobudkę, ale przecież byłem tylko człowiekiem.

Siedziałem oparty o gruby pień dębu, co jakiś czas sprawdzając, czy nabita i odblizana strzelba leży obok. Dzięki księżycowi, który po raz kolejny okazał się moim sprzymierzeńcem, widziałem dokładnie całą okolicę. Czas dłużył się niemiłosiernie, a częste spoglądanie na wskazówki „Timexa” nie było zbyt skutecznym sposobem na przyśpieszenie biegu sekundnika.

Wreszcie, gdy do północy pozostał ledwie kwadrans, zacząłem się niepokoić o Rafała. Był sam, a przecież Kowalik wciąż musiał kręcić się w okolicach Czarnego Wygonu. W przypadku ich spotkania wynik konfrontacji był oczywisty, ale teraz już nic nie mogłem zrobić. Nawet gdybym ruszył z odsieczą, z pewnością było już za późno. Tylko, czy potrafiłbym się na to zdobyć?

Wokół nie wydarzyło się nic, co mogłoby wzmóc mój strach, a jednak w ciągu ledwie kilku chwil zacząłem drżeć na całym ciele. Odruchowo chwyciłem broń i wycelowałem ją na wprost, mimo to niepokój był coraz silniejszy. W powietrzu nasilał się nowy zapach, zupełnie inny niż te, które czułem dotychczas. Zacerpnałem głęboko powietrza i już nie miałem wątpliwości.

Kilka godzin wcześniej, po dłuższych poszukiwaniach w rodzinnych albumach, Rafałowi w końcu udało się znaleźć zdjęcie pradziadka. Wykonana kilkadziesiąt lat wcześniej, wypłowiła fotografia w charakterystycznym kolorze sepii, była mało czytelna, jednak gdy tylko na nią spojrzałem, nie miałem wątpliwości, kogo przedstawia. Franciszek Gielmuda, którego znałem z nocnego koszmaru i którego później zobaczyłem wchodzącego przez furtkę na podwórze Rafała, spoglądał z niej na mnie z ledwie zauważalnym, tajemniczym uśmiechem. Siedział na krześle wyprostowany, z rękami złożonymi na kolanach, na kiczowatym tle ustawionym przez staroświeckiego fotografa. Był na zdjęciu o wiele młodszy, jednak o pomyłce nie mogło być mowy. Długo wpatrywałem się w zdjęcie, nie potrafiąc uwierzyć, że to wszystko zdarzyło się naprawdę.

- Zbladłeś - powiedział wtedy Rafał, wyjmując mi zdjęcie z rąk. - Żle się czujesz?

Chciałem odpowiedzieć, że nie, że wszystko w porządku, lecz nie potrafiłem wydobyć z siebie ani jednego słowa.

Nocna wizyta Franciszka Gielmudy kojarzyła mi się z wyraźnym zapachem tytoniu zmieszanego z wonią miodu. Siedząc ze strzelbą na kolanach, wstrząsany gwałtownymi dreszczami, czułem ten sam zapach. Nie było wątpliwości, że nie jestem sam, i wiedziałem, kto jest tuż obok.

- Czego chcesz ode mnie? - szepnąłem. - Wracaj tam, skąd przyszedłeś.

Nie usłyszałem odpowiedzi, lecz po raz drugi tego dnia poczułem na twarzy lodowaty strumień powietrza.

- Jestem tchórzem, rozumiesz? - wysyczałem. - Nie mogę mu pomóc i całe te twoje gadki o trudnych chwilach się nie sprawdzają. Musisz sobie znaleźć kogoś inne...

Przerwałem w pół słowa w chwili, gdy do moich uszu dobiegł wyraźny dźwięk. Niedaleko, tuż obok samochodu, ktoś nadepnął na suchą gałąź, która złamała się z głośnym trzaskiem. Wyteżyłem wzrok i w mlecznym świetle dojrzałem dwie sylwetki, zmierzające w stronę białego opla. Rafał prowadził dziewczynkę za rękę i, mimo że dzieliło nas kilkanaście metrów, wyraźnie widziałem ślepe, fosforyzujące bielą oczy małej dziewczynki.

Charakterystyczny zapach był wciąż obecny, lecz teraz już nie zwracałem na niego uwagi. Wstałem bezszelestnie i wpatrywałem się w postacie, które tymczasem zbliżyły się do auta. Rafał otworzył drzwi po stronie pasażera, po czym, gdy Anielka była już w środku, delikatnie je zamknął, a następnie ruszył do drzwi kierowcy.

Ale niedaleko samochodu był jeszcze ktoś.

Potężna sylwetka bezszelestnie zbliżała się do pleców Gielmudy. Kowalik biegł tak szybko, że nawet nie zdążyłem krzyknąć. Morderczy cios spadł na kark Rafała z ogromną siłą, sprawiając, że ten padł obok auta, jak rażony piorunem. W tej samej chwili je usłyszałem.

Olbrzym, stojący nad nieruchomym ciałem spoglądał w dół z wyraźną satysfakcją. Uklęknął na jedno kolano i podniósł pięść, szykując się do zadania kolejnego ciosu.

- Zostaw go, skurwielu! - wrzasnąłem, ruszając w stronę olbrzyma.

Podniósł głowę i nasze spojrzenia się spotkały. W świetle księżyca widziałem jego zmasakrowaną twarz i błyszczące ślepia.

- Zostaw go! - powtórzyłem, kuśtykając krok za krokiem. - Takiś cwany? Zaraz zobaczymy, debilu!

Wstał, nie spuszczać ze mnie oczu. Podniosłem broń i wycelowałem w jego szeroką pierś. Już ruszał w moją stronę, gdy nagle stanął jak wryty. Wyglądało na to, że i on usłyszał w tej chwili niosące się pośród drzew bicie dzwonów.

- No chodź! - krzyknąłem, lecz on najwyraźniej przestał się mną interesować i ruszył biegiem w stronę Słonecznej Doli<sup>ny</sup>.

Odrzuciłem strzelbę pomiędzy drzewa, by kilkoma niezdarnymi

susami dopaść do auta. Gwałtownie szarpnąłem drzwiczki po stronie kierowcy, wsiałem i sięgnąłem do stacyjki. Kluczyk na szczęście tkwił na swoim miejscu. Przekręciłem go, próbując uruchomić silnik, i poczułem na nadgarstku silny uścisk.

- Rafałek - powiedziała. - Gdzie Rafałek?

Lewą dłonią oswobodziłem się z chwytu małej rączki; pewnie tylko dlatego mi się to udało, że mała była kompletnie zdezorientowana.

- Zaraz do niego wrócimy.

Motor zaskoczył za pierwszym razem. Włączyłem światła, wrzuciłem jedynkę i wcisnąłem pedał gazu do oporu. Auto skoczyło do przodu.

- Rafałek! - W głosie Anielki zabrzmiała niekontrolowana panika, lecz ja, nie zważając na jej krzyki, gnałem do przodu.

Miałem najwyżej kilka minut, by wrócić do swojego świata. Postanowiłem zaryzykować, wierząc, że to się może udać.

Zobaczyłem Kowalika po przejechaniu kilkudziesięciu metrów. Biegł szybko, pochylony jak sprinter na zawodach, lecz ja wiedziałem, że wkrótce go dopadnę. Wrzuciłem dwójkę, a zaraz potem trójkę i odległość zaczęła błyskawicznie maleć.

Wreszcie z ogromną siłą trafiłem go w okolice kolan. Poleciał do tyłu, wprost na maskę, uderzył plecami w szybę i głową o krawędź dachu, po czym przetoczył się na lewą stronę auta. Chciałem natychmiast zahamować, lecz stopa zablokowała się pomiędzy pedałami gazu i hamulca. Szamotałem się bezradnie, a opel wciąż przyspieszał. W ostatniej chwili zobaczyłem stojący przede mną krzyż. Ściąłem go i zaraz potem samochód wbił się w gruby pień, a ja walnąłem czołem w kierownicę.

- Rafałek, Rafałek! - darła się dziewczynka, tłukąc piąstkami w drzwi.

W wyniku uderzenia silnik zgąsł, a spod maski zaczęły wydobywać się kłęby dymu. Wreszcie udało mi się wyswobodzić uwięzioną stopę i wyskoczyłem na zewnątrz. Obiegnąłem samochód, by otworzyć drzwi po stronie pasażera. Mała wygramoliła się z wnętrza i pobiegła w stronę, z której przed chwilą przyjechaliśmy.

Cały czas słyszałem bicie dzwonów. Nie było chwili do stracenia. Wskoczyłem za kierownicę i próbowałem uruchomić silnik. Bezskutecznie. Gdy znów znalazłem się obok samochodu, miarowe dźwięki zaczęły cichnąć. Najszybciej, jak potrafiłem, biegłem w stronę Guciowa, lecz blask reflektorów, który wciąż miałem pod powiekami, sprawił, że nie widziałem kompletnie nic. Potknąłem się o ciało Kowalika i runąłem jak długi.

Zanim się pozbierałem z ziemi, wokół panowała absolutna cisza. Oczy nieco przyzwyczyły się do ciemności, ale lasu nie rozświetlał już blask księżyca. Kuśtykałem dalej, lecz po przebyciu kilkuset metrów wciąż nie dotarłem do Rafała ani do asfaltowej drogi. Zatrzymałem się, próbowałem głęboko zaczerpnąć powietrza, lecz duszna mgła sprawiła, że jedynie zaniosłem się intensywnym kaszlem.

Stałem jeszcze przez jakiś czas, próbując uspokoić oddech, a następnie odwróciłem się i ruszyłem w kierunku auta.

## 5.

Zdążyłem w ostatniej chwili. Reflektory już nie świeciły, natomiast z odległości kilku metrów czuć było swąd przepalonych kabli instalacji elektrycznej i charakterystyczny zapach wyciekającego paliwa. Wiedziałem, że w każdej chwili może nastąpić wybuch, więc czym prędzej wydobyłem z bagażnika gaśnicę, zanosząc dziękczynne modły za to, że Rafał nie ukrył jej pod zakupami. Zaraz potem otworzyłem pokrywę silnika. Pierwszy strumień pianki z sykiem ugasił iskry, które niewątpliwie w przeciągu krótkiego czasu spowodowałyby eksplozję.

Dopiero gdy opróżniłem całą zawartość gaśnicy, uświadomiłem sobie, że wracając nie widziałem Kowalika. Przeraziła mnie myśl, że mógł wstać i obserwuje mnie teraz z ukrycia. Rozejrzałem się wokół, lecz w ciemnościach nie byłem w stanie dojrzeć czegokolwiek. Z ulgą przypomniałem sobie, że przed zakopaniem psa Rafał wydobył z bagażnika latarkę. Musiałem ją znaleźć za

wszelką cenę.

Przekopanie się jedną ręką przez grube warstwy zapasów spożywczych zajęło mi spory kawał czasu, tym bardziej że co rusz odruchowo oglądałem się za siebie, czy przypadkiem nie mam za plecami szykującego się do ataku napastnika. Tyle że mógłby podejść na odległość kroku, a i tak bym go nie zobaczył. Wreszcie jednak wydobyłem poszukiwany przedmiot. Strumień światła rzucony przez latarkę może nie był imponujący, ale rozpraszał ciemności na odległość kilkunastu metrów, sprawiając, że poczułem się trochę pewniej.

Woń benzyny obok auta przyprawiała o mdłości, nie było więc mowy o tym, bym wsiadł do środka. Stwierdziłem, że muszę się czymś zająć, żeby nie myśleć o swoim położeniu; wciąż byłem w szoku i na logiczne myślenie było zdecydowanie za wcześnie. Zakupy w bagażniku przesiąkały smrodem paliwa, dlatego za najlepsze wyjście uznałem wypakowanie całej zawartości na dwór i ułożenie w bezpiecznej odległości. Nie było obaw, że dobiorą się do tego wszystkiego zwierzęta; z tego, co pamiętałem, ostatnie z nich opuściły te okolice kilkadziesiąt lat temu.

Zanim wziąłem się do roboty, prócz tylnej klapy pootwierałem też drzwi w nadziei, że w końcu jednak uda się wywietrzyć wnętrze samochodu.

Gdy poświeciłem do wnętrza samochodu, na tylnym siedzeniu spostrzegłem podłużny kształt. Pochyliłem się i po chwili trzymałem w ręku strzelbę podobną do tej, którą pożyczyłem od Stanisławskiego. Poczułem się znacznie bezpieczniej i zacząłem przenosić zaopatrzenie.

Brak powietrza dawał mi się porządnie we znaki, utrudniając całą operację. Ledwie po trzech kilkunastometrowych kursach sapałem jak astmatyk, któremu właśnie skończyła się zawartość inhalatora. Oparłem się ciężko o pień i włączyłem latarkę.

- Nie pójdę tam - powiedziałem do siebie. - Nawet mnie nie wkurwiał, nie pójdę i koniec.

Jednak po kolejnym spacerze było jasne, że niepewność jest gorsza nawet od najgorszego scenariusza. Kowalik mógł być tuż



obok i obserwować moje poczynania w oczekiwaniu na dogodny moment do ataku. Jeśli podniósł się o własnych siłach, musiałem to wiedzieć. Trzymając strzelbę w jednej ręce i latarkę w drugiej, rozpocząłem marsz do miejsca, gdzie widziałem go po raz ostatni.

Droga, mimo że było to ledwie kilkadziesiąt metrów, dłużyła mi się niemiłosiernie. Szedłem z nadzieją, wypatrując leżącego bezwładnie, ogromnego cielska, lecz z każdym krokiem byłem coraz bardziej przekonany, że to na nic.

- Pora wracać - powiedziałem na głos. - Byle tylko nie czekał przy samochodzie...

W tym samym momencie go zobaczyłem. Przyspieszyłem kroku. Gdy dzieliło mnie od olbrzyma nie więcej niż pięć metrów, zacząłem się skradać, aż wreszcie stanąłem nad leżącym u moich stóp ciałem.

Wpatrywał się pustymi ślepiami w niebo. Dopiero teraz miałem okazję zobaczyć, jak potwornie ma zmasakrowaną twarz. Z postrzępionej dolnej połowy ciała sączyła się brunatna krew, która wokół głowy tworzyła obrzydliwą, gęstą kałużę. Omal nie zwymiotowałem, wiedziałem jednak, że muszę zebrać się w sobie, by oddalić niebezpieczeństwo i wyeliminować wroga. Przynajmniej na tę jedną noc. Byłem więcej niż pewien, że o poranku obudzi się cały i zdrow na Czarnym Wygonie.

Przyłożyłem lufę do szerokiego czoła i już miałem nacisnąć na spust, gdy ogarnęły mnie wątpliwości.

„A co, jeśli Oni usłyszą wystrzał?” - pomyślałem. „Na pewno tego chcesz?”

Pokusa była wielka - pamiętałem przecież, co ten sukinsyn zrobił tamtej dwójce dzieciaków z Guciowa. Mimo to pochyliłem się, by stwierdzić, czy oddycha. Uderzył mnie obrzydliwy odór rozkładającego się ciała. Zdawało się, że mam do czynienia z trupem. Żadnych oznak życia.

Wiedziałem, co powinienem zrobić, ale próba rozwalenia głowy kolbą mogła się okazać niewystarczająco skuteczna, zwłaszcza że nie miałem stuprocentowej pewności, czy Kowalik nie żyje, czy jedynie stracił przytomność. Zbyt słabe pierwsze uderzenie

mogło tylko sprawić, że się ocknie, a tego przecież nie chciałem.

Było jeszcze jedno wyjście. Pamiętałem, że Rafał woził w bagażniku saperkę...

„Skoro tyle leżał, to poleży jeszcze te parę minut” - przekonywałem samego siebie.

Po ostatniej chwili wahania ruszyłem w stronę auta niezadarnym truchcikiem.

Najszybciej, jak to możliwe, wyrzucałem na ziemię pozostałą zawartość bagażnika. Raz czy dwa usłyszałem brzęk tłuczonego szkła, lecz zupełnie mnie to nie obchodziło. Najważniejsze było zdążyć przed tym, gdy Kowalik się ocknie.

Już dobiegając do samochodu, uświadomiłem sobie, że zrobiłem wielki błąd. Miałem Kowalika jak na talerzu, a teraz znów cała rozgrywka rozpoczynała się od nowa. Nawet nie chciałem myśleć, jak bardzo będę sobie wyrzucał, że nie ukatrupiłem go, mając taką możliwość.

Saperki nie było w bagażniku.

Gorączkowymi ruchami przeszukiwałem całą jego przestrzeń w nadziei, że jednak coś przeoczyłem, gdy światło latarki padło na nieznaczące wybrzuszenie pod filcową wykładziną. Odchyliłem ją i znalazłem to, czego szukałem. Niewielka, płaska łopatka leżała w samym rogu. Teraz najważniejsze było wrócić na czas.

Kolejna chwila niepewności i kolejne rozpaczliwe penetrowanie drogi snopem światła. I po raz kolejny ogromna ulga. Kowalik leżał prawie dokładnie tak, jak go zostawiłem. Prawie...

Tym razem zastałem go leżące na brzuchu. Nie ruszał się, lecz przez ten czas musiał przecież próbować się podnieść.

Położyłem latarkę tak, by mieć go cały czas na oku. Obok niej delikatnie ułożyłem strzelbę. Wziąłem saperkę oburącz i podniosłem ją do góry.

Odwrocił głowę i popatrzył mi w oczy.

Uderzyłem z całych sił w odsłoniętą szyję. Ostrze, rozcinając skórę, ścięгна i kręgosłup, wbiło się głęboko w ziemię, a głowa odskoczyła od tułowia na kilkadziesiąt centymetrów.

Odetchnąłem i padłem na kolana obok trupa, opierając się na krótkim trzonku i hamując wzmagające się mdłości. Wtedy stało

się coś, czego nie mogłem przewidzieć.

Chwycił mnie za szyję, próbując się podnieść. Ogromna siła przygniotła mnie do ziemi, a pozbawione głowy ciało, drgając konwulsyjnie, opadło w poprzek mnie. Chciałem krzyknąć, lecz ze ściśniętego gardła nie wydobył się żaden dźwięk.

Straciłem przytomność.

\*

Gdy się ocknąłem, Kowalik wciąż przygniatał mnie do ziemi. W świetle latarki widziałem zgilotynowaną szyję, z której sączyła się brunatna krew.

Nadludzkim wysiłkiem zepchnąłem z siebie martwe cielsko i przez dłuższy czas leżałem, z trudem łapiąc oddech. Wreszcie podniosłem się, zabrałem latarkę i broń, po czym, nie oglądając się za siebie, po raz kolejny ruszyłem w stronę samochodu.

- Zabiłeś człowieka - powiedziałem. - Jesteś pieprzonym mordercą...

- I bardzo dobrze - odpowiedział ktoś wewnątrz mnie. - Trudno byłoby znaleźć kogoś, komu by się to bardziej należało.

Na szczęście stłukły się tylko dwie litrowe butelki wódki i zostało jeszcze z piętnaście. Jedną z nich odkręciłem i upiłem sporą część zawartości.

Spodziewałem się, że nie było to moje ostatnie spotkanie z Kowalikiem, jednak gdy krew zaczęła żywiej krążyć w żyłach, krzyknąłem w jego stronę:

- Bodajbyś się w piekle smażył!

Zaraz potem usiadłem w fotelu kierowcy, pociągnąłem raz jeszcze z flaszki i rozparłem się wygodnie. Nie dbałem o opary benzyny. Musiałem odpocząć...

- ...Dobrze się spisałeś, tato.

Siedziałem z zamkniętymi oczyma. Głowę miałem ciężką tak bardzo, że nie dałem rady nawet podnieść jej z zagłówek, lecz ten głos poznałbym na końcu świata.

- Krzyś - wyszeptalem. - Synku, skąd się tu wzięłeś? Nie

powinieneś tutaj być...

Poczułem jego ciepłą rączkę na swojej dłoni.

- Zawsze jestem przy tobie - powiedział. - Tyle, że teraz możesz mnie wreszcie usłyszeć...

A jednak wreszcie mi się udało. Otworzyłem oczy i skierowałem wzrok na siedzenie obok. Uśmiechał się tym swoim uśmiechem, którego od lat tak bardzo mi było brak.

Patrzyłem w jego oczy przez dłuższy czas i byłem najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem.

- Pod słońcem? - uśmiechnął się. - Nie, tato, tutaj nie ma słońca. Dasz radę, zobaczysz. Jestem z ciebie bardzo dumny...

„Jestem z ciebie bardzo dumny”. Ileż razy zwracał się do mnie w ten sposób... Gdy kupiłem mu wymarzoną zabawkę, gdy strzelił mi gola swoją kolorową, gumową piłką, gdy siedziałem przy jego szpitalnym łóżku...

- Syneczku...

- Uważaj na Nich - szepnął, a później spojrzął gdzieś poza moje plecy.

Powoli dniało.

Idąc za jego wzrokiem, zarejestrowałem ciemne kształty pni drzew widoczne za szybę opia.

Mężczyzna w kapturze szedł w naszą stronę. Widziałem nienawistne oczy, świecące się pod ciemną tkaniną. W ręce trzymał sznur związany w wisielczą pętlę.

Stał obok auta i wolną ręką chwycił moją szyję.

- Zostaw go - usłyszałem z prawej strony spokojny głos Krzysia. - Nie jesteś na tyle silny, by się ze mną teraz zmierzyć.

Znów zamknąłem oczy i poczułem, że zaczynam tracić oddech, lecz nagle uścisk zelżał.

Odetchnąłem głębiej i spojrzałem w lewo. Mężczyzna zniknął.

- Krzyś...? - Sięgnąłem ręką w stronę fotela po prawej stronie. Znów byłem w samochodzie sam.

## 6.

Kiedy się ocknąłem, odruchowo spojrzałem na fotel pasażera. Koszmar, który mi się przyśnił, był przerażający, lecz tym razem chciałem, żeby trwał nadal. Przecież po latach spotkałem w nim ukochanego syna.

Było jasno. Nie na tyle, bym mógł powiedzieć, że dzień jest w pełni, ale pamiętałem, że dzień w Starzyźnie wygląda zupełnie inaczej, niż się do tego przyzwyczaiałem. Zegarek wskazywał szóstą trzydzieści. Sięgnąłem dłonią do szyi i poczułem ból, prawdopodobnie spowodowany rozpaczliwymi próbami uwolnienia się spod ogromnego ciała Kowalika. Ta wersja była najlepsza. Nie chciałem przecież myśleć, że ktoś kilka godzin temu rzeczywiście chwycił mnie za gardło.

W powietrzu wciąż unosił się mdlący smród paliwa, który przyprawiał o zawroty głowy. Bezskutecznie próbowałem opanować mdłości. Wsiadłem z samochodu i zwymiotowałem.

Po jakimś czasie poczułem się lepiej i stwierdziłem, że muszę wziąć się w garść. Z obrzydzeniem wsiadłem do auta wstrzymując oddech i, zupełnie bez wiary w powodzenie, spróbowałem odpalić silnik. Rozrusznik nie odpowiedział.

Spojrzałem we wsteczne lustro i pierwszą rzeczą, którą zobaczyłem, był sporej wielkości guz, otoczony wyraźnym, różnokolorowym zasinieniem. Po uderzeniu czołem w kierownicę byłaby to rzecz całkowicie normalna, gdyby nie fakt, że znajdowałem się przecież w Starzyźnie. Nie powinienem mieć żadnych obrażeń z poprzedniego dnia. Przynajmniej tak zapewniał Rafał w swoim brulionie...

Niedługo potem kuśtykałem drogą w nadziei, że nie tylko u mnie pozostały ślady po nocnych wydarzeniach.

Kowalik w dwóch częściach leżał dokładnie tak, jak go zostawiłem. Wokół szerokiej szyi widać było rozległą, brunatnoczarną kałużę zaschłej krwi, a wielka głowa odrzucona była o kilkadziesiąt centymetrów od ciała.

Podejrzewałem, że to wszystko zmieni się po kolejnej nocy; być

może od wydarzeń minęło zbyt mało czasu. Tak, czy inaczej, miałem w perspektywie jeden dzień bez Kowalika.

Musiałem to wykorzystać.

\*

Starzyzna wyglądała dokładnie tak, jak opisał ją Rafał, bez trudu znalazłem więc dom Trześniowskich. Wyraźnie było widać, że czas zrobił swoje, co nie dziwiło, biorąc pod uwagę fakt, że gospodarz, jego córka, wnuczka i Rafał zniknęli stąd dwa lata wcześniej. Dom, w porównaniu do innych zawalonych chałup, wyglądał na tyle dobrze, że po oszacowaniu zniszczeń uznałem, że mogę bez obaw zamieszkać w opuszczonym gospodarstwie.

Za pierwszym razem nie zabrałem ze sobą zbyt wielu rzeczy. Przede wszystkim chciałem jak najszybciej dotrzeć do wsi, a nadmiar bagażu mógłby mi to utrudnić.

Kilka foliowych reklamówek położyłem na kuchennym stole i ruszyłem w powrotną drogę do samochodu. Dopiero gdy dotarłem na miejsce, zrozumiałem, jak bardzo ciężko oddycha się w Starzyźnie. Odpoczywałem przez dłuższą chwilę, aż wreszcie, objuczony, tym razem do granic możliwości, znów poczłapałem do wsi.

„Nikogo tam nie ma” - pomyślałem, wychodząc na otwartą przestrzeń i przystając na jej skraju. „Przecież powinienem być kogoś zobaczyć...”

Ani tym razem, ani za każdym z kolejnych sześciu kursów nie dostrzegłem we wsi żywego ducha.

\*

Przeniesienie prawie całego bagażu zajęło mi cały dzień. Za każdym razem marsz był trudniejszy, z każdą chwilą zdawało się, że mam coraz mniej powietrza, którym mógłbym głęboko odetchnąć.

Ostatni kurs był na tyle wyczerpujący, że musiałem długo łapać oddech przy samochodzie. Byłem skrajnie wyczerpany, lecz czasu nie było już zbyt wiele.

Wtedy też przyszło mi do głowy, by sprawdzić, czy strzelba jest

naładowana. Nie była. Przeszukałem auto i, gdy nie znalazłem amunicji, wyrzuciłem broń daleko w zarośla. Stwierdziłem, że naboje pewnie zostały w kieszeni Rafała, i cieszyłem się, że dowiedziałem się o tym dopiero teraz.

Zapadał zmierzch.

Zanim wziąłem ostatnich kilka pakunków, postanowiłem jeszcze dla świętego spokoju sprawdzić, czy Kowalik leży tak, jak go zostawiłem. Gdy tylko z daleka zobaczyłem bezwładne ciało, zawróciłem uspokojony. Wyglądało na to, że przynajmniej na razie olbrzym nie jest mi w stanie w niczym przeszkodzić.

Zabrałem ostatnie foliowe torby i saperkę. Przed wyruszeniem w drogę postanowiłem jeszcze dokładnie zlustrować samochód, czy aby nie zostało w nim coś, co mogłoby mi się przydać. Bagażnik był pusty, wewnątrz auta również nie dostrzegłem niczego. Zajrzałem pod siedzenia i do schowka umiejscowionego naprzeciw fotela pasażera. Był prawie pusty.

Jedyną rzeczą, która w nim się znajdowała, był dobrze mi znany brulion. Przysięgłbym, że gdy opuszczaliśmy dom Rafała, leżał na stole w pokoju, w którym mieszkałem. Uznałem, że widocznie nie zauważyłem, jak Gielmuda zabrał go w ostatniej chwili.

Zamknąłem schowek w przekonaniu, że zapisany zeszyt nie może mi się do niczego przydać, lecz po chwili wyjąłem go z szufladki. Pomyślałem, że zapisane kartki pozwolą mi przypomnieć sobie zasady panujące w wiosce. Mimo że treść znałem dość dobrze, zawsze mogłem o czymś przecież zapomnieć.

Pozamykałem samochód i stanąłem obok, objuczony pakunkami. Zamierzałem wrócić tu następnego dnia w nadziei, że magia Starzyzny sprawi, że auto znów będzie w pełni sprawne.

„Później tylko trzeba będzie pojechać do zagrody Trześniowskiego i jakoś przetrwać cały rok” - pomyślałem, ruszając w drogę.

Ciemność zapadała bardzo szybko, lecz wciąż było na tyle jasno, bym nie musiał używać latarki. Często, o wiele za często, myślałem, czy przypadkiem z ukrycia nie obserwują mnie pełne złości oczy ukryte pod szerokim kapturem.

\*

Docierając do pierwszych zabudowań, musiałem posiłkować się latarką.

W żadnym z okien nie paliło się światło. Starzyzna wyglądała na całkowicie wymarłą. Nie chciałem nawet zastanawiać się, co takiego wydarzyło się w tym miejscu od opuszczenia go przez Rafała.

Dom Trześniowskich znałem z zapisków tak dobrze, że natychmiast znalazłem w kredensie świece. Miałem w kieszeni kurtki zapalniczkę i po chwili wewnątrz kuchni rozjaśnił ciepły blask.

Nie zamierzałem zasnąć tej nocy; za bardzo obawiałem się tego, co może się zdarzyć. Zjadłem coś i nalałem sobie wódki z zapasów, które wcześniej przyniosłem.

Siedząc przy stole, zastanawiałem się, jak uda mi się dotrzeć do rana. Wreszcie sięgnąłem po brulion. Było to lepsze niż bezmyślne wpatrywanie się w ścianę naprzeciwko. Otworzyłem okładkę i spojrzałem na zapisaną kartkę, spodziewając się tak dobrze przecież znanego mi tekstu.

Zeszyt był dokładnie taki sam, lecz jego zawartość zupełnie inna. Jeszcze raz spojrzałem, zastanawiając się, czy oczy mnie nie mylą. Charakter pisma znałem dobrze, lecz pierwszą stronę widziałem po raz pierwszy...



# Starzyzna

## I

Bardzo ważne dla Rafała było również to, że wreszcie, po tysiąc dziewięćdziesięciu dwóch dniach, znów znalazł się w znajomym otoczeniu.

Podczas pobytu w Starzyźnie wielokrotnie wyobrażał sobie ten moment, gdy znów przekroczy próg rodzinnego domu w Krasnobrodzie, poczuje ten dobrze znany, jedyny w swoim rodzaju zapach dzieciństwa, nasiąknięty przez kolejne lata wonią gotowanych potraw, rodzinnego ciepła, a czasem też złości i niezrozumień. Cała ta gama zdarzeń składała się na niepowtarzalny klimat, w którym od dawna pragnął się zatopić.

Wtedy, dziesiątego kwietnia dwa tysiące czwartego roku, wszystko odbyło się mniej więcej tak, jak się spodziewał (może poza reakcją matki, która na widok Rafała padła jak rażona piorunem i przez dłuższą chwilę nie mogła odzyskać przytomności). Było wzruszenie, łyzy radości, kilka niezbyt nachalnych pytań skwitowanych wymijającymi odpowiedziami.

Kiedy niedługo po powitaniu siedzieli we trójkę przy kuchennym stole, Rafał patrząc na rodziców wyraźnie dostrzegł piętno czasu, wyryte na twarzach, które tak dobrze znał. Z pewnością przyczyniła się do tego długa nieobecność ich ukochanego syna i przekonanie, że nigdy już nie wróci. Było mu przykro z powodu tych zmartwień, lecz był więcej niż pewien, że nie zamieniłyby ani tych zmarszczek, ani nadmiaru siwych włosów na złudne uczucie nieśmiertelności, towarzyszące mu przez ostatnie prawie trzy lata. Chciałby im to wszystko powiedzieć, chciałby w krótkich słowach przekazać tę pewność, że upływający czas wbrew pozorom jest błogosławieństwem, a nie przekleństwem, lecz było na to jeszcze zbyt wcześnie.

- Nic się nie zmieniłeś, synku - odezwała się matka Rafała po chwili milczenia. - Wyglądasz dokładnie tak, jakbym widziała cię nie dalej niż tydzień temu...

- Wiem, mamó - odparł. - Wiem, że się nie zmieniłem, ale wcale się tak bardzo z tego nie cieszę... Nie pora na to, by powiedzieć wam coś więcej, nie jestem jeszcze na to gotowy... Chcę tylko, żebyście nie mieli do mnie żalu o to, że nie dałem znać, co się ze mną dzieje. Przysięgam na wszystkie świętości, że zrobiłbym to, gdybym tylko miał taką możliwość.

- Najważniejsze, że wróciłeś - powiedział ojciec. - Reszta ma mniejsze znaczenie.

- Cieszę się, że tak myślisz, tato. Jestem zmęczony i muszę sobie to poukładać. - Rafał podniósł się z krzesła. - Zanim się położę, chciałbym wam jeszcze coś... a właściwie kogoś pokazać.

Spojrzeli na niego równocześnie. Zaskoczeni i niespokojni.

- Po prostu nie chcę, żebyście za parę godzin doznali kolejnego szoku - dodał lekko się uśmiechając. - Chodźmy na górę, tylko proszę, postarajcie się zachowywać jak najciszej.

Świtało i było już na tyle jasno, że Rafał, otwierając drzwi do swojego pokoju, nie musiał włączać światła. Paulinka spała spokojnie z lekko otwartą buzią, obejmując i mocno przytulając się do ramienia Helenki, która prawdopodobnie śniła o czymś przyjemnym, bo ładną twarz dziewczyny rozjaśniał delikatny uśmiech.

- Boże przenajświętszy! - szepnęła Gielmudowa. Chciała powiedzieć coś więcej, lecz poczuła na łokciu dłoń męża i z najwyższym trudem udało jej się opanować.

Droga po schodach w dół wydawała się dla niej o wiele trudniejsza niż ta, którą przebyli chwilę wcześniej. Matka Rafała przystawała co chwila, jakby cierpiąc na niedobór powietrza, a ojciec cały czas trzymał ją pod rękę w obawie przed kolejnym omdleniem.

\*

Niedługo potem Rafał leżał w swoim pokoju na rozkładanym materacu, obok łóżka, na którym spokojnie spały Paulinka i

Helenka. Był potwornie zmęczony, lecz miał wrażenie, że prędko nie zaśnie.

Zaczął się zastanawiać, kiedy tak naprawdę człowiek zostaje dziadkiem lub babcią i skłaniał się do tezy, że ma to miejsce dopiero wtedy, gdy taka wiadomość dociera do adresata. Formalnie - rzecz jasna - wygląda to inaczej, lecz w tym wypadku chyba ważniejsza jest świadomość faktu, że ma się wnuka lub wnuczkę.

„Dużo wrażeń dla staruszków jak na jeden krótki poranek” - pomyślał.

Był przekonany, że wciąż siedzą przy stole i szeptem wymieniają wrażenia na temat tego, co się stało. Wstając z łóżka byli rodzicami, którzy doznali straty, a niedługo potem świat wykonał salto i stanął na głowie. Nie tylko przedziwnym zrządzeniem losu odzyskali dawno już opłakanego syna, ale też w jednej sekundzie stali się dziadkami i - może trochę przyszywanymi, jak na razie, ale jednak zawsze - teściami.

Rafał rozpaczliwie potrzebował snu, lecz z przyjemnością wsłuchiwał się w otaczającą go błogą ciszę. Było to uczucie jakże inne od pełnych niepokoju nocnych godzin, które w ostatnich miesiącach spędził w Starzyźnie.

Najgorszy był czas, w którym oboje z Helenką marzyli o wydostaniu się z przeklętej wsi, a jednocześnie mieli za sobą nieudaną próbę w roku dwa tysiące trzecim. Prawdziwy koszmar rozpoczął się gdzieś w okolicach Bożego Narodzenia, gdy do planowanego wyjazdu pozostawało zaledwie kilka miesięcy.

Gielmuda chodził po domu podminowany, nie mogąc doczekać się kolejnego dnia; jego nadejście niczego nie zmieniało i znów był kłębkim nerwów. Napięcie dość mocno udzielało się pozostałym domownikom, jednak oni - oczywiście poza kilkumiesięczną Paulinką - dobrze rozumieli powagę sytuacji i ani Helenka, ani nawet stary Trześniowski nie próbowali uspokajać nieznośnego chwilami Rafała. Było jasne, że pierwszy raz w życiu zależał od niego los innych i trudno było się dziwić, że ten miody przecież jeszcze człowiek z trudem daje sobie radę z zaistniałą sytuacją.

Spadło sporo śniegu, więc o jakichkolwiek pracach przy domu czy w lesie nie było mowy. Białej pokrywy z każdym dniem przybywało i spokojny, nieruchomy i chłodny krajobraz na zewnątrz jeszcze bardziej kontrastował z emocjami, buzującymi we wnętrzu drewnianego domu.

Tak było do trzydziestego pierwszego grudnia i z nadejściem nowego roku wszystko się zmieniło.

Człowiek czasem chwytą się jakiejś płonnej nadziei, przywiązuje wagę do mało znaczącego drobiazgu, by potem to ledwie kiełkujące i kruche ziarenko hodować w sobie z wielką pieczołowitością i determinacją. Jeśli ma trochę szczęścia, uda mu się po jakimś czasie uwierzyć, że ziarenko przekształciło się w ogromne, rozłożyste drzewo, które ochroni swojego dobrodziejca nawet w najtrudniejszych chwilach.

Dokładnie tak było z Gielmudą, gdy w sylwestra, leżąc na łóżku z dłońmi założonymi za głowę, skrupulatnie wyliczył, że od Wielkiego Piątku dzieli go dokładnie sto dni. Już po kilku chwilach od tego odkrycia był niemal pewien, że to nie może być przypadek. Przekonanie samego siebie, że w świecie, w którym zwykły zbieg okoliczności związany z datą może sprawić przejście do innego wymiaru, a liczby i symbole mogą mieć głęboki sens, nie było specjalnie trudne. Od tej chwili Rafał hodował w sobie ziarenko, które sprawiało, że z każdym dniem bał się coraz mniej, będąc jednocześnie coraz bardziej przekonany, że dzięki magicznej liczbie dni nic i nikt nie zdoła pokrzyżować jego planów.

Leżąc w domu swoich rodziców, przypominał sobie ten dziwny stan niezachwianego przekonania. Być może bez tej graniczącej z zuchwałością pewności nie wybrałby się tuż przed wyjazdem na Czarny Wygon, może nie przekręciłby jeszcze ten jeden raz kluczyka w stacyjce? Kto wie, może nie miałby w sobie tyle stanowczości, by wcisnąć do oporu pedał gazu, gdy bezwładne ciało Marcina Kowalika w kluczowej chwili upadło na maskę samochodu?

Wspomnienie nocnej podróży przypomniało mu Anielkę i to, że zostawił ją samą w okolicach Guciowa. Postanowił, że jeszcze

tego samego dnia wróci, by zobaczyć, co się z nią stało, i dokładnie w tej chwili zapadł w głęboki, spokojny sen.

## II

Mijał czas, a obietnica dana samemu sobie wydawała się coraz bardziej odległa i traciła na znaczeniu. Były ważniejsze sprawy. Paulinka rosła jak na drożdżach, przysparzając tym mnóstwo radości zarówno rodzicom, jak i dziadkom. Wiosna sprzyjała spacerom i spotkaniom ze znajomymi Rafała, którzy nie ukrywali radości, że zaginiony kumpel odnalazł się po kilku latach.

Przywołująca złe skojarzenia miejscowość Guciów i mała dziewczynka, klucząca wśród przepastnych, roztoczańskich lasów, zupełnie nie znajdowały się przy drodze prowadzącej z powrotem do normalnego życia. Co więcej, gdy trzeba było pojechać do Zwierzyńca, do przyjaciela ze studiów, Rafał zaczął wybierać inną trasę od tej, którą jeździł wcześniej. Wydawało mu się, że wystarczy przykryć oczy dłońmi, a koszmary znikną, że trzeba tylko zająć się czymś nowym, a złe wspomnienia już nigdy nie wrócą.

Gielmuda trwał w tym przekonaniu mniej więcej do połowy roku. Potem wypadki zaczęły toczyć się błyskawicznie, a duchy przeszłości z coraz większą siłą starały się przypomnieć o swoim istnieniu.

Na początku lipca matka Rafała zwróciła uwagę na dziwny wygląd Helenki i, starając się zrobić to jak najbardziej delikatnie, podzieliła się swoimi spostrzeżeniami z synem. Zaniepokoiły ją coraz liczniejsze zmarszczki, które były wyraźne nie tylko wokół oczu, ale też wcinały się głęboko w czoło dziewczyny, a także biegingy od kącików ust w kierunku brody.

Gielmuda solennie obiecał, że będzie bardziej przykładał się do opieki nad córką, składając niepokojący wygląd Helenki na karb zmęczenia i nadmiaru obowiązków. Słowa dotrzymał, lecz mimo to już we wrześniu włosy na jej głowie były całkiem siwe, a podczas zakupów w innych miejscowościach, sprzedawczynie

byli przekonane, że Paulinka wchodzi do sklepu ze swoją babcią, a nie mamą.

Rafał w tym czasie też nie czuł się najlepiej. Coraz bardziej bolał go kręgosłup i stawy, co było bardziej odczuwalne przed zmianą pogody. Ponadto ze zdumieniem także na swojej głowie zaczął dostrzegać oznaki siwizny; zmiany postępowały jednak znacznie wolniej niż u dziewczyny.

Olśnienie przyszło nagle, gdy w połowie września przyglądał się swojej córce, baraszkującej na placu zabaw z innymi dziewczynkami. Mimo że mentalnie wciąż była na poziomie mniej więcej rocznego dziecka, nie potrafiła mówić i miała problemy z najprostszymi czynnościami, to wzrostem i koordynacją ruchową niewiele ustępowała sąsiadkom, które miały po trzy lata.

Wtedy już wiedział, że to nie może być przypadek.

Kiedy przypomniał sobie Trześniowskiego, który zmarł natychmiast po podróży ze Starzyzny, a jego ciało niemal doszczętnie rozłożyło się dosłownie w kilkadziesiąt minut, poszczególne elementy układanki zaczęły do siebie idealnie pasować. Oczywistym wnioskiem było, że im ktoś więcej czasu spędził w przeklętej wiosce, tym szybciej starzał się w nowej rzeczywistości.

Wystarczyło teraz tylko poznać przyczynę tego stanu rzeczy i znaleźć odpowiednie antidotum.

\*

Kończył się rok dwa tysiące czwarty, a efekty poszukiwań były więcej niż mierne.

Żaden z artykułów prasowych czy internetowych, do których udało się dotrzeć Gielmudzie, nie wspominał o wypadku podobnym do tego, co stało się udziałem mieszkańców Starzyzny. Przez kilka miesięcy Rafał przeczytał uważnie wiele publikacji akademickich i popularnych pozycji, traktujących o wierzeniach ludowych, kłątwach, czarach i gusłach, ale nie znalazł czegokolwiek, co mogłoby naprowadzić go na jakiś wartościowy ślad.

Gdy w tym czasie patrzył na Helenkę i Paulinkę, coraz częściej przychodziło mu na myśl, że wiele by dał za to, by czas znów zatrzymał się tak jak w Starzyźnie i dał szansę na odnalezienie właściwego tropu.

Nic podobnego się jednak nie stało.

Ukochana kobieta, z którą Rafał zamierzał spędzić resztę życia, wyglądała na co najmniej siedemdziesiąt lat i poruszała się z wielkim trudem, często pomagając sobie laską. Natomiast Paulinka, która dopiero zaczynała składać sylaby w pierwsze nieporadne wyrazy, znów bardzo urosła i coraz częściej musiała zostawać w domu z uwagi na docinki innych dzieci, które wyśmiewały jej nadnaturalny wzrost.

Gielmudzie coraz trudniej było też rozpoznać samego siebie w lustrze, a w uczelnianych bibliotekach, w których bywał, regularnie brano go za wykładowcę, lecz o siebie dbał najmniej. Najważniejsze były kobiety jego życia. Pierwsza z nich, wydawało się, stała już nad grobem, a druga...? Rafał pamiętał doskonale historię dzieci urodzonych w Starzyźnie, o których opowiadał mu Jasiek Grela. Czy Paulinkę czekała ta sama przyszłość i również miała umrzeć w wieku pięciu lat? Za wszelką cenę nie mógł do tego dopuścić.

Los uśmiechnął się do niego na początku stycznia, gdy na jednym z internetowych forów znalazł pojęcie „klątwy zatajenia”. Jak tłumaczył w swoim wpisie jeden z internautów, polegała ona na tym, że zniknięcie ze współczesnego świata i osamotnienie w świecie równoległym wywołane jest złymi uczynkami, a zdjęcie klątwy może być spowodowane przez ujawnienie tego możliwie jak największej liczbie osób.

Rafał próbował skontaktować się z autorem wpisu, lecz wszelkie próby spełzły na niczym; prawdopodobnie „Ojciec Mrok” (taki był jego pseudonim) przestał bywać na forum i najpewniej zmienił też adres mailowy, tak więc Gielmudzie musiały wystarczyć te informacje, które wyczytał w niezbyt obszernych postach. Ale to już przecież było coś.

Poszukiwania osoby, która mogłaby opisać historię Starzyzny i jej mieszkańców, rozpoczął od największych polskich gazet i

czasopism. Redaktorzy większości z nich nawet nie zareagowali na rozpaczliwe prośby Rafała. Dwie otrzymane odpowiedzi tłumaczyły niezbyt przekonująco, że wobec zamieszania związanego z aferą Rywina, redakcje zmuszone są bardzo starannie dobierać tematy, którymi będą się zajmować (w jednej z nich dawano nawet do zrozumienia, że istnieją obawy przed prowokacją konkurencji). Pod koniec lutego dwa tysiące piątego roku nadeszła odpowiedź, która dawała pewne nadzieje na zainteresowanie sprawą, lecz redakcja prosiła o kilka miesięcy cierpliwości.

Tyle że Rafał nie mógł czekać.

W jednej z ogólnopolskich gazet natrafił na adres mailowy niejakiego Witolda Uchmanna - dziennikarza zajmującego się zjawiskami paranormalnymi. Wysłał do niego błagalny mail, a redaktor odpowiedział nadspodziewanie szybko. Zapowiedział wizytę w Guciowie, a Gielmuda wiedział, że to pierwsza i ostatnia szansa.

Teraz pozostało mu tylko czekać na spotkanie z Uchmannem, który w Guciowie miał się pojawić w czwartek, dziesiątego marca.



## Rozdział drugi

### 1.

- O, żesz ty, skurczybyku jeden - mruknąłem. - Jakoś nic mi nie wspominałeś, że wcześniej zwracałeś się też do konkurencji...

Postanowiłem, że przy najbliższej okazji nagadam Rafałowi za to, że ukrył przede mną próby opublikowania informacji o Starzyźnie w innych mediach, a ja byłem ostatnią, a co za tym idzie, najpewniej najsłabszą deską ratunku. Zaraz potem przyszło mi na myśl, że być może w ogóle nie będę miał takiej okazji, a jeśli już, to najwcześniej dopiero mniej więcej za rok.

„Nie mogłeś się bardziej postarać i wkręcić w to jakiegoś innego frajera?” - zapytałem Gielmudę w myślach.

- Pewnie nie mógł, bo w przeciwnym razie być może nie ja bym siedział na tym zadupiu - odpowiedziałem sobie na głos. - Ciekawe, co bym teraz robił w Warszawie?

Ale nie byłem w Warszawie, tylko w pustym, drewnianym domu i nawet nie mogłem powiedzieć, że znajdował się on na końcu świata. Był gdzieś o wiele dalej.

Trochę szumiało mi w głowie, co tłumiło obawy związane z moim, nie najłatwiejszym przecież, położeniem. Nawet nie wiedziałem, czy prócz mnie ktoś jeszcze jest w Starzyźnie. Bardziej jednak interesował mnie leżący przede mną brulion.

Zapisanych kartek nie było zbyt wiele; przeczytałem może połowę tekstu. Nie miałem pojęcia, kiedy Rafał zdążył go napisać. Mogłem przypuszczać, że dowiem się tego z dalszych zapisków. Zastanawiałem się, po co w ogóle to zrobił. Po chwili namysłu uznałem, że kiedy dowiedział się o konieczności powrotu do Starzyzny, postanowił postąpić dokładnie tak, jak w poprzednim wypadku - zapisać wszystko, a po ewentualnym powrocie dać to komuś - pewnie mnie, bo niby komu innemu? - do

opublikowania.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła dwudziesta trzecia.

„Co on teraz robi i co sobie myśli? Pewnie zachodzi w głowę, co stało się ze mną i z samochodem.”

Uśmiechnąłem się do własnych myśli, wyobrażając sobie, jak przyjmie mnie Rafał, gdy znów pojawię się w Krasnobrodzie. Po raz kolejny w krótkim czasie mina mi dość mocno zrzęda. Rok to jednak kawał czasu.

Spojrzałem na świece. Wypaliły się może w jednej trzeciej.

Mimo wszystko ciekaw byłem tego, co się z nimi stanie. Czy naprawdę jutro rano znów będą wyglądały na nienaruszone? Wstałem i podszedłem do kredensu. Wyjąłem z niego ceramiczny kubek i gwałtownym ruchem roztrzaskałem go o podłogę, po czym wróciłem do stołu.

Głowa zaczynała mi ciążyć, lecz nie zamierzałem dać za wygraną. Musiałem wytrwać w postanowieniu i doczekać brzasku. Pociągnąłem z gwinta, wziąłem jedną ze świec i ruszyłem na obchód domostwa. Przechodząc kolejno wszystkie pomieszczenia, czułem się niewyraźnie, lecz ciekawość była silniejsza od strachu. Na koniec zostawiłem pokój, w którym spał wcześniej Rafał. Jego zapiski były na tyle dokładne, że naciskając klamkę dokładnie wiedziałem, co zobaczę po wejściu do środka. Nie spodziewałem się tylko otwartego na oścież okna.

Przeciąg nieomal zdmuchnął płomień, gdy stanąłem w progu. Natychmiast osłoniłem knot dłonią, wszedłem dalej i zamknąłem za sobą drzwi. Zastanowiłem się, czy to możliwe, że wcześniej - oglądając dom od zewnątrz - nie zauważyłem otwartego okna. Postawiłbym wszystkie pieniądze na to, że taki szczegół rzuciłby mi się w oczy, lecz nie mogłem być niczego do końca pewien. Przenosząc bagaże zwracałem raczej uwagę na to, czy dostrzegę kogoś z mieszkańców, więc... Teraz nie miało to już żadnego znaczenia.

Przeszedłem przez pokój i sięgnąłem do lewego skrzydła okna. Płomień znów niebezpiecznie zadrżał. Skupiłem całą uwagę na tym, by nie zgasł, i dopiero po chwili dotarło do mnie, że czyjaś chłodna dłoń z ogromną siłą zaciska się na moim lewym

nadgarstku.

Głos ugrzązł mi w gardle, przez co nie mogłem wydać z siebie nawet najcichszego krzyku. Odrzuciłem świecę i wolną ręką złapałem za zaciskające się coraz mocniej palce. Próbowałem je odgiąć, lecz bezskutecznie. Świeca zgasła i szamotanina odbywała się w całkowitej ciemności. Zrozumiałem, że nie mam żadnych szans. Ktoś z zewnątrz próbował mnie wyciągnąć przez okno w chłodny mrok. Opadłem na kolana i z całych sił szarpnąłem się do tyłu. Odniosło to taki sam skutek, jakbym chciał jednym ruchem poruszyć tira z zaciągniętym hamulcem ręcznym.

- Zostaw mnie, skurwielu - wyrzęziłem. - Puszczaj!

Napastnik chwycił moje przedramię drugą ręką i łagodnie pociągnął. Było jasne, że za chwilę znajdę się po drugiej stronie.

- Rafał! - wrzasnąłem. - Chodź tu! Szybko!

To było jedyne, co przyszło mi do głowy, jednak ze zdziwieniem stwierdziłem, że uścisk nieco zelżał. Szarpnąłem się raz jeszcze i udało mi się wyswobodzić. Odskoczyłem w tył i wyłożyłem się jak długi.

- Rafał? - zabrzmiał tubalny głos z zewnątrz. - Jest z tobą Rafał? Przecież zem go nie widział dzisiaj...

Konsternacja w głosie napastnika była tak naturalna, że w innych okolicznościach zabrzmiałoby to niemal komicznie.

- A coś myślał, baranie?

Odpowiedziała mi cisza. Zebrałem się w sobie i na czworakach podpełzłem do okna, pamiętając, że jeśli będę zabarykadowany w środku, to nic nie powinno mi grozić.

- Baranie? - Głos nie dobiegał już bezpośrednio zza okna. Siłacz najwyraźniej cofnął się o kilka kroków. Wykorzystałem to i natychmiast zatrzasnąłem skrzydła, po czym po omacku zabezpieczyłem je metalowymi haczykami.

- Możesz spierdalać! - krzyknąłem i na klęczkach ruszyłem do drzwi.

Nie widziałem absolutnie nic. Wyciągniętymi przed siebie rękoma wymacałem klamkę, a potem, kierując się na blask świec sączący się z kuchni, wciąż na czworakach, przemierzyłem sień.

Dopiero przy kuchennym stole wstałem i zacząłem głęboko oddychać, próbując ustabilizować tętno. Nie jestem lekarzem, ale na oko, moje serce waliło z prędkością jakichś dwustu uderzeń na minutę.

Gdy trochę wyhamowało, usłyszałem pukanie do okna i głos, który słyszałem wcześniej:

- Rafał? Jesteś tam?

Podszedłem bliżej.

- Jest, ale nie chce mu się z tobą gadać.

Odpowiedziała mi cisza.

Walnąłem otwartą dłonią w szybę, zza której przed chwilą dobiegał głos, i dodałem najgłośniej, jak było to możliwe:

- Spieprzaj, dziadu!

Znów nic.

- Spieprzaj i wróc jutro - powiedziałem już trochę ciszej, nachylając się w stronę szyby. - Rafał śpi, ale jak będziesz tu pod oknem kolędował, to go obudzę i wtedy ci nogi z dupy powyrywa! W dzień przyjdź. Słyszałeś?

- Tak - mruknął ktoś zza okna. - Słyszałem.

Postałem jeszcze trochę w bezruchu i usłyszałem oddalające się kroki.

Dopiero wtedy mogłem odetchnąć z ulgą.

Odeszła mi ochota na czytanie dalszej części brulionu. Wziąłem ze sobą dwie świece i poszedłem do pokoju, w którym zamierzałem spać. Okno było zamknięte tak, jak je zostawiłem. Postawiłem świece w oknie i położyłem się na łóżku. Nie wiedziałem, czy uda mi się zasnąć. Wciąż byłem mocno zdenerwowany.

„Lepiej byłoby czuwać do rana” - pomyślałem.

I to była ostatnia myśl, jaką udało mi się zapamiętać.

## 2.

Obudziłem się gdzieś koło siódmej. Leniwie rozpraszająca się za oknami szarówka nie wywoływała nadmiernego zapału do

wstawania, a jednocześnie dawała poczucie względnego bezpieczeństwa. Skoro noc minęła spokojnie, to w dzień tym bardziej nie powinno mi nic grozić.

Jedno było pewne - musiałem poszukać jakiegoś żywego ducha, bo jeszcze kilka samotnych nocy, parę odwiedzin takich, jak ostatnie i sfiksuję na amen. O ile w ogóle w pobliżu jest jakiś żywy duch; w obecność tych mniej żywych raczej nie wątpię.

Nocna wizyta nie należała do najprzyjemniejszych, lecz po zastanowieniu (przerywanym niekontrolowanymi napadami drzemki) uznałem, że nie jest tak źle, jak mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać. Miałem podstawy sądzić, że odwiedził mnie nocą Jasiek Grela. Jeśli miałbym sobie go wyobrazić na podstawie zapisków Rafała, to miałby on dokładnie tak niski głos i siłę niedźwiedzia w łapach. Nie widziałem wprawdzie jego brodatej twarzy, ale fakt, że bardziej był zainteresowany Rafałem niż mną, potwierdzał w pewien sposób te domysły. Niepokoiło mnie tylko, że tak zwani „Oni” mogli się zmieniać, by zmylić swoją ofiarę, jak było to w przypadku tej kobiety, zdaje się Bielakowej, która przybrała postać matki Gielmudy zaraz po jego przyjeździe. Zastanawiające było też, że Jasiek przyszedł w nocy, nie bojąc się, że przytrafi mu się coś złego. Przecież już wcześniej mógł to zrobić...

Uznałem, że więcej nic nie wymyślę, a wszystko z pewnością i tak się wkrótce wyjaśni, więc wstałem z łóżka i pokuśtykałem do kuchni.

Bez większych emocji włożyłem do kredensu świece, po których w ogóle nie było znać śladów używania, a także cudownie zmartwychwstały kubek. Chyba już na tyle uwierzyłem Rafałowi, że byłem w stanie zaakceptować wszystko to, o czym pisał i mówił. Przypominałem sobie w tej chwili o guzie, który powstał od uderzenia w kierownicę. Śmiało dotknąłem czoła i głowę przeszył ostry ból. Raz jeszcze otworzyłem drzwiczki kredensu i wyjąłem ze środka lusterko. Potężna, różnokolorowa śliwa ozdabiała prawie połowę czoła.

- Cholera, niedobrze - powiedziałem do siebie i wcale nie martwiłem się w tym momencie o siniaka na głowie. O wiele

bardziej od niego interesował mnie rozbity biały opel i to wcale nie dlatego, że byłem fanem motoryzacji.

Nie miałem ochoty wychodzić na zewnątrz, ale wiedziałem, że nie wytrzymam tej niepewności.

\*

Byłem już przygotowany do wyjścia, gdy usłyszałem najpierw cichy, a później coraz to bardziej nasilający się szmer uderzającego o dach deszczu. Przeszedłem przez mroczną sień i otworzyłem drzwi prowadzące na zewnątrz.

Podwórze spowite było w gęstych, mlecznych oparach, dodatkowo potęgujących uczucie duszności. Niebo zasnuwały ciężkie chmury, zdające się wręcz zahaczać o dachy budynków gospodarczych. Nie wyczuwałem na twarzy najłżejszego nawet podmuchu wiatru, więc wyglądało na to, że opady potrwać dłuży czas, co w połączeniu z przenikliwym chłodem jeszcze bardziej zniechęcało do podjęcia wędrówki.

Postałem chwilę w progu, wpatrując się w strugi wody, które rozbryzgując się na błotnistym gruncie natychmiast tworzyły brunatne kałuże. Z chęcią natychmiast wróciłbym do przytulnej kuchni, lecz po całej nocy mój pęcherz rozpaczliwie domagał się opróżnienia. Nie zamierzałem szukać teraz niewidocznej na pierwszy rzut oka, z pewnością ukrytej gdzieś za stodołą sławojki, więc rozpiąłem spodnie i załatwiłem potrzebę stojąc na progu domu. Nawet gdybym był pewien, że ktoś obserwuje mnie z ukrycia, nie zdecydowałbym się na niezdarny kłus w poszukiwaniu drewnianej świątyni dumania.

Lżejszy o - jak mi się zdawało - kilka ładnych litrów, z ulgą zamknąłem drzwi i ponownie zanurkowałem w ciemny korytarz, łapiąc się na tym, że odruchowo poszukuję dłonią włącznika światła. Nieźle bym się zdziwił, gdyby udało mi się go na- macać.

Usiadłem na swoim miejscu w kuchni i wbiłem wzrok w leżący na stole brulion. Światło sączące się przez niewielkie okna było na tyle słabe, że nie dało się przeczytać czegokolwiek, więc wyjąłem z kredensu świecę, które dopiero co do niego włożyłem. Po zapaleniu dały złudne poczucie ciepła i bezpieczeństwa.

Zanim wziąłem się do odszyfrowywania kolejnych zapisanych kartek, pomyślałem, że w sumie dobrze się stało. Nocny gość, którego bolesny uścisk wciąż czułem na nadgarstku, mógł przecież znów pojawić się z wizytą. Jeśli koniecznie musiał po raz kolejny mnie odwiedzić, to zdecydowanie wolałem, by stało się to w dzień. Jeśli, oczywiście, była to ta osoba, o której myślałem.

Bardzo chciałem się nie mylić.

W pomieszczeniu było o wiele cieplej niż na dworze, lecz i tak zbyt chłodno, bym komfortowo znów mógł zagłębić się w lekturze zapisków.

Przy piecu leżało sporo drewna i trochę chrustu, więc postanowiłem rozpalić pod kuchnią. Robiłem coś podobnego w życiu najwyżej kilka razy, co nie dawało zbyt wielkich nadziei na natychmiastowy sukces. Wychodząc jednak z założenia, że nie święci garnki lepią, z zapalem wziąłem się do roboty.

Nie miałem pojęcia, czy otaczające mnie ściany słyszały tyle przekleństw w ciągu tak krótkiego czasu. Rzucanie mięsem prawdopodobnie nie przybliżyło mnie do sukcesu, lecz dawało przynajmniej nieco ulgi. Zmarnowałem dwa pudełka zapalek, poparzyłem palce i narobiłem porządnego bałaganu przy piecu, a marzenie o buzującym ogniu wciąż było dalekie od realizacji. Nawet najdrobniejszy chrust nie chciał się zająć od samych zapalek, co zrzucąłem na karb wilgoci od dłuższego czasu panoszącej się w budynku. Wreszcie stwierdziłem, że bez papieru za cholerę nie zdołam napalić w tym przeklętym piecu.

W zapiskach „Słoneczna Dolina” Rafał wspominał o zeszytach, w których pisała Anielka, więc zacząłem ich szukać. Prawdopodobnie wykorzystałbym nawet elementarz Falskiego, gdyby tylko udało mi się go znaleźć, jednak po dokładnym przeszukaniu kuchni musiałem się poddać. W akcie desperacji miałem już ruszyć do pokoju w poszukiwaniu książek, gdy mój wzrok znów spoczął na brulionie. Nie był zapisany nawet w połowie, więc spokojnie mogłem go wykorzystać. Wyrwałem kilka kartek ze środka i umieściłem je pomiędzy najsuchszymi gałązkami, jakimi dysponowałem. Gdy się zajęły, dotychczasowe przekleństwa jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki

zmieniły się w dziękczynną modlitwę.

Dokładałem coraz to grubsze drewnienka, z radością patrząc, jak buzują coraz to żwawszym płomieniem. Dym na początku był przyjemny, jednak po kilku minutach zaczął gęstnieć. W końcu stał się na tyle nieznośny, że zacząłem gwałtownie ka- słać. W kuchni zrobiło się całkiem siwo, a ja klęczałem na zdrowym kolanie, wpatrując się w ogień. Łzy płynęły mi po policzkach, trochę w wyniku gryzących oparów, a jeszcze bardziej z bezsilności. Było jasne, że za chwilę będę musiał się poddać.

- Nie łatwiej byłoby otworzyć szybry? - usłyszałem donośny głos za plecami.

Trzymane przeze mnie drewno z łoskotem spadło na podłogę, a ja ze strachu straciłem równowagę i ledwie kilku centymetrów zabrakło, bym wyrznął czołem o kant pieca. Klęcząc na czworakach, odwróciłem głowę, lecz zasłona dymna, jaką udało mi się stworzyć, skutecznie ograniczała pole widzenia.

- Jest tu kto? - zapytałem głupio.

- Nie, nie ma nikogo - dobiegło już z bliższej odległości.

Wreszcie, przez łyzy, najwyżej metr od mojej twarzy, udało mi się dostrzec roześmianą, brodatą gębę.

- Chmury dzisiaj ciężkie, ogień woli w piecu siedzieć - powiedziała gęba. - Ale jak dobrze rozpalić, temperatura pociągnie w górę. Ino szybry trza otworzyć.

Znów nikogo nie widziałem, lecz po chwili do moich uszu dobiegło metaliczne szczęknięcie. Najpierw z lewej strony pieca, później z przeciwnej. Ogień pod kuchnią zaczął huczeć o wiele mocniej niż dotychczas. Potem usłyszałem kroki i lekkie skrzypienie otwieranych okien.

Uznałem, że pora się podnieść z kolan.

- Pan Jasiak Grela? - zapytałem.

- Jaki tam ze mnie pan, zwyczajnie, Jasiak. Wszyscy tak na mnie woła... - Przerwał gwałtownie. - A wy skąd to wiecie? - Teraz mocny głos zabrzmiał dużo ostrzej.

- Długa historia - wysapałem.

W kuchni zrobiło się jaśniej i wreszcie wyraźniej zobaczyłem sylwetkę mojego gościa. Wyglądał dokładnie tak, jak w brulionie



opisał go Gielmuda. Niezbyt wysoki, krępy, z charakterystyczną, opadającą na piersi brodą.

- Rafał wam o mnie mówił?

- Tak, można tak powiedzieć... Mam na imię Witek. - Podszedłem w jego kierunku i wyciągnąłem rękę, która zaraz potem znalazła się w silnym uścisku. - To ty byłeś tu w nocy?

- A niby kto? - odrzekł nieufnie. - Pewno, że ja. A gdzie Rafał? Zignorowałem pytanie.

- No wiesz, myślałem, że może to ktoś z Czarnego Wygonu... Oni mogą być tym, kim tylko zechcą... Prawda?

- Ano, prawda. Gdzie Rafał? - zapytał ponownie.

- Jestem sam. Rafał został... No wiesz, został w Guciowie.

Staliśmy naprzeciw siebie. Resztki dymu wciąż były widoczne, lecz nie przeszkadzały nam we wzajemnym mierzeniu się wzrokiem. Jasiak patrzył na mnie z niedowierzaniem.

Oswobodziłem dłoń z uścisku.

- Siadaj - powiedziałem. - Napijesz się czegoś?

Skinął głową i posłusznie usiadł za stołem.

- Ale mówiłeś w nocy, że jest tu z tobą - wymruczał.

- Blefowałem.

- Co żeś robił?

- Tylko tak mówiłem. Oszukiwałem. Ze strachu. Chciałem, żebyś dał mi spokój. Bardzo się bałem. Rozumiesz?

Zastanowił się przez chwilę.

- Chyba tak.

- To ty otworzyłeś okno? Miałeś zamiar wejść do środka?

- Sam żem był w strachu - odparł, wbijając wzrok w blat stołu. - Ale musiałem sprawdzić, kto jest w chałupie Trze- śniowskiego...

- Ty też się bałeś i nie chciałeś stukać do drzwi? Bałeś się, że to ktoś z Nich wszedł do domu?

Przytaknął bez słowa.

- Napijemy się wódki, a potem ci wszystko opowiem, dobrze?

- Dobrze - odpowiedział.

Wiedziałem, że nic z tego wszystkiego nie rozumie. Trudno się dziwić. Miałem jedynie nadzieję, że uwierzy w to, co miałem mu do przekazania.

### 3.

Alkohol, który wypiliśmy, sprzyjał zarówno mojej opowieści, jak i - przynajmniej tak mi się zdawało - uwiarygodniał całą historię w oczach Jaśka. Gadałem chyba ze dwie godziny, a on nie przerwał mi ani razu. Kiwał tylko od czasu do czasu swoją wielką, brodatą głową, nie podnosząc na mnie wzroku. Dokładnie w chwili, gdy doszedłem do tego, że wybierałem się dziś na wyprawę do samochodu, poczułem na karku lodowatą wilgoć.

Spojrzałem w górę i dostrzegłem, że na suficie skrapla się woda i kapie wprost na mnie.

- Dach przecieka. - Aż drgnąłem, gdy po długim czasie się odezwał. - Jeszcze parę miesięcy i pewno się zawali, tak jak tamte chałupy.

Od razu zrozumiałem, co ma na myśli. Gospodarze tego domostwa już nie żyli i czas bardzo szybko odcisnął na nim piętno.

- Masz rację - powiedziałem. - I stary Trześniowski, i Helenka nie żyją. Nawet to, że już ich nie ma w Starzyźnie, nie ma wpływu na bieg zdarzeń...

- Dobrze, że choć Rafał żyje. - Znów na mnie spojrzał. - I jego... jego i Helenki córka. Co mogę zrobić?

- Nie wiem, czy Rafał żyje - odparłem. - Mówiłem ci, że ostatnio widziałem go po tym, gdy został zaatakowany przez Kowalika i nie dawał znaku życia...

- Daj Boże, żeby żył. To dobry człowiek.

Zapadła cisza. Gdyby w Starzyźnie żyły jakiegokolwiek zwierzęta, pewnie usłyszelibyśmy w tym momencie kręcącą się gdzieś pod sufitem muchę.

- Dobry - zacząłem - ale i on ma na sumieniu coś złego...

- A kto nie ma? - zapytał Jasiek, świdrując mnie wzrokiem.

Nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi. Być może dlatego, że pytanie było jak najbardziej retoryczne.

- Wszyscy mamy - przyznałem wreszcie. - Tylko nie wszystkich

nas los karze tak okrutnie...

- Los?

Pytanie zawisło w powietrzu.

- Nie wiem, czy los, czy Bóg - powiedziałem cicho. - Jedno jest pewne. Muszę dowiedzieć się, co stało się wtedy... Co tak okropnego stało się, że spotkała was za to aż tak straszliwa kara...

- Dowiesz się - przerwał stanowczo. - Przysięgam, że się dowiesz. Ale nie mnie o tym opowiadać. Ojciec ci wszystko opowie. A teraz chodźmy...

- Chodźmy? Dokąd?

- Musim dowiedzieć się, co z Marcinem i co z samochodem... Jak wrócim, weźmiesz swoje rzeczy, zamieszkasz u nas i...

- I...?

Milczał przez chwilę, aż wreszcie znów się odezwał:

- I dowiesz się, co się stało w Starzyźnie w ostatnich dniach.

\*

Deszcz wciąż padał, gdy wychodziliśmy z domu, lecz był o wiele mniej intensywny niż wcześniej, więc istniała szansa, że przed powrotem nie zdążymy przemoknąć do nitki. Dziwiłem się, że w takiej chwili zajmują mnie mało istotne drobiazgi, ale najwyraźniej podświadomie wolałem odsuwać na bok myśli o tym, co możemy zastać u wlotu Słonecznej Doliny.

Szedłem z przodu na tyle szybko, na ile pozwalało mi moje kalectwo, starając się ignorować narastającą uczucie duszności związane z przyśpieszonym tętnem. Od czasu do czasu stopy zapadały się w błocie powyżej kostek, mimo to zawzięcie kroczyłem naprzód, jak gdyby od tego miało zależeć moje życie. Być może tak właśnie było; późne popołudnie gęstniało w ciemnościach i do zmroku nie zostało już wiele czasu.

Zatapiając się w lepkiej mazi i podobnych do niej ponurych myślach, niemal całkiem zapomniałem, że nie jestem sam. Tuż przed granicą lasu odwróciłem się i chciałem odezwać się do Jaśka, ten jednak był o dobre sto metrów za mną. Szedł powoli, z opuszczoną nisko głową, ukrytą pomiędzy przygarbionymi ramionami. Przypomniałem sobie, że całkiem niedawno

widziałem kogoś, kto poruszał się w podobny sposób.

Zachwiałem się i oparłem plecami o szeroki pień drzewa, które stało za mną. Oddychałem ciężko i bezsilnie patrzyłem na zbliżającą się postać. Anielka miała dokładnie te same mechaniczne ruchy. Wyglądało na to, że dałem się podejść jak dziecko.

Ucieczka mogła co najwyżej odroczyć wyrok. Stałem więc i patrzyłem, jak zbliżający się mężczyzna skraca dystans. Na pięć metrów przede mną zatrzymał się. Czekałem tylko, aż podniesie głowę i spojrzy na mnie ślepyimi oczyma bez źrenic.

Stał bez ruchu najwyżej kilka sekund, ale mnie wydały się one całą wiecznością. Gdy wreszcie popatrzył w moim kierunku, uciekłem wzrokiem.

- Gdybym go spotkał parę dni po tamtym Wielkim Piątku, to chyba łeb bym mu urwał. Odjechał bez pożegnania, zostawił nas... A teraz... - Nie tego się spodziewałem. Głos Jaśka był zduszony i drżący.

Odważyłem się popatrzeć. Jego wielkie, brązowe oczy były pełne łez.

- Ale dureń ze mnie - mówił dalej. - Tajemnic mi się, cholera, zachciało... Jakbym wiedział, że to, co wiem, może pomóc i jemu, i jego córeczce, a może i nawet Helence, to wszystko bym powiedział. Wszystko, rozumiesz?

Nie odpowiedziałem.

- Tyle złego zem zrobił... Tyle złego, a teraz jeszcze i to... Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu...

Trwał w bezruchu jeszcze może minutę, po czym pociągnął nosem i wytarł oczy dłońmi.

- Myślisz, że mogę mu... im... jeszcze jakoś pomóc? - spytał z nadzieją. - Zrobię wszystko...

- Nie wiem - przerwałem mu. - Pewnie tak. Przynajmniej tak mi się zdaje, a teraz już lepiej chodźmy.

Nagle spojrzał na mnie zupełnie inaczej. Przekrzywił głowę i znów się odezwał:

- A co ty taki blady?

Odwróciłem się i podjąłem marsz. Zaraz potem odpowiedziałem:

- Wiesz, myślałem już, że jesteś jednym z... No wiesz, jednym z Nich - ostatnie słowo wyraźnie zaakcentowałem.

- Ale Oni - znów nacisk na drugie słowo - przecież nie są widziani we wsi w dzień, prawda?

Do moich uszu dobiegało tylko miarowe chlapanie dwóch par ciężkich butów. Przez plecy przebiegł mi gwałtowny dreszcz. Zatrzymałem się i obejrzałem.

Jasiek również przystanął i przyglądał mi się z powagą.

- Tak było - odrzekł wreszcie. - Tak było do niedawna. Od jakiegoś czasu granice dnia i nocy nie są już dla Nich przeszkodą...

Zaskoczony taką odpowiedzią chciałem zapytać o coś więcej, ale w tej chwili Jasiek utkwiał wzrok gdzieś poza mną i powiedział:

- Już go chyba widzę. To samachód Rafała, prawda?

\*

„Samachód Rafała” był w takim samym opłakanym stanie, w jakim go zostawiłem. Przez całą drogę łudziłem się, że, podobnie jak roztrzaskany kubek, w cudowny sposób ulegnie samoistnej regeneracji. Teraz już wiedziałem, że moje nadzieje były płonne. Tak samo, jak te, że kiedyś uda mi się wydostać ze Starzyzny.

- I co teraz? - Pytanie Jaśka wyrwało mnie z zamyślenia. - Wracamy?

- Chyba tak... Chociaż... czekaj, muszę zobaczyć, co stało się z Kowalikiem.

- A po co?

- To zajmie kilka minut, a i w tamtej sprawie będziemy mieli jasność.

- Zaraz wieczór - powiedział niepewnie.

- To tylko kilka minut - powtórzyłem i ruszyłem drogą. Po kilku krokach wróciłem po saperkę.

Kowalik leżał tak, jak go zostawiłem poprzedniego dnia. Rozejrzałem się i znalazłem odpowiednie miejsce. Ziemia oddalona od drzew wyglądała na miękką. Gdy wbiłem w nią saperkę, okazało się, że miałem rację.

- Zakopimy go tutaj. Nie musi być głęboko, byle tylko przykryć truchło ziemią - mówiłem, raz po raz wbijając łopatkę.

- Daj, mnie łatwiej - mruknął.

Pracował jak w ukropie. Od czasu do czasu proponowałem, że go zmienię, lecz za każdym razem odmawiał. Wreszcie, gdy dół był już wystarczająco głęboki, odłożył saperkę, podszedł do zwłok i pociągnął je w kierunku prowizorycznego grobu. Zadudniły, uderzając o dno. Oczami wyobraźni zobaczyłem pochówek, jaki przygotował Rafał Trzeźniowskiemu. Podejrzewałem, że wtedy wszystko wyglądało podobnie.

- Jeszcze głowa - powiedział dysząc ciężko. - Ja się jej nie tknę.

Postąpiłem parę kroków i popatrzyłem w beznamiętne źrenice. Widok rozszarpanej dolnej części twarzy wywołał mdłości, jednak wzięłem się w garść i pochyliłem. Z obrzydzeniem chwyciłem za włosy i podniosłem.

- Nie wiedziałem, że będzie taka lekka.

- Pusty łeb, to i lekki - mruknął.

Wrzuciłem ją na klatkę piersiową Kowalika, patrząc, jak przetacza się w bok i zamiera twarzą w dół obok lewej dłoni wielkoluda.

- Mamy już naprawdę mało czasu. - Głos Jaśka wyrwał mnie z letargu. Złapałem się na tym, że odruchowo wycieram mokrą od włosów dłoń o nogawkę spodni. Zanim się zorientowałem, na martwym ciele już znalazło się kilkanaście łopatek ziemi.

Jasiek używał saperki, ja pomagałem w miarę swoich możliwości, nagarniając butem glebę, zmieszaną ze zbutwiałymi liśćmi.

Poszło nam nadspodziewanie szybko.

W drodze powrotnej nawet nie zatrzymaliśmy się przy samochodzie. Tym razem to Jasiek szedł przodem, ściskając w dłoni saperkę. Miałem nadzieję, że nie będzie jej musiał użyć w naszej obronie.

Kiedy znów znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni, odetchnąłem z ulgą. Po kilkudziesięciu krokach powiedziałem:

- Wiesz, co myślę?

Nie odpowiedział.

- Myślę, że starzyźniane czary nie działają na tych, którzy przybywają tu z własnej woli, i dlatego ja wciąż mam siniaka na czole, a Kowalik ciągle jest nieżywy...

- W dupie to mam teraz - odparł z rozbijającą szczerością. - Najważniejsze to jak najprędzej wrócić do domu.

Zmierzało i trudno było się dziwić, że tak sceptycznie odniósł się do mojego odkrycia. Ja jednak nie potrafiłem odegnąć od siebie myśli, że zostanę tu już na zawsze i o ile ktoś wcześniej nie skróci mojego żywota, właśnie w Starzyźnie przyjdzie mi doczekać ostatnich dni. Miałem jedynie nadzieję, że, w przeciwieństwie do tego, co spotykało innych mieszkańców wioski, czas będzie dla mnie bardziej łaskawy.

Po raz pierwszy w życiu chciałem się jak najszybciej zestarzeć.

#### 4.

Dom, do którego zaprowadził mnie Grela, był o wiele skromniejszy. Mimo otaczających nas ciemności, udało mi się zobaczyć na dachu strzechę. Wielkość chaty również nie była imponująca, ale i tak cieszyłem się, że najbliższej nocy nie będę już sam.

Nieśliśmy z sobą dużą część prowiantu, który przywiozłem, ale sporo jeszcze zostało w domu Trześniowskich.

Do rozświetlonego blaskiem świec pomieszczenia, które później okazało się kuchnią, Jasiak wszedł jako pierwszy.

- No i gdzie żeś się tyle podziewał?! - usłyszałem czyjś podniesiony głos. - Już żeśmy myśleli, że po tobie!

- Cichaj, tato, bo gościa nam prowadzę. Chodź, Witek, nie bój się.

Byłem pewien, że leciwy mężczyzna, który stał obok stołu, to Wojciech Grela. Na drewnianej ławie siedziały jeszcze dwie osoby - mniej więcej pięćdziesięcioletnia kobieta i trochę od niej młodszy blondyn. Brak prawej ręki pozwalał przypuszczać, że to Albin Socha - kolega dziadka Rafała ze szkolnych lat.

- To jest Witek, znajomy Rafała.

Stary Grela podszedł bliżej i uściśnął mi dłoń. Zaraz potem

przedstawił pozostałych; co do młodego mężczyzny się nie myliłem. Kobieta nazywała się Katarzyna Cieplak. Po wymianie uprzejmości starszy z Grelów zapytał:

- A Józek Trześniowski? Też z panem przyjechał?

- Przykro mi, ale on zmarł jakiś rok temu. Jego córka też już nie żyje...

Wyglądało na to, że będę raz jeszcze musiał opowiedzieć całą historię, ale na szczęście Jasiek z hukiem postawił na stole część przyniesionych rzeczy i rzekł:

- Jesteśmy głodni. Przyjdzie czas, że wszystkiego się dowiecie, ale teraz pora na wieczerzę. Katarzyno, przygotujecie nam co do zjedzenia?

Kolacja składała się głównie z przyniesionego przez nas, przyrządzonego na ciepło prowiantu. Już wcześniej podejrzewałem, że i na wódkę znajdą się u Grelów amatorzy, więc zapobiegliwie zabrałem ze sobą dwie butelki. Kiedy zaspokoiłszy pierwszy głód, a wszyscy obecni z niecierpliwością spoglądali na mnie i kręcili się niespokojnie na swoich miejscach, po raz drugi tego dnia rozpocząłem swoją opowieść.

Byłem gwiazdą wieczoru. Nikt, nawet Jasiek, który wszystkiego dowiedział się już wcześniej, nie przerwał mi ani razu. Trudno było się dziwić, że przyglądali mi się z ciekawością i niepokojem. W końcu byłem dopiero drugą osobą, która zawitała do ich wsi w przeciągu ostatnich kilku dziesięcioleci.

\*

Dobiegające od podłogi chrapanie obudziło mnie, gdy było już całkiem jasno.

Spaliśmy w jednej izbie we czterech - ja i stary Grela na łóżkach ustawionych obok przeciwległych ścian pokoju, a Jasiek i Socha na ułożonych na podłodze siennikach. Wiedziałem, że nie uda mi się znów zasnąć, więc ubrałem się po cichu i poszedłem do kuchni.

Dopiero jak zamknąłem za sobą drzwi, uświadomiłem sobie, że chyba powinienem był poczekać, aż wstaną też inni. Kuchnia na



noc zamieniła się w sypialnię śpiącej z nami pod jednym dachem kobiety. Na szczęście okazało się, że Cieplakowa wstała jeszcze wcześniej ode mnie.

- Dzień dobry. - Uznałem, że takie zagajenie będzie całkiem na miejscu.

- A dzień dobry. Wyspał się pan?

Poprzedniego wieczora nie zamieniliśmy z sobą ani jednego zdania. Teraz trzeba było jakoś spróbować nawiązać rozmowę.

- Tak, dziękuję.

Zapadła niezręczna cisza. Spodziewałem się, że nastąpi wymiana jakichś nic nieznaczących uwag. Usiadłem przy stole i spojrzałem w okno. Pomyślałem, że dobrym tematem będzie pogoda. Przestało padać i już miałem tym cennym spostrzeżeniem podzielić się z moją rozmówczynią, gdy ta całkowicie mnie zaskoczyła.

- Wie pan... Boja się tak boję sama teraz mieszkać. - W jej głosie nie wyczułem nuty sugerującej, że mówi to, by się przede mną usprawiedliwić. Wyczułem w nim raczej rezygnację i obawę przed tym, co będzie dalej.

Nie zdążyłem się jeszcze dowiedzieć niczego o ostatnich wydarzeniach w Starzyźnie. Wojciech Greła widział, że jestem zmęczony, i zaproponował, że wrócimy do tego tematu rano. Miał rację mówiąc, że nie ma się co z tym spieszyć.

- Mój mąż zginął na wojnie, a córka wyprowadziła się do Zamościa jeszcze przed trzydziestym dziewiątym - ciągnęła. - Z początku było mi ciężko samej, były dni, że nie szło wytrzymać, ale w końcu jakoś żem przywykła. A może pan ją poznał? Ma na imię Krysia, po mężu Burda...

Pokręciłem głową.

- Niestety. Znam trochę osób z Zamościa, ale to nie jest takie małe miasto...

- Tak żem tylko spytała. Pan pewno głodny?

- Nie, dziękuję. Jeśli można, to chętnie napiłbym się herbaty.

- Płyta gorąca, zaraz zrobię - odpowiedziała wstając.

Tak naprawdę nie chciało mi się pić, ale jakoś nie miałem ochoty kontynuować tej rozmowy. Zdawało mi się, że kobieta

oczekuje ode mnie jakiegoś pocieszenia, może choćby kilku słów wsparcia, a ja byłem ostatnią osobą, która w całej tej sytuacji mogła kogoś podnieść na duchu.

Wykorzystałem chwilę na zastanowienie się nad tym dziwnym spotkaniem. Katarzyna Cieplak, jeśli dobrze oceniłem jej wiek, urodziła się mniej więcej na przełomie wieków dziewiętnastego i dwudziestego. Wcześniej wiele myślałem o przedziwnej historii czasu, który zatrzymał się dla mieszkańców Starzyzny. Ciężko było to wszystko jakoś ogarnąć, ale gdy wydawało mi się, że jest to możliwe, miałem okazję porozmawiać z osobą, która wyglądała na moją równolatkę, a przecież jednak była o jakieś pół wieku starsza.

Miałem może trzydzieści, może trzydzieści pięć lat, gdy uświadomiłem sobie banalną prawdę, która była dla mnie niczym odkrycie zupełnie nowego lądu. Niewiele rzeczy na świecie jest oczywistych i niepodlegających jakiegokolwiek dyskusji, jednak fakt, że każda starsza ode mnie osoba, którą spotykam, w dniu moich urodzin żyła już swoim życiem, był bezsprzeczny i niemożliwy do zanegowania. Od tej chwili inaczej patrzyłem, nie tylko na starszych ode mnie znajomych, ale też na starszych, obcych ludzi mijających mnie na ulicy, siedzących obok mnie w autobusie czy w pociągu. Zastanawiałem się, co robili tamtego dnia, w tamtej chwili, gdy w pięćdziesiątym drugim roku matka wydała mnie na świat. Dzień moich urodzin był dla nich dniem jak setki innych. Może byli w szkole, może po raz pierwszy szli do pracy, może akurat mieli gigantycznego kaca, którego próbowali uleczyć za pomocą szklanki wódki, albo opłakiwali śmierć bliskiej osoby. Nie było wyjątków od tej prostej reguły. Tak zwyczajnie i po prostu.

A Cieplakowa? Gdybym mijają ją na ulicy kilka dni temu, w „moim” świecie, nie byłbym pewien, czy urodziła się wcześniej ode mnie, a tu okazuje się, że w dniu moich urodzin miała już dorosłą córkę. Czas wyczyniał w tym miejscu rzeczy trudne do ogarnięcia i tak naprawdę zrozumiałem to dopiero, siedząc przy stole w skromnej kuchni Grelów. Żadne zapiski i opowieści nie pomogłyby mi tego pojąć bardziej namacalnie.

Ocknąłem się z zamyślenia, gdy kubek z parującą herbatą miętową stał już przede mną.

- Bardzo dziękuję - powiedziałem i podniosłem go do ust.

Upiłem kilka łyków, a Cieplakowa znów usadowiła się naprzeciw mnie. Nie miałem ochoty na dalszą rozmowę, wolałem pobyć sam, więc wziąłem herbatę i oznajmiłem, że wypiję ją na zewnątrz.

- Tylko niech pan na Nich uważa. Teraz można Ich tu spotkać nawet w dzień.

- Tak, wiem, będę uważał - zapewniłem w progę.

Wyszedłem z kuchni, lecz po chwili wróciłem i zapytałem:

- To się zmieniło niedawno, prawda?

- Będzie jakieś dwa tygodnie.

„Jakieś dwa tygodnie temu Rafał podzielił się ze mną pierwszymi informacjami o Starzyźnie” - pomyślałem. Nie wyglądało mi to na zwyczajny zbieg okoliczności.

\*

Od poprzedniego dnia temperatura powietrza podskoczyła dość wyraźnie, a uczucie ciepła potęgował jeszcze brak wiatru. Było ponad dwadzieścia stopni i dobrze zrobiłem, zostawiając kurtkę w domu.

W normalnych warunkach, w „moim świecie”, cieszyłbym się z takiego właśnie dnia. Tutaj było zupełnie inaczej.

Podnosząca się pod wpływem nagłego ciepła mgła zdawała się wypełzać niewidocznymi szczelinami z nasiąkniętej wodą ziemi i obrzydliwym mokrym jęzorem lizała moje ręce, twarz i wszystko, co było wokół. Osadzała się na ścianach i oknach domu Grelów, przy którym stałem, po czym natychmiast skraplała, dając początek małym strumyczkom, płynącym niespiesznie w dół. Dotknąłem tej wilgoci, roztarłem ją na palcach i powąchałem. Konsystencją przypominała śluz z lekka cuchnący zbutwiały liśćmi i rozkładającym się mięsem.

O tym, by zobaczyć słońce, mogłem co najwyżej pomarzyć. Na pewno oddzielała mnie od niego cieńsza warstwa chmur i mgły niż poprzednio, ale jej grubość (a może gęstość?) i tak

powodowała, że patrząc w niebo nie musiałem nawet mrużyć oczu. Stałem jakiś czas z twarzą skierowaną do góry i wyraźnie wyczuwałem na niej ciepło z trudem przebijające się przez szarą, prawie nieprzepuszczalną zasłonę. Wilgoć na chwilę zniknęła z moich policzków, brwi i rzęs; na moment udało mi się nawet zapomnieć o trudnościach z oddychaniem.

Cisza była wręcz nieznośna. Z mgły nie dobiegał żaden dźwięk. By przekonać się, że nie ogłuchłem, zrobiłem kilka kroków w kierunku drogi i poczułem ulgę, gdy usłyszałem chlupotanie wody pod podeszwami. W poprzednich dniach wrażenie ciszy nie było aż tak dojmujące, zarówno ze względu na wiatr, który szeleścił pomiędzy gałęziami drzew, a i trochę też przez odgłosy padającego deszczu. Teraz wszystko ucichło, zdławione przez obrzydliwą, duszną zawiesinę spowijającą dolinę.

Prócz zabudowań należących do Grelów widziałem jeszcze tylko jeden dom leżący po przeciwnej stronie drogi i fragment usytuowanej przy nim stodoły. Oba budynki przykryte były gontem i wyglądały na dość zadbane, było zatem prawdopodobne, że ich właściciel lub właściciele nie zasilili jak dotąd szeregów upiornych postaci, przybywających tu z Czarnego Wygonu.

Wzdrygnąłem się na myśl o zmorach pozbawionych źrenic i zaprzagnąłem znów znaleźć się w ciepłej kuchni, choćby i w towarzystwie Cieplakowej. Otoczenie nagle wydało się groźne, a ja zacząłem rozglądać się wokół, czy z mgły nie wyłania się ktoś lub coś, co mogłoby mi zagrozić. Odwróciłem się i z ulgą stwierdziłem, że moja droga do domu jest pusta, lecz zanim jeszcze zdążyłem zrobić pierwszy krok, usłyszałem za plecami jakiś dźwięk, przypominający odgłos zatraskiwanych drzwi. Na szczęście, dobiegł on z pewnej odległości, więc ciekawość wzięła górę i ponownie spojrzałem w stronę sąsiednich zabudowań.

Dom, podobnie jak chyba wszystkie w Starzyźnie, miał wejście niewidoczne od przecinającego wieś gościńca. Jeśli dobrze rozpoznałem ten odgłos, przypuszczałem, że wkrótce zobaczę kogoś, kto wyłoni się zza węgła budynku. I miałem rację.

Początkowo sylwetka ledwie majaczyła we mgle, lecz ponieważ

skierowała się w moją stronę, z każdą sekundą widziałem ją coraz wyraźniej. Był to ktoś bardzo niewysokiego wzrostu. Wyteżalem wzrok, gotów w każdej chwili rzucić się do ucieczki, gdybym uznał, że grozi mi niebezpieczeństwo.

Wreszcie ją poznałem.

Zatrzymała się tuż przy drodze i stała bez ruchu, odwzajemniając moje spojrzenie. Nasiąknięta wilgocią czerwona sukienka w białe grochy zwisała, klejąc się do jej szczupłego ciała. Blond włosy dziewczynki również były mokre. Wyglądała prawie dokładnie tak, jak ją zapamiętałem, jednak zauważyłem jedną, jakże istotną zmianę. Patrzyła na mnie wielkimi oczyma, których intensywnie niebieski kolor był wyraźnie widoczny nawet z odległości kilkunastu metrów.

Postąpiła jeszcze kilka kroków do przodu i znalazła się na środku piaszczystej drogi. Poruszyła ustami. W tym przerażającym miejscu nawet dźwięk biegł o wiele wolniej, z trudem przedzierając się przez mglistą barierę.

- Dzień dobry, panie Witku.

Mówiła niemal szeptem. W normalnych warunkach nie powinienem nawet jej usłyszeć, nie wspominając o rozróżnieniu poszczególnych słów.

Zanim wybrzmiało moje imię, promiennie się do mnie uśmiechnęła. Uśmiech był tak rozbijający, słodki i niewinny, że ponure otoczenie przestało się całkowicie liczyć. Odwzajemniłem go i zrobiłem krok naprzód.

- Witaj, Anielko. Nie boisz się tak sama wychodzić na dwór?

- A niby kogo miałabym się bać? Przecież tak tu spokojnie... -  
Ona także ruszyła w moją stronę. - Przecież jestem jedną z Nich, wiesz o tym, prawda?

- Ale... Twoje oczy...

- Witek!

Gwałtowny, twardy okrzyk wdarł się w naszą rozmowę bezpardonowym dysonansem. Nie chciałem, by ktokolwiek nam przeszkadzał. Chciałem teraz rozmawiać tylko z nią.

- Witek, gdzie jesteś?!

Znów to samo. Nie zwracałem uwagi na wołanie. Miałem

nadzieję, że ucichnie równie nagle, jak się pojawiło.

- Nie przejmuj się nim - mówiłem, idąc w jej stronę. - On zaraz przestanie mnie wołać i znów będziemy mogli spokojnie rozmawiać.

Dziewczynka jednak nie patrzyła już na mnie. Jej wzrok wbity był gdzieś poza mną, a śliczną twarzyczkę wykrzywił nienawistny grymas. Gwałtownie skrzyła w prawo i zaczęła biec.

- Anielko! - krzyknąłem. - Poczekaj...

- Kto to był? - Jasiak stał tuż za mną. - Czy mi się zdawało, czy to była...

- Dlaczego ją wystraszyłeś?! - warknąłem. - Co ona ci takiego zrobiła?

- Witek, chłopie, opanuj się! To była Anielka, prawda?

- Prawda, ale... Ona już nie jest jedną z Nich... Naprawdę! Widziałem jej oczy! Wróciła i znów jest sobą, a teraz przez ciebie może grozić jej niebezpieczeństwo! - Byłem wściekły. Miałem ochotę dzielić Jasiaka w tę jego brodatą gębę. - Teraz biegnij za nią, bo jeśli coś jej się stanie...

- Jak chcesz, to sam sobie biegnij. Nie czytałeś tego, co pisał Rafał? Przecież mówiłeś, że wiesz, jak było...

- Czytałem, ale jakie to ma znaczenie?

- Rafał, jak zobaczył swoją matkę, to wyglądała normalnie. Rozumiesz już teraz?

Duszość wróciła ze zdwojoną mocą. Zacząłem gwałtownie kasłać. Jasiak chwycił mnie za ramię.

- Chodź. Może jeszcze nie jest za późno.

- Za późno? Na co za późno?

Z niedźwiedzią siłą ciągnął mnie za sobą.

- Wiesz, kto tam mieszka? - zapytał.

- Skąd niby mam wiedzieć?

- To dom Komisarczuków. Boże święty, żeby tylko nie stało się to, o czym myślę...

\*

Dopiero, gdy stanęliśmy przed solidnymi, drewnianymi drzwiami, udało mi się wreszcie poskładać myśli i zrozumiałem,

w jak wielkim byłem niebezpieczeństwie. Chciałem coś powiedzieć, podziękować, ale Jasiak dokładnie w tej chwili przeżegnał się i wszedł do środka. Bez słowa podążyłem za nim.

W kuchni panowało przyjemne ciepło. Wydawało mi się, że w piecu buzuje ogień. Na stole stały dwa kubki do połowy wypełnione lekko parującą herbatą.

-Antek? - powiedział Jasiak podnosząc głos. - Wszystko u was w porządku?

Nie usłyszeliśmy żadnej odpowiedzi.

- Może gdzieś wyszli? - szepnąłem.

Grela pokręcił głową.

- A gdzie niby mieli wychodzić? Poczekaj tu.

Wszedł do pomieszczenia obok i zamknął za sobą drzwi. Nie było go dłuższą chwilę. Zacząłem się już niecierpliwić, gdy zobaczyłem go znów. Był blady jak ściana.

- Za późno... Lepiej tam nie idź.

Nie posłuchałem, czego potem przyszło mi żałować przez wiele dni i bezsennych nocy.

Zobaczyłem ich, jak wiszą w półmroku, odwróceny plecami do siebie, na jednym sznurze zaczepionym u powały. Widziałem tylko fragment pleców mężczyzny, lecz kobieta przypatrywała mi się ślepymi, wytrzeszczonymi, lekko fosforyzującymi oczyma. Była zupełnie nieruchoma, ale mógłbym przysiąc, że nieznacznie uśmiechnęła się, gdy przekroczyłem próg pokoju.

- Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie - usłyszałem za plecami głos Greli - a światłość wiekuista...

- Jasiak! - krzyknąłem. - Może oni jeszcze żyją?! Może trzeba im pomóc?

- Im już nic nie pomoże - odparł spokojnie, po czym dokończył:

- ...a światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków.

Chodź. Nic tu już teraz po nas.

- Zostawimy ich tak?

- Zostawimy. Jeszcze ich zobaczysz i to pewno nie raz. Chodź, Witek. Nic tu już teraz po nas...

## 5.

- Należy im się pochówek - upierałem się, gdy siedzieliśmy w piątkę u Grelów. - Przecież każdy ma do tego prawo, niezależnie od sposobu, w jaki pożegnał się z życiem.

Ojciec Jaśka pokręcił głową.

- Niejednego już chowalim i to wszystko na nic. Nawet ostatnio, a potem i tak wygrzebywali się z grobów...

- Mają tak wisieć?

- O nich się już nie martw. - Jasiek wstał i stanął przy oknie, plecami do nas. - Teraz nam już tylko o nas trza się martwić. Nie licząc Władka Dudy, Józka Kowalika i jego matki, sami tu zostalim.

- To może pójdziemy do nich? Będzie nas więcej...

- Nie pomogą nam - znów odezwał się stary. - Trzymają Ich stronę i tylko cieszą się, jak nas jest coraz mniej.

- Mają obiecane, że jak nikogo prócz nich nie będzie we wiosce, znów wrócą do tamtego świata. Tak mi kiedyś Józek powiedział. - Cieplakowa mówiła cicho, wpatrując się w przeciwległą ścianę. - Może lepiej zrobić to, co i inni zrobili...?

- Nie dam się, Katarzyno! - warknął Jasiek. - Jak chcecie, droga wolna! Nawet wam pętlę ukręcę, ale sam się nie dam i ojciec też, tak samo! Dobrze gadam, tato?

- Tak, synu. Nie mogę Im ulec, bo przekłęci będziem na wieki... Ale zdarzyć się może wszystko, dlatego pora już... - Odchrząknął i gwałtownie się wyprostował. - Pora wreszcie wyznać nasz grzech, przez który tyle złego się stało - dodał stanowczo.

Spojrzał w stronę syna.

- Chodź, Jasiek, siadaj - rozkazał. - Pomożesz, bo może coś żem zapomniał. Wiosna pięćdziesiątego drugiego roku dawno była, a u mnie pamięć już nie ta, co kiedyś.

Młodszy Grela spełnił polecenie, a ja tymczasem uświadomiłem sobie coś, na co powinienem był wpaść o wiele wcześniej.

- Wiosna pięćdziesiątego drugiego? - upewniłem się.

Stary przytaknął.

- Ten rok przewijał się zarówno w notatkach Rafała, jak w jego



opowieści - ciągnąłem - ale dopiero teraz, jak o tym mówicie, skojarzyłem, że jest to czas mojego przyjścia na świat. Mało tego, urodziłem się na wiosnę, czyli mniej więcej wtedy, gdy to wszystko się zaczęło.

Spojrzeni po sobie.

- Może tak to miało być? - Pierwszy raz tego dnia usłyszałem głos Sochy. - A którego dokładnie żeś się urodził?

- W pierwszej połowie kwietnia.

Jasiek drgnął, jakby go ktoś ukłuł.

- Dokładnie jedenastego kwietnia - powaga sytuacji nie sprzyjała żartom, ale nie mogłem się powstrzymać i z mimowolnym, głupawym uśmiechem sparafrazowałem kwestię kaowca z „Rejsu”.

Zaraz potem już nie było mi wcale do śmiechu. Wyraz twarzy wszystkich, którzy siedzieli ze mną przy stole, bynajmniej nie współgrał z moim rozbawieniem.

- Co ty, żarty sobie stroisz? - Jasiek wyglądał na mocno zdenerwowanego. - Rafał ci pewno powiedział, kiedy to było, a ty teraz podśmichujki z nas sobie urządzasz, tak?

- Nie - odparłem. - Naprawdę wtedy się urodziłem. Przepraszam, coś mi się przypomniało, dlatego się uśmiechnąłem.

Nerwowe milczenie trwało chyba z minutę. Wreszcie głos zabrał stary:

- W tamtym roku Wielki Piątek wypadł właśnie jedenastego kwietnia. Ale cała historia zaczęła się wcześniej...

## Starzyzna

### V

Zaraz po wojnie nastał u nas młody ksiądz, Wincenty Dobrowolski się nazywał. Starzyzna to była jego pierwsza parafia. Z początku nie mogliśmy się z nim za bardzo dogadać. Taki był trochę - jak by tu powiedzieć - miastowy. Mówił tak, że ciężko było go zrozumieć, no ale uczony był, szkoły pokończył, to i nie dziwota, że z prostymi chłopami wspólnego języka nie mógł znaleźć. Ale po kilku miesiącach było już dużo lepiej. I on do nas przywykł, i my do niego. Najbardziej żeśmy go szanowali za to, że robotny był. Jak było trza, to i do pługa się brał, choć szło mu to byle jak, i do lasu szedł razem z nami. Jak minęły ze dwa lata, to bywało i tak, że kielicha z nami wychylił w święta i to niejednego.

Szkoły u nas nie było, dzieciaki musiały chodzić parę kilometrów, to jak były śniegi albo ostre mrozy, to brał je do siebie na plebanię i komplety dawał, żeby potem za dużo nie było trza nadrabiać. I za to nawet grosza nie chciał, bo mówił, że sam się będzie utrzymywał z tego, co parafialna ziemia urodzi. Jak pieniędzy nie chciał, to my mu się starali przy siewie i w żniwa pomagać. Kobiety, jak co ugotowały, to mu zawsze zanosily, żeby głodny nie siedział. Dobrze nam było z nim, a zdaje się, że i jemu z nami też nie najgorzej.

Któregoś razu, na początku roku pięćdziesiątego, przyszedł do nas Jakub Trześniowski i powiedział:

- Zdałby się naszemu proboszczowi kto do pomocy na plebanii. Chociaż słowa nie powie, każdy we wsi wie, że samemu ciężko to wszystko oporządzić. Jak mu kto nie zanie sie ciepłego, to na suchym prowiancie żyje. Trza byłoby mu poszukać jakiej gospodyni.

Sam już wcześniej o tym żem myślał, to i przyznałem sołtysowi

rację. Umówili się z ludźmi, że będą rozpytywać w okolicy. Nie trwało to nawet miesiąca, jak Władek Duda przyniósł wiadomość, że jest akurat w Jacni dziewczyna, co całą rodzinę w czasie wojny straciła, tuła się od wsi do wsi i za łyżkę stawy i dach nad głową gospodarzom przy obejściu pomaga. Jeszcze tego samego dnia żeśmy we trzech - ja, Władek i Trześniowski - wsiedli na wóz i pojechali dowiedzieć się więcej.

Gospodarz, u którego podobno miała mieszkać, rozłożył tylko ręce. Wcześniej, tego samego dnia odesłał dziewczynę i nie potrafił powiedzieć, dokąd poszła. Szukaliśmy jej po całej wsi, ale kobiecina jakby się pod ziemię zapadła.

Jak żeśmy wracali, była już prawie noc, ale zaraz przed skrzyżowaniem do Starzyzny Władek wypatrzył, że ktoś przy rowie siedzi. To była ona. To było jak zrządzenie losu, żeśmy się akurat w tym miejscu na nią natknęli. Jakuba po rękach chciała całować, gdy zapytał, czy posadę gosposi u księdza przyjmie.

\*

Pierwszą noc przespała u Trześniowskich. Wcześniej nic z proboszczem nie było uzgadniane, to i nie wypadało tak bez uprzedzenia mu dziewczyninę w nocy pod dach przywieźć. Ani pokój nie był dla niej wyrychtowany, ani nic. Poza tym przecież nie było wiadomo, czy Dobrowolski zechce kogo do siebie przyjąć.

Rano żeśmy z Jakubem poszli na plebanię. Z początku ksiądz opierał się, mówił, że lepiej mu samemu, że tak się przyzwyczaił i po co mu kto obcy. Dopiero jak Trześniowski powiedział, że dziewczyna nie ma się gdzie podziać, że sierota, to proboszcz zaczął się zastanawiać.

- Na próbę niech ją dobrodziej przyjmie - przekonywał Trześniowski. - Jak się nie sprawdzi, to albo poszukamy kogo innego, albo zostanie po staremu, tak jak było.

No i na tymi stanęło.

Jak żeśmy po ciemku do wsi jechali, to jej twarzy nie udało mi się zobaczyć dokładnie. Dopiero u Jakuba, w biały dzień, mógłbym się jej przyjrzeć. Paulina Podolak, bo tak się nazywała,

miała może osiemnaście lat, a może nawet i tyle nie. Nie była ani brzydka, ani ładna, ale miała w sobie coś takiego, że nawet taki stary dziad, jak ja, zapominał przy niej języka w gębie. Nie mam głowy, co to było... Może coś w tych jej czarnych jak węgle oczach, może w uśmiechu, takim trochę wstydlwym, a trochę łobuzerskim. Jak się odezwała, człowiekowi aż lżej się na duszy robiło. Głos miała niski, trochę chropawy, ale mimo to dźwięczny i łagodny. Zęby białe jak mleko i na policzkach jej się takie dołki robiły jak... No i masz! Nawet teraz się człowiek zapomina, jak ją tylko wspomni.

Córka Trześniowskiego dała jej trochę swoich rzeczy do ubrania, bo Paulina prawie nic ze sobą nie miała, ot, jakieś małe zawiniątko i to był do tej pory cały jej majątek.

Wieczorem dziewczyna miała już urządzone własny pokój na plebanii. Niby nic takiego - łóżko, jakaś szafa i miednica do umycia. Trza to było po domach poznać dywać, ale każdy chętnie dawał, jak się dowiedział, że to dla gosposi księdza. Jak żeśmy skończyli pomagać się jej urządzać, wyglądała naprawdę na szczęśliwą. Na odchodne powiedziała, że nigdy jeszcze nie miała całego pokoju tylko dla siebie.

Po drodze do domu Jakub jeszcze do mnie zaszedł i usiadł na tym samym miejscu, co ty teraz na nim siedzisz. Markotny jakiś taki był.

- A ty coś taki skwaszony? Dobry uczynek żeśmy zrobili, a ty siedzisz, jakby kto umarł.

Pokręcił głową.

- Może on i dobry, Wojciechu. A może wcale nie...

- Jak to nie? Dziewczyna ma gdzie mieszkać, proboszcz sam już nie będzie, ugotować i wyprać będzie już mu kto miał...

Spojrzał na mnie poważnie i rzekł:

- On młody i ona młoda. Krew gorąca, to i o kłopoty nietrudno.

- E, tam! Kraczesz jak wrona. Zobaczysz, jeszcze będziesz sam się śmiać z tego biadolenia.

- Daj Panie Boże, żebyś się nie mylił, Wojciechu... Daj Boże...

## VI

Minął rok i czas pokazywał, że to ja żem miał rację. Dobrowolski pracował tak, jak dawniej, ale zaokrąglił się trochę, czasu na modlitwy i odpoczynek miał więcej. Jak kto ze wsi we własnej sprawie na plebanię zachodził, to tam wszystko aż błyszczało od czystości, a i w kuchni zawsze było coś dobrego do zjedzenia. Paulina nie dość, że domem się zajmowała, to jeszcze i w parafialnym polu robiła, a sąsiadom też nigdy pomocy nie odmówiła. Robotna była aż miło. Nie wiem, jak inni, ale ja żem na każdej mszy świętej Bogu dziękował, że takie szczęście spotkało i nas, i naszego księdza dobrodzieja.

Późną wiosną były u nas wielkie ulewy, takie jakich jeszcze nikt z nas nie widział, jak żyje. Ze wzgórz nad Starzyzną schodziła wielka woda, aż któregoś dnia całą wieś zalało na amen. Wszystkie chałupy stały w wodzie, spichrze ze zbożem i piwnice całe pozalewane. Niektórzy, co mieli jeszcze zboże z poprzedniego roku, wszystko potracili. Zajrzała nam w oczy bieda i nikt nie chciał nawet myśleć, co będzie dalej.

Dobrowolski wyjechał wtedy i jak nie było go więcej niż trzy tygodnie, myśleliśmy, że nas na pastwę losu zostawił. Ale jak nastał czerwiec przyjechał i przyciągnął ze sobą z dziesięć chyba wozów z kaszą, pszenicą, kartoflami i sam już nie pamiętam, z czym jeszcze. Pieniądzy też przywiózł ogrom. Okazało się, że przez cały ten czas jeździł po parafiach i prosił innych o pomoc dla nas. Nawet w Lublinie byt w naszej sprawie i tam też mu pomocy nie odmówili. Przysięgam na Boga Przenajświętszego, że każdy ze Starzyzny dałby się za niego na kawałeczki pokroić.

Lato było dla nas dobre. Po stratach z wiosny nie pozostał nawet ślad, bo pieniędzy wystarczyło na wszystkie naprawy, a i jeszcze sporo zostało. Żniwa udały się najlepiej od wojny i na jesieni zapasów mieliśmy pod dostatkiem. Tylko że wtedy z naszym księdzem coś niedobrego zaczęło się dziać. Rzadko z plebanii wychodził, w powszedni dzień to tylko, jak naprawdę musiał, a w niedzielę, to tylko na mszy żeśmy go widywali. Schudł, taki jakiś zamyślony był, na mszach wszystko mu się

myliło, a raz, zdaje się zaraz po Wszystkich Świętych, to nawet komunię rozdać zapomniał.

Nie tylko z nim coś dziwnego się działo. Paulinę w tamtych tygodniach też żeśmy coraz rzadziej widywali. Wcześniej lubiła, czy to do nas przyjść, czy do innych tak samo, a już prawie codziennie bywała u Trześniowskich, u Helenki. Od października rzadko kto ją widywał, a z nastaniem listopada to nawet na mszach niedzielnych przestała się pojawiać.

\*

Mojemu ojcu Andrzej było. Jak każdego roku, niedługo przed początkiem adwentu zaszedłem na plebanię, żeby mszę za spokój jego duszy zamówić. Zwykle otwierała dziewczyna, ale tym razem i to się zmieniło.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - powiedziałem, jak po długim stukaniu otworzył mi proboszcz.

- Na wieki wieków. Coś się stało, panie Greła?

Źle wyglądał. Chudy był jak patyk, sińce miał pod oczami. Niepodobne było do niego, że na powitanie nawet się nie uśmiechnął.

- Nic się nie stało, tylko mszę za ojca chciałem zamówić.

- Na kiedy?

- Jak co roku, na Świętego Andrzeja.

- Dobrze. Odprawię. - Nie dość, że nie zaprosił do środka, to nawet nie zauważył pieniędzy, które żem trzymał w ręku. Zaczął już zamykać drzwi, to przypomniałem:

- Ofiara, proszę proboszcza.

Spojrzał się na mnie tak, jakby całkiem nie wiedział, o czym mówię.

- Co?

- Pieniądze... Za mszę...

Bez słowa schował je do kieszeni swetra i znów chciał drzwi zamknąć.

- Proszę księdza...?

Tym razem popatrzył na mnie ze złością.

- Czego jeszcze?!

- Martwim się o księdza - powiedziałem spokojnie, choć nigdy żem nie słyszał, żeby tak się do kogo odezwał. - Wszyscy we wsi mówią, że może ksiądz chory... Żle wygląda, jakby mu co dolegało...

- Wy nie macie innych zajęć? Jak nie macie, to za modlitwę się lepiej weźcie, a nie księdzem się interesujcie!

Stary już jestem i wtedy żem był prawie taki sam stary, ale nie pamiętam, kiedy w długim życiu tak mi się przykro zrobiło. Tak przykro, że aż łzy mi w oczach z żalu stanęły. Długo po tym, jak Dobrowolski zostawił mnie samego na ganku bez ani jednego słowa więcej, stażem tam jak kołek, bo ciężko było to wszystko pojąć.

\*

Z nastaniem adwentu ksiądz zaczął msze odprawiać takie krótkie, jakby się gdzie śpieszył. W Boże Narodzenie to nawet kazania nie powiedział, a w ostatnią niedzielę roku, w sylwestra i na Nowy Rok, czyli przez trzy dni za kolejną, to w ogóle żadna msza w naszym kościele się nie odprawiła. Plebania była zamknięta na głucho, ale jak żeśmy chodzili zapytać, co się dzieje, to nawet drzwi nie otwierali, chociaż w środku świece się paliły. Stukaliżemy każdego z tych dni, Jakub nawet raz czy dwa do okien plebanii krzyczał, żeby proboszcz choć na chwilę do nas wyrżał, ale na nic się to wszystko zdało.

Szósty stycznia wypadał w niedzielę. Ludzie we wsi już dzień wcześniej się zmówili, że na mszy w Trzech Króli muszą być choćby i trzeba było jechać do innej wsi. Nikt nie spodziewał się, że nagle coś się zmieni, więc wieczorem żeśmy przygotowali sanie i ciepłe ubrania. Wyjazd do najbliższego kościoła byłby też okazją, żeby z innym księdzem się naradzić, co dalej robić w sprawie naszego proboszcza.

Rano było chyba ze trzydzieści stopni mrozu. Śniegu przez noc dosypało z pół metra i żeśmy się zastanawiali, czy konie uradzą pociągnąć sanie taki kawał drogi. Niektórzy zaczęli już narzekać, że po co nam taki ksiądz, co mszy nie odprawia nawet w największe święta, kiedy nad Starzyzną rozległ się dźwięk

Świętego Józefa - naszego najpotężniejszego dzwonu. Władek Duda, który dopiero co na proboszcza narzekał najgłośniej, pierwszy rzucił się do biegu. Najpierw każdy myślał, że pewno się pali, ale dymu nie było widać, żeby się unosił nad plebanią albo kościołem.

- Musiało się stać jakie nieszczęście - powiedział Trześniowski.  
- Może co z Paulina?

Razem z Jakubem przybylim do dzwonnicy na samym końcu. Inni już stali wokół, ale nikt nie odważył się odezwać nawet słowem. Ludzie rozstąpili się przed sołtysem, a ten podszedł do Dobrowolskiego, który ciągnął za sznur z taką mocą, że dzwon aż prawie dobijał zadaszania to z jednej, to z drugiej strony

- Księżę Wincenty, stało się co? - zapytał Jakub.

Ubrany tylko w samą sutannę proboszcz w zapamiętaniu nawet nie spostrzegł się, że ktoś prócz niego jest na placu kościelnym. Nie słyszał też, jak Trześniowski do niego mówi, tylko wpatrywał się w rozkołysany dzwon, jakby chciał go sznurem ściągnąć na ziemię. Wreszcie, dopiero jak ja żem podszedł bliżej i stanął zaraz obok, Dobrowolski popatrzył w moją stronę i przestał szarpać linkę, która poleciała wysoko i aż zawinęła się o krawędź dzwonnicy.

- Co się stało, proboszczu? - zapytałem.

- Co się stało? - Przyglądał mi się zdziwiony, jakbym powiedział co głupiego. - Jak to, co się stało? Niedziela dzisiaj, a w dodatku Trzech Króli, to i na mszę dzwonię. Kościół już otworzyłem, wejdźcie wszyscy do środka. Czas zaczynać nabożeństwo.

\*

We wnętrzu świątyni był prawie taki sam mróz, jak na dworze. Nikt nie usiadł w ławkach; cieplej było stać koło siebie.

Czekaliżeśmy chyba z pół godziny i już ktoś szepnął, że może tej mszy jednak nie będzie, jak Dobrowolski, ubrany w swój najlepszy ornat pojawił się za ołtarzem.

- Zanim jeszcze zaczęną sprawować mszę świętą, chciałem was najpierw, drodzy, przeprosić za ostatnie dni. Wiem, że wielu z was zawiodłem, że chcieliście tu za moim pośrednictwem



obcować z Najwyższym... Stało się jednak inaczej. Niezbadane są wyroki boskie i z jednym z takich właśnie wyroków przyszło mi się ostatnio zetknąć. - Przerwał i patrzył na nas z uśmiechem. Wyglądał już dużo lepiej niż ostatnio. Był rumiany, pewno trochę od mrozu, ale sińce pod oczami zniknęły i oczy świeciły jasnym blaskiem.

- Choć przyczyną zaniedbania przeze mnie obowiązków duszpasterskich - mówił dalej cichym, ale mocnym głosem - było cudowne spotkanie z tym, co wielu niedostępne, w co pewnie nikt z was by mi nie uwierzył... to obiecuję, że postaram się, by więcej się nie powtórzyło. Pan Bóg obiecał mi, że więcej nie będę musiał przez niego zaniedbywać moich kochanych parafian.

Dziwne to były słowa. Spojrzeliśmy po sobie, ale nikt nawet nie szepnął. Skoro ksiądz dobrodziej tak mówił, to nie mogło być przecież inaczej.

Rozpoczęła się msza. Zwyczajna, jakich było w naszym kościele setki. Dopiero przed kazaniem nastąpiła długa cisza. Dobrowolski stał po czytaniu Słowa Bożego na ambonie. Wreszcie zamknął ewangelie, spojrzął w górę i rozpoczął:

- Mamy dziś Święto Trzech Króli, moi drodzy. Prawie dwa tysiące lat temu wielcy tego świata przemierzali daleką i niebezpieczną drogę, by oddać hołd Najwyższemu, który stał się jednym z nas. Ale oni wiedzieli, że idą pokłonić się w skromnej szopie temu, który jest potężniejszy od każdej ziemskiej władzy. Byli to wielcy, uczeni mężowie, którzy nie wątpili, że znaki na niebie mogą wskazać drogę do Boga. Szli więc, nie bacząc na trudy podróży, bo wiedzieli, jaka nagroda ich spotka za okazanie czci jedynemu prawdziwemu królowi naszego świata, a gdy dotarli na miejsce, złożyli mu to, co mieli najcenniejszego. Mirrę, kadzidło i złoto. Złota nie mamy, prowadzimy ubogie życie, ale nie chodzi przecież o to, by dary były drogocenne. Bóg przyjmie to, co dajemy ze szczerego serca i nasze starania także doceni, gdy przyjdzie Sąd Ostateczny. Pamiętajmy o tym.

Przerwał na chwilę i jakby sprawdzał, czyjego słowa dotarły do nas tak, jak tego oczekiwał.

- Znacie mnie, moi kochani, i wiecie, że nigdy nie ośmieliłbym

się was oszukać. Tak więc, zaprawdę powiadam wam, że rozmawiałem w ostatnich dniach z Najwyższym. Widziałem naszego Pana tak, jak teraz widzę was, stojących w tym świętym miejscu. I on mówił do mnie, a za moim pośrednictwem mówił też do was, drodzy. Wiem, brzmi to jak bluźnierstwo, ale jeśli nie mówię prawdy, niech będę potępiony na wieki. Przed tym ołtarzem, przed świętym obrazem i w obecności najświętszego ciała Chrystusa przysięgam, że taka właśnie jest prawda. Uwierzcie, bo od tego zależy wasze zbawienie... Wierzycie? W kościele zapanowała cisza.

- Uwierzcie, bo od wiary w moje słowa zależy wasze życie wieczne! Niech będzie przeklęty ten, który nie wierzy w słowa Najwyższego!

Krzycząc to wznosił ręce do góry.

- Boże, dziękuję ci za tę wielką łaskę w imieniu swoim i moich parafian! Ślubujemy ci całkowite oddanie naszych czynów i myśli! Bądź pochwalony teraz i na wieki! Padnijcie na kolana i dziękujcie Bogu w Trójcy jedynemu!

Nikt nie śmiał sprzeciwić się słowom księdza. Kątem oka, kłękając, zauważyłem, że Trześniowski kręci głową ze zdziwieniem, ale i on ukląkł, a zaraz potem Dobrowolski mówił dalej, już trochę spokojniej:

- Tak jak przed dziesiątkami setek lat wielkim mędrcom i władcom pokazał się na niebie znak, tak i nam wkrótce będzie dane ujrzeć na niebie znaki, tyle że tym razem będą to znaki zapowiadające koniec naszych czasów. Radujmy się, bo Pan nas za moim pośrednictwem ostrzeże i wskaże drogę postępowania. Baczcie uważnie w niebo, bo to nastąpi już wkrótce. Będę się z całego serca modlił, by dane nam było rozpoznać zbliżającą się godzinę prawdy. Idźcie za mną, a poznacie szatana, który zrobi wszystko, by pokrzyżować plany Stwórcy. To tu, w naszej małej wiosce antychryst będzie próbował podnieść głowę i tylko od nas zależy, czy jego przeklęty plan się powiedzie. Nie pozwólmy na to, kochani! Jestem z wami, bądźcie i wy ze mną! Bóg Przenajświętszy jest naszym królem i władcą! Z jego pomocą pokonamy szatana! Niech każdy, kto ujrzy znaki na niebie,

natychmiast mi o tym powie. A jak ja je zobaczę, także będziecie o tym wiedzieć. Módlmy się teraz o to, byśmy nie byli ślepi na znaki, które będą nam dane od Najwyższego... Amen.

Nawet najstarsi w naszej wiosce nie pamiętali takiego kazania. Dały się słyszeć tu i ówdzie ciche modlitwy i szlochy przestraszonych kobiet. Przy konfesjonale zaczęła ustawiać się kolejka. Każdy, kto w niej stanął, chciał pojednać się z Bogiem, by nie mieć na sumieniu grzechów. Sam żem w niej stanął. Dla mnie ksiądz Dobrowolski do tej pory był prawie świętym, a po kazaniu dziękowałem Bogu za to, że był łaskaw ostrzec mnie i wszystkich mieszkańców Starzyzny.

Spowiedź po mszy trwała długo, ale jak żem wyszedł z kościoła, czekał na mnie Trześniowski, zziębnięty na kość.

- I co ty na to, Wojciechu? - zapytał.

- Nie wierzysz w to, co mówił ksiądz?

- Sam nie wiem... Dziwne to...

- Dobrze ci radzę - powiedziałem. - Idź, pojednaj się z Bogiem.

- Jeszcze zdążę. A Paulina? Nie dziwi cię, że na mszy jej nie było?

- Martw się o swoją duszę, Jakubie. Paulina na pewno już wiedziała to wszystko wcześniej i zawierzyła temu, w co tobie trudno uwierzyć...

- Chodźmy, ja jeszcze zdążę - powtórzył. - Może Bóg nie pogniewa się, jak trochę się przy święcie gorzałki napijem.

## VII

Od Trzech Króli msze w kościele odbywały się tak, jak dawniej, każdego dnia. Ludzie byli niespokojni, często spoglądali w niebo, ale życie toczyło się w Starzyźnie normalnie. Aż do dwudziestego czwartego lutego. Wtedy właśnie, zaraz po ostatniej niedzielnej mszy przed Wielkim Postem, ksiądz oznajmił, że nadchodzi czas próby. Rozkazał, by następnego dnia ci mężczyźni, którzy mogą pomóc, stawili się do pracy przy wyrębie.

- Drodzy - powiedział - to znów się stało. Znów rozmawiałem z Najwyższym. Trzeba drewna na plebanii... I tak się składa, że jeśli

pomożecie, jutro zobaczycie, że wszystko, co mówiłem, było prawdą... Zbliży się Wielki Post i czas ostateczny też się zbliży. Bądźcie gotowi. Jeśli są wśród was tacy, którzy wątpią, przekonają się jutro. Czekam na was, kochani. Nie zawiedźcie mnie i nie zawiedźcie tego, który jest drogą, prawdą i życiem...

- A mnie się wydaje, że naszemu księdzu dobrodziejowi to się trochę w głowie poprzewracało - powiedział Trześniowski, gdyśmy z innymi wracali po mszy do domów. - Gada jak nawiedzony, jak szarlatan jaki... Gdzież to możliwe, że w naszej wiosce...

- Myślisz, Jakubie, że to nieprawda, że z Bogiem rozmawiał? - zapytałem. - Po co miałby nas oszukiwać?

- Przed ołtarzem przysięgał, w czasie mszy świętej - dopowiedział Jasiak. - Gdyby to nie była prawda, to... Krzywoprzysięstwo w takim miejscu to chyba najgorszy grzech. Ja mu tam wierzę i wy, Jakubie, lepiej też zawierzcie.

- Zobaczym, co jutro będzie. - Sołtys nie wyglądał na przekonanego. - W każdym razie coś mi tu śmierdzi i to bardzo. Moja rada jest taka, żebyście częściej niż w niebo wokół siebie bacznie patrzyli. Czasem i ksiądz może zbłądzić...

- Przestań już! - powiedziałem. - Nigdy nas nie oszukał, tyle dobrego zrobił, a ty jeszcze o jakieś niegodziwości go posądzasz?

- O nic go na razie nie posądzam, tylko gadam, żeby ostrożnym być. A jakżeś taki mądry, Wojciechu, to może powiesz, co stało się z Paulina? Od Bożego Narodzenia nikt jej we wsi nie widział, a to będzie już dwa miesiące.

- A co ma jedno z drugim wspólnego?! - Już mnie nerwy zaczynały brać na to jego głupie gadanie. - Może chora, a może wyjechała bez słowa...

- ...a może co złego jej się stało? - dokończył.

- Trza się będzie jutro księdza o to spytać.

- A zapytam się - powiedział. - Na pewno się zapytam...

- Jeszcze wstyd ci będzie, żeś proboszcza o nieczne czyny i słowa nieczyste podejrzewał!

- Daj Boże, Wojciechu. Obyś miał rację, bo ja naszemu księdzu nie wróg. Martwię się tylko. I o niego się martwię, i o dziewczynę.

Pusto tak jakoś się bez niej we wsi zrobiło. No, bywajcie, bo już żeśmy przy waszej chałupie. Do zobaczenia jutro przy wyrębie.

\*

Z początku dzień był chłodny i zachmurzony. Żeby nie skostnieć, żwawo żeśmy się wzięli do roboty. Było nas sześciu czy siedmiu chłopów, to i praca szła jak po maśle.

Ksiądz normalnie ubrany był, tak jak my, po robocjemu, ale jakiś taki nieswój. Ciągłe rozglądał się to na boki, to do góry patrzył niespokojnie, to na zegarek. Kręcił się między nami, pod siekierę podłaził i tak po prawdzie, to więcej zawadzał, niż pożytku z niego było. Wreszcie, jak padający buk o mało nie zawadził Dobrowolskiego, Trześniowski nie wytrzymał:

- Może by sobie proboszcz tak trochę z boku stanął? Złe nie śpi i o nieszczęście nietrudno.

- Nie, nie, panie Trześniowski. Już się biorę do pracy i będę uważał.

- Niech ksiądz siądzie z boku trochę, o tu na ten przykład, na pieńku, i poopowiada. I krzywdy ksiądz sobie nie robi, a i nam robota lepiej będzie szła.

- No dobrze, niech będzie. - Usiadł na pniu i znów spojrzał w niebo, a zaraz potem na Jakuba.

- Ale co niby mam opowiadać, sołtysie? Cały czas na plebanii siedzę...

- No to opowiedzcie, co tam na plebanii, proboszczu. Co tam u Pauliny Podolakowej, bo dawno żeśmy jej nie widzieli i niepokoić się zaczynamy, czy z nią aby co złego się nie stało?

Akurat zem stał niedaleko księdza i dokładnie było widać, jak słowa Jakuba go wzburzyły. Czerwony cały na gębę się zrobił, wstał jak oparzony i wpatrywał się ze złością w Trześniowskiego. Pozostali przerwali pracę, by dokładnie usłyszeć, co odpowie proboszcz. Ten po chwili usiadł na swoim miejscu i spokojnie rzekł:

- Co też pan wymyśla, panie sołtysie? Co niby jej się złego na plebanii mogło stać?

- Nie wiem, co... Dziwne to po prostu, że tyle czasu znaku życia

nie daje, to i ztem się zapytał.

- Niepotrzebnie się martwicie. Wszystko z nią w porządku, tylko... w święta, jak szła z wodą od studni, to poślizgnęła się na lodzie i nogę skręciła. Do dziś trochę trudno jej chodzić, ale już wraca do zdrowia.

- A może trza było w takim razie po doktora posłać? Może noga złamana i jak się źle zrośnie, to dziewczyna kaleką może na całe życie zostać... - nie ustępował Jakub.

- Sam Paulinę na to namawiałem, ale cały czas twierdziła, że to nic takiego, a siłą jej nie zmuszę, prawda?

- To jeszcze prawie dziecko, proszę księdza. Sama nie wie, co dla niej lepsze.

- Mój ojciec był felczerem, więc na zwichnięcia się napatrzyłem i potrafię je rozpoznać - mówił coraz bardziej poirytowany Dobrowolski. - Wracajcie do roboty. Chyba nie sądzicie, że nie dbam należycie o biedną sierotę?

- Tego nikt przecie nie powiedział - odparł Jakub. - Ale wieczorem i tak przyjdę zobaczyć, co z nią.

Wyglądało na to, że przynajmniej na razie temat jest zakończony. Robota znów ruszyła, a ksiądz wstał i odszedł na kilkadziesiąt kroków. Zaraz potem zawołał do siebie Trześniowskiego.

Widać było, że żywo o czymś rozprawiają. Po kilku minutach rozmowy Jakub zaczął ze złością wymachiwać rękami.

Dało się tylko słyszeć jego podniesiony głos, ale zrozumieć czegokolwiek się nie dało. Wreszcie sołtys zdarł z głowy futrzaną czapkę i cisnął nią pod nogi księdza. Ten był bardzo spokojny. Pogroził tylko palcem sołtysowi. Wtedy wydawało mi się, że usłyszałem, jak Trześniowski krzyknął:

- Szlag by cię trafił! Bodaj byś...

Nie byłem pewien, czy tak właśnie zwrócił się do księdza. Tak po prawdzie, to wolałem myśleć, że tylko mi się tak zdawało.

Po kłótni ksiądz poszedł głębiej w las, a Jakub wrócił do nas błady jak ściana. Widać było, że bardzo jest poruszony. Usiadł na pniu, wyjął papierosa i zapalił.

- Stało się co? - zapytałem, a Trześniowski tylko pokręcił głową.

Wiedziałem, że teraz, przy ludziach, i tak więcej się od niego nie dowiem.

\*

Po ponurym i chłodnym poranku pogoda zaczęła się nagle zmieniać. Wiatr przeganiał po niebie chmury, których było coraz mniej, aż wreszcie zza nich wyjrzało słońce.

Ksiądz wrócił na wyrąb i teraz już nawet nie udawał, że próbuje pomagać. Stał tylko na pobliskiej polanie, spoglądając to w niebo, to na zegarek. Trześniowski patrzył od czasu do czasu w jego stronę i pracował z zaciśniętymi ustami. Dobrowolski jakby zapomniał już o wszystkim. Wcześniej był niespokojny, teraz zajmowało go tylko sprawdzanie godziny. Kiedy prawie zapomnieliśmy o jego istnieniu, krzyknął:

- Bywajcie do mnie! Oto nadeszła chwila, gdy Pan Bóg Przenajświętszy daje nam znak, tak jak obiecał!

Rzuciliśmy piły i siekiery, by pobiec w kierunku proboszcza.

- Na kolana, grzesznicy! - krzyczał, wpatrując się w niebo, gdy zdyszani staliśmy otaczając go ciasnym kołem.

Jak jeden mąż spełniliśmy jego rozkaz, klękając na mokrej ściółce.

- Pan też, panie Trześniowski!

Dopiero teraz zobaczyłem, że Jakub wciąż pracuje, nie zważając na wołanie księdza. Z ociąganiem odłożył siekiere i wolnym krokiem ruszył w naszą stronę.

- Powiedział Pan, że słońce będzie zasłonięte, a to zwiastować będzie ogrom nieszczęść i przybycie antychrysta! Błogosławieni, którzy poprzez kapłana poznają te znaki i przygotowują się na Sąd Ostateczny! - to mówiąc zza pazuchy wyciągnął coś płaskiego i podał Jaśkowi. - Patrzcie i uwierzcie, że prawdę wam powiadam!

Akurat w tym momencie słońce zasłonił ołowiany obłok. Jakub stanął obok mnie i z kpiącym uśmiechem wpatrywał się w księdza.

- Na kolana, niedowiarku! - warknął ten gardłowo.

- Na kolana, bo inaczej... inaczej spadnie na ciebie nieszczęście... Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Trześniowski spojrział na niego z pogardą, splunął i przyklęknął na jedno kolano.

- Widzę, proszę księdza! Na słońce coś nachodzi! - Jasiek wpatrywał się w górę, trzymając w ręku okopconą szybkę. - Co się dzieje? Co to się dzieje, proboszczu?

- To pierwszy znak. Pierwszy z wielu. Daj i innym popatrzeć.

Szybka przechodziła z rąk do rąk. Każdy z nas mógł zobaczyć, jak słońca na niebie jest coraz mniej, aż wreszcie zasłonięte było prawie w połowie. Jakub też popatrzył przez chwilę i oddał mi szkiełko.

- Słuchajcie mnie teraz! - krzyczał znów Dobrowolski. - Wkrótce nadejdzie chwila prawdy, chwila, gdy trzeba będzie udowodnić swoją wiarę...

Trześniowski wstał i ruszył w stronę wsi.

- Wracaj! Wracaj tu w tej chwili! Wracaj, bo będziesz przeklęty!

Nawet się nie odwrócił. Machnął tylko ręką i szedł dalej.

- On to zrozumie, zobaczycie, że jeszcze to zrozumie. A teraz módlmy się, bo tego teraz najbardziej nam potrzeba. Ojciec nasz, któryś jest w niebie...

- Co się stało Jakubowi? - zapytał mnie Jasiek.

Wzruszyłem tylko ramionami i modlił się jak pozostali.

Gdy słońce znów było widać w całości, wstaliżemy, nie wiedząc, co dalej robić.

- Dość już pracy na dzisiaj - powiedział Dobrowolski.

- Zabierzcie narzędzia i idźcie do wsi opowiedzieć innym, coście tu widzieli. Módlcie się wszyscy z nimi z całego serca, a wieczorem przyjdźcie na mszę. Pomódlcie się też za mnie, żebym potrafił dobrze odczytać słowa naszego Pana, bo od tego zależą nasze losy.

Podniósł rękę i nas pobłogosławił.

Po powrocie do wioski od razu żem poszedł do Jakuba.

- Co tobie? - zapytałem. - Życie wieczne ci niemiłe? Przecież żeś widział to, co i my...

- Daj mi spokój, Wojciechu. Daj spokój i idź swoją drogą.

- Msza dziś wieczorem będzie. Ksiądz kazał, żeby wszyscy...

- Ja nie pójdę i Helenka też w domu zostanie.



- Czyś ty oszalał? Znaki na niebie, a ty nawet pojednać się nie chcesz z Bogiem?

- Jak będzie trza, to będę sam się z nim jednał. A te znaki to... - Machnął ręką. - I tak bardziej niż mnie wierzysz księdzu. Nie wiem, co on wymyślił i po co mu to wszystko, ale bacz uważnie. Czasem od ludzi większe nieszczęścia mogą przyjść niż od Boga. Jeszcze wspomnisz moje słowa, Wojciechu.

\*

Wieść o niezwykłych znakach na niebie gruchnęła po wsi z taką mocą, że wszyscy w kościele zjawili się na długo przed godziną rozpoczęcia mszy. Przyszedł też ksiądz, podszedł do mnie i zapytał:

- A Trześniowski? Nie ma go?

- Nie ma, proboszczu. Powiedział, że ani on nie przyjdzie, ani jego córka.

- Bez niego nie zaczniemy, panie Grela. Musimy wszyscy się modlić, bo inaczej nieszczęście gotowe. Niech pan idzie i ich przyprowadzi do kościoła.

- Ale przecież na siłę go nie przyciągnę...

- Powiedziałem chyba jasno? Musi przyjść Trześniowski, bo inaczej nie będzie mszy. Albo jest z nami, albo wszyscy przez niego będziemy potępieni. Niech pan mu to przekaze. Niech pan też powie, że nasza umowa z rana jest aktualna. Jeśli będzie mi się sprzeciwiał... On dobrze pamięta moje słowa. Niech pan mu przekaze, że jeśli mi się będzie sprzeciwiał, to przeciw całej wsi się to obróci, dobrze?

Nie miałem innego wyjścia. Poszedłem do Jakuba, przekazałem mu słowa księdza, a wtedy on bez słowa zaczął się ubierać i Helence też kazał iść razem z nami. Ksiądz wiedział, że przyjdzie wszystkim, bo z rozpoczęciem mszy czekał. Kiedy nas zobaczył w wejściu, uśmiechnął się i dopiero wtedy rozpoczął liturgię.

## VIII

Na koniec poniedziałkowej mszy ksiądz przykazał, aby wypadające następnego dnia ostatki były we wsi huczne. Mówił, że niezbadane są wyroki niebios i nie wiadomo, czy jeszcze kiedy taki dzień nam się przydarzy.

Nie były to słowa, które żeśmy mogli odczytać jako zapowiedź czego dobrego, to tym bardziej trza było święto uczcić. Sam proboszcz też świętował razem z nami. Obszedł każdą chałupę we wsi i w każdej pokosztował i jadła, i napitków, przestrzegając przed wielkim postem, który miał się zacząć następnego dnia.

Nasz dom odwiedził na samym końcu. Miał już niezłe w czubie, język mu się plątał, ale nie odmówił i u nas poczęstunku. Niedługo przed północą wstał, mówiąc, że pora na spoczynek. Chwiał się na nogach, to dałem znak Jaśkowi, że trza Dobrowolskiego na plebanię zaprowadzić. Wzięliśmy go pod pachy i powiedli w kierunku kościoła.

W kuchni plebanii widać było światło.

- Widać, Paulina jeszcze nie śpi - odezwał się Jasiek.

- Widać, czeka na księdza...

- Tak jej przykazałem, żeby mi drzwi otworzyła, jak wrócę - wybełkotał proboszcz. - Wszystko robi tak, jak jej każę...

- Dobra z niej dziewczyna, prawda? - zapytałem. - Chyba proboszcz z niej zadowolony?

Wyrwał się gwałtownie, szybko wszedł po schodach na ganek i załomotał pięścią w drzwi, po czym odwrócił się w naszą stronę.

- Szatan na każdego z nas czyha, a najbardziej na tych, których myśli i czyny zawsze były prawe - wymamrotał.

Był całkiem pijany i ledwośmy go rozumieli.

- Czasem w nich wstępuje, tak...

Zza jego pleców dobiegł szcęk otwieranego zamka i drzwi się uchyliły.

- Wracaj do kuchni! - krzyknął. - Wracaj, powiedziałem!

Usłyszeliśmy oddalające się kroki, a ksiądz zszedł do nas i chwycił mnie za kłapy kożucha.

- Wojciechu! - Jego oddech czuć było alkoholem. - Ja dla was

wszystko... A wy? Przysięgnijcie mi, że staniecie u mojego boku do ostatecznej walki z antychrystem! Ty też, Jasiak! Przysięgnijcie mi obaj, bo sam nie dam sobie rady...

- Staniem, proszę księdza - odezwałem się niepewnie.

- Przysięgajcie na krzyż! - Wyjął zza pazuchy sutanny krucyfiks.

- Połóżcie na nim ręce i przysięgajcie!

Zrobiliżemy to, co nam kazał. Potem dał go nam jeszcze do ucałowania.

- I nie słuchajcie sołtysa - wyszeptał gorączkowo, chowając krzyż. - To zły człowiek. Pewnie jątrzyć będzie i zaprzeczać moim słowom, Judasz przeklęty... Gdybyście wiedzieli, co on... Co on w czasie wojny... - Przerwał i tylko oddychał ciężko. - Ale nieważne. Obowiązuje mnie tajemnica spowiedzi... Idźcie z Bogiem i módlcie się za mnie.

- Czas próby nadchodzi - dodał, odwracając się i z trudem wdrapując się na schody. - Módlcie się, żebyście wtedy byli po właściwej stronie.

Ciężko nam było to wszystko zrozumieć. Długo jeszcze żeśmy stali przed plebanią, zastanawiając się nad słowami księdza. Jedno było jasne - nie zapowiadały one niczego dobrego.

\*

Już w Środę Popielcową znać było, że ten Wielki Post będzie inny od wszystkich, które żeśmy przeżywali do tej pory. Kazania proboszcza i znaki na niebie sprawiły, że na ludzi we wsi padł strach. Słowa „z prochu powstałeś i w proch się obrócisz” nabierały strasznego znaczenia, a posypanie głów popiołem kazało nam myśleć o bliskiej śmierci.

Na mszy zabrakło tylko Trześniowskiego i jego córki.

- Myślisz, ojcze, że ksiądz prawdę gadał o Jakubie? - pytał mnie w kościele Jasiak. - To możliwe, że on się Bogu sprzeniewierzył?

- Nie wiem, synu, ale jeśli taka jest prawda, to tym bardziej powinniśmy się modlić za jego duszę i za duszę Helenki. Póki czas ostateczny nie nastał, jeszcze nie jest dla nich za późno.

\*

Do Starzyzny powróciły kopne śniegi i trzaskające mrozy. Nikt z nas nie wychodził poza wieś, a i nikt z zewnątrz do nas nie docierał. Dzieciaki nie chodziły tygodniami do szkoły. Zresztą, i tak nauka nie miała żadnego znaczenia, skoro wkrótce miał nadejść czas ostateczny. Zdawało się, że poza Trze-śniowskimi nikt w to nie wątpił.

Od Środy Popielcowej nikt nie spotykał się z Jakubem i Helenką. Czasem byli widywani przy swoim domu, ale poza zwykłym „dzień dobry”, ludzie nie wdawali się z nimi w rozmowy. Znac było wyraźnie, że ksiądz nie tylko nam w ostatki nagadał o nich złych rzeczy.

Słowa proboszcza zdawała się potwierdzać nieobecność Trześniowskich na mszach świętych. Nie tylko w niedziele, ale i w dni powszednie kościół był wypełniony, a sołtys i Helenka dalej nie przychodzili. Wreszcie ludzie zaczęli nawet szemrać, że to pewnie w ich domu zadomowił się antychryst.

Gdzieś tak w połowie marca doszły do nas słuchy, że Kowaliki, Duda i jeszcze dwaj inni mężczyźni wybrali się na plebanie, żeby poradzić się Dobrowolskiego, co robić w tej sytuacji. Gadało się nawet, że sami proponowali - jak to określano - ostateczne rozwiązanie problemu odszczepieńców. Nie wiadomo, ile w tym prawdy, ale ponoć ksiądz, który nawet nie wpuścił ich za próg, stanął w obronie Jakuba i Helenki. Mówił, że tylko zbłądzili, i przekonywał, że antychryst objawi się w innym miejscu. Przyrzekł, że sam pierwszy da znak, gdy tylko nadejdzie odpowiedni czas.

I tak właśnie się stało.

## IX

Na początku kwietnia, niedługo przed Wielkanocą, nadeszły pierwsze cieplejsze dni. Śnieg topił się szybko, powodując podtopienia gospodarstw, ciężkie, wilgotne czapy łamały drzewa w okolicznych lasach, a droga do Guciowa przypominała trudne do przebycia trzęsawisko. Mimo to w Niedzielę Palmową,

szóstego kwietnia, ksiądz na mszy wyraźnie dal do zrozumienia, że pora wysłać dzieci do szkoły.

- Zaczynają się rekolekcje - mówił. - Bóg był jak dotąd dla nas łaskawy i pora znów wrócić do tego, co było dawniej.

Nie było mowy, żeby ktoś sprzeciwił się nakazowi, więc wszyscy bez wyjątku posłali swoje pociechy na nauki. Każdego dnia rano jeden z gospodarzy wyruszał wozem przez błotnistą drogę, by dowieźć tak i najmniejsze, jak i starsze dzieci na miejsce. Kola grzęzły, łamały się osie wozów, konie odmawiały posłuszeństwa, ale polecenie księdza i tak było zawsze spełniane. Za każdym razem ten sam gospodarz, co je rano zawiózł, miał przywieźć dzieciaki z powrotem do wsi.

W Wielki Czwartek zajęć nie było, za to następnego dnia miały się odbyć specjalne zajęcia. Wiadomo - mszy w Wielki Piątek się nie odprawia, ale nakaz był wyraźny: dziatwa i młodzież miała obowiązek dotrzeć rano na miejsce.

Tym razem jażem miał jechać. Załadowany wóz ledwie przedzierał się przez błota. Tuż przed guciowską drogą ktoś z wozu krzyknął:

- Panie Grela! Anielka z wozu wyskoczyła!

Ściągnąłem lejce, ale pomiędzy drzewami jeno zamajaczyła mi jej sukienka. Anielka nie zwracała uwagi na moje krzyki, tylko biegła z powrotem w stronę Starzyzny.

Nie było rady. Dowiózłem pozostałych i zapowiedział, że zaraz po południu będę po nich z powrotem. Zachodziłem, w głowę, co tej malej strzeliło do łba. Miałem nadzieję, że jak wrócę, spotkam ją całą i zdrową we wsi.

Tak też się stało. Jej ojciec, Antek Komisarczuk, już na mnie czekał przed chałupą.

- Wojciechu, mała jest w domu - powiedział. - Nie wiem, dlaczego uciekła. Powiedziała tylko, że nie chce być dzisiaj z innymi dziećmi.

Wzruszyłem tylko ramionami.

- Całe szczęście, że dotarła cało.

I tak żem miał swoje kłopoty na głowie. W drodze powrotnej trzasnął mi dyszel i nie było dużo czasu na jego narychtowanie.

Niedługo trza było jechać z powrotem i kłążyć siebie w duchu, bo trza mi było na dzieciaki poczekać.

Jak się potem okazało, dobrze bym zrobił.

\*

Akurat zem miał jechać z powrotem, jak nad Starzyzną nadciągnęły ciemne, burzowe chmury. Za wzgórzami słycać było grzmoty, które zdawały się coraz to głośniejsze i bliższe. Wszystko wokół zamarło nagle, jakby kto odgłosy nożem uciał. Wiatr ucichł, podobnie jak śpiew ptaków, które jeszcze przed chwilą dawały przedwiosenny koncert. Nie wróżyło to niczego dobrego, ale nie było wyjścia. Zarzuciłem na plecy pelerynę od deszczu i wsiadł na wóz.

Udało mi się dojechać do skraju doliny i zaraz potem rozpętało się prawdziwe piekło. Najsampierw zaczęło wiać tak mocno, że co cieńsze drzewa pochylały się prawie do ziemi, a mocniejsze tylko skrzypiały i jęczały w gęstniejących porywach wyjącego wichru. Skuliłem się tylko na koźle, odmawiając modlitwy, żeby które z nich nie spadło mi prosto na plecy.

Zaraz potem wkoło zaczęły walić pioruny. Jeden za drugim, jeden za drugim tak często, że ich uderzenia zlały się w jeden ogłuszający huk. Nad las naszło niebo tak czarne, że zrobiło się ciemno jak w środku nocy. Gniady przypięty do dyszla ploszył się co chwila, ale ciągle szedł do przodu. Jak nadeszła ulewa, wicher zaczął wiać jeszcze mocniej, a od gęstwiny dały się słyszeć odgłosy łamiących się i padających drzew.

Nagle droga rozjaśniła się oślepiającym blaskiem, a rażony błyskawicą stary dąb, co najwyżej dziesięć metrów po prawej stronie przede mną, stanął cały w ogniu, po czym przepołowił się jak liche polano uderzone siekierą. Jedna jego część zatarasowała drogę, stawiając przed wozem płonącą barykadę, której nijak nie mógłzem ominąć. Koń szarpnął się do tyłu, zerwał uprząż i jak oszalały popędził gdzieś w głąb lasu.

Cały zem się trząsł, ale udało mi się jakoś zleźć z wozu i wczółgać pod spód w nadziei, że tam uda mi się przetrzymać nawałnicę.

Już drugi raz zacząłem odmawiać różaniec, a wichura nie ustawała ani na jotę. Wtedy to właśnie zdało mi się, że słyszę głos Jaśka. Najpierw słaby; ginął co chwila w huku piorunów i przewalających się drzew, lecz później zabrzmiał głośniej.

- Tato! - Teraz żem był już pewien, że to syn za mną woła. - Tato!

Najwyraźniej zobaczył płonące drzewo, bo zaraz potem dopadł do wozu.

- Tutaj, Jasiek. Pod spodem.

Schylił się i złapał mnie za ramię, próbując wyciągnąć spod fury.

- Chowaj się! Tu przeczekamy! - krzyknąłem. - Zduńnię! - żeś, czy ci może życie nie miłe?

- Do wsi, ojciec! - Wysapał. - Szybko, bo nieszczęście wisi w powietrzu!

- Ale co się stało? Chałupa od pioruna się zapaliła?

- Ksiądz, Paulina... Sam zobaczysz. Może jeszcze nie jest za późno...

\*

Jasiek gnał tak, jakby gonił go sam diabeł. Co rusz musiał- żem na niego pokrzykiwać, żeby poczekał, ale zaraz potem znów odbiegał w przód, mamrocząc tylko „Ksiądz, Paulina, ksiądz, Paulina” i tak w kółko. Zdawało się, że odchodzi od zmysłów.

Burza nie ustawała. Wicher dął ciągle z taką samą siłą i dalej panował mrok. Jak żeśmy wybiegli z lasu, z każdym uderzeniem pioruna zdawało się, że to właśnie w nas tym razem uderzy, ale przynajmniej błyski rozświetlały trakt przed nami na tyle, że nie sposób było zabłądzić.

Gdy kościół był już blisko, Jasiek przestał na mnie zważać i popędził co sił w nogach. Ja już słaby, to resztę drogi przebyłem na tyle szybkim krokiem, na ile pozwalały na to stare kości.

Świątynię rozjaśniały dziesiątki świec, których najwięcej było przy samym ołtarzu, ale oczy, jeszcze trochę ślepe od białego światła błyskawic, z początku i tak nie chciały się przyzwyczaić do o wiele słabszego blasku. Jasiek stał w drzwiach, ciężko sapiąc. Minąłem go i postąpił kilka kroków naprzód.

Na ołtarzu w jasnym, lnianym ubraniu leżała Paulina, a Dobrowolski stał tuż za nią z rękami wzniesionymi ku górze. Odprawiał mszę. Odprawiał mszę w Wielki Piątek, co było dla mnie zupełnie niepojęte.

Rozejrzałem się wokół. Zdawało się, że wszyscy ze wsi przybyli na nabożeństwo. Patrzyłem w ich blade twarze, a oni powtarzali za księdzem słowa modlitwy, jakby nieobecni i ciałem, i duchem.

Dziewczyna była ciasno skrepowana grubym powrozem. Na nagich kostkach nóg, na udach, w talii, na piersiach, skrzyżowanych nadgarstkach i szyi sznur wyraźnie odcinał się od bieli ciała i szat, w które była ubrana. Zobaczyła mnie i przypatrywała mi się z nadzieją, wyraźnie bijącą z jej załzawionych oczu. Próbowwała się poruszyć, próbowała coś powiedzieć, ale słyhać było tylko jej zdławiony, gardłowy jęk. W ustach też miała powróż, biegnący pomiędzy wyszczerzonymi zębami i wcinający się głęboko w jej blade policzki.

Ksiądz przerwał modlitwę i spojrzał na mnie wzrokiem, jakiego nigdy dotąd żem nie widział ani u niego, ani u nikogo innego. Kiwał się lekko to w przód, to w tył, a jego zimne, prawie martwe oczy przepełnione były obłędem.

- Szczyście Boże, panie Greła - wycharczał, a głos miał cichy, przypominający dźwięczenie ostrzonego noża. - Dobrze, że pan do nas dołączył. Wszyscy, jak tu jesteśmy, przysięgaliśmy na krucyfiks wierność Najwyższemu... Oto nadeszła chwila prawdy...

- On tu był!!! - wrzasnął tak głośno, że wysoki głos potoczył się po ścianach i odbił echem od wysokiego sklepienia. - Antychryst był między wami, a tylko ja potrafiłem rozpoznać jego dzieło!!! - krzyczał jeszcze bardziej donośnie. - Gdzie wtedy byliście?! Dlaczego byliście ślepi?! Dlaczego?! Czy was nie ostrzegałem?!

Kościół chwiał się w posadach, wstrząsany podmuchami wichru, odgłosy grzmotów i wciąż ulewnie padającego deszczu nie ustawały, a mimo to wydawało się, że po słowach księdza nastąpiła zupełna cisza.

- Oto jego dzieło - powiedział już ciszej, po czym gwałtownym ruchem przekreślił dziewczynę na plecy z taką siłą, że aż jej głowa głucho uderzyła o ołtarz.



Wcześniej tego żeśmy nie widzieli, bo leżała przodem do nas. Teraz, gdy była odwrócona bokiem, poniżej piersi, pomimo krępujących więzów, uwidoczniło się wyraźne zaokrąglenie brzucha. Jej ciałem wstrząsnął nagły szloch.

- Teraz dopiero płaczesz? - Dobrowolski pochylił się nad nią z szyderczym uśmiechem. - Teraz?! Trzeba było wcześniej... Teraz jest już za późno!

Postąpiłem kilka kroków w tył, a on to dostrzegł i powiedział:

- A pan się gdzie wybiera? Chyba nie zamierza pan złamać świętej przysięgi?

Nie wiedziałem, co robić. To wszystko w głowie mi się nie chciało pomieścić. Wiedziałem, że dzieje się coś złego, coś bardzo złego, ale bałem się też kary za krzywoprzysięstwo.

- Trzymajcie go - rozkazał. - On musi tu z nami być.

Do samego końca.

Silne ręce chwyciły mnie z obu stron. Marcin Kowalik i Władek Duda trzymali mnie tak mocno, żem nie mógł nic zrobić.

- Jasiek! - krzyknąłem. - Jasiek, biegnij po Trześniow- skiego!

- Łapcie młodego Grełę! - wrzasnął ksiądz. - Nie pozwólcie mu uciec!

Stukot butów w tylnych rzędach świadczył o tym, że inni natychmiast próbowali wykonać polecenie, lecz zaraz potem ktoś odpowiedział:

- Uciekł, proszę proboszcza. Gnać go?

Ten zastanowił się przez moment i odparł:

- Nie trzeba. Zaraz i tak wróca. Może to i nawet lepiej, że dołączy do nas też sołtys. Zbłądził, ale przecież moją rolą jest też sprowadzanie wątpliwych ze złej drogi, która wiedzie wprost w otchłań piekielną...

\*

Wydawało mi się, że od chwili, gdy Jasiek pobiegł po Trześniowskiego, mijają godziny, choć wiedziałem, że mogło minąć najwyżej kilka minut. Msza trwała nadal, jak gdyby nic się nie zdarzyło, tylko mężczyźni z obu stron wciąż ściskali moje ramiona. Ich twarze były jak z wosku.

Dalej, za Kowalikiem, siedziała rodzina Komisarczuków, a Anielka była jedynym dzieckiem w kościele. Przeraził mnie widok jej buzi. Wpatrywała się w leżącą na ołtarzu Paulinę z radosnym podnieceniem w oczach, na policzkach miała rumieńce. Trudno było mi powiedzieć, czy rozumie, co właściwie się dzieje.

Tak naprawdę, trudno było mi ocenić, czy ktokolwiek ze zgromadzonych, poza mną i skępowaną powrozem dziewczyną, rozumiał.

Podczas podniesienia modliłem się z całego serca, żeby ten cały koszmar jak najszybciej się skończył, żeby przyszli Jasiak z Jakubem, żeby zrobili coś, co przerwie to całe okropieństwo.

Najbardziej żem chciał, by to wszystko okazało się strasznym snem, którego po przebudzeniu nie będę nawet pamiętał.

Dobrowolski odprawiał mszę spokojnie, całkiem nie widać było po nim zdenerwowania. Miałem nadzieję na to, że to jakiś dobry znak.

W pewnej chwili zdawało się, że mówi wolniej. Co chwila spoglądał też w stronę drzwi, jakby czekał na przyście nieobecnych.

„Zaraz rozda komunię” - pomyślałem. - „A potem niech to wszystko się skończy”...

Nagle się odezwał, pochylając się nad dziewczyną:

- Już pora, dziecko...

Ta wpatrywała się w jego puste oczy przerażona, a po jej policzkach wciąż płynęły łzy.

Przy drzwiach dało się słyszeć poruszenie i stłumione głosy. Książd spojrział w tamtym kierunku, po czym rzekł cicho i spokojnie:

- Oto Baranek Boży...

To, co nastąpiło potem, nie trwało chyba nawet sekundy. Coś błysnęło w ręce kapłana, którą wznosił gwałtownym ruchem do góry. Wywrócił oczy tak, że było widać tylko białka, po czym ramię opadło, uderzając w pierś dziewczyny. Zaczęła się rzucać jak w padaczkę, jej bosa stopy i głowa bębniły o ołtarz. Dobrowolski znów patrzył przed siebie, jakby zupełnie

zapomniał o istnieniu Pauliny.

Pod jego ręką pojawiła się purpurowa struga, która spłynęła na ołtarz po białym odzieniu. Dziewczyna poruszyła się po raz ostatni.

- Zostaw ją! - Poznałem głos Jakuba. - Coś ty jej zrobił, skurwysynu?!

- Jego też trzymajcie, tak jak Grełę - rzucił ostro ksiądz. - Niech się tu nie zbliża!

Znów słyhać było szamotaninę od tyłu, do której dołączyły krzyki i przekleństwa sołtysa. Zaraz potem przestałem je słyszeć. Patrzyłem tylko na śliczną, dziewczęcą twarz, która teraz nie wyrażała już żadnych emocji. Spoglądała tylko w górę szklistymi oczami. A krew nie przestawała płynąć. Potem nie widziałem już nic.

Następne, co pamiętam, to siebie leżącego na podłodze i Dobrowolskiego, który czerwoną od krwi ręką podaje komunię podchodzącym ludziom. Małe, purpurowe krążki znikwały jeden po drugim w kolejnych ustach.

Burza przeszła, chmury się rozsunęły, na dworze zrobiło się jaśniej. Wiatr też ucichł. Było cicho i spokojnie.

„Już po wszystkim” - tyle żem tylko dał radę pomyśleć.  
„Wszystko się już skończyło...”

## Rozdział trzeci

### 1.

Od pisania całkiem zdrętwiała mi ręka.

Jeszcze zanim stary Grela zaczął opowiadać, szybko sięgnąłem po brulion Rafała i na czystych stronach zacząłem notować całą historię.

Nie zdążyłem wcześniej przeczytać wszystkich notatek, ale uznałem, że przecież mogę to zrobić później. Ze względu na Gielmudę i jego małą córeczkę nie chciałem uronić z powieści nawet jednego słowa.

Teraz przebiegiem wzrokiem po ostatniej zapisanej kartce i odrzuciłem ołówek, jakby parzył mnie w palce. Cisnąłem nim z taką złością, jak gdyby to właśnie on był winien temu, co zostało przed chwilą zapisane.

Jako dziennikarz miałem sporą wprawę w szybkim notowaniu wypowiedzi moich rozmówców. Robiłem to machinalnie, a znaczenie zapisanych słów właściwie do mnie nie docierało; najważniejsze było dokładne odwzorowanie każdego słowa, każdej myśli opowiadającego.

Wystarczyło, że rzuciłem okiem na ostatnie zdania, a już dokładnie wiedziałem, że nigdy więcej nie wrócę do tego tekstu. Bóg mi świadkiem, że wolałbym to wszystko w jakiś magiczny sposób wykasować z pamięci, lecz sądziłem, że nie będzie to możliwe. Nie miałem wątpliwości - historia Pauliny Podolak i jej nienarodzonego dziecka będzie latami do mnie wracać w sennych koszmarach.

O ile te lata rzeczywiście jeszcze są przede mną.

Podniosłem wzrok. Stary Grela patrzył na mnie z niepokojem, jakby obawiał się reakcji. Po twarzy Jaśka płynęły Izy, a pozostała dwójka patrzyła gdzieś po kątach pomieszczenia

kuchennego.

Nie miałem pojęcia, co mogę powiedzieć. Raz jeszcze rzuciłem okiem na brulion i zamknąłem go z trzaskiem. Największą ochotę miałem na to, aby wyjść na zewnątrz i się uspokoić. To nie był najlepszy pomysł, więc zamiast tego wstałem, podszedłem do kredensu i wyjąłem z niego butelkę wódki.

Pociągnąłem z gwinta kilka solidnych łyków, a potem wyszedłem do pokoju.

Chciałem po prostu zostać sam.

\*

I byłem sam.

W obcym domu, wśród wraków ludzi, którzy pozwolili na zbrodnię tak straszną, że ciężko było ją ogarnąć umysłem. Socha i Cieplakowa - przecież byli wtedy w kościele i nie zrobili nic, co mogło pomóc tej nieszczęsnej dziewczynie, zamordowanej z zimną krwią przez oszalałego proboszcza. Grelowie też nie byli bez winy. Wprawdzie w ostatniej chwili przejrzeni na oczy i próbowali pomóc, tyle że akurat wtedy było już za późno. Gdzie byli wcześniej, do jasnej cholery? Dlaczego nie posłuchali sołtysa, który chyba jako jedyny zachował resztki zdrowego rozsądku?

Łatwo mi było ich oceniać, leżąc beczynn timer na łóżku i wpatrując się w sufit. Mnie, człowiekowi po studiach, który przyszedł na świat dokładnie w dniu, gdy cała ta potworność się wydarzyła.

Pod koniec dwudziestego wieku i na początku trzeciego tysiąclecia powszechnie znane były występki księży, którzy - co powoli docierało do wiernych - byli takimi samymi ludźmi, jak pozostali członkowie Kościoła. Błądzili tak, jak inni. Grzeszyli, sprzeniewierzali się ślubom kapłańskim, rozkręcali własne, czasem mało przejrzyste interesy. Gazety i telewizja trąbiły przecież o tym z lubością. Ale tuż po wojnie, zwłaszcza na wsiach, postrzeganie kapłanów było całkiem odmienne. Czy można było prostych ludzi winić za to, że dali się zmanipulować? Zwłaszcza że Dobrowolski, który był dla nich wielkim autorytetem i dobrodziejem, przysięgał przy ołtarzu, pokazywał znaki na

niebie (pomyślałem, że jeśli uda mi się wrócić do „mojego świata”, to w pierwszym rzędzie sprawdzę, czy dwudziestego piątego lutego tamtego roku było w Polsce widoczne zaćmienie słońca), mając książkową wiedzę o ich spodziewanym nadejściu. Oszukał mieszkańców Starzyzny tylko po to, żeby zachować dobre imię, żeby nie wyszło na jaw, że ufna dziewczyna zaszła z nim w ciążę. Ją też pewnie w jakiś sposób omamił...

Obrzydzenie i złość ustępowały miejsca zwyczajnemu współczuciu. I rodzącemu się przekonaniu, że wtedy na ich miejscu zachowałbym się tak samo.

„Ale co z Trześniowskim?” - zapytałem sam siebie w myślach. „On czuł, że coś się święci i nie zareagował. Dlaczego?! Czym zagroził mu ksiądz?”

Pytania kłębiły się w głowie, a świadomość, że zapewne nigdy nie będzie mi dane poznać na nie odpowiedzi, była trudna do zniesienia.

Niemal tak samo nieznośna, jak ta, że zostanę tu do końca życia. Albo i jeszcze dłużej...

Nie zauważyłem nawet, kiedy zrobiło się całkiem ciemno.

Do kuchni prowadziły drzwi z szybkami w górnej części, zza których do pokoju wlewało się słabe światło świec. Nie słyszałem żadnych głosów, ale wiedziałem, że oni tam są. Musiałem pójść i rozmawiać z tymi ludźmi tak, jak przedtem. Miałem wyrzuty sumienia, że tak nagle wyszedłem.

Wstałem i ruszyłem po omacku, potykając się o leżący na podłodze siennik. Udało mi się wymacać klamkę i wszedłem do kuchni.

Siedzieli tak, jak ich zostawiłem, tyle że mieli głowy nisko opuszczone nad stołem, na którym stały trzy palące się świece. Wszyscy czworo opierali się łokciami o krawędź, w tej samej, bliźniaczej pozycji.

Podszedłem bliżej, zastanawiając się, czy ich obudzić.

Nie było to konieczne.

Jak na komendę gwałtownie poderwali głowy i spojrzeli mi w twarz lekko fosforyzującymi, ślepymi białkami oczu. Ciepła-

kowa podniosła się ciężko i wyciągnęła rękę w moją stronę, nieomal chwytając za moje ramię.

Odkoczyłem, chciałem uciekać, ale nie potrafiłem wykonać kolejnego ruchu. Dopiero kiedy zrobiła krok i otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, rzuciłem się do drzwi wyjściowych.

Wybiegłem przed dom i kuśtykałem co sił, raz po raz odwracając się za siebie. Przed oczyma wciąż miałem to, co trzymała na języku, i nie chciałem tego zobaczyć po raz kolejny. Wszystko, nawet spotkanie z upiorem Dobrowolskiego i jego świtą, było lepsze niż widok szkarłatnej, rozmokłej hostii, z której po brodzie kobiety spływała świeża krew...

Minąłem dom Komisarczuków, potem ich zabudowania gospodarcze, aż wreszcie znalazłem się na otwartej, wznoszącej się przestrzeni. Brakowało mi tchu, więc zwolniłem trochę i szedłem po coraz to bardziej pochyłej stromiźnie, oglądając się od czasu do czasu za siebie.

Byłem sam.

Przystanąłem i rozejrzałem się wokół. Ciemność nocy rozpraszało blade światło, pozwalające dostrzec szczyt wzniesienia, zabudowania w dole, a nawet przeciwległe zbocze doliny. Chwilowo byłem bezpieczny. Nikt nie zbliżyłby się do mnie niepostrzeżenie na odległość mniejszą niż jakieś sto, może sto pięćdziesiąt metrów. W takiej właśnie odległości, po prawej stronie, widziałem krawędź lasu. Właśnie chciałem się od niej oddalić, gdy lekki podmuch wiatru przyniósł do moich uszu ledwie słyszalny dźwięk. Dobiegał od samotnego drzewa, stojącego w połowie drogi do szczytu wzniesienia, i brzmiał jak ciche zawodzenie, układające się w melodię dobrze mi znanej kołysanki. Potem usłyszałem słowa:

*Na Wojtusia z popielnika iskiereczka mruga,  
Chodź opowiem ci bajeczkę...*

Nie chciałem iść, nie chciałem słuchać tej bajki, lecz nogi same mnie niosły w stronę rozłożystego drzewa owocowego. Byłem pewien, że to czereśnia, o której wspominał Rafał w zapiskach.

Ta sama, na której powiesili się Szczepańscy.

Na ziemi, tuż przy pniu, siedziała drobna postać, tuląc w ramionach małe zawiniątko.

- Czekałam na ciebie - szepnęła. - Wiedziałam... wiedzieliśmy, że przyjdiesz.

Podniosła głowę, spojrzała mi w oczy i uśmiechnęła się.

- Niech cię Bóg błogosławi... Tutaj nas znajdziesz. Mnie i moje dziecko.

Zza wzgórza wyłoniła się krwistoczerwona tarcza księżyca, przedzielona wzdłuż i w poprzek dwoma cienkimi paskami chmur. Znów skierowałem wzrok w stronę drzewa, ale dziewczyny już przy nim nie było.

Usiadłem na jej miejscu. Od strony wsi w moim kierunku zbliżało się kilka postaci. Jako pierwszy szedł zakapturzony mężczyzna ze sznurem w dłoni.

Było mi wszystko jedno, co ze mną zrobią. Poczułem się bardzo zmęczony. Położyłem się na boku i nagle...

...wszystko znikło.

Od strony kuchennych drzwi znów zobaczyłem nikły blask świateł.

Odetchnąłem kilka razy, próbując ustabilizować oddech, starłem pot z czoła i wstałem z łóżka. Zrobiłem kilka kroków, potykając się o siennik, po czym wszedłem do kuchni.

## 2.

Wyglądali dokładnie tak, jak ich zostawiłem. Gdyby nie świece, które podczas mojej nieobecności zdążyły się przeobrazić w krótkie ogarki, mógłbym przysiąc, że nie było mnie najwyżej kilkanaście sekund. Było jasne, że nikt z nich nie odezwie się jako pierwszy.

- Co się stało, to się nie odstanie. Nie da się cofnąć czasu i wrócić do tamtej sytuacji.

Trudno było wymyślić coś bardziej banalnego, lecz te słowa



przyniosły im widoczną ulgę.

- Ano, nie da się - rzekł starszy z Grelów. - Choć Bóg mi świadkiem, że oddałbym wszystko za to, żeby wrócić do tamtej chwili i spróbować wszystko zmienić.

- Wiem.

Niewidzialna bariera, która wyrosła nagle między nami, zaczynała się powoli kruszyć. Usiadłem za stołem.

- A potem? Pochowaliście ją na cmentarzu przy kościele?

Stary pokręcił głową.

- Ksiądz zabronił. Po mszy rozkazał nam wszystkim, żeby przysiąc, że nikt spoza wsi się o niczym nie dowie. Wszyscy żeśmy przysięgali, nawet Helenka, która przyszła zaraz po ojcu do kościoła. Potem proboszcz kazał zostać tylko Kowalikom i kiedy już było całkiem ciemno, gdzieś ją wynieśli. Wiadomo tylko, że zakopali ją w niepoświęconej ziemi, ale gdzie, tego nikt poza nimi nie wie. Proboszcz zabronił im gadać..

- Nie ciążyło wam to, że leży gdzieś zakopana i nawet nie ma własnej mogiły? Nie ma nawet krzyża, na którym można byłoby zapalić świeczkę i położyć kwiaty?

- Ciężko i to jak. - Wyglądało na to, że tego wieczoru będę już rozmawiał tylko ze starym. - No ale cóż mieliśmy począć? Zagroził Kowalikom, że ich wyklnie, jeśli zdradzą miejsce... Nie chcieli powiedzieć za nic.

- Naprawdę ciągle się bali księdza i uważali go za kogoś, kto może się wypowiadać w imieniu Boga? - zachnąłem się. - Przecież to zwykły morderca!

- A kto go tam wiedział? - Ku mojemu zaskoczeniu Cie- plakowa nagle wtrąciła się do rozmowy. - Na ich miejscu każdy by się bał. No, może poza Jakubem Trześniowskim.

- No tak. - Przypomniałem sobie to, o czym myślałem wcześniej. Pięćdziesiąty drugi rok, kapłan będący alfą i omegą. - Ale teraz to nie macie już chyba wątpliwości?

Odpowiedziała mi cisza, więc odezwałem się ponownie:

- Dobrowolski zbałamucił niewinną dziewczynę, zapominając, że ta może zająć z nim w ciążę. Moim zdaniem od chwili, gdy ją zabił, mimo że w sutannie, był bardziej wysłannikiem szatana niż

Boga. Sutanna to tylko ubranie, a proboszcz to tylko urzędnik.

- Ksiądz to ksiądz - znów odezwała się kobieta. - A wystąpić przeciw niemu nikt poza Jakubem by się nie odważył.

- Sprowadził na was same nieszczęścia...

- Możemy na nie zasłużyli.

Stwierdziłem, że dalsze przekomarzanie z Cieplakowa nie ma sensu.

- Co było dalej?

- Dalej to już tylko było bicie dzwonów o północy - rzekł stary. - I sami żeśmy na świecie zostali.

- A Trześniowski?

- Sam żem go przekonywał, że nie ma sensu mścić się na księdzu za dziewczynę...

- A nie powiedział, czym mu Dobrowolski wcześniej zagroził?

- Nie powiedział. Po tym wszystkim to jakby życie uszło z Jakuba. Siedział w domu, nigdzie się nie ruszał, do kościoła dalej nie chodził...

- Do kościoła? To normalnie chodziliście wszyscy prócz niego do kościoła?

- A jakże inaczej? Trza się było przecież modlić, żeby znów wszystko było tak jak dawniej. Ksiądz mówił...

- Dosyć! - przerwałem mu gwałtownie. - Nie chcę i nie mam siły już tego dłużej słuchać. Powiem wam tylko jedno. Jeśli naprawdę chcecie przynajmniej częściowo zmasać wasze winy, musicie mnie od dzisiaj słuchać. Też byłem przez jakiś czas w seminarium, przyjąłem wstępne święcenia, i mogę wam pomóc. Pamiętajcie też datę moich urodzin. Dobrowolski zbłądził i przez to, że wszystkim wam zabronił mówić o tym, co się tu stało, dotknęła Starzyznę i jej mieszkańców straszliwa klątwa, określana w świętych księgach mianem klątwy zatajenia.

Uznałem, że kłamstwo na temat moich przygotowań do kapłaństwa było jedynym sposobem, żeby zaczęli mnie słuchać. Nie mogły do nich trafić żadne argumenty rodem z „moich czasów”.

- I wiecie, co zrobimy najpierw? Znajdziemy miejsce, w którym została pochowana Paulina Podolak, i przeniesiemy ją na godne

miejsce spoczynku. Mogę na was liczyć?

Wszyscy równocześnie skinęli głowami. Magia prawie- księżca zaczęła działać.

- Ale jak znajdziem to miejsce? - zapytał Jasek.

- To będzie dla mnie test i sami możecie ocenić, czy mówię prawdę. Jeśli was jutro do niego zaprowadzę, to będziecie mi od tej pory ufać i zrobicie wszystko, co wam każe, zgoda?

- No ale skąd tobie to wiedzieć, skoro nikt z nas tu obecnych...

- Jeśli Bóg poprze nasze działanie, to wskaże mi to miejsce we śnie. Zaufajcie mi na razie w tej jednej kwestii. Mam nadzieję, że jak jutro znajdziemy miejsce pochówku, to przestaniecie mieć wątpliwości co do moich intencji i wiedzy.

Rzuciłem wszystko na jedną kartę. Słabą i niepewną, ale tylko taką miałem w rękawie. Nie chciałem nawet myśleć, co stanie się, jeśli się mylę.

Czekała mnie cholernie niespokojna noc.

### 3.

- Zobaczymy, czy ciągle tam są?

Dzień był ponury i wietrzny; przysłała mi do głowy koszmarna myśl, że doskonale nadaje się on do poszukiwania zakopanych przed dziesięcioleciai zwłok. Nie zdziwiłem się, gdy nie poprawiło mi to humoru.

Miniona noc ciągnęła się w nieskończoność, a mną targaly trudne do opanowania emocje. Leżąc na łóżku i, wsłuchując się w miarowe oddechy śpiących mężczyzn, modliłem się, aby świt nastał jak najprędzej. Chwilę potem uświadamiałem sobie, że najlepiej byłoby, gdyby stało się to możliwie późno.

W pewnym momencie o dach zaczął bębnić słaby deszcz. Wsłuchiwałem się w jego szmer z nadzieją, że nad Starzyzną rozpęta się ulewa, która spowoduje odsunięcie realizacji naszego planu przynajmniej o kilka godzin. Deszcz przestał jednak padać równie nagle, jak zaczął.

Myślałem już, że uda mi się w końcu zasnąć, gdy z zewnątrz

zaczęły dobiegać dziwne odgłosy. Najpierw do moich uszu dotarły szmery, jak gdyby ktoś kręcił się tuż przy oknie i przesuwiał dłonią po zewnętrznej stronie ściany. Później usłyszałem stłumione chichoty i ciche rozmowy. Nie zrozumiałem ani jednego słowa, jednak na pewno obok domu było przynajmniej kilka osób; udało mi się rozróżnić kilka głosów męskich i przynajmniej jeden kobiecy.

Byłem pewien, że przed udaniem się na spoczynek kilkakrotnie sprawdzaliśmy, czy drzwi są dokładnie zamknięte, a jednak wstałem i, uważając, by nie nadepnąć na śpiących na podłodze, przeszedłem do kuchni. Już tam usłyszałem, jak ktoś bezskutecznie próbuje otworzyć drzwi wejściowe. Nie musiałem więc sprawdzać, czy są zamknięte, ale na wszelki wypadek zostałem w kuchni. Cieplakowa spała w niej sama i pomyślałem, że lepiej będzie, jak na wszelki wypadek zostanę z nią w pomieszczeniu. Nie wiedziałem przecież, na co tak naprawdę Ich stać.

Usiadłem przy stole i położyłem głowę na skrzyżowanych na blacie dłoniach. W takiej pozycji zastał mnie ranek.

Zabraliśmy ze sobą trzy szpadle, kawałek grubego brezentu i kilka metrów mocnego powrozu. Cieplakowa wzięła też coś do jedzenia, by nie trzeba było wracać, jak zgłodniejemy. Liczyła się każda minuta, a czekał nas - nawet ja nie miałem co do tego wątpliwości - ogrom ciężkiej pracy.

Najkrótsza droga na wzgórze, na którego zboczu stała stara czereśnia, prowadziła przez podwórze Komisarczuków. Zatrzymałem się na nim, nieopodal drzwi, które ze skrzypieniem poruszały się pod wpływem podmuchów wiatru. Stojący za mną ludzie przypatrywali się im, jakby nie rozumiejąc mojego pytania.

- Może warto zobaczyć, czy wiszą tak, jak ich zostawiliśmy? - uściśliłem.

Spojrzeli po sobie.

- A po co? - spytał Jasiek. - Wiszą, czy nie wiszą... to przecież bez różnicy.

- W naszej sytuacji wszystko może mieć znaczenie - upierałem się. - Pójdiesz zobaczyć?

Wahał się przez chwilę.

- Razem pójdziem - rzekł wreszcie i ruszył w kierunku wejścia.

Wszystko było tak, jak poprzednio, gdy tam byliśmy, z jedną różnicą - drzwi do pokoju, które zostawiliśmy otwarte, teraz były przymknięte na tyle, że nie widać było wnętrza izby. Pchnąłem je, mimo wszystko spodziewając się widoku wiszących ciał.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że nikogo nie ma w pokoju. Odetchnąłem z ulgą, lecz Jasiek wskazał na stojące w półcieniu szerokie łóżko. Mężczyzna i kobieta leżeli obok siebie na wznak z otwartymi oczyma, a ich ślepe źrenice wpatrzone były w sufit.

Od momentu, gdy wyszliśmy na zewnątrz i Jasiek opowiedział pozostałym, co zobaczyliśmy w domu, nikt nie odezwał się ani słowem, aż do chwili, kiedy stanęliśmy obok pnia starej czereśni.

- Tutaj ją zakopali - powiedziałem.

- Tutaj? Ale gdzie dokładnie? - zapytał młody Grela rozglądając się wokół.

- Tutaj, przy czereśni.

- Ale w jakiej odległości, z której strony?

- Musimy szukać... Wiem, że będzie to trudne, bo minęło dużo czasu, ale nie mamy wyjścia. Być może od tego zależy nasz los, więc nie ma co gadać, tylko trzeba brać się do roboty.

Tak naprawdę, to nie miałem pojęcia, czy rzeczywiście od sposobu pochowania Pauliny choćby odrobinę zależy nasz los, ale dobrze pamiętałem słowa Rafała, któremu tak zależało, aby Trześniowski miał w pobliżu Krasnobrodu przynajmniej prowizoryczną mogiłę. Dla pomyślnego obrotu sprawy wszystko mogło mieć znaczenie i nie chciałem dopuścić do żadnego przeoczenia. Zresztą - jakkolwiek by to brzmiało - i tak nie mieliśmy nic lepszego do roboty.

Teren wokół drzewa był w miarę płaski i porośnięty tylko zeszlými, zeszlórocznymi trawami. Obeszliśmy go dokładnie, próbując dostrzec jakiś ślad prowizorycznej mogiły, jednak podłoże wszędzie wyglądało dokładnie tak samo. Po tylu latach nie było w tym nic dziwnego.

- Możemy wykluczyć obszar w promieniu do dwóch metrów od drzewa - powiedziałem. - Była noc, a oni na pewno bardzo się

śpieszyli i nie mocowali się z grubymi korzeniami. Raczej nie zakopali jej też głęboko - najwyżej na głębokości kilkudziesięciu centymetrów. Odmierzamy dwa metry i kopujemy, zataczając coraz szersze kręgi. Do wieczora powinniśmy się wyrobić.

- Nie lepiej byłoby zapytać Józka? - Albin odezwał się po raz pierwszy tego dnia. - Przecież on na pewno pamięta...

- Myślisz, że on nam będzie chciał pomóc? - zapytał stary Grela.

- A niby po co miałyby to robić? Przecież jemu nie zależy na tym, żeby się u nas co zmieniło, co nie?

- Najwyżej, jak się nie uda, to wtedy będziem myśleć - dodał po chwili. - Na razie nie ma co gadać, tylko trza się brać do pracy.

Kopaliśmy we trzech: ja i Grelowie, a Cieplakowa z Sochą przeszukiwali ziemię na wypadek, gdyby drobnych kości nie udało się wyczuć szpadlem.

Do południa udało nam się dwa razy okrążyć drzewo i przekopać pas o szerokości około półtora metra. Bez skutku. Ziemia była miękka, ale nic nie wskazywało na to, że ktokolwiek przed nami poruszył ją łopata.

Zjedliśmy posiłek i kontynuowaliśmy pracę. Mnie, mieszcuchowi nieprzywykłemu do łopaty, szło najwolniej, ale starałem się nie dać po sobie poznać zmęczenia. Bolały mnie mięśnie, pot zalewał oczy, a od trzonka zrobiły się pęcherze, które zaczęły już pękać. Nie było to jednak moim największym zmartwieniem; najgorsza była myśl, co będzie, gdy nie uda się nam znaleźć ciała dziewczyny.

Wokół panowała absolutna cisza, przerywana tylko dźwiękiem wbijanych raz po raz szpadli.

Około czwartej przekopany pas miał szerokość od jakichś dwóch i pół do trzech metrów. Oddaliliśmy się dość znacznie od drzewa, a Jasiek coraz częściej łypał okiem w moją stronę ze zniecierpliwieniem.

Gdy zaczął zapadać zmierzch, wciąż udawałem, że tego nie widzę, i darłem ziemię z zapamiętaniem, starając się wykrzesać ze zbolałych mięśni ramion resztki energii.

- Nic tu nie ma - odezwał się nagle stary Grela, zarzucając szpadel na ramię. - Pora wracać, żeby nas zmrok poza domem nie

zastał.

- Jeszcze chwila - poprosiłem. - Ona musi tu gdzieś być...

Całkowicie zignorował moją prośbę.

- My idziem. Jak chcesz, możesz zostać i kopać dalej. Szkoda było tylko naszego trudu. - Ruszył w kierunku wioski. - Chodź, Jasiak.

Albin i Cieplakowa ruszyli za starym. Jasiak stał niezdecydowany.

- Jak chcesz, to idź - powiedziałem. - Ja zostaję. Ona na pewno gdzieś tu musi być.

Zdawałem sobie sprawę ze swojego idiotycznego zachowania, ale postanowiłem, że nie odpuszczę. Zmuszając do ostatniego wysiłku zdrętwiałe ramiona, rozpaczliwie wbijałem łopatę raz za razem, wciąż wypatrując ciała. Pęcherze popękały, z piekących ran wypływała ropa wymieszana z krwią. Nie wiedziałem, czy Jasiak poszedł w ślad za pozostałymi, ale właściwie było mi już wszystko jedno. Poprzedniego wieczoru zaryzykowałem zbyt wiele i wszystko przegrałem. Zostałem sam ze swoimi rojeniami, durnymi snami i nadzieją na to, że mogę odmienić losy tej zafajdanej wsi i jej mieszkańców.

„Pieprzony Don Kichot z łopatą” - pomyślałem.

- Wiesz, Witek, ojciec ma chyba rację - usłyszałem zza pleców. - Zaraz będzie ciemno i lepiej wracać.

W myślach przyznałem mu słuszność, ale mimo to nie przerywałem kopania.

- Ja ci wierzę - odezwał się znów. - Dzisiaj się nam nie udało, ale przecież jutro mogę tu jeszcze raz przyjść i zacząć od nowa.

Przez chwilę się wahałem. Wreszcie podparłem się na trzonku i wylazłem z wykopu.

- Masz rację. Dziękuję, że zostałeś.

\*

Noc zapadała bardzo szybko i nie mieliśmy zbyt wiele czasu na dotarcie do zabudowań. Gdy mijaliśmy dom Komisarzu- ków i od obejścia Grelów dzieliła nas tylko biegnąca przez wieś droga, przystanąłem.

- Jasiak, macie u siebie jakieś pomieszczenie, takie, które można byłoby zamknąć od zewnątrz? - zapytałem. - Najlepiej bez okien i z solidnymi drzwiami.

- Jest spiżarnia - odparł po krótkim zastanowieniu. - Ale po co ci to potrzebne?

- Duża?

- Dosyć spora, ale dlaczego pytasz?

- Możemy sprawić, że będzie Ich trochę mniej. Wiesz, co mam na myśli?

Stał w gęstniejącej ciemności i uważnie mi się przypatrywał ze zmarszczonymi brwiami. Nagle w jego oczach odmalowało się przerażenie.

- Czyś ty oszalał?

- Nie oszalałem. Pomożesz mi?

Strach ustąpił miejsca determinacji.

- Pomogę - odparł.

Zaraz potem postawiliśmy szpadle przy drzwiach do chałupy Komisarczuków i niemal po omacku weszliśmy do środka.

Nie było za późno. Oboje leżeli tak, jak zostawiliśmy ich rano. Z trudem zarzuciłem ciało kobiety na plecy. Nie ważyła wiele, ale moje zmęczone mięśnie miały zdecydowanie dość jak na jeden dzień i zatoczyłem się pod ciężarem, w ostatniej chwili wyhamowując na ścianie.

Grela był znacznie silniejszy i podniesienie mężczyzny nie stanowiło dla niego problemu.

- Teraz szybko do domu - wysapałem. - Dopóki jeszcze się nie obudzili.

Pomimo ciemności bez większych problemów udało nam się wydostać na zewnątrz. Jasiak szedł przodem, ja tuż za nim.

- Nie wiem, co na to ojciec - powiedział, gdy wyszliśmy na drogę. - Chyba nie będzie zadowolony.

Dokładnie w tej samej chwili kobieta na moich plecach się poruszyła. Chciałem krzyknąć, ale głos uwiązł mi w krtani. Przycisnąłem ją więc tylko do siebie najmocniej, jak potrafiłem, i parłem naprzód. Z jej gardła wydobył się niski charkot. Ręka, która jeszcze przed chwilą bezwładnie uderzała o moje biodro,



powędrowała w górę i ostrymi pazurami rozorała mi prawy policzek.

- Zostaw mnie! - syknęła.

- Cholera jasna, ona się zaczyna ruszać! - wrzasnął Jasek i zaczął biec. - Szybciej! - dobiegło już zza węgła domu Grelów.

Chciałem przyśpieszyć, ale nogą zahaczyłem o nierówność terenu. Padając puściłem Komisarczukową, by wyciągniętymi do przodu rękoma zamortyzować upadek. Coś chrupnęło mi w lewym nadgarstku, poczułem przeszywający ból i gruchnąłem ciężko na ziemię. Kobieta przetoczyła się w przód, by zaraz potem silnym chwytem zacisnąć dłoń na moim gardle. W ciemnościach widziałem tylko ślepe, nienawistne oczy.

Wiedziałem, że nie mam najmniejszych szans. Próbowałem wprawdzie stawiać opór, ale osłabione mięśnie i zwichnięty nadgarstek skutecznie mi to utrudniały. Ostatkiem sił wyswobodziłem się z uchwytu, lecz zaraz potem już nie jedna, ale dwie ręce zacisnęły się na mojej szyi. Szamotałem się przez moment, a potem przestałem czuć cokolwiek.

#### 4.

- W kogo żeś ty się wdał, do cholery ciężkiej? Matka, jak widzi twoją głupotę, to pewno się w grobie przewraca. Mało my mamy zmartwień na głowie? A ty nam tu do chałupy jeszcze jakieś trupy zwlekasz...

Natarczywy głos starego Greli był stanowczo za głośny, jak na wytrzymałość mojej pękającej głowy. Nie wiedziałem, skąd wziął się ten ból; najprawdopodobniej nie zauważyłem nawet, jak upadając wyrznąłem o jakiś kamień. Najbardziej chciałbym znowu stracić przytomność.

- Ale tato...

- Co tato?! To pewnie był jego pomysł, a ty jak dumy żeś na niego przystał? Taki sam to miało sens, co całe nasze dzisiejsze kopanie! Tyle że teraz to jeszcze jakieś nieszczęście na dom mógłżeś sprowadzić! Zaraz idę i ich powypuszczam.

Usłyszałem odgłos kroków i skrzypnięcie otwieranych drzwi. Chciałem się gwałtownie podnieść, by zaprotestować, lecz udało mi się tylko poruszyć głową i wydać z siebie kilka nieartykułowanych dźwięków.

- Poczekaj tato jeszcze chwilę. On się już prawie obudził.

Z trudem otworzyłem oczy, co zaowocowało dodatkowym, tępyim bólem. Widziałem bardzo niewyraźnie, obraz tańczył jak oszalały, ale mimo to zorientowałem się, że położyli mnie w kuchni, na pościeli, które zajmowała wcześniej Cieplakowa. Miałem na czole jakąś mokrą i zimną ścierkę. Woda spływała mi po policzkach.

- Zamknęliście ich oboje? - po kilku próbach udało mi się wydać z gardła coś, co z grubsza przypominało ludzką mowę.

Stary posłuchał syna i znów był w kuchni, przypatrując mi się ze złością.

- Coś ty człowieku nawymyślał? - zapytał. - Życie ci niemiłe?

- No, mało brakowało, a by cię zatłukła na śmierć. - Jasiak podszedł bliżej i przyglądał mi się z troską. - Jak żem wrócił, to waliła twoją głową o ziemię, aż dudniło. Ledwie dał radę ją od ciebie odciągnąć i zawlec do spiżarni. Zresztą i mnie też się trochę dostało...

- A Komisarczuk? - Starłem się skoncentrować wzrok na brodatej twarzy. Zauważyłem potężną śliwę nad lewym okiem i prawdopodobnie dość głęboko rozcięty łuk brwiowy.

- Na szczęście nie był taki żwawy, jak ona. Ledwie się ruszał i żem zdążył ich oboje zamknąć, zanim się całkiem ocknął.

Zdjąłem z czoła ścierkę i spróbowałem usiąść. Świat zawirował i ponownie opadłem na pościel.

- I co teraz? - stary najwyraźniej skierował pytanie w moją stronę. - Przecież nie będziem ich tam trzymać...

- Pomóż mi Jasiak - poprosiłem.

Za chwilę silne ramię pozwoliło mi się podnieść i oprzeć plecami o ścianę.

- A niby dlaczego nie? - zwróciłem się do starego. - Tych tam na zewnątrz i tak jest za dużo. Każde z nich to zagrożenie, a tak mamy o dwa problemy mniej. Jeśli nie uda im się wydostać. Nie

uda się, Jasiek?

- Nie ma szans - zapewnił. - Ściany grube, drzwi solidne, okien nie ma. Nie wyleżą.

Drgnąłem, jak z dalszej części domu dobiegło głośne uderzenie i dziki kobiecy wrzask. Po chwili dołączył do niego głos mężczyzny, żądający natychmiastowego wypuszczenia. Miarowy łomot wypełnił cały budynek

- Znowu się zaczyna - odezwała się Cieplakowa. - Było chwilę spokoju, ale tak łatwo chyba nie przestaną...

- Jedno mnie tylko dziwi - wtrącił Socha. - Ostatnio żeśmy Ich widywali też za dnia. Czemu musieli z przebudzeniem do nocy czekać?

- Cieszymy się, że tak się stało - odparłem. - Może to dlatego, że dopiero co powieszeni? Samo to, że byli w domu, jest dziwne, ale czasem nieboszczycy zaraz po śmierci ponoć sami nie wiedzą, że pożegnali się z życiem. Hałas i wrzaski jeszcze się nasiliły.

- Jasiek, a nie mają tam jakichś narzędzi, które pomogłyby im się uwolnić? - zapytałem.

- Tam same gołe ściany. Od dawna spiżarnia stoi pusta.

- To dobrze. Ale na wszelki wypadek trzeba dziś czuwać całą noc. Będziemy się zmieniać... Jutro się zobaczy, co dalej. Jest nadzieja, że za dnia będą wyglądać tak jak dzisiaj i wtedy bez większych problemów ich zwiążemy i zakneblujemy, dzięki czemu następne noce będą już spokojne.

- A ten znowu zaczyna rozkazywać - zaprotestował stary, ale w jego głosie nie było już tyle złości, co poprzednio. - Następne noce? To oni tu mają zostać?

- Myślę, że tak będzie lepiej. Jasiek, zbudź mnie, jak już będziesz chciał się położyć. Najwyżej będziemy się tylko we dwóch zmieniać. Damy jakoś radę, no nie?

Podniosłem się, pomimo gwałtownych protestów wszystkich piekących, zakwaszonych mięśni. Udało mi się postać przez kilka sekund, łapiąc równowagę, i z werwą stulatka ruszyłem w stronę swojego łóżka. Zostawiłem ich wszystkich w kuchni z własnymi wątpliwościami i rozterkami, ale nie obchodziło mnie, czy wezmą sobie do serca to, co mówiłem. Chciałem się jak najszybciej

położyć. Tylko to się dla mnie liczyło.

Doczłapałem jakoś do pokoju i zaległem ciężko na łóżku, nie myśląc nawet o zdjęciu ubrania. Potępieńcze wrzaski, przemieszane z nieludzkim wyciem i waleniem w ściany i drzwi, ani na moment nie ustawały, sprawiając, że cały dom aż trząsał się w posadach.

„Nie dam rady zasnąć w takim hałasie” - pomyślałem i to była ostatnia myśl, jaką udało mi się zapamiętać.

\*

Obudziło mnie nieznośne pulsowanie w nadgarstku. Wydostające się przez szybki w kuchennych drzwiach światło pozwoliło mi się zorientować, że nie jestem w pokoju sam. Stary Grela spał na swoim łóżku, a na sienniku cicho pochrapywał Socha. Jaśka nie było, co dawało nadzieję, że jednak mnie posłuchali. Zamierzałem poleżeć jeszcze chwilę, a potem pójść i zmienić go na posterunku.

Hałas ustały, a cały dom zatopiony był w złowroziej ciszy.

Spróbowałem poruszyć lewą ręką i skutek był taki, że tylko syknąłem z bólu. Prawą dłonią sięgnąłem do rękawa koszuli i już wiedziałem, co mi tak przeszkadzało. Gwałtownie pęczniejąca opuchlizna prawie nie mieściła się w mankiecie koszuli; wyglądało na to, że kontuzja nadgarstka jest całkiem poważna. Rozpiąłem guzik i od razu poczułem znaczną ulgę.

Jedno było pewne i uświadamiałem to sobie po raz kolejny - gdybym tylko wiedział, w co się wpakuję, podejmując decyzję o wyjeździe na Roztocze, za nic w świecie nie opuściłbym Warszawy. Dodatkowo, nie dość, że wszystkie wydarzenia, które mnie spotkały, przywoływały na myśl najgorsze, deliryczne rojenia alkoholika, jakich w swoim czasie udało mi się doświadczyć całkiem sporo, to z każdą chwilą popadałem w coraz to gorsze tarapaty jakby tego było mało, moje działania zaczynały zagrażać też ludziom, którzy przez wiele lat zdążyli się już przyzwyczaić do koszmarnej wprawdzie, ale dającej się przynajmniej w pewnym stopniu ujarzmić rzeczywistości. W dodatku nie miałem żadnego sensownego planu działania poza

tym, co w danej chwili należało zrobić. Teraz na przykład musiałem się jakoś podnieść i doczłapać do kuchni, żeby Jasiek mógł się trochę przespać.

Odwlekałem ten moment przez jakiś czas, ale w końcu musiałem się przemóc, chociażby po to, by znów nie zapaść w sen.

Szamotałem się przez kilkadziesiąt sekund z obolałymi członkami, aż w końcu udało mi się usiąść.

- Tato - usłyszałem zza pleców. - Tato, jesteś tam?

Gwałtowne naprężenie mięśni poraziło mnie bólem jak prądem o wysokim napięciu, ale to było niczym w porównaniu z cierpieniem wywołanym przez te kilka słów, wypowiedzianych cichym głosem z zewnątrz budynku.

Nie wiem, kiedy łzy zaczęły płynąć mi po policzkach. Tego głosu nie pomyliłbym z żadnym innym.

- Tato, nie pozwól im tam zostać. Musisz ich wypuścić, bo inaczej nigdy nie wrócisz tam, skąd tu przybyłeś. Wiesz o tym, prawda?

Stałem przy łóżku. Głos Krzysia mówił do mnie łagodnie, dokładnie tak, jakbym to ja był małym zagubionym dzieckiem.

- Tatusiu, słyszysz mnie? Jak ich nie wypuścisz, to oni mnie też nie puszczą... Będę musiał zostać z nimi na zawsze...

Myślałem, że oszaleję. Serce podpowiadało, by natychmiast otworzyć okno i chwycić syna w ramiona bez względu na wszystko. Utulić jego drobne ciało, którego tak bardzo mi brakowało przez te wszystkie lata.

Spojrzałem w stronę okna i zdawało mi się, że rozpoznaję za nim uśmiechniętą buzię Krzysia. Nabrałem głęboko powietrza.

- Niedoczekanie wasze, wy skurwiele - usłyszałem swój cichy szept. - Wygląda na to, że pomysł z zamknięciem Komisarczuków w komorze był najlepszym, jaki miałem od przybycia tutaj, skoro tak bardzo wam to przeszkadza...

- Dlaczego tak mówisz, tatusiu? To ja, przecież mnie poznajesz...

- Poznają - odpowiedziałem cicho. - Pewnie, że poznają. Poznają jak jasna cholera.

\*

Jasiek drzemał z głową wspartą na dłoniach. Nie usłyszał, jak wchodzi, a drgnął dopiero wtedy, gdy położyłem mu rękę na ramieniu. Półprzytomny odwrócił się w moją stronę i zobaczyłem na jego twarzy paniczny strach. Zerwał się na równe nogi, po czym wziął zamach, żeby mnie rąbnąć w szczękę.

- Co ty? - zapytałem zdezorientowany, odsuwając się o kilka kroków. - Uspokój się, bo obudzisz Ciepłakową.

- Witek?

- A niby kto? Przyszedłem cię zmienić, żebyś się trochę przespał. Siedzisz pewnie całą noc...

- Aleś mnie wystraszył. - Podeszedł do kredensu i wyjął z niego niewielkie lustro. - Sam zobacz.

Teraz przestałem się dziwić jego reakcji. On sam nie wyglądał najlepiej z napuchniętym okiem, ale to, co zobaczyłem, było o wiele gorsze. Moja twarz zdawała się jednym strupem zaschniętej krwi, pod którym tu i ówdzie można było zobaczyć fragmenty posiniaczonej skóry. Potargane włosy dopełniały obrazu nędzy i rozpacz.

- Dobrze, żeś przyszedł - powiedział. - Siedzę parę godzin, wcześniej żeśmy się zmieniali z ojcem i Albinem. Zdaje się, że cię jednak posłuchali.

- A tamci? Już spokojni?

- Nawet. Od czasu do czasu słyhać ich trochę, ale mało. Niedługo ranek, to może już w ogóle nie będą się odzywać.

- Która godzina?

- Będzie gdzieś piąta...

- O cholera! Całą noc prawie przespałem. Przepraszam, trzeba było zbudzić.

- Najbardziej żeś dostał w kość. Trza ci odpoczynku.

Zostałem w kuchni sam, nie licząc kobiety, która w czasie naszej rozmowy nawet się nie poruszyła. Dwie ze stojących na stole świec już powoli zaczęły się dopalać, więc znalazłem w kredensie nowe. Z nadejściem kolejnego dnia te zużyte znów powinny być całe, więc z braku lepszego zajęcia postanowiłem nie spuszczać ich z oka, by zobaczyć, w jaki sposób wszystko wraca do

poprzedniej postaci.

Jedna myśl prześladowała mnie uparcie.

A co, jeśli to naprawdę był Krzyś? Czy nie za prędko przyjąłem jako pewnik, że przekłety klecha lub któryś z jego kompanów zastosował swoją sztuczkę, by wywieść mnie w pole? Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym niepokój był większy. Może rzeczywiście mój syn potrzebował pomocy, a ja go całkowicie zignorowałem? Co wtedy sobie pomyślał o ojcu? Widziałem go przecież w okolicach Starzyzny zaraz po przyjeździe... Do tej pory myślałem, że to był tylko sen, ale... czy mogłem być tego w stu procentach pewien? Przecież tu wszystko zdawało się odbywać na granicy jawy i snu, żywi mieszały się z umarłymi, i z pewnością rzeczywistość podobnie mogła mieszać się ze złudzeniami. Wiele rzeczy okazywało się nie takimi, jakimi zdawały się wcześniej...

Niezdolne myśli były na tyle absorbujące, że nawet nie zauważyłem, kiedy za oknami zaczęło się robić szaro. Wstałem i podszedłem do okna. Było jeszcze zbyt ciemno, by zobaczyć cokolwiek, więc wróciłem do stołu i usiadłem na swoim miejscu. Świece, które jeszcze przed momentem były ledwie ogarkami, nie nosiły śladów użycia.

- Jeszcze was kiedyś przyłapię - mruknąłem i zaniósłem je do kredensu.

W kuchni było coraz jaśniej.

Nagle wydało mi się, że od strony spiżarni słyszę jakieś odgłosy. Po chwili do cichego szurania dołączył kobiecy jęk. Podszedłem do drzwi i uchylilem jena tyle, by przekonać się, czy w sieni wszystko jest w porządku. Niepokojące dźwięki ustały.

Znów stanąłem przy oknie.

Na płaskiej przestrzeni, która zapewne kiedyś była pastwiskiem, dostrzegłem kilkanaście, może kilkadziesiąt pokaźnych brzoź. Były na tyle grube, że mogły już posłużyć za opał. Nigdy nie zastanawiałem się nad tym, jak prędko rosną, więc zdziwiłem się, że przez najwyżej pięćdziesiąt lat zdołały osiągnąć aż takie rozmiary...

- Ty stary durniu - szepnąłem i pacnąłem się otwartą dłońią w czoło.

Skrzywiłem się, bo udało mi się trafić dokładnie w jeden z pozyskanych poprzedniego wieczoru guzów. Uderzyłem się jeszcze raz w to samo miejsce.

- Ty jełopie! Jak mogłeś o tym nie pomyśleć wcześniej?!

## 5.

Zanim dom Grelów obudził się ze snu, zdołałem się jako tako doprowadzić do porządku. Usuwanie z twarzy brunatnej warstwy zakrzepłej krwi zajęło mi dobrych kilkanaście minut. Po całym zabiegu nie wyglądałem zbyt imponująco z głębokimi szramami na policzku, siniakami i podbitymi oczyma, ale i tak byłem zadowolony z tego, co udało mi się osiągnąć. Choć wyglądu mógłby mi pozazdrościć niejeden zawodowy bokser po ciężkim, dwunastorundowym boju, to przynajmniej trochę przypominałem dawnego siebie.

Cieplakowa wstała przed ósmą i bez słowa zabrała się do przygotowywania posiłku. Pobrząkiwanie garnków najwyraźniej dało znak pozostałym, bo z pokoju zaczęły dobiegać głosy mężczyzn.

Kiedy Jasiek stanął w drzwiach kuchni, zadowolenie z własnego wyglądu przysło jak bańka mydlana. Z zazdrością patrzyłem na jego czoło, na którym nie pozostał nawet ślad po odbytej wieczorem walce. Łuk brwiowy, jeszcze kilka godzin wcześniej porządnie rozcięty, wyglądał na nienaruszony.

- Nigdy bym nie uwierzył, gdybym nie zobaczył tego na własne oczy - powiedziałem zamiast zwyczajowego „dzień dobry”. - Jak mi jeszcze powiesz, że nie czujesz w kościach wczorajszego kopania, to...

- Ano, nie czuję nic a nic - uśmiechnął się. - Przez te wszystkie lata już żem nawet zapomniał, że może być inaczej. Zobaczym, co z nimi?

- Zobaczym - odparłem i odwzajemniłem uśmiech.

Nie zważając na przerażenie malujące się w oczach Cieplakowej, zapaliliśmy świece i ruszyliśmy przez korytarz w



kierunku drzwi spiżarni. Zanim Grela zabrał się do ich odryglowania, jakiś czas staliśmy przed drzwiami, nasłuchując, czy ze środka nie dochodzą jakieś niepokojące dźwięki.

Siedzieli w kącie. Komisarczukowa wspierała się na ramieniu męża, patrząc na nas beznamyślnymi białkami źrenic, natomiast mężczyzna miał głowę skierowaną w stronę przeciwległej ściany. Zastanawiałem się, czy to aby nie jest z ich strony jakiś fortel, ale zanim zdążyłem podzielić się z Jaśkiem swoimi obawami, ten podszedł do nich i delikatnie zamknął im powieki

- Nie ma na co czekać - rzekł. - Trzeba ich porządnie związać. Poczekaj tu, a ja przyniosę powróż.

Stałem wpatrzony w siedzącą na podłodze sylwetki. Świece, które trzymałem w dłoniach, drżały tak mocno, że musiałem starać się, aby nie wypuścić ich z palców. Nieobecność Greli trwała najwyżej kilka minut, ale mnie dłużyła się w nieskończoność. Wreszcie wrócił i przystąpiliśmy do działania.

Zakneblowaliśmy Komisarczuków kawałkami lnianego płótna, które Jasiek również przyniósł ze sobą, i skrępowaliśmy od stóp do głów w pozycji siedzącej tak ciasno, jak tylko było to możliwe. Ich wiotkie ciała przypominały ogromne kukły, zadziwiająco łatwo poddające się naszym ruchom. Gdy skończyliśmy, posadziliśmy ich obok siebie na wprost wejścia. Bez pomocy z zewnątrz nie mieli najmniejszych szans na wyswobodzenie się z więzów. Wiedziałem, że stanowią dla nas, a zwłaszcza dla mnie, śmiertelne zagrożenie, lecz mimo to zrobiło mi się ich żal.

Jasiek najwyraźniej musiał zauważyć to w moich oczach.

- Nie ma wyjścia. Daj Boże, żeby nie musieli tu tak siedzieć za długo.

- Jak przez kilka dni nic się nie zmieni, to będziemy ich musieli rozwiązać - odparłem. - Nie będę mógł żyć ze świadomością, że tak ich tu trzymamy...

Odpowiedział mi skinieniem głowy.

\*

Przy śniadaniu nie wdawałem się w dyskusję ze starym, który wciąż wspominał poprzedni dzień i narzekał na to, co się

wydarzyło. Jasiek próbował oponować i zdecydowanie brał moją stronę, lecz nie przynosiło to żadnych rezultatów. Pamiętałem wprawdzie, że obiecał mi pomoc w dalszych poszukiwaniach ciała dziewczyny, lecz zdawałem sobie sprawę, że przy tak gwałtownym oporze ze strony jego ojca być może będę musiał dokończyć je sam. Moja jedyna nadzieja związana była z myślą, która przyszła mi do głowy o poranku. Nie pozostawało nic innego, jak wierzyć, że tym razem szybko odnajdę właściwe miejsce.

- Nigdzie nie pójdziesz - warknął do syna stary po skończonym posiłku, przyglądając się, jak zakładam kurtkę. - Jak chce, niech idzie sam.

- Tato, ale on nie da rady. Zobacz jego ręce. Muszę mu pomóc...

- Nic nie musisz. To i tak na nic, a po tym wszystkim to jeszcze większy strach wychodzić na dwór. Teraz to Oni na pewno nie dadzą nam spokoju, a ja ani myślę pozwolić na to, że i ciebie stracę.

- Twój ociec ma rację - zwróciłem się do Jaśka. - Pójdę sam. Ty lepiej zostań i pilnuj tych w komorze.

Zrozumiał, o co mi chodzi. Tak samo dobrze, jak ja wiedział, że stary może pod naszą nieobecność oswobodzić Komisarczuków.

- Ja pójdę.

Przyglądałem się Albinowi zaskoczony. Akurat po nim zupełnie się tego nie spodziewałem.

- Nie pomogę za dużo z moją ręką, ale we dwóch to zawsze będzie raźniej - ciągnął. - W jednym on ma rację, Paulinie należy się godziwy pochówek. Nie może tak leżeć zagrzebana w ziemi jak byle pies.

- Albin dobrze gada. - Cieplakowa wstała zza stołu i podeszła do wiszącego przy drzwiach płaszcza. - Przynajmniej tyle dla niej mozem zrobić, jak wtedy nie zrobiliżeśmy nic.

Jasiek spojrzał z wyrzutem na ojca, lecz widać było, że stary nie zmieni zdania. Ten z zaciśniętymi ustami odwrócił wzrok w kierunku okna i mruknął: - Całkiem żeście powariowali. To wszystko i tak na nic, ale róbcie sobie, co chcecie. Jeszcze będziecie żałować, żeście mnie nie posłuchali.

- Szpadle stoją przy domu Komisarczuków - powiedziałem, nie zważając na narzekania starego. - Weźmiemy tylko brezent i jak mamy iść, to chodźmy. Zobaczycie, że dziś ją znajdziemy.

\*

I znaleźliśmy.

Szpadle stały tak, jak je poprzedniego dnia zostawiliśmy z Jaśkiem. Wziąłem obydwu na ramię i natychmiast ruszyliśmy ku widocznej na zboczu czereśni.

Szedłem z ogromnym trudem, jednak starałem się nie zważać na ból mięśni. Wpatrywałem się w przybliżające się drzewo, jakby od niego właśnie zależało powodzenie mojego pobytu w Starzyźnie. Zdałem sobie sprawę, że kurczowo zaciskam dłonie na trzonkach, zupełnie nie czując pieczenia popękanej skóry i urazonych na nowo obtarć. Dopiero gdy byliśmy na miejscu, zauważyłem, jak bardzo krwawią, lecz nie miało to żadnego znaczenia.

Zatrzymałem się najwyżej metr od pnia, mniej więcej w miejscu, w którym we śnie widziałem dziewczynę z dzieckiem.

Jeden ze szpadli wbiłem w ziemię obok, a drugi natychmiast zagłębiłem w podłożu najdalej, jak się dało.

- Tak blisko drzewa? - zdziwił się Socha.

- Minęło wiele lat - odrzekłem, odrzucając na bok bryłę ziemi. - Wtedy czereśnia była przecież mniejsza, korzenie nie rozrastały się tak bardzo, jak teraz, i były cieńsze. Nie pomyślałem o tym wczoraj i dlatego cała robota poszła na marne.

Bardzo chciałem się nie mylić.

Kątem oka zobaczyłem, jak Cieplakowa bierze łopatę do ręki.

- To chyba nie będzie konieczne, pani Katarzyno. Poczekaście chwilę.

Nie zdążyłem się nawet porządnie zasapać, gdy ostrze zazgrzytało o coś twardszego. Delikatnie uniosłem bryłę ziemi, położyłem ją obok świeżo wykopanego dołka, po czym ukląknęm i zakrwawionymi dłońmi rozsunałem ją na boki. Socha z Cieplakowa podeszli bliżej. Pomiędzy grudkami gleby bieląco coś, co mogło być fragmentem szkieletu.

- Boże święty - szepnęła kobieta. - Jednak to prawda...

- To chyba jeden z kręgów - powiedziałem. - Teraz nie pozostaje nam nic innego, jak wykopać resztę.

Niedługo potem na brezencie pojawiły się kolejne kości.

Dopiero gdy byliśmy pewni, że znaleźliśmy wszystko, co pozostało po Paulinie i jej nienarodzonym dziecku, zawiązaliśmy płótno i ruszyliśmy z powrotem do wsi.

Chciałem jak najszybciej zapomnieć o tym, co robiłem przez ostatnich kilka godzin. Porywając się na odkopanie zwłok, nie miałem pojęcia, jak bardzo wstrząsająca będzie to czynność. Najgorsze było odnajdywanie małych kostek, które musiały należeć do dziecka. Po tylu latach z ledwie zaczynającego się kształtować szkieletu nie zostało wiele, ale parę jego drobnych fragmentów i kawałek uformowanej już czaszki złożyłem na brezencie obok kości Pauliny. Gdy to robiłem, miałem ochotę zabijać.

Do tej pory całą tę historię postrzegałem głównie jako dramat Rafała i najważniejsze dla mnie było, aby pomóc jemu i jego córce. Teraz, kiedy własnymi dłońmi wydobyłem z ziemi szczątki dwóch bezbronnych ciał, unicestwionych w sposób tak okrutny i bezsensowny, Dobrowolski zyskał we mnie dozgonnego, zdeterminowanego wroga, który nie zawaha się przed zemstą, jak tylko nadarzy się do niej okazja.

Prócz kości udało mi się znaleźć coś jeszcze. Gdy zobaczyłem w ziemi różaniec, oplatający nadgarstki dziewczyny, schowałem go do kieszeni kurtki tak, aby ani Cieplakowa, ani Socha tego nie zauważyli. Czułem się trochę jak rabuś okradający grób, ale byłem pewien, że ten niepozorny, wykonany z twardego drewna przedmiot może mi się jeszcze przydać. Był sposób, aby się o tym przekonać, i zamierzałem to zrobić jak najszybciej. Kilka miesięcy wcześniej przygotowywałem materiał w odcinkach na temat ochrony, jaką rzekomo mogą zapewnić przedmioty znalezione przy zmarłych. Wtedy zupełnie nie wierzyłem w to, co sam opisywałem, ale po tym, co mnie ostatnio spotkało, byłem pewien, że przypadkowo zdobyta wiedza może się teraz okazać bardzo przydatna.

## 6.

Do zmierzchu pozostało na tyle dużo czasu, że zastanawiałem się, czy jeszcze tego samego dnia nie doprowadzić sprawy pochówku Pauliny i jej dziecka do końca, jednak uznałem, że bez pomocy Jaśka i tak sobie nie poradzimy. Miałem zbyt mało sił, by znów brać się do łopaty, a moi towarzysze niespecjalnie nadawali się do pracy przy kopaniu grobu. Ponadto trzeba było zrobić krzyż, który nadawałby się do postawienia na mogile, więc uznałem, że trzeba wszystko dobrze przygotować, a wypełniona szczątkami brezentowa płachta przez noc pozostanie w domu Grelów.

- I co żeście znaleźli? - zapytał stary, gdy zobaczył Albina i Ciepłakową wchodzących do kuchni.

Wszedłem za nimi i spojrzałem na drzwiąco uśmiechającego się gospodarza.

- Znaleźliśmy to, czego szukaliśmy - powiedziałem.

- Szkoda, że nam nie pomogliście, bo wtedy wszystko poszłoby o wiele szybciej.

Jasiek podszedł do mnie i zdjął z moich pleców wypełnione kośćmi zawiniątko. Rozwiązał je i zajrzał do środka.

- Widzisz, tato, jednak Witek miał rację - rzekł, wyraźnie poruszony. - Co teraz zrobimy? - skierował pytanie do mnie.

- Jak to co? Chyba musimy ich pochować...

- Ich? - Stary wstał od stołu i począpał w kierunku syna.

- Tam są nie tylko kości dziewczyny, ale też szczątki jej nienarodzonego dziecka - wyjaśnił Albin.

Starszy z Grelów sięgnął do środka i wyjął czaszkę kobiety.

- A skąd wiadomo, że to na pewno ona?

- Tato, przestań już - zachnął się Jasiek. Był blady jak ściana i jak zahipnotyzowany wpatrywał się w puste oczodoły. - Schowaj to do środka, na Boga.

Spełnił prośbę syna mówiąc:

- No to mamy w domu już czwórkę nieboszczyków.

- Patrzył na mnie ze złością. - Może byś poszedł i przyniósł jeszcze kilku. Znajdzie się jeszcze miejsce...

- Do jasnej cholery! - nie wytrzymałem. - Nie wiem, czy dobrze robię, ale przynajmniej staram się zrobić cokolwiek. A ty co zrobiłeś przez te wszystkie lata? Co zrobiłeś w pięćdziesiątym drugim, żeby jej pomóc?! Jak chcesz, to już palcem nie kiwnę i będziecie się tu jeszcze przez wieki kotłować z przekłętymi wisielcami. Chcecie tego? Proszę bardzo! Dawaj to, pójdę i zakopię ich z powrotem pod tą czereśnią... - Ruszyłem wściekły w stronę starego. - Jasiek, a ty idź i uwolnij tamtych z komory. Może wtedy twój ojciec będzie wreszcie zadowolony.

Stanąłem przed nim i wyciągnąłem rękę.

- No, oddaj to! - zażądałem.

- Masz rację - powiedział cicho. - Stary dureń ze mnie...  
Przepraszam.

Popatrzyłem mu w oczy i w jednej chwili minęła mi złość. Uciekał wzrokiem jak małe, wystraszone, zdezorientowane dziecko.

- Boję się, Witek... - szepnął. - Boję się, że to wszystko ściągnie na nas jeszcze jakieś większe nieszczęścia.

- Większe nieszczęścia? - zapytałem już spokojniej. - Możesz sobie takie wyobrazić?

Podał mi brezent.

- Trzeba ich godnie pochować. Dziś chyba nie zdążym.

- Zrobimy to jutro. Przez noc zostaną tu, w kuchni. Pomodlimy się za ich dusze, a jutro z samego rana pochowamy na cmentarzu.

- Dobrze - odparł. - Niech będzie tak, jak chcesz. Wyglądało na to, że przynajmniej na razie nie będzie mi się sprzeciwiał.

\*

Jasiek przyniósł niewielką, drewnianą skrzynię, która miała posłużyć za prowizoryczną trumnę i postawił ją na środku kuchni na taborecie. Złożyliśmy w niej płachtę, zamykając nad nią wieko.

Cieplakowa wyjęła z kredensu gromnicę i postawiła na drugim taborecie, tuż obok. Stary znalazł gdzieś książeczkę do nabożeń-

stwa, po czym ukląkł przy skrzyni i drżącym głosem zaczął odczytywać modlitwę za zmarłych.

- Jasiak - szepnąłem. - Weź siekierę i chodź ze mną.

Na zewnątrz robiło się już ciemno, ale zdążyliśmy jeszcze przed zmrokiem wyciąć niewielką brzozę i zbić z niej krzyż, do którego przymocowaliśmy kawałek cienkiej deski. Po powrocie do domu krzyż postawiliśmy w sieni.

- Przynieś świecę i odrygluj komorę - powiedziałem, gdy zamierzał wrócić do kuchni.

Wykonał moje polecenie bez zadawania pytań.

- A teraz zostaw mnie z nimi.

Widziałem, że chce zaprotestować, ale znów nie odezwał się ani słowem. Zaraz potem zostałem w korytarzu sam.

Wszedłem do spiżarni i zamknąłem za sobą drzwi. W słabym świetle zobaczyłem Komisarczuków, dokładnie w takiej pozycji, w jakiej zostawiliśmy ich rano. Usiadłem przy drzwiach, opierając się o nie plecami, i postawiłem świecę na ziemi.

Czekałem.

Z kuchni dobiegały monotonne głosy modlitwy. Wpatrywałem się w nieruchome sylwetki, walcząc z ogarniającą mnie sennością. Zmęczenie dawało znać o sobie, więc postanowiłem, że lepiej będzie, gdy wstanę. Nie mogłem teraz zasnąć.

„Jeszcze tylko chwilę posiedzę...” - pomyślałem.

Pierwszy obudził się mężczyzna. Patrzył na mnie z pogardliwym uśmiechem na zakneblowanych ustach, a blade światło odbijało się w białkach jego oczu. Wciąż był ciasno związany, a jednak zacząłem odczuwać niepokój. Dotknąłem kieszeni kurtki w poszukiwaniu różańca, gdy Komisarczuk jednym gwałtownym ruchem rozerwał krępujące go więzy. Wyjął knebel z ust i szepnął chrapliwie:

- Myślałeś, że możesz nas zatrzymać?

Wstał i ruszył w moim kierunku. Za jego plecami błysnęła druga para błyszczących oczu.

Zbliżał się coraz bardziej, a ja nie potrafiłem się poruszyć. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że teraz to ja jestem

związany, a knebel w ustach uniemożliwia wołanie o pomoc.

Był tuż przede mną, czułem jego mdły, gorący oddech. Szarpnąłem się i uderzyłem głową o kant framugi, po czym osunąłem się na podłogę. Czekaając na to, co nieuchronne, wpatrywałem się...

..w lekko drgający płomień świecy.

Leżałem przez jakiś czas bez ruchu. Musiałem rzeczywiście uderzyć się w głowę, bo pulsowała nieznośnym bólem. Wreszcie podniosłem się i znów oparłem tak, jak poprzednio. Niby wszystko było bez zmian, jednak nie do końca.

Siedzące naprzeciw postaci nie miały już zamkniętych oczu. Paniczny strach przed tym, że sen powtórzy się na jawie, ścisnął mnie za gardło, jednak Komisarczuk tym razem siedział bez ruchu.

Wstałem i wyjąłem różaniec tak, żeby dokładnie go mogli zobaczyć.

Wyraz ich twarzy natychmiast się zmienił. Beznamiętność ustąpiła miejsca dzikiemu przerażeniu. Postąpiłem kilka kroków, a wtedy oboje zaczęli się wściekle szamotać, nie spuszczając ani na moment różańca z bielejących oczu. Z ich gardeł, pomimo knebli, wydobywało się stłumione zawrozczenie. W pewnej chwili Komisarczuk zaczął szarpać się tak mocno, że naprawdę zacząłem się obawiać, że jest w stanie zerwać krępujące go więzy.

To, co zobaczyłem, w zupełności mi wystarczyło. Schowałem różaniec do kieszeni, a oni natychmiast się uspokoiili.

Zabrałem świecę i wyszedłem na korytarz.

## 7.

Ta noc minęła spokojnie.

Czuwaliśmy na zmianę nie tylko w obawie przed krążącymi gdzieś w okolicy powisielcami, ale też dlatego, że tak nakazywał zwyczaj. Przed pogrzebem należało być i modlić się przy



zmarłych, nie zostawiając ich na dłużej samych.

Jasiek zbudził mnie około północy.

Tym razem Cieplakowa spała z nami w pokoju, na łóżku, które dotychczas zajmowałem. Gdy wstałem, Grela położył się na moim miejscu.

Siedząc samotnie w kuchni, miałem sporo czasu na zastanowienie. Przede wszystkim biłem się z myślami, czy jeszcze przed pogrzebem powiedzieć pozostałym o różańcu. Nie było wątpliwości, że prędzej czy później będę musiał to zrobić. Zamierzaliśmy wprawdzie dla bezpieczeństwa jak najwięcej czasu spędzać wspólnie, lecz przecież były takie sytuacje, gdy trzeba było się oddalić od innych.

Przez kilka ostatnich dni nawet tak prozaiczna czynność, jak przejście do wychodka umiejscowionego na zewnątrz, była sporym problemem. Tymczasowo rozwiązaliśmy to w ten sposób, że nie chodziliśmy tam samotnie, co najbardziej krępowało jedyną mieszkającą z nami kobietę, której za każdym razem towarzyszył stary Grela. Różaniec mógł ułatwić całą sprawę, chociaż nie byłem pewien, czy konieczność zabierania w nieczyste miejsce poświęconego przedmiotu nie spotka się z ostrym sprzeciwem.

Podzielenie różańca nie wchodziło w grę. Według mojej wiedzy tylko w całości mógł ochronić tego, który miał go przy sobie. Oczywiście, mogłem się mylić, ale podzielenie go i późniejsze złączenie mogło sprawić, że stałby się bezużyteczny.

Myśląc o tym, wciąż go dotykałem. Paciorek po paciorku, aż do chłodnego, metalowego krzyżyka. Przez te wszystkie lata różaniec - w tym również jego drewniane elementy - zachował się nadspodziewanie dobrze, co tylko potwierdzało jego magiczną moc. Co jakiś czas uświadamiałem sobie, jakie były jego losy. Miałem przed oczyma obraz splecionych, rozkładających się dłoni dziewczyny, owiniętych przedmiotem, który być może był jej najcenniejszym skarbem. Teraz miałem go w ręce i patrzyłem na prowizoryczną trumnę, w której złożone były szczątki Pauliny i jej dziecka. Gdyby nie sen, w którym mi się ukazała, na pewno nie śmiałbym zachować różańca.

- Słyszysz mnie teraz, prawda? - szepnąłem.

Jedna ze świec gwałtownie zamigotała i zgasła zdmuchnięta nagłym powiewem powietrza, Uśmiechnąłem się.

- Postaram się zrobić z niego dobry użytek-powiedziałem głośniej, po czym zacząłem odmawiać różaniec, znów przesuając pomiędzy palcami jego paciorki.

\*

Jedyną czynnością, jaką trzeba było jeszcze wykonać rano, przed wyruszeniem na cmentarz, było umieszczenie na desce stosownego napisu.

Staliśmy z Jaśkiem w sieni przed brzoźowym krzyżem. Trzymałem w ręku ołówek, którym przed chwilą narysowałem w górnej części płaskiego kawałka drewna niewielki krzyż.

- Nawet nie wiemy, czy to był chłopiec, czy dziewczynka - powiedziałem. - Jak mam to napisać? Wiesz przynajmniej, ile miała lat?

Wzruszył ramionami.

- Pewno ze dwadzieścia... A to takie ważne?

Miał rację. Wiek dziewczyny nie miał większego znaczenia, więc napisałem najprościej, jak to było możliwe:

**Tu spoczywają  
Paulina Podolak, lat ok. 20, zm. 11 IV 1952 r.  
i jej nienarodzone Dziecko  
Pokój Waszym Duszom**

- No i jak? Może być?

Grela stał zamyślony i wpatrywał się w napis, składając litery i bezgłośnie poruszając ustami. Wreszcie pokiwał głową.

- Ładnie. Trza nam zaczynać.

Sprawdziłem, czy różaniec nie wysunął mi się z kieszeni, wziąłem krzyż i wyszedłem na zewnątrz. Za chwilę z domu wyszedł też Jasiek, niosący przed sobą niby-trumnę, a za nim jego ojciec ze szpadlem, Cieplakowa i na końcu Socha. Tak sformowany skromny kondukt żałobny ruszył w kierunku

widniejącego na wzniesieniu kościoła.

Gdy wychodziliśmy na drogę, przy oddalonym może o sto metrów obejściu dostrzegłem postać niewysokiego mężczyzny.

- To Józek Kowalik - powiedział Jasiek półgłosem.

Szliśmy w milczeniu, nie zważając ani na Kowalika, ani na padający coraz silniej deszcz. Chyba wszyscy chcieliśmy mieć to już jak najszybciej za sobą.

Po kilku minutach dotarliśmy do przykościelnego cmentarza.

Byłem w tym miejscu po raz pierwszy. Kościół wyglądał dokładnie tak, jak opisywał go Rafał w notatniku. Różnica pomiędzy jego bardzo dobrym stanem a zrujnowaną do cna plebanią biła aż po oczach.

„Wygląda tak, jakby ktoś wciąż w nim mieszkał” - pomyślałem.

Chociaż doskonale wiedzieliśmy, że Dobrowolskiego nie ma w mogile, i tak wybraliśmy miejsce możliwie najdalej od niej oddalone. Jasiek błyskawicznie wykopał niewielki, ale dość głęboki grób. Zmówiliśmy krótką modlitwę za dusze zmarłych i zaraz potem złożyliśmy skrzynię w ziemi. W chwili, gdy umieściłem w wykopie krzyż, deszcz zamienił się w ulewę.

- I niebiosa zapłakały - szepnęła Cieplakowa, ocierając Izy.

\*

- Gdzie można znaleźć klucz do drzwi kościoła? - zapytałem, gdy było już po wszystkim i skierowaliśmy się do wyjścia z cmentarza.

Stary zastanowił się przez moment.

- Był chyba tylko ten na plebanii - odparł. - A po co ci klucz?

- Chciałbym zajrzeć do środka. Jasiek, dasz radę je otworzyć szpadlem?

- Jak musisz tam zajrzeć, to mogę spróbować.

Dźwignia zastosowana przez niego łopatą na wysokości zamka okazała się skuteczna już przy pierwszej próbie. Drzwi odskoczyły i wewnątrz świątyni stanęło otworem.

- Dziękuję - powiedziałem. - Obejrzę sobie kościół, a wy wracajcie do domu.

- Może zostać z tobą? - zapytał Jasiek.

- Nie trzeba. Chcę sobie parę rzeczy przemyśleć i zaraz do was przyjdę.

Chwilę później zostałem sam i wszedłem do ciemnego wnętrza.

Nic nie wskazywało na to, że świątynia od dziesięcioleci nie była użytkowana. W sączącym się z niewielkich okien świetle widać było świetnie zachowane zdobienia. Kościół urządzony był skromnie, lecz gustownie. Z jego ścian spoglądały na mnie wizerunki nieznanymi mi świętych. Na podłodze spoczywała niewielka warstewka kurzu, która nie była w stanie zagłuszyć odgłosu kroków, odbijających się echem wśród drewnianych ścian.

Zbliżyłem się do ołtarza i zadrżałem na myśl o tym, czego niemyym świadkiem był przed laty. Jego drewniana, gładka powierzchnia była starannie wyczyszczona, pokryta tylko, podobnie jak podłoga, niewielką ilością pyłu, lecz gdy uklęknąłem i spojrzałem w dół, dostrzegłem brunatne plamy krwi.

Wstałem z kolan i przeszedłem na drugą stronę ołtarza. Stałem teraz prawdopodobnie w miejscu, w którym Dobrowolski dokonał zabójstwa dziewczyny. Spojrzałem w dół na ustawione równo rzędy ławek. Oczywiście wyobraźni widziałem nieruchomy, zahipnotyzowany tłum ludzi, z których prawie nikt nawet nie kiwnął palcem, by zapobiec zbrodni.

Nie chciałem o tym dłużej myśleć. Tamtych wydarzeń nie uda się już zmienić. Trzeba było zastanawiać się nad tym, co jest tu i teraz.

To nie mógł być przypadek, że świątynia nie zniszczyła pomimo upływu tak długiego czasu. Miałem nadzieję, że moje rozumowanie jest właściwe, że ten budynek wciąż ma swojego gospodarza. W innym wypadku powinien przecież popaść w ruinę, podobnie jak plebania i domy, w których nie mieszkał już nikt. Nie wiedziałem tylko, w jaki sposób mogę się o tym przekonać.

Byłem całkiem przemoczony i zrobiło mi się zimno. Ruszyłem do wyjścia z postanowieniem, że w najbliższym czasie muszę znaleźć jakiś sposób na potwierdzenie swoich przypuszczeń.

Okazja nadarzyła się prędzej, niż mogłem się spodziewać.

Kiedy byłem już w przedsionku, na dworze dostrzegłem idącą, a właściwie płynącą od strony drogi postać. Drzwi były otwarte na oścież, jednak mężczyznę w habicie najwyraźniej interesowało zupełnie coś innego. Zakapturzona głowa skierowana była w stronę cmentarza.

Na podjęcie decyzji miałem ułamki sekund, lecz zdecydowałem bez wahania. Taka szansa mogła się prędko nie powtórzyć.

Pokuśtykałem do ołtarza i wyjąłem z kieszeni różaniec, po czym położyłem go na blacie. Wiedziałem, że musi być jak najdalej od wejścia i ta odległość wydawała mi się wystarczająca.

Kilkanaście sekund później stanąłem na schodach prowadzących do kościoła.

Przygarbiony mężczyzna stał tuż przy świeżym grobie. Dopiero teraz zobaczyłem zwój grubego powrozu, który trzyma w dłoni, kurczowo zaciskając na nim chude, pobielające palce.

Trząśłem się z emocji, walcząc ze sobą, by nie wrócić po różaniec, który dawałby w tej sytuacji jakieś poczucie bezpieczeństwa. W pewnej chwili nawet pomyślałem, że lepiej byłoby, gdybym nie został zauważony. I tak też z pewnością by się stało, ponieważ Dobrowolski odwrócił się plecami do mnie i ruszył w stronę kościelnej bramy. Z pochyloną głową minął dzwonnice, zupełnie nie zważając na to, co dzieje się wokół.

„Teraz albo nigdy” - pomyślałem, a potem krzyknąłem:

- Hej, frajerze!

Zamarł w bezruchu. Zdawał się nie dowierzać, że usłyszał jakiś głos.

- Do ciebie mówię, skurwielu! Głuchyś czy co?

Jego głowa jak w zwolnionym tempie przekręciła się w moją stronę. Spod kaptura błysnęły ślepe, nienawistne białka. Stał tak przez jakiś czas, aż wreszcie zaczął się zbliżać.

Jedynym ruchem, jaki wykonałem, było włożenie rąk do kieszeni. Nie chciałem, by zobaczył, jak bardzo drżą.

Zatrzymał się może trzy metry od pierwszego schodka. Stałem o kilkadziesiąt centymetrów wyżej od niego, a mimo to zdawało się, że i tak dorównuje mi wzrostem. Zaciskałem kurczowo

szczęki, by nie było słycać dzwonienia zębami, ale wciąż trwałem w bezruchu, mierząc go wzrokiem.

- Zrobiłeś wielki błąd, pojawiając się tutaj. - Jego beznamiętny, niski głos zabrzmiał chropawym, metalicznym pogłosem.

Brakowało mi tchu. Chciałem coś odpowiedzieć, lecz nie potrafiłem wydobyć z gardła dźwięku.

- Będziesz tego żałował przez całe wieki. Dosięgnie cię kara...

- Nie jestem durniem - przerwałem mu gwałtownie. - Mnie nie wciśniesz takich bajek, jak tym biednym ludziom, którzy przez ciebie tyle wycierpieli i nadal cierpią. - Ucisk w gardle minął. Wzburzenie było o wiele mocniejsze od niego.

- Co ty możesz wiedzieć...

- Zamknij mordę! - wrzasnąłem. - Jestem tu po to, żeby ich pomścić, i nie boję się ciebie. A za dziewczynę będziesz się smażył w piekle. Zaufała ci, a ty ją wykorzystałeś. Myślisz, że nie wiem? Zabiłeś ją i swoje dziecko i to wszystko z Bogiem na ustach? Nie daruję ci tego i nie spocznę, dopóki nie szceźniesz w męczarniach... Bój się teraz, skurwysynu, bo twoja ostatnia godzina już jest bliska, rozumiesz? Dociera to do twojej zakutej pały?

W ułamku sekundy znalazł się tuż przede mną i wolną ręką chwycił kołnierz kurtki. Szarpnąłem się z całych sił i usłyszałem trzask rozrywanego materiału. Odskoczyłem w tył, mając nadzieję, że trafię w otwarte drzwi. Udało się i stanąłem tuż za progiem. Zbliżył się i wyciągnął ramię, lecz zaraz potem odskoczył jak oparzony.

Odetchnąłem z ulgą.

- I co? Takiś mocny? Chodź do mnie, jak się nie boisz.

Wiedziałem, że nie wejdzie do środka.

- Oddaj mi Komisarczuków - warknął, a jego głos potoczył się echem po wnętrzu kościoła. - Są moi, rozumiesz?

Zignorowałem jego słowa i ruszyłem w stronę ołtarza. Jego sylwetka zaślaniała prawie całe światło, wpadające do drzwi.

- Muszę ich mieć. Ich i jeszcze jednego, słyszysz?

Wziąłem różaniec do ręki. Na szczęście był na tyle duży, że udało mi się zawiesić go na szyi.

- Oddaj mi ich, bo inaczej cię stąd nie wypuszczę i zdechniesz tu z głodu.

- A to jeszcze zobaczymy - odparłem i ruszyłem w stronę potężnej, blokującej wyjście sylwetki.

Byłem coraz bliżej, a on cofnął się, jakby chciał pozwolić mi wyjść. Światło znów wpadło do kościoła i dopiero w tym momencie zauważyłem, co mam na szyi. W błyszczących ślepiach zobaczyłem przerażenie i uśmiechnąłem się z satysfakcją.

Spokojnie zamknąłem drzwi świątyni, wiedząc, że obserwuje każdy mój ruch. Nie zważając na niego, niespiesznym krokiem ruszyłem w stronę drogi. Odwróciłem się, a on wciąż stał bez ruchu.

- Dopadnę cię! - krzyknąłem. - A wtedy pożałujesz jeszcze dnia, w którym pojawiłeś się w Starzyźnie!

## 8.

W drodze powrotnej wciąż rozpamiętywałem incydent z Dobrowolskim i na śmierć zapomniałem o różańcu. Dopiero spojrzenia, które napotkałem w kuchni Grelów, dały mi do zrozumienia, że nie zdjąłem go z szyi przed wejściem do domu.

- Należał do Pauliny. - Położyłem sznur paciorków na stole. - Miałem nadzieję, że ochroni nas przed... no wiecie... - zabrzmiało to jak nieudolna próba usprawiedliwienia.

Stary Greła pokręcił głową.

- Powinniśmy go jej zostawić - odezwał się z wyrzutem.

- Wiedziałem, że takie będzie wasze zdanie, ale gdy opowiem wam, jak na niego zareagowali wczoraj Komisarczukowie i co się dziś stało przy kościele, to chyba jednak przyznacie mi rację.

Bez wdawania się w zbędne szczegóły zrelacjonowałem wydarzenia. Nie zdziwiłem się, że większe wrażenie wywarło na nich to, co miało miejsce przed kilkunastoma minutami; sam opowiadając o spotkaniu z zakapturzonym eks-księdzem czułem gęsią skórkę na całym ciele.

- Czyli jesteśmy teraz bezpieczni? - zapytał Jasiak po tym, jak

skończyłem.

Długo zastanawiałem się nad odpowiedzią.

- Sądzę, że tak naprawdę jest tylko jedno bezpieczne miejsce w Starzyźnie. Sami wiecie, Oni są coraz zuchwalsi i podejrzewam, że prędzej czy później będą próbować wdrzeć się do domu, w którym teraz jesteśmy. Nie będziemy mogli pilnować się dwadzieścia cztery godziny na dobę przez dłuższy czas.

- Masz na myśli kościół?

Skinałem głowę.

- Musimy pomyśleć nad przeprowadzką. Nie wiem, jak to wszystko zorganizować, żeby można było w nim zamieszkać, ale wiem, że musimy to zrobić jak najprędzej. Dobrowolski coś knuje, mówił wyraźnie, że „brakuje mu jeszcze jednego” i z pewnością zrobi wszystko, by dostać kogoś z was...

- Z „was”? - zdziwił się stary. - To chyba ty żeś mu najbardziej zalazł za skórę.

- Mnie może najwyżej zabić. Nawet jak skłoni mnie do tego, bym zadyndał na sznurze, to najprawdopodobniej i tak nie będzie miał ze mnie żadnego pożytku. Do realizacji swoich zamiarów potrzebuje kogoś z mieszkańców wsi.

- Jakich zamiarów? - w głosie Jaśka zabrzmiał niepokój. - Jak myślisz, co on knuje?

- Zaraz po przyjeździe miałem... nie wiem, jak to nazwać.., wizję? Może lepiej - bardzo realny sen. Zobaczyłem w nim swojego dawno zmarłego syna, który powiedział do Dobrowolskiego: „Nie jesteś na tyle silny, by się ze mną teraz zmierzyć”. Nie wiem, co ma z tym wszystkim wspólnego mój Krzyś, mam nadzieję, że niewiele... - przełknąłem nerwowo ślinę, wspominając, jak w nocy słyszałem jego głos z zewnątrz. - W każdym razie na pewno musiało to coś znaczyć. Prawdopodobnie to, że każda samobójcza śmierć kogoś z was Ich wzmacnia. Dokładnie tak, jak w grze komputerowej...

- W jakiej grze?

- Nieważne. Chodzi o to, że gdy będzie Ich już wystarczająco wielu, to i różaniec, i kościół mogą nie pomóc. Nie wolno nam do tego dopuścić.



Zacząłem się zastanawiać nad porównaniem, które przyszło mi do głowy przed chwilą. Swego czasu fascynowałem się grami komputerowymi i analogiczna sytuacja powtarzała się w nich dosyć często. Toczyło się w nich walkę o losy wirtualnej rzeczywistości z przeciwnikiem, który chciał zawładnąć światem. Czy w Starzyźnie było podobnie? Czy to właśnie miał na myśli Krzyś, stawiając się w opozycji do potępionego na wieki księdza? Czy Dobrowolskiemu faktycznie brakowało jeszcze tylko jednego punktu, by na starzyźnianym ekranie mógł się pojawić napis „game over”? Może tak, może nie, ale to my zawładnęliśmy dwiema postaciami, których wyeliminowanie mogło oddalić naszych przeciwników od wygranej...

„Przydałoby mi się przynajmniej jeszcze jedno zapasowe życie” - pomyślałem i skrzywiłem usta w niewesołym uśmiechu.

- To, co robim? - Jasiak wstał od stołu i nerwowo krążył po kuchni. - Tato? Chyba trza zrobić tak, jak mówi Witek?

- Ale jak wy to sobie wyobrażacie? - spytał tamten. - Przecież to nie taka prosta sprawa. Tu, w domu, wszystko mamy. Spanie, jedzenie, kuchnię... Tam przecież nie ma nic.

- Nie będzie to łatwe, ale musimy dać jakoś radę - odparłem. - Obawiam się, że nie mamy innego wyjścia.

- A co z tymi w komorze? Zostawim ich tak? - drążył stary-  
Spojrzałem na niego i wreszcie mnie olśniło.

Teraz już wiedziałem, co trzeba zrobić w pierwszej kolejności. Pozostawała nadzieja, że i tym razem przeczucie mnie nie zawiedzie.

\*

Na początku sądziłem, że załatwimy sprawę we dwóch z Jaśkiem, jednak jego ojciec ostro zaprotestował:

- Nie mogę tu sami zostać, choćby i we trójkę. Napędził nam żeś porządnego strachu. Teraz, jak mamy różaniec, wszyscy się musim trzymać blisko niego.

Miał rację. Od momentu, gdy wręcz w otwarty sposób wypowiedziałem wojnę Dobrowolskiemu, można się było spodziewać najgorszego. Właściwie jedyną bezpieczną metodą

na uniknięcie jego sztuczek było trzymanie się razem i staranie, by ani na chwilę nie spuszczać się nawzajem z oczu.

Szliśmy więc znów w piątkę w stronę kościoła.

Cieplakowa przodem, trzymając z nabożeństwem różaniec, zaraz za nią Jasiek z uchwyconym strażackim chwytem ciałem Komisarczuka na ramieniu. Udało mi się wykrzesać z siebie ostatnie siły i z pomocą starego Greli, który podązał teraz przy mnie, zarzuciłem sobie truchło Komisarczukowej na plecy. Wydawała się nawet lżejsza niż poprzednio. Ponury pochód zamykał Albin, którego głos usłyszałem za plecami.

- Cholera, patrzcie, jacy ciekawscy.

Odwrociłem się i dostrzegłem trzy sylwetki. W jednej z nich rozpoznałem widzianego już wcześniej Józka Kowalika. Obok niego stała krępa kobieta, prawdopodobnie jego matka, i mężczyzna średniego wzrostu.

- Ten trzeci to Duda? - zapytałem.

- Uhm - przytaknął Socha.

- Mają niezłe przedstawienie.

Miałem nadzieję, że to już ostatni raz przychodzi nam szamotać się z nieboszczykami. W przeciągu ostatnich kilkudziesięciu godzin takich epizodów miałem tyle, że mógłby mi pozazdrościć niejeden grabarz. Nie wiem, dlaczego akurat teraz przyszedł mi na myśl Kamil Sadoń. Gdyby zobaczył mnie w tym momencie, na pewno miałby niezłą radochę. Stałby pewnie przy drodze w tych swoich pedalskich lakierkach, ze świńską blond grzywką na czole.

- Co, Uchmann? Widzę, że dziennikarstwo ci się znudziło i postanowiłeś zmienić profesję? W sumie to dobrze, bo z tym zajęciem o wiele bardziej ci do twarzy, he, he.

Byłem pewien, że tak właśnie by teraz zagadał z krzywym uśmiechem na piegowatym ryju.

- W sumie w tej całej Starzyźnie wcale nie jest tak źle - mruknąłem i cicho stękając poprawiłem sobie ciało kobiety na plecach.

Położyliśmy ich obok siebie, tuż przy wciąż otwartych drzwiach prowadzących do kościoła. Wszyscy wiedzieliśmy, co teraz należy zrobić, ale jakoś nikt się do tego specjalnie nie kwapił.

Wreszcie odezwał się Jasiak:

- To będzie już koniec z nimi? - Patrzył na mnie z nietęgą miną. - Na zawsze?

- Podejrzewam, że tak - odparłem.

- No ale... to trochę tak, jakbyśmy ich... No wiesz... Zabili...?

- Trochę tak.

- Nie wiem, czy to się godzi... - Nerwowo szarpał swoją czarną brodę. - Żyliżeśmy razem tyle lat koło siebie. W końcu sąsiad czasem jest bliższy niż rodzina...

- A jak myślisz, co będzie dla nich lepsze? Nie mówię już o naszej sytuacji. Dobrowolskiemu brakuje teraz już tylko jednej duszy, a za chwilę znów może brakować trzech. To nieważne, może jakoś dalibyśmy radę, ale pomyśl o nich. Kto wie, może w ten sposób ratujemy ich przed wiecznym potępieniem?

Argumentowanie nie wychodziło mi zbyt przekonująco, jednak wiedziałem, że do unicestwienia Komisarczuków nie powinienem nikogo z nich zmuszać, ani nawet namawiać. Tym bardziej że sam zaczynałem mieć pewne wątpliwości. Zwłaszcza teraz, gdy trzeba było podjąć ostateczną decyzję.

Zrobił to stary Grela. Niespodziewanie przeżegnał się i błyskawicznie wciągnął leżącą kobietę do wnętrza świątyni. Zaraz potem Jasiak zrobił to samo z ciałem Komisarczuka.

Oboje natychmiast zaczęli się zmieniać w oczach. Ich twarze poczerniały i wykrzywiły się w niemym grymasie. Wyglądali tak, jakby od środka byli trawieni przez niewidzialny ogień. Wokół rozszedł się swąd palonego ciała.

Wszystko trwało najwyżej kilkadziesiąt sekund.

Po raz ostatni spojrzeliśmy na leżące na posadzce kościelnego przedsionka zmumifikowane szczątki.

- Trza mieć nadzieję, że teraz już im jest lepiej - powiedział stary drżącym z emocji głosem. - Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie.

\*

Ustaliliśmy, że nadchodząca noc będzie ostatnią, jaką spędzimy w domu. Było już zbyt późno na to, aby należycie przygotować się do przeprowadzki i jeszcze przed wieczorem zdążyć przenieść niezbędne rzeczy.

Dzień upłynął nam więc na pakowaniu i planowaniu tego, co trzeba będzie zrobić w kościele, by nadawał się on do zamieszkania. Zajęcie się tymi czynnościami pozwalało myśleć o czym innym niż to, co wydarzyło się wcześniej, jednak w powietrzu wyraźnie dało się wyczuć atmosferę przygnębienia.

Gdy zapadł zmrok, wszystko było z grubsza gotowe. To, co zamierzaliśmy zabrać, w pierwszym rzędzie piętrzyło się w kącie kuchni. Ubrania, zapasy jedzenia i niewielka sterta naczyń miały nam pozwolić przetrwać pierwsze najtrudniejsze dni.

Sienniki i pościel zamierzaliśmy przygotować do przeniesienia dopiero rano.

- Sporo tego - powiedziałem. - Przydałoby się coś, czym moglibyśmy to wszystko przewieźć.

- Mamy taki wózek w stodole - odezwał się Jasiek. - Już żem o nim wcześniej myślał. Nieduży, ale na dwa razy powinniśmy dać radę.

W sumie szkoda, że nie wspomniał o nim wcześniej; gdyby to zrobił, przenoszenie zwłok z miejsca na miejsce byłoby o wiele łatwiejsze.

Było zbyt wcześnie, by kłaść się spać, więc siedzieliśmy przy stole, wsłuchując się w odgłosy dobiegające z zewnątrz. Deszcz ustał już po południu, ale wciąż wiał porywisty wiatr, który wdzierał się do domu poprzez szpary w oknach i powodował drżenie płomieni świec.

Nikt nie był skory do rozmowy. Cieplakowa przygotowała jakąś kolację, ale jedzenie pozostało prawie nietknięte. Planowaliśmy przeprowadzkę ledwie o kilkaset metrów, lecz czuliśmy się tak, jak przed wyprawą na drugi koniec świata. Wraz z moim przybyciem do Starzyzny życie tych ludzi nabrało szaleńczego wręcz tempa. Pozostawało mieć nadzieję, że zmiany te przyniosą pozytywne skutki.

Kiedy zrobiło się późno, zostałem sam w kuchni. Na wszelki wypadek postanowiliśmy czuwać na zmianę przez całą noc, a ja zgłosiłem się jako pierwszy. Wstałem i nalałem sobie wódki do kubka. Sądziłem, że trochę alkoholu pomoże mi przewyciężyć smętne myśli.

Ciekaw byłem, co dzieje się w Warszawie i jak sobie daje radę Rafał. Nie dawała mi spokoju myśl, czy w ogóle jeszcze kiedyś będę miał okazję się o tym przekonać. Bez samochodu mój powrót wydawał się o wiele trudniejszy, ale być może jednak istniał jakiś sposób na to, aby poradzić sobie z beznadziejną na pozór sytuacją. Usiłowałem przypomnieć sobie wszystko, co do tej pory przeczytałem w obu brulionach, i olśniło mnie, że pozostał jeszcze fragment zapisków Gielmudy.

Wstałem i przyniosłem zeszyt do stołu. Prawdopodobieństwo, że akurat w tych ostatnich, niepoznanych jeszcze notatkach odnajdę receptę na powrót do „mojego świata”, nie było wielkie, ale przecież jednak istniało.

Otworzyłem brulion i znalazłem miejsce, na którym poprzednio skończyłem.

# Starzyzna

## III

Uchmann dotrzymał słowa i pojawił się w Guciowie umówionego dnia.

Rafał zdawał sobie sprawę, że podczas ich pierwszego spotkania nie wypadł zbyt przekonująco. Przez całą drogę powrotną do Krasnobrodu wyrzucał sobie, że wrócił raz jeszcze do karczmy należącej do Stanisławskiego, by ostrzec dziennikarza przed Kowalikiem. Zachował się jak panikarz, nie uzasadnił nawet przyczyn swojego nerwowego zachowania. Było jednak za późno, by cokolwiek zmienić. Nie mógł też wrócić jeszcze raz. W domu rodziców czekała na niego Paulinka, którą z duszą na ramieniu zostawił samą. Najbardziej obawiał się, że upiorny przybysz ze Starzyzny, którego zobaczył w Guciowie, rzeczywiście może coś zrobić Uchmannowi, a to przekreśliłoby chyba już ostatnią nadzieję na opublikowanie informacji o przeklętej wiosce.

Po powrocie, chcąc przytłumić czarne myśli, włączył komputer. Wcześniej nie zastanawiał się nad tym, kim jest dziennikarz z Warszawy; najważniejsze było, że w ogóle zainteresował się tematem. Teraz, po ich pierwszym spotkaniu, Rafał zapragnął dowiedzieć się czegoś więcej.

Informacji nie było zbyt wiele. Wszędzie, gdzie pojawiało się coś o Uchmannie, widniała krótka, lakoniczna informacja o jego mało spektakularnej przeszłości zawodowej. Dopiero na forum czasopisma znalazł wpis, stwierdzający jednoznacznie, że Witold Uchmann był w przeszłości tajnym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa. Na dowód tej tezy internauta o pseudonimie „Dasoń” podał link do listy opublikowanej przez Wildsteina. Pisał też, że zna „redaktora uchola” osobiście i nie przebierając w

słowach podawał w wątpliwość jego kompetencje zawodowe.

Gielmudzie było wszystko jedno, czy dziennikarz, który opisze całą sprawę, jest świetny w swoim fachu; najważniejsze było przecież to, aby informacje o Starzyźnie ujrzały światło dzienne. O wiele bardziej martwił go fakt, że Uchmann był „czerwonym”. Wychowany w duchu solidarnościowym Rafał darzył głęboką pogardą wszystkich, którzy zbrukali się współpracą z tajnymi peerelowskimi służbami, i starał się ograniczać kontakty z takimi ludźmi do minimum, o ile w ogóle były one konieczne. Teraz od jednego z aparatczyków minionego systemu miał zależeć los jego, jego córki i Helenki.

Przypominał też sobie przenikliwe spojrzenie tego człowieka, gdy skłamał o tym, że notatki są napisane przez przyjaciela. I jeszcze te cholerne tiki na swoim policzku, które zawsze tak bardzo zdradzały zdenerwowanie... Gdyby wiedział wcześniej o przeszłości Uchmanna, z pewnością wymyśliłby coś innego. W tajnych służbach być może uczyli, czy rozmówca kłamie, czy mówi prawdę.

„Z drugiej strony przecież niekoniecznie musiał być to ktoś ważny w dawnych strukturach” - pomyślał. - „Może to jakaś płołka, która dawno już zapomniała to, czego uczyli w SB?”

Jedno było pewne, nawet jeśli Uchmann dał się nabrać, to i tak z pewnością był człowiekiem, któremu nie można zaufać. Kto zdradził raz, nie zawaha się zrobić tego po raz kolejny. Było to dla Rafała jasne jak słońce, ale cóż mógł jeszcze zrobić w tej całej sytuacji? Musiał działać jak najprędzej, by ratować Helenkę, która właściwie wyglądała tak, jakby stała już nad grobem. Do momentu, w którym Paulinka skończy pięć lat, zostało wprawdzie jeszcze trochę czasu, ale...

Na wszelki wypadek Rafał wysłał jeszcze maila z prośbą o pomoc do kilku kolejnych, właściwie w ogóle nieznanym gazet. Gdyby w najbliższym czasie któraś z nich się zainteresowała tematem, mogłoby natychmiast zrezygnować z pomocy Uchmanna.

Przyznał szczerze sam przed sobą, że zrobiłby to z prawdziwą przyjemnością.

\*

Gielmuda zamierzał wrócić do Guciowa zaraz z rana następnego dnia, ale plany te zmienił telefon otrzymany parę minut po ósmej. Okazało się, że redaktor jednego z zamojskich tygodników, do którego Rafał zwrócił się o pomoc już kilka tygodni wcześniej, chciałby się spotkać i porozmawiać o ewentualnym artykule. Miał czas dopiero około południa, ale Gielmuda to, że otrzymał tę dobrą wiadomość właśnie w tym momencie, uznał za dobry omen i bez wahania zapowiedział przyjazd do Zamościa na dwunastą trzydzieści.

Brulion z zapiskami został wprowadzicie w Guciowie, ale Rafał i tak znał całą historię na pamięć. W jednej z knajpek na zamojskim Rynku był już kilka minut po południu. Słoneczny, niemal już wiosenny dzień nastrojał bardzo optymistycznie. Nie mógł przypuszczać, że Uchmann właśnie wtedy podąży w kierunku Słonecznej Doliny. Zresztą, nawet gdyby o tym wiedział, to z pewnością i tak spotkanie z redaktorem zamojskiej gazety byłoby dla Gielmudy bardziej istotne. Miał nadzieję, że wkrótce potem będzie mógł odesłać dziennikarza z Warszawy z powrotem do domu, w którym zapewne wciąż jeszcze wiszą portrety towarzysza Gierka.

Piotr Dobrowolski z „Echa Zamościa” okazał się pełnym werwy mężczyzną około czterdziestki. Rafał postanowił mu tylko pobieżnie zasygnalizować pewne fakty, dotyczące Starzyzny, aby na dzień dobry nie spłoszyć rozmówcy i tylko delikatnie zbadać grunt.

Dobrowolski słuchał uważnie i na bieżąco notował najważniejsze fakty w firmowym kalendarzu.

- Brzmi to wszystko dość interesująco - powiedział, odkładając pióro. - Niestety, muszę pana zmartwić. Materiał mógłby się ukazać najwcześniej po świętach wielkanocnych.

- Dopiero? - Rafał nie krył rozczarowania.

- Na dzień dzisiejszy mamy dość sporą kolejkę zamkniętych, czekających na publikację tekstów.

- Ale wie pan, bardzo mi zależy na czasie...



- Rozumiem. Jedyne, co mogę zaproponować, to abyśmy pozostali w kontakcie telefonicznym. Czasem się zdarza, że redakcja rezygnuje w ostatniej chwili z publikacji, i wtedy musimy znaleźć coś na szybko. Taka legenda przed świętami byłaby chyba odpowiednia, zwłaszcza że - jak rozumiem - Wielki Piątek odgrywa w niej dość istotną rolę. Trzeba byłoby ją trochę „podrasować”, dodać kilka wątków i powinno się udać. Niemniej jednak na razie pozostaje nam czekanie.

Słowo „legenda” użyte przez dziennikarza i jego zamiar dodania nowych, fabularnych wtrętów, nie pozostawiało Rafałowi złudzeń co do tego, jak Dobrowolski odebrał opowieść. Na razie spoglądał na Gielmudę z życzliwym, pogodnym zainteresowaniem, lecz gdyby dowiedział się wszystkiego...

- Dobrze, panie redaktorze - powiedział Rafał wstając i wyciągnął rękę na pożegnanie. - Zna pan mój numer telefonu. Będę czekał na sygnał.

- Do widzenia panu. - Uścisk dłoni dziennikarza był ciepły i mocny.

Zanim się rozstali, przeszli wspólnie kawałek przez płytę rynku, płosząc grupki leniwie grzejących się w wiosennym słońcu gołębi. Przy niektórych knajpkach pojawiły się parasole, oczekujące wraz z kolorowymi kamienicami na pierwszych tegorocznych turystów. Kolorowy świat był dla Rafała całkowicie nierealny, jakże odległy od problemów, które bezpardonowo wdarały się w jego życie. Oddałby wszystko, by móc beztrudno usiąść przy jednym ze stolików na powietrzu i cieszyć się ciepłem nadchodzącej wiosny.

Z zalem odegnał od siebie te myśli. Okazało się, że niechcący minął odchodzącą w bok uliczkę, prowadzącą do parkingu, na którym zostawił samochód.

- Dziękuję, że zechciał się pan ze mną spotkać - powiedział.

- Było mi bardzo miło.

Raz jeszcze uścisnęli sobie dłonie.

Gielmuda zagłębił się w cienisty chłód ulicy Ormiańskiej. Po optymistycznych, pełnych nadziei oczekiwaniach nie pozostał już nawet ślad.

- Panie Rafale! - Usłyszał za plecami głos Dobrowolskiego - Proszę jeszcze chwilę zaczekać.

Przystanął, odwrócił się i zrobił kilka kroków w kierunku podążającego w jego stronę redaktora. Serce znów zabiło mocniej.

- Wie pan, tak sobie pomyślałem... - mówił lekko zdyszany dziennikarz. Pan chyba jest bardzo zżyty z tą starszą panią, prawda? Jak ona się nazywa... - Zajrzał do kalendarza. - O, Helena Trześniowska, prawda?

- Tak - Rafał odpowiedział równocześnie na oba pytania.

- Myślę, że mógłbym choć trochę pomóc. Wiem, że czasem warunki w domu opieki nie są najlepsze. Nie wiem, jak jest w Krasnobrodzie, ale gdyby czegoś jej brakowało albo chociażby chciała zamieszkać w jednoosobowym pokoju, to proszę mi dać znać. Mój stryj prowadzi tu niedaleko taki przyparafialny ośrodek dla ludzi starszych i pokrzywdzonych przez los. Mieszkają w nim samotne matki, które, oczywiście zupełnie nieodpłatnie, pomagają innym w zamian za dach nad głową. Pani Helena też nie musiałaby płacić ani grosza.

- Ale... Jak to? Naprawdę jest to zupełnie darmowe?

- Tak. Mój stryj jest emerytowanym księdzem. Zawsze poświęcał się pomocy innym, a od kilku lat, od kiedy nie pełni już obowiązków proboszcza, zajął się tylko tym. Zbiera datki na lekarstwa wśród wiernych. Pieniądze na jedzenie i utrzymanie budynku pozyskuje od różnych instytucji i firm. Proszę mi wierzyć, z budynku plebanii uczynił naprawdę genialne miejsce dla ludzi potrzebujących pomocy. Nawet pracownicy miejscowej przychodni pomagają w tym przedsięwzięciu, nie pobierając opłat za porady i drobne zabiegi. Stryj jest już dosyć leciwy, ale to wulkan energii o gołęmbim sercu. Nie zdarzyło się, by komukolwiek odmówił pomocy. Jak będzie trzeba, pomoże też panu i pańskiej znajomej.

- Bardzo panu dziękuję...

- Nie ma za co. Proszę, tu jest numer telefonu - dziennikarz zapisał coś na kartce kalendarza, po czym wydarł ją i podał Rafałowi. - Proszę pytać o księdza Dobrowolskiego. Może się pan

powołać na mnie, ale i bez tego na pewno panu pomoże. No, teraz muszę już lecieć. Powodzenia i do zobaczenia lub usłyszenia wkrótce, mam nadzieję.

- Do widzenia.

Gielmuda stał jeszcze przez chwilę, spoglądając na kartkę z numerem telefonu. Wreszcie złożył ją starannie i schował do wewnętrznej kieszeni wiatrówki.

Idąc uliczkami Starego Miasta zastanawiał się, czy przypadkiem nie został wzięty za kogoś, kto poszukuje pomocy dla starszej osoby. Ostatecznie uznał, że raczej nic takiego nie padło w trakcie rozmowy. Niemniej jednak nie był zapewne pierwszym, który chciał zainteresować kogoś z „Echa Zamościa” swoimi problemami, a intencje dzwoniących do gazet z pewnością bywają przeróżne.

Gdy dotarł do samochodu, już o tym nie myślał. Miał na głowie o wiele poważniejsze sprawy.

\*

Rafał zabawił w domu znacznie dłużej, niż początkowo zamierzał. Mimo że spotkanie z Dobrowolskim nie dawało zbyt wielu szans na publikację w zamierzonej formie, to jednak mogło dobrze rokować na przyszłość. Gdyby tylko udało się opublikować materiał jeszcze przed Wielkanocą, Gielmuda wybrałby „Echo Zamościa”. Niestety, szanse na to były nikłe. Czas był bardzo ważny, a i artykuł wydrukowany później mógł pozostawiać wiele do życzenia.

Podjął decyzję, gdy było już ciemno. Postanowił, że jednak pojedzie do Guciowa zobaczyć, jakie wrażenie na Uchmannie zrobiły „notatki Piaseckiego”. Być może dzielił skórę na niedźwiedziu, a redaktor z Warszawy w ogóle nie będzie miał ochoty podjąć tematu.

Przez drogę Rafałowi udało się przekonać samego siebie, że tak właśnie byłoby lepiej.

„Kto zdradził raz, nie zawaha się zrobić tego po raz kolejny” - ta myśl z poprzedniego wieczoru coraz głębiej wbijała się w podświadomość Gielmudy. - „Dobrowolski na pewno da się jakoś

przebłagać. Wygląda przecież na porządnego człowieka”.

Wjechał do Guciowa i... nie zatrzymał auta przy zagrodzie Stanisławskiego. Uznał, że ma tego całego Uchmanna gdzieś. Opowie Dobrowolskiemu, że zrezygnował na rzecz „Echa Zamościa” z publikacji w ogólnopolskim czasopiśmie. Powinno mu to przysporzyć parę dodatkowych punktów.

Zamierzał wrócić do Krasnobrodu okrężną drogą. Przejechał kilka kilometrów w stronę Zwierzyńca, po czym zatrzymał samochód na poboczu.

- Durniu - szepnął sam do siebie. - Przecież musisz odzyskać ten przeklęty brulion...

Zawrócił ze złością i ostro przygazował.

„Nie będę mu nic wyjaśniał” - myślał. - „Trudno, taki jest przecież jego zawód. Musi się liczyć z ryzykiem, że z planowanego materiału wyjdą nici. Biedy pewnie i tak nie klepie; na pewno zdążył się porządnie nachapać, gdy u władzy byli jego czerwoni mocodawcy.”

Ruch, który zauważył w świetle reflektorów, przerwał te rozmyślenia. Zaraz potem zaczął hamować gwałtownie, widząc na lewej stronie jezdni sylwetki dwóch szamocących się mężczyzn. Światła nie rozproszyły jeszcze dostatecznie ciemności, ale postać powstającą z kolan rozpoznałby na końcu świata. Marcin Kowalik, nim Rafał zdążył się wystarczająco zbliżyć, wolnym krokiem odszedł w kierunku przydrożnych zarośli. Zaraz potem samochód zatrzymał się przy wciąż leżącym na szosie mężczyźnie.

- Panie Uchmann, nic się panu nie stało? - zapytał Giel- muda, wysiadając z auta. - Wygląda na to, że zdążyłem w samą porę.

\*

Kilka następnych minut wywróciło zamiary Rafała do góry nogami. Przede wszystkim cieszył się, że udało mu się powstrzymać dziennikarza przed ściganiem Kowalika. Zaraz potem, kiedy obaj siedzieli w aucie, redaktor opowiedział o spotkaniu z Anielką w pobliżu Słonecznej Doliny.

Gdy okazało się, że Uchmann widział już zarówno Marcina, jak i

dziewczynkę, stało się dla Rafała jasne, że w tej sytuacji nie może już go odprawić. Na pewno i tak nie dałby za wygraną bez wyjaśnienia wszystkich okoliczności, a jego dociekliwość mogłaby tylko zaszkodzić całej sprawie.

Ruszyli. Gielmuda był mocno zdenerwowany i czuł na prawym policzku nerwowy tik. Jeśli Uchmann zauważył ten bezwarunkowy odruch, prawdopodobnie i tak pomyślał, że to przez okoliczności zdarzenia. Tak naprawdę Rafał denerwował się dlatego, że wcześniejsze plany jednak wzięły w łeb. Emocje były tak silne, że o kilkaset metrów minął zagrodę Stanisławskiego.

Pozostanie w Guciowie nie miało żadnego sensu. Potrzebował czasu na zastanowienie i postanowił, że przenocuje Uchmanna w swoim domu w Krasnobrodzie. Łamał w ten sposób swoje zasady, lecz nie dbał o nie w sytuacji, gdy zagrożone było życie jego bliskich.

Trochę trwało, zanim się tam znaleźli. Najpierw trzeba było posprzątać w pokoju gościnnym, który zajmował dziennikarz, i zabrać stamtąd zmasakrowane ciało psa. Później przypałał się sam gospodarz, przed którym Uchmann musiał się wytłumaczyć z nagłego zamiaru wyjazdu. Po drodze jeszcze musieli zakopać w lesie włochate truchło.

Kiedy wreszcie dotarli do Krasnobrodu, okazało się, że redaktor nie przeczytał jeszcze całości notatek. Gielmuda przyjął ten fakt z ulgą. Miał trochę czasu na przemyślenie planu działania.

Dziennikarz zasiadł w pokoju nad brulionem, a Rafał zajął się praniem zakrwawionych ciuchów. Najpierw przepłukał je w chłodnej wodzie, a później nastawił pralkę.

Nadchodziły trudne dni. Spodziewał się ze strony redaktora wielu niewygodnych pytań i nie wiedział, czy będzie miał wystarczająco dużo sił i odwagi, by na nie odpowiadać.

Otworzył w swoim pokoju butelkę chłodnego „Zwierzyńca”. Przyjrzał się pianie buzującej w środku i z przyjemnością upił kilka łyków. Potem rozsiadł się wygodnie w głębokim, skórzanym fotelu, w którym lubił siadywać jego dziadek, i przymknął oczy.

Czekał na rozwój wypadków.

## Rozdział czwarty

### 1.

Obok otwartego brulionu stało pięć palących się jasnym płomieniem świec, mimo to podniosłem się i podszedłem do kredensu, by wyjąć jeszcze kilka.

Już na pierwszy rzut oka widać było, że oznaczony rzymską czwórką fragment notatek został napisany o wiele mniej wyraźnie niż poprzednie; tylko charakterystycznie zawijane ogonki przy niektórych literach pozwalały na stwierdzenie, że w dalszym ciągu jest to pismo Rafała. O ile dotychczas przyzwyczaiłem się do jego dość czytelnych, dużych liter, o tyle w wypadku tego podrozdziału miałem do czynienia z trudnymi do odszyfrowania bazgrołami. By je odczytać, potrzebowałem więcej światła.

Skorzystałem z okazji i uzupełniłem też zawartość kubka, by lżej było mi znieść kolejny kubeł wylanych na mnie pomyj.

Czytanie wywodów o mojej rzekomej ubeckiej przeszłości nie należało do przyjemności. Mimo że od publikacji listy minęło już trochę czasu, wciąż trudno było mi się pogodzić z tym, że wyroki na mój temat ferowane są bez jakiegokolwiek znajomości faktów.

Ciekaw byłem, kiedy on to wszystko pisał. Było jasne, że notatki musiały powstać już po tym, jak dowiedział się o konieczności powrotu do Starzyzny. Można więc się było domyślić, że sporządził je już wtedy, gdy wiedział, że Anielka nie zna żadnych szczegółów, które mogłyby pomóc uratować Paulinę, a więc...

- Cholera jasna - wyszeptałem. - Przecież on musiał je pisać ledwie kilka dni temu.

Nie mieściło mi się w głowie, jak mógł pisać o mnie w taki sposób. Byłem w stanie zrozumieć, że chciał jak najdokładniej opisać fakty, a także pobudki, które nim kierowały. Tyle że - na

Boga! - od tych zapisków w części mnie dotyczącej dosłownie wiało chłodem. Tak jakbyśmy nie przeszli razem tyle przez ten cały czas od mojego przyjazdu na Roztocze aż do Wielkiego Piątku.

„Może gdyby wiedział, że znajdę się tu zamiast niego, to traktowałby mnie choć trochę inaczej?”

Być może, ale teraz było to nieważne. Mało tego, uświadomiłem sobie, że chyba, jeśli nawet do tej pory traktował mnie jako ubeka doskonale to maskując, to i tak postąpiłbym tak samo.

Sam się sobie dziwiłem.

Zastanowiłem się przez chwilę, czy nie oszukuję sam siebie, ale nie. Gdybym mógł znów wybierać, to z całą pewnością jeszcze raz znalazłbym się w Starzyźnie zamiast Rafała.

Wiedziałem, komu zawdzięczam to, że byłbym po raz kolejny gotów to zrobić.

- Nie wiem, synku, czy jesteś gdzieś w pobliżu - szepnąłem. - Tak naprawdę, to wolałbym, żeby cię tu nie było, ale... jeżeli jesteś... i jeśli jesteś ze mnie dumny, tak jak kiedyś, to wiedz, że to wszystko dzięki tobie...

Siedziałem naprzeciw świec, lecz tym razem płomień żadnej z nich nie drgnął nawet odrobinę.

## 2.

Myśl o Krzysiu sprawiła, że po raz kolejny wspomniałem też Paulinkę i Rafała.

Zakładałem, że imię dziewczynka dostała niejako w spadku po Paulinie Podolak. Wtedy uderzyła mnie świadomość, że Rafał przecież do końca nie wiedział, co spotkało gospozię Dobrowolskiego w Wielki Piątek tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku.

Gospozię księdza Dobrowolskiego.

Ten dziennikarz z Zamościa też tak się nazywał. Skojarzyłem ten fakt, czytając notatnik Rafała, ale ponieważ „Dobrowolski” to przecież dość popularne nazwisko, uznałem to za czysty zbieg

okoliczności. Tyle że... Tak, teraz sobie uświadomiłem, że redaktor z „Echa Zamościa” mówił też o księdzu, który opiekuje się potrzebującymi... O księdzu, który był dla niego...

Drżącymi rękoma przerzuciłem kilka ostatnich stron brulionu w poszukiwaniu tego fragmentu, a potem przeczytałem cicho:

- „Mój stryj jest emerytowanym księdzem”.

Jeśli stryj, to nazywa się...

- Ksiądz Dobrowolski - wyszeptalem i ciarki, jak stado mrówek, przemaszerowały mi po krzyżu.

Raz jeszcze dokładnie przeczytałem ostatni fragment notatnika z nadzieją, że jednak przeoczyłem imię księdza, o którym wspominał zamojski dziennikarz. Imienia jednak nie było w zapiskach.

Potem zastanowiłem się, dlaczego Rafał nie skojarzył tych wszystkich faktów. A musiał ich nie skojarzyć, ponieważ wierzyć mi się nie chciało, że w ogóle by o tym nie wspomniał w drugim zeszyście.

I wtedy mnie olśniło:

„Przecież Rafał w ogóle nie wiedział, jak się nazywał ksiądz ze Starzyzny!”

To nazwisko było w wiosce prawie jak zakazane, więc trudno się dziwić, że nikt go nie używał. Gdy podczas swojej opowieści stary Grela wypowiedział je po raz pierwszy, zabrzmiało w moich uszach całkowicie obco i nie skojarzyło się z czymkolwiek. Dlaczego?

„Dlatego że ani raz nie padło ani w pierwszym, ani drugim brulionie” - odpowiedziałem sam sobie w myślach.

\*

Bąłem się tego, co może być napisane w ostatniej części notatek Rafała, a dokładniej rzecz ujmując, obawiałem się, że może w nich być zbyt mało.

Do końca zostało mi naprawdę niewiele czytania. Ten fragment mógł być kluczowy, dlatego długo nie potrafiłem się przemóc, by go poznać.

Czy są w nim najważniejsze informacje? Bardzo chciałem



dowiedzieć się, czy zbieżność nazwisk redaktora Dobrowolskiego, jego stryja i księdza ze Starzyzny jest przypadkowa.

Łudziłem się, że może Rafał jednak zdobył w jakiś sposób wiedzę na temat tego, że ktoś, kto znalazł się w objętej klątwą wiosce nie przez przypadek, może się z niej wydostać. A jeśli tak, to w jaki sposób jest tego w stanie dokonać?

Pytań było wiele.

Miałem przed oczyma postać przeklętego księdza, który najpierw stanął przeciw Bogu, a potem skończył swoje ziemskie życie przez wyrzuty sumienia. Pewnie miał nadzieję, że w ten sposób jego koszmar się skończy, i nie dość, że ten czyn nie dał mu spokoju, to jeszcze w dodatku pociągnął za sobą wiele kolejnych samobójstw mieszkańców Starzyzny, którzy poprzez targnięcie się na własne życie zasilali zastęp przerażających zjaw, dążących do całkowitego zawładnięcia wioską.

A może nie tylko nią?

Co się stanie, gdy do nich dołączą trzy kolejne osoby? Co się stanie, gdy wtedy „nie będą już zbyt słabi”, by zmierzyć się z innymi zmarłymi, być może nawet z tymi, którzy krążą gdzieś w okolicach „mojego świata” ?

Trzymałem w dłoniach brulion z zapiskami, zastanawiając się, czy może on mi jeszcze dać odpowiedź przynajmniej na część tych pytań.

Czas było się dowiedzieć.

Zapaliłem dodatkowe świece i pochyliłem się nad stołem.

Pierwszą rzeczą, która rzuciła mi się w oczy, była zmieniona forma notatek.

Dotąd Rafał stawiał się na pozycji anonimowego narratora. Fragment oznaczony rzymską czwórką został napisany w pierwszej osobie...

## Starzyzna

### IV

*To wszystko jest ponad moje siły.*

*Właściwie całe to pisanie jest już w tej chwili kompletnie bez sensu. Wziąłem do ręki długopis chyba tylko po to, żeby się czymś zająć.*

*Siedzę w kuchni u rodziców. Ich nie ma, Paułinka śpi w swoim pokoju na górze, a ja stawiam z trudem kolejne litery. Dobrze, że przynajmniej słychać buczenie lodówki, bo w zupełnej ciszy pewnie bym zwariował.*

*Chciałbym, żeby już była północ. Ta beczynność zaraz mnie wykończy.*

*Rodzice za chwilę wrócą z kościoła. Potem poczekam, aż mała się obudzi i pójdę się z nią pożegnać. Muszę jej tylko nie dać niczego po sobie poznać. Na szczęście jeszcze niewiele rozumie i może się uda.*

*Potem pojedę w miejsce, w którym pochowałem Trześniowskiego. Znów upłynie trochę czasu. Wrócę do domu...*

*Nie zapomnieć zeszeptu!*

*Jak podkreśliłem, to może nie zapomnę. Tego tylko brakowało, żeby został on tu, w Krasnobrodzie, i ktoś go przeczytał. Schowam go w skrytce opla i tam już zostanie. Pewnie na zawsze.*

*Wrócę do domu, pewnie odwiozę Witka na jakiś autobus, czy gdzie tylko będzie chciał, byle nie za daleko, żebym mógł zdążyć do Guciowa przed północą. Znów ukradnę w ten sposób kilkadziesiąt minut, może parę godzin.*

*Witek Uchmann... Szkoda, że zobaczymy się dziś po raz ostatni. Chciałbym się jeszcze z nim kiedyś spotkać w jakichś bardziej normalnych okolicznościach. Chyba myliłem się co do niego. Nie wiem, jaka jest naprawdę jego przeszłość, ale to porządny facet.*

*Sporo dla mnie zrobił, żebym mógł się z tego wykaraskać, narażał nawet życie. A teraz okazało się, że cała jego praca na nic.*

*Chciałpomóc. Szkoda, że nie dał rady...*

*Aha! Tymczasem jeszcze zakupy. Chyba sklepy będą jeszcze czynne. W Wielki Piątek nie zamykają zbyt wcześnie. Przynajmniej niektórych.*

*Chce mi się spać jak cholera. Przez całą noc nie zmrużyłem oczu i prawie zasypiam na siedząco. Najchętniej położyłbym się i obudził jutro rano. Tyle że nie mogę tego zrobić. Paulinka jest teraz najważniejsza i zrobię wszystko, by ją ratować.*

*Powiedziałem rano Witkowi, że prawie nie spałem, ale to nieprawda. Nie zasnąłem nawet na moment. Od wieczora czułem, że w nocy coś się zdarzy. Wiedziałem, że ktoś poza mną i Uchmannem jest w domu, i podejrzewałem, że dowiem się, kto to jest.*

*Pradziadek usiadł na moim łóżku i wszystko mi powiedział. Zapewniał, że będzie dobrze, ale jak ma być dobrze, skoro jeśli z własnej woli dostanę się do Starzyzny, to nie będę mógł już stamtąd wrócić. Ocałą wprowadzie moją córeczkę, ale już nigdy jej nie zobaczę...*

*Co on tam jeszcze mówił? Że Uchmann pojawi się w Sta- rzyźnie zamiast mnie? Bzdura! Niby jakim cudem. Mam pójść i powiedzieć: - Słuchaj, Witek, jest taka sprawa. Pojedziesz tam zamiast mnie, O.K.? Wiesz, jeśli ja pojadę, to nie zobaczę już Paulinki, a wołałbym być przy tym, jak dorasta. To co, zgoda?*

*Ha, ha. Na pewno nie będzie się zastanawiał nawet pięciu sekund.*

*Co tam jeszcze mówił dziadek Franek? Warto sobie to zapisać za pamięci. Będę miał przecież ten zeszyt ze sobą.*

*Już wiem. Gdybym to jednak był ja, to mam się pilnować, żeby ktoś mnie nie załatwił. Jak mi utną rękę, to następnego dnia nie będę już jej miał. Jak mi utną głowę, to następnego dnia nie będę już żył. Takie dziwy! Sztuczki z cudowną regeneracją i zmartwychwstawaniem na Czarnym Wygonie się dla mnie skończyły. Na szczęście, jak będzie po wszystkim i się powieszę, to nazajutrz dalej będę sobie dyndał. Tyle dobrego.*

*Zapytałem dziadka, czy nie może mi powiedzieć, co się tam stało, bym nie musiał sam się o tym dowiadywać. Odrzekł, że gdyby to zrobił, to natychmiast bym i tak zapomniał. Jakbym zapisał w zeszycie, to wszystko by zniknęło w ciągu kilku minut.*

*- Tak musi być, wnusiu - powiedział. - Tyle że ty możesz się niczego nie obawiać.*

*Akurat!*

*Dobrze, że przynajmniej powiedział mi, co mam zrobić, by ocalić Paulinkę.*

*Gdybym chociaż mógł się łudzić, że to wszystko jednak mi się przyśniło, że jednak będę mógł wrócić...*

*Dziadek Franek nie pozostawił mi żadnych wątpliwości.*

*Wstając zapytał:*

*- Pamiętasz tę szkatułkę, którą ode mnie dostałeś? Jest na strychu. Znajdź ją rano.*

*Świtało, jak wstałem z łóżka i poszedłem na górę.*

*Strych był cały zavalony zakurzonymi rupieciami. W końcu w jednym z pudeł ją znalazłem. Jako dziecko chowałem w niej swoje najcenniejsze skarby.*

*Wciąż tam były. Małe samochody, łuski po ślepakach z ćwiczeń Obrony Cywilnej, ołowiane i plastikowe żołnierzyki, a także cała masa innych pamiątek, o których już dawno zapomniałem.*

*Nie udało mi się znaleźć czegokolwiek, co mogłoby mieć związek z nocnymi wydarzeniami, i już zacząłem się cieszyć, że wszystko było jednak sennym przywidzeniem, gdy na samym dnie szkatułki dostrzegłem niewielką, złożoną na dwoje karteczkę.*

*Wziąłem ją, rozprostowałem i przeczytałem to, co było wykaligrafowane starannym pismem pradziadka. Poznałbym je na końcu świata.*

*Zobaczysz, wszystko będzie dobrze i nie będziesz musiał opuścić Paulinki.*

*To Uchmann znajdzie się w Starzyźnie zamiast Ciebie.*

*Krasnobród, Wielki Piątek, 25.03.2005 r.*

\*

*Coś długo ich nie ma. Pewnie w kościele długa kolejka do spowiedzi. Dobrze byłoby, gdyby już wrócili. Wołałbym, żeby...*

\*

*Chyba niczego się nie domyśliła. Uściskałem ją mocno i wyciąłowałem. Słyszałem, jak mnie woła, i poszedłem na górę. Zdaje się, że wraca już do zdrowia. Leży sobie teraz na górze spokojnie. Wie, że wyjeżdżam, i czeka na babcię.*

*Ciekawe, czy jak dorośnie, to będzie mnie pamiętała. Mam nadzieję, że rodzice jakoś wytłumaczą jej moje zniknięcie, choć zupełnie nie mam pojęcia, co mogą jej powiedzieć. Będzie się wychowywać jako sierota. Boże, zrobiłbym wszystko, by się z nią nie rozstawać...*

\*

*Czasu mam coraz mniej. Co chwila spoglądam w okno.*

*Czy chciałbym, żeby to Witek pojechał tam zamiast mnie? Może to niegodziwe, ale tak właśnie jest.*

*Może rzeczywiście go zapytam?*

*Nie. Tylko wyszedłbym na idiotę.*

*Sam się wpakowałem w to wszystko i sam muszę ponieść konsekwencje. Przyjaciół Witka też cierpi z powodu śmierci żony, którą spowodowałem. Tak musi być. Ból po utracie bliskich jest częścią życia. Ja dziś tracę moją Paulinkę, ale przynajmniej jest nadzieja, że chociaż dla niej wszystko skończy się dobrze.*

*Chyba usłyszałem szcęk otwieranej bramy... Tak, wrócili.*

*Zaraz zamknę ten zeszyt. Zamknę go tak, jak się zamyka kolejny rozdział własnego istnienia. Pora ruszać w drogę...*

## Rozdział piąty

### 1.

Nie pamiętałem już nawet, gdzie go zostawiłem.

Zdawało mi się, że gdy opuszczałem dom Grelów, brulion został na stole, ale tam go nie zastałem. Być może Katarzyna tuż przed wyjściem włożyła go do kredensu? Nieważne. Liczy się to, że leży przede mną i że znów powinienem coś w nim napisać.

Ostatni przeczytany fragment sprawił, że nie chciałem oglądać zeszytu nigdy więcej. Nawet gdy próbowałem się stąd wydostać przed poprzednią Wielkanocą, nie zamierzałem go zabierać, by nie przyniósł mi pecha. Wszystko, co jest w nim zawarte, nawet dziś pamiętam aż nadto dobrze i bez problemu odtworzyłbym całą treść po powrocie do „mojego świata”.

Teraz ważne jest, by wszystko jednak zostało zapisane.

Nigdy bym nie przypuszczał, że wytrzymam tu aż tyle. Zwłaszcza że zdecydowaną większość czasu spędziłem zamknięty w kościele wraz z czterema osobami. Jego wnętrze stało się dla nas domem, w którym czuliśmy się bezpieczni. Wychodziliśmy na zewnątrz tylko wtedy, gdy było to konieczne, zawsze zabierając ze sobą różaniec Pauliny. Trzeba było przecież zadbać o jedzenie, wodę i opał.

Pozostałych mieszkańców wioski - Józka, jego matkę i Dudę widziałem najwyżej kilkanaście razy. Nikt z nas nie zamienił z nimi ani jednego słowa. Stanowiliśmy odrębne światy w realiach jednej małej wioski, z której pozostały tylko trzy gospodarstwa i drewniana świątynia. Domy Trześniowskich i Komi- sarczuków zawaliły się jeszcze w dwa tysiące piątym roku.

Był jeszcze jeden świat. Mroczny i posepny świat Czarnego Wygonu. Tych, którzy przybywali stamtąd, widywaliśmy niemal codziennie. Kręcili się wokół nas, gdy byliśmy na polu, byli

obecni prawie na wyciągnięcie ręki zawsze wtedy, gdy wybieraliśmy się do lasu po drewno. Czekali na nasz błąd, na chwilę nieuwagi, która mogłaby pomóc Im w realizacji planu Dobrowolskiego. Byli mu ślepo oddani; nie tylko za życia, ale także i po śmierci miał nad Nimi pełną władzę.

Początkowo było to nie do zniesienia, ale wreszcie przyzwyczailiśmy się nawet do obecności sylwetek obserwujących ślepych oczyma każdy nasz ruch poza kościołem. Udało nam się nie popełniać błędów i widać było, że coraz bardziej Ich to irytuje. Wreszcie, kilka dni temu przyjęli inny model działania...

\*

Wziąłem pod pachę brulion i wyszedłem z domu.

Kiedy znalazłem się na drodze, zamiast ruszyć w kierunku kościoła, podążyłem w przeciwną stronę. Niedługo potem stałem przed zabudowaniami Trześniowskich.

Precyzyjnie rzecz ujmując, naprzeciw mnie znajdowało się to, co kiedyś było gospodarstwem, należącym niegdyś do sołtysa i jego córki. W przeciągu dwóch lat, które minęły od mojego przybycia do Starzyzny, dach domu mieszkalnego runął, rozpychając próchniejące ściany na zewnątrz. Jedyne, co odróżniało zawalisko od innych, podobnych, to brak sterczącego ku niebu komina.

Przeszedłem obok resztek domu; bardziej interesowały mnie pozostałości po stodole.

Pamiętałem z pierwszego, zapisanego przez Rafała zeszytu, że tam właśnie, nad wejściem, Jakub Trześniowski przechowywał karabin, pozostały po drugiej wojnie. Miałem nadzieję, że nie zmienił skrytki w ostatniej chwili i uda mi się odszukać broń.

Widniał przede mną obraz nędzy i rozpaczy. Trudno było mi nawet na pierwszy rzut oka zorientować się, w którym miejscu znajdowało się niegdyś wejście do budynku. Po chwili poszukiwań odnalazłem jednak resztki wrót, a coś w rodzaju koślawych drzwi było umiejscowione w jednym z ich szerokich skrzydeł.

Metodycznie odrzucałem zniszczone elementy ścian i dachu. Kilka drzazg wbiło mi się w dłonie, ale pomimo kłującego bólu nie przerywałem poszukiwań. Skoro już tu byłem, musiałem doprowadzić rzecz do końca.

- Jasna cholera - powiedziałem do siebie. - Trzeba było zabrać Jaśka. Nawet jakby też poranił sobie łapy, to jutro rano nie miałby po tym nawet śladu...

Ciskając za plecy kawałek spróchniałej belki, odwróciłem się i kątem oka zarejestrowałem jakiś ruch od strony pola.

Zamarłem.

Oni zawsze się poruszali w ten sposób. Mechaniczne, jakby zaprogramowane, niepoddające się modyfikacji ruchy, stanowiły Ich znak rozpoznawczy. Jedynie Dobrowolski bardziej płynął, niż szedł, ale być może było to wrażenie, spowodowane tym, że habit przykrywał jego nogi.

Młody, niewysoki mężczyzna przybliżył się z wolna. Widziałem go już wcześniej wiele razy, ale nigdy tak z bliska. Dzieliło nas najwyżej pięć metrów. Pozbawione źrenic oczy już nie robiły na mnie wrażenia.

Ostentacyjnie wyjąłem różaniec spod kurtki, przekręciłem w ten sposób, by był dobrze widoczny dla intruza. Ten oczywiście natychmiast stanął jak wryty.

- Nuda - mruknąłem i jak gdyby nigdy nic wróciłem do przerwanych poszukiwań.

Minęło kilkadziesiąt minut. Pot zalewał mi oczy, kręgosłup bolał z każdą chwilą bardziej, a zmęczone ramiona odmawiały posłuszeństwa. Zacząłem się obawiać, że jednak Trześniowski zmienił skrytkę i nigdy nie uda mi się odszukać broni, ale nie przerywałem pracy.

Popatrzyłem na nieruchomą sylwetkę.

- Co się, kurwa, gapisz? Pomógłbyś znaleźć ten pieprzony karabin, zamiast tak stać bez sensu.

Wyprostowałem się z trudem i omiotłem wzrokiem zawalisko, zastanawiając się, gdzie będziemy szukać, gdy następnym razem zjawimy się tu z Jaśkiem.

- Powie mi pan, co się z nią stało?



Byłem zaskoczony, że się do mnie odezwał. Zwykle obserwowali nas bez słowa, więc chrapliwy głos wywołał szybsze bicie serca i gęsią skórę na całym ciele. Odwróciłem się powoli i stanąłem naprzeciw niego, uważnie przyglądając się jego twarzy.

Brakowało nam tylko kapeluszy i rewolwerów.

Kogoś mi przypominał. Wpatrzony we mnie tępo białe oczy sprawiały, że przez dłuższy czas nie potrafiłem uświadomić sobie, do kogo jest podobny. Gorączkowo przywoływałem w pamięci znane twarze, wyszukując nawet te dawno już zapomniane. Olśnienie przyszło nagle.

- Pytasz o córkę Trześniowskiego, prawda?

Skinął głową. Chwilę wcześniej przypominałem sobie opisany w pierwszym brulionie spacer Jaśka i Rafała do kościoła, gdy ten pierwszy opowiadał o młodym mężczyźnie, który powiesił się jeszcze w pięćdziesiątym drugim. Grela wspomniał wtedy o tym, że był bardzo podobny do Gielmudy i rzeczywiście, nie mylił się. Mimo że poznałem Rafała, gdy wyglądał na przyprószonego siwizną czterdziestolatka, to podobieństwo i tak było uderzające; ten sam nos, podobne usta, nawet kolor włosów. Oczy być może też mieli podobne, ale tego już nie mogłem być pewien.

- To ty miałaś się z nią ożenić? - odezwałem się znów. - Czekaj, czekaj... Masz na nazwisko Książ, a na imię...

- Andrzej.

- A, faktycznie, Andrzej.

Sytuacja była co najmniej dziwna. Nigdy bym nie przypuszczał, że będę w ten sposób rozmawiał z którymś z Nich, a teraz wyglądało na to, że ten chłopaczyna przyszedł nie po to, by spróbować zrobić mi krzywdę, ale po to, by najzwyczajniej w świecie zapytać o dalsze losy swojej byłej narzeczonej. Trzeba było to wykorzystać.

- Chodziłeś tu, do Trześniowskich, prawda? - zapytałem. - Ojciec Helenki miał karabin. Trzymał go tutaj - wskazałem miejsce, które przed chwilą przeszukałem - ale chyba zmienił kryjówkę. Jak pomożesz mi znaleźć broń, to powiem ci, co stało się z Helenką.

Wahał się tylko przez parę sekund, a następnie ruszył w moją stronę. Po kilku krokach spojrzął z obawą na różaniec i ominął mnie szerokim lukiem. Odwróciłem się, patrząc w ślad za nim. Doszedł do ruin domu Trześniowskich, pochylił się i zaczął, podobnie jak ja wcześniej, odrzucać za siebie fragmenty budynku.

Kawałki ścian i belki, których mnie nawet nie udałoby się poruszyć, wlatywały w powietrze, lądując kilka, a nawet kilkanaście metrów za Kniaziem. Nie potrzebował nawet brać ich w dwie ręce; chwycił raz prawą, raz lewą i bez wysiłku, z prędkością buldożera, parł do przodu. Usiadłem obok tego, co pozostało po stodole, i przyglądałem się jego pracy. Gdyby nie różaniec, mógłby ze mnie zrobić mokrą plamę, zanim zdążyłbym się przeżegnać.

Nagle kawałki domu przestały latać w powietrzu, a Książ pochylił się i wyjął spod fragmentu dachu podłużny, zawinięty w materiał przedmiot. Zaraz potem z tego samego miejsca wydobył niewielki woreczek. Wyglądało na to, że poszukiwania zakończyły się sukcesem.

Położył znalezisko na ziemi, kilka metrów ode mnie i sam stanął w bezpiecznej odległości, łypiąc na mnie wyczekująco.

- Ona nie żyje - powiedziałem, nie bawiąc się w zbędne wstępy.  
- Umarła niedawno.

Widać było, że ta wiadomość go poruszyła. Opuścił głowę bez słowa. Miałem wrażenie, że płacze.

- Kiedy wrócili, kiedy udało im się stąd uciec, zaczęła się bardzo szybko starzeć. Zmarła jako starowinka. Nie cierpiała.

Myślałem, że będzie chciał wiedzieć coś więcej, ale on tylko odwrócił się i ruszył w stronę widocznej w oddali ściany lasu.

- Andrzej! - krzyknąłem, gdy wychodził już z podwórza.

Zatrzymał się.

- Andrzej, spójrz na mnie - poprosiłem, lecz on wciąż był do mnie odwrócony plecami.

- Powiedz mi - ciągnąłem - czy naprawdę musiałeś to zrobić? Czy on aż tak bardzo wpłynął na ciebie, że nie potrafiłeś się oprzeć? Wiem, że długo walczyłeś, mogło ci się udać...

Wreszcie się odwrócił. Nawet gdyby płakał, z tej odległości nie udałoby mi się dostrzec łez.

- To nie przez niego - rzekł. - On nigdy by mnie do tego nie namówił.

- Jak to? Przecież...

- Nikt nie wie, że łąziła za mną ta mała Anielka... Chyba się we mnie podkochiwała, przynajmniej tak w kółko mówiła, gdy żeśmy byli sami. Nie chciała, żebym ożenił się z Helenką.

- Nie powiesz mi chyba, że to właśnie z tego powodu postanowiłeś ze sobą skończyć?

Znów wprawił ciało w ten dziwaczny, transowy krok i znalazł się niedaleko mnie, wciąż jednak zachowując dystans.

- Wie pan, co ta mała kiedyś wymyśliła?

- Niby skąd mam wiedzieć, ale cokolwiek by to było...

- Spotkała mnie kiedyś na drodze, niedaleko domu... Wzięła za rękę i poprosiła, żebym się schylił, bo chce mi coś szepnąć na ucho. Zrobiłem to i usłyszałem: „Jak będziesz dalej do niej chodził, to powiem wszystkim, a najsampierw jej, że kiedy żeśmy byli sami, to zdjęłeś byłeś mi majtki i tam, gdzie robię siusiu, mnie byłeś dotykałeś. I że kazałeś byłeś siebie też dotykać, też im powiem, jak będziesz dalej do niej chodził, zobaczysz...” - gardłowy, metaliczny głos Kniazia zadrżał wyraźnie i zamarł w krtani.

Po chwili usłyszałem:

- Nie poradziłem sobie z tym wszystkim. Raz, po pijaku, pomyślałem, że jak to zrobię, to będę miał spokój, że Helenka sobie kogoś...

- Czy to prawda? - przerwałem mu.

- Co „czy prawda” ?

Nie odpowiedziałem, tylko przyglądałem mu się uważnie. Gdy zrozumiał, mleczone ślepia zapłonęły złością.

- Gdyby nie ten różaniec, co go masz na szyi, to tylko za to, że tak żeś pomyślał, skręciłbym ci kark - wycodził.

Przyglądał mi się przez jakiś czas wyzywająco, po czym spuścił głowę.

- Gdzież ja bym... jej... coś takiego... - wyszeptał po chwili.

- Takiemu maleństwu...  
- Myślisz, że ktoś by jej uwierzył?  
- Uwierzyłyby. Wszyscy by uwierzyli - mówił, znów spoglądając mi w oczy. - Chyba w pięćdziesiątym roku, tu niedaleko, koło Zwierzyńca, zdarzyło się takie nieszczęście. Wystarczyły słowa małej dziewczynki, które rozeszły się po wsi, a wyklętego z ambony chłopca zaraz po mszy inni cepami w jego własnej stodole ubili. Anielka musiała o tym słyszeć, ludzie u nas jeszcze przez wiele miesięcy wieczorami o tym gadali. Gdybym wtedy nie wypił, może byśmy wyjechali, może Helenka by uwierzyła mi, a nie jej, jakbym wcześniej powiedział... No, ale stało się, jak się stało, i nie ma rady już na ten mój los. Dobrze, że chociaż jej nic takiego się nie przytrafiło...

Odwrócił się i patrzyłem, jak wychodzi z podwórza, a potem przemierza łąkę. Przyglądałem się malejącej sylwetce i zastanawiałem się, co o tym wszystkim myśleć. Najdziwniejsze było to, że zamiast się go bać, zacząłem mu najzwyczajniej w świecie współczuć.

Gdy Książ zniknął między drzewami, podszedłem do przedmiotów, które wydobył ze zrujnowanego domu.

Karabin był zawinięty w natłuszczoną szmatę. Dzięki niej broń, pomimo czasu, który szaleńczo przyspieszył rok temu, wyglądała na dobrze zachowaną i sprawną. Odciągnąłem zamek, który szczęknął zdrowym dźwiękiem. W drugim zawiniątku było kilkadziesiąt naboń.

„Dobrze, że aż tyle” - pomyślałem. - „Mogą się niedługo bardzo przydać...”

## 2.

Zmieniłem wcześniejszy plan i zamiast od razu do kościoła, poszedłem raz jeszcze do domu Grelów. W trakcie rozmowy z Kniaziem zaświtała mi w głowie pewna myśl i zamierzałem przetrwać ją w samotności. Usiadłem przy stole i zapatrzyłem się w ponury, spowity lekką mgłą krajobraz za oknem.

Jedno było pewne - moja sytuacja, choć niewątpliwie nie do pozazdroszczenia, była w sumie jeszcze całkiem znośna. W każdej chwili mogłem prysnąć z tego miejsca na kilka sposobów. Przed chwilą zyskałem nowy, może nie najwygodniejszy, ale za to całkiem pewny sposób. Wprawdzie strzelenie sobie w łeb z długiego karabinu wymaga nieco zdolności ekwilibry- stycznych, ale przynajmniej gwarantuje dość dużą skuteczność. Zamierzałem skorzystać z dobrodziejstwa lufy włożonej w usta, co wydawało mi się lepszym i przyjemniejszym rozwiązaniem niż pętla zarzucona na szyję, która czasami może zadziałać dopiero po kilku minutach.

Spojrzałem pożądliwie na leżący przede mną podłużny przedmiot zawinięty w tłustą szmatę i przez moment walczyłem sam z sobą. W końcu jednak uznałem, że skoro udało mi się wytrzymać tyle czasu, to może jakoś zniosę jeszcze tych kilka dni. Wciąż tłukła mi się po głowie myśl, że może w ten sposób pomogę Rafałowi i jego córce, choć na pewno i tak nigdy nie dowiem się, czy faktycznie moje starania dały cokolwiek.

Ilu z Nich było w położeniu podobnym do Kniazia? Może nikt, ale sama myśl, że choćby tylko ten młody mężczyzna pod wpływem chwili targnął się na własne życie i wpakował się w takie bagno, była trudna do zniesienia. Ta mała z pewnością nie miała pojęcia, jaką krzywdę mu wyrządza i jak bardzo jej bzdurne słowa okażą się brzemiennie w skutki. Zastanawiałem się, czy mogę zrobić cokolwiek, by pomóc również jej, by nie musiała się w nieskończoność błąkać po lasach „mojego świata” gdzieś w okolicach Guciowa. Nie wymyśliłem nic sensownego, za to wiedziałem, że mogę i chcę pomóc Andrzejowi.

Postanowiłem, że przy najbliższej okazji zaproponuję mu mały, niewinny układ.

Oczywiście wyobraźni widziałem, jak mówię do niego:

- Cześć, Andrzej. Mam dla ciebie małą propozycję. Przystawię ci teraz karabin do czaszki i pociągnę za spust, O.K.?

- Ale jak to? - zapytał on. - Przecież to na nic. I tak się przecież jutro obudzę na Czarnym Wygonie...

- I tu się mylisz, kolego. W pakiecie promocyjnym zaciągniemy z

Jaśkiem twojego trupa do kościelnego przedsionka i będziesz miał kłopot z głową. Nie tylko dziś, ale też jutro, pojutrze i na wieki. No i jak, wchodzisz w to?

Nie wiedzieć czemu byłem więcej niż pewien, że przystanie na moją ofertę z ochotą. Wziąłem w ręce karabin.

- No, mój mały - powiedziałem. - Przeleżałeś trochę w samotności, ale za to teraz wielkie czyny przed tobą.

Przynajmniej dwukrotnie będziesz miał okazję wspomnieć stare, dobre czasy...

\*

W kościelnej zakrystii panowało przyjemne ciepło.

Od mojego wyjścia właściwie nic się nie zmieniło. Jasiek z ojcem siedzieli bez słowa przy stole, Albin spał na swoim łóżku, a Katarzyna w dalszym ciągu kręciła się przy kuchni.

Wolałbym mieć całe pomieszczenie tylko dla siebie. Byłoby mi łatwiej skupić się nad tym, co zamierzałem napisać w brulionie, ale na taki luksus samotności nie było szans. Mogłem wprawdzie pisać w domu Grelów, ale brakowało w nim świec i było na tyle chłodno, że ręka natychmiast by mi skostniała. Poza tym miałem pewność, że co chwila rozpraszałaby mnie jakaś postać łypiąca zza okna obrzydliwymi białkami. Jeszcze zanim wyszedłem, udało mi się zobaczyć dwie sylwetki zmierzające do wsi od strony lasu, więc takie nędznej jakości towarzystwo było gwarantowane. Zapewne Książ doniósł im, że kręcę się po wsi.

Nikt nawet nie zapytał o dziwną rzecz, którą przyniosłem ze sobą. Wsunąłem karabin i woreczek z nabojami pod swoje łóżko usytuowane w samym kącie pomieszczenia. Poprosiłem Ciepłakową o kubek gorącej herbaty, zdjąłem buty i usiadłem po turecku na swoim pościeliu, opatulając nogi w gruby koc.

Na razie przez okno padało wystarczająco dużo światła, więc nie musiałem zapalać świec. Katarzyna przyniosła herbatę i postawiła ją w zasięgu mojej ręki na sfatygowanym taborecie.

- Dziękuję - rzekłem.

- Może byś co zjadł? - zapytała. - Od rana nic żeś w ustach nie miał...

- Nie, dziękuję. Herbata na razie wystarczy.

Skinęła głową i wróciła do swoich zajęć.

Sprawdziłem, czy ołówek jest wystarczająco zastrugany i otworzyłem zeszyt. Zanim postawiłem pierwszą literę, rzuciłem okiem w przeciwny kąt zakrystii.

Józek Kowalik siedział nieruchomo, swoim zwyczajem przyglądając mi się uważnie, gdy nie patrzyłem w jego stronę. Przez chwilę udało mi się napotkać jego wzrok, po czym znów przymknął oczy. Widać tylko oddzielając się powiekami od świata czuł się bezpiecznie.

Nie obchodziło mnie, co dzieje się w jego rozczochranej makówce.

Musiałem się skupić na znacznie ważniejszych sprawach.

„Czasu jest coraz mniej” - pomyślałem i zabrałem się do pisania.

## Starzyzna

### X

Przeprowadzka rozpoczęła się o świcie.

Na pierwszy ogień poszły koce, pierzyny, poduszki i sienniki. U Grelów było ich zbyt mało, więc braki trzeba było uzupełnić w domach Cieplakowej i Albina. Szybko okazało się, że zmiana miejsca zamieszkania zajmie nam więcej czasu, niż początkowo sądziliśmy. Załadunek niewielkiego wózka, przejście do kościoła, wniesienie rzeczy do środka i powrót - wszystko to za każdym razem trwało około dwóch godzin.

Sprawę utrudniał fakt, że przez cały czas musieliśmy trzymać się blisko siebie. Wprawdzie nikogo innego nie było w zasięgu wzroku, lecz i tak trzeba było zachować czujność. Łatwiej i szybciej byłoby, gdyby Cieplakowa została w kościele i od razu robiła porządek z tym, co już zdołaliśmy przytargać, ale - pomimo moich zapewnień, że będzie tam bezpieczna - nawet nie chciała o takim rozwiązaniu słyszeć. Zeschnięte ciała Komisarczuków, spoczywające w przedsionku świątyni, napawały ją przerażeniem i trudno było się temu dziwić. Nie zgodziła się zostać nawet z Albinem, więc paradowaliśmy całą piątką przez pół wsi.

Po czterech kursach zrobiliśmy przerwę na obiad i odpoczynek.

Zanim zaczęło się zmierzchać, udało nam się jeszcze trzykrotnie przejść tam i z powrotem, transportując niezbędne ubrania wraz z częścią podstawowego wyposażenia, takiego jak: krzesła, taborety, miednice, wiadra, kubki i świece. Za ostatnim razem wzięliśmy od Cieplakowej stół, trochę przywiezionego przeze mnie jedzenia do spożycia na zimno, wodę, a także parę kubków i talerzy. To, co zostało, a podejrzewaliśmy, że może nam się też przydać, musiało poczekać do następnego dnia.



Garnki wraz z jedzeniem do przygotowania na ciepło na razie zostały u Grelów. Ustaliliśmy, że tymczasowo będziemy gotować raz na jakiś czas w ich domu, dopóki nie uda się zorganizować czegoś w nowym miejscu.

Na razie wszystkie przeniesione rzeczy składaliśmy w kościele, przy wejściu do zakrystii - to właśnie ona miała stać się dla nas schronieniem na kolejne długie miesiące.

Było jasne, że trzeba będzie w niej sklecić jakieś źródło ciepła. Bez niego dalibyśmy radę przemieszkać do jesieni, lecz na zimę musielibyśmy znów wrócić do któregoś z domów, a nikt z nas przecież nie miał na to ochoty. Na szczęście Jasiak z ojcem stwierdzili, że są w stanie wymurować kuchnię kafłową, ale ponieważ miało to zająć przynajmniej kilka dni, trzeba było tymczasowo urządzić się w nawie głównej.

Już w blasku świateł segregowaliśmy przyniesione graty. Posiania spoczęły obok siebie, pod jedną ścianą. Pod przeciwną poskładaliśmy resztę rzeczy, natomiast otoczony wianuszkami krzesła i taboretów stół umiejscowiliśmy niedaleko konfesjonatu, tuż pod oknem, by w czasie dnia było nam w miarę jasno.

Cały kościół był wychłodzony po zimie, ale niska temperatura nie była nam straszna, tym bardziej że właśnie miały się zacząć cieplejsze dni. Wystarczyło rozejrzeć się wokół, by dojść do wniosku, że co innego będzie doskwierać nam o wiele bardziej.

Zapaliliśmy kilkanaście świec, by w miarę możliwości rozjaśnić przestrzeń, ale efekt był chyba jeszcze gorszy, niż gdybyśmy mieli siedzieć po ciemku. Miałem wrażenie, że niestabilne, lekko drgające płomienie odkrywają przed naszymi oczyma tylko część tajemnic, maskując umiejętnie to, czego zobaczyć nie było wolno. Ławki rzucały na podłogę długie, ruchome, pełzające gdzieś w stronę ciemniejszych zakamarków cienie. Postacie z obrazów patrzyły na nas wzrokiem, w którym łatwo było wyczytać święte oburzenie, że śmiemy naruszać ich spokój, a rzeźbione w drewnie twarze błogosławionych zdawały się żyć, wykrzywiały się ze złością w rytm podrygującego, żółtawego światła.

Co chwila któreś z nas spoglądało w kierunku głównego wejścia

w obawie, że leżące jeszcze przed chwilą w przedsionku ciała Komisarczuków staną w drzwiach i zechcą dołączyć do naszej kompanii. Każdy szmer, każdy krok czy półgłosem wypowiedziane słowo niosło się niestosownie głośnym, niemal obrazoburczym echem, wracając do naszych uszu już nie jako dźwięki, które my wywołaliśmy. Zdawało się, że to otaczające nas postacie i duchy dawnych parafian próbują nawiązać z nami rozmowę.

Siedzieliśmy przy stole, zanurzeni w gęstniejącej z każdą chwilą atmosferze. Było zbyt wcześnie na to, by położyć się i we śnie doczekać poranka. Trzeba było zrobić coś, co przerwałoby to napięte milczenie...

- Jutro zabierzecie się do budowy kuchni? - celowo powiedziałem to o wiele głośniej, niż było trzeba.

Pozostali drgnęli na dźwięk moich słów i spojrzeli zaskoczeni.

- Oszaleć przyjdzie, jak tak po cichu będziemy siedzieć - dodałem. - Lepiej więc zaplanujmy coś, żeby od razu z rana można było działać.

- Nie - odparł stanowczo Jasiek. - Zacniem od czego innego. Kuchnia nie zajac...

- A to niby od czego?

- Trumny jakie trza zbić, bo tak nie mogą tam leżeć.

- Brodatą głową wskazał w kierunku drzwi. - Zdałoby się ich pochować na cmentarzu?

- A jak po opuszczeniu kościoła znów zaczną się kręcić po okolicy? - zapytałem. - Skąd możesz mieć pewność, że tak się nie stanie?

Zastanowił się przez moment i odparł:

- Masz rację. Lepiej nie kusić losu. Ale jakieś trumny trza im przygotować.

- Skąd weźmiesz na to deski? - zapytał stary. - Nie mamy chyba takich, co mogłyby się nadać...

- Wiecie, co można by zrobić? - włączył się do rozmowy Albin. - Mam w domu starą szafę... Może w niej by można było ich złożyć. Na wierzchu nabije się krzyż i będzie całkiem jak trumna...

- No to chyba mamy problem rozwiązany? - Popatrzyłem po

pozostałych, a ponieważ nikt nie zaprotestował, mówiłem dalej: - Z samego rana przywieziemy szafę. Da się ją jakoś na ten wózek załadować?

Socha skinął głową.

- Jakoś tak na boku jak się ją położy, to się chyba da.

- No i dobra. Trumna jest, pochowamy ich w niej razem. Co z kuchnią? Trzeba się nią prędko zająć.

- Z gliną nie będzie problemu - odparł stary Grela.

- Jest tu niedaleko takie miejsce, gdzie mogę jej nakopać do woli. Gorzej z samym piecem.

- Można rozebrać moją kuchnię i tu przenieść - powiedziała Cieplakowa. - Nieduża jest i chyba się nadała.

- Cegły mogę wziąć z komina Trześniowskich - Jasiek wyraźnie się ożywił. - Rozbierzem go i najlepsze się na pewno nadadzą. Wytnie się kawałek dachu w zakrystii i odprowadzenie zrobi. Co nie, tato?

- Tylko potem trzeba będzie porządnie uszczelnić, żeby do środka się nie lało...

Zaczęliśmy rozprawiać o planach przystosowania pomieszczenia do celów mieszkalnych i ponury nastrój przysł. Albin podrzucił pomysł, by w ścianie wyciąć otwór i wstawić większe okno; dwa małe, które dawały nieco światła, były zdecydowanie niewystarczające, jeśli chcieliśmy tam w zakrystii w miarę normalnie funkcjonować. Zaproponował też, że poświęci na to jedno z okien własnego domu.

Zaplanowaliśmy też, że w miarę wolnego czasu będziemy uszczelniać ściany od zewnątrz, aby w zimie nam chłód zbytnio nie dokuczał. Mieliśmy do tego celu użyć mchu, którego w okolicznych lasach było pod dostatkiem. Plany były szeroko zakrojone, lecz mnie zaniepokoiła jedna myśl:

- Słuchajcie, czy przypadkiem ta cała robota nie pójdzie na marne? - spytałem. - Czy rano następnego dnia po robocie wszystko nie będzie tak, jak dawniej?

- Nie - Jasiek pokręcił głową. - Nie raz i nie dwa żeśmy przy domu robili i wszystko zostawało tak, jak się należy.

Dopiero wtedy przypomniałem sobie, że powrót do

poprzedniego stanu nie dotyczy tego, co wiąże się bezpośrednio z egzystencją mieszkańców Starzyzny. Pozostawało mieć nadzieję, że i w przypadku realizacji naszych zamierzeń będzie podobnie.

\*

Czas mijał i przyszłość jawiła się w dość jasnych barwach, dopóki nie trzeba było się położyć spać.

Problem polegał na tym, że nikt z nas wcześniej nie pomyślał o tak prozaicznej rzeczy, jak załatwianie potrzeb fizjologicznych. Było jasne, że tę kwestię trzeba będzie jakoś rozwiązać.

- Nie ma wyjścia - powiedziałem. - Każdy z nas będzie brał ze sobą różaniec. Z nim będziemy bezpieczni nawet za zewnątrz.

- Ja nie wyjdę! - zaprotestowała Cieplakowa prawie ze łzami w oczach. - Boże, jak pomyślę, że miałabym teraz sama... tam... Przecież Oni tylko na to czekają. Wojciechu, pójdzicie ze mną?

Zapadła cisza, podobna do tej, którą znaleźliśmy sprzed paru godzin. Jakby na potwierdzenie słów kobiety, z zewnątrz dobiegły przyciszone głosy. Usłyszeliśmy je po raz pierwszy tego wieczoru.

Wstałem, biorąc ze stołu różaniec.

- Idę pierwszy. - Głos mi zadrzał, ale nie na tyle, by w wypowiedzianych słowach zabrzmiał paniczny strach, który stalowym uściskiem właśnie złapał mnie za gardło. - Zobaczycie, że nie ma się czego bać.

- Czekaj - odezwał się stary. - Mamy przecież wiadro i możemy załatwić sprawę w inny sposób...

- Ale tato! - Jasiak wpatrywał się w niego ze zdziwieniem. - Tu? W kościele?

- A co, myślisz, że to taki wielki grzech? Chyba mamy na sumieniu gorsze... - Wstał i podszedł do sterty piętrzącej się pod przeciwległą ścianą, po czym wrócił z wiadrem i podał je Cieplakowej.

- Ty pierwsza. Idź do zakrystii i załatw swoją potrzebę. My potem, a rano się wyniesie.

- No, szybciej - ponaglił, gdy kobieta wahała się dłuższą chwilę. -

Chyba że chcesz na zewnątrz...

- Nie. Dobrze, idę już - powiedziała cicho i zaraz potem zniknęła za drzwiami.

Gdy wróciła, w jej ślady poszli pozostali. Tylko ja stałem niezdecydowany, wciąż trzymając w dłoni różaniec. Z jednej strony kusilo, by zrobić tak, jak inni, jednak z drugiej - wiedziałem, że jeśli teraz się złamię, to być może już zawsze będziemy musieli załatwiać tę sprawę w podobny sposób.

Patrzyli na mnie wyczekująco. Nie było na co czekać. Wziąłem wiadro z zakrystii i zdecydowanym krokiem ruszyłem do wyjścia.

- Witek! - Jasiek był wyraźnie zaniepokojony. - Co ty robisz?

- Powiedziałem, że nie ma się czego bać - odparłem, nawet się nie odwracając. - Zaraz wrócę i zobaczycie, że miałem rację.

Po raz ostatni zawahałem się w kościelnym przedsionku, jak usłyszałem głosy tuż za drzwiami. Chwilę potem byłem już na zewnątrz.

Mogłem wylać nieczystości tuż obok schodów, ale chciałem, żeby Oni nie dostrzegli mojego strachu. Nogi uginały się pod mną, ale parłem naprzód, jakby nie obchodziło mnie, co dzieje się wokół.

Wyszedłem za bramę i wylałem zawartość wiadra na drogę, a następnie, zaciskając zęby, żeby nie było słycać, jak szcękają ze strachu, załatwiłem się, stojąc na środku gościńca.

Oczy przyzwyczaiły się do ciemności na tyle, że wracając już z kilkunastu metrów dostrzegłem cztery nieruchome sylwetki zagradzające mi drogę do świątyni. Zostawiłem drzwi otwarte na oścież, więc wyraźnie odcinały się na jaśniejszym tle. Trzech mężczyzn i jedna kobieta. Jeśli dobrze widziałem, nie było pośród nich postaci w habicie.

„Szkoda” - pomyślałem i przyspieszyłem kroku.

Gdy byli już parę kroków przede mną, krzyknąłem:

- Spierdalać mi z drogi, ale już! - Miałem nadzieję, że słycać mnie dobrze również we wnętrzu kościoła. - Won, skurwiele!

Jeden z mężczyzn rzucił się na mnie, ale ułamek sekundy po tym, gdy jego ręka zbliżyła się do mojego gardła, odskoczył z

potępieńczym skowytym. Pozostali natychmiast się rozstąpili i pozwolili mi wejść na schody.

W drzwiach zobaczyłem Jaśka i Albina.

- Dobrze, że dokładnie wszystko widzieliście - powiedziałem, zamykając za sobą drzwi. - Przynajmniej was nie będę już musiał przekonywać.

Zanim jeszcze położyliśmy się na swoich pościeliach, zainteresowałem się wielkim zegarem, który stał obok sterty przyniesionych przez nas tego dnia przedmiotów. Stary, przedwojenny, trochę zakurzony, ale - jak mi się zdawało - wciąż sprawny.

Otworzyłem przeszklone drzwiczki i pociągnąłem w dół ciężarki na metalowych łańcuszkach. Mechanizm działał bez zarzutu, więc wprawiłem w ruch ogromne, mosiężne wahadło i według mojego „Timexa” ustawiłem wskazówki na aktualną godzinę.

W kościele rozległo się miarowe „tik-tak, tik-tak, tik-tak...” Przypomniałem sobie początek pierwszego brulionu, zapisanego przez Rafała. Trześniowski miał w domu podobny zegar. Teraz pewnie cały ten skomplikowany mechanizm leżał gdzieś pod zawalonymi krokwiemi. Na szczęście był jeszcze drugi, kościelny.

Akurat zbliżała się pełna godzina, więc z ciekawością czekałem na uderzenia, wybijające jej nadejście. Coś zazgrzytało we wnętrzościach maszynerii i po kościele potoczył się głęboki dźwięk, oznajmiający nadejście godziny dwudziestej drugiej.

- Będzie nas budził w nocy - Jasiek najwyraźniej nie był entuzjastą moich eksperymentów. - Lepiej go zatrzymaj.

Pogmerałem trochę przy młotkach, wyginając je odpowiednio, i już miałem gwarancję, że przez całą noc będziemy słyszeć tylko tykanie.

- Już nie będzie bił - powiedziałem. - A przy tykaniu lepiej się będzie spało.

Niedługo potem pogasiliśmy świece, pozostawiając jedną, stojącą na podłodze. Nakryliśmy się po uszy wszystkim, co było pod ręką, by nie zmarznąć, i Albin zdmuchnął ostatni płomyk.

- Wiecie co? - odezwałem się. - Proponuję zmianę naszych

planów.

- To znaczy? - spytał Jasiek.

- Jak już złożymy w trumnie... To znaczy w trumiennej szafie szczątki Komisarczuków, myślę, że zanim zabierzemy się za piec, trzeba pomyśleć o czymś innym.

Nikt się nie odezwał, więc dodałem:

- Potrzebny nam wychodek. Postawimy go tuż przy schodach, żeby w nocy nie było już takich problemów, jak dzisiaj...

- Możem przewieźć mój - usłyszałem w ciemności głos Albina. - Mnie i tak nie będzie już potrzebny. Wykopiem dół i będzie.

- Katarzyno... Mogę ci mówić po imieniu? - zapytałem.

- Tak - odparła. - Co chciałeś?

- Wybierzesz się tam nawet w nocy? Oczywiście z różańcem.

- Chyba nie muszę się już bać, prawda?

- Prawda. Dobrej nocy wszystkim.

Nikt nie odpowiedział.

Przez długi czas leżałem na wznak z dłońmi splecionymi za głową. Wsłuchiwałem się w miarowe oddechy śpiących i niosące się po kościele miarowe tykanie zegara.

Mimo wszystko, mimo to, że praktycznie nie było już dla mnie żadnej nadziei, wciąż się łudziłem, że z każdym „tik” i z każdym „tak” pozostaje mniej czasu do momentu, gdy się stąd wydostanę.

Do chwili, w której raz na zawsze opuszczę „Słoneczną Dolinę”.

Marząc o tym zapadłem w głęboki sen.

Otworzyłem oczy. Wokół panowała ciemność, ale wydawało mi się, że do moich uszu dotarł przed chwilą jakiś dźwięk. Siennik nie był zbyt wygodny, więc poprawiłem się i leżałem, zastanawiając się, czy coś mi się przyśniło, czy też może rzeczywiście...

Tak, teraz byłem już pewien, że to nie przywidzenie.

- Skąd tu się wziął pies? - powiedziałem półgłosem. - Ktoś z was też to słyszał?

Cisza.

Ostrożnie wstałem. Po omacku skierowałem się w stronę

wyjścia, starając się nie potrącić żadnej z ławek. Udało się. Sprawdziłem, czy wciąż mam na szyi różaniec. Dotykając obłych, drewnianych paciorków, pchnąłem drzwi.

Oślepił mnie niespodziewany blask, przed którym natychmiast musiałem osłonić oczy. Pomimo to feeria ostrych barw zdążyła wedrzeć się pod powieki. Od nagłej jasności zakręciło mi się w głowie tak bardzo, że omal nie upadłem. Zdołałem się oprzeć o framugę i stałem tak przez jakiś czas, wciąż osłaniając oczy dłonią.

Wreszcie odważyłem się spojrzeć raz jeszcze, a potem zszedłem po schodach i stanąłem przed kościołem.

Po drodze przejeżdżał akurat wóz, ciągnięty przez dwa konie. Na koźle siedziała para ludzi w średnim wieku, którzy przeżegnali się, mijając bramę prowadzącą do świątyni. Obok wozu biegł poszczekujący pies; to właśnie on mnie obudził.

Widok, który roztaczał się przede mną, był jakże odmienny od tego, który znałem. Wieś wręcz tonęła w zieleni. Schłodzone domy otoczone kwitnącymi sadami przycupnęły obok gościńca. Szedłem drogą, patrząc na zajętych swoimi pracami ludzi. Na błękitnym niebie nie było ani jednej chmury, a słońce ogrzewało Starzyznę jasnym, ciepłym światłem. Od pastwiska, które miałem po prawej, słychać było beztroski świergot jakiegoś ptaka, unoszącego się nad niewielkim stadem pasących się krów. W powietrzu czuć było odurzający zapach kwiatów jabłoni i rosnącego niemal przy każdym gospodarstwie liliowego bzu. Z rozkoszą wziąłem kilka głębokich oddechów.

Z naprzeciwnika zbliżał się młody, znajomy mi mężczyzna, niosący na ramieniu kosę. Na mój widok uśmiechnął się i uklonił, uchyłając kapelusza.

- Dzień dobry panu - rzeki z oddali Kniaż. - Piękny dzień, prawda?

- Rzeczywiście - odparłem. - Nadspodziewanie... Zaraz potem uścisnęliśmy sobie dłonie.

- Pan to u nas tym razem na długo?

- Nie, chyba nie. Wkrótce muszę wracać...

- Szkoda. Miałem nadzieję, że będzie pan na moim i Helenki



weselu... Ona też bardzo by tego chciała.

Staliśmy przy domu Komisarczuków. Na podwórzu zobaczyłem Anielkę ze szmacianą lalką pod pachą, która szła z ojcem w stronę stajni, coś do niego szczebiocząc. Pożegnałem się z Andrzejem i ruszyłem dalej drogą.

Tak szczęśliwy byłem ostatnio chyba jeszcze wtedy, gdy bawiłem się ze swoim synem. Gdyby tylko mógł tu ze mną być...

- Jestem, tato.

Szedł obok i w tej chwili chwycił moją dłoń. Nie potrafiłem nic powiedzieć, tylko ze łzami w oczach patrzyłem na Krzysia. Uśmiechając się beztrudnie, powiedział:

- Uważaj na sny, tato. Uważaj na sny i nie daj się im oszukać. Pamiętaj...

W tej samej chwili niewidzialna siła rozwarła moje palce i popchnęła w stronę kościoła. Chciałem się jej oprzeć, lecz byłem zbyt słaby. Coś oddalało mnie od syna, który wciąż stał na środku drogi. Powietrze stało się gęste i wilgotne tak bardzo, że zacząłem się dusić. Domy wokół zaczęły się walić z trzaskiem, otoczenie spowiła brunatna mgła. Nie widziałem już Krzysia.

Ostatnie, co pamiętam, to otwierające się przede mną drzwi kościoła. Potem znów wchłonęła mnie nieprzenikniona ciemność.

- Darłżeś się w nocy tak, jakby cię ze skóry obdzierali - oznajmił Jasiak, gdy zobaczył, że już nie śpię. - Nie szło się cię dobudzić. Koszmary jakie żeś pewno miał?

- Nie pamiętam - skłaniałem. - Może i tak.

- W sumie to i nie dziwota. Mnie też jakieś durnoty się śniły. Wstawaj, bo do roboty trza się zabierać.

\*

Przez cały dzień nie potrafiłem uwolnić się od sennej wizji. Jej zakończenie było nieprzyjemne, lecz ja i tak wciąż miałem przed oczyma kolorową, rozświetloną słonecznym blaskiem wieś i jej mieszkańców, jakże innych od odrażających indywiduów,

kręcących się w okolicy. Innych też od smętnych, towarzyszących mi ludzi.

Wiedziałem już, że będę się bal kolejnych nocy. Nie tylko ze względu na ostrzeżenie, które przekazał mi mój syn i nie ze względu na budzące dreszcz na plecach zakończenie snu. Najgorszy był duszny poranek i docierająca do świadomości myśl, że być może już nigdy nie będzie mi dane ujrzeć błękitnego nieba.

Było mi żal wszystkich słonecznych dni, spędzonych przed ekranem komputera lub przed migającym idiotycznie telewizorem, targała mną wściekłość, że nie potrafiłem docenić tego, co mnie kiedyś otaczało, do szafu doprowadzała mnie myśl, w jak beznadziejnie głupi sposób przez lata zobojętniałem na otaczającą przyrodę. Wszystko to miałem przecież na wyciągnięcie ręki. Szkoda, że przyszło mi to docenić dopiero w tym śmierdzącym beznadzieją miejscu.

Pracowałem jak słabo naoliwiony, dotknięty artretyzmem robot. Było mi wszystko jedno, jakie zajęcie było akurat przed nami. Z jednakową obojętnością podchodziłem do kopania kloacznego dołu w pobliżu kościoła, wyprawy po glinę czy złożenia w Albinowej szafie pokurczonych szczątków tego, co było niegdyś ciałami Komisarczuków. Nie chciałem jeść, nie miałem ochoty nawet na łyk wody.

Kiedy sadowiliśmy sławojkę na nowym miejscu i gdy po raz kolejny zobaczyłem stojące w niedalekiej odległości sylwetki, wpatrujące się we mnie ślepymi oczyma, pomyślałem, że przez lata byłem do nich podobny. Niby żyjący, a jednak cuchnący padliną. Tyle że oni, w przeciwieństwie do mnie, pomimo braku źrenic, przynajmniej potrafili nie tylko patrzeć, ale też widzieć. I mieli jakiś cel. Po coś tu stali, wiedzieli, czego chcą. Marzyli o tym, by dobrać się nam do skóry.

Ja nie pamiętałem, bym przez ostatnie lata miał jakieś marzenia i cele warte poświęcenia im wszystkich sił. Teraz byłoby zupełnie inaczej.

Na pewno.

Tyle że teraz to już było chyba trochę za późno.

W dniu, w którym te wszystkie myśli kłębiły mi się w głowie, jeszcze mogłem się łudzić, że jest szansa. Mogłem mieć przynajmniej cień nadziei, że nie wszystko stracone.

Nieco ponad rok później okazało się, że były to tylko pozbawione podstaw mrzonki oddychającego trupa.

## XI

Przez kilka pierwszych miesięcy czuliśmy się w kościele nieswojo, ale ponieważ człowiek ponoć do wszystkiego jest w stanie się przyzwyczaić, to i nam też się ta sztuka udała.

Urządziliśmy się całkiem przytulnie.

Kuchnia kafłowa stanęła w zakrystii jeszcze w kwietniu. Dzięki temu, że niewiele padało, można było sprawnie rozebrać komin, pozostały po domu Trześniowskich, i przetransportować go pod dach świątyni. Później przyszła kolej na piec Cieplakowej. Faktycznie, był dość nieduży. Do naszych potrzeb pasował wręcz idealnie, a z przeniesieniem kafli wraz z płytą i szybrami nie było większego problemu. Gliny było pod dostatkiem, więc Jasiek z ojcem mogli się spokojnie wziąć do roboty. Cała operacja skończyłaby się trochę wcześniej, gdyby tuż przed planowanym wypuszczeniem komina na zewnątrz nie nadeszło kilka deszczowych dni.

Każde z nas marzyło, by jak najszybciej przestało padać. Oczywiście, nie chodziło o to, że było nam zimno, ponieważ po zimowych chłodach nie pozostały już nawet nocne przymrozki. O wiele bardziej doskwierał fakt, że wciąż musieliśmy gotować w domu Grelów, co było dość kłopotliwe.

Wreszcie nadszedł dzień inauguracji. Początkowo piec trochę dymił, ale gdy palący się jasnym i mocnym płomieniem ogień na dobre zagościł pod płytą, wiadomo było, że akcja została uwieńczona pełnym sukcesem. W zakrystii zapanowało mile ciepło, więc przenieśliśmy tam sienniki, stół i krzesła. Chyba dopiero wtedy pierwszy raz poczułem się w kościele jak u siebie. Patrząc na spokojne twarze innych, miałem wrażenie, że wszyscy

oni czują dokładnie to samo, co ja.

Od tamtej pory nie było już możliwości, byśmy choć jedną noc spędzili w głównej nawie. Następnego dnia z mozołem przenosiliśmy z domów łóżka, by wreszcie porzucić niewygodne sienniki. Później w zakrystii pojawił się kredens, garnki trochę naczyń oraz to, co zostało nam z prowiantu.

Nazajutrz wieczorem, zaraz przed kolacją, gdy duże, dające sporo światła okno zostało zamontowane, Katarzyna położyła na stole śnieżnobiały obrus. Przeprowadzkę można było uznać za zakończoną.

Mieliśmy nowy dom.

\*

Życie w kościele przypominało trochę funkcjonowanie w komunie. Mijały tygodnie, a my coraz bardziej się ze sobą zżywaliśmy. Oczywiście, dochodziło czasem do sprzeczek, czy nawet ostrzejszych kłótni, lecz wspólna praca za każdym razem łagodziła spory, powodując, że bardziej niż na wzajemnych niesnaskach, skupialiśmy się na zapewnieniu sobie jako takiej przyszłości.

Prowadziliśmy przyzwoicie funkcjonujące gospodarstwo. W nawie głównej w miarę potrzeb gromadziliśmy sprzęt rolniczy, by w razie potrzeby za każdym razem nie trzeba było chodzić do któregoś z domów. W czasie wolnym od prac polowych wybieraliśmy się do lasu po drewno na opał, które miało nam służyć jesienią i zimą.

Wreszcie doszło to tego, że nawa główna kościoła niewiele przypominała stan z momentu naszej przeprowadzki. Przestrzeń zagracona była tym, co potrzebne do uprawy ziemi, a po prawej stronie od wejścia piętrzył się coraz bardziej okazały stos porąbanych polan.

Miałem też swoje miejsce intymne - oddzieloną płachtą przestrzeń, w której mogłem się spokojnie umyć w miednicy przeznaczonej tylko do tego celu. Pozostali mieli o wiele łatwiej - żeby nie wiem jak umorusali się poprzedniego dnia, nazajutrz znów samoistnie wracali do poprzedniego stanu. Tylko czasami,

po bardziej intensywnych pracach czy w upalne dni i oni potrzebowali kąpiei, aby dało się jakoś wytrzymać w zakrystii przed zapadnięciem nocy.

Wodę czerpaliśmy ze studni znajdującej się przy plebanii. W maju trzeba było ją podratować, bo kołowrót i łańcuch były w opłakanym stanie. Grelowie zdecydowali się na najprostsze wyjście - po prostu zamienili te elementy na takie same, tylko przyniesione z ich gospodarstwa. Na początku z każdym wychylanym kubkiem zastanawiałem się, ile wraz z wodą wchłonałem pozostałości po leżących nieopodal ludziach - jeśli dobrze pamiętałem w „moim świecie” odległość grobów od studni powinna wynosić kilkaset metrów, by można było bezpiecznie się napić. Później, kiedy okazało się, że nic mi nie jest, ta kwestia do cna mi zobojętniała.

Żniwa były udane jak na nasze prymitywne sposoby upraw. Zebraliśmy kilkanaście worków ziemniaków i mniej więcej tyle samo pszenicy, która świetnie nadawała się do pieczonych na piecu podpłomyków. Obrodziły także cebula i czosnek, jesienią gałęzie jabłoni aż uginały się pod ciężarem dorodnych jabłek. Trzeba było podjąć decyzję o przechowywaniu owoców naszej pracy. Odrzuciliśmy pomysł Jaśka, który proponował utworzenie niewielkiego kopca ziemnego obok kościoła. Trzeba było pamiętać, że nie byliśmy we wsi sami i ktoś mógł spróbować nam odebrać zapasy, więc lepszym rozwiązaniem było oderwanie części kościelnej podłogi i wykopanie w gruncie malej piwniczki.

Do pozyskania oleju z siemienia lnianego trzeba było wykorzystywać te same żarna, które używane były też do mielenia pszenicy. Uzyskaną miazgę podgrzewaliśmy lekko przy piecu, a później wyciskaliśmy przez lniane płótno. Nie był to sposób zbyt wydajny, ale wystarczający, by mieć pewność, że i tego składnika pożywienia będziemy mieli pod dostatkiem.

Naszym podwórzem był cmentarz. Na ogrodzonej przestrzeni czuliśmy się bezpiecznie i nawet Oni rzadko kręcili się pomiędzy grobami. Rąbaliśmy na cmentarzu drewno, młóciliśmy zboże. Paradoksalnie - żywi opanowali miejsce, które od tysiącleci niezmiennie przynależne jest umarłym oraz ich błędzącym po

świecie duszom, które nie potrafią znaleźć drogi do nowego, prawdopodobnie lepszego świata.

Tak. W Starzyźnie wszystko stanęło na głowie.

Życie za pan brat ze zmarłymi dawało nam poczucie bezpieczeństwa. Byliśmy tuż obok nich. Któregoś razu przypomniałem sobie jeszcze jeden obowiązujący w „moim świecie” przepis odnośnie do lokalizacji cmentarzy, który mówił, że powinny być one tak sytuowane, aby wiatr najczęściej spotykany w danej miejscowości kierował powietrze od budynków mieszkalnych w stronę mogił. Mieliśmy cholerne szczęście, że nie było pośród nas jakiegoś nawiedzonego inspektora Sanepidu... Zwłaszcza że codziennie po kilka razy przechodziliśmy obok starej, niezbyt szczelnej szafy, zawierającej szczątki dwojga ludzi.

Po wykopkach głównym naszym zajęciem było ocieplanie zakrytych od zewnątrz. Kręciliśmy się po okolicznych lasach szukając mchu. Już udało nam się zgromadzić i ususzyć tak duży zapas prawdziwków, że mijaliśmy obojętnie okazy, za jakie w normalnych warunkach co bardziej napaleni grzybiarze mogliby się z pewnością pozabijać. Prócz Kowalików i Dudy nie mieliśmy żadnej konkurencji, więc bywało, że napotykaliliśmy nawet kilkadziesiąt borowików na przestrzeni kilkunastu metrów kwadratowych. Można je było ciąć kosą, ale to mech był wtedy najważniejszy.

Późną jesienią kościół wyglądał przedziwnie nie tylko w środku. Do solidnej, drewnianej bryły doczepione było coś, co wyglądało na dziwaczną narośl z dużym oknem pośrodku i dymiącym kominem, górującym nad tą częścią całego budynku. Konserwator zabytków nie byłby z pewnością zachwycony, lecz dla nas najważniejsze było, że udało się dobrze przygotować do nadejścia mrozów.

\*

Przez cały ten okres, poza bieżącymi sprawami, zajmowały mnie dwie rzeczy.

Pierwszą z nich były sny.

Miałem ich dużo i każdego z nich się obawiałem. Różne. Koszmarne, kolorowe, wyraźne, mgliste... Takie, które doskonale pamiętałem, i takie, które zacierały się natychmiast po przebudzeniu. Śniłem o Warszawie, Guciowie i Krasnobrodzie, a także o miejscach związanych z moim dzieciństwem. Nocą spotykałem starych, dobrych znajomych i ludzi, widzianych przeze mnie po raz pierwszy. Parę razy spuściłem w marzeniach sennych - tak, to w tym wypadku dobre określenie - niemożliwy łomot Sadoniowi. Kilka razy też sam porządnie oberwałem. W snach odwiedzałem kina, teatry i burdele. Bywałem w wykwintnych restauracjach pięciogwiazdkowych hoteli i w podupadłych spelunach, pełnych ledwo przytomnych, zapuszczonych pijaczków. Wpadałem pod samochód lub w ostatniej chwili przed nim uskakiwałem, latałem bez pomocy skrzydeł, chodziłem, jeździłem rowerem, prowadziłem samochód i strzelałem sobie w łeb. Senne wizje kończyły się rano i nic z nich ani dobrego, ani złego nie wynikało.

Śniłem o wszystkim i wszystkich.

Tylko nie o moim synu.

Wcześniej, jeszcze przed przeprowadzką, nocne majaki wiele mi dały. Czyżby tym razem spotkanie Krzysia w słonecznej Starzyźnie było tylko zwyczajnym snem, takim jak inne? Nie bardzo chciałem w to uwierzyć... Dlatego dużo myślałem o snach.

Myślałem też dużo o Adamie.

Codziennie, wychodząc na zewnątrz, pierwsze, co robiłem, to spoglądałem w niebo w nadziei, że zobaczę choćby najmniejszy skrawek słońca. Nasłuchiwałem śpiewu ptaków, wypatrywałem w powietrzu upierdliwych komarów, pszczoł, których zawsze się panicznie bałem, i niebezpiecznych szerszeni, które mogły mnie zabić. Wszystko to w nadziei, że jednak coś przeoczyłem, gdzieś się pomyliłem, i te informacje, które zawarte zostały w zapiskach przekazanych mojemu przyjacielowi, wystarczą, a może nawet... a może nawet pozwolą mi wrócić?

Za każdym razem było tak samo. Duszne, gęste powietrze, wypalające płuca od środka, zaciągnięte niebo, cholernicy ze ślepyimi gałami i ja, uwięziony na obrzeżach przeklętej wioski.

Nic się nie zmieniało - również to, że mimo wszystko, wbrew logice i posiadanej wiedzy jednak chciałem spróbować. Niczym nie ryzykowałem. Chyba że...

Życiem?

Dobre sobie.

## XII

Zbyt wiele minęło wieczorów przez ostatni rok, by moi współmieszkańcy nie poznali wszystkich szczegółów związanych z historią Gielmudy. Miałem wrażenie, że niektóre z nich opowiadałem po kilkakroć, ale i tak zawsze słuchany byłem z ogromnym zainteresowaniem. Jak łatwo się domyślić, pozostałych lokatorów kościoła najbardziej ciekawiło to, co działo się obok historii Rafała - samochody, samoloty, asfaltowe drogi, papież Polak, historia „Solidarności”... Wszyscy wiedzieli jednak, że nie będzie już im dane tego zobaczyć na własne oczy - ich powrót do „mojego świata” musiał się wiązać z przyspieszeniem upływu czasu i lychłą śmiercią.

Woleli normalnie zestarzeć się i umrzeć w swojej wiosce, przez co dlatego z całego serca mi kibicowali. Wierzyli w powodzenie mojego planu o wiele bardziej niż ja sam, ale nie chciałem rozwiewać tych nadziei. Jediną rzeczą, jaką przed nimi zataiłem, było to, że szanse są właściwie żadne.

Tak, „właściwie żadne”, a nie po prostu „żadne”.

Miałem rok na przetrwanie wszystkiego, co mogło dotyczyć mojego powrotu. W przerwach pomiędzy myśleniem o snach a zastanawianiem się, czy Adam wydał już książkę, rozważałem napisane przez Rafała słowa na temat ziarenka nadziei, które czasem kiełkuje i rozrasta się do granic pewności. U mnie po roku ta drobinka wciąż była nie większa od ziarnka maku.

Złudzenia wiązały się z tym, że w zasadzie przecież nie pojawiłem się w Starzyźnie z własnej woli. Owszem, wsiadłem do samochodu i ruszyłem w pościg za Marcinem Kowalikiem, a to przecież nie jest jednoznaczne z tym, że chciałem opuścić „mój



świat”.

„To po cholere tam polazłeś?”

Takie proste pytanie sprawiało, że moje zakopane głęboko ziarenko nie chciało wypuścić nawet najlichszego pędu.

\*

Wielki Piątek dwa tysiące szóstego roku wypadał późno, bo dopiero czternastego kwietnia. Było wyjątkowo ciepło jak na ten czas - do tego stopnia, że na krzewach bzów widać było spore pąki; niektóre z nich zaczęły już nawet pękać. Jak na krajobraz pozbawiony słońca, było całkiem przyjemnie, nawet pomimo padającego od kilku dni deszczu. Znów czuło się w powietrzu oddychającą po kilkumiesięcznych chłodach ziemię.

Nie było jednak na tyle przyjemnie, bym mógł pomyśleć, że chcę tu zostać na stałe.

Wieczorem usiedliśmy wokół stołu. W gęstej, pełnej napięcia ciszy słycać było jedynie odgłos bębniącej o dach ulewy. Czułem się jak myśliwy, mający za chwilę wyruszyć na łowy, od których zależy przyszłość całej rodziny. Tym bardziej że po raz kolejny sprawdzałem trzymaną w dłoniach strzelbę.

- Jesteś pewien, że jest sprawna? - zapytałem Jaśka.

- Wolałbym, żeby nie zawiodła w kluczowym momencie.

Spojrzał na mnie tak, jakbym właśnie go obraził.

- No pewno, że tak. Sprawdzałem lalka razy, naoliwiona też jest jak się patrzy.

- Warto byłoby ją wypróbować na wszelki wypadek...

Wziął z moich rąk karabin, załadował, po czym założył różaniec na szyję i wyszedł z zakrystii. Niedługo potem usłyszeliśmy huk wystrzału.

- Teraz już powinienś być pewien - mruknął po powrocie, kładąc broń na blacie.

Może i faktycznie byłem pewien tego, że wypali. Gorzej z moimi umiejętnościami strzeleckimi. Naboi było sporo; teraz żałowałem, że nie potrenowałem wcześniej strzelania. Teraz było za późno. Do północy pozostały niecałe dwie godziny.

Nie zamierzałem brać niczego z sobą, ponieważ trudno mi było

wyobrazić sobie, że chciałbym mieć z tego miejsca jakąkolwiek pamiątkę.

Jasiek z namaszczaniem zdjął z szyi różaniec i położył go przede mną, tuż obok karabinu.

- Co robisz? - spytałem.

- Jak to co? Przecież musisz go zabrać ze sobą. Inaczej możesz nawet nie dojść do samochodu.

- Nie mogę wam go zabrać. Tutaj będzie bardziej potrzebny...

Stary Greła pokręcił głową.

- Od tego, czy dasz radę stąd odejść, zależy też nasz los - rzekł - to i my będziemy decydować o tym, co się z nim stanie.

- Bez różańca nie macie szans.

- Może tak, a może nie. Ty nie masz na pewno.

Zrobiło się cicho jak w kościele.

Milczenie przerwała Katarzyna:

- A gdyby tak ktoś z nas z nim poszedł?

To miało sens. Jasiek natychmiast podchwycił pomysł i zaczął przygotowywać się do drogi.

- Ja też pójdę. - Albin odsunął krzesło i wstał od stołu. - Jak nas będzie więcej, to i bezpieczniej.

- Nie pójdiesz - powiedział stary. - Wystarczy, jak pójdziecie we dwóch? - zwrócił się do mnie. - Jak nie, to ja...

- Wystarczy w zupełności.

I na tym stanęło.

\*

Na pół godziny przed północą byliśmy gotowi do wymarszu.

Pożegnanie trwało krótko. Katarzyna się trochę popłakała, pewnie bardziej ze strachu, że może mi się nie udać, niż z powodu rozstania; jakoś nie miałem wrażenia, że znajomość z kimś takim, jak ja mogłaby wywołać u kogoś jakieś bardziej pozytywne emocje. Na wszelki wypadek zapewniłem ją, że nie musi bać się o Jaśka, bo jemu na pewno nic się nie stanie.

Z Albinem i starym Greła po prostu uścisnęliśmy sobie dłonie.

- Będziemy każdego dnia wypatrywać słońca - te słowa Cieplakowej były ostatnimi, jakie usłyszałem w kościele.

Zachowałem dla siebie refleksję, że jest to dość mało skuteczny sposób na zmianę sytuacji.

\*

W normalnych warunkach dotarcie do miejsca, w którym stał samochód Rafała, zajmowało około dziesięciu minut, jednak w egipskich ciemnościach i przy ulewnym deszczu trwało to znacznie dłużej.

Trzymałem się za Grelą, który - zupełnie nie wiem, jakim cudem - bezbłędnie odnajdował drogę. Chociażby z tego powodu dobrze, że ze mną poszedł. Sam pewnie trafiłbym do auta, jak zrobiłoby się już jasno.

Droga ciągnęła się w nieskończoność i już zacząłem obawiać się, czy zdążymy przed północą, gdy usłyszałem głos Jaśka:

- Widać go już. Zaraz będziem na miejscu.

Rzeczywiście. Chwilę potem staliśmy przy białym oplu, którego nie widziałem od dobrych paru miesięcy.

Karabin jak na razie okazał się zupełnie zbędny, jednak trudno powiedzieć, czy w otaczającym nas mroku nie mieliśmy towarzystwa.

- Może ci zostawię broń? - odezwałem się. - Chyba nic mi nie zagraża...

- Nie wiadomo. Mogą przecie ci stanąć na drodze. Zresztą, mnie i tak nie jest potrzebny.

Musieliśmy rozmawiać głośno, ponieważ szum padającego deszczu zagłuszał wszelkie inne dźwięki.

- Zdaje się, że już powinny zaczynać? - zapytałem.

- Masz może zegarek z podświetlaną tarczą?

Nic nie odpowiedział na mój średniej jakości żart. Miałem jeszcze kilka w zanadrzu, ale mina mi zrzedła, gdy uświadomiłem sobie, że przez ulewę możemy nie usłyszeć bicia dzwonów. Na szczęście w tym samym momencie usłyszałem sygnaturkę.

- Cały czas prosto - powiedział. - Będę się modlił, żeby ci się udało.

Stałem jeszcze bez słowa do momentu, gdy nie zaczął bić „Święty Józef”.

- Żegnaj, Jasiek.

Nawet nie uściśniętem mu ręki. Po omacku odbezpieczyłem broń i szybkim krokiem ruszyłem przed siebie.

Wciąż było ciemno, lecz oczy przyzwyczały się na tyle, bym mógł odróżnić przed sobą jaśniejszą wstęgę drogi.

Zacząłem biec.

Było grząsko, moje buty ślizgały się i zapadały w mokrą, błotną maź. Po przebyciu kilkudziesięciu metrów oddychałem ciężko, ale nie zwalniałem. Doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, że jeśli w ogóle jest dla mnie jakaś szansa, to muszę ją wykorzystać właśnie teraz. Miarowe bicie dzwonów niosło się nad moją głową, a ja uparcie zmierzałem ku temu, o czym od tak dawna marzyłem.

W pewnym momencie straciłem równowagę i runąłem do przodu, wgniatając karabin w błoto i lądując twarzą w lepkiej mazi. Jakiś czas trwało, zanim się podniosłem, ale dzwony były nadal. Wydawałem z siebie świszczące dźwięki, prawie się dusiłem, lecz wciąż biegłem.

Nagle dotarło do mojej świadomości, że prawie nie słyszę już metalicznych uderzeń. Tyle że wcale dzwony nie przestawały bić.

Byłem już daleko. Zbyt daleko, by wciąż je dobrze słyszeć.

- A więc jednak to prawda - wycharczałem, zatrzymując się i klękając w błocie.

Do oczu zaczęły napływać łzy.

„Na pewno zdążyłbym dobiec do drogi, na pewno... Byłbym już na drodze...”

Ledwie słyszalne dzwony już zaczynały milknąć. Najpierw sygnaturka, potem średni, a na końcu „Józef”.

Ruszyłem z powrotem.

Wtem dotknęło mnie niezwykle wrażenie. Nie wiadomo dlaczego przyszedł mi na myśl mój przyjaciel. Przekonanie, że jest tuż obok, było na tyle silne, że musiałem się odezwać...

- Adam? Jesteś tu...?

Po raz ostatni w moim sercu zagościła nadzieja, by natychmiast zniknąć.

- Być może jesteś teraz w tym miejscu. Być może pojawiłeś się,

sądząc, że wrócę... Nie, przyjacielu. Nigdy się już nie zobaczymy.

Po lesie, odbijając się między drzewami, potoczył się opętańczy chichot, przeradzający się w śmiech.

Byli tu. Cały czas byli obok mnie. Czekali w ciszy, by obserwować moją porażkę, a teraz triumfowali.

Usiadłem.

- Nie dam wam tej satysfakcji, skurwiele - krzyknąłem.

Potworny rechot ustal jak ucięty nożem.

Zaczęli się zbliżać. Nie widziałem ich, ale wyraźnie słyszałem, jak idą w moją stronę. Kroki były wokół mnie.

Odetchnąłem głębiej.

Chwyliłem mocno karabin. Trzymając prawą ręką kolbę, oddaliłem ją od piersi najdalej, jak to było możliwe. Mocowałem się przez chwilę, ale wreszcie udało mi się włożyć lewą ręką lufę między zęby.

Na języku poczułem lepkie bioto.

„Śmierdzi mułem” - stwierdziłem w myślach z obrzydzeniem, a potem nacisnąłem spust.

## Rozdział szósty

### 1.

- Józek, co się stało z twoim karabinem? - zapytałem.

Wciąż siedział z przymkniętymi oczyma. Gdy pisałem, nie poruszył się ani razu. Teraz popatrzył na mnie zdziwionym wzrokiem.

- Miałeś karabin, prawda? Dzięki niemu nie pozwoliłeś, by Marcin ich zatrzymał w tamten Wielki Piątek. Cały czas masz go w domu?

Musiałem mówić do niego jak do małego dziecka. Był trochę opóźniony w rozwoju, więc wszystko docierało do niego z opóźnieniem. Wreszcie pokiwał głową

- W do... do... domu je., .e... jest.

- Przyniesiesz go jutro, dobrze?

- Przy... przyniosę.

Odłożyłem brulion, wstałem z łóżka i usiadłem z innymi przy stole.

- Józek też brał udział w walkach w czasie wojny?

- Ano, tak - odparł Jasek. - Niezbyt jest rozgarnięty, ale strzelać to potrafi jak mało kto.

- Mało kto nie walczył - dodał stary. - Wszystko zaczęło się pod koniec listopada czterdziestego drugiego, jak Niemcy zaczęli wysiedlenia. Trza było stanąć do walki, nie było wyjścia.

Przypomniałem sobie, że w domu Rafała znalazłem przewodnik po Roztoczu i natrafiłem tam na wzmiankę o dużej bitwie partyzanckiej pomiędzy niemiecką żandarmerią a Pierwszą Kadrową Kompanią Batalionów Chłopskich, która miała miejsce niedaleko stąd.

- Tak, czytałem. Największa była bitwa pod Wojda, prawda? Mielicie trzy plutony, a dowodził wami... Jak on się nazywał?

- Porucznik Mara-Meyer, pseudonim „Vis” - pomógł mi Jasiek. - Tyle że plutonów było cztery.

Przez moment się zastanowił i zaczął wyliczać na palcach:

- Pierwszy Danielewicz, drugi Drwęckiego...

- Dereweckiego - poprawił go ojciec.

- Tak, Dereweckiego, trzeci Mysłakowskiego, no i nasz, czwarty, Jakuszkina.

- To był ktoś od Wołodina? Zdaje się, że mieliście wsparcie też radzieckich partyzantów?

- Nie. Janusz Jakuszkina to Polak, zdaje się z zachodu tu trafił.. Nazwisko tylko miał takie dziwne. Wcześniej był podporucznikiem w polskiej armii. Walczył w trzydziestym dziewiątym, a potem sprowadził się do nas i namawiał nas do walki. Z początku nikt się za bardzo nie rwał, ale jak się zaczęły wysiedlenia, trza było się włączyć. Wystarczyło ludzi na pluton, a Jakuszkina zrobiliżemy jego dowódcą.

- Ludzie pochodzili stąd, ze Starzyzny?

Jasiek przytaknął.

- Przed wojną to była duża wieś.

Po chwili dopiero domyśliłem się, dlaczego w przewodniku nie było żadnej wzmianki o plutonie Jakuszkina. Wciąż nie mogłem się przyzwyczaić do działania kłątwy zatajenia.

- I co było dalej?

- Trzydziestego grudnia, jak była bitwa pod Wojda, mieli- żeśmy największe straty. Niemcy nas otoczyli, sporo nas zginęło, było kilku rannych. - Skinął głową w stronę Albina. - To wtedy stracił rękę.

- Pochowaliżemy naszych i wrócili do wioski - mówił dalej. - Samego Jakuszkina Niemcy rozstrzelali. Nie wiedzielibyśmy o tym, gdyby nie Jakub Trześniowski, który do Starzyzny wrócił dopiero dzień po nas. Ponoć zgubił się w lesie.

- Gó... gówno się ta... a... am zgu... zgubił - dobiegło z kąta. - Jego te... też zła... pa... pali, ale u... uciec mu się u... u... dało.

- Zamknij się, Józek - warknął stary. - Niby skąd ty możesz wiedzieć, co się z nim działo?

- He... Helenka mi kie... kiedyś po... po... powiedziała, że go

zła...pa...pali, ale u...ciekł by...był.

- Helenka? Czy ci się już całkiem we łbie poprzewracało? - Jasiek aż wstał od stołu, podszedł do Kowalika i pochylił się nad nim, wlepiając w niego wzrok. Józek swoim zwyczajem przymknął powieki. - A kiedy to ona mogła ci coś powiedzieć, co?!

- He... e... lenka mnie lu... lubiła. Ro... o... zmawiała ze mną cza... czasem, jak się chcia... ała przed kim wy... wyzalić.

Zaczynało być dla mnie jasne, skąd Rafał wiedział, co działo się u Kowalików. Wszystko, co na ten temat pisał w poprzednim brulionie, musiała przekazywać mu córka Trześniowskie- go-

- To niby dlaczego nam Jakub o tym nie powiedział, co? - zapytał stary Greła.

- Aj... ja, to ni... niby skąd ma... am wie... wiedzieć? Mo... może ni... nie chciał, to i ni... nie po... powiedział.

Jasiek wrócił i usiadł z powrotem na swoim miejscu.

- Rozumiesz coś z tego, tato? Myślisz, że to może być prawda?

- A bo ja wiem? - ten wzruszył ramionami. - Nigdy nie przyjdzie nam się dowiedzieć, jak było naprawdę. Zresztą, co to teraz za różnica...?

## 2.

Następnego dnia rano Józek przyniósł karabin z domu.

W wyprawie po broń towarzyszył mu Jasiek z różańcem na szyi. Kowalikowi nie ufaliśmy do końca, więc nie mogliśmy mu też powierzyć najcenniejszego przedmiotu, który był w naszym posiadaniu.

Całe przedpołudnie spędziłem na nauce strzelania. Jasiek okazał się dobrym nauczycielem, ale sprawność Józka w posługiwaniu się karabinem była wręcz zadziwiająca. Gdybym nie zobaczył tego na własne oczy, nie uwierzyłbym, że można tak celnie strzelać. Właściwie nie było obiektu w promieniu pięćdziesięciu metrów, w który ten niepozorny, wyglądający na ociężałego umysłowo, drobny mężczyzna nie zdołałby trafić.



Nawet nie próbowałem mu dorównać. Chodziło mi tylko o to, bym jako tako wiedział, jak postępować z bronią i żebym nie zastrzelił się, gdy sam nie będę chciał tego zrobić.

Karabin Kowalika był dokładnie taki, jak ten, który przestał być już użyteczny po incydencie z ubiegłego Wielkiego Piątku, dzięki czemu mieliśmy naboji pod dostatkiem; do tych znalezionych w ruinach pozostałych po domu Trześniowskich Józek dołożył także swoje.

Uważałem, by nie zmarnować ich za dużo, ponieważ każdy mój strzał wiązał się z utratą jednej sztuki amunicji. W przypadku moich towarzyszy prawdopodobnie problem ten nie istniał; było w zasadzie pewne, że wystrzelone przez każdego z nich pociski nazajutrz znajdziemy w nienaruszonym stanie. Mimo to, tak na wszelki wypadek, przed wyjściem schowałem kilka sztuk pod poduszką na swoim łóżku.

Żaden z nich nie zapytał mnie, dlaczego nagle chcę się nauczyć strzelać; zresztą, nawet gdybym usłyszał takie pytanie, to i tak bym nie odpowiedział. To jeszcze nie był dobry czas na podzielenie się z innymi tym, co urodziło mi się w głowie już dużo wcześniej. Zamierzałem tę kwestię poruszyć dopiero wieczorem, przy kolacji.

Nie tylko nauczyłem się jako tako obsługiwać karabin, ale też dowiedziałem się, jak powinienem go nosić. Gdybym przeszedł taki instruktaż rok wcześniej, nie doszłoby z pewnością do pechowego finału mojej próby wydostania się ze Starzyzny - nie potrafiłem inaczej myśleć o tym, że przygnieciony ciałem i wgnieciony w błoto karabin nie wystrzelił.

Jeśli miałbym opisać to krótką notką na łamach swojego czasopisma, brzmiałoby to mniej więcej tak:

Tytuł: „Nieszczęśliwy wypadek na drodze do Guciowa”.

Tekst: „Do nieszczęśliwego wypadku doszło w wielkopiątkową noc na leśnej drodze nieopodal miejscowości Starzyzna, w powiecie zamojskim. Pięćdziesięcioczeroletni mieszkaniec Warszawy, Witold U., w wyniku nieumiejętnego posługiwania się pożyczonym karabinem, nie zdołał w sposób skuteczny popełnić samobójstwa. Uszkodzona w wyniku poważnego zabrudzenia

broń nie wypaliła w odpowiednim momencie, przez co kula przypadkowo nie utkwiała w głowie desperata.”

Czy coś w tym rodzaju.

Gdy miałem już dość huków wystrzałów, zarządziłem koniec zajęć. Zdziwiający był fakt, że - mimo dość długiego czasu ich trwania - hałas nie przyciągnął żadnej łajzy z Czarnego Wygonu. Nie to, żebym się tym martwił, ale akurat wtedy, gdy byli przydatni, nie było ich pod ręką. Byłoby na kim potrenować celność, a widok, jak spieprzają w podskokach, też z pewnością ucieszyłby moje oczy.

\*

Był piąty kwietnia dwa tysiące siódmego roku.

Menu kolacji nie różniło się od innych, mimo że był Wielki Czwartek, a więc prawie święto. Poprzedni rok nie był tak dobry, jeśli chodzi o zbiory, jak jeszcze wcześniejszy, ale pożywienia było akurat tyle, ile trzeba, by dotrzeć do wiosny.

Tego dnia Józek po raz pierwszy usiadł z nami przy stole. Spełnił moją prośbę i poszedł po karabin, chociaż wcale nie musiał tego robić. Później uczył mnie strzelać, więc przynajmniej w małym stopniu stał się jednym z nas. Poza tym nie wypadało, by w taki dzień trzymać go w kącie jak byle kundla. Na dodatek chyba każdemu z nas było go trochę żal. W końcu ostatnio przeżył nie lada traumę.

Rozmowy o niczym - takie, jak każdego dnia trwały w najlepsze. Nikt nie spodziewał się, że za chwilę przerwę ten błogi nastrój. Czekałem z tym prawie rok i takie rozwiązanie było moim zdaniem całkiem rozsądne. Nie było sensu, by gryźli się i zastanawiali nad podjęciem decyzji przez długie miesiące. Doba powinna wystarczyć.

Wstrzeliłem się w moment ciszy:

- Jasiek, pamiętasz, co mi powiedziałeś w nocy z Wielkiego Piątku na Wielką Sobotę rok temu?

- Ale kiedy? - zapytał.

- No, zaraz potem, jak mnie znalazłeś na tej cholernej drodze.

- Chyba nie za bardzo...

Na moment się zamyśliłem i znów poczułem dreszcz na plecach. Byli już na wyciągnięcie ręki, ale nagle, jak królik z kapelusza, pojawił się mój wybawca, uzbrojony w różaniec. Nie ważyli się nas tknąć.

- Powiedziałaś, że w miejscu, w którym się rozstaliśmy, czekałeś do momentu, aż dzwony ucichną. Dopiero potem poszedłeś sprawdzić, czy mi się udało.

- No tak - kiwnął głową. - Tak żem mówił, no i co z tego?

- To z tego, że bardzo dobrze zrobiłeś.

-Aha - Wzruszył ramionami i ugryzł kawałek podpłomyka. Wyglądało na to, że temat uznał za zakończony.

- Ale możesz się chwilę zastanowić? - nie zamierzałem tak łatwo odpuścić. - Pomyśl, co by było, gdybyś na to nie wpadł.

Wszyscy patrzyli na mnie w milczeniu tak, jakby spodziewali się, że mam im coś niesłychanie ważnego do powiedzenia. I chyba rzeczywiście miałem.

- Do tej pory przejścia pomiędzy tym a tamtym światem związane były z osobami, które pochodziły stamtąd. Najpierw Rafał, który znalazł się w Starzyźnie przypadkiem, a potem wyjechał razem z Trześniowskimi i Anielką. Potem pojawiłem się ja i też chciałem uciec, ale się stało jasne, że nie uda mi się tego zrobić. Nie przyszło wam do głowy, że wy sami też możecie zmienić swój los? Przecież nic nie stoi na przeszkodzie, żebyście jutro przeszli na tamtą stronę razem z moimi zapiskami, przekazali je komu trzeba i sprawa wreszcie byłaby zamknięta. Klątwa zatajenia znikłaby raz na zawsze.

- A my? - zapytała Katarzyna. - Co by się z nami wtedy stało?

- No cóż, dla was czas na pewno by przyspieszył tak, jak dla tych, którzy stąd wyjechali.

Kątem oka zobaczyłem, że stary Grela spuścił wzrok. Zrozumiał, co przejście do „mojego świata” oznaczałoby dla niego. Był mniej więcej w wieku Trześniowskiego i zapewne zmarłby natychmiast po opuszczeniu Słonecznej Doliny.

- A co z ojcem? - Jasiak również pojął. - Przecież on...

- Dobrze wiesz, co by się stało - odparłem wprost. - Wy żylibyście jeszcze przez jakieś kilka miesięcy. Wiem, że to krótko,

ale nie wiem, co lepsze... Chcecie tu zostać na zawsze? Wasz wybór. Jeśli będziecie się pilnować, nic się nie zmieni. Nigdy.

Jeśli popełnicie błąd - skończycie powieszni tak, jak Duda i matka Józka ostatnio. Im też się zdawało, że są bezpieczni i nic nie może im się stać, a jednak skoro nie było sposobu na nas, to Dobrowolski ze swoją świtą zabrali się i za nich, by zrealizować swój szatański plan. Zrobią wszystko, by dopaść jeszcze tę jedną, ostatnią osobę, a wtedy niech Bóg - choć to mało prawdopodobne - ma was w swojej opiece. Was i może także ten drugi świat. Któż to może wiedzieć...? Tam też jest wystarczająco dużo zła i starczyłoby na niejedną klątwę, a Dobrowolski tylko czeka, by to wykorzystać. Ale o tym nie myślcie, bo to nie wasza sprawa. Po prostu zastanówcie się, co będzie najlepsze dla was. Ja w każdym razie wolałbym umrzeć, niż trwać tu, w tej beznadziei. Zresztą, dobrze o tym wiecie po tym, co wydarzyło się rok temu. Gdyby karabin nie zaszwankował, nie byłoby mnie tu z wami. Nie byłoby mnie też zaraz nazajutrz, tyle że czekałem aż do dziś, aby powiedzieć, że macie jeszcze jakieś inne wyjście.

- A ta mała? - odezwał się stary. - Myślisz, żebyśmy jej pomogli?

- Myślę, że tak.

- To był też powód tego, żeś postanowił przeżyć tu jeszcze aż do dzisiaj?

- Tak. Chciałbym jej pomóc, ale o nic was nie proszę. To tylko wasza decyzja i powinniście swoje dobro postawić na pierwszym miejscu.

- Ty żeś tak nie zrobił...

Przez chwilę milczałem.

- Nawet nie wiadomo, czy ona jeszcze żyje - powiedziałem. - Być może dla niej jest już za późno.

- A ty? - Jasiak przyglądał mi się uważnie. - Musiałbyś sam tu zostać...

- Wiesz, co by się ze mną stało. Nie czekałbym długo. Mam dosyć tego miejsca i dziwię się, jak mogliście wytrzymać tu aż tyle.

Wstałem od stołu.

- Macie jeszcze dobę do namysłu - powiedziałem. - Ja już nie

mam nic więcej do dodania.

Wzięłem leżący pośrodku stołu różaniec i wyszedłem się przewietrzyć.

\*

Stałem w chłodnym mroku nocy, pośród cmentarnych nagrobków chyba z godzinę.

Dolinę rozświetlał słaby blask, próbujący przedostać się przez gruby kożuch chmur. W oddali widziałem las, w którym czaili się Oni. Ciekaw byłem, czy jutro o północy też zgromadzą się wokół drogi, by obserwować, jak bezskutecznie próbuję się wydostać. Miałem nadzieję, że tak.

Jedno było pewne - tym razem ich ostatecznie przechytrzę. Raz próbowałem, ale mi się nie udało. Może to i lepiej, bo w rezultacie przynajmniej podjąłem jeszcze jedną próbę zmiany losów Starzyzny i malej Paulinki, która gdzieś tam może bardzo tego potrzebowała. Teraz już nic ponadto nie mogłem zrobić.

W pewnej chwili pomyślałem o Józku. Gdy zebrałem wszystkie fakty do kupy, wyszło na to, że był chyba jedną z bardziej pokrzywdzonych przez całą tę sytuację osób. Nie mógł nie podporządkować się swojemu silniejszemu i mądrzejszemu bratu, więc robił tylko to, co mu kazano. Rzecz jasna, nie można było go usprawiedliwić i rozgrzeszyć do końca, ale i tak było mi go trochę żal.

Pamiętałem jego przerażone, zdezorientowane oczy, gdy nagle, w Niedzielę Palmową, pojawił się w drzwiach kościoła. Szukał schronienia jak przerażony zwierzak, któremu nagle ktoś upolował matkę. Wyszedł z domu tylko na kilkanaście minut, a wracając, na stojącej pośrodku podwórza gruszy znalazł dwie powieszono osoby, z którymi dotąd czuł się bezpiecznie. Nie miał pojęcia, dlaczego tak się stało.

Nie wiedział też chyba, co w ogóle dzieje się w Starzyźnie. Być może sądził, że po prostu tak musi wyglądać rzeczywistość i nie wyobrażał sobie, że mogłoby być inaczej.

Miał nadzieję, że mu pomożemy. Może myślał, że w cudowny sposób przywrócimy do życia jego matkę, z którą mieszkał od

zawsze. Oczywiście, natychmiast pobieглиśmy z Józkiem do gospodarstwa Kowalików. On biegł przodem, odwracając się zniecierpliwiony. Myślał, że naprawdę chcemy im pomóc, a nam zależało tylko na tym, by przywlec truchła do kościoła i w ten sposób je unieszkodliwić.

Na próżno.

Kiedy wbiegliśmy na podwórze, na gruszy zobaczyliśmy tylko dwa targane wiatrem kawałki powroza.

Dobrowolski znów był bardzo blisko celu.

### 3.

Gdy wróciłem do zakrystii, wszyscy leżeli już na swoich posłaniach, więc zgasilem ostatnią świecę i położyłem się do łóżka.

Długo nie mogłem zasnąć. Leżałem na plecach, wsłuchując się w oddechy pozostałych.

Dopiero teraz mogłem zastanowić się nad tym, co usłyszałem poprzedniego wieczoru. Wydawało się, że informacja uzyskana od Józka może mieć jakiś związek z zachowaniem Trześniowskiego przed laty i jego sporem z Dobrowolskim. Nie wierzył księdzu, ale też nie starał się stanowczo zapobiec jego poczynaniom.

Szantaż?

Bardzo możliwe.

Być może Dobrowolski wiedział o czymś, co gdyby wyszło na światło dzienne, mogłoby podważyć reputację sołtysa. Zakładałem, że Trześniowski bał się ujawnienia informacji, które powierzył kapłanowi w trakcie spowiedzi; doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że tamten bez chwili wahania spełniłby groźbę, gdyby tylko miało mu to pomóc w realizacji jego szemranego celu.

Sądziłem, że mój tok rozumowania jest słuszny. Mało tego - podskórnie czułem, że szantaż ma związek z tym, co wydarzyło się zaraz po bitwie pod Wojda w czterdziestym drugim. Być może

było jeszcze coś, o czym nie wiedziałem, ale z posiadanych przeze mnie informacji nie wynikało inne wytłumaczenie dla ukrycia przez Trześniowskiego faktu, że został wzięty do niewoli przez Niemców.

Kłębiąc się pod moją czaszką myśli zaczęły się uspokajać dopiero w momencie, gdy zrozumiałem, że prawdopodobnie nigdy nie uda mi się rozwiązać tej zagadki.

Wielokrotnie miewałem podobne sny, więc zdążyłem przyzwyczaić się do tego, że nocny majak może być realny na tyle, by niemal nie różnić się od rzeczywistości. Teraz było podobnie.

Śniłem, że leżę w swoim łóżku, wsłuchując się w miarowe oddechy pozostałych. Wiedziałem, że za chwilę będę musiał wstać i wyjść na zewnątrz. Nie miałem pojęcia, po co mam to zrobić, lecz oddałem się temu wewnętrznemu nakazowi.

Ubrałem się, nie wiadomo, w jakim celu włożyłem leżące pod poduszką naboje do kieszeni, po czym ruszyłem do drzwi, bezszelestnie przekraczając śpiącego na siennikach Józka. Zanim wyszedłem z zakrystii, sięgnąłem po stojący obok framugi karabin.

Załadowałem go już stojąc przed kościołem, odbezpieczyłem i nagle wiedziałem, dokąd mam się skierować.

„Jakiś piętnaście minut i będę na miejscu” - pomyślałem.

Było zadziwiająco chłodno. Przed wyjściem nie włożyłem kurtki. Nigdy tego nie robiłem w podobnych snach, bo rzadko odczuwałem w nich temperaturę. Tym razem drżałem na całym ciele.

W innych okolicznościach uznałbym to za całkowicie uzasadnione. Do tego, by trząść się w trakcie samotnej, nocnej wyprawy na Czarny Wygon nie potrzeba było panującego na dworze zimna.

We śnie było zupełnie inaczej i w ogóle nie odczuwałem strachu.

Szedłem miarowym krokiem, trzymając broń tak, jak nauczyłem się za dnia. Nie zważałem na dokuczającą mi nogę, Dziwiło tylko, że bolała. Nie pamiętałem, bym kiedykolwiek we

śnie utykał.

Tak, to był bardzo dziwny sen.

Pomimo ciemności trafiłem od razu. Otoczona lasem przestrzeń zdawała przyciągać mnie hipnotyczną zachętą. Poddałem się jej, lekko, spokojnie, nawet z lekkim uśmiechem. Wreszcie zrozumiałem, po co tu jestem. Przyszedłem poznać tajemnicę Trześniowskiego. Byłem pewien, że moja wyprawa zakończy się podobnie jak sen, w którym spotkałem Paulinę Podolak, siedzącą z dzieckiem pod czereśnią na wzgórzu górującym nad Starzyzną.

Mrok nie był na tyle gęsty, bym nie mógł odszukać centralnego miejsca polany. Odbezpieczyłem broń i wypaliłem w niebo. Odgłos wystrzału potoczył się po okolicznych lasach. Przysiągłbym, że echo dobiegało do moich uszu jeszcze co najmniej przez minutę.

Dopiero w tym momencie przypomniałem sobie, że nie zabrałem z kościoła różańca.

- Nawet we śnie powinieneś być bardziej ostrożny, głąbie - powiedziałem sam do siebie, zadowolony z niewyszukanego epitetu, którego nie słyszałem już od dawna. - Ciesz się, że to nie dzieje się naprawdę, bo inaczej mogłoby być z tobą krucho.

Ponownie załadowałem karabin.

Czekałem, od czasu do czasu rozglądając się wokół.

Już zacząłem obawiać się, że cały mój wysiłek na nic, gdy ich zobaczyłem. Zbliżali się od strony położonej naprzeciw mnie ściany lasu.

Byli chyba wszyscy.

Przewodził im Dobrowolski, sunąc tym swoim charakterystycznym, płynnym krokiem. Reszta szła tak, jak zwykle - lekko mechanicznie, z przygarbionymi plecami i nieco spuszczonej głowami, co nie przeszkadzało im rejestrować każdego mojego ruchu.

Płonące w ciemnościach białą dziesiątki pustych źrenic zbliżały się coraz bardziej. Każda ich para poruszała się miarowo to w lewo, to w prawo. Unosiły się i opadały, miarowo się do mnie przybliżając. Ich mnogość w połączeniu z niemal absolutną ciszą, panującą wokół sprawiała naprawdę niezwykle wrażenie.



Słysząc było tylko narastający chrzęst zeschniętej trawy, przygniataanej ich butami.

Wypaliłem, gdy Dobrowolski był jakieś trzy metry ode mnie. Chciałem trafić go w brzuch i mi się to udało. Zamarł, po czym upadł na prawy bok.

- Bierzcie go - wychrypiął pełnym bólu i nienawiści głosem. - Teraz nam się nie wymknie. Tylko poczekajcie z tym do rana. Muszę przy tym być i sam się z nim rozprawić.

- Ani kroku dalej - rozkazałem.

Nie posłuchali i nie przestali się do mnie zbliżać.

Jako pierwszy od lewej szedł Andrzej Książ. Mimo że niedawno z nim rozmawiałem, był trudny do poznania. Jego oczy, tak jak pozostałych, płonęły nienawiścią. Udało mi się jeszcze rozpoznać matkę Józka. Duda zapewne też był gdzieś pośród nich. Szybko się tu zadomowili...

- Wiecie, co mam na szyi? Nie sądzicie chyba, że przyszedłbym tu bez różańca Pauliny?

Dopiero w tym momencie białe ogniki ich oczu przestały się poruszać.

Postąpiłem kilka kroków naprzód i stanąłem nad Dobrowolskim, który wciąż leżał na boku. Silne kopnięcie w bark odrzuciło jego korpus i sprawiło, że odwrócił się na wznak. Cicho jęcząc, przyciskał dłonie do ran na brzuchu.

Koniec lufy zniknął pod skrywającym głowę kapturem habitu, pomiędzy błyszczącymi ślepiami. Przytknąłem ją do jego czoła.

- Teraz gadaj - nacisnąłem karabin. - Co ci powiedział Trześniowski na spowiedzi? Czym go szantażowałeś? No...?

- Nic ci nie powiem! - syknął. - Strzelaj i wynoś się stąd! Jeszcze się policzymy...

- Nie będziemy się liczyć, bo jeśli nie powiesz, to zaraz przestaniesz istnieć i z twoich planów nici. Wiesz, co się stanie, jak zabiorę twoje truchło do kościoła?

Milczał przez chwilę.

- Nie zrobisz tego... - w jego głosie zabrzmiał lęk. - Oni ci na to nie pozwolą...

- Oni tu nie mają nic do gadania, bo to ja mam na szyi różaniec

Pauliny, którą bestialsko zamordowałeś. Wykorzystałeś tych wszystkich biednych ludzi, którzy ci tak wierzyli, a potem sprawiłeś, że zostali przeklęci na wieki. Popatrzcie, jak wygląda teraz ten wasz przywódca - zwróciłem się do pozostałych. - Leży u moich stóp i trzęsie się z przerażenia, że może mu się coś stać. Takim go znaliście?

Dziesiątki nieruchomych oczu wpatrywały się we mnie z uwagą.

- To wszystko przez tę nędzną kreaturę - dodałem już ciszej. - Chyba nie chcecie go bronić?

Odpowiedziało mi milczenie. Spojrzałem w dół. Byłem wściekły.

- Gadaj, skurwielu! - przesunąłem nieco lufę i nacisnąłem na jedno ze ślepi. Jego dziki wrzask zabrzmiał w moich uszach jak najpiękniejsza melodia. Dobrowolski oderwał dłonie od brzucha i zamierzał złapać za karabin.

- Ani się waż, bo nacisnę spust. A potem pójdziemy na małą wycieczkę.

Uspokoił się. Leżał ciężko oddychając.

- Mów.

- Nie zabijesz mnie?

- Zobaczę. Jak powiesz, na pewno będziesz miał większe szanse.

Milczał.

Już zacząłem tracić cierpliwość, gdy powiedział:

- Masz rację. Szantażowałem Trześniowskiego. W czasie spowiedzi wyznał, że zostawił rannego Jakuszkina, by uratować własną skórę. Mogło im się udać, ale z rannym byłoby trudniej uciekać. Zostawił go, a potem widział, jak Jakuszkin zostaje zastrzelony...

Stałem przez dłuższy czas, jakby nie mogło do mnie dotrzeć to, co przed chwilą usłyszałem.

Potem ocknąłem się i popatrzyłem na pozostałych.

- Którą ręką ją zabił?

- Prawą - natychmiast odpowiedział mi Andrzej.

Doskonale wiedział, o co pytam.

Przyłożyłem lufę do prawego barku Dobrowolskiego, po czym

wystrzeliłem. Przeładowałem i strzeliłem ponownie, tuż obok. Potem znów i raz jeszcze...

Przestałem dopiero wtedy, gdy zabrakło mi naboí.

Leżąca u moich stóp kreatura wyła z bólu. Żaden z pozostałych nawet się nie ruszył.

Pochyliłem się i złapałem za nadgarstek zwiotczalej ręki, próbując oderwać ją od tułowia. Kości były pogruhotane, ale wciąż się mocno trzymała na ścięgnach, resztkach mięśni i ubrania. Szamotałem się przez dłuższy czas, ale wiedziałem, że nie dam rady.

- Pomogę, tylko musisz się odsunąć - znów usłyszałem głos Kniazia.

Zrobiłem, o co prosił, po czym podszedł do Dobrowolskiego i bez najmniejszego wysiłku zrobił to, co mi się nie udało. Dobrowolski wył jak opętany, a Andrzej obojętnym ruchem rzucił rękę przed moje stopy.

Nie sądziłem, że będzie taka ciężka.

Zanim odszedłem, powiedziałem jeszcze:

- On za chwilę umrze. Przynajmniej na parę godzin. I być może jest to wasza ostatnia szansa...

Chwilę potem, niosąc za nadgarstek moje trofeum w jednej, a karabin w drugiej ręce, opuściłem Czarny Wygon.

Byłem zmęczony i chciałem, aby ten sen jak najszybciej się skończył; miałem nadzieję, że tak właśnie się stanie, więc starałem się iść jak najszybciej.

Do kościoła dotarłem ostatkiem sił.

Rzuciłem kawałek Dobrowolskiego na podłogę przedśionka i chwilę potem usłyszałem skwierczenie i nieznośny śwąd.

Próbując opanować mdłości, poszedłem do zakrystii, rozebrałem się i położyłem na łóżku.

Nie wiem, co mnie obudziło. Chyba jakieś dźwięki na zewnątrz dochodzące od strony głównych drzwi. Pewnie znów zaczęli się kręcić w okolicy.

Leżałem na łóżku, zlany potem. „Boże, co za koszmar!” - pomyślałem i przykryłem się po same uszy.

Było mi bardzo zimno...

# Starzyzna

## XIII

Wszystko jest już prawie gotowe.

Prócz notatek poczynionych w brulionie, w którym teraz piszę, zdążyłem przez kilka dni opowiedzieć także historię swojego pobytu w Starzyźnie. Było niewiele czasu, ale zdążyłem. Dzięki temu będę spokojniejszy.

Wyrwałem kartki i poukładałem na przemian w ten sposób, by wszystko złożyło się w logiczną całość. Gdy to robiłem, miałem wrażenie, że te dwie historie musiały się w końcu spotkać. I dzieje się to właśnie teraz. Jak skończę, zszyję wszystko, żeby się coś nie pomieszało.

Adamie, będziesz wiedział najlepiej, co zrobić z tym przedziwnym brulionem, prawda? Nie będę mógł Ci podziękować osobiście, więc czynię to za pośrednictwem zeszytu.

Jak się zapewne domyślasz, ta cała nocna historia, która - jak mi się zdawało - była snem, działa się naprawdę. Teraz już rozumiem, dlaczego Krzyś ostrzegał mnie przed snami. Na szczęście, do samego końca, do momentu, gdy znów znalazłem się w łóżku, nie miałem świadomości moich realnych wyczynów i zapewne tylko dzięki temu udało mi się szczęśliwie wrócić. Gdybym zorientował się na Czarnym Wygonie, że Oni naprawdę idą w moją stronę, nie potrafiłbym zrobić tego, co zrobiłem.

Pisałem, że zasypiając słyszałem odgłosy z zewnątrz i podejrzewałem, że mamy gości. Nie myliłem się. Ale zacznę może od początku.

## XIV

Rano obudził mnie krzyk Katarzyny.

To nie było zwyczajne wołanie, ale wrzask ocierający się o krańcową histerię.

Wstała jako pierwsza, jak miała w swoim zwyczaju, wzięła różaniec ze stołu i zapewne z zamiarem udania się do ubikacji wyszła na zewnątrz. Kiedy stanęła na schodach, była tak przerażona, że udało nam się ją uspokoić dopiero wtedy, gdy została na siłę zaciągnięta przeze mnie i przez Jaśka z powrotem do zakrystii.

Tego widoku nie zapomnę do końca życia.

No tak, w moim przypadku takie zapewnienie może być mylące, bo nie zostało mi już zbyt wiele czasu, więc lepiej ująć to w ten sposób: wiele potwornych rzeczy widziałem w Starzyźnie, ale ten obraz był z pewnością najgorszy.

Świtało i mgła zaczęła rzednąć, z każdą chwilą odsłaniając więcej.

Leżeli tak, jak popadnie. Niektórzy na schodach, niektórzy kilka metrów przed nimi. Ciała mężczyzn i kobiet przypominały porzucane przypadkowo szmaciane lalki z otwartymi oczyma, którym ktoś zapomniał domalować źrenice. Wszyscy leżeli na plecach i wpatrywali się w niebo. Nieruchomi, bezbronni, przysięgłbyś, że martwi.

Andrzej był powyginany w dziwny, nienaturalny sposób, jego rozrzucone na boki ręce przywodziły na myśl gest księdza, kierującego ku niebu modlitwę wiernych.

Jako pierwszy ocknął się Józek. Zszedł do jednego z ciał, uklęknął, a potem przywarł do niego szlochając bezgłośnie. To była jego matka.

Wróciłem do kościelnego przedsionka. Ręka Dobrowolskiego leżała w miejscu, gdzie ją rzuciłem. W tym całym zamieszaniu nikt jej nie zauważył, czemu trudno się było dziwić.

Za plecami usłyszałem krzyk starego Greli. Odwróciłem się i w oddali zobaczyłem wyłaniającą się z mgły, zakapturzoną postać w habicie, sunącą w naszą stronę.

- Co się stało z jego ręką? - zapytał Jasiek.

Nie było czasu na wyjaśnienia.

Rzuciłem się w głąb kościoła, by dopaść karabin. Zgarnąłem kilka naboji, leżących na kredensie i pobiegłem do wyjścia. Był już przy pierwszym z ciał, gdy strzeliłem w jego kierunku. Oczywiście, kula nawet go nie drasnęła, ale przystanął, gapiąc się na nas tymi swoimi przekłętymi ślepiami. Przerażony Józek zdążył tymczasem oderwać się od matki i stanąć u szczytu schodów. Podałem mu broń.

- Rozwał mu łeb - rozkazałem krótko.

Widząc, co się dzieje, Dobrowolski zaczął się cofać. Najwidoczniej wiedział co nieco o umiejętnościach strzeleckich Kowalika.

- A... aleja... a... akto? Ma... ma... mam strze... e... ełać do księ... księdza?

- To przez niego twoja matka nie żyje! - krzyknąłem - Tak trudno ci to zrozumieć?!

Gdy to usłyszał, natychmiast załadował karabin i podniósł go do oka. W innych okolicznościach z pewnością by trafił, jednak teraz, roztrzęsiony z emocji, celował nieznośnie długo. Wystrzelił dopiero wtedy, jak okaleczony przeze mnie Dobrowolski niknął właśnie we mgle. Najwyraźniej kula minęła jego głowę o włos, bo skulił się odruchowo. Zaraz potem już go nie widzieliśmy.

- Co tu się do cholery dzieje? - szepnął Jasiek, sądząc zapewne, że nikt nie będzie w stanie udzielić odpowiedzi.

Mylił się.

Moja opowieść brzmiała całkowicie niewiarygodnie, ale na szczęście na podłodze kościelnego przedsionka spoczywał dowód świadczący o tym, że nocna wyprawa na Czarny Wygon naprawdę miała miejsce.

- Szkoda, żeś jego łba nie przyniósł - skwitował Jasiek.

Trudno było odmówić mu racji. Gdybym mógł cofnąć czas, z pewnością nie marnowałbym naboji na strzelanie w ramię. Wszystkie, którymi dysponowałem w tamtym momencie - jakkolwiek by to okrutnie zabrzmiało - wpakowałbym w szyję Dobrowolskiego.

\*

Nie zastanawialiśmy się długo, co robić dalej. To, że Andrzej, matka Józka i wszyscy inni pojawili się przed kościołem, nie pozostawiało wątpliwości co do ich intencji. Nie mogli sami wejść do wnętrza świątyni, więc musieli liczyć na naszą pomoc. Ich przywódca zapewne zmarł na jakiś czas od odniesionych ran i to była dla nich jedyna szansa, by wyrwać się z objęć przeklętej nieskończoności.

W przedsionku nie było zbyt dużo miejsca, więc od razu postanowiliśmy, że ułożymy ciała w nawie głównej. Najpierw uprzętnęliśmy przestrzeń przy jednej ze ścian, a następnie zaczęliśmy wnosić do środka jedno ciało po drugim. Wszystko to trwało dość długo, ponieważ zaraz po przekroczeniu progu świątyni ciała zaczynały płonąć wewnętrznym ogniem, uzyskując temperaturę zmuszającą nas do położenia ich na posadzce i odczekania kilku minut, aż cały proces się zakończy. Gdy dymiły mniej, a my mogliśmy już ich dotknąć, nieśliśmy dalej i układaliśmy w rzędzie obok siebie.

Cały kościół wypełnił gryzący w oczy i duszący swąd. To były naprawdę ciężkie chwile, lecz niedogodności fizyczne nie były najgorsze dla moich współtowarzyszy. Oddawali ostatnią posługę swoim bliskim i sąsiadom, których przecież tak długo znali.

Jasiek z ojcem ze łzami w oczach wnieśli do kościoła dawno niewidzianą Marysię Szczepańską, która była przecież siostrą pierwszego, a jednocześnie córką starego Greli. Później ja z Józkiem przeniosłem jej męża. Potem byli kolejni... Janina Bielakowa, o której śmierci wspominał Rafał, przywołując relację Jaśka usłyszaną w trakcie pierwszego spaceru do kościoła, Andrzej Książ, wciąż tak bardzo podobny do Gielmudy, Władek Duda, starowinka - zapewne ta, którą Rafał tak dobrze pamiętał z pierwszego nabożeństwa wielkanocnego w Starzyń- nie. Potem inni...

Na prośbę Józka jego matka została wniesiona jako ostatnia. Wciąż nie mógł się z nią rozstać, ale wreszcie i ona spoczęła obok

pozostałych.

W kościele było siwo od dymu, który w dalszym ciągu, choć już nie tak bardzo intensywnie, wydobywał się ze zwłok, więc postanowiliśmy poczekać na zewnątrz, aż się trochę przewietrzy. Pootwieraliśmy okna i drzwi. Wtedy też wyprowadziliśmy Katarzynę z zakrystii.

Józek znów wziął karabin w ręce i wypatrywał księdza.

- No i co teraz? - zapytałem. - Zagrożenie oddalone, Dobrowolski nie zdoła już zrealizować swojego planu, więc chyba możecie zostać...

- Nie spędzę w tym kościele ani jednej nocy dłużej - rzekła stanowczo Katarzyna. - Wolę już umrzeć.

- Tamten też pewno tak łatwo nie odpuści - dodał Jasiiek. - W końcu nas i tak dorwie. Jak nie teraz, to za dziesięć albo i za sto lat. Teraz już będzie uważał, nie da się łatwo podejść, ale skoro ma czas, to będzie czekał. Zresztą, co to za życie. Ja też wolałbym stąd uciec. A ty, Józek?

- J... ja, t... to ta... a... ak sa... samo, jak i w... wy.

- Albin?

- Nie chcę tu zostać. Mam już dosyć.

Jasiiek spojrział na ojca wyczekująco.

Ten po chwili zastanowienia wszedł do kościoła, by zaraz potem wrócić ze spadłem w ręce. Postawił go obok framugi.

- A to po co? - zapytałem.

- Żeby nie zapomnieć, jak będziem w nocy wychodzić. Muszą mnie przecież czymś zakopać. Nie zostawią jak psa, a rękami ziemi nie będą darli.

Zrozumiałem, że zostanę w Starzyźnie sam. Nie muszę chyba dodawać, jak bardzo chciałbym móc do nich dołączyć.

## XV

Do północy już niedługo, a w powietrzu wciąż czuć smród spalenizny.

Wezmę karabin i pójdę z nimi do drogi, żeby w razie czego nie



pozwolić Dobrowolskiemu na utrudnianie ucieczki. Wiedziałem już wcześniej, że to zrobię, jeśli podejmą taką decyzję. Szczerze mówiąc, spodziewałem się jej i po to potrzebne mi były lekcje strzelania.

Kiedy znajdą się w „Twoim świecie”, wiedzą, co mają zrobić, by Cię odnaleźć. Wszystko mają napisane na kartce. Mają pójść do Stanisławskiego i poprosić go o pomoc. Na pewno nie odmówi.

A może będziesz na drodze do Guciowa? Wtedy sprawa byłaby o wiele prostsza. Wiedzą, jak wygląda Twój samochód (o ile przez te dwa lata go nie zmieniłeś). Mam nadzieję, że Paulinka wciąż żyje i publikacja tego brulionu jej pomoże. Kto wie, może zatrzyma też czas dla Jaśka, Katarzyny, Albina i Józka? W przeciwieństwie do mnie będziesz się mógł o tym przekonać.

\*

Zastanawiam się, czy nie pójść jutro za dnia na Czarny Wygon, by poszukać tego zwyrodnialca. Mam nadzieję, że uda mi się go ustrzelić tak, jak ostatniej nocy. Została mu przecież jeszcze jedna ręka i dwie całkiem sprawne nogi. Bez nich chyba cierpiałby przez wieki o wiele bardziej... A jeśli nie uda mi się go znaleźć? Cóż, nie będę go przecież szukał aż do swojej śmierci. Jeszcze by mu to sprawiło satysfakcję, że wciąż jest dla kogoś zagrożeniem? Czort z nim. Niech się błąka po tych lasach w pojedynkę przez nieskończoność. Nikogo już przecież nie skrzywdzi, a taka samotność jest chyba jeszcze gorsza od śmierci. Przynajmniej tak mi się wydaje; ciekawe, czy byś się za mną zgodził.

W każdym razie, tak czy inaczej, na pewno będzie miał to, na co sobie zasłużył.

Najgorzej będzie doczekać do rana. Przede mną noc spędzona w towarzystwie tylu nieboszczyków. A potem jeszcze jedna. Już tylko jedna.

Kolejnych nie będzie. Myślę, że wielkanocne południe to dobry czas na umieranie.

ATy?

Gdybyś był na moim miejscu, na pewno przyznałbyś mi rację.

Dobrze, że nie jesteś.

Wydaje mi się, że to wszystko.

Mam nadzieję, że o niczym nie zapomniałem.

## Epilog

Gdy skończył, było już po południu.

Wetknięte pomiędzy okładki brulionu i zszyte mocną drutką kartki odłożył na siedzenie pasażera. Długo siedział nieruchomo, wpatrując się w widok za przednią szybą samochodu. Ciężko mu było uwierzyć, że świeci słońce. Wrócił przecież właśnie z krainy, w której nie można go było uświadczyć.

Adam był wstrząśnięty tym, co właśnie przeczytał. Przez cały czas, gdy przewracał kolejne strony, miał nadzieję, że odnajdzie przynajmniej cień szansy na szczęśliwe zakończenie tej historii.

Mylił się.

Wiedział już, że nie zobaczy Witka nigdy więcej. Chociaż...?

Wciąż jednak się łudził. Myślał, że może to właśnie Witek zostawił zapiski w jego aucie, a później, z jakichś nieznanych przyczyn był zmuszony odejść.

Gdzieś w głębi duszy Nawrot zdawał sobie sprawę, że są to tylko jego pobożne życzenia.

Mimo to jedna rzecz przyniosła mu ulgę. Od początku lektury zastanawiał się, czy nie zawiódł przyjaciela, publikując poprzednie jego notatki dopiero po upływie ponad roku od ich otrzymania. Drżał przewracając kolejne kartki; na każdej z nich spodziewał się potwierdzenia faktu, że wydanie książki jednak coś zmieniło. Skoro jednak Witek nic o tym nie wspomniał, było jasne, że nawet gdyby wydrukowane zapiski ujrzały światło dzienne wcześniej, to i tak sytuacja mieszkańców Starzyny nie poprawiłaby się. Klątwa zatajenia rządziła się nieugiętymi regułami, które musiały być wypełnione do końca.

Wysiadł z auta i wszedł pomiędzy drzewa rosnące obok drogi<sup>1</sup>.

Nie sądził, że uda mu się odnaleźć strzelbę, którą Uchmann pożyczył od Stanisławskiego, ale ponieważ taki spacer mógł pomóc zebrać myśli, Adam chętnie skorzystał z okazji.

Nie miał pojęcia, gdzie dokładnie stał wtedy opel Rafała; mógł się tego jedynie domyślać, a możliwości było przecież sporo. Nie poddał się od razu i spróbował przeszukać poboczne drogi.

Po jakichś pięciu minutach nadepnął na coś twardego, co z pewnością nie mogło być kawałkiem gałęzi. Pochylił się i spod warstwy ściółki wydobyl zardzewiałą już całkiem broń. Wrócił z nią do samochodu i włożył do bagażnika.

„Będę musiał za nią zapłacić Stanisławskiemu” - przeszło mu przez myśl.

W tym momencie Adam najchętniej wsiadłby do samochodu i odjechał, lecz zdawał sobie sprawę, że nie może tego zrobić. Ktoś przecież zostawił notatki w jego aucie, więc musiał być niedaleko.

Odruchowo pomyślał o Czarnym Wygonie.

„Na pewno tam pochowałiby starego Grełę”.

Problem polegał na tym, że Nawrot nigdy nie był w tym miejscu. Do zmierrchu pozostawało jednak na tyle dużo czasu, że mógł przynajmniej spróbować odszukać tę przeklętą polanę.

\*

Ani w pierwszym, ani też w drugim brulionie nie opisano dokładnej lokalizacji Czarnego Wygonu. Można było co najwyżej zebrać wszelkie informacje na jego temat i na ich podstawie spróbować tam trafić.

Przede wszystkim Adam musiał dojść do Słonecznej Doliny, co zajęło mu ledwie kilka minut. Skąpana w słonecznym blasku, już lekko zieleniejąca, rozległa przestrzeń nie pozwalała nawet przypuszczać, że tak potworne wydarzenia mogły się tu odbyć. Nad nią i nad okalającymi ją wzgórzami unosiła się lekka mgiełka wydobywająca się z podłoża, które chwytalo w ten sposób pierwszy oddech wiosny. Wokół rozlegał się świergot niezliczonej ilości ptactwa. Nawrot nie przyszedł tu jednak po to, by podziwiać uroki roztoczańskiej przyrody.

Jakiś czas szedł drogą krańcem doliny, a następnie, zaraz po minięciu najpierw rozłożystego buka, a potem leciwej jodły, skręcił w prawo, zagłębiając się w las.

Metodycznie penetrował teren o szerokości kilkudziesięciu metrów, z każdym krokiem oddalając się od coraz mniej widocznej za plecami, jasnej przestrzeni. Szukał ścieżki, o której pisał Witek. Wreszcie ją znalazł i przyspieszył kroku.

Był pewien, że zbliża się do celu. Bez troski świergot z każdym krokiem zanikał, by wreszcie zamilknąć prawie całkiem.

Kiedy Adam stanął na skraju niewielkiego, otwartego terenu, miał wrażenie, że zmierzch zapadł w tym miejscu dosłownie w kilkanaście sekund. Pomimo to, w szarówce, zdołał wypatrzyć grupkę osób, siedzących na przeciwległym krańcu polany.

Zauważyli go dopiero, gdy przebył prawie połowę drogi i był niemal dokładnie w centralnym punkcie Czarnego Wygonu. Podnieśli się gwałtownie ze swoich miejsc. Mimo że Nawrota dzieliło od nich jeszcze kilkadziesiąt metrów, widział w ich oczach obawę. Bez trudu rozpoznał Jaśka po wielkiej, bujnej brodzie i Albina po braku ramienia. Katarzyna i Józek stali tuż obok nich. Cała czwórka odruchowo zbiła się w ciasną grupkę.

Przed nimi piętrzył się niewielki kopczyk świeżej ziemi, zwieńczony niewielkim krzyżem, którego niezbyt grube ramiona związane były giętkimi gałązkami jakiegoś krzewu.

Adam przystanął w pewnej odległości, by nie potęgować strachu tych ludzi.

- Dzień dobry - powiedział, podnosząc rękę. - Nie bójcie się. Nazywam się Adam Nawrot i wiem, kim jesteście.

Jako pierwszy odezwał się Grela:

- Tak, widziałem pana w nocy, w samochodzie... Spał pan.

- Mówcie mi po imieniu. Jestem przyjacielem Witka. To ty przyniosłeś brulion, tak?

Skinął głową.

- Dlaczego mnie nie obudziłeś?

- Musieliśmy najsamprzód pochować mojego ojca - odparł, z trudem przełykając ślinę. - Zresztą, Witek powiedział, że jak pan będzie w samochodzie, to przyjdzie tu razem z nami. Pan spał, nie chciałem budzić... - przerwał na chwilę.

Nawrot z przykrością patrzył na tego barczystego mężczyznę, tłumaczącego się przed nim jak mały chłopiec, który coś

przeskrobał. Nie starał się nawet ponowić prośby, aby Grela zwracał się do niego po imieniu. Tylko by go to niepotrzebnie bardziej speszyło.

- ...no i żem myślał, że pan będzie wiedział, jak tu do nas trafić - dokończył, ani razu nie nabierając przez ten czas powietrza.

- No i dobrze żeś zrobił - uśmiechnął się Adam. - Wcale nie musisz się przede mną usprawiedliwiać. Dobrze, że jesteście.

Patrzyli już na niego inaczej. Bardziej z ulgą niż z obawą.

- Musimy się zbierać, bo niedługo noc - dodał. - Pójdziecie ze mną?

- Pó... pó... pójdziem - Józek wyrwał się jako pierwszy.

- Witek mówił, że mamy z panem iść - dodał Grela. - To i pójdziem.

Nawrot szedł przodem, mając jedynie dość krótkoterminowy plan, by doprowadzić to towarzystwo do samochodu. Nie miał pojęcia, co z nimi dalej począć, gdzie ich przenocować, w jaki sposób się nimi zająć.

A jednak, gdy już byli niedaleko samochodu, wpadł mu do głowy pewien pomysł.

\*

Ponieważ Grela był najbardziej barczysty, usiadł z przodu, natomiast Cieplakowa, Albin i Józek zajęli miejsca na tylnym siedzeniu fiata.

Jeszcze zanim ruszyli, Nawrot sprawdził, czy jego telefon komórkowy jest w zasięgu. Ponieważ sygnał był bardzo słaby i połączenie mogłoby zostać przerwane, Adam zdecydował, że zatrzyma się, jak tylko będzie mógł zadzwonić bez problemu.

Minęli Guciów i kierowali się w stronę Krasnobrodu. O ile Jasiak, który miał już styczność z autem, czuł się w nim całkiem swojsko, o tyle przestraszone twarze, odbijające się w środkowym lusterku kierowcy świadczyły o tym, że reszta pasażerów nie jest zbyt przekonana do tego środka transportu. Cóż, nie było wyjścia - musieli to jakoś przeżyć.

Adam po raz kolejny spojrział na wyświetlacz i zatrzymał auto na poboczu. Tym razem zasięg był zadowalający.

- Cześć, Heniu, tu Nawrot. Przepraszam, że przeszkadzam ci w Wielką Sobotę, ale mam bardzo pilną sprawę. Będziesz mi mógł pomóc?

Chwila ciszy i zdziwione spojrzenia pasażerów.

- To świetnie. Słuchaj, jestem daleko od netu, więc chciałbym, żebyś mi wyguglał jedną rzecz. Dałoby radę?

- Super! Chodzi mi o dom... no nie wiem, jak to się dokładnie nazywa. Przyparafialny dom pomocy, czy coś takiego...?

- Nie, niestety nie wiem, w jakiej miejscowości, ale to jest gdzieś koło Zamościa. Poczekaj sekundę.

Adam wysiadł z samochodu i odszedł kilka kroków.

- Prowadzi go ksiądz, jego nazwisko to „Dobrowolski”. Wpisz „dom pomocy Dobrowolski”, może coś wyskoczy.

- Tak, bardzo mi zależy na czasie. Mógłbym zadzwonić za jakieś dziesięć minut?

- Bardzo fajnie, wielkie dzięki. Aha! Heniu...?

- Jeszcze jedno. Sprawdź mi, bardzo cię proszę, czy dwudziestego piątego lutego tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku było w Polsce widoczne zaćmienie słońca.

- Tak, zaćmienie.

- Powiem ci, jak się spotkamy, dobra?

- O.K. W takim razie zadzwonię za dziesięć minut...

- Dobrze, za piętnaście. Bardzo ci dziękuję. Na razie.

Kiedy znów usiadł za kierownicą, patrzyli na niego podejrzliwie. Nic dziwnego - po raz pierwszy widzieli kogoś, kto gada do niewielkiego, czarnego pudełeczka.

Zanim wytłumaczył, o co chodzi, i przekonał, że właśnie byli świadkami, jak rozmawia z kimś, kto jest prawie trzysta kilometrów stąd, nie używając do tej sztuczki kabla, zdążyli znaleźć się w Krasnobrodzie.

Znów wysiadł, zabierając tym razem ze sobą notes.

- Cześć, Heniu! No i jak, udało ci się?

- O, to genialnie. Poczekaj, zanotuję.

Przycisnął ramieniem telefon do ucha i zanotował nazwę miejscowości.

- Czekaj, czekaj... Powiedziałaś, że jak ma na imię?

- Walenty... O.K.

Wydawało mu się, że, jak wynikało z notatek, dokładnie tak nazywał się ksiądz ze Starzyzny.

- Tak, tak, słucham cię Heniu.

- Aha... Rozumiem, było, tak? Niepełne?

- A wiesz może, ile mniej więcej procent tarczy było...

- Czterdzieści. Heniu strasznie ci dziękuję! Jestem ci wamien flaszkę. I raz jeszcze przepraszam, że...

- Dobra, już nie będę. Trzymaj się. Wesołych Świąt!

- Dzięki.

- No i jak się wam podoba Krasnobród? - zapytał, znów siadając za kierownicę. - Zmienił się trochę od ostatniego czasu, prawda?

Sprawdził w atlasie drogę. Wyglądało na to, że mają przed sobą jakieś czterdzieści minut jazdy.

W drodze podpytał o księdza i dowiedział się, że jednak mylił się co do imienia. Tamten nazywał się Wincenty Dobrowolski. Podobnie, ale jednak na szczęście nie tak samo.

\*

Gdy dojechali, była za kwadrans osiemnasta.

Z pomocą kobiety, zmierzającej właśnie do kościoła, trafili do prowadzonego przez księdza domu pomocy, który mieścił się w świeżo odremontowanym dworku.

Nawrot zaparkował niedaleko wejścia.

- Poczekacie tu, dobrze? - rzekł wysiadając. - Zaraz wrócę.

Drzwi otworzyła mu przysadzista, mniej więcej sześćdziesięcioletnia kobieta w szarym habicie.

- Szczęść Boże - zagaił. - Czy zastałem może księdza Dobrowolskiego?

Zmierzyła Adama wzrokiem.

- A pan w jakiej sprawie?

- Mam do niego bardzo pilną sprawę. Czy mógłbym z nim porozmawiać?

- Ksiądz właśnie się zbiera na mszę. Nie wie pan, że jest Wielka Sobota?

- Tak wiem, ale to bardzo pilne...



- Msza zaczyna się zaraz. Chyba że zaczeka pan, aż się skończy.
- Siostró Łucjo! - dobiegło zza jej pleców. - Czy to ktoś do mnie?

W korytarzu pojawił się przygarbiony, siwy staruszek. Adam ocenił, że może mieć około osiemdziesiątki. Zbliżał się do drzwi dziarskim krokiem, a tym, co przykuwało uwagę, były jego szczere, roześmiane oczy.

- Tak, proszę księdza. Ten pan. Ale ja właśnie mówię, że ksiądz wybiera się do kościoła...

- Siostró Łucjo - przerwał jej z udawaną przyganą w głosie. - Przecież chyba jak się spóźnię parę minut, to nie trafię od razu do piekła?

Siostra Łucja zrobiła Adamowi przejście i przewróciła oczami.

- Zawsze to samo - mamrotała. - Ksiądz to zawsze by każdemu tylko szedł na rękę. Przecież ten pan mógł wcześniej przyjechać, jeśli miał taką pilną sprawę, że nie może ona czekać.

- Gdyby mógł, to pewnie by przyjechał. Prawda, młody człowieku? - zapytał z uśmiechem. - Proszę, niech pan wejdzie dalej.

Adam ruszył za nim korytarzem. Po chwili znaleźli się w skromnie urządzonej biurze.

- Słucham - dopiero wtedy wyciągnął rękę na powitanie. - W czym ci mogę pomóc, chłopcze.

Przyjmując ciepłą, dość jeszcze silną dłoń, Nawrot zastanawiał się, kiedy ktoś ostatnio zwracał się do niego w ten sposób.

Dobrowolski usiadł w swoim fotelu za biurkiem, a Adam, po przedstawieniu się, naprzeciw niego, po drugiej stronie blatu.

- Nie będę owijał w bawełnę, proszę księdza - zaczął. - Bardzo liczę na księdza pomoc. Przekazano mi... ktoś powiedział mi, że księdza bratanek...

- Jestem tu po to, żeby pomagać, młody człowieku. Nieważne, skąd się dowiedziałeś. Nie przejmuj się, tylko powiedz, o co chodzi.

- W moim samochodzie mam czwórkę osób, które nie mają domu.

Staruszek przypatrywał się Nawrotowi przez dłuższą chwilę.

- Czy to rodzina?

- Nie, proszę księdza. To znaczy, nie są moją rodziną, nie są też spokrewnieni. Czworo dorosłych - trzech mężczyzn i jedna kobieta.

- Nie mają domu, powiadasz? A co stało się z ich domem, czy też może domami?

Adam spuścił wzrok.

- Przykro, ale teraz nie mogę powiedzieć. Mógłbym coś nazmyślać, ale...

- Dobrze. Skoro nie możesz, to nie mów. Być może przyjdzie na to czas. Poczekaj, niech się zastanowię.

W zamyśleniu pocierał dłonią porane zmarszczkami czoło. Wreszcie znów popatrzył na swojego rozmówcę.

- Nie mamy czterech miejsc.

Adam już miał się odezwać, ale ksiądz powstrzymał go ruchem ręki.

- Poczekaj, chłopcze. Nie mamy czterech miejsc, ale mamy kilka łóżek polowych, które moglibyśmy wykorzystać. Dla pani będzie osobny pokój, ale panowie będą musieli pomieścić się we trzech w jednym.

- Nie wiem, jak księdzu dziękować, naprawdę...

- Nie dziękuj. Po to przecież jestem. Pomaganie ludziom w potrzebie to naprawdę nie taka wielka sztuka - uśmiechnął się i spojrzał na zegarek, po czym z trudem podniósł się z fotela. - No, teraz muszę się już zbierać, bo siostra Łucja zaraz naprawdę się zdenerwuje - mrugnął do Adama porozumiewawczo. - To złota kobieta, tylko trochę szorstka. Powiem jej, żeby wszystko przygotowała. Ty w tym czasie przyprowadź swoich znajomych. Poczekacie w świetlicy - od wejścia na prawo i korytarzem do końca.

- Proszę księdza - powiedział Adam wstając. - Aleja dziś będę musiał wyjechać... Przyjadę prawdopodobnie jutro. Wiem, że nie najlepiej to wszystko wygląda, ale...

- Nie tłumacz się, chłopcze. Może kiedyś, jak zechcesz, to wszystko mi opowiesz... Cieszę się, że mogę tobie i twoim znajomym pomóc.

- Czy coś mam zapłacić?

Ksiądz uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Damy sobie radę, nie martw się. A teraz idź i ich przyprowadź, bo nie wypada, żeby tak długo czekali w samochodzie.

\*

Dziesięć minut później w piątkę siedzieli w świetlicy, czekając na siostrę Łucję. Okazało się, że ksiądz naprawdę aż tak bardzo nie spieszył się do kościoła, bo już w płaszczu przyszedł, żeby poznać swoich podopiecznych.

Adam wstał uśmiechając się, lecz pozostali zareagowali zupełnie niespodziewanie. Na twarzy Katarzyny odmalował się niekontrolowany strach. Poderwała się z krzykiem i wtuliła w najdalszy kąt pomieszczenia, nie spuszczając księdza z oczu. Albin z Jaśkiem także wstali i stanęli obok niej, wrogo łypiąc na duchownego. Tylko Józek zachował się w miarę normalnie. Wstał, wyprostował się, uśmiechnął niepewnie i zaczął dukać „niech będzie pochwalony”.

Dobrowolski wyglądał na zaskoczonego, lecz mimo to jego twarz nie zmieniła pogodnego wyrazu.

- Na wieki wieków - odpowiedział Józkowi, a potem zwrócił się do pozostałej trójki - nie bójcie się mnie, kochani. Wiem, że jestem już stary i nie za ładnie wyglądam, ale nic złego wam nie zrobię.

Nikt z nich nie odezwał się ani słowem, więc ksiądz odwrócił się i chwycił za klamkę.

- Proszę księdza - rzekł Adam. - Czy mógłby ksiądz sekundę na mnie poczekać?

- Oczywiście, chłopcze. Czekam na zewnątrz.

Gdy staruszek wyszedł, Nawrot warknął do stojącej w kącie trójki:

- Czy wyście powariowali? Przecież ten człowiek chce wam pomóc, a wy jak się zachowujecie?

Milczeli jak zakłęci. Wreszcie Jasiek zdobył się na odwagę.

- To Dobrowolski, proszę pana - odezwał się szeptem. - To on, tylko dużo starszy...

- Skąd możecie wiedzieć, że to on? I jak niby miałyby się tak

szybko postarzeć? Spójrzcie na siebie. Nawet jeszcze po was nie widać, więc jak? Podobny jest, bo miał sutannę i ciemny płaszcz, a rysów twarzy po tylu latach i tak byście nie rozpoznali.

- To on, proszę pana - upierał się. - Te oczy to na końcu świata bym poznał...

- Wy też myślicie, że to wasz ksiądz?

- No nie wiem - odparł Albin. - Bardzo podobny...

- Muszę was tu zostawić. Wolałbym zostać, ale muszę jeszcze zrobić coś, co jestem winien Witkowi. Wiecie, że jestem jego przyjacielem, prawda? - patrzył na nich, przenosząc wzrok z jednej twarzy na drugą.

Stłoczona w kącie trójka równocześnie odpowiedziała skinieniem głów. Józek był gdzieś w swoim świecie, oglądając porozwieszane na ścianach kolorowe obrazki, i nie zważał na to, co dzieje się wokół niego.

- Ufaliście mu, prawda?

Znów przytaknęli.

- Skoro tak, to zaufajcie również mi. Przecież wiecie, że on tego chciał. Sam wam powiedział, prawda?

Ten argument wydawał się do nich trafiać. Znów usiedli przy stole.

- Ano, prawda - sapnął Grela.

- Zaraz zajmie się wami siostra Łucja, a ja przyjadę jutro po południu. Zgoda?

- Wierzym panu - znów Jasiek odpowiedział w imieniu wszystkich. - Może to i nie on, tylko ktoś podobny...

- No właśnie. Idę, bo on tam na mnie czeka - rzekł Adam, kierując się do wyjścia. - Aha, byłbym zapomniiał. Kto z was ma różaniec Pauliny Podolak?

- Ja, a bo co?

- Jasiek, muszę go zabrać ze sobą. Oddasz mi go, dobrze? Grela lekko się ociągając spełnił prośbę.

- Dobrej nocy - powiedział Nawrot i opuścił świetlicę.

\*

Dobrowolski czekał na zewnątrz tak, jak obiecał.

- Chyba się mnie trochę wystraszyli? - zapytał, gdy dołączył do niego Adam.

- Chyba trochę tak. Przepraszam...

- Daj spokój. O co chciałeś zapytać?

- Widział ksiądz, że ich ubrania nie są w najlepszym stanie...

Może...

- Znajdziemy coś. Nic się nie martw.

- Bardzo księdzu dziękuję.

Ten tylko machnął ręką.

- No, idę już, bo msza dawno się zaczęła - powiedział. Zdażył już odejść kawałek, gdy Adam się z nim zrównał.

- Jeszcze jedno, proszę księdza...

Dobrowolski przystanął i spojrzął z pytającym uśmiechem.

- Proszę się nie gniewać, ale... czy...

- Tak?

- Czy ksiądz miał może... albo ma brata, który także jest duchownym?

Staruszek przyglądał się przez chwilę twarzy swojego rozmówcy. Teraz już się nie uśmiechał. Wreszcie odparł poważnym tonem

- Nie, chłopcze. Nie mam i nie miałem - zawahał się przez chwilę. - Ale... nie wiem, skąd ci to przyszło do głowy...? Zresztą, wszystko jedno. To dziwne i jeszcze dotąd nikomu o tym nie mówiłem, ale bardzo często mam taki sen, że odprawiam swoją pierwszą mszę wspólnie z moim bratem, który jest do mnie bardzo podobny. Mamy po dwadzieścia kilka lat i jesteśmy szczęśliwi, że równocześnie zostajemy kapłanami...

Zamyślił się, po czym dodał:

- I wiesz... Mimo że jestem wtedy szczęśliwy, to... trudno mi to wyjaśnić... ale za każdym razem, gdy się budzę, mam świadomość, że to nie jest dobry sen - uśmiechnął się smutno. - Bywaj, chłopcze. Do jutra. Niech cię Bóg prowadzi.

\*

Gdy znalazł się znów w Krasnobrodzie, raz jeszcze sięgnął do notatek Witka. Włączył górne światło w aucie i przejrzał

pierwsze strony brulionu. Znalazł poszukiwany fragment, a potem wysiadł z samochodu i zapytał młodą kobietę o drogę do klasztoru dominikanów.

Pięć minut później był na miejscu.

W przyklasztornym kościele akurat skończyła się Liturgia Wigilii Paschalnej. Ludzie niespiesznie rozchodzili się do domów, by tam oczekiwać mającego nastąpić nazajutrz zmartwychwstania.

Kiedy wszedł do wnętrza świątyni, nikogo nie zobaczył. Z zakrystii dobiegały odgłosy krzątania po zakończonym nabożeństwie. Miał nadzieję, że nie zauważą go, zajęci swoimi sprawami.

Odszukał wzrokiem cudowny obraz, podszedł do niego i na wszelki wypadek raz jeszcze rozejrzał się wokół, wyjął z kieszeni różaniec należący niegdyś do Pauliny i umieścił go poniżej obrazu, pośród ryngrafów, sznurów koralu i innych wotywnych darów.

Zwykle są to przedmioty dziękczynne, ale Adam wiedział, że często składa się je też w jakiejś intencji. Miał się o co modlić, więc uklęknął przed obrazem. Nie słyszał wychodzących ministrantów ani księdza, który przysiadł na jednej z ławek i czekał, aż ostatni wierny zakończy swoją rozmowę z Bogiem.

Siedział tak dobrych czterdzieści minut, aż wreszcie Nawrot przeżegnał się i wstał.

- Szczyście Boże - odezwał się do duchownego. - Długo ksiądz czeka?

- Jakiś czas, ale to nic nie szkodzi. Jeśli pan skończył, pora zamykać kościół.

- Dziękuję. Wesołego Alleluja.

- I panu również.

„Nie będzie wesołe, proszę księdza” - pomyślał Nawrot, ale przed wyjściem nie odezwał się już ani słowem.

\*

Jeszcze siedząc w samochodzie Adam dochodził do siebie po długiej, wyczerpującej modlitwie. Mimo że był od zawsze

zdeklarowanym i praktykującym katolikiem, zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że nie wszystkie prośby zostają wysłuchane. Przeczuwał, że podobnie będzie w tym wypadku, lecz mimo to kilkadziesiąt minut spędzonych na rozmowie z Bogiem pomogło mu się wyciszyć i z większym spokojem przyjąć to, co się stało z Witkiem.

Od poprzedniego dnia nic nie jadł, ale nie czuł głodu. Chciało mu się bardzo pić, a ponieważ spodziewał się, że trudno będzie znaleźć jakiś otwarty sklep, postanowił odszukać cudowne źródło i przy nim ugasić pragnienie.

Niedługo potem ruszył w kierunku Guciowa.

\*

Wieś wyglądała na wymarłą. Na przebiegającej przez nią drodze nie widać było żywego ducha.

Sam się sobie dziwił, że miał nadzieję na nocleg w pokoju gościnnym gospodarstwa Stanisławskiego. Brama zamknięta była na głucho, a w zabudowaniach nie paliło się żadne światło.

„Mógłbym wrócić do domu, w którym zostawiłem Jaśka i innych, pewnie by mnie tam jakoś przenocowali, a jutro znów bym tu przyjechał” - pomyślał, lecz natychmiast odrzucił ten pomysł.

Po pierwsze, nie chciał sprawiać kolejnego kłopotu księdzu, który i tak wykazał już wystarczająco dużo dobrej woli. Poza tym nie mógł sobie pozwolić na ryzyko, że coś się stanie i nie uda mu się pojawić tu w Wielkanoc na czas. Wystarczyłaby usterka auta, a zamierzenia Adama ległyby w gruzach.

Nie wyobrażał sobie, że może go nie być w południe w okolicy Słonecznej Doliny. Wiedział, że może to głupie, ale czuł, że musi tam być ze względu na przyjaciela.

Wjechał na rozległy parking, leżący naprzeciw zagrody i zgasił silnik.

Czekała go kolejna noc spędzona w samochodzie.

\*

Obudził go cichy szmer drobnego deszczu, bębniącego o dach

samochodu.

Spojrzał na zegarek i ze zdziwieniem stwierdził, że już minęła siódma.

W nocy długo nie mógł zasnąć. Cały czas myślał o Witku i o tym, co się z nim dzieje. Gdy wreszcie zasnął, spał tak twardo, że nie obudziły go nawet odgłosy przejeżdżających drogą samochodów.

Ludzie spieszyli się na mszę. Pomyślał, że i on weźmie w niej udział. Do południa było jeszcze sporo czasu.

Nie wiedział, gdzie jest kościół, więc postanowił po prostu pojechać za sznurem samochodów i w ten sposób trafił do celu.

Msza rozpoczęła się o ósmej i trwała ponad półtorej godziny. Adam wyraźnie odróżnił się od pozostałych wiernych, z których wielu, zamiast się modlić, kątem oka obserwowało nieznanego w dżinsach, ciężkich, nieco ubłoconych butach i sportowej kurtce.

Było mu wszystko jedno; nigdy nie przywiązywał wagi do drobiazgow, takich jak obowiązkowy odświętny ubiór.

\*

Kiedy ponownie zajechał na znajomy parking, była dokładnie dziesiąta.

Zapytał kogoś o najkrótszą drogę do Słonecznej Doliny, a potem znów schował się przed mżawką w ciepłym zaciszu swojego fiata.

Według zapewnienia miejscowych, przez górujący nad wsią podłużny garb, można się do niej dostać w niecałe pół godziny.

Pokazali oni też miejsce, w którym od asfaltu odbija prowadząca tam ścieżka, więc Adam mógł przeczekać w samochodzie. Coraz bardziej się bał.

\*

Dwadzieścia po jedenastej pozamykał samochód i wyruszył w drogę.

Wiedząc, że ma kilka minut zapasu, nie spieszył się podchodząc pod wyniesienie terenu. Buty ślizgały się na błocie i mokrej trawie, a deszcz zalewał oczy. Adam pożałował, że nie przypiął



do nieprzemakalnej kurtki kaptura i zaraz potem gorzko się uśmiechnął do samego siebie.

„Pomyśl lepiej o Witku, głąbie, a nie o tym, że ci deszcz pada na głowę. On z pewnością wiele by dał, żeby mieć tylko takie zmartwienia...” - zgañił się w duchu.

\*

Mieszkańcy Guciowa, z którymi rozmawiał, chyba zbyt optymistycznie ocenili czas przejścia, bo dziesięć minut przed południem do przełamania grzbietu wciąż miał spory kawałek. Musiał przyspieszyć kroku.

Wreszcie po raz pierwszy zobaczył ją z góry.

Mimo że niewidoczna jeszcze w całej okazałości, Słoneczna Dolina prezentowała się imponująco nawet pomimo mżawki i mgły, spowijającej dno obszernej niecki. Wokół nie było słycać śpiewu ptaków, które najwyraźniej tego ranka wołały schronić się przed deszczem.

Spojrzał na zegarek. Do południa pozostały dwie minuty.

Postanowił przejść jeszcze kawałek, by obejrzeć Słoneczną w całej okazałości. Zastłaniało mu niewielkie wyniesienie terenu i właśnie na jego szczycie zamierzał przystanąć.

Nie zdążył jednak przed dwunastą, więc zatrzymał się trochę wcześniej i wstrzymał oddech. Przez cały ten czas, który minął od momentu, gdy zapoznał się z zawartością brulionu, zastanawiał się, czy zdoła usłyszeć strzał.

Adam patrzył na najmniejszą wskazówkę zegarka, która za chwilę miała się zrównać z pozostałymi.

Gdy to się stało, nie usłyszał nic, poza krzykiem kruka, zataczającego kręgi nad widocznym w oddali lasem.

Ptak odzywał się od czasu do czasu, ale do jego metalicznego zaśpiewu po chwili dołączył jeszcze jeden dźwięk. Początkowo nieśmiały, niemal na granicy słyszalności, a później coraz mocniejszy.

Od Słonecznej Doliny dobiegał odgłos bijącej sygnaturki.

- Boże Świąty! - szepnęła Nawrot i nie zastanawiając się, biegiem ruszył do przodu.

Zza widocznego przed nim podwyższenia terenu wyłonił się czubek zieleniejącego już lekko drzewa. Chwilę później Adam zobaczył całą koronę rozłożystej czereśni. Był pewien, że to ta sama, o której pisał jego przyjaciel.

Z mglistego dna doliny rozlegało się miarowe bicie dwóch dzwonów.

„Święty Józef” odezwał się jako ostatni.

## Rozdział ostatni

### 1.

Sam się sobie dziwię, że mam ochotę pisać.

Może to przez to, że nie mam się do kogo odezwać?

W każdym razie zostało mi jeszcze kilka kartek po drugim brulionie Rafała. Te, które były zapisane, zszyłem dratwą, którą Katarzyna przyniosła z domu, i dałem Jaśkowi. Ciekawie to wyglądało. Zastanawiam się, czy Adam zdążył już wszystko przeczytać. Zakładam, że tak, bo tak mi wygodniej.

Człowieka łatwiej zabić, niż odebrać mu nadzieję.

Czyja to piszę dlatego, że mam nadzieję? Nie sędzę. Jestem tu tak bardzo sam, że nawet ona do mnie nie zagląda.

Bardziej łudzę się, że ktoś to kiedyś przeczyta. Podobnie jak rozbitek, który wkłada list do butelki, a potem rzuca go na wodę w nadziei...

Ja w kółko o tym samym. Moja nadzieja stoi w kącie zakrystii i jest naładowana jednym starannie wybranym nabojem. Wybrałem taki, który najbardziej się błyszczał. Istne чудо!

Która to jest? Piętnaście po siódmej. Jeszcze cztery i trzy czwarte godziny. Potem będzie po wszystkim. Wbrew wcześniejszym planom zrobiłbym to wcześniej, ale miałem sen. Sen pachnący tytoniem. Ale po kolei...

A właśnie! Może ja piszę dlatego, że dzięki temu czas do południa mi szybciej zleci? Zajmę czymś myśli i jakoś zleci.

Tak, to bardzo prawdopodobne.

### 2.

Odprowadziłem ich do drogi. Byliśmy dość wcześnie i rozmowa się jakoś nie kleiła. Trudno się żegnać, gdy się wie, że NA PEWNO

widzi się kogoś po raz ostatni. Brakuje sensownych słów. Bezsensownych zresztą też.

Dobrowolski nam nie przeszkadzał.

W ostatniej chwili Jasiak chciał mi zostawić różaniec, ale odmówiłem, twierdząc, że może w „tamnym świecie” przyda się bardziej.

W sumie to prawdopodobne, bo tutaj nie byłoby do niczego potrzebny.

Gdy zaczęły dzwonić, ruszyliśmy do przodu razem i - przysięgam - widziałem światło księżyca. Naprawdę! Jasne plamy między drzewami i takie srebrne smugi. Mam wrażenie, że gdzieś tam w oddali majaczył też kanciasty zarys bryły samochodu.

Wtedy się zatrzymałem i zacząłem biec w przeciwną stronę. Nie chciałem, żeby przeze mnie im się nie udało. No i udało im się. Chyba. W każdym razie zniknęli ze świata, który przez dziesięciolecie był ich pułapką. Mam nadzieję, że trafili tam, gdzie zamierzali.

Gdy było po wszystkim, polazłem na Czarny Wygon. Tego szurniętego klechy już się nie bałem, bo miałem karabin, i byłem przekonany, że z bliskiej odległości będę potrafił sobie jakoś poradzić. Kręciłem się tam, pohukiwałem, wyzywałem Dobrowolskiego od najgorszych, ale się nie pojawił. Może bał się, że nie da mi rady jedną ręką?

Przerwałem na chwilę i znów nalałem trochę do kubeczka. Znalazła się jedna butelczynka u Grelów. Tak mi się wydawało, że gdzieś tam jeszcze powinna być. Stała tak sobie sama przez tyle czasu...

Już wczoraj miałem na nią chrapkę, ale pomyślałem, że będzie na święta. No i jest. „Chrystus zmartwychwstał, zdrowia!”

O czym ja tu... Aha. No i nigdzie go nie było, więc pomyślałem, że jeszcze raz tam pójść w dzień.

Wracałem do kościoła normalnie, drogą. Za bardzo to mi się nie spieszyło do towarzystwa, które na mnie czekało. Szczerze

mówiąc, zastanawiałem się, czy nie zostać na dworze do świtu.

Przechodząc obok ruin domu Komisarczuków, usłyszałem jakiś głos. Właściwie głosik. Poszedłem w tamtą stronę. Anielka błąkała się po podwórzu, z płaczem wołając tatę i mamę. Gdy mnie zobaczyła tymi swoimi ślepymi oczyma, zaczęła do mnie iść, ciągle pytając o rodziców. Na wszelki wypadek wycelowałem w nią karabin. Nie wyglądało to najlepiej, wiem, ale bałem się jej. Naprawdę się bałem, tym bardziej że mogła to być jakaś sztuczka „Pana Jednorękiego Bandyty”.

Obiecałem, że ją do nich zaprowadzę, i kazałem iść przede mną do domu Grelów. Zanim zamknąłem Anielkę w tej samej spiżarni, w której kiedyś więziliśmy jej rodziców, zapytałem, jak tu trafiła. Powiedziała, że „przez górkę” i że „przeprowadził ją tamtędy taki mały chłopczyk”.

Okazało się, że „przez górkę”, to znaczy koło czereśni, przy której zakopana była Paulina.

I wtedy zapaliło mi się ostrzegawcze światełko. Zacząłem zastanawiać się, czy aby Dobrowolski nie wywinął jakiegoś głupiego numeru. Tak się wcześniej przyzwyczailiśmy do myśli, że do „mojego świata” lub stamtąd można się wydostać tylko drogą, że nie przyszło nam do głowy, że mogą być też inne możliwości. Mało tego - być może istnieje coś takiego, jak granica okalająca Starzyznę i można ją przekroczyć w dowolnym miejscu, byleby wtedy tylko były dzwony. Nie spodobała mi się ta myśl.

Chlup.

Zostawiłem malej siennik, żeby mogła spokojnie i wygodnie zasnąć, zamknąłem ją od zewnątrz, a potem poszedłem do kościoła.

Sto razy wołałbym nocować w domu Grelów, ale wtedy mógłbym zostać zaskoczony we śnie. W sumie niewiele by to zmieniło, ale obawiałem się bólu. Nie wiedzieć czemu, miałem niejasne przeczucie, że Dobrowolski mógłby mi zechcieć trochę go zadać, więc jednak spędziłem tę noc w zakrystii.

Nie było to przyjemne, bynajmniej, ale na szczęście dość szybko udało mi się zapaść w sen.

Najgorszy był poranek i niepewność, co się dzieje z Anielką. Cholera, mimo wszystko nie chciałem strzelać do małej dziewczynki, a jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że tak właśnie będzie dla niej najlepiej. Byłbym o wiele bardziej okrutny, zostawiając ją tutaj samą albo - co gorsza - z tym świrem w kapturze.

Całe szczęście spała w podobnej pozie do Nich wszystkich. Na plecach, wpatrując się białkami oczu w sufit.

Zrobiłem więc to, co uznałem za najlepsze. Wziąłem ją na ręce i przeniosłem do kościelnego przedsionka. Gdy ostygła i znów mogłem jej dotknąć, otworzyłem wieko, a raczej drzwi szafy Albina, i ułożyłem małe ciało pomiędzy rodzicami.

Pewnie, że zastanawiałem się, kim był ten „mały chłopiec”, który przyprowadził ją do Starzyzny „przez górkę”.

Chyba wiem, kto to był. Właśnie się do niego wybieram.

Może jeszcze kapinkę. Tak na odwagę.

Potem pokuśtykałem na Wygon i spędziłem tam resztę dnia. Najpierw się ukryłem jak tygrys i przyczałem jak smok. No i całe gówno to dało, bo Dobrowolskiego ani widu, ani słychu.

No to znów zacząłem łązić, ale też nic z tego.

Naprawdę. Coś mi tu śmierdzi.

We śnie rozmawiałem z dziadkiem Frankiem. Powiedział, że Krzyś prosił, aby mi przekazać, że jest ze mnie dumny. Podziękowałem grzecznie, ale niezbyt wylewnie, wiedząc, że jeśli to prawda, to Krzyś wkrótce będzie miał okazję powiedzieć mi to osobiście.

Szczerze mówiąc, nie mogłem się już doczekać, więc postanowiłem, że nie będę tu siedział po próżnicy aż do wielkanocnego południa. No i wtedy dziadek Franek zepsuł całą zabawę, bo dodał, że jeśli ta historia z moim pobytem przyniosła jakieś pozytywne skutki, to w południe powinny zacząć bić dzwony.

W sumie jestem ciekawy, więc zamierzam wytrzymać jeszcze trochę.

Co mi tam.

No i wstałem rano, ukląknęłam wśród niezwywych i zacząłem się modlić. Trochę za nich, trochę za Krzysia, za Jaśka i resztę, za Adama, Rafała i małą Paulinkę. Za dziadka Franka też się modliłem.

No i za Dobrowolskiego długo się modliłem. Żeby go szlag jasny trafił jak najszybciej.

No, to chyba w zasadzie tyle...

Alleluja i do przodu!

### 3.

Już myślałem, że nie zdążę, lecz jednak jakimś cudem udało mi się tu przywlec. Mam nieźle w czubie i trochę się nogi plątały, ale dałem radę.

Z tą czereśnią to jakaś dziwna historia.

Od strony Starzyzny ziemia wokół niej jest rozkopana, a od strony Guciowa w ogóle nie widać śladów po naszym (a właściwie moim, bo to, co kopał Jasiek, i tak następnego dnia było jak dawniej) ryciu szpadłami.

W dodatku zaczęło mżyć. Wydaje mi się, że po drugiej stronie czereśni w ogóle nie pada... Chyba jestem już nieźle nagrзany.

Usiadłem na mokrej trawie, bo tu wygodniej. To co, że trochę zmoknę. I tak się nie zdążyć już rozchorować.

Pomyślałem, że jeszcze raz popatrzę z góry na dolinę, a gdyby te dzwony rzeczywiście miały zamiar bić, to tutaj będzie dobrze słycać, jak niesie się po lasach. Przy towarzyszeniu takiej muzyki, to i nie żal umierać. Tym bardziej że być może dziadek Franek się nie mylił.

Usłyszałem je, jak dochodziłem do czereśni.

To było ledwie chwilę temu, jakieś cztery minuty może...

Wyćwiczyłem już wcześniej „na sucho” celowanie z karabinu

we własne podniebienie i równoczesne pociąganie za spust.

Właściwie mogę napisać, że jestem w tym mistrzem.

Trwa to ułamek sekundy.

Zaraz potem, jak usiadłem, miałem lufę między zębami, tyle że... Wydało mi się, że słyszę jakiegoś ptaka. Coś trochę jak gawron, ale trochę jakby inaczej.

Wiem, że to omamy, bo niby skąd tu ptak, ale były tak miłe, że odłożyłem karabin z nadzieją, że znów mi się to przywidzi.

Nie wiem, po jaką cholere zabrałem ze sobą kartki, ale skoro już są, to piszę. Trochę deszcz rozmazuje litery, no ale przecież i tak nikt tego nie będzie czytał.

Dziwny gawron już się nie odzywa, więc pora się zbierać.

W sumie szkoda, że nikt tego nie przeczyta... Wprawdzie wypadałoby to może trochę przeredagować, ale zakończenie drugiej książki o Czarnym Wygonie (o ile w ogóle powstała pierwsza), byłoby całkiem nie od rzeczy.

No ale nie będzie.

Chodź tu, maleńki.

Pora się zbierać...

*Przemyśl, 11 października 2010 r.*



STEFAN DARDA  
CZARNY  
WYGON

